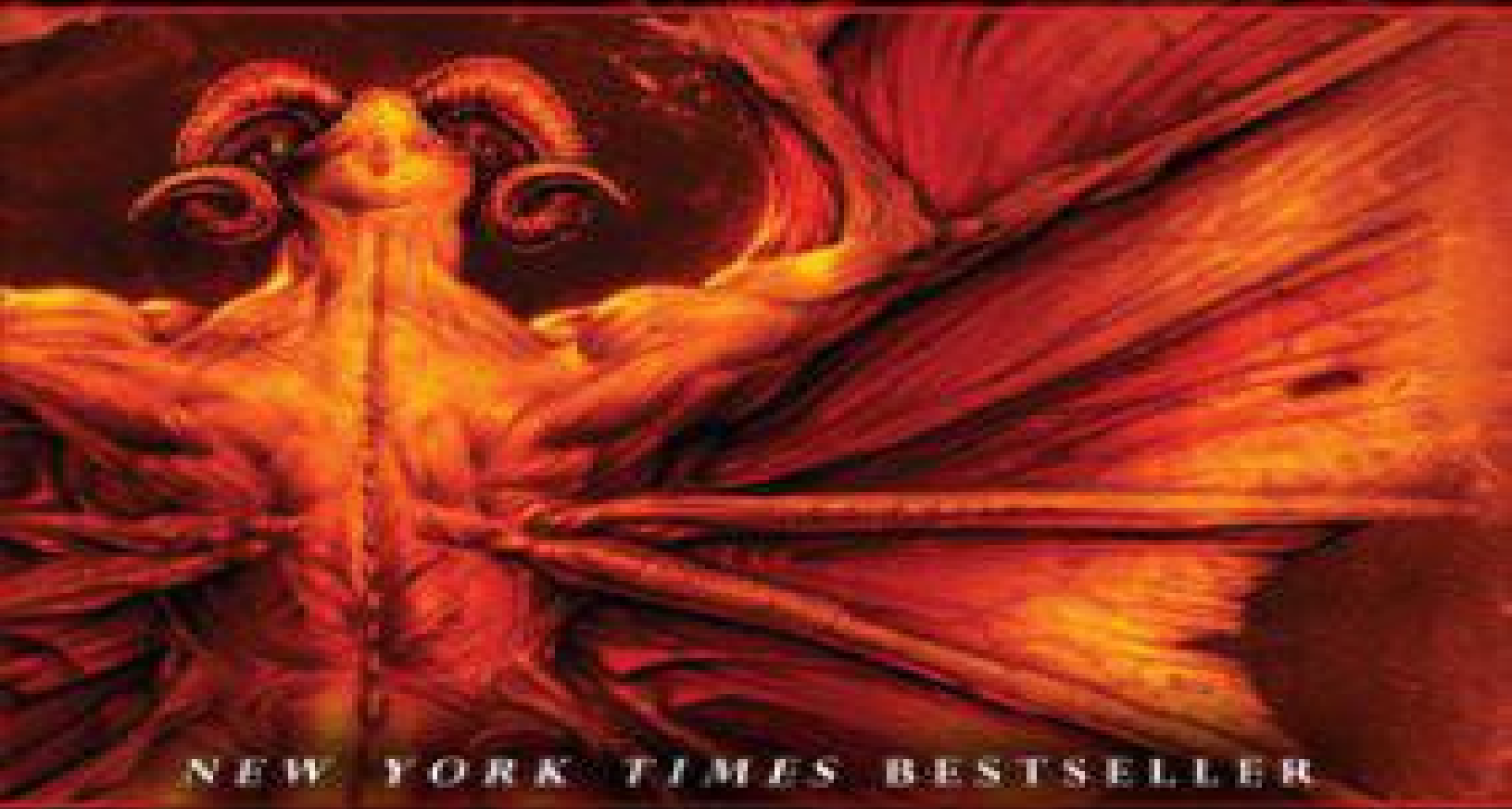


THOMAS  
HARRIS

AUTHOR OF *THE SILENCE OF THE LAMBS*



NEW YORK TIMES BESTSELLER

RED  
DRAGON

THE TERRIFYING CLASSIC THAT INTRODUCED  
HANNIBAL LECTER

**THOMAS HARRIS**

# **HANNIBAL**

Przeład Jerzy Kozłowski

# CZesc I WASZYNGTON

## ROZDZIAI 1

Moglbys pomyslec, ze dzien taki jak ten

az rwie sie do switania...

Ford mustang z Clarice Starling za kierownica wtoczyl sie z loskotem na podjazd budynku przy Massachusetts Avenue. Miescila sie tam siedziba BATF - agencji do spraw przestepstw zwiazanych z alkoholem, tytoniem i bronia palna - wynajmowana w ramach oszczednosci od sekty Sun Myung Moona.

Grupa uderzeniowa czekala w trzech samochodach: zdezelowanym wozie obserwacyjnym i dwoch czarnych furgonetkach jednostek specjalnych. Wszyscy tkwili beczynnie w ciemnym niczym jaskinia garazu.

Starling chwycila torbe ze sprzetem i podbiegla do pierwszego pojazdu, brudnej bialej furgonetki z bocznym napisem „Marcell's Crab House”.

Czterech mezczyzn obserwowalo ja przez otwarte tylne drzwi. Nawet w mundurze Clarice wygladala szczuple. Choc obciazona torba, poruszala sie zwinnie. Jej wlosy blyszczaly w widmowym blasku swietlowek.

- Baby zawsze sie spozniaja - mruknal funkcjonariusz waszyngtonskiej policji.

Grupa dowodził agent specjalny BATF John Brigham.

- Wcale się nie spóźniła. Wezwalem ją dopiero wtedy, gdy dostaliśmy cynk - sprostował. - Musiała tłuc się tutaj aż z Quantico. Cześć, Starling, rzuć torbę.

Przybiła mu szybka piątka.

- Cześć, John.

Brigham dał sygnał kierowcy, agentowi przebranemu w zniszczone ciuchy. Zanim zamknięto tylne drzwi, furgonetka wyjechała na ulicę i wtopiła się w jesienne popołudnie.

Clarice Starling, weteranka furgonetek obserwacyjnych, dała nura pod okularami peryskopu i zajęła miejsce z tyłu, jak najbliżej siedemdziesięciokilogramowego bloku suchego lodu, który zastępował klimatyzację, gdy przyczajali się gdzieś z wyłączonym silnikiem.

W starym gruchocie cuchnęło strachem i potem jak w klatce z małpami. Takiego odoru nigdy nie daje się usunąć. Samochód zdobilo już wiele napisów. Ostatni - zabrudzony i wyblakły - umieszczono zaledwie trzydzieści minut wcześniej. Zalepione dziury po kulach były starsze.

Zmatowione okno z tyłu miało szyby przezroczyste tylko od wewnątrz. Starling patrzyła przez nie na dwie jadące za nimi duże czarne furgonetki jednostek specjalnych. Miała nadzieję, że nie będą musieli godzinami warować w samochodach.

Gdy tylko odwracała się do okna, mężczyźni mierzyli ją wzrokiem.

Trzydziestodwuletnia agentka specjalna FBI Clarice Starling zawsze wyglądała na swój wiek i zawsze - bez względu na wiek - prezentowała się świetnie. Nawet w mundurze.

Brigham wziął notatki z fotela pasażera.

- Jak to jest, że zawsze dostaje ci się czarna robota, Starling? - zapytał z uśmiechem.

- Bo ty ciągle mnie wzywasz - odparła.

- Tym razem jesteś mi potrzebna. Ale widzę, że nie robisz nic innego, tylko rozwozisz nakazy. Nie chcę nic sugerować, ale ktoś w Buzzard's Point chyba niezbyt cię lubi. Powinnas przyjść popracować do mnie. To moi ludzie: agenci Marquez Burke i John Hare, a to funkcjonariusz Bolton z waszyngtonskiej policji.

Mieszana grupa uderzeniowa składała się z przedstawicieli BATF, jednostek specjalnych DEA - agencji do zwalczania narkotyków - i FBI. Była wymuszonym owocem cięć budżetowych w okresie, gdy nawet Akademia FBI została zamknięta z braku funduszy.

Burke i Hare wyglądali jak agenci. Funkcjonariusz policji stolecznej Bolton mógł uchodzić za strażnika sądowego. Miał około czterdziestu pięciu lat, był tegi i nalany.

Burmistrz Waszyngtonu sam miał na sumieniu wyrok za posiadanie narkotyków i koniecznie chciał sprawić wrażenie nieustępliwego wobec handlarzy. Nalegał, aby w każdej większej akcji w Waszyngtonie uczestniczył funkcjonariusz stołecznej policji. Dlatego był tu Bolton.

- Dzisiaj robimy nalot na grupę Drumgo - oznajmił Brigham.

- Wiedziałam. Evelde Drumgo - w głosie Starling nie było entuzjazmu. Brigham kiwnął głową.

- Otworzyła fabrykę lodu przy targu rybnym Feliciana nad rzeką. Nasz człowiek twierdzi, że dziś szykuje partie kryształu. A na wieczór ma rezerwacje na Kajmany. Nie możemy czekać.

Kryształowa metamfetamina, nazywana na ulicy „lodem”, wywołuje krótkie i silne odurzenie i jest morderczo uzależniająca.

- Narkotyki to wprawdzie działka DEA, ale Evelde podejrzewamy również o miedzystanowy przemysł broni. Na nakazie wyszczególniono kilka

pistoletów maszynowych Beretta i MAC 10. Wie również, gdzie możemy znaleźć ich więcej. Chciałbym, żebyś się nią zajęła, Starling. Już kiedyś miałaś z nią do czynienia. Chłopcy będą cię osłaniać.

- Łatwe zadanie - odezwał się Bolton z satysfakcją.

- Opowiedz im o Eveldzie, Starling - poprosił Brigham.

Clarice odczekała, aż furgonetka przejedzie po torach i zrobi się ciszej.

- Evelde to twarda sztuka - zaczęła. - Będzie walczyć do końca. Choć nie wygląda na taką: pracowała kiedyś jako modelka. Jest wdowa po Dijonie Drumgo. Dwukrotnie ją aresztowałam, po raz pierwszy z mężem. Ostatnim razem miała przy sobie dziewczynkę z trzema magazynkami, w torbie gaz, a w staniku filipiński nóż. Nie wiem, jak jest teraz uzbrojona. Podczas drugiego aresztowania bardzo uprzejmie poprosiłam ją, żeby się poddała. Posłuchała mnie. Później w więzieniu stanowym zabiła współwięzniarkę Marshe Valentine trzonkiem lyżki. Wiec nigdy z nią nic nie wiadomo... trudno cokolwiek wyczytać z jej twarzy. Sąd uznał, że działała w samoobronie. W obydwu przypadkach wywinęła się od odpowiedzialności. Oskarzenie o posiadanie broni oddalono, bo miała małe dziecko, a jej mąż został właśnie zastrzelony z samochodu jadącego Pleasant Avenue, prawdopodobnie przez gang Spliffów. Zazadam, żeby się poddała. Mam nadzieję, że posłucha. Urzadzimy jej przedstawienie. Ale słuchajcie, jeśli trzeba będzie obezwładnić Evelde Drumgo, musicie mi naprawdę pomóc. Chcę, żebyście ją porządnie przycisnęli. Niech się wam nie wydaje, że ja i Evelde będziemy uprawiać zapasy w błocie.

Kiedyś Starling zależałoby na opinii tych mężczyzn. Teraz nie podobano im się to, co mówiła, ale ona już zbyt wiele widziała, żeby się tym przejmować.

- Evelde Drumgo przez meza jest związana z gangiem Cripów - wtoczył Brigham. - Nasz człowiek twierdzi, że korzysta z ich ochrony, a oni rozprawdzają narkotyki na wybrzeżu. Cripowie chronią ją głównie przed Spliffami. Nie wiem, co robią, gdy zobaczą nas. Starają się nie wchodzić

w droge FBI.

- Musicie tez wiedziec, ze EVELDA jest nosicielka wirusa HIV - dodala Starling. - Dijon zarazil ja brudna strzykawka. Dowiedziala sie o tym w wiezieniu i wpadla w furie. Tego dnia zabila Marshe Valentine i wdala sie w bojke ze straznikami. Jesli nie jest uzbrojona, bedzie pluc i gryzc, odda na was kal i mocz, wiec zakladajcie rekawice i maski, zgodnie ze standardowa procedura operacyjna. Jak bedziecie wprowadzac ja do samochodu i klasc jej reke na glowie, to uwazajcie na igly we wlosach i zabezpieczcie jej stopy.

Burke'owi i Hare'owi coraz bardziej rzedyly miny. Bolton wygladal na nieszczesliwego. Wskazal swoim obwislym podbrodkiem na bron Starling, wysluzonego colta kaliber 45 z paskiem szorstkiej tasmey na uchwycie, zawieszzonego w luznej indianskiej kaburze na prawym biodrze. Chodzi pani caly czas z odbezpieczona bronia?

- Odbezpieczona przez caly bozy dzien - odparla Starling.

- To niebezpieczne stwierdzil Bolton.

Czekajac na zmiane swiatel, Brigham zdjal oslone z okularow peryskopu i poklepal Boltona po kolanie.

- Rozejrzyj sie, czy na chodniku nie paraduja jakies lokalne gwiazdy. Obiektow peryskopu ukryty w wentylatorze na dachu dawal widok tylko na boki.

Bolton zrobil pelen obrot i zatrzymal sie, przecierajac oczy.

- Jak silnik pracuje, to wszystko sie trzesie - oswiadczył. Brigham polaczyl sie przez radio z lodzia.

- Przeplyneli czterysta metrow i posuwaja sie dalej - powtorzył swojej zalodze.

Furgonetka stanela na czerwonym swietle na Parcel Street, jedna przecznice od sklepu, i pozostala w bezruchu przez jak sie wydawalo - bardzo dlugi czas. Kierowca rozejrzal sie, niby sprawdzajac lusterko z prawej strony, i powiedzial polgebkem do Brighama:

- Malo chetnych na ryby. No to jazda.

Swiatlo zmienilo sie o czternastej piecdziesiat siedem, dokladnie trzy minuty przed godzina zero. Zdezelowany samochod zatrzymal sie przed targiem rybnym Feliciana, zajmujac dogodne miejsce na chodniku.

Kierowca zaciagnal reczny hamulec. Zgrzyt slychac bylo w tylnej czesci furgonetki.

Brigham zwolnil miejsce przy peryskopie.

- Popatrz sobie - zwrocil sie do Starling.

Obejrzała front budynku. Wystawione na chodnik stoly i lady pełne ryb polyskiwały lodem pod płocienną markizą. Ryby były starannie ułożone gatunkami na kruszonym lodzie, kraby poruszały odnożami w otwartych skrzyniach, homary wlażyły jeden na drugiego w zbiorniku. Sprytny sprzedawca nałożył na oczy większych ryb wilgotne ściereczki, żeby błyszczwały, gdy wieczorem napłynie fala niezbyt rozmownych, ale wybrednych gospodyń domowych, pochodzących z Karaibów.

Promienie słońca rozbłysły tęczą w pyłe wodnym nad stołem do czyszczenia ryb, gdzie Latynos kroił silnymi rekoma rekina mako, posługując się sprawnie nożem o zakrzywionym ostrzu. Polewał wielką rybę szlauchem. Zabarwiona krew woda sphywała do rynsztoka. Starling słyszała, jak przepływa strumieniem pod furgonetką.

Obserwowała kierowcę, który zapytał o coś sprzedawcy ryb. Gość zerknął na zegarek, wzruszył ramionami i wskazał palcem pobliską knajpę. Kierowca pokrecił się po targu przez chwilę, zapalił papierosa i odszedł w stronę baru.

Z głośników dochodziły dźwięki *Macareny*, wystarczająco głośne, żeby Starling słyszała je wyraźnie w furgonetce. Ta piosenka zbrzydni jej na całe życie.

Wejście, które ją interesowało - podwójne metalowe drzwi w metalowej framudze z pojedynczym betonowym stopniem - znajdowało się po prawej stronie.

Już miała oderwać wzrok od peryskopu, gdy nagle drzwi otworzyły się. Na ulicę wyszedł postawny biały mężczyzna w hawajskiej koszuli i sandałach. Do piersi przyciskał plecak, pod którym chował dłoń. Za nim szedł zły Murzyn z płaszczem przerzuconym przez rękę.

- Uwaga - powiedziała Starling.

Pojawiła się piękna twarz i długa egipska szyja Evely Drumgo.

- EVELDA wychodzi za tymi dwoma facetami. Chyba się zmywają - informowała Starling.

Okupowała peryskop tak długo, aż Brigham w końcu ją szturchnął. Włożyła kask.

Brigham mówił do laryngofonu.

- „Strike One” do wszystkich jednostek. Zaczyna się. Zaczyna się. Wyszła od naszej strony. Ruszamy. Zdejmijmy ich jak najspokojniej. - Przeladował bron. - Łódź będzie tu za trzydzieści sekund, jazda.

Starling wyskoczyła pierwsza. Warkoczyki Evely smignęły w powietrzu, gdy odwróciła głowę w jej stronę.

- Na ziemię, na ziemię! - krzyknęła Starling. Wiedziała, że ma za sobą uzbrojoną eskortę.

Evela minęła swoich towarzyszy.

Na szyi miała zawieszony nosidełko z dzieckiem.

- Nie chcemy kłopotów. Czekać - rzuciła do swoich ludzi. Ruszyła do przodu. Szła dumnie jak królowa. Przed sobą, na tyle wysoko, na ile pozwalały szelki nosidelka, trzymała owinięte w koc dziecko.

Trzeba zrobić jej miejsce. Starling schowała broń do kabury i rozłożyła puste ręce.

- Evelda! Poddaj się! Podejdź do mnie. - Usłyszała za sobą ryk potężnego osmioletniego silnika i pisk opon. Nie mogła się odwrócić. To pewnie wsparcie.

Evelda zignorowała ją. Podeszła do Brigham. Dziecięcy kocyk zafurkotał, gdy wystrzelił schowany pod nim MAC 10. Brigham runął na ziemię z twarzą zalaną krwią.

Postawny biały facet odrzucił plecak. Burke zobaczył pistolet maszynowy i wystrzelił pocisk avona, tworząc obłoczek nieszkodliwego ołowianego pyłu. Przeladował broń, ale było za późno. Przeciwnik trafił go w kroczki pod kamizelką i obrócił się w stronę Starling. Zanim nacisnął spust, wyciągnęła broń i strzeliła dwa razy w środek hawajskiej koszuli.

Strzały z tyłu. Żyłasty Murzyn odchylił płaszcz zakrywający broń i cofnął się z powrotem do drzwi. Jakas siła, niczym potężny cios pięścia w plecy, pchnęła Starling do przodu, zapierając jej dech w piersiach. Odwróciła się i zobaczyła samochód Cripów: cadillac sedan z otwartymi bocznymi oknami, na których siedzieli okrakiem, niczym Indianie, dwaj mężczyźni. Strzelali nad dachem. Z tylnego siedzenia strzelał trzeci. Ogień i dym z trzech luf, świst kul w powietrzu.

Starling dała nura między zaparkowane samochody. Katem oka dostrzegła, jak ciałem leżacego na jezdni Burke'a wstrząsają drgawki. Brigham leżał nieruchomo, pod jego kaskiem tworzyła się kałuża. Hare i Bolton strzelali pomiędzy samochodami po drugiej stronie ulicy, dokąd cofnęli się pod ostrzałem. Usłyszała brzęk tłuczonego szkła i huk eksplodującej opony. Z jedną nogą w rynsztoku, wyjrzała z ukrycia.

Dwaj siedzący okrakiem na oknach samochodu mężczyźni walili z broni maszynowej nad dachem. Kierowca wolną ręką strzelał z pistoletu. Czwarty mężczyzna, na tylnym siedzeniu wciągał Evelde z dzieckiem przez otwarte drzwi wozu. Trzymała plecak. Kanonada trwała nadal, gdy Cadillac z dymiącymi tylnymi oponami ruszył z miejsca. Starling podniosła się, wycelowała i trafiła kierowcę w skron. Dwukrotnie strzeliła do mężczyzny siedzącego na bocznym oknie. Osunął się do tyłu. Wyrzuciła pusty magazynek i wcisnęła następny, zanim pierwszy zdążył spaść na ziemię. Nie spuszczała oczu z samochodu.

Cadillac wpadł bokiem na wozy zaparkowane przy ulicy i zatrzymał się z hukiem.

Starling ruszyła w jego stronę. Drugi ze strzelających siedział wciąż na oknie i z oszalałym wzrokiem napierał rekoma na dach, wcisnięty między cadillaca i jeden z zaparkowanych samochodów. Broń zsunęła się z dachu. W oknie ukazały się puste ręce. Z samochodu wygramolił się mężczyzna z zawiązaną na głowie niebieską bandaną i zaczął uciekać z podniesionymi rękami. Starling zignorowała go.

Strzały z prawej strony i uciekinier runął na twarz, próbując wpełznąć pod samochód. W gorze



rozległ się warkot helikoptera.

- Na ziemi! - ktoś krzyknął dwa razy na targu. Ludzie ukryli się pod stoiskami. Woda z porzuconego weza tryskała w powietrze.

Starling zbliżała się do cadillaca. Ruch na tylnym siedzeniu. Samochód zakolysał się. Ze środka dochodziły krzyki dziecka. Strzał i szyba w tylnym oknie rozprysła się.

Starling podniosła broń.

- Stac! Nie strzelac! Uwaga na drzwi. Za mna! Uwaga na drzwi w sklepie rybnym.

- EVELDA! - Ruch na tylnym siedzeniu. Krzyk dziecka. - EVELDA, wystaw rece przez okno.

EVELDA Drumgo zaczęła wychodzić. Dziecko wciąż płakało. Z głośników na targu dudniła *Macarena*. EVELDA ruszyła w stronę Starling z pochyloną głową, obejmując dziecko.

Burke drgnął na ziemi między nimi. Konwulsje były słabsze teraz, gdy prawie się wykrwawił, w rytmie *Macareny*. Ktoś podbiegł, pochylił się i próbował zatamować krew.

Broń Starling była wycelowana w ziemię, tuż przed EVELDA.

- EVELDA, pokaz rece! No dalej, pokaz mi rece.

Wybrzuszenie pod kocem. EVELDA podniosła głowę i ciemne egipskie oczy. Spojrzała na Clarice.

- To ty, Starling.

- EVELDA, nie rob tego. Pomyśl o dziecku.

- Upuścmy sobie trochę krwi, dziwko.

Koc zafurkotał, rozległ się huk. Kula z pistoletu Starling przestrzeliła górną wargę EVELDY Drumgo, przeszywając głowę na wylot.

Oszolomiona Starling usiadła na ziemi bez tchu z dziwnym kluciem w boku głowy. EVELDA też usiadła. Pochyliła się do przodu nad krzyczącym dzieckiem. Zalewała je buchająca z ust krew. Starling podczołgała się i szarpnęła za śliskie klamry nosidelka. Wyciągnęła filipiński nóż zza stanika EVELDY i przecięła uprzaz krepująca dziecko. Było lepkie i czerwone, wyslizgiwało się z rak.

Starling trzymała zakrwawione dziecko, rozglądając się rozpaczliwie. Zauważyła wodę tryskającą w powietrze przy sklepie rybnym. Pobiegnęła tam. Odsunęła noże i rybnie wnętrzności, położyła dziecko na stole i skierowała na nie silny strumień wody. Czarne dziecko na białym stole do czyszczenia ryb między nożami, rybnymi wnętrznościami i głową rekina, obmywane z zakazanej wirusem HIV krwi. Krew Starling też leciała na niemowlę, mieszając się z krwią EVELDY i łącząc we wspólny strumień, słony jak morze.

W pyle wodnym błyszczała nadal drwiaca tecza boskiej obietnicy - iskrzaca sie flaga nad dzielem Jego slepej opatrznosci. Starling nie zauwazyla zadnych ran na ciele chlopca. Z glosnikow rozbrzmiewala *Macarena*, swiatlo flesza blyskalo raz po raz, az Hare odciagnal natretnego fotografa.

## ROZDZIAI 2

Slepa uliczka w robotniczej dzielnicy Arlington w stanie Wirginia, tuz po pomocy. Ciepła jesienna noc po deszczu. Powietrze drzy niespokojnie przed chłodnym frontem. Posrod zapachow mokrej ziemi i lisci swoj koncert odgrywa swierszcz. Milknie, gdy dociera do niego silna wibracja: stlumiony warkot mustanga z pieciolitrowym silnikiem i stalowym orurowaniem. Skreca w uliczke, a za nim pojawia sie samochod policyjny. Oba samochody wjezdza na podjazd przed zadbanym blizniakiem i zatrzymuja sie. Mustangiem trzesie nieco na jalowym biegu. Gdy silniki cichna, swierszcz odczekuje chwile i wznawia koncert - ostatni przed nadejsciem mrozow, ostatni w ogole. Umundurowany funkcjonariusz policji wysiada od strony kierowcy z mustanga. Obchodzi samochod i otwiera drzwi pasazerce. Biala opaska przytrzymuje opatrunek na uchu Clarice Starling. Nad zielona szpitalna bluza, ktora ma na sobie zamiast koszuli, widac na szyi czerwonopomaranczowe plamy betadyny.

W zasuwaney plastikowej torbie niesie swoje rzeczy: troche cukierkow mietowych, klucze, identyfikator agentki specjalnej FBI, ladowarke z piecioma nabojami, maly pojemnik z gazem. Oprócz torby ma tez pas z pusta kabura.

Policjant podaje jej kluczyki od samochodu.

- Dziekuje, Bobby.

- Chcesz, zebysmy przyszli z Pharon posiedziec z toba troche? A moze wolalabys, zebym przyslal Sandre? Nigdy nie kladzie sie spac przed moim powrotem. Przywioze ja tutaj na jakis czas, potrzebujesz towarzystwa...

- Nie, pojde juz. Zaraz wroci Ardelia. Dziekuje, Bobby.

Policjant wsiada do samochodu, w ktorym czeka jego partner. Widzac, ze Starling znika w drzwiach domu, odjezdza.

Pralnia w domu Starling jest ciepla i pachnie odswiezaczem do tkanin. Weze od pralki i suszarki sa przymocowane plastikowymi uchwyty. Starling kladzie rzeczy na pralce. Klucze z glosnym brzekiem padaja na metalowa obudowe. Przenosi pranie z pralki do suszarki. Zdejmuje spodnie od munduru i wrzuca je do bebna, za nimi wedruje tam szpitalna bluza i zakrwawiony stanik. Wlacza pralke. Ma na sobie tylko skarpetki, majtki i pistolet kaliber 38 z oslonietym kurkiem w futerale przy kostce. Na plecach i zebrach wyraznie odznaczaja sie siniaki, a na lokciu widac zadrapanie. Prawe oko i policzek sa spuchniete.

Pralka podgrzewa wodę i beben zaczyna się obracać. Starling otula się wielkim ręcznikiem kąpielowym i cicho przechodzi do salonu. Wraca z napełnioną do połowy szklanką whisky. Siada na gumowej macie przed pralką, opierając się o nią w ciemnościach. Ciepła maszyna pracuje, chlupocząc miarowo. Starling siedzi na podłodze z twarzą zwróconą do góry. Łka kilka razy na sucho, zanim oczy zajada jej łzami. Łzy pieką, płynąc po policzkach.

Chłopak Ardelii Mapp przywiozł ją do domu mniej więcej za piętnastą pierwszą w nocy po długim wypadzie na Cape May. Pożegnali się przed drzwiami. W łazience Ardelia usłyszała szum wody i głuchy odgłos w rurach. Pralka realizowała swój program.

Przeszła na ryły domu i zapaliła światło w kuchni, która dzieliła ze Starling. Zajrzała do pralni. Na podłodze siedziała Starling z obandażowaną głową.

- Starling! Co się stało? - Mapp przykucnęła przy niej.

- Przestrzelono mi ucho, Ardelio. Zajeli się tym w szpitalu Waltera Reeda. Nie zapalaj światła, dobrze?

- Dobrze. Przyniosę ci coś. Nic nie wiem - w samochodzie słuchaliśmy kaset - opowiadaj.

- John nie żyje.

- John Brigham! - Mapp i Starling podkochiwały się w Brighamie, gdy był jeszcze instruktorem strzeleckim w Akademii FBI. Próbowaly wówczas odczytać tatuaż pod rekawem jego koszuli.

Starling kiwnęła głową i jak dziecko przetarła oczy wierzchem dłoni.

- Evelda Drumgo i paru Cripów. Zastrzeliła go Evelda. Rozwalili też Burke'a, Marqueza Burke'a z BATF. To była wspólna akcja. Ktoś ją ostrzegł. Dotarliśmy na miejsce w tym samym czasie, co telewizja. Mnie się dostała Evelda. Nie chciała się poddać, Ardelio. Nie chciała się poddać i trzymała dziecko. Strzeliliśmy do siebie. Ona zginęła.

Mapp nigdy nie widziała płaczącej Starling.

- Ardelio, zabiłam dzisiaj pięć osób.

Mapp usiadła na podłodze obok Starling i objęła ją ramieniem. Razem oparły się o szumiącą pralkę.

- A co z dzieckiem Eveldy?

- Obmyłam je z krwi. Widziałam, że nie miało żadnych ran. W szpitalu powiedzieli, że nic mu nie jest. Za parę dni mają je oddać matce Eveldy. Wiesz, jakie były ostatnie słowa Eveldy? „Upuśćmy sobie trochę krwi, dziwko”.

- Chcesz się napić? - zapytała Mapp.

- Slucham?

## ROZDZIAŁ 3

Szary swit przyniosl nowe gazety i poranne wydania telewizyjnych dziennikow.

Mapp uslyszala, ze Starling kreci sie po mieszkaniu, i poszla do niej z drozdzowkami. Razem obejrzaly telewizje.

CNN i inne programy informacyjne kupily od WFUL-TV film nakrecony z helikoptera. Niezwykle ujecia ukazywaly cale wydarzenie bezposrednio z gory.

Starling obejrzala relacje. Chciala sie przekonac, czy EVELDA strzelila pierwsza. Zerknela na Mapp i spostrzegla na jej brazowej twarzy gniew.

Wybiegla z pokoju, zeby zwymiotowac.

- Ciezko sie to oglada - stwierdzila, gdy wrocila blada na trzesacych sie nogach.

Mapp miala zwyczaj natychmiast przechodzic do sedna sprawy.

- Chcialabys wiedziec, co mysle o tym, ze zabilas te Murzynke z dzieckiem na rekach? No wiec sluchaj. Strzelila pierwsza. Ja chce, zebyś zyła. Ale pomysl, kto jest odpowiedzialny za te chora polityke. Co za popieprzony sposob myslenia doprowadzil do tego, ze musialyscie zalatwic ten problem miedzy soba, uzywajac spluw? Strasznie madre. Mam nadzieje, ze dobrze sie

zastanowisz, czy nadal chcesz byc marionetka w ich rekach. - Zrobila wymowna przerwe, nalewajac herbate do filizanki. - Chcesz, zebym z toba zostala? Wezme sobie wolne.

- Dzieki. Nie musisz. Zadzwon do mnie.

„National Tattler”, ktory najbardziej skorzystal na brukowcowym boomie lat dziewiecdziesiatych, wydal dodatek specjalny, szokujacy nawet jak na te gazete. Ktos w poludnie podrzucil ja przed dom. Gdy Clarice wyszla na dwor, zeby zobaczyc, co to za halas, znalazla egzemplarz. Oczekiwala najgorszego i przecucia jej nie zawiodly. Wielkie litery naglowka krzyczaly:

ANIOL SMIERCI: CLARICE STARLING,

MASZYNA DO ZABIJANIA Z FBI

Trzy fotografie na pierwszej stronie przedstawialy Clarice Starling w mundurze z pistoletem kaliber 45 podczas zawodow strzeleckich, Evelde Drumgo z dzieckiem, z przestrelona glowa pochylona jak na obrazie Madonny pedzla Giovanniego Cimabue i jeszcze raz Clarice Starling, jak

kładzie nagie czarne dziecko na białym stole do czyszczenia ryb między nozami, rybimi wnetrznosciami i głowa rekina. Podpis pod zdjęciami głosił:

Agentka specjalna FBI, Clarice Starling, pogromczyni seryjnego mordercy Jame'a Gumba, może dodać co najmniej pięć naciec na łufie. Matka z dzieckiem na ręku i dwaj policjanci to tylko niektóre ofiary nieudanej akcji antynarkotykowej.

Artykuł opisywał narkotykową karierę Eveldy i Dijona Drumgo oraz pojawienie się Cripów w wyniszczonym wojną gangów Waszyngtonie. Zamieszczono też krótką wzmiankę o przebiegu służby zabitego oficera Johna Brigham'a i wymieniono odznaczenia, które zdobył.

Starling poświęcono osobny artykuł ozdobiony zdjęciem zrobionym z ukrycia w restauracji. Przedstawiała zaperzona agentkę Starling w wydekoltowanej sukni.

Clarice Starling, agentka specjalna FBI, miała swoje pięć minut sławy, gdy siedem lat temu zastrzeliła wielokrotnego mordercę Jame'a Gumba, zwanego Buffalo Billem. Teraz mogą zostać wyciągnięte wobec niej konsekwencje służbowe i cywilne w związku ze śmiercią mieszkanki Waszyngtonu oskarżonej o produkcję amfetaminy (patrz artykuł na pierwszej stronie).

„Może to oznaczać koniec jej kariery”, donosi jeden z naszych informatorów z BATF, siostrzanego biura FBI. „Nie znamy

jeszcze wszystkich szczegółów, ale John Brigham nie musiał zginąć. To ostatnia rzecz, jakiej potrzebuje FBI po aferze Ruby Ridge”, oświadczył nasz informator, który woli pozostać anonimowy.

Błyskotliwa kariera Clarice Starling rozpoczęła się tuż po rozpoczęciu przez nią szkolenia w Akademii FBI. Jako absolwentka Uniwersytetu Stanu Wirginia z tytułem magistra psychologii i kryminologii otrzymała zadanie przesłuchania niebezpiecznego szaleńca, dr. Hannibala Lectera, zwanego przez naszą gazetę „Hannibalem-Kanibalem”. Jego wskazówki pomogły w odnalezieniu Jame'a Gumba i uratowaniu przetrzymywanej przez niego Catherine Martin, córki byłej senatorki stanu Tennessee.

Agentka Starling przez trzy lata z rzędu wygrywała międzywydziałowe mistrzostwa w strzelaniu z pistoletu. Jak na ironię, oficer Brigham, który zginął u jej boku, był instruktorem strzeleckim Starling w Quantico i jej trenerem podczas zawodów.

Rzecznik FBI oświadczył, że agentka Starling zostanie zawieszona w czynnościach służbowych do czasu zakończenia wewnętrznego śledztwa FBI w tej sprawie. W tym tygodniu zostanie przesłuchana przez Urząd do spraw Odpowiedzialności Zawodowej, wzbudzająca strach Święta Inkwizycja FBI.

Krewni zmarłej Eveldy Drumgo zapowiedzieli, że będą się domagać odszkodowania od rządu Stanów Zjednoczonych i osobiście od Starling.

Trzymiesięczny synek Eveldy, widoczny w ramionach matki na dramatycznych zdjęciach, które zrobiono podczas strzelaniny, nie odniósł obrażeń.

Adwokat Telford Higgins, który bronił rodziny Drumgo podczas licznych spraw sądowych, twierdzi, że polautomatyczny pistolet agentki specjalnej Starling, zmodyfikowany colt kaliber 45, nie może być używany przez policję w Waszyngtonie. „To śmiertelnie niebezpieczna broń, nieodpowiednia dla stróżów prawa”, oświadczył Higgins. „Jej użycie stwarza ogromne niebezpieczeństwo dla życia”, stwierdził adwokat.

„National Tattler” kupił od swojego informatora numer domowego telefonu Clarice Starling i aparat dzwonił, dopóki Starling nie zdjęła słuchawki z widełek. Do biura dzwoniła z telefonu komórkowego.

Ucho i spuchnięta twarz nie bolały, jeśli nie dotykała bandazy. Dwie tabletki tylenolu przyniosły ulgę. Nie musiała zazywać przepisanej przez lekarza percocetu. Zasnęła z drobinami prochu na dłoniach i zaschniętymi na twarzy łzami, „Washington Post” zsunął się z koldry na podłogę.

## ROZDZIAŁ 4

Ty zakochujesz się w Biurze,

lecz Biuro nie zakochuje się w tobie.

Maksyma z poradni dla zwolnionych agentów FBI

O tak wczesnej porze hala sportowa w budynku imienia J. Edgara Hoovera była jeszcze niemal pusta. Dwaj mężczyźni w średnim wieku pokonywali w wolnym tempie kolejne okrażenia bieżni. W sali gimnastycznej odbijały się echem pobrzekiwania maszyn do ćwiczeń siłowych i odgłosy gry w squasha.

Głosy mężczyzn nie niesły się w powietrzu. Jack Crawford biegł z dyrektorem FBI, Tunberrym, na jego prośbę. Zrobili już ponad trzy kilometry i zaczynało ogarniać ich zmęczenie.

- Baylock z BATF musi ponieść konsekwencje za afere w Waco. Jeszcze nie teraz, ale jest skończony, i wie o tym - powiedział dyrektor. - Może już powiadomić wielbnego Moona, że zwalnia biuro. - Wynajmowanie przez BATF lokalu w Waszyngtonie od sekty Sun Myung Moona wywoływało w FBI złosliwe komentarze.

- A Farriday wylatuje za Ruby Ridge - ciągnął dalej dyrektor.

- Tego nie rozumiem - odparł Crawford. Razem z Farridayem służył w Nowym Jorku w latach siedemdziesiątych, gdy pikietowano biura FBI przy Trzeciej Alei i Szescdziesiątej Dziewiątej ulicy. - Farriday jest dobrym agentem. To nie on kierował przebiegiem akcji.

- Powiedziałem mu wczoraj rano.

- Przyjął to spokojnie? - zapytał Crawford.

- Powiedzmy, że zatrzymuje pewne przywileje. Zjemy w niebezpiecznych czasach, Jack.

Obydwaj biegli z odchylonymi do tyłu głowami. Zwiększyli nieco tempo. Katem oka Crawford zauważył, że dyrektor ocenia jego kondycję.

- Ile masz lat, Jack, pięćdziesiąt sześć?

- Zgadza się.

- Rok do obowiązkowej emerytury. Wielu odchodzi, mając czterdzieści osiem, pięćdziesiąt lat, gdy jeszcze mogą się gdzieś zatrudnić. Ale nie ty. Chciałeś się czymś zająć po śmierci Belli.

Crawford nie odpowiadał przez połowę okrzewienia. Dyrektor zdał sobie sprawę, że popełnił nietakt.

- Wiem, jak to przeżyłeś, Jack. Doreen mówiła mi któregoś dnia...

- W Quantico zostało jeszcze trochę do zrobienia. Chcemy usprawnić bazy danych VICAP w Internecie, żeby każdy policjant mógł z niej skorzystać. Widziałeś to w budżecie.

- Myślałeś kiedyś o stanowisku dyrektora?

- Zawsze uważałem, że to nie dla mnie.

- Racja, Jack. Nie jesteś typem polityka. Nie mogłbyś być dyrektorem. Nie mogłbyś być Eisenhowerem czy Omarem Bradleyem. - Dyrektor pokazał ruchem ręki, że chce się zatrzymać. Staneli na bieżni, dysząc ciężko. - Ale mogłbyś być Pattonem. Potrafisz poprowadzić ludzi przez piekło i sprawić, że będą cię uwielbiali. Ja nie mam takiego daru. Wszystkich muszę ciągnąć na siłę. - Tunberry rozejrzał się, podniósł z ławki recznik i zawiesił go na szyi jak pelerynę, która zakłada sędzia, ogłaszając wyrok śmierci. Oczy mu błyszczały.

Niektórzy muszą okazać gniew, żeby zachować niezłomną postawę, pomyślał Crawford, obserwując poruszające się usta Tunberry'ego.

- Co do zastrzelonej z dzieckiem na rękach pani Drumgo i jej laboratorium narkotykowego, powiedzmy sobie, Komisja Sądowa Kongresu domaga się ofiar z ludzi. Świeżego, czerwonego mięsa. Domagają się go media. DEA musi im rzucić trochę tego mięsa. BATF musi rzucić trochę mięsa. I my też. Ale w naszym przypadku mogą zadowolić się plotką. Zdaniem Krendlera, jeśli damy im Clarice Starling, zostawia nas w spokoju. Zgadza się z nim. BATF i DEA biorą na siebie winę za przygotowanie akcji. Starling pociągnęła za spust.

- Celując do zbrojczynie policjanta, która strzeliła pierwsza.

- Chodzi o telewizję, Jack. Chyba tego nie rozumiesz. Ludzie nie widzieli, jak EVELDA Drumgo zastrzeliła Johna Brighamę. Nie widzieli, że EVELDA pierwsza strzeliła do Starling. Tego im nie pokazano. Za to dwadzieścia milionów widzów, z których jedna dziesiąta bierze udział w wyborach, obejrzało, jak EVELDA Drumgo pochyliła się nad dzieckiem w ochronnej pozie, siedząc na ulicy z

przestrzelona na wylot glowa. Nic nie mow, Jack. Wiem, ze przez pewien czas chciales zrobic Starling swoja protegowana. Ale ona ma niewyparzony jezyk i juz na samym poczatku zrazila do siebie niektorych ludzi...

- Krendler to palant.

- Posluchaj, co ci powiem, i nie przerywaj mi, dopoki nie skoncze. Kariera Starling i tak stanela w miejscu. Zostanie zwolniona z czystymi papierami i bedzie mogla znalezc prace gdzie indziej. Jack, dokonales w FBI czegos niezwyklego, rozwijajac Sekcje Behawioralna. Wiele osob uwaza, ze gdybys tylko bardziej zadbal o swoje wlasne interesy, zaszedlbys znacznie wyzej i ze zaslugujesz na duzo wiecej. Ja pierwszy to mowie. Jack, przejdziesz na emeryture jako zastepca dyrektora. Masz to u mnie.

- To znaczy, jesli umyje od calej sprawy rece?

- Przy normalnym rozwoju wypadkow, Jack, jesli znow zapanuje w naszym krolestwie spokoj, tak sie stanie. Jack, spojrz na mnie.

- Tak, panie dyrektorze?

- Nie prosze cie, wydaje ci polecenie. Nie mieszaj sie do tego. Nie odrzucaj szansy, Jack. Czasem trzeba sie od kogos odwrocic. Znam to z doswiadczenia. Sluchaj, rozumiem, ze jest ci ciezko, ale wierz mi, wiem tez, jak sie czujesz.

- Jak sie czuje? Czuje, ze chcialbym wziac prysznic - powiedzial Crawford.

## ROZDZIAI 5

Starling byla sprawna, choc niezbyt skrupulatna gospodynia. Sprzatala swoja czesc domu, ale rzeczy zwykle mialy tendencje do pietrzenia sie - czyste, nieposortowane pranie, gazety, na ktore nie starczalo miejsca. Nalezala do mistrzow w konkurencji prasowania ubran w ostatniej chwili i nie musiala mizdrzyc sie przed lustrem, wiec jakos sobie radzila.

Gdy tesknila za ladem, przechodzila przez wspolna kuchnie do mieszkania Ardellii Mapp. Jesli Ardellia byla u siebie, Clarice mogla skorzystac z jej rad, zawsze pozytecznych, choc czasem szczerych az do bolu. Jesli jej nie bylo, Starling wiedziala, ze moze posiedziec i porozmyslac w idealnym porzadku panujacym w mieszkaniu Mapp - pod warunkiem, ze niczego nie przestawi. Dzisiaj tez tam siedziala. To jedno z tych miejsc, w ktorych zawsze czuje sie osobowosc wlasciciela, bez wzgledu na to, czy jest obecny czy nie.

Wpatrywala sie w polise ubezpieczeniowa babci Mapp, wiszaca na scianie w recznie wykonanej ramce. Wczesniej wisiala w chacie babki, a pozniej w skromnym mieszkaniu rodzicow Ardellii, gdy byla jeszcze dzieckiem. Babka sprzedawala uprawiane warzywa i kwiaty z ogrodka. Za



oszczędności opłacała składki. Pod zastaw polisy wzięła kredyt, żeby pomóc Ardellii skończyć szkole. Na ścianie wisiało też zdjęcie drobniutkiej starowinki, która próbuje się uśmiechać nad wykrochmalonym białym kołnierzykiem. W jej czarnych oczach pod rondem słomianego kapelusza tliła się wiekowa mądrość.

Ardelia znalazła swoje korzenie, czerpała z nich siłę każdego dnia. Starling chciała odnaleźć swoje, próbując dojść do siebie. Luteranski sierociniec w Bozeman karmił ją, ubierał i nauczył odpowiedniego zachowania. Ale teraz potrzebowała czegoś więcej: wiezów krwi.

Co takiego ma ktoś, kto wywodzi się z biednej białej rodziny, z dziury, gdzie czas stał w miejscu? Kto wychował się wśród ludzi, których mieszkańcy studenckich kampusów nazywają kmiotkami i wiesniakami czy protekcyjnie prostakami z Appalachów? Jeśli nawet wątpliwi arystokraci z Południa, którzy gardzą pracą fizyczną, odnoszą się do jego ziomków jak do buraków - z jakiej tradycji czerpie przykład? Ze dalismy im wycisk pod Bull Run? Ze pradziadek spełnił swój obowiązek pod Vicksburgiem?

A jednak odwołanie do tego, co zostało z przeklętych czterdziestu arów i zabloconego mularza, przynosi zaszczyt i ma głębszy sens. Trzeba samemu do tego dojść. Nikt tego nie nauczy.

Starling odniosła sukces jako studentka w Akademii FBI, bo w niczym nie mogła znaleźć oparcia. Większość życia spędziła w różnych instytucjach. Szanowała je i przestrzegała ściśle panujących w nich zasad. Zawsze parlała do przodu, zdobyła stypendium. Po świetnym starcie załamanie kariery w FBI było dla niej nowym i strasznym przeżyciem. Tłukła się o szklane ściany jak pszczoła w butelce.

Miała cztery dni na oplakiwanie Johna Brighamę, zastrzelonego na jej oczach. Dawno temu John Brigham zaproponował jej coś, a ona odmówiła. Potem zapytał, czy mogą zostać przyjaciółmi, i mówił poważnie. A ona zgodziła się, też na serio.

Musiała pogodzić się z tym, że na targu rybnym Feliciana usmierciła pięć osób. Kilka razy przypominał jej się Crip; unieruchomiony między samochodami, rozpaczliwie drapał paznokciami dach samochodu, gdy z palców wysliznęła mu się brzoń.

Żeby ulżyć wyrzutom, poszła do szpitala. Chciała popatrzeć na dziecko Eveldy. Zastąpiła tam matkę Eveldy, która zabierała właśnie wnuka do siebie. Rozpoznała Starling ze zdjęć w gazetach, oddała dziecko pielęgniarce i, zanim Starling zdołała cokolwiek zrobić, uderzyła ją mocno w zabandażowaną twarz.

Starling nie oddała jej, lecz przytrzymała za nadgarstki, przyciskając do szpitalnego okna, aż kobieta uspokoiła się, z twarzą wykrzywioną na umazanej ślino szybie. Po szyi Clarice spływała krew, ból przyprawił ją o zawrót głowy. W szpitalu ponownie zszyto jej ucho. Zrezygnowała ze złożenia skargi. Pielęgniarz ze szpitala opowiedział o incydencie dziennikarzowi „National Tattler”. Dostał za to trzysta dolarów.

Musiała wyjść z domu jeszcze dwa razy: żeby przygotować Brighamę do pogrzebu i wziąć udział w uroczystości na cmentarzu Arlington. Brigham miał tylko nielicznych dalekich krewnych i w

ostatniej woli prosił Starling, żeby zajęła się nim po śmierci.

Miał tak zmasakrowana twarz, że w gre wchodziła wyłącznie zamknięta trumna. Mimo to Starling zrobiła wszystko, żeby zadbać o jego wygląd. Ubrała go w błękitny mundur piechoty morskiej ze Srebrną Gwiazdą i innymi odznaczeniami.

Po uroczystości dowódca Brigham przekazał Starling pudełko z osobistą bronią Johna, odznakami i kilkoma drobiazgami z jego wiecznie zagraconego biurka, między innymi kiczowatego szklanego ptaszka, który pił ze szklanki.

Za pięć dni czekało Starling przesłuchanie. Mogło oznaczać koniec jej kariery. Poza jedną wiadomością od Jacka Crawforda służbowy telefon milczał i nie mogła już porozmawiać z Johnem Brighamem.

Zadzwoiła do swojego przedstawiciela w Związku Agentów FBI. Poradził jej, żeby na przesłuchanie nie wkładała długich kolczyków ani odkrytych pantofli.

Telewizja i prasa rozwodziły się codziennie na temat śmierci Evely Drumgo, robiąc wokół sprawy wiele halasu.

Tutaj, w mieszkaniu Mapp, w otaczającym ją idealnym porządku, Starling próbowała się skoncentrować.

Robakiem, który dąży cię od środka, jest chęć *przyznania* racji twoim wrogom, uzyskania ich przychylności.

Natretny dzwiek.

Starling usiłowała przypomnieć sobie wszystko, co mówiła w furgonetce. Czy powiedziała więcej, niż było konieczne? Natretny dzwiek.

Brigham poprosił ją, żeby opowiedziała innym o Eveldzie. Czy okazała wrogosc, mówiła za bardzo krytycznie?

Natretny dzwiek.

Oprzytomniała. Zdawała sobie sprawę, że ktoś dzwoni do drzwi. Prawdopodobnie reporter. Czekala też na wezwanie do sądu. Przesunęła zasłone w oknie i *zobaczyła* odchodzącego listonosza. Otworzyła drzwi i dogoniła go. Podpisując odbiór przesyłki poleconej, odwróciła się plecami do samochodu prasowego po drugiej stronie ulicy z wycelowanymi w nią teleobiektywami. Koperta była w kolorze fioletoworozowym z jedwabistymi włóknami na lnianym papierze. Coś jej to przypominało. W domu, z dala od ludzkich oczu, odczytała adres. Piękne kaligraficzne pismo.

Bezustanny szum strachu w głowie przerodził się w wycie syreny. Poczula, że skóra na brzuchu zadrzała, jakby spadło na nią coś zimnego.

Wzięła kopertę za rogi i zaniósła do kuchni. Wyciągnęła z torebki białe rękawiczki do

oglądania dowodów rzeczowych. Przycisnęła koperte do twardej powierzchni kuchennego stołu i starannie ją obmacała. Choc papier był gruby, wyczulaby baterie gotowa zdetonować materiał wybuchowy. Wiedziała, że powinna zbadać list pod fluoroskopem. Jeśli go otworzy, może mieć kłopoty. Kłopoty. Racja. A niech tam.

Rozcięła koperte kuchennym nożem i wyjęła pojedynczą kartkę jedwabistego papieru. Zanim spojrzała na podpis, wiedziała już, kto do niej napisał.

Droga Clarice

Z entuzjazmem śledziłem przebieg twego publicznego zniesławienia i upokorzenia. Ja sam nigdy się tym nie przejmowałem - doskwierały mi jedynie niewygody związane z odosobnieniem. Ale tobie może brakować dystansu.

Podczas naszych rozmów w podziemiach szpitala wydało mi się oczywiste, że postać twego ojca, zmarłego nocnego gliny, zajmuje poczesne miejsce w twoim systemie wartości. Fakt, iż położyłaś kres krawieckiej karierze Jame'a Gumba uszczęśliwił cię tak bardzo, ponieważ - jak sądzę - mogłaś sobie wyobrazić, że zrobił to twój ojciec.

Teraz masz w FBI bardzo złe notowania. Czy zawsze wyobrażałaś sobie, że masz nad sobą ojca. Czy wyobrażałaś go sobie na stanowisku szefa sekcji, a może - wyżej niż sam Jack Crawford - jako zastępcę dyrektora, któryz dumą obserwuje twoje postępy? A teraz, czy widzisz go przybitego i zawstydzonego twoją hanbą? Twoją porażką? Przykrym, wstydliwym końcem obiecującej kariery? Czy widzisz siebie w roli sprzątaczkii, do której została zdegradowana twoja matka, gdy narkomani załatwili twego tatę? Hmm? Czy twoja porażka odbije się na nich? Czy ludzie już zawsze będą niesłusznie uważać, że twoi rodzice należeli do białej holoty zamieszkującej pola przyczep w rejonach nawiedzanych przez tornada? Odpowiedz szczerze, agentko specjalna Starling.

Zanim przejdziemy dalej, odpocznij chwile.

A teraz wskaże pewną cechę, którą posiadasz i która ci pomoże: twoje lzy nie zaciemniają ci wzroku, możesz dalej czytać.

Oto ćwiczenie, które może okazać się przydatne. Wykonaj, proszę, moje polecenia.

Masz w domu czarny żelazny rondel? Jesteś dziewczyna z południowych gór, na pewno masz. Postaw go na kuchennym stole. Zapal górne światło.

Mapp odziedziczyła po babce rondel i często go używała. Miał lśniącą czarną powierzchnię, której nigdy nie tknięto mydłem. Starling postawiła rondel na stole przed sobą.

Zajrzyj do niego, Clarice. Pochyl się i spojrz w dół. Jeśli to rondel twojej matki, co nie jest wykluczone, w jego cząsteczkach tkwią wibracje wszystkich rozmów, których był świadkiem. Wymiany zdań, drobne nieporozumienia, straszliwe wyznania, stanowcze zapowiedzi katastrof, westchnienia i poezja miłości.

Usiądź przy stole, Clarice. Zajrzyj do rondla. Jeśli jest dobrze osmolony, wygląda jak czarna

kaluza, prawda? Jakbys zagladala do studni. Na dnie wprawdzie nie ma wyraznego odbicia twojej twarzy, ale majaczysz tam na dole. Prawda? Swiatlo jest za toba i oto jestes - czarna twarz w koronie plonacych wlosow.

Wszyscy jestesmy weglem, Clarice. Ty, rondel i trup taty w ziemi, zimny jak ten rondel. Wszystko w nim zostaje. Sluchaj. Tak naprawde zyli twoi strudzeni rodzice. To konkretne wspomnienia, nie wyobrazenia, ktore wypelniaja twoje serce.

Czemu twoj ojciec nie byl zastepca szeryfa scisle wspolpracujacym z wymiarem sprawiedliwosci? Czemu twoja matka

sprzatala w motelach, zeby cie utrzymac? Nawet jesli nie udalo sie jej zatrzymac cie przy sobie?

Twoje najbardziej zywe wspomnienie zwiazane sa z kuchnia. Nie ze szpitalem, z kuchnia.

Matka zmywa krew z czapki ojca.

Najmilsze wspomnienie zwiazane z kuchnia.

Ojciec obiera pomarancze starym scyzorykiem ze zlamanym ostrzem i podaje nam kawalki.

Twoj ojciec, Clarice, byl nocnym glina. Twoja matka byla sprzataczka.

Czy wielka kariera w sluzbach federalnych byla spelnieniem twoich czy ich ambicji? Na ile twoj ojciec zgialby kark, zeby dac sobie rade ze skostniala biurokracja? Ile posladkow by wycalowal? Czy widzialas, zeby kiedykolwiek przed kims sie plaszczyl, komus schlebial?

Czy twoi zwierzchnicy prezentuja jakis system, Clarice? A twoi rodzice? Jesli tak, czy to te same wartosci?

Spojrz na dno rondla i wyznaj uczciwie. Czy zawiodlas swoja niezyjaca rodzine? Czy chcieliby, zeby sie podlizywala? Czy cenili sobie hart ducha? Mozesz byc tak silna, jak tego chcesz.

Jestes wojownikiem, Clarice. Wrog nie zyje, dziecko jest bezpieczne. Jestes wojownikiem.

Najbardziej stabilne pierwiastki, Clarice, znajduja sie w srodku ukkladu okresowego, z grubsza miedzy zelazem i srebrem.

Miedzy zelazem i srebrem. Sadze, ze to dla ciebie odpowiednie miejsce.

*Hannibal Lecter*

*PS. Wciaz jestes mi winna pewna informacje. Czy nadal budzisz sie, slyszac owce? Zamiesc ogloszenie w ktoryms z niedzielnym wydan ,, Timesa ,, ,,International Herald Tribune ,, i ,, China Mail". Zaadresuj je do A.A. Aarona, zeby ukazalo sie jako pierwsze, i podpisz sie imieniem Hannah.*

Starling słyszała słowa wypowiedziane tym samym głosem, który kpil z niej, przesywał ją, analizował i oświecał w oddziale pod intensywnym nadzorem. W szpitalu dla psychicznie chorych, gdy musiała przehandlować swe bolesne doświadczenia za bezcenne wiadomości na temat Buffalo Billa. Metaliczna chryпка rzadko używanych strun głosowych wciąż pobrzmiwała w jej snach.

W rogu kuchennego sufitu wisiała świeża pajeczyna. Starling gapiała się na nią, usiłując pozbierać myśli. Zadowolenie mieszało się ze smutkiem, smutek z zadowoleniem. Cieszyła się z pomocy, cieszyła się, że ujrzała światło w tunelu. Cieszyła się i smuciła zarazem, że poczta w Los Angeles, która przesyłała dalej pocztę doktora Lectera, zatrudniła tania pomoc: tym razem przeciągnięto kopertę przez maszyny stemplujące. Ten list ucieszy Jacka Crawforda, kierownictwo poczty i laboratorium.

## ROZDZIAŁ 6

W pokoju, gdzie upływa życie Masona, panuje cisza, choć ma on swój własny, delikatny rytm: szumy i westchnienia respiratora dającego Masonowi oddech. Pokój spowija mrok, w którym jarzy się jedynie wielkie akwarium, gdzie murena kreci niestrudzenie osemkę po osemce, a jej cień porusza się niczym wstęga po pokoju.

Splecione włosy Masona tworzą gruby węzeł leżący na osłonie respiratora, która pokrywa jego piers na podnoszonym łóżku. Przed nim zawieszony jest urządzenie składające się z rurek przypominających piszczalki.

Długi język Masona wysuwa się zza zębów. Oplata nim końcówkę rurki i dmucha w nią przy następnym pulsie respiratora.

Z głośnika na ścianie natychmiast odzywa się głos.

- Słucham pana.

- „Tattler”. - Gubi pierwsze „t”, lecz głos jest głęboki i donosny, jak głos spikera radiowego.

- Na stronie pierwszej...

- Nie czytaj. Pokaż na monitorze. - Mason nie wymawia głosek „p” i „m”. Duży ekran na wysuwającym monitorze trzeszczy. Niebieskozielony obraz przechodzi w roz, gdy pojawia się tytuł gazety.

- „Anioł śmierci: Clarice Starling, maszyna do zabijania z FBI” - czyta Mason przez trzy powolne oddechy respiratora. Może powiększyć zdjęcie.

Tylko jedna ręka wystaje spod koldry. Trochę może nią ruszać. Dłoń niczym blady krab przesuwa się bardziej dzięki ruchom palców niż sile wychudzonego ramienia. Głowa Masona jest w znacznym stopniu unieruchomiona, palec wskazujący i środkowy spełniają funkcje czułków, a kciuk,

palec serdeczny i mały ciągnął rękę do przodu. Dłoń trafia na pilota, którym można powiększać i przewracać strony.

Mason czyta powoli. Okular nad jego jedynym okiem dwa razy na minutę syczy cichutko, zwilżając pozbawioną powieki gałkę oczną. Na szkle często

pojawia się mgielka. Przebrnięcie przez dwa artykuły zajmuje mu dwadzieścia minut.

- Pokaż przeswietlenie - zeządał Mason po skończeniu lektury.

Zajęło to chwilę. Duża plachta zdjęcia rentgenowskiego wymagała odpowiedniego podświetlenia, żeby była czytelna na monitorze. Miał przed sobą ludzką rękę, która najwyraźniej uległa kontuzji. Na kolejnym zdjęciu pojawiła się dłoń i całe ramię. Strzałka wskazywała na stare pęknięcie kości ramiennej mniej więcej w połowie między łokciem i barkiem.

Mason przyglądał się zdjęciu przez wiele oddechów.

- Teraz pokaz list - polecił w końcu.

Na ekranie pojawiło się piękne kaligraficzne pismo: litery powiększone do absurdalnych rozmiarów.

- „Droga Clarice - czytał Mason. - Z entuzjazmem śledziłem przebieg twego publicznego zniesławienia i upokorzenia...” - Sam rytm tego głosu przywołał stare myśli, które zakreciły Masonem, łokciem, pokojem, zerwały strupy z jego potwornych snów i przyspieszyły bicie serca, za którym nie nadawał oddech. Urządzenie natychmiast wyczuło podniecenie i szybciej wypełniło płuca powietrzem.

Przeczytał cały list w tym bolesnym tempie przy pracującym respiratorze, jakby jechał na koniu. Nie mógł zamykać oka, ale gdy skończył czytać, jego umysł odpłynął na chwilę. Musiał pomysleć. Respirator zwolnił. Mason znowu dmuchnął w rurkę.

- Słucham pana.

- Połącz mnie z kongresmenem Vellmore'em. Przynies słuchawkę. Wyłącz głośnik.

- Clarice Starling - powiedział do siebie z następnym oddechem, na który pozwolił mu respirator. Imię i nazwisko nie posiadały głosek wybuchowych. Wymówił je całkiem wyraźnie. Nie opuścił żadnego dźwięku. Czekał na telefon, zdrzemnął się przez chwilę. Cień mureny pelzał po poscieli, twarzy i splecionych włosach.

## **ROZDZIAŁ 7**

Buzzard's Point, biuro terenowe FBI dla Waszyngtonu i Dystryktu Kolumbii, wzięło swoją

nazwe od stada sepow krazacych wokol szpitala, ktory stal w tym miejscu podczas wojny secesyjnej.

Teraz sepy z DEA, BATF i FBI zebraly sie, zeby zadecydowac o losie Clarice Starling.

Starling stala samotnie na grubym dywanie w biurze szefa. Czula puls tetniacy pod bandazem zawiniety wokol glowy. Slyszała stlumione meskie glosy, dochodzace zza mlecznej szyby w drzwiach sali konferencyjnej.

Na szybie w obwodce zlotych lisci widniala wielka pieczec FBI z mottem: „Wiernosc, Odwaga, Uczciwosc”.

Rozgoraczkowane glosy za drzwiami podnosily sie i cichly. Z niezrozumialego szmeru rozmow Starling wylawiala tylko swoje nazwisko.

Z biura rozciagal sie przepiekny widok na przystan i Fort McNair, gdzie powieszono spiskowcow oskarzonych o zamach na prezydenta Lincolna.

Przypomniala sobie zdjecia Mary Surratt, ktore kiedys widziala: mija wlasna trumne, wchodzi na szafot w Fort McNair, stoi z kapturem na glowie nad zapadnia. Ma przywiazana do nog spodnice, zeby zapobiec zgorzeniu. Zostaje stracona w dol i rozlega sie glosne chrupniecie.

Za drzwiami dobieglo szuranie odsuwanych krzesel. Mezczyzni wychodza z sali konferencyjnej. Niektore twarze poznawala. Boze, byl wsrod nich Noonan, szef calej sekcji dochodzeniowej.

Zobaczyla swojego przesladowce, Paula Krendlera z Departamentu Sprawiedliwosci. Mial dluga szyje i zaokraglone uszy osadzone wysoko na glowie jak u hieny. Byl karierowiczem, szara eminencja u boku inspektora generalnego. Odkad siedem lat temu w trakcie slynnej afery ubiegla go w poszukiwaniu Buffalo Billa, przy kazdej okazji saczyl jad do jej akt osobowych i utrudnial awans.

Zaden z tych mezczyzn nigdy nie towarzyszyl jej podczas akcji, gdy dokonywala aresztowania, gdy strzelano do niej, gdy wyczesywala z wlosow kawalki szkla.

Unikali jej wzroku, az w koncu wszyscy spojrzeli na nia jednoczesnie, jak skradajaca sie sfora wilkow zwraca nagle uwage na chore zwierze w stadzie.

- Prosze usiasc, agentko Starling. - Jej szef, agent specjalny Clint Pearsall, pocieral gruby nadgarstek, jakby uwieral go zegarek.

Nie patrzac jej w oczy, wskazal na fotel ustawiony przodem do okien. Podczas przesluchania nie jest to honorowe miejsce.

Zaden z siedmiu mezczyzn nie usiadl. Ich sylwetki odcinaly sie na tle jasnych okien. Starling nie widziala ich twarzy, ale mogla obserwowac ich stopy i buty. Pieciu z nich mialo na nogach mokasyny z fredzelkami, ulubione obuwie pochodzacych ze wsi waszyngtonskich nuworyszy. Pozostali dwaj nosili pantofle z dziurkowanymi noskami. W powietrzu unosil sie zapach pasty do butow ogrzanej goracymi stopami.

- Nie wiem, czy wszystkich pani zna, agentko Starling. To wicedyrektor Noonan: na pewno wie pani, kim jest. To John Eldredge z DEA, Bob Sneed z BATF. Benny Holcomb jest asystentem burmistrza, a Larkin Wainwright inspektorem naszego Urzedu do spraw Odpowiedzialnosci Zawodowej - przedstawial Pearsall. - I Paul Krendler. Zna pani Paula. Przybyl nieoficjalnie z Biura inspektora generalnego z Departamentu Sprawiedliwosci. Paul wyswiadczył nam przysluge, przychodzac tutaj. Oficjalnie go nie ma. Chce pomoc nam uniknac pewnych problemow, jesli wie pani, o czym mowie.

Starling znala powiedzenie krazace w agencji: inspektor federalny to ktos, kto pojawia sie, na polu bitwy po zakonczeniu walk i dobija rannych.

Glowy niectomych mezczyzn drgnely w gescie pozdrowienia. Wszyscy wyciagali szyje, mierzac wzrokiem kobiete, wokol ktorej sie zebrali. Przez kilka chwil nikt sie nie odzywial.

Cisze przerwal Bob Sneed. Clarice pamietala, ze jako agent BATF probowal oczyscic atmosfere po zakonzonej katastrofa akcji w Waco. Byl popiecznikiem Krendlera. Jego tez uwazano za karierowicza.

- Agentko Starling, czytala pani prase i ogladala telewizje. W oczach opinii publicznej odpowiada pani za smierc Eveldy Drumgo. Niestety, pani postac zostala nieco zdemonizowana.

Starling milczala.

- Agentko Starling?

- Nie mam wplywu na moj wizerunek w mediach, panie Sneed.

- Ta kobieta trzymala dziecko na rekach. Rozumie pani, jaki to stwarza problem.

- Nie trzymala dziecka na rekach: siedzialo w nosidelku. Rece miala pod kocem i trzymala w nich MAC-a 10.

- Czytala pani protokol z autopsji?

- Nie. - Ale nie zaprzecza pani, ze to pani strzelala?

- Myslelicie, ze wypre sie wszystkiego, bo nie znalezliscie kuli? - Clarice odwrocila sie do swojego szefa. - Panie Pearsall, czy to spotkanie ma charakter wewnetrzny?

- Jak najbardziej.

- Wiec dlaczego pan Sneed zainstalowal podslych? Sekcja techniczna juz dawno zrezygnowala z tych przypinanych mikrofonow. W wewnetrznej kieszeni marynarki ma wlaczony magnetofon. Czy teraz odwiedzamy sie z ukrytymi mikrofonami?

Twarz Pearsalla zrobila sie czerwona. Jesli Sneed prowadzil podslych, dopuscil sie najgorszego rodzaju zdrady. Nikt nie chcial jednak, zeby na tasmie utrwalono jego glos, nakazujacy



wylaczyc magnetofon.

- Pani zuchwalosc i oskarzenia sa nie na miejscu - odezwal sie blady z gniewu Sneed. - Zebralismy sie tutaj, zeby pani pomoc.

- W czym? To przeciez panska agencja zwrocila sie do FBI z prosba o pomoc w tej akcji, do ktorej zostalam przydzielona. Dwukrotnie prosilam Evelde, zeby sie poddala. Pod kocem trzymala MAC-a 10. Zastrzelila juz Johna Brighamama. Zaluje, ze sie nie poddala. Nie zrobila tego. Strzelila do mnie. Ja strzelilam do niej. Zginela ona. Moze zechce pan cofnac i przesluchac swoja tasme, panie Sneed?

- Zostala pani uprzedzona, ze bedzie tam EVELDA Drumgo? - dopytywal sie Eldredge.

- Uprzedzona? Agent Brigham poinformowal mnie w furgonetce w drodze na miejsce akcji, ze EVELDA Drumgo przygotowuje narkotyki w swoim strzezonym laboratorium. Zlecil mi, zebym sie nia zajela.

- Prosze pamietac, ze Brigham nie zyje - przypomnial Krendler. - Tak jak Burke. Dwaj cholernie dobrzy agenci. Nie moga niczego potwierdzic ani niczemu zaprzeczyc.

Starling zrobilo sie niedobrze, gdy uslyszala w ustach Krendlera nazwisko Brighamama.

- Nie trzeba mi przypomnac, ze John Brigham nie zyje, panie Krendler. Rzeczywiscie byl swietnym agentem i moim dobrym przyjacielem. Nie zmienia to faktu, ze poprosil mnie o zajecie sie EVELDA.

- Brigham przydzielil pani to zadanie, mimo iz miedzy pania i EVELDA Drumgo doszlo juz wczesniej do starc? - zdziwil sie Krendler.

- Daj spokoj, Paul - wtracil sie Clint Pearsall.

- Jakich starc? - zdziwila sie Starling. - Aresztowalam ja. Podczas aresztowan prowadzonych przez innych oficerow zwykle dochodzilo do walk. Ale gdy ja ja aresztowalam, wszystko odbywalo sie spokojnie. Rozmawialysmy ze soba - byla inteligentna. Odnosilysmy sie do siebie uprzejmie. Mialam nadzieje, ze i tym razem tak bedzie.

- Czy zapowiedziala pani, ze „zajmie sie nia”? - zapytal Sneed.

- Przyjelam tylko polecenie.

Holcomb z biura burmistrza i Sneed zaczeli szeptac miedzy soba.

Sneed jednym ruchem wysunal rekawy koszuli spod marynarki.

- Agentko Starling, z zeznan oficera Boltona z waszyngtonskiej policji wynika, ze w furgonetce w drodze na miejsce konfrontacji podzegala pani przeciw EVELDzie Drumgo. Chcialaby pani wypowiedziec sie na ten temat?

- Z polecenia agenta Brighama wyjaśniłam pozostałym oficerom, że Evelda dopuściła się w przeszłości aktów przemocy, że zwykle jest uzbrojona i że jest nosicielką wirusa HIV. Zapowiedziałam, że damy jej szansę, żeby mogła się poddać. Poprosiłam o wsparcie, gdyby zaszła konieczność obezwładnienia jej. Mogę panów zapewnić, że nie zgłosiło się wielu chętnych.

Wtracił się Clint Pearsall.

- Gdy samochód Cripow rozbił się i jeden z przestępców zbiegł, zobaczyła pani, że w samochodzie ktoś się rusza i usłyszała płacz dziecka.

Dziecko darło się na całe gardło - poprawiła go Starling. - Podniosłam rękę, żeby wstrzymano ogień, i wyszłam z ukrycia.

- W ten sposób naruszyła pani przepisy - powiedział Eldredge. Starling nie zwróciła na niego uwagi.

- Podeszłam do samochodu, z wyciągniętą bronią i opuszczoną lufą. Na ziemi między mną i samochodem leżał konający Burke. Ktoś podbiegł, żeby zatamować mu krew. Evelda wysiadła z dzieckiem. Poprosiłam, żeby pokazała mi ręce, powiedziałam coś w rodzaju: „Eveldo, nie rob tego”.

- Strzeliła najpierw ona, potem pani. Czy od razu upadła na ziemię? Starling skinęła głową.

- Nogi ugięły się pod nią i usiadła na ulicy, pochylając się nad dzieckiem. Już nie żyła.

- Chwyciła pani dziecko i pobiegła do wody. Wykazała się pani troską o jego dobro - przyznał Pearsall.

- Nie wiem, czym się wykazałam. Było całe zakrwawione. Nie wiedziałam, czy dziecko jest nosicielem HIV. Wiedziałam, że ona była nosicielką.

- I pomyślała pani, że kula mogła zranić dziecko podsunął Krendler.

- Nie. Wiedziałam, gdzie trafiła kula. Mogę mówić otwarcie, panie Pearsall? Nie spojrzał na nią, mówiła więc dalej:

- Ta akcja była fatalnie zorganizowana. Zostałam postawiona w sytuacji, w której musiałam wybierać między własną śmiercią a śmiercią kobiety z dzieckiem. Dokonałam wyboru i ubolewam nad tym, co musiałam zrobić. Zabiłam matkę trzymającą dziecko. Nawet zwierzęta tego nie robią. Pani Sneed, może pan zechce spojrzeć na licznik w magnetofonie, żeby wiedzieć, w którym momencie się do tego przyznaje. To, że postawiono mnie w takiej sytuacji, cholernie mnie oburza. Irytuje mnie też to, co teraz czuję. - Przypomniała sobie Brighama, który leżał na ulicy twarzą do ziemi, i posunęła się za daleko. - Niedobrze mi się robi, gdy patrzę, jak wszyscy umywacie ręce od całej sprawy.

- Starling... - Pearsall ze zmartwioną miną po raz pierwszy spojrzał jej w oczy.

- Wiem, że nie spisała pani jeszcze zeznania - wtracił Larkin Wainwright. - Gdy zapoznamy

sie...

- Spisalam - odparla Starling. - Kopia zostala juz wyslana do Urzedu do spraw Odpowiedzialnosci Zawodowej. Druga kopie mam przy sobie, jesli zalezycy panom na czasie. Napisalam o wszystkim, co tam zrobilam i co widzialam. Panie Sneed, mial pan to przez caly czas.

Widziala ostrzej niz zwykle. To byl dla niej sygnal ostrzegajacy o niebezpieczenstwie. Celowo znizyla glos.

- Akcja nie udala sie z kilku powodow. Informator BATF sklamal na temat miejsca pobytu dziecka, bo zalezalo mu, zeby akcja doszla do skutku -przed jego rozprawa sadowa w Illinois. Evelda Drumgo wiedziala, ze przyjedziemy. Wychodzila z pieniiedzmi w jednej torbie i z narkotykami w drugiej. Jej pager nadal pokazywal numer WFUL-TV. Zostala ostrzezona piec minut przed naszym przybyciem. Helikopter WFUL-TV nadlecial razem z nami. Trzeba skonfiskowac nagrania telefoniczne WFUL-TV i bedzie wiadomo, skad nastapil przeciek. To ktos, kto dziala na miejscu. Gdyby przeciek byl z BATF, tak jak podczas incydentu w Waco, albo z DEA, informacja trafilaby do mediow ogolnokrajowych, a nie do lokalnej telewizji.

Benny Holcomb odezwal sie w imieniu wladz centralnych.

- Nie ma zadnych dowodow, ze wladze miejskie lub waszyngtonska policja maja cos wspolnego z przeciekiem.

- Skonfiskujcie nagrania telefoniczne i przekonacie sie -poradzila Starling.

- Macie pager Drumgo? - zapytal Pearsall.

- Jest zabezpieczony w magazynie w Quantico.

Zabrzeczal pager Noonana. Wicedyrektor skrzywil sie na widok numeru, przeprosil obecnych i wyszedl z pokoju. Po chwili wywolal Pearsalla.

Wainwright, Eldredge i Holcomb wygladali przez okno na Fort McNair. Trzymali rece w kieszeniach. Zupelnie jakby znajdowali sie w szpitalnej poczekalni. Paul Krendler sciagnal spojrzenie Sneeda i dal mu do zrozumienia, zeby podszedl do Starling.

Sneed polozyl reke na oparciu fotela i pochyлил sie.

- Jesli pani zezna, ze podczas misji zleconej przez FBI z pani broni zginela Evelda Drumgo, BATF jest gotowe podpisac oswiadczenie, ze Brigham kazal pani zwrocic ... szczegolna uwage na Evelde, zeby aresztowanie odbylo sie w sposob spokojny. Zginela z pani broni i na tym konczy sie pani odpowiedzialnosc. Nie bedziemy sie spierac na tematy regulaminowe ani przytaczac ostrych slow, ktore wypowiedziala pani o Eveldzie w furgonetce.

Starling ujrzala przez chwile Evelde Drumgo, jak z dumnie uniesiona glowa wychodzi z domu, wysiada z samochodu. Choc smierc Eveldy byla bezsensowna i niepotrzebna, Starling zrozumiala, dlaczego zabrala dziecko i stawila czolo swoim wrogom.

Przysunęła twarz do mikrofonu na krawacie Sneeda.

- Z przyjemnością powiem, jaka osoba była Evelda Drumgo, panie Sneed - wycedziła wyraźnie. - Lepsza od pana.

Pearsall wszedł do biura bez Noonana i zamknął drzwi.

- Wicedyrektor Noonan wrócił do siebie. Panowie, kończymy spotkanie. Skontaktuje się telefonicznie z każdym z osobna - zapowiedział.

Głowa Krendlera podskoczyła do góry. Wywieszył zmianę i stał się czujny.

- Musimy podjąć jakąś decyzję... - zaczął Sneed.

- Nie musimy.

- Ale...

- Bob, nie musimy podejmować żadnych decyzji, wierz mi. Będzie się z wami kontaktował. I jeszcze jedno, Bob.

-Tak?

Pearsall chwycił przewód za krawatem Sneeda i pociągnął mocno, wyrrywając guziki z koszuli i odklejając taśmę od skóry.

- Jeśli jeszcze raz przyjdiesz do mnie z mikrofonem, wcisnę ci go w dupę. Żaden z mężczyzn nie spojrzał na Starling. Oprócz Krendlera. Szedł do drzwi, powłócząc jak ślepiec nogami i maksymalnie wykreczał długą szyję, żeby spojrzeć na Clarice. Jak hiena, która krąży wokół stada, próbując wyłowić z niego ofiarę. Na jego twarzy malowały się różne pragnienia. Krendler podziwiał nogi Starling, a jednocześnie szukał jej achillesowej pięty.

## ROZDZIAŁ 8

Sekcja Behawioralna FBI zajmuje się wielokrotnymi mordercami. W jej piwnicznych biurach powietrze jest chłodne i nieruchome. Projektanci wewnątrz ze swoimi paletami barw usiłowali w ostatnich latach rozweselić nieco podziemne lochy. Rezultaty były równie oplakane jak przy próbach ożywienia zakładu pogrzebowego.

Biuro szefa sekcji zachowało swój oryginalny kolor: brązowy z kawowymi zasłonami w kratę na wysoko umiejscowionych oknach. Właśnie tam Jack Crawford pisał coś przy biurku otoczony aktami krwawych spraw.

Rozległo się pukanie do drzwi. Crawford unosił głowę i zobaczył Clarice Starling.

Usmiechnal sie i wstal z krzesla. Czesto rozmawiali na stojaco: byla to regula, ktora z czasem narzucili sobie we wspolnych kontaktach. Nie musieli wymieniac usciskow dloni.

- Slysalam, ze byl pan w szpitalu - powiedziala Starling. - Przepraszam, ze na pana nie poczekalam.

- Ucieszylem sie, ze tak szybko cie wypuscili - odparl. - Jak ucho, wszystko w porzadku?

- W porzadku, jesli lubi pan kalafiory. Mowia, ze sie zagoi. Czesciowo. -Ucho przykrywaly wlosy, a ona nie zamierzala go odslaniac. Zapadla chwila ciszy.

- Chca na mnie zwalic odpowiedzialnosc za akcje, panie Crawford. Za smierc Eveldy Drumgo, za wszystko. Zachowywali sie jak hieny, a potem nagle wszyscy sie rozeszli. Cos ich wyploszylo.

- Moze masz aniola stroza, Starling.

- Moze. Ile to pana kosztowalo, panie Crawford? Pokrecil glowa.

- Prosze zamknac drzwi, Starling. - Znalazl w kieszeni pomieta chusteczke i przetarl okulary. - Nie mam wystarczajacych wplywow. Gdyby pani Martin nadal zajmowala swoje stanowisko, moglaby sie za toba wstawic... Podczas tej akcji zmarnowali Johna Brigham - zupełnie jakby wyrzucili go na smietnik. Hanba byloby, gdyby ciebie spotkal podobny los.

Policzki Crawforda zarozowily sie. Clarice przypomniala sobie jego smagana zimnym wiatrem twarz pochylona nad grobem Johna Brigham. Crawford nigdy nie opowiadal jej o swojej wojnie.

- Ale cos pan zrobil, panie Crawford.

Skinal glowa.

- No tak. Nie wiem, czy bedziesz zadowolona. Jest robota.

Robota. W ich wspolnym jezyku bylo to dobre slowo. Oznaczalo konkretne, natychmiastowe zadanie. Oczyszczalo atmosfere. Jesli nie musieli, nie rozmawiali o biurokracji FBI. Crawford i Starling przypominali misjonarzy, ktorzy nie zajmuja sie teologia, lecz koncentruja na chorym dziecku. Wiedza - choc nikomu o tym nie mowia- ze nie moga liczyc na boska pomoc. Ze nawet dla tysiac dzieci z plemienia Ibo Bog nie zechce zeslac deszczu.

- Posrednio twoim dobroczynca jest nadawca listu, ktory ostatnio dostalas.

- Doktor Lecter. Juz dawno zauwazyła, ze Crawford brzydzi sie tym nazwiskiem.

- Tak, wlasnie on. Przez caly czas pozostawal nieuchwytny, przebywal gdzies daleko bezkarny, i teraz przesyła list. Po co?

Minelo siedem lat, odkad doktor Lecter, dziesieciokrotny zabojca, uciekl z aresztu w Memphis, mordujac po drodze piec osob.

Później zapadł się pod ziemię. Sprawa pozostała otwarta i w FBI nie zamierzano jej zamknąć do chwili schwytania mordercy. Podobnie było w Tennessee i innych okęgach sadowych. Ale odwołano siły specjalne, które prowadziły poscig, choć krewni ofiar wylewali łzy złości przez sadem stanowym w Tennessee i domagali się działania.

Powstały całe tomy uczonych rozpraw na temat mentalności Lectera. Większość z nich wyszła spod pióra psychologów, którzy nigdy nie zetknęli się z doktorem osobiście. Pojawili się kilka prac psychiatrów skompromitowanych przez doktora w specjalistycznej prasie. Najwidoczniej poczuli, że teraz mogą się bez obaw zrewanżować. Niektórzy z nich twierdzili, że jego chora psychika nieuchronnie popchnie go do samobójstwa i że prawdopodobnie już nie żyje.

Również w cyberprzestrzeni zainteresowanie doktorem Lecterem pozostawało wciąż żywe. Teorie na jego temat mnożyły się jak grzyby po deszczu, a on sam pojawiał się w różnych miejscach na świecie niemal tak często jak Elvis. Podszrywający się pod niego oszusti byli zmore internetowych grup dyskusyjnych, a z fosforyzującego bagna ciemnej strony cyberprzestrzeni wypływały policyjne zdjęcia jego ofiar. Fotografie te trafiały nielegalnie do kolekcjonerów okropności, a popularnością ustępowały jedynie scenom z egzekucji Fou-Tchou-Li.

I nagle po siedmiu latach ślad: list do ukamienowanej przez prasę brukowa Clarice Starling.

Na liście nie znaleziono odcisków palców, ale FBI wierzyło w jego autentyczność. Clarice Starling nie miała żadnych wątpliwości.

- Dlaczego to zrobił, Starling? - Crawford sprawiał wrażenie, jakby był na nią zły. - Nigdy nie udawałem, że rozumiem go lepiej niż ci kretyńscy psychiatrzy. Powiedz mi.

- Myślał, że moje ostatnie doświadczenia... zburza, zniechęca mnie do FBI, a on uwielbia obserwować, jak zalamuje się wiara. Kiedyś kolekcjonował zdjęcia ruin zburzonych kościołów. Słota gruzów we Włoszech, gdzie zawałił się kościół pełen staruszek biorących udział w mszy, a na ruinach zatknięta przez kogoś choinka - bardzo mu się to podobało. Bawie go, traktuje mnie jak zabawkę. Gdy go przesłuchiwałam, lubił wytykać braki w moim wykształceniu. Sądzi, że jestem naiwna.

Przez Crawforda przemawiał jego wiek i samotność, gdy zadał kolejne pytanie.

- Czy pomyślałaś kiedyś, Starling, że on może cię lubić?

- Myślałam, że go rozweselam. Albo coś go bawi, albo nie. Jeśli nie...

- Czy poczułaś kiedyś, że on cię lubi? - Crawford podkreślił różnicę między myślą a uczuciem, jak baptysta kładzie nacisk na całkowite zanurzenie podczas chrztu.

- Po bardzo krótkim spotkaniu powiedział o mnie parę prawdziwych rzeczy. Myślałam, że łatwo pomylić zrozumienie z empatią: tak bardzo jej pragniemy. Może zrozumienie tej różnicy jest przejawem dojrzałości. Przykra jest świadomość, że ktoś może nas rozumieć, lecz niekoniecznie lubić. Najgorsze, że zrozumienie może być wykorzystane jako narzędzie drapieżnika. Nie... nie mam

pojecia, co doktor Lecter do mnie czuje.

- Co takiego o tobie powiedzial, jesli moze zapytac?

- Powiedzial, ze jestem ambitna. Ze przypominam mu prosta babe ze wsi, a oczy swiecami sie jak tanie szkielka. Powiedzial, ze nosze tanie pantofle, choc mam gust.

- Uznalas, ze to wszystko prawda?

- Tak. Moze nadal tak jest, choc staram sie nosic lepsze buty.

- Myslisz, ze chcial sie przekonac, czy go wydasz, jesli przysle list ze slowami pocieszenia?

- Wiedzial, ze go wydam. Powinien to wiedziec.

- Po wyroku sadu zabil jeszcze szesc osob - powiedzial Crawford. - Zabil Miggsa w szpitalu za opryskanie cie sperma i piec osob podczas uciezki. Jesli zostanie schwytyany, czeka go kara smierci. - Crawford usmiechnal sie na te mysl. Byl pionierem badan nad wielokrotnymi zabojcami. Teraz czekala go emerytura, a potwor, ktory byl dla niego najwiekszym wyzwaniem, pozostawal na wolnosci. Perspektywa usmiercenia doktora Lectera szalenie mu sie podobala.

Starling wiedziala, ze Crawford wspomnial o wyczynie Miggsa, chcac przykuc jej uwage, przeniesc ja w przeszlosc do tego straszliwego okresu, gdy przesluchiwala Hannibala-Kanibala w jego podziemnej celi w Stanowym Szpitalu dla Psychiczenie Chorych Przestepcow. Lecter bawil sie nia, a tymczasem w studni w piwnicy Jame'a Gumba czekala na smierc dziewczyna. Zwykle przechodzic do sedna sprawy, Crawford calkowicie absorbowal uwage rozmowcy, podobnie jak teraz.

- Wiesz, ze jedna z pierwszych ofiar doktora Lectera wciaz zyje?

- Ten bogacz, ktorego rodzina wyznaczyla nagrode?

- Tak, Mason Verger. Jest podlaczony do respiratora w Marylandzie. W tym roku zmarl jego ojciec i zostawil mu swoje miesne imperium. Po smierci starego Vergera Mason zostal kongresmenem i czlonkiem Komisji Sadowej Kongresu, ktora bez niego nie bylaby w stanie zwiazac konca z koncem. Mason twierdzi, ze ma cos, co pomoze nam odnalezc doktora. Chce rozmawiac z toba.

- Ze mna?

- Tak. Domaga sie tego i nagle wszyscy zgodnie twierdza, ze to swietny pomysl.

- Czujecie tu panska reke.

- Chcieli sie ciebie pozbyc, Starling, wyrzucic jak szmaciana lalke. Poszlabys na smietnik w slad za Johnem Brighamem. Po to, zeby ocalic glowy kilku biurokratow z BATF. Strach. Presja. Nic innego do nich nie dociera. Wyslalem kogos, zeby szepnal slowko Masonowi i przekonac go, jak

bardzo twoje odejście zaszkodziłoby poszukiwaniom Lectera. Co się stało później, do kogo Mason zadzwonił - tego nie chce wiedzieć. Prawdopodobnie do kongresmena Vellmore'a.

Jeszcze rok wcześniej Crawford nie zagrałby w ten sposób. Starling przyjrzała się uważnie jego twarzy, szukając oznak szalenstwa, ogarniającego czasem ludzi, którym grozi rychła emerytura. Nic takiego nie dostrzegła, choć Crawford wyglądał na zmęczonego.

- Mason nie jest ładny, Starling, i nie mam na myśli tylko jego twarzy. Dowiedz się, co dla nas ma. Jak wrocisz, zabierzemy się do tego. W końcu.

Starling wiedziała od lat, że gdy tylko ukończyła Akademię, Crawford usiłował zatrudnić ją w Sekcji Behawioralnej.

Jako weteranka FBI i uczestniczka wielu akcji, które nie przyniosły jej awansu, rozumiała, że pierwszy triumf - schwytanie wielokrotnego mordercy Jame'a Gumba - doprowadził ostatecznie do jej klęski w FBI. Była wschodząca gwiazda, która utknęła w miejscu. W trakcie poszukiwań Gumba zrobiła sobie co najmniej jednego śmiertelnego wroga i wzbudziła zazdrość wielu rówieśników płci brzydkiej. Brakowało jej też uległości, dlatego przez całe lata wysyłano ją do wreczania nakazów i udaremniania napadów na banki w biednych dzielnicach. W końcu uznano, że nie nadaje się do pracy w zespole, została więc agentem do spraw technicznych. Zakładala podsłuch w telefonach i samochodach gangsterów i handlarzy dziecięca pornografia. Czuwała samotnie ze słuchawkami na uszach. I zawsze była do dyspozycji, gdy siostrzana agencja potrzebowała wprawnej reki podczas akcji. Była silna, choć szczupła, szybka i ostrożnie obchodziła się z bronią.

Crawford dostrzegł teraz dla niej szansę. Podejrzewał, że zawsze chciała ścigać Lectera. Prawda była nieco bardziej skomplikowana.

- Nigdy nie usunęłaś prochu z twarzy.

Okruchy spalonego prochu z rewolweru świętej pamięci Jame'a Gumba tworzyły na policzku czarne znamie.

- Nie miałam czasu.

- Wiesz, jak Francuzi nazywają taki pieprzyk wysoko na policzku? *Mouche*. Wiesz, co to znaczy? - Crawford zgromadził sporą bibliotekę na temat tatuży, symboliki ciała i rytualnych okaleczeń.

Starling pokręciła głową.

- Takie znamie nazywają „odwaga”. Nie usuwałbym go na twoim miejscu.

## ROZDZIAŁ 9



Muskrat Farm, posiadłość Vergerów nad rzeką Susquehanna w północnej części stanu Maryland, ma w sobie nieco upiorny urok. Klan Vergerów zakupił ją w latach trzydziestych, przenosząc się na wschód z Chicago, żeby być bliżej Waszyngtonu. Mogli sobie pozwolić na taki wydatek: dzięki sprytowi w polityce i interesach zbijali fortunę na dostawach mięsa dla armii amerykańskiej od czasów wojny secesyjnej.

Afera z „zabalsamowana wołowina” podczas wojny hiszpańsko-amerykańskiej właściwie nie zaszkodziła Vergerom. Kiedy Upton Sinclair i jego wtyczki przeprowadzili inspekcję warunków pracy w zakładzie w Chicago, odkryto, iż kilku pracowników przez nieuwagę przerobiono na smalec, zapuszczono i sprzedano jako „Czysty Łój Nerkowy Durhama”, rozchwytywany przez piekarzy. Ale Vergerowie wyszli z afery obronna reka. Nie stracili ani jednego rządowego kontraktu.

Wymigiwali się od odpowiedzialności jeszcze wiele razy, przekupując polityków. Ich jedyna porażka była przyjęta przez Kongres: ustawa o badaniu mięsa w tysiąc dziewięćset szóstym roku.

Teraz rzeźnie Vergerów ubijają dziennie osiemdziesiąt sześć tysięcy sztuk bydła i około trzydziestu sześciu tysięcy świń. Wielkości te wahały się w zależności od pory roku.

Świeżo przystrzyżone trawniki i bujne kolyszające się na wietrze lilie nie pachną jak rzeźnia. Jedynymi zwierzętami są tu kucyki dla zapraszanych dzieci i pocieszne stada gęsi, które pasą się na trawnikach z głowami nisko przy ziemi i ruchliwymi kuprami. Nie ma psów. Dom, stodoła i teren posiadłości znajdują się niemal w samym sercu lasów państwowych o powierzchni dziesięciu kilometrów kwadratowych dzięki bezterminowemu specjalnemu pozwoleniu Departamentu Spraw Wewnętrznych.

Jak wiele innych enklaw bogactwa Muskrat Farm jest trudno dostępna. Clarice zjechała z autostrady za daleko. Wracając równoległa do autostrady droga lokalna, najpierw trafiła na wjazd służbowy: zamknięta na kłódkę i zabezpieczona łańcuchem wielka brama w wysokim ogrodzeniu okalającym las. Za bramą droga nikiela wśród drzew. Nigdzie nie było telefonu. Cztery kilometry dalej natknęła się na budkę strażniczą stojącą przy pięknej alei dojazdowej. Strażnik w mundurze miał jej nazwisko zapisane w notatniku.

Przejechała jeszcze trzy kilometry wypielegnowana droga i dotarła do posiadłości.

Zatrzymała hałasliwego mustanga, żeby przepuścić przechodzącą właśnie drogą stado gęsi. Zobaczyła grupkę dzieci, które wyjeżdżały gęsiego na tłustych kucykach z pięknej stodoły oddalonej pół kilometra od domu. Główny budynek zaprojektowany przez Stanforda White'a był rezydencją cudownie położoną wśród niskich wzgórz. Posiadłość wyglądała na solidną i dostatnią jak kraina ze słodkich snów. Starling była oczarowana.

Vergerowie mieli tyle oleju w głowie, że zachowali oryginalną sylwetkę domu. Wyjątkiem była jedynie przybudówka, której Starling jeszcze nie widziała: nowoczesne skrzydło wystające ze wschodniej elewacji niczym dodatkowa kończyna dołączona podczas groteskowego eksperymentu medycznego.

Starling zaparkowała przy głównym portyku. Gdy umilkł silnik, słyszała swój własny oddech.

Zobaczyła w lusterku, że ktoś nadjeżdża na koniu. Gdy wysiadła z samochodu, na drodze zastukotały kopyta.

Jeździec miał szerokie barki i krótkie blond włosy. Zeskoczył z siodła i nie patrząc na słuzącego, podał mu lejce.

- Odprowadz go - zabrzmiał głęboki i ostry głos. - Jestem Margot Verger. - Z bliska okazało się, że to kobieta. Wyciągnęła rękę, nie zginając ramienia w łokciu. Miała sylwetkę kulturystki. Pod umiśnioną szyją potężne ramiona i barki rozciągały trykot sportowej koszulki. Oczy miały suchy połysk. Wyglądały na podrażnione, jak gdyby kobieta cierpiała na niedostatek leż. Miała na sobie bryczesy do jazdy konnej z diagonalą i buty bez ostrog.

- Czym pani jeździ? - zapytała. - Starym mustangiem?

- Z osiemdziesiątego osmego.

- Pięciolitrowy? Trochę jakby przysiadł na kolach.

- Tak, to roush mustang.

- Lubi go pani?

- Bardzo.

- Jakie ma osiągi?

- Nie wiem. Ale chyba dobre.

- Boi się go pani?

- Szanuje go. Powiedziałabym, że traktuje go z szacunkiem - odparła Starling.

- Zna się pani na takim wozie czy po prostu go pani kupiła?

- Gdy kupowałam go na giełdzie, wiedziałam o nim dość dużo. Później dowiedziałam się więcej.

- Myśli pani, że dałby radę mojemu porsche?

- Zależy jakemu porsche. Panno Verger, chciałabym porozmawiać z pani bratem.

- Skonczy mycie za jakieś pięć minut. Możemy już iść. - Margot Verger ruszyła po schodach. Bryczesy z diagonalą szeleszczyły, pocierane potężnymi udami. Miała tak przeredzone włosy, że Starling zastanawiała się, czy nie zazywa sterydów i nie musi podpinac sobie lechtaczki.

Clarice spędziła dzieciństwo głównie w luteranskim sierocincu. W przestronnych salach rezydencji czuła się jak w muzeum z malowanymi stropami i obrazami poważnie wyglądających

zmarłych ludzi na ścianach. Na podestach stały chińskie wazy, a marokkańskie dywany zdobiły korytarze.

Wystroj wnetrz raptownie zmieniał się w nowym skrzydle rezydencji Vergerów. Do nowoczesnej i funkcjonalnej części domu wchodziło się przez podwójne drzwi z mleczną szybą, zupełnie nie na miejscu w wysokim, zakończonym lukrowatym sklepieniem holu.

Margot Verger zatrzymała się przed drzwiami. Spojrzała na Starling błyszczącymi, zaczerwienionymi oczami.

- Niektórzy nie potrafią znieść rozmów z Masonem - oznajmiła. - Jeśli się pani zmeczy lub będzie pani miała dość, mogę później odpowiedzieć na pytania, których zapomni pani zadać.

Istnieje wszystkim dobrze znane uczucie, które nie ma nazwy: radosne oczekiwanie na możliwość odczucia pogardy. Starling wyczytała to w twarzy Margot Verger.

- Dziękuję - powiedziała tylko.

Ku zaskoczeniu Clarice w pierwszym pomieszczeniu znajdował się duży i dobrze wyposażony pokój z zabawkami. Dwojka czarnych dzieci bawiła się wśród olbrzymich maskotek: jedno jeździło na obrotowej huśtawce, drugie ciągnęło po podłodze ciężarówkę. W kątach stały rowerki, a na środku znajdował się wielki zestaw drabinek do gimnastycznych ewolucji. Podłogę pod nim wyscielono miękkimi materacami.

W kącie pokoju na kanapie siedział wysoki pielęgniarz w białym fartuchu i czytał „Vogue”. Na ścianach zawieszono liczne kamery: niektóre wysoko, inne na poziomie oczu. Jedna z narożnych kamer śledziła Starling i Margot Verger. Jej obiektyw obracał się, ustawiając ostrość.

Starling jeszcze niedawno czuła ukłucie w sercu na widok czarnego dziecka, lecz te maluchy pochłonęły całkowicie jej uwagę. Miło było popatrzeć na ich zabawy, gdy przechodziła razem z Margot Verger przez pokój.

- Mason lubi obserwować dzieci - wyjaśniła Margot. - Jego widok przeraża wszystkie, oprócz najmniejszych, więc robi to w ten sposób. Później jeździ na kucykach. To dzieci z zakładów opiekuńczych w Baltimore.

Do pokoju Masona Vergera można było wejść tylko przez łazienkę - godną luksusowego sanatorium. Pomieszczenie ciągnęło się przez całą szerokość skrzydła. Miało chłodny, szpitalny wystroj. Było stalowo-chromowe, z szarymi dywanami, szerokimi kabinami prysznicowymi, kranami z nierdzewnej stali, zwiniętymi pomarańczowymi wezami, sauna i szklanymi szafkami pełnymi masami z „Farmacia di Santa Maria Novella” we Florencji. W łazience unosiła się para po niedawnej kąpieli, zapach balsamu i olejków.

Starling dostrzegła światło pod drzwiami pokoju Masona Vergera. Zgasło, gdy jego siostra dotknęła klamki.

Kanapa i stół w kącie pokoju były mocno oświetlone z góry. Na ścianie wisiała dobrze

zachowana rycina Williama Blake'a. Przedstawiała Boga z cyrklem w reku. Udrapowano ją czernią na znak żaloby po niedawno zmarłym seniorze klanu Vergerów. Reszta pokoju spowijała ciemność.

Dochodziły z niej dźwięki pracującego rytmicznie urządzenia, regularne westchnienia.

- Dzień dobry, agentko federalna Starling - pozdrowił Clarice mechanicznie wzmocniony donosny głos, nie wymawiający szczelinowego „f”.

- Dzień dobry, panie Verger - rzuciła w ciemność, czując na czubku głowy ciepło górnych lamp. Dzień był gdzie indziej. Na pewno nie w tym pokoju.

- Proszę usiąść.

Muszę to zrobić. Teraz. Właśnie teraz.

- Panie Verger, rozmowa, która z panem przeprowadzę, ma charakter zeznania i będę musiała ją nagrać. Nie ma pan nic przeciwko temu?

- Ależ skąd. - Głos zabrzmiał między westchnieniami aparatury bez syczącego „s”. - Margot, możesz nas już zostawić.

Margot wyszła z szelestem bryczesów, nie patrząc na Starling.

- Panie Verger, chciałabym przyczepić ten mikrofon do pana... ubrania lub poduszki, jeśli nie będzie to panu przeszkadzało. A może wolałby pan, żebym zawołała pielęgniarkę.

- W żadnym wypadku - odparł Verger, polykając „w”, „m” i „p”. Czekal na następny mechaniczny wydech. - Może to pani zrobić sama, agentko Starling. Proszę tutaj podejść.

Starling nie widziała nigdzie kontaktów. Pomyślała, że jeśli wyjdzie spod świetlnego kregu, zobaczy więcej. Wkroczyła w ciemność, wyciągając przed siebie rekę i kierując się tam, skąd dochodził zapach balsamu i olejków.

Gdy włączył światło, była bliżej łózka, niż myślała.

Nie zmieniła wyrazu twarzy. Tylko reka trzymająca klips mikrofonu cofnęła się, może o centymetr.

Pierwsza myśl nie miała związku z uczuciami przepelniającymi jej serce; zrozumiała, skąd ta wadliwa wymowa. Mason nie miał warg. Druga myśl była odkryciem, że Verger nie jest niewidomy. Jego jedyne niebieskie oko spoglądało na Clarice przez coś w rodzaju monokla z rurki, która zwilżała pozbawioną powieki gałkę. Co do reszty, chirurdzy przed laty zrobili wszystko, co było w ich mocy, rozciągając na kościach przeszczepę skóry.

Mason Verger, bez nosa i warg, bez miękkiej tkanki na twarzy, był samymi zębami, jak potwór z głubin oceanu. Przyzwyczajeni do masek, doznajemy szoku z opóźnieniem. Szok przychodzi z myślą, że to ludzka twarz, za którą kryje się sprawny umysł. Zapierające dech w piersi ruchy, mowa szczeki,

poruszenie patrzącego na ciebie oka. Oka, które chłonie normalna twarz.

Mason Verger miał piękne włosy i, co najdziwniejsze, najtrudniej było na nie patrzeć. Czarne, przyproszone siwizną, ściągnięte w kucyk, który sięgałby do podłogi, gdyby pozwolił mu zwisać z poduszki. Splecione włosy leżały w wielkim węzle na klatce piersiowej nad przypominającym żółwi pancerz respiratorem. Ludzkie włosy pod upiorną ruiną twarzy, kosmyki lśniące jak rybie łuski.

Pod koldra sparalizowane od dawna ciało Masona Vergera leżało bezwładnie na podnoszonym szpitalnym łóżku.

Tuż przed nim znajdowało się urządzenie, które wyglądało jak organy czy plastikowa harmonijka. Mason zwinął język wokół jednej z rurek i dmuchnął w nią przy następnym wydechu respiratora. Łóżko odpowiedziało brzęczeniem, zrobiło niewielki zwrot w stronę Starling i podniosło wyżej zagłówek.

- Dziękuję Bogu za to, co się stało - oznajmił Verger. - To moje błogosławieństwo. Czy przyjęła pani do siebie Jezusa, panno Starling? Czy pani wierzy?

- Wychowałam się w religijnej atmosferze, panie Verger. Wierzę tak, jak mnie nauczono. Ale teraz, jeśli pan pozwoli, przyczepię mikrofon do poduszki. Nie będzie przeszkadzał? - Głos Starling brzmiał nienaturalnie: zbyt dziarsko i troskliwie.

Jej ręka przy jego głowie: zbliżenie ciała nie pomogło Clarice, podobnie jak widok pulsujących naczynek krwionośnych naciągniętych na kości czaszki. Rozszerzały się regularnie, wyglądały jak wijące się dżdżownice.

Z ulgą rozwinęła kabel i wycofała się do kanapy, magnetofonu i własnego mikrofonu.

- Mówi agentka specjalna Clarice M. Starling, numer identyfikacyjny pięć jeden cztery trzy sześć dziewięć zero. Przesłuchuje Masona R. Vergera, numer ubezpieczeniowy cztery siedem pięć dziewięć osiem dziewięć osiem dwa trzy w jego domu. Data widoczna powyżej, poświadczona. Pan Verger wie, że uzyskał zwolnienie od odpowiedzialności karnej od prokuratora Okręgu Trzydziestego Szóstego i od władz lokalnych we wspólnym memorandum, poświadczonym. A teraz, panie Verger...

- Chce pani opowiedzieć o obozie - przerwał jej z następnym wydechem. - To było cudowne doświadczenie z dzieciństwa, do którego wracam pamięcią.

- Zajmiemy się tym później, panie Verger, a tymczasem...

- Możemy zająć się tym już teraz, panno Starling. Widzi pani, wszystko się ze sobą wiąże. Tam przyszedł do mnie Jezus Chrystus. Nigdy nie opowiem

pani nic równie ważnego. - Poczekał na westchnienie maszyny. - To był obóz z okazji Bożego Narodzenia, za który zapłacił mój ojciec. Zapłacił za wszystko, za wszystkich stu dwudziestu pięciu uczestników obozu nad jeziorem Michigan. Niektórzy z tych nieszczęsników zrobiliby wszystko za tabliczkę czekolady. Może wykorzystywałem ten fakt, może traktowałem ich okrutnie, jeśli nie chcieli

robic za slodycze tego, czego od nich zadalem. Niczego sie nie wypieram, bo teraz jest juz dobrze.

- Panie Verger, zajmijmy sie moze...

Nie sluchal jej, czekal tylko na kolejny oddech.

- Mam immunitet, panno Starling, i teraz jest juz dobrze. Dostalem immunitet od Jezusa, dostalem immunitet od prokuratora stanowego, mam immunitet od prokuratora okregowego z Owings Mills, alleluja. Jestem wolny, panno Starling, i teraz jest juz dobrze. Oddalem sie Jemu i jest juz dobrze. Syn Bozy, na obozie nazywalismy go w skrocie „Synem”. Nikt nie jest silniejszy od Syna. Syn brzmial bardziej wspolczesnie. Sluzylem mu w Afryce, alleluja, sluzylem mu w Chicago, niech bedzie pochwalone imie Jego, sluze Jemu teraz i On podniesie mnie z tego lozka, ukarze moich wrogow, sprowadzi ich przed moje oblicze i uslysze lament ich kobiet, i teraz jest juz dobrze. - Zakrzetusil sie slina i zamikl. Ciemne naczynka krwionosne na twarzy pulsowaly szybko.

Starling wstala, zeby zawolac pielegniarza, lecz glos Vergera zatrzymal ja, zanim doszla do drzwi.

- Nic mi nie jest, teraz jest juz dobrze. Moze lepsze bedzie konkretne pytanie.

- Panie Verger, czy spotkal pan doktora Lectera, zanim sad skierowal pana do niego na terapie? Czy utrzymywal pan z nim stosunki towarzyskie?

- Nie.

- Obydwaj byliscie czlonkami zarzadu filharmonii w Baltimore.

- Moja rodzina zasiadala w zarzadzie, bo dofinansowujemy filharmonie, ale na glosowania wysylalem prawnikow.

- Nie zeznawal pan podczas procesu doktora Lectera. - Clarice uczyla sie odpowiednio dawkowac pytania, zeby starczylo mu tchu na odpowiedz.

- Podobno mieli na niego tyle, ze mogli go skazac szesc czy dziewiec razy. Tymczasem on schowal glowe w piasek, zaslaniajac sie choroba psychiczna.

- To sad uznal, ze jest niepoczytalny. Doktor Lecter niczym sie nie zaslania.

- Czy, pani zdaniem, ta roznica jest warta podkreslenia? - zapytal Mason.

Ta odpowiedz pozwolila po raz pierwszy poznac jego mysli, sprawny, gleboki umysl, tak rozny od frazesow, ktorych uzywal w rozmowie.

Wielka murena przyzwyczaila sie juz do swiatla i wyplynela spomiedzy kamieni na dnie akwarium, rozpoczynajac swoj niezmordowany taniec niczym falujaca brazowa wstega ozdobiona nieregularnymi kremowymi plamkami.

Starling dostrzegala katem oka jej ruchy.

- *Muraena kidako* - wyjasnil Mason. - Jeszcze wiekszy okaz znajduje sie w Tokio. Ta jest druga co do wielkosci. Powszechnie nazywana jest Okrutna Murena. Chcialaby sie pani przekonac dlaczego?

- Nie. - Starling przewrocila kartke w notesie. - A wiec w ramach zaleconej przez sad terapii zaprosil pan doktora Lectera do swojego domu.

- Juz sie nie wstydze. Powiem wszystko. Teraz jest juz dobrze. Zostalem zwolniony warunkowo po tych wszystkich rozdmuchanych oskarzeniach o molestowanie. Mialem odpracowac spolecznie piecset godzin, pracowac w schronisku dla psow i uczeszczac na terapie do doktora Lectera. Pomyslalem sobie, ze jesli wpakuje w cos doktora, nie wyda mnie, gdy bede sie spoznial albo przyjde pijany na spotkanie.

- Mieszkal pan wtedy w Owings Mills.

- Tak. Opowiedzialem doktorowi Lecterowi o wszystkim. O Afryce, o Idi Aminie, i powiedzialem, ze pokaze mu swoj sprzet.

- Panski sprzet?

- Moje zabawki. Tam w rogu stoi mala przenosna gilotyna, ktorej uzywal Idi Amin. Mozna ja przewiezc dzipem i pojechac z nia wszedzie, nawet do najbardziej odleglej wioski. Sklada sie w pietnascie minut. Skazany podnosi ostrze za pomoca kolowrotka w ciagu dziesieciu minut, troche wiecej czasu zajmuje to kobiecie lub dziecku. Juz sie tego nie wstydze, zostalem oczyszczony.

- Doktor Lecter zjawil sie w pankim domu.

Tak. Otworzylem drzwi w skorze, wie pani. Obserwowalem, jak zareaguje, ale nic nie dostrzeglem. Obawialem sie, ze moze sie mnie przestraszyc, ale nie sprawial takiego wrazenia. On mialby sie mnie przestraszyc - jak to dzisiaj smiesznie brzmi. Zaprosilem go na gore. Pokazalem mu psy, ktore wialem ze schroniska: dwa zaprzyjaznione psy. Trzymalem je razem w klatce bez jedzenia, pojac tylko duza iloscia swiezej wody. Ciekaw bylem, co sie w koncu stanie.

Pokazalem mu moja szubieniczke - ciagnal dalej. - Wie pani, autoerotyczne duszenie. Czlowiek wiesz sie, ale nie naprawde, i jest mu przyjemnie, gdy jednoczesnie... wie pani, o co chodzi.

- Tak.

- On nie wiedzial. Zapytal mnie, jak to dziala, a ja na to, ze dziwny z niego psychiatra, skoro nie wie, a on na to - nigdy nie zapomne jego usmiechu - „Prosze mi zademonstrowac”. Pomyslalem sobie: „Mam cie!”

- I zademonstrowal mu pan.

- Nie wstydze sie tego. Uczymy sie na naszych bledach. Jestem oczyszczony.

- Proszę mówić dalej, panie Verger.

- No więc stanąłem przed wielkim lustrem, założyłem sobie petle, trzymając w jednym ręku sznur, a druga ręka onanizowała mnie. Cały czas obserwowałem, jak reaguje, ale niczego po sobie nie pokazywał. Zwykle potrafię czytać

w ludzkich twarzach. Siedział w fotelu w kącie pokoju. Założył nogę na nogę, palce splecił na kolanie. Nagle wstał, sięgnął do kieszeni marynarki, elegancki, zupełnie jak James Mason sięgający po zapalniczkę. „Masz ochotę na amylowego poppera?” - zapytał. Rany! - pomyślałem. Czestuje mnie, więc będzie musiał częstować już zawsze, żeby nie stracić licencji. Rzecz dostępna tylko na receptę. Jeśli czytała pani raport, to wie pani, że amylowy popper jest dużo silniejszy od azotynu amylu.

- Fencyklidyna, jakies inne metamfetaminy i trochę kwasu - powiedziała Starling.

- Rewelacja! Podszedł do lustra, w którym się przeglądałem, kopnął je i podniósł kawałek tafli. Odlatywałem. Podszedł do mnie, podał mi kawałek szkła, spojrzał mi w oczy i zapytał, czy nie zechciałbym zedrzyć sobie skóry z twarzy. Wypuścił psy. Nakarmiłem je własną twarzą. Mówią, że musiało to trwać bardzo długo. Nie pamiętam. Doktor Lecter złamał mi kark za pomocą petli. Odzyskali nos, gdy zrobili psom płukanie żołądków, ale transplant się nie przyjął.

Układanie papierów na stole zajęło Starling więcej czasu, niż było to konieczne.

- Panie Verger, pańska rodzina wyznaczyła nagrodę po ucieczce doktora Lectera z Memphis.

- Tak, milion dolarów. Jeden milion. Ogłosiliśmy to na całym świecie.

- Zapropował pan też zapłatę za wszelkie istotne dla sprawy informacje, nie tylko takie, które doprowadza do zatrzymania poszukiwanego. Miał pan dzielić się tymi informacjami z nami. Zawsze pan to robił?

- Niezupełnie, ale też nie było się czym dzielić.

- Skąd pan wie? Zbadał pan na własną rękę niektóre tropy?

- Na tyle, żeby się przekonać, że są nic niewarte. Właśnie, dlaczego mielibyśmy się dzielić? Wy nigdy nam nic nie mówicie. Mielismy jeden sygnał z Krety, ale fałszywy, i jeden z Urugwaju, którego nie mogliśmy potwierdzić. Chce, żeby pani zrozumiała. Nie chodzi mi o zemstę, panno Starling. Przebaczyłem doktorowi Lecterowi, tak jak Jezus przebaczył rzymskim żołnierzom.

- Panie Verger, zasugerował pan wcześniej, że teraz ma pan coś dla nas.

- Proszę zajrzeć do szuflady pod stołem.

Starling wyjęła z torebki białe bawełniane rękawiczki i założyła je. W szufladzie leżała duża szara koperta. Była sztywna i ciężka. Clarice wyciągnęła z niej zdjęcie rentgenowskie i podniosła wysoko do silnego górnego światła. Przedstawiało lewą rękę, która prawdopodobnie uległa kontuzji.



Cztery palce, nie licząc kciuka.

- Proszę spojrzeć na środkowe, wie pani, o czym mówię?

- Tak.

- Niech pani policzy kciuki.

Piec.

- Razem z kciukiem ten ktoś miał sześć palców u lewej ręki. Tak jak doktor Lecter.

- Jak doktor Lecter.

Róg zdjęcia, gdzie powinny znajdować się dane, został odcięty.

- Skąd jest to zdjęcie, panie Verger?

- Z Rio de Janeiro. Żeby dowiedzieć się więcej, muszę zapłacić. I to dużo. Może pani potwierdzić, że to doktor Lecter? Powinienem wiedzieć, jeśli mam zapłacić.

- Spróbuj, panie Verger. Zrobimy wszystko, co w naszej mocy. Ma pan kopertę, w której przysłało zdjęcie?

- Margot trzyma ją w plastikowej torbie, da ją pani. A teraz proszę mi wybaczyć, panno Starling, ale czuję się trochę zmęczony i muszę skorzystać z opieki.

- Odezwe się, panie Verger.

Niedługo po wyjściu Starling Mason Verger zatrąbił w ostatnią piszczalkę w rzedzie.

- Cordell? - przywołał z dziecięcego pokoju pielęgniarza, który przeczytał mu coś z folderu z napisem: WYDZIAŁ OPIEKI NAD DZIEĆMI, BALTIMORE.

- Franklin, tak? Przyslij do mnie Franklina - zezwolił Mason, wyłączając światło.

Chłopczyk stał samotnie w kregu mocnego, padającego z góry światła, wpatrując się w nieprzenikniętą ciemność.

- Masz na imię Franklin - odezwał się donośny głos.

- Franklin - potwierdził chłopczyk.

- Gdzie mieszkasz, Franklin?

- Z mamą, Shirley i Stringbeanem.

- Stringbean jest z wami cały czas?

- Raz jest, raz go nie ma.
- Powiedziales: „Raz jest, raz go nie ma”?
- No.
- „Mama” nie jest twoja prawdziwa mama. Wiesz o tym?
- To przyszywana mama.
- Nie jest twoja pierwsza przyszywana mama, prawda?
- Tak.
- Podoba ci sie u nich, Franklin? Chlopczyk ozywil sie.
- Mamy Kiciusia. Mama piecze ciasto w piecyku.
- Od jak dawna mieszkasz z mama?
- Nie wiem.
- Obchodziles tam urodziny?
- Kiedys tak. Shirley zrobila koktajl.
- Lubisz koktajle?
- Truskawkowe.
- Kochasz mame i Shirley?
- Kocham. Kiciusia tez.
- Chcesz tam mieszkac? Czujesz sie bezpiecznie, kiedy kladziesz sie spac?
- Aha. Spie w pokoju z Shirley. Shirley jest duza.
- Franklin, nie mozesz juz mieszkac z mama, Shirley i kiciusiem. Musisz ich opuscic.
- Kto mi kaze?
- Wladze. Mama stracila prace i nie moze sie juz toba opiekowac. Policja znalazla papierosa z marihuana w waszym domu. Od dzis nie mozesz sie juz widywac z mama. Ani z Shirley. Ani z kiciusiem.
- Nie.

- A może oni już ciebie nie chcą, Franklin. Czy coś z tobą nie tak? Masz jakąś bliznę, coś brzydkiego? Myślisz, że masz zbyt ciemną skórę, żeby cię pokochali?

Franklin podciągnął bluzkę i spojrzał na swój mały brązowy brzusek. Krecił głową. Plakał.

- Wiesz, co się stanie z kiciusiem? Jak się nazywa kicius?

- Kicius, to jego imię.

- Wiesz, co się stanie z Kiciusiem? Policjanci zabiorą go do schroniska i weterynarz zrobi mu zastrzyk. Robiono ci kiedyś zastrzyk? Pielęgniarka robiła ci kiedyś zastrzyk? Błyszcząca igła? Zrobią Kiciusiowi zastrzyk. Bardzo się przestraszy na widok igły. Wbijają mu ją, Kicius będzie cierpiał i umrze.

Franklin chwycił rękaw bluzki i przytknął go do twarzy. Zaczął ssac kciuk. Nie robił tego od roku, odkąd mama mu zabroniła.

- Podejdz tu - zaszalał głos z ciemności. - Podejdz tu, to powiem ci, jak możesz uratować Kiciusia. Chcesz, żeby zrobili Kiciusiowi zastrzyk, Franklin? Nie? Więc podejdz tutaj.

Franklin z kapiącymi z oczu łzami i z kciukiem w buzi powoli wszedł w ciemność. Gdy znalazł się w odległości dwóch metrów od łózka, Mason dmuchnął w harmonijkę i zapaliło się światło.

Wrodzona odwaga lub chęć uratowania Kiciusia, a może nieszczęsna świadomość, że nie ma już dokąd uciec, sprawiła, że Franklin ani drgnął. Nie rzucił się do ucieczki. Stał w miejscu, patrząc w twarz Masona.

Mason zmarszczyłby brwi, gdyby je miał. Nie na taką reakcję czekał.

- Możesz uratować Kiciusia, jeśli sam podasz mu trótkę na szczury - powiedział. Nie wymówił wybuchowego „p”, ale Franklin i tak zrozumiał. Wyjął kciuk z buzi.

- Jesteś kupa - powiedział Franklin. - I jesteś brzydki. - Odwrócił się i przez pomieszczenie ze zwiniętymi wezami wymaszerował do pokoju z zabawkami.

Mason obserwował go na monitorze.

Pielęgniarka udawał, że czyta „Vogue”, ale też uważnie przyglądał się chłopczykowi.

Franklin nie zwracał już uwagi na zabawki. Usiadł pod wielką żyrafą, twarzą do ściany. To wszystko, co mógł zrobić, żeby nie ssac kciuka.

Cordell przyglądał mu się uważnie. Gdy zobaczył, że plecy dziecka drżą, podszedł do niego i delikatnie wytarł mu łzy sterylnymi wacikami. Wrzucił mokre waciki do szklanki Masona, która chłodziła się w lodowce obok soku pomarańczowego i coli.

## ROZDZIAŁ 10

Nielatwo było znaleźć informacje medyczne o doktorze Hannibalu Lecterze. Kiedy pomyśli się, jak bardzo gardził służbą zdrowia i większością jej pracowników, nie dziwi fakt, że nigdy nie miał osobistego lekarza.

Stanowy Szpital dla Psychiczenie Chorych Przestępców, gdzie wieziono doktora Lectera aż do czasu niefortunnego przeniesienia go do Memphis, został zlikwidowany. Opuszczony budynek czekał na rozbiórkę.

Policja stanu Tennessee, która opiekowała się doktorem Lecterem przed jego ucieczką, zaprzeczała, jakoby w jej posiadaniu znajdowały się jakiegokolwiek dokumenty medyczne związane z nim. Niezwykcy funkcjonariusze, którzy sprowadzili go z Baltimore do Memphis, poświadczyli podpisami odbiór więźnia, ale nie dokumentów.

Starling spędziła cały dzień przy telefonie i komputerze. Przeszukała kartoteki w Quantico i budynku J. Edgara Hoovera. Przez cały ranek miotła się po zakurzonej, cuchnącej i zagrożonej magazynie dowodów rzeczowych w policji w Baltimore. Spędziła szalone popołudnie, przeglądając nieskatalogowany Zespół Hannibala Lectera w Bibliotece Prawniczej Fitzhugh, gdzie czas stoi w miejscu, a bibliotekarki wiecznie szukają kluczy.

Zdobyla tylko jedną kartkę papieru: dowód pobieżnego badania lekarskiego, któremu poddano doktora Lectera zaraz po aresztowaniu przez policję stanu Maryland. Nie dołączono historii medycznej pacjenta.

Inelle Corey przetrwała agonie Stanowego Szpitala dla Psychiczenie Chorych Przestępców w Baltimore i podjęła atrakcyjniejszą pracę w Centrum Zdrowia w Marylandzie. Nie chciała rozmawiać ze Starling w swoim biurze. Spotkały się w kawiarni na parterze.

Starling lubiła przychodzić na spotkania przed czasem i obserwować miejsce z pewnej odległości. Inelle Corey zjawiała się punktualnie co do minuty. Mogła mieć około trzydziestu pięciu lat. Była ciężka i blada, bez makijazu i biżuterii. Włosy sięgały jej niemal do pasa -nie zmieniła fryzury od czasów liceum. Na nogach nosiła białe sandały i elastyczne obcisłe rajstopy.

Starling wzięła kilka torebek cukru ze stoiska z przyprawami i obserwowała Corey, która usadowiła się w uzgodnionym miejscu.

Mozna upierać się przy opinii, że wszyscy protestanci wyglądają jednakowo, ale nie jest ona prawdziwa. Mieszkańcy Karaibów potrafią określić, z jakiej wyspy pochodzi dana osoba. Wychowanej przez luteran Starling wystarczył jeden rzut oka, żeby ustalić: „Kościół Chrystusowy, być może sekta nazarencyków”.

Zdjęła biżuterię: prosta bransoletka i złoty kolczyk ze zdrowego ucha i włożyła ją do torby.

Zegarek był plastikowy - w porządku. Nie mogła już nic zmienić w swoim wyglądzie.

- Inelle Corey? Napije się pani kawy? - Starling przyniosła dwa kubki.

- Moje imię wymawia się „Ajnelle” - poprawiła ją Corey. - Nie pijam kawy.

- A więc wypije dwie, życzy pani sobie coś innego? Nazywam się Clarice Starling.

- Nic nie chce. Może mi pani pokazać jakiś identyfikator ze zdjęciem?

- Naturalnie. Pani Corey, mogę zwracać się do pani po imieniu? Kobieta wzruszyła ramionami.

- Inelle, potrzebuje pomocy w sprawie, z którą nie jest pani osobiście związana. Chce tylko, żeby pomogła mi pani odnaleźć pewne dokumenty ze Stanowego Szpitala w Baltimore.

Inelle Corey cyzelowała słowa z przesadną precyzją, żeby podkreślić swoje czyste sumienie. Albo irytację.

- Już to przerabiałam z komisją stanową, gdy zamykano szpital, panno...

- Starling.

- Panno Starling. Przekona się pani, że ani jeden pacjent nie opuścił tego szpitala bez teczek. Przekona się pani, że ani jednateczka nie opuściła tego szpitala bez akceptacji kierownika. Jeśli chodzi o zmarłych, Departament Zdrowia nie potrzebował ich teczek, Urząd Statystyczny też nie potrzebował ich teczek i z tego, co wiem, pozostały one w Stanowym Szpitalu w Baltimore po moim odejściu, a odeszłam jako jedna z ostatnich. Zbiegowie trafiali na policję i do biura szeryfa.

- Zbiegowie?

- Teczki tych, którzy uciekli. Niektórzy pacjenci dawali nogę.

- Czyteczka doktora Hannibala Lectera byłaby zaliczona do zbiegowych? Myśli pani, że jego dokumenty mogły trafić na policję?

- On nie był zbiegiem. Nie został zaliczony do naszych zbiegów. Gdy uciekł, nie był pod naszą opieką. Kiedyś zeszłam na dół, żeby popatrzeć na doktora Lectera, pokazałam go mojej siostrze, gdy przyszła tam z chłopcami.

Czuje niesmak, kiedy wracam do tego dnia pamięcia. Namówił jednego z pacjentów, żeby opryskał nas - zniżyła głos - nasieniem. Wie pani, o czym mówię?

- Owszem, słyszałam już ten wyraz - odparła Starling. - A nie był to przypadkiem pan Miggs? Miał celne oko.

- Wolalam o tym zapomnieć. Ale panią pamiętam. Przyjechała pani do szpitala i rozmawiała z Fredem, to znaczy z doktorem Chiltonem, a potem zeszła pani do podziemia do doktora Lectera,

prawda?

- Tak.

Doktor Frederick Chilton był dyrektorem Stanowego Szpitala dla Psychiczenie Chorych Przystępców w Baltimore. Zaginal na urlopie po ucieczce doktora Lectera.

- Wie pani, że Fred zniknal?

- Tak, slyszalam.

W oczach Inelle zablly szybko lzy.

- Byl moim narzeczonym - wyznala. - Przepadl jak kamien, a pozniej zamkneli szpital. Czulam sie, jakby caly swiat przewrocil sie do gory nogami. Gdyby nie kosciol, nie wiem, co bym zrobila.

- Przykro mi - rzekla Starling. - Teraz ma pani dobra prace.

- Ale nie mam Freda. To byl wspanialy czlowiek. Kochalismy sie, takiej milosci nie spotyka sie czesto. W szkole zostal Chlopakiem Roku.

- Cos takiego. Inelle, prosze mi powiedziec, czy Fred trzymal dokumenty w swoim biurze, a moze przechowywano je w recepcji, gdzie pani...

- Trzymal je w segregatorach w swoim biurze, ale potem zrobilo sie ich tyle, ze sprowadzilismy do recepcji nowe wielkie segregatory. Byly oczywiscie zawsze zamkniete na klucz. Kiedy sie wyprowadzilismy, tymczasowo przeniesiono tam klinike dla narkomanow i wiele rzeczy poprzestawiano.

- Czy kiedykolwiek miala pani w reku teczke doktora Lectera?

- No pewnie.

- Pamietaj pani, czy byly w niej jakies zdjecia rentgenowskie? Trzymano je razem z dokumentami medycznymi czy osobno?

- Razem. W teczkach. Byly wieksze od teczek i nie miescily sie. Mielismy na miejscu aparat rentgenowski, ale nie zatrudnialismy na pelen etat radiologa, ktory zalozylyby osobne teczki. Naprawde nie pamietam, czy w teczce doktora Lectera bylo zdjecie. Byl w niej elektrokardiogram, ktory Fred pokazywal ludziom. Doktor Lecter - nie chce nawet nazywac go doktorem - byl podlaczony do elektrokardiografu, gdy dobral sie do tej biedaczki. Widzi pani, az sie nie chce wierzyc, ze gdy ja zaatakowal, nawet nie przyspieszyl mu puls. Kiedy wszyscy sanitariusze rzucili sie na niego, zeby go z niej sciagnac, mial tylko wybity bark. Pewnie zrobili mu wtedy przeswietlenie. Gdybym ja miala cos do powiedzenia, nie skonczylyby tylko z wybitym barkiem.

- Jesli przypomni sobie pani, gdzie moze byc ta teczka, prosze do mnie zadzwonic.

- Przeprowadze globalne poszukiwania, jak to nazywamy - Inelle Corey delektowała się tym określeniem - ale nie sadzę, żeby cokolwiek znalazła. Dużo papierów zostało zagubionych. Nie przez nas, przez ludzi z kliniki.

Kubki miały grube ścianki, po których skapywała kawa. Starling patrzyła, jak Inelle Corey odchodzi ciężkim krokiem. Wypiła połowę kubka kawy z serwetką wetkniętą pod brodę.

Dochodziła już do siebie. Wiedziała, że jest czymś zmęczona. Może bezbarwnością albo, jeszcze gorzej, nijakością. Obojętnością wobec rzeczy, które cieszą oko. Może tęskniła za stylem. Nawet styl gwiazdy porno jest lepszy niż jego brak: to przecież powszechnie zrozumiałe.

Zastanawiała się, czy przypadkiem nie kieruje nią snobizm, ale stwierdziła ze smutkiem, że nie ma się na co snobować. Rozmyślając o stylu, przypomniała sobie Evelde. Jej na pewno nie brakowało stylu. Pod wpływem tej myśli Clarice znowu rozpaczliwie zapragnęła odejść od siebie.

## ROZDZIAŁ 11

Wrocila więc do miejsca, gdzie wszystko się zaczęło, do Stanowego Szpitala dla Psychiatrycznie Chorych Przestępców w Baltimore, obecnie zlikwidowanego. Stary brązowy budynek, w którym tyle wycierpiano, został zamknięty na łańcuch i zaryglowany. Upstrzony graffiti czekał tylko na kule do burzenia ścian.

Szpital podupadał przez kilka lat przed zniknięciem jego dyrektora, doktora Fredericka Chiltona. Późniejsze rewelacje o marnotrawstwie i złym kierownictwie, a także oplakany stan budynku sprawiły, że władze odcięły fundusze. Niektórych pacjentów przeniesiono do innych instytucji państwowych, niektórzy zmarli, a kilku wypuszczono na wolność w ramach chybionego programu rehabilitacyjnego. Blakali więc jak nafaszerowane chloropromazyną zjawy po ulicach Baltimore. Niejeden zamarł na śmierć.

Czekając przed frontonem starego budynku, Clarice uświadomiła sobie, że wcześniej wyczerpała wszelkie inne możliwości, żeby tylko nie wracać w to miejsce.

Stroż spóźnił się czterdzieści pięć minut. Był krepym starszym mężczyzną w stukających butach na grubych podeszwach i czupryną w stylu wschodnioeuropejskim, która zapewne strzygł w domu. Miał swiszczący oddech, gdy prowadził ją do bocznych drzwi, kilka stopni w dół od strony chodnika. Zamek wybili wandalami, drzwi zabezpieczono łańcuchem i dwiema kłódkami. Ogniwa łańcucha spowijały puszyste pajęczyny. Trawa wyrastająca z pęknięć w stopniach laskotała Clarice w kostki, gdy stroż dłużył kluczami w kłódkach. Było

po późnym popołudniu, słońce chowało się za chmurami. W słabym świetle przedmioty nie rzucały cienia.

- Tęego budynku ja nie znam dobrze, sprawdzam tylko alarm przeciwpożarowy - wyjaśnił stroż.

- Czy wie pan o jakichs dokumentach, które są tutaj przechowywane? Jakies segregatory, teczki? Wzruszył ramionami.

- Po szpitalu kilka miesięcy mieliśmy tu kliniki dla narkomanów. Wszystko przenieśli do piwnic, łóżki, posciele i nie wiem co tam jeszcze. Przy mojej astmie lepiej tam nie schodzić: straszna pleśń, straszna. Materace na łóżki były zaplesniałe, na łóżki pleśń. Nie mogę tam dychać. Schody wysokie na moje nogi. Pokazałbym pani, ale...

Starling ucieszyłaby się z towarzystwa nawet tego połgłowka, ale musiałaby dostosować się do jego tempa.

- Nie, może pan wracać. Gdzie jest pańska stróżówka?

- Na tej ulicy, gdzie kiedyś było biuro wydziału komunikacji.

- Jeśli nie wróce za godzinę... Zerknął na zegarek.

- Ale ja kończę za pół godziny. Dość tego, do jasnej cholery.

- Proszę mnie uważnie posłuchać, ma pan poczekać na klucze w swojej stróżówce. Jeśli nie wróce za godzinę, proszę zadzwonić pod ten numer i powiedzieć im, dokąd poszłam. Jeśli wróce i nie znajdzie pana, rano osobiście złożę na pana skargę u pańskiego szefa. Poza tym... poza tym nasie na pana kontrole z urzędu skarbowego oraz z Biura Imigracji i... i Naturalizacji. Czy to jasne? Czekałam na odpowiedź.

- Pewno, że bym na panią poczekał. I po co takie rzeczy wygadywać?

- Bardzo panu dziękuję - rzuciła Starling.

Stróż położył wielkie dłonie na poręczy, żeby wspinać się po schodach na chodnik. Starling słyszała jego niepewny krok cichnący w oddali. Pchnęła drzwi i znalazła się na podestach schodów. Wysokie zakratowane okna na klatce schodowej przepuszczały anemiczne światło. Wahala się, czy zamknąć za sobą drzwi. W końcu postanowiła związać lancuch w węzeł po wewnętrznej stronie, żeby mogła je otworzyć, gdyby zgubiła klucz.

Podczas poprzednich wypraw do szpitala na rozmowy z doktorem Hannibalem Lecterem wchodziła głównym wejściem. Teraz zajęło jej chwilę, żeby ustalić, gdzie jest.

Weszła schodami na główny poziom. Mleczne szyby w oknach jeszcze bardziej tłumily słabnące światło. Panował półmrok. W blasku swojej ciężkiej latarki znalazła kontakt i włączyła górne światło: trzy świetlówki wciąż jarzyły się w zdewastowanej instalacji świetlnej. Koncówki odłączonych kabli telefonicznych leżały na biurku w recepcji.

Budynek nosił ślady obecności wandalów ze sprejem. Ściany w recepcji zdobił dwupółmetrowy penis z jądrami oraz napis: FARON LALA DAJE MI CIPALA.

Drzwi do gabinetu dyrektora były otwarte. Starling stanęła w progu. Tutaj przyszła z



pierwszym zleceniem z FBI, gdy była jeszcze studentka i wierzyła we wszystko. Była przekonana, że jeśli ktoś potrafi wykonać zadanie, jeśli sobie poradzi, zostanie zaakceptowany bez względu na rasę, wiarę, kolor skóry, pochodzenie i płeć. Z tego wszystkiego zostało jej tylko jedno: wierzyła, że sobie poradzi.

W tym pokoju dyrektor szpitala wyciągnął pulchną dłoń i powitał ją. To tu zdradzał tajemnice i prowadził podsłuch. Wierzył, że dorównuje sprytem Hannibalowi Lecterowi. Podjął decyzje, które pozwoliły doktorowi uciec i zostawić po sobie scenę krwawej zbrodni.

Biurowo Chiltona nadal stało w gabinecie, ale zniknęło krzesło. Było małe i łatwe do wyniesienia. Szuflady opróżniono, jeśli nie liczyć rozgniecionej pastylki alka-seltzer. Obok stały dwie biurowe szafki. Była agentka do spraw technicznych Starling poradziła sobie z prostymi zamkami w niespełną minutę. W dolnej szufladzie obok odświeżacza do ust, tubki żelu do włosów, grzebienia i kilku prezerwatyw znalazła tylko wyschniętą kanapkę w papierowej torbie i kilka formularzy z kliniki dla narkomanów.

Pomyślała o przypominającej lochy piwnicy szpitala, gdzie przez osiem lat przetrzymywano doktora Lectera. Nie chciała tam schodzić. Mogła wezwać przez komórkę jednostkę policji, żeby jej towarzyszyła. Mogła poprosić o przysłanie jeszcze jednego agenta FBI z biura terenowego w Baltimore. Było późne szare popołudnie i nawet teraz nie ominęłyby godziny szczytu na ulicach Waszyngtonu. Z czasem ruch nasilił się jeszcze bardziej.

Nie zważając na kurz, oparła się o biurko Chiltona. Usiłowała podjąć decyzje. Czy naprawdę sądzi, że w piwnicy są jakieś dokumenty? Może ciągnie ją tam, gdzie po raz pierwszy zobaczyła Hannibala Lectera?

Praca w służbach policyjnych nauczyła ją czegoś o sobie. Lekcja brzmiała następująco: nie szukam wrażeń i byłabym szczęśliwa, gdybym już nigdy nie poczuła strachu. Ale w piwnicy rzeczywiście mogły być jakieś papiery. Wystarczy pięć minut, żeby się o tym przekonać.

Zapamiętała głośny trzask zamykanych drzwi, gdy weszła tam po raz pierwszy przed kilku laty. Na wypadek, gdyby i tym razem zatrzasnęły się za nią, zadzwoniła do biura terenowego w Baltimore. Poinformowała, gdzie jest i umówiła się, że zadzwoni jeszcze raz za godzinę i potwierdzi, że wyszła.

Na klatce schodowej, przez którą Chilton sprowadził ją wtedy na dół, światła działały. Tutaj dyrektor wyjaśniał jej regulamin stosowany przy kontaktach z Hannibalem Lecterem, a tu, pod tą lampą, zatrzymał się, żeby pokazać fotografie pielęgniarki, której język zjadł doktor Lecter, gdy próbowała go zbadać. Gdy odciągano go od niej, wybito mu bark, więc gdzieś musiało być zdjęcie rentgenowskie.

Na schodach ciąg powietrza musiał szyć Clarice, jak gdyby gdzieś było otwarte okno.

Na podescie leżało pudełko po hamburgerze z McDonalda i rozrzucone serwetki. Brudny kubek, z którego kiedyś jedzono fasole. Odpadki. W kacie gowna i serwetki. Światło kończyło się na samym dole przed wielkimi stalowymi drzwiami, prowadzącymi do oddziału dla najbardziej niebezpiecznych pacjentów. Teraz były otwarte, zaczepione haczykiem o ścianę. Latarka Starling

miała piec baterii i rzuciła mocny, szeroki snop światła.

Clarice oświetliła długi korytarz dawnego oddziału pod intensywnym nadzorem. Dostrzegła coś dużego na samym końcu. Poczuli się dziwnie na widok otwartych drzwi do celi. Na podłodze wałowały się opakowania po chlebie i papierowe kubki. Na dawnym biurku sanitariusza leżała poczerwiała puszcza po wodzie sodowej, służąca za fajkę do kokainy.

Starling wcisnęła kontakty. Nic. Wyjęła komórkę. Czerwona dioda świeciła w mroku intensywnie. W podziemiach telefon był bezużyteczny, ale i tak zaczęła do niego głośno mówić.

- Barry, podjedź ciężarówką do bocznego wejścia. Weź reflektor. Będziesz potrzebował pomocy, żeby to wszystko stąd wyciągnąć... tak, schodź zaraz. Zawołała w ciemność:

- Uwaga! Jestem agentka FBI. Jeśli mieszkacie tu nielegalnie, możecie wyjść. Nie aresztuję was. Nie interesuję mnie. Jeśli tu wrócicie, gdy skończę, nic mnie to nie obchodzi. Jeśli będziecie próbowali mi przeszkadzać, poprzestrzelam wam tyłki. Dziękuję za uwagę.

Jej głos odbijał się echem na korytarzu, gdzie tyłu ludzi zachrypiło od krzyków i zgubiło zęby od wgrzyzania się w kraty.

Przypomniała sobie krzepiącą obecność postawnego sanitariusza, Barneya, gdy przyszła na rozmowę z doktorem Lecterem. Zagadkowa uprzejmość, z jaką Barney i doktor Lecter odnosili się do siebie. Teraz Barneya nie było. W jej głowie kolatał się wierszyk z czasów szkolnych. Wreszcie przypomniała sobie:

Dudni w pamięci echo kroków

Wzdłuż korytarza, którym nie przeszliśmy

Do furty, której nie otworzyliśmy nigdy

Do różanego ogrodu.\*

Różany ogród, dobre sobie. Różany ogród, jak cholera, pomyślała.

Ostatnie artykuły prasowe zniechęcały ją do broni i do samej siebie. Teraz jednak odkryła, że przyjemnie jest poczuć bron pod ręką, szczególnie, gdy się człowiek boi. Przycisnęła coltka kaliber 45 do nogi i ruszyła korytarzem, oświetlając sobie drogę latarką. Trudno obserwować obie flanki jednocześnie, a na pewno nie wolno zostawić nikogo za sobą. Gdzieś kapłała woda.

W celach leżały zdemontowane łóżka. Gdzieś tam materace. Na środku korytarza stała woda. Starling jak zwykle uważała na buty i przechodziła z jednej strony wąskiej kaluzji na drugą, posuwając się do przodu. Przypomniała sobie ostrzeżenie Barneya sprzed lat, kiedy wszystkie cele były zajęte. Idąc, niech pani trzyma się środka korytarza.

Zobaczyła szafki z dokumentacją. Stały na samym końcu korytarza. W świetle latarki miały matowy oliwkowy kolor.

W tej celi siedział Miggs - obok niego najmniej lubila przechodzic. Miggs, który szeptał jej sprośności, i opryskał sperma. Miggs, którego doktor Lecter usmiercił, nakłaniając go do polknięcia jego niewyparzonego języka. A gdy Miggs zmarł, jego miejsce zajął Sammie. Doktor Lecter zachęcał go do pisania poezji i osiągał zdumiewające rezultaty. Nawet teraz słyszała wycie Sammiego, który recytował wiersz:

CHCE PUDZ DO JEZUSA

CHCE PUDZ Z CHRYSYSEM

MOGE PUDZ Z JEZUSEM JESLI BEDE CZYNIDZ

PRAWDZIWE DOBRO

Wciąż jeszcze miała gdzieś na kawałku tektury ten mozolnie nabazgrany tekst.

Teraz cęła była zawałona materacami i powiazana w bele białozna poscielowa.

I wreszcie - cęła doktora Lectera.

Na srodku wciąż stal przysrubowany do podłogi prosty stol, przy którym czytał. Z polek, na których trzymał ksiazki, zniknely deski, ale stelaze wciąż odstawaly od scian.

Wiedziala, ze powinna zainteresowac sie kartoteka, ale nie mogla odwrocic wzroku od cęli. Tutaj miało miejsce najbardziej niesamowite spotkanie w jej zyciu. Tutaj odczula zdziwienie, zaciekawienie, szok.

Tutaj uslyszala o sobie slowa tak prawdziwe, ze jej serce dudnilo jak dzwon.

Chciala wejsc do srodka. Cęła kusila ja, tak jak czasem kusi barierka balkonu, z ktorego mozna wyskoczyc, lub polyskujace tory, gdy slychac nadjezdzejacy pociag.

Starling poswiecila latarka dookola, spojrzala na rzad szafek, omiotla swiatlem pobliskie cęle.

Ciekawosc pchnela ja za prog. Stanela na srodku cęli, gdzie doktor Hannibal Lecter spedzil osiem lat, w miejscu, w którym kiedyś stal. Spodziewala sie, ze poczuje dreszcz, ale nie poczula. Polozyła pistolet i latarke na stole, uwazajac, zeby latarka nie stoczyla sie na ziemie. Przycisnela otwarte dlonie do blatu, czujac pod nimi tylko okruchy.

Byla rozczarowana. Cęła przypominala zrzucana skore weza, w ktorej prozno doszukiwac sie sladow dawnego wlasciciela. Clarice zrozumiala, ze smierc i niebezpieczenstwo nie musza zjawiac sie z wielka pompa. Moga przyjsc w slodkim oddechu ukochanego. Lub w sloneczne popoludnie na targu rybnym przy dzwiekach *Macareny*.

Do dzieła. Cztery siegajace jej do brody szafki mialy szerokosc okolo dwoch i pol metra. W kazdej bylo piec zabezpieczonych blokada szuflad z zamkiem w gornej szufladzie. Zadna nie byla zamknieta. Wypelnialy je dokumenty w teczkach. Stare teuczki z marmurkowego papieru z czasem

straciły sztywność, nowsze wykonano z szarej tektury. Dokumenty dotyczące zdrowia dawno zmarłych ludzi sięgały nawet roku tysiąc dziewięćset trzydziestego drugiego, kiedy szpital powstał. Teczki ułożono z grubsza w porządku alfabetycznym, choć niektóre dokumenty piętrzyły się w długich szufladach za teczkami. Starling wertowała je szybko. Trzymała latarkę pod pachą, palcami wolnej ręki przebierała w teczkach. Zalowała, że nie wzięła malej latarki, która można trzymać w zębach. Gdy tylko zorientowała się trochę w rozmieszczeniu teczek, opuszczała całe szuflady. Przez litere J, nieliczne tecki na K, dotarła do L i prosiła: Lecter, Hannibal.

Wyciągnęła długą tekturową teczkę. Natychmiast zbadła palcami, czy jest w niej sztywne zdjęcie rentgenowskie. Położyła teczkę na innych i otworzyła. Znalazła historie chorób świętej pamięci I. J. Miggsa. Do diabła. Miggs przesładował ją nawet po śmierci. Odłożyła teczkę na szafkę i rzuciła się na szufladę z literą M. W odpowiednim miejscu według porządku alfabetycznego znalazła tekturową teczkę Miggsa. Była pusta. Błąd przy katalogowaniu? Ktoś przypadkowo włożył dokumenty Miggsa doeczki Hannibala Lectera? Przejrzała wszystkie tecki na litere M, szukała w luznych dokumentach. Wrocila do litery J. Czula, że narasta w niej złość. Coraz bardziej przeszkadzał jej zapach tego miejsca. Stroż miał rację: trudno tu oddychać. Doszła do połowy litery J, gdy zdała sobie sprawę, że smród nagle się nasilił.

Usłyszała za sobą plusk wody. Odwróciła się szybko z przygotowaną do ciosu latarką, wsuwając rękę pod kurtkę, żeby sięgnąć po broń. W słupie światła, że spuchnięta stopa w wodzie, stał wysoki mężczyzna w lachmanach. Wyciągnął jedną rękę, w drugiej trzymał kawałek potłuczonego talerza. Obydwie stopy owinięte miał szmatami.

- Cześć - powiedział. Język pokrywały mu pleśniawki. Z odległości półtora metra Starling czuła smród bijący z jego ust. Pod kurtką przesunęła rękę z pistoletu na sprej z gazem.

- Cześć - odpowiedziała. - Mogłbyś stanąć pod kratą?

Mężczyzna nie poruszył się.

- Jesteś Jezusem? - zapytał.

- Nie - odparła Starling. - Nie jestem Jezusem. - Ten głos. Pamiętała skądś ten głos.

- Jesteś Jezusem! - Przez twarz przebiegł mu dreszcz. Ten głos. Skup się.

- Witaj, Sammie - powiedziała. - Jak leci? Właśnie o tobie myślałam.

Kim jest Sammie? Przywołane szybko informacje nie pojawiły się w idealnym porządku. Położył głowę swojej matki na tacy, gdy wierni śpiewali „Oddaj Panu, co masz najlepszego”. Według niego, oddał najwspanialszą rzecz, jaką posiadał. Kościół baptystów w jakiejś dziurze. Jest rozgniewany, powiedział doktor Lecter, ponieważ Jezus tak bardzo się spóźnia.

- Jesteś Jezusem? - powtórzył, tym razem płaczliwym głosem. Siegnął do kieszeni i wyciągnął niedopalek papierosa: dobry, bo niemal pięciocentymetrowy. Położył go na kawałku talerza i wyciągnął do niej jako podarunek.

- Sammie, przykro mi, ale nie jestem. Ja...

Sammie wsciekł się, rozczarowany, że Starling nie jest Jezusem. Jego głos dudnił w mokrym korytarzu:

CHCE PUDZ Z JEZUSEM

CHCE PUDZ Z CHRYSTUSEM!

Podniósł kawałek talerza o ostrej krawędzi jak motyke i zrobił krok w kierunku Starling. Stał już obiema nogami w wodzie, z wykrzywioną twarzą. Wolna ręka chwycił dzielące ich powietrze.

Poczuła na plecach opór szafek.

-MOZESZ POJSC Z JEZUSEM... JESLI BEDZIESZ CZYNIC PRAWDZIWE DOBRO - wyrecytowała, czysto i wysoko, jakby wołała do niego z daleka.

- Aha - odpowiedział spokojnie Sammie i zatrzymał się. Starling poszperała w torebce i znalazła coś słodkiego.

- Sammie, mam dla ciebie snickersa. Lubisz snickersy?

Nie odpowiedział.

Położyła batonik na tekturowej teczce i wyciągnęła w jego stronę, tak jak on wcześniej podsunął jej kawałek talerza.

Ugryzł, nie zrywając opakowania, wypluł papier i jednym kesem odgryzł poł batona.

- Sammie, czy był tu ktoś jeszcze?

Nie odpowiedział, odłożył reszkę batona na talerz i zniknął za stertą materacy w swojej starej celi.

- Co to u diabła? - odezwał się kobiecy głos. - Dziękuję, Sammie.

- Kto tam jest?! - zawołała Starling.

- Nie twój zasrany interes.

- Mieszka tu pani z Sammiem?

- Skąd! Przyszłam tylko na randkę. Mogłabys zostawić nas samych?

- Tak. Ale proszę odpowiedzieć na moje pytanie. Od jak dawna pani tu mieszka?

- Od dwóch tygodni.

- Czy był tu ktoś jeszcze?

- Jacyś gówniarze. Sammie ich przegonił.

- Sammie pania chroni?

- Podskocz mi, to się przekonasz. Mogę chodzić. Zdobynam jedzenie, a on ma bezpieczną metę, gdzie można się najść. Wielu ludzi żyje w ten sposób.

- Czy ktoś z was jest objęty jakimś programem rehabilitacyjnym? Chcecie się załapać? Mogę wam pomóc.

- On ma to już za sobą. Wysyłają człowieka na wolność, wcale to gówno, a on wraca do tego, co zna. Czego szukasz? Czego chcesz?

- Szukam dokumentów.

- Skoro nie ma ich tutaj, to ktoś je ukradł, chyba nietrudno się domyślić?

- Sammie?! - zawiolała Starling. - Sammie?! Sammie nie odpowiadał.

- Spi - wyjaśniła jego przyjaciółka.

- Jeśli zostawie wam trochę pieniędzy, kupi pani jedzenie? - zapytała Starling.

- Nie, gorzale. Jedzenie można znaleźć. A gorzale nie. Jak będziesz wychodzić, nie zahaczaj tylko o klamkę.

- Położę pieniądze na biurku - powiedziała Starling. Chciała stąd uciec. Przypomniała sobie, jak po zakończeniu rozmowy z doktorem Lecterem, zebrawszy wszystkie siły, szła korytarzem w stronę stanowiska Barneya, które wtedy wydawało jej się oazą spokoju.

Przy świetle padającym z klatki schodowej wyluskala z portmonetki dwadzieścia dolarów. Położyła banknot na porzucanym, porzuconym biurku Barneya, przyciskając go pustą butelką po winie. Rozwinęła plastikową torbę, włożyła do niej teczkę Lectera z dokumentami Miggsa i pustą teczkę Miggsa.

- Do widzenia. Cześć, Sammie! - zawiolała do człowieka, który wędrował po świecie i wracał do znanego mu piekła. Chciała mu powiedzieć, że Jezus na pewno do niego przyjdzie, ale zabrzmiałoby to głupio.

Ruszyła w górę po schodach w stronę światła, żeby podjąć na nowo swoją wędrowkę po świecie.

## ROZDZIAŁ 12

Jesli po drodze do piekla istnieja przystanki, musza przypominać wjazd dla karetka pogotowia w Szpitalu Miejskim Maryland-Misericordia. Nad zamierajacym zawodzeniem syren, zawodzeniem umierajacych, stukotem ociekajacych krwia lozek na kolkach, krzykami i jekami, slupy pary ze studzienek kanalizacyjnych, zabarwione na czerwono wielkim neonem IZBA PRZYJEC, wznosza sie w ciemnosciach jak mojzeszowy gorejacy krzak i zamieniaja sie za dnia w chmury.

Barney przeszedl przez kleby pary, narzucil kurtke na potezne ramiona. Pokonal dlugimi krokami popekana jezdnie. Ruszyl z pochylona, krotko ostrzyzona glowa na wschod, w strone switu.

Wyszedl z pracy dwadziescia piec minut po czasie: policja przywiozla pijanego alfonsa z rana postrzalowa. Facet lubil bic sie z kobietami, wiec siostra przelozona poprosila Barneya, zeby zostal. Zawsze prosili go, zeby zostal, gdy przyjmowano klopotliwego pacjenta.

Clarice Starling obserwowala Barneya spod wielkiego kaptura kurtki. Pozwolila mu przejsc polowe drogi do nastepnej przecznicy po drugiej stronie jezdni, zarzucila sobie na ramie worek i ruszyla za nim. Gdy minal parking i przystanek autobusowy, odetchnela z ulga. Latwiej sledzic Barneya na piechote. Nie byla pewna, gdzie mieszka, a musiala sie tego dowiedziec przed spotkaniem.

Dzielnica za szpitalem byla spokojna okolica, zamieszкана przez robotnikow wielu narodowosci. Miejsmem, gdzie zaklada sie blokade na kierownice, ale nie trzeba na noc wyjmowac z samochodu akumulatora, a dzieci moga sie bawic na dworze.

Minawszy trzy przecznice, Barney przepuscil na pasach furgonetke i skrecil na polnoc w ulice waskich domkow. Niektore mialy marmurowe schody i schludne ogrodki. Kilka nienaruszonych witryn bylo zamazanych biala farba. Zaczeto otwierac sklepy, pare osob wyszlo juz na ulice. Zaparkowane na noc ciezarowki zaslanialy Starling widok przez pol minuty, ale szla dalej, zanim zdala sobie sprawe, ze Barney sie zatrzymal. Gdy znow go zobaczyla, byla po drugiej stronie ulicy dokladnie na tej samej wysokosci, co on. Moze tez ja widzial.

Stal z rekami w kieszeniach kurtki z pochylona glowa. Spogladal spode lba na cos, co ruszalo sie posrodku ulicy. Na jezdni lezala martwa golebica, a podmuch przejezdzajacych samochodow podnosil jedno z jej skrzydel. Drugi ptak deptal wokol ciala, jego mala glowka podskakiwala z kazdym krokiem rozowych lapek. Krazyl i krazyl, wyrazajac cichym gruchaniem zal. Przejechalo kilka samochodow i furgonetek, lecz ptak odlatywal w ostatniej chwili, unikajac smierci pod kolami.

Moze Barney widzial ja, nie byla pewna. Musiala isc dalej, w przeciwnym razie zwrocilaby na siebie uwage. Spojrzala przez ramie. Barney kucal na jezdni, zatrzymujac samochody podniesiona reka.

Skrecila w boczna ulice, zdjela kaptur, wyciagnela sweter, baseballowke i sportowa torbe. Przebrala sie szybko, wpychajac do torby kurtke i worek. Natknela sie na idace do domu sprzataczki i wrocila na ulice Barneya.

Trzymal martwa golebice w zlaczonych dloniach. Jej towarzysz wzbil sie w powietrze i

zasiadł na przewodach nad ulicą, przyglądając się mu z góry. Barney położył martwego ptaka na trawniku i wygładził mu piora. Odwrócił swoją szeroką twarz w stronę siedzącego wysoko gołębia i coś powiedział. Gdy ruszył dalej, ptak sfrunął na trawę i znow zaczął krzącać wokół ciała partnerki. Barney nie odwrócił się. Sto metrów dalej wszedł na schody domu, gdzie mieszkał, i sięgnął po klucze. Starling podbiegła do niego, zanim zdążył otworzyć drzwi.

- Cześć, Barney.

Niespiesznie odwrócił się i spojrzał w dół. Zapomniała, że miał nienaturalnie szeroki rozstaw oczu. Dostrzegła w nich inteligencję i poczuła, że ją rozpoznał.

Zdjęła czapkę, rozpuszczając włosy.

- Jestem Clarice Starling. Pamiętasz mnie? Jestem...

- Z FBI - dokonał za nią beznamietnie. Złożyła dłonie i kiwnęła głową.

- No tak, jestem z FBI. Barney, muszę z tobą porozmawiać. Nieoficjalnie. Chciałabym zapytać o parę rzeczy.

Barney zszedł po schodach. Stał na chodniku przed Starling. Wciąż musiała patrzeć do góry. Ale była kobieta i nie czuła się zagrożona jego wzrostem.

- Napisze pani w raporcie, że nie odczytano mi moich praw, agentko Starling? - Miał wysoki i chrapliwy głos jak Johnny Weissmuller w roli Tarzana.

- Oczywiście. Nie pouczyłam cie o przysługujących ci prawach.

- Może pani powiedzieć to do torby? Starling otworzyła torbę.

- Nie pouczyłam Barneya o przysługujących mu prawach, nie jest świadomy swych praw - oznajmiła głośno, jakby zwracała się do schowanego tam krasnoludka.

- Na tej ulicy można dostać niezłą kawę - powiedział Barney. - Ile nakryć głowy ma pani w tej torbie? - zapytał, gdy ruszyli.

- Trzy.

Minęła ich furgonetka z inwalidzką naklejką. Starling czuła na sobie spojrzenia pasażerów; niepełnosprawni często odznaczają się bardzo dużym popędem seksualnym; zresztą mają do tego całkowite prawo. Młodzi mężczyźni z samochodu na następnym skrzyżowaniu też się jej przyglądali, ale nie zaczęli jej, bo była z Barneyem. Natychmiast zauważyłaby, gdyby coś wystawało z okna samochodu. Zachowywała czujność, wiedziała, że Cripowie chcą się na niej zemścić. Na zwykłe pozeranie jej wzrokiem nie mogła nic poradzić.

Gdy przekroczyli prog kawiarni, furgonetka wjechała tyłem w boczną uliczkę, zawróciła i odjechała tą samą drogą.



Musieli poczekać, aż zwolni się miejsce w zatłoczonym lokalu. Kelner wydzierł się w hindi do kucharza, który obracał mięso długimi szczypcami. Był najwyraźniej zmieszany.

- Zjedźmy coś - zaproponowała Starling, gdy wreszcie usiedli. - Stawia FBI. Jak leci, Barney?
- Na robotę nie narzekam.
- Co robisz?
- Jestem sanitariuszem w szpitalu.
- Myślałam, że do tej pory zostałeś już dyplomowanym pielęgniarzem, może nawet po studiach.

Barney wzruszył ramionami i sięgnął po śmietankę. Zerknął na Starling.

- Wyrzuca panią za śmierć Evelydy?
- Zobaczymy. Znales ją?

- Widziałem ją tylko raz, gdy przywiezli do nas jej męża, Dijona. Nie żył już, wykrwawił się na śmierć, zanim wpakowali go do karetki. Gdy znalazł się u nas, był już zimny. Nie chciała go puścić, wszczęła bójkę z pielęgniarkami. Musiałem... no wie pani... Piękna kobieta, i silna. Nie przywiezli jej po...

- Nie, stwierdzono zgon na miejscu.
- Tak też myślałem.
- Barney, gdy przekazałeś doktora Lectera policjantom z Tennessee...
- Nie odnosili się do niego uprzejmie.
- Gdy...
- A teraz wszyscy nie żyją.

- Tak. Jego strażnikom udało się pozostać przy życiu tylko przez trzy dni. A ty opiekowałeś się doktorem Lecterem osiem lat.

- Właściwie szesc. Gdy przyszedłem do pracy, już tam był.

- Jak ci się to udało? Wybacz mi to pytanie, ale jak udało ci się przy nim przetrwać? Przecież nie chodziło tylko o uprzejmość.

Barney spojrzał na swoje odbicie w lyzce. Najpierw po stronie wypukłej, a później wklęsłej. Zamyslił się.

- Doktor Lecter miał nienaganne maniery. To nie było wymuszone, tylko swobodne i

eleganckie. Uczestniczyłem w kilku kursach korespondencyjnych, a on dzielił się ze mną swoją wiedzą. To nie znaczy, że nie zabiłby mnie, gdyby nadarzyła się taka okazja: jedna cecha charakteru nie wyklucza innych. Mogą współistnieć ze sobą, te dobre i te potworne. Sokrates wyraził to dużo lepiej. Na oddziale pod intensywnym nadzorem nigdy nie można o tym zapominać. Wtedy nic ci się nie stanie. Doktor Lecter być może załował, że odkrył przede mną Sokratesa.

Dla Barneya spotkanie z Sokratesem było świeżym i bardzo głębokim doświadczeniem.

- Nigdy nie rozmawialiśmy o środkach bezpieczeństwa - mówił. - Nawet gdy musiałem pozbawić go korespondencji lub ograniczyć swobodę ruchów, nie odbierał tego osobście.

- Często rozmawiałeś z doktorem Lecterem?

- Bywało, że nie odzywał się całymi miesiącami, ale czasem rozmawialiśmy późno w nocy, gdy ustawały krzyki. Te korespondencyjne kursy nic mi nie dawały, a on odkrywał przede mną nowe światy, dosłownie: Swetoniusz, Gibbon. - Barney podniósł kubek. Na zewnętrznej stronie dłoni miał pomarańczową smugę betadyny na świeżym zadrapaniu.

- Czy po jego ucieczce nie bałeś się, że cię zabije? Barney pokręcił wielką głową.

- Kiedyś mi powiedział, że gdy tylko jest to „wykonalne”, woli zjadać „pasące się ludzkie bydło”, jak ich nazywał. Barney rozesmiał się. Rzadki widok. Miał małe dziecięce zęby, a jego rozbawienie wydawało się nieco absurdalne, jak radość dziecka, gdy wypluwa papkę na twarz strojącego miny wujka.

Starling pomyślała, że Barney chyba zbyt długo przebywał wśród wariatów.

- Nigdy nie czuła pani... strachu po tym, jak zwił? Nie bała się pani, że pania zabije? - zapytał Barney.

- Nie.

- Dlaczego?

- Powiedział, że tego nie zrobi. Odpowiedz, o dziwo, usatysfakcjonowała oboje. Kelner przyniósł zamówione jajka. Byli głodni i przez kilka minut jedli z apetytem. W końcu Clarice odezwała się:

- Kiedy przeniesiono doktora Lectera do Memphis, poprosiłam cię o rysunki z jego celi i dałeś mi je. Co się stało z resztą - z książkami, papierami? W szpitalu nie ma nawet jego dokumentów medycznych.

- Było wielkie zamieszanie. - Barney przerwał, uderzając lekko solniczką o dłoń. - No wie pani, w szpitalu. Zostałem zwolniony, mnóstwo ludzi straciło pracę, rzeczy po prostu się pogubiły. Nie wiadomo...

Co mówisz? - przerwała Starling. - Nie rozumiałam, co mówiłeś, taki tu hałas. Wczoraj

dowiedziałam się, że podpisany przez doktora Lectera i uzupełniony jego notatkami egzemplarz *Grand dictionnaire de cuisine* Aleksandra Dumasa ojca pojawił się na aukcji w Nowym Jorku dwa lata temu. Został sprzedany prywatnemu kolekcjonerowi za tysiąc sześćset dolarów. Osoba, która sprzedawała książkę, podpisała się na potwierdzeniu własności imieniem i nazwiskiem „Cary Phlox”. Znasz go, Barney? Mam nadzieję, że tak, bo ten sam charakter pisma znalazłam na twoim podaniu o przyjęcie do pracy w szpitalu, choć jest podpisane „Barney”. Tym samym charakterem wypełniono też twój formularz podatkowy. Przepraszam, ale nie usłyszałam, co mówiłeś na początku. Możesz powtórzyć? Ile dostałeś za książkę, Barney?

- Około tysiąca - odparł Barney, patrząc jej prosto w oczy. Starling pokiwała głową.

- Rachunek wystawiono na tysiąc pięćset. Ile zgarnąłeś za wywiad dla „National Tattler” po ucieczce doktora Lectera?

- Piętnaście tysięcy.

- Niezłe. Sam wymyśliłeś wszystkie te brednie, które im naopowiadałeś?

- Wiedziałem, że doktor Lecter nie miałby nic przeciwko temu. Byłby zawiedziony, gdybym nie zrobił ich w konia.

- Zanim przyjeżdżałeś do szpitala w Baltimore, doktor Lecter zaatakował pielęgniarkę, prawda?

- Tak.

- Miał wybitą bark.

- Tak słyszałem.

- Zrobiono przeswietlenie?

- Prawdopodobnie.

- Potrzebuje tego zdjęcia.

- Hmm.

- Dowiedziałam się, że autografy Lectera dzieli się na dwie grupy: te sprzed uwiezienia, gdy używał pióra, i z okresu szpitalnego, gdy pisał kredką lub flamastrem. Kredka warta jest więcej, ale pewnie już o tym wiesz. Sądze, Barney, że trzymasz wszystko u siebie i zamierzasz stopniowo wyprzedawać te skarby kolekcjonerom.

Barney wzruszył ramionami. Nic nie powiedział.

- Pewnie czekasz, aż znów zrobi się o nim głośno. Czego ty chcesz, człowieku?

- Chcę przed śmiercią obejrzeć wszystkie obrazy Vermeera.

- Chyba nie musze pytac, kto zainteresowal cie sztuka Vermeera?

- Rozmawialismy w nocy o wielu sprawach.

- Czy mowil o tym, co chcialby robic, gdyby byl na wolnosci?

- Nie. Doktora Lectera nie interesuja hipotezy. Nie wierzy w sylogizm, synteze czy jakiegokolwiek prawdy absolutne.

- A w co wierzy?

- W chaos. W to nie trzeba nawet wierzyc. Nie ma nic bardziej oczywistego.

Starling przez chwile miala ochote przyznac mu racje.

- Mowisz tak, jakbys tez w to wierzyl. A przeciez twoja praca w szpitalu w Baltimore polegała na utrzymywaniu porzadku. Byles glownym sanitariuszem. Obydwoje zajmujemy sie porzadkiem. Doktor Lecter nigdy ci sie nie wymkнал.

- Juz to wyjasnilem.

- Bo zawsze miales sie na bacznosci. Chociaz w pewnym sensie zbratales...

- Nie zbratalem sie z nim - przerwal jej Barney. - On nie jest niczym bratem. Dyskutowalismy tylko o interesujacych nas obu sprawach. Przynajmniej dla mnie byly interesujace, gdy sie o nich dowiadywalem.

- Czy doktor Lecter zartowal kiedys z ciebie, bo czegos nie wiedziales?

- Nie. A z pani?

- Nie - odparla Starling, nie chcąc robic przykrosci Barneyowi. Po raz pierwszy zdala sobie sprawe z komplementu zawartego w drwinach monstrum. - A moglby, gdyby chcial. Wiesz, gdzie sa jego rzeczy, Barney?

-A jest jakas nagroda za ich odnalezienie?

Starling zlozyla na pol papierowa serwetka i wsunela ja pod talerz.

- Nie oskarze cie o utrudnianie sledztwa. Kiedy zalozyles podsłuch pod moim biurkiem w szpitalu, tez ci darowalam.

- Podsłuch kazal mi zalozyc niezyjacy doktor Chilton.

- Niezyjacy? Skad wiesz, ze nie zyje?

- W kazdym razie od siedmiu lat nie daje znaku zycia. Niech mi bedzie wolno spytac, agentko

specjalna Starling: co pania zadowolili?

- Chce obejrzeć zdjęcie rentgenowskie. Chce je dostać. Jeśli są jakieś książki doktora Lectera, też chciałabym je zobaczyć.

- Powiedzmy, że przypadkiem poznajdujemy te rzeczy. Co się z nimi później stanie?

- Prawde mówiąc, nie wiem. Prokurator może przejąć wszystkie materiały jako dowody w sprawie jego ucieczki. Później spleśnieją w magazynie. Ale jeśli wszystko przejrze i nie znajdzie w książkach nic godnego uwagi, będziesz mógł oświadczyć, że dostałeś je od doktora Lectera.

Pozostaje *in absentia* od siedmiu lat, więc możesz rościć sobie do nich prawo. Nie wiadomo nic o jego krewnych. Wystąpię z rekomendacją, aby przekazano ci wszelkie nieprzydatne dla sprawy materiały. Ale moja rekomendacja nie jest dzisiaj wiele warta. Prawdopodobnie nie odzyskasz zdjęcia rentgenowskiego i dokumentów medycznych. Nie należały do doktora i nie mogł ich oddać.

- A jeśli powiem, że nic nie mam?

- Będzie bardzo trudno sprzedać materiały związane z Lecterem. Opublikujemy komunikat, w którym zapowiemy, że ich kupowanie i posiadanie jest karalne. Zdobęde pozwolenie na przeszukanie twojego mieszkania.

- Teraz już pani wie, gdzie zamieszkiwani. Czy raczej zamieszkuje. Jak się mówi?

- Nie jestem pewna. Słuchaj, jeśli przekazesz mi te materiały, nic ci nie grozi za ich przywłaszczenie, biorąc pod uwagę to, co by się z nimi stało, gdybyś je zostawił w szpitalu. Co do obietnicy, że dostaniesz je z powrotem, nie mogę niczego zagwarantować. - Poszperała w torebce, żeby zrobić przerwę. - Wiesz co, Barney, coś mi się zdaje, że nie możesz zdobyć dyplomu pielęgniarskiego, bo masz na sumieniu jakiś wyrok. Tak? A teraz posłuchaj: nigdy ci nic nie zarzuciłam, nigdy cie nie sprawdzałam.

- Nie, obejrzała pani tylko moją deklarację podatkową i podanie o przyjęcie do pracy. Jestem wzruszony.

- Jeśli masz spaprane akta, może prokurator okregowy szepnie słowko w sądzie, w którym zapadł wyrok, i załatwi ci wykreslenie. Barney wytarł talerz kawałkiem chleba.

- Skonczyła pani? Przejdźmy się.

- Spotkałam Sammiego, pamiętasz go? Zajął cele po Miggsie. Wciąż tam mieszka - powiedziała Starling, gdy wyszli na ulicę.

- Myślałem, że budynek przeznaczony jest do rozbiórki.

- Bo jest.

- Sammie jest objęty programem?

- Nie, po prostu mieszka tam w ciemnościach.

- Myślę, że powinniście coś z nim zrobić. Ma zaawansowaną cukrzyce, umrze. Wie pani, dlaczego doktor Lecter namówił Miggsa do polknięcia języka?

- Chyba tak.

- Zabił go, bo pani obraził. Właśnie za to. Niech się pani nie przejmuję, i tak mógł go zabić.

Mineli dom Barneya i doszli do trawnika, gdzie gołąb wciąż krążył wokół ciała martwej towarzyszy. Barney przegonił go, machając rękami.

- Już mi stąd - powiedział do ptaka. - Wystarczy tej złości. W końcu dopadnie cie kot. - Gołąb odfrunął, łopocząc skrzydłami. Nie widzieli, gdzie przysiadł.

Barney podniósł martwego ptaka. Ciało o gładkich piórach z łatwością wśliznęło się do kieszeni.

- Doktor Lecter mówił kiedyś trochę o pani. Może ostatnim razem, kiedy z nim rozmawiałem, a w każdym razie podczas jednej z ostatnich rozmów. Ptak mi o tym przypomniał. Chce pani wiedzieć, co mi powiedział?

- Pewnie. - Starling czuła, że śniadanie podchodzi jej do gardła. Postanowiła, że zachowa zimną krew.

- Rozmawialiśmy o dziedzicznych zachowaniach. Za przykład podał genetykę gołębi, zwanych fajferami. Wzbijają się wysoko w powietrze i, obracając do tyłu, spadają w dół. Są płytkie i głębokie fajfery. Nie można łączyć w parę dwóch głębokich fajferów, bo młode będą obracać się dotąd, aż spadną na ziemię i zginą. Powiedział wtedy: „Agentka Starling jest głębokim fajferem, Barney. Miejmy nadzieję, że jej rodzice nimi nie byli”.

Starling zamysliła się.

- Co zrobisz z ptakiem? - zapytała.

- Oskubie i zjem - odparł Barney - Chodźmy do domu, dam pani zdjęcie i książki.

Gdy Starling wracała obciążona do samochodu, usłyszała z drzew pojedynczy, żalostny krzyk gołębia.

## ROZDZIAŁ 13

Starania jednego szaleńca i obsesja drugiego sprawiły, że marzenia Starling wreszcie się spełniły: zajęła gabinet w podziemnej siedzibie Sekcji Behawioralnej. Załowała tylko, że dostała się

tam w taki sposób.

Nigdy nie przypuszczała, że po ukończeniu Akademii FBI trafi prosto do elitarnej sekcji, ale wierzyła, że w końcu zasłuży sobie na to miejsce. Wiedziała, że najpierw spędzi kilka lat w biurach terenowych.

Była świetną agentką, ale niezbyt dobrym dyplomata. Dopiero po drugim czasie zrozumiała, że nigdy nie dostanie się do Sekcji Behawioralnej, pomimo przychylności jej szefa, Jacka Crawforda.

Głównej przyczyny długo nie dostrzegała, dopóki niczym astronom, który odkrywa czarne dziury, obserwując jej wpływ na otaczające ją ciała niebieskie, nie zwróciła uwagi na zastępcę inspektora generalnego, Paula Krendlera. Nigdy jej nie wybaczył, że przed nim odnalazła wielokrotnego mordercę Jame'a Gumba i nie mógł znieść popularności, jaką przyniosły jej media.

Pewnego słotnego zimowego wieczora Krendler zadzwonił do niej do domu. Odebrała telefon w szlafroku, kapciach i z recznikiem na głowie. Nigdy nie zapomni dokładnej daty; był to pierwszy tydzień operacji „Pustynna Burza”. Starling, wówczas agentka do spraw technicznych, wróciła właśnie z Nowego Jorku, gdzie wymieniła radio w limuzynie należącej do misji Narodów Zjednoczonych w Iraku. Nowe radio nie różniło się od starego, ale przekazywało rozmowy z samochodu do satelity Departamentu Obrony. Było to ryzykowne zadanie, które wykonała w prywatnym garażu, i wciąż miała napięte nerwy.

Przez sekunde pomyślała, że Krendler zadzwonił z gratulacjami.

Pamiętała stukot deszczu o szyby i głos Krendlera w telefonie; mówił z lekkim pijackim belkotem, w tle słychać było odgłosy baru.

Zaproponował jej randkę. Powiedział, że przyjedzie po nią za pół godziny. Był zony.

- Nie sadzę, panie Krendler - powiedziała i nacisnęła nagrywanie na automatycznej sekretarce. Urządzenie wydało z siebie obowiązkowy krótki sygnał. Połączenie zostało przerwane.

Od tamtej pory minęło kilka lat. Teraz, w biurze, do którego tak bardzo chciała się dostać, Starling napisała na kawałku papieru swoje nazwisko i przykleiła je taśmą do drzwi. Niezadowolona zerwała kartkę i wrzuciła ją do kosza.

W swojej przegrodce na korespondencje znalazła tylko jeden list. Kwestionariusz przysłany przez wydawcę *Księgi rekordów Guinnessa*. Zamierzali umieścić ją jako policjantkę, która zabiła najwięcej przestępców w historii Stanów Zjednoczonych. Słowo „przestępcy” zostało użyte celowo, wyjaśniał wydawca, ponieważ wszystkie te osoby były wielokrotnie karane, a nad trzema z nich wisiały nie zrealizowane nakazy aresztowania. Kwestionariusz powędrował do kosza w ślad za kartką z nazwiskiem.

Mijała druga godzina dziubania w klawiaturę komputera i zdmuchiwanie z twarzy spadających kosmyków włosów, gdy do drzwi zapukał Crawford i wsunął głowę do środka.

- Dzwonił Brian z laboratorium. Zdjęcie rentgenowskie od Masona i zdjęcie od Barneya pasują

do siebie. To ramie Lectera. Teraz dokonają porównania

cyfrowego, ale Brian mówi, że nie ma wątpliwości. Prześlemy wszystko do bazy danych VICAP.

- A co z Masonem Vergerem?

- Powiemy mu prawdę. Oboje wiemy, że nie podzieli się z nami niczym, chyba że ma coś, z czym nie da sobie rady. Ale jeśli na tym etapie zaczniemy weszyc w Brazylii, trop wyparuje.

- Powiedział pan, że bym dała spokój, i tak zrobiłam.

- Ale nad czymś tu pracowałam.

- Zdjęcie rentgenowskie Masona przyszło DHL-em. Na podstawie kodu kreskowego i informacji na kopercie ustalono, skąd nadano przesyłkę. Z hotelu „Ibarra” w Rio. - Uniesiona dłoń dała Crawfordowi znak, żeby jej nie przerywał. - Wszystkiego dowiedziałam się ze źródeł nowojorskich. W Brazylii o nic nie pytano. Mason prowadzi rozmowy telefoniczne, bardzo często za pośrednictwem łącznicy firmy bukmacherskiej w Las Vegas. Można sobie wyobrazić, jaką masę telefonów odbierają.

- Mam pytać, skąd o tym wiesz?

- Czysta sprawa - odparła Starling. - No, dość czysta. Nic nie zostawiłam w jego domu. Mam tylko kod do sprawdzania jego rachunków telefonicznych. Wszyscy agenci do spraw technicznych je mają. Powiedzmy, że utrudnia dochodzenie. Przy jego wpływach długo musielibyśmy błagać o nakaz. Co można by mu zrobić, nawet gdyby został skazany? Ale korzysta z firmy bukmacherskiej.

- Rozumiem - powiedział Crawford. - Komisja Zakładów Sportowych w Nevadzie mogłaby założyć podsłuch albo wyciągnąć od nich, dokąd dzwoni. Clarice kiwnęła głową.

- Zostawiłam Masona w spokoju, tak jak pan kazał.

- Widzę właśnie. Możesz powiedzieć Masonowi, że uzyskam pomoc Interpolu i ambasady. Przekaz mu, że musimy wysłać tam ludzi i rozpocząć przygotowania do ekstradycji. Lecter pewnie popełnił jakieś zbrodnie w Ameryce Południowej, więc musimy się pośpieszyć, zanim policja w Rio zacznie szperac w aktach z nagłówkiem „Kanibalizm”. Jeśli on w ogóle jest w Ameryce Południowej. Starling, robi ci się niedobrze na myśl o kolejnej rozmowie z Masonem?

- Muszę się nastawić psychicznie. Dzięki panu przebrnęłam przez oględziny tej topielicy z Wirginii Zachodniej. Co ja mówię: „topielicy”. To była konkretna osoba, nazywała się Fredericka Bimmel. Tak, Mason przyprawia mnie o mdłości. Ale ostatnio na wiele rzeczy tak reaguje, Jack.

Zamilkła zdziwiona własnymi słowami. Nigdy nie zwracała się do szefa po imieniu, nigdy to jej nawet nie przyszło do głowy. Zmieszła się. Przyjrzała się uważnie jego twarzy - słynnej nieprzeniknionej twarzy Jacka Crawforda.



Kiwnal głowa z wymuszonym smutnym uśmiechem.

- Ja też, Starling. Chcesz kilka tabletek peptobismolu przed rozmowa z Masonem?

Mason nawet nie raczył odebrać telefonu Starling. Sekretarka podziękowała jej za wiadomość i obiecała, że oddzwoni. Ale nie oddzwonił. Do Masona nowiny docierały szybciej niż do Starling. Wiadomość o zidentyfikowaniu zdjęcia rentgenowskiego nie była już dla niego niczym nowym.

## ROZDZIAŁ 14

Mason o wiele wcześniej niż Starling wiedział, że zdjęcie rentgenowskie przedstawia ramię doktora Lectera. Miał lepsze niż ona źródła w Departamencie Sprawiedliwości.

E-mail z tą informacją podpisany był „Token dwieście osiemdziesiąt siedem”. Tego pseudonimu używał asystent kongresmena Partona Vellmore'a z Komisji Sądowej Kongresu. Do jego biura nadszedł e-mail od samego Paula Krendlera z Departamentu Sprawiedliwości. Krendler podpisywał się „Cassius sto dziewięćdziesiąt dziewięć”.

Mason był podekscytowany. Nie sądził, by doktor Lecter przebywał w Brazylii, ale zdjęcie rentgenowskie dowodziło, że miał teraz normalną liczbę palców u lewej ręki. Informacja ta znalazła potwierdzenie w najnowszych sygnałach o miejscu pobytu doktora, które docierały z Europy. Pochodziły od włoskiej policji. Był to najwyraźniejszy trop Lectera od dłuższego czasu.

Mason nie miał zamiaru dzielić się tymi wiadomościami z FBI. Siedem lat wyteżonych wysiłków, dostęp do poufnych dokumentów federalnych, bogata korespondencja, omijanie barier granicznych i duże wydatki sprawiły, że zostawił FBI w tyle w poszukiwaniach Lectera. Dzielił się z biurem informacjami tylko wtedy, gdy miał w tym jakiś interes.

Musiał zachować pozory. Poinstruiował sekretarkę, żeby i tak wydzwaniała do Starling i dopytywała się o rozwój wypadków. Polecil jej, żeby telefonowała do Clarice co najmniej trzy razy dziennie.

Natychmiast wysłał pięć tysięcy dolarów swojemu informatorowi z Brazylii, żeby zbadał pochodzenie zdjęcia rentgenowskiego. Fundusze, które przesłał do Szwajcarii, były znacznie większe. Gotów był wysłać jeszcze więcej, jeśli otrzyma istotne informacje.

Wierzył, że jego informator z Europy odnalazł doktora Lectera, ale zawiodł się już tyle razy, że nauczył się podchodzić do kolejnych rewelacji ostrożnie. Wkrótce miały nadejść dowody. Na razie, żeby zabić czas, Mason zajął się czymś, co miało nastąpić po schwytaniu doktora. Do tego też przygotowywał się od dawna, bo pilnie studiował cierpienie...

Wybory dokonywane przez Boga przy zadawaniu cierpienia nie są zadowalające ani zrozumiałe, chyba że niewinność Go obraża. Na pewno potrzebuje pomocy w kierowaniu ślepa furia,

ktora smaga ziemie.

Mason zrozumial swoja role w tym wszystkim w dwunastym roku paralizu, kiedy jego cialo zmarnialo pod koldra i wiedzial, ze juz nigdy sie nie podniesie. Jego kwatera w rezydencji Muskrat Farm byla gotowa i mial srodki, choc ograniczone - wtedy jeszcze byl senior rodu Vergerow, Molson.

W czasie swiat tego roku, gdy uciekl doktor Lecter, pod wplywem uczuc, ktore zwykle towarzysza Bozemu Narodzeniu, Mason pozalowal gorzko, ze nie zaaranzowal morderstwa Lectera w szpitalu psychiatrycznym. Wiedzial, ze Hannibal chodzi sobie teraz gdzie po swiecie i prawdopodobnie doskonale sie bawi.

Tymczasem on lezal podlaczony do respiratora, przykryty lekka koldra. Towarzyszaca mu siostra przestepowala z nogi na noge, zalujac, ze nie moze usiasc. Do Muskrat Farm spedzono jakies biedne dzieci, zeby spiewaly koledy. Za zgoda lekarza na krotko otwarto okna w pokoju, wpuszczajac do srodka rzeskie powietrze. Z zewnatrz dobiegly go glosy spiewajacych dzieci, ktore w zacisnietych raczkach trzymaly swiece.

W pokoju zgaszono swiatla. Na czarnym niebie nad posiadloscia zawisly gwiazdy.

Tam ci zawsze sluzily, sluzily przesliczne Anioly,

A tu sam lezysz, sam lezysz jako palec goly

Przeszywala go kpina zawarta w slowach koledy. A tu sam lezysz, sam lezysz, Masonie!

Swiateczne gwiazdy za oknem zachowywaly grobowe milczenie. Gwiazdy nie odezwaly sie, gdy zwrocil ku nim blagalne spojrzenie wylupiastego oka i dal znak palcami, ktorymi mogl poruszyc. Nie mogl sam oddychac. Gdyby dusil sie w kosmosie, ostatnia rzecz, ktora by zobaczyl, bylyby piekne, nieme gwiazdy. Dusze sie, pomyslal. Respirator nie nadawal, Mason musial czekac na oddech. Linie na monitorach w bozonarodzeniowym zielonym kolorze podskakiwaly, tworzac male choinki w czarnej lesnej nocy ekranu. Krzywa pracy serca, skurecz, rozkurcz.

Przerazona pielegniarka juz miala wzywac pomoc, siegac po adrenaline.

Kpina w slowach: „a tu sam lezysz, sam lezysz, Masonie”.

Objawienie podczas swiat Bozego Narodzenia. Zanim pielegniarka zdazyla wezwac pomoc czy siegnac po lekarstwo, pierwszy szorstki dotyk mysli o zemscie musnal jego blada, upiorna, krabowata reke i Mason zaczal sie uspokajac.

Podczas komunii w Boze Narodzenie chrzescijanie na calym swiecie wierza, ze dzieki cudowi przeistoczenia spozywaja cialo i krew Chrystusa. Mason rozpoczel przygotowania do jeszcze bardziej imponujacej ceremonii, podczas ktorej transsubstancja miala byc niepotrzebna. Zaczal czynic przygotowania do dnia, w ktorym Hannibal Lecter zostanie pozarty zywcem.

# ROZDZIAŁ 15

Mason otrzymał edukację osobliwą, lecz - jak się okazało - idealną do życia, które ojciec dla niego zaplanował, i do zadania, które go teraz czekało.

Jako dziecko uczył się w szkole z internatem, którą ojciec hojnie dofinansowywał. Dlatego przemykano oko na częste nieobecności Masona. Starszy Verger zabierał syna ze szkoły na całe tygodnie i przekazywał mu prawdziwą wiedzę, prowadząc chłopca do klatek dla zwierząt i rzeźni, które stanowiły podstawę ich fortuny.

Molson Verger był pionierem w wielu sferach związanych z hodowlą zwierząt rzeźnych, szczególnie w sferze oszczędności. Jego wczesne eksperymenty związane z tanią paszą dorównywały inwencji eksperymentom Batterhama sprzed pół wieku. Molson oszukiwał świnię karmiąc je odpadkami, dodając do karmy szczecinę, przerabiając kurcze pióra i odchody. W tym czasie uznawano to za śmiałe rozwiązania. W latach czterdziestych miał opinię szalonego wizjonera, gdy po raz pierwszy przestał poić świnie świeżą wodą, zamieniając ją na piwo ze sfermentowanego zwierzęcego moczu. To przyspieszało wzrost zwierząt. Śmiechy ucichły, gdy zaczął zarabiać krocie, a konkurenci natychmiast poszli w jego ślady.

Na tym nie kończyło się nowatorstwo Molsona Vergera w przemyśle mięsny. Z czysto ekonomicznych pobudek odważnie walczył, nie oszczędzając pieniędzy z własnej kiesy, z ustawą o humanitarnym uboju zwierząt. Udalo mu się zapobiec delegalizacji piętnowania, choć musiał sporo wydać na łapówki. Z Masonem u boku nadzorował zakrojone na szeroką skalę eksperymenty, które miały ustalić, jak długo przed ubojem można pozbawić zwierzę wody i pożywienia bez znacznej utraty wagi.

Sponsorowane przez Vergera badania genetyczne doprowadziły wreszcie do wyhodowania świetnie umięsnionego gatunku świnii belgijskiej, co nie udawało się Belgom. Molson Verger kupował zwierzęta na całym świecie i sponsorował wiele zagranicznych programów hodowlanych.

Przemysł mięsny opiera się w gruncie rzeczy na potencjale ludzkim. Nikt nie rozumiał tego lepiej niż Molson Verger. Udawało mu się zastraszać przywódców związkowych, gdy zagrożali jego zyskiem, zadając wyższych płac i lepszych warunków pracy. W tej dziedzinie przez trzydzieści lat bardzo mu się przydawały ścisłe kontakty ze światem zorganizowanej przestępczości.

Mason był wówczas bardzo podobny do ojca. Miał ciemne łśniące brwi nad bladoniebieskimi oczyma rzeźnika i niskie czoło, nad którym linia włosów opadała na lewą stronę. Molson Verger często w przypływie czułości brał głowę syna w ręce i po prostu dotykał jej, jak gdyby potwierdzał swoje ojcostwo. Tak samo dotykał świnię ryjów, oceniając na podstawie budowy kostnej strukturę genetyczną.

Mason uczył się szybko i nawet teraz, gdy nie mógł wstać z łóżka, podejmował w interesach trafne decyzje, które wprowadzali w życie jego pełnomocnicy. W głowie Masona zrodził się pomysł, żeby namówić rząd Stanów Zjednoczonych i państwa Unii Europejskiej do wyrznięcia wszystkich

swin na Haiti, powolujac sie na zagrozenie afrykanska swinska grypa. Potem udalo mu sie wepchnac rzadowi biale amerykanske swinie, ktore mialy zastapic haitanske. Nieprzystosowane do tamtejszych warunkow zwierzeta padaly jak muchy, poglowie trzeba bylo ciagle uzupelniac, dopoki Haitanczyki nie sprowadzili wytrzymalych swin z Dominikany.

Teraz Mason posiadal ogromna wiedze i doswiadczenie. Budujac narzedzia zemsty, czul sie jak Stradivari, ktory przystepuje do pracy.

Co za bogactwo wiadomosci i pomyslow gromadzilo sie w tej czasce bez twarzy! Lezac w lozku, komponujac w myslach jak gluchy Beethoven, przypominal sobie wizyty na swinskiach targach, gdzie podpatrywali konkurencje. Molson zawsze trzymal w pogotowiu srebrny nozyk, ktory zwykle wylizgiwal sie z kurtki i wbijal w kark zwierzecia. Sprawdzal w ten sposob grubosc warstwy tluszczu. Nikt nie smial mu czegokolwiek zarzucic, a on oddalal sie od przerazliwych kwikow zwierzecia, trzymajac reke w kieszeni i zaznaczajac kciukiem miejsce na ostrzu.

Mason usmiechnalby sie, gdyby mial wargi. Przypomnial sobie, jak ojciec dzgnal konkursowa swinie, ktorej wydawalo sie, ze wszyscy sa jej przyjaciolmi. Dzieciak, do ktorego zwierzecie nalezalo, rozplakal sie. Nadbiegl rozwscieczony ojciec, ale zbiry Molsona wyprowadzily go za namiot. Co za wspaniale, szczesliwe czasy.

Na swinskiach targach Mason widzial egzotyczne zwierzeta z calego swiata. Do swojego nowego przedsiwziecia sprowadzil najlepsze okazy sposrod wszystkich gatunkow, ktore wtedy poznal.

Mason rozpoczel swoj program hodowlany natychmiast po Objawieniu. Wybral niewielkie gospodarstwo Vergerow na Sardynii. Miejsce bylo odosobnione i mialo wygodne polaczenie z kontynentem.

Wierzyl - nie bez racji - ze pierwszym przystankiem doktora Lectera po ucieczce ze Stanow Zjednoczonych byla Ameryka Poludniowa. Ale zawsze przypuszczal, ze czlowiek z zamilowaniami doktora Lectera osiedli sie w Europie, wiec co roku jego ludzie obserwowali gosci na Festiwalu w Salzburgu i podczas innych imprez kulturalnych.

Oto, co wyslal swoim hodowcom na Sardynii, ktorzy przygotowywali arene smierci doktora Lectera.

Wielka swinia lesna *Hylochoerus meinertzhageni*, szesc sutfow i trzydziestci osiem chromosomow, pomyslowa w wynajdywaniu pozywienia, niewybredny wszystkozerca, tak jak czlowiek. Odmiana gorska: dwa metry dlugosci, waga okolo dwustu siedemdziesieciu pieciu kilogramow. Wielka swinia lesna nadala tonacje kompozycji Masona.

Europejski dzik, *S. scrofa scrofa*, trzydziestci szesc chromosomow w najczystszej odmianie, brak narosli na ryju, sama szczecina i wielkie ostre kry. Duze, szybkie i agresywne zwierzecie, ktore zabija zmije ostrymi racicami i zjada weza jak kabanosa. W trakcie rui lub w obronie mlodych rozjuszone zwierzecie atakuje wszystko, co uzna za zagrozenie. Lochy maja dwanasct sutfow i sa dobrymi matkami. W *S. scrofa scrofa* Mason znalazl nowy motyw kompozycji. Ryj dzika mial ukazac

konsumowanemu doktorowi Lecterowi ostatnia, piekielna wizje samego siebie.

Kupil tez swinie z wyspy Ossabaw, ze wzgledu na jej agresywnosc, i czarna swinie z Jiaxing, ze wzgledu na wysoki poziom estradiolu.

Falszywa nuta zabrzmiala, gdy wprowadzil babiruse, *Babyrousa babyrussa*, ze wschodniej Indonezji, zwana rowniez jelenioswinem z powodu wyjatkowo drugich klow. Rozmnazala sie powoli, miala tylko dwa sutki i przy wadze stu kilogramow kosztowala go zbyt duzo jak na swoje rozmiary. Czas nie zostal jednak stracony, bo rownoczesnie pojawily sie inne mlode.

Jesli chodzi o uzebiecie Mason nie mial zbyt duzego wyboru. Prawie kazdy gatunek dysponowal zebami odpowiednimi do swojego zadania. Trzy pary ostrych siekaczy, para przedluzonych klow, cztery pary zebow przedtrzonowych i trzy miazdzace pary zebow trzonowych, w gornej i dolnej szczecze - w sumie czterdzieci cztery zebny.

Kazda swinia zje martwego czlowieka, ale zeby zmusic ja do zjedzenia zywego, konieczna jest odpowiednia tresura. Sardynczycy Masona byli w stanie poradzić sobie z tym problemem.

Teraz po siedmiu latach prob i licznych miotach rezultaty byly... imponujace.

## ROZDZIAI 16

Zgromadziwszy wszystkich aktorow - oprócz doktora Lectera - w gorach Gennargentu na Sardynii, Mason zajal sie sprawa zarejestrowania smierci doktora dla potomnosci i wlasnej przyjemnosci. Juz dawno wszystko zaplanowal, teraz wystarczylo tylko dac sygnal.

Te delikatna sprawe zalatwil telefonicznie za posrednictwem laczniczki firmy bukmacherskiej w Las Vegas. Jego telefony byly ziarenkiem piasku na pustyni weekendowych polaczen.

Radiowy glos Masona, pozbawiony glosek wybuchowych i szczelinowych, powedrowal z lasow panstwowych niedaleko Zatoki Chesapeake na pustynie i z powrotem przez Atlantyk, do Rzymu.

W apartamencie na siodmym pietrze budynku na Via Archimede za hotelem o tej samej nazwie zadzwonil telefon, wydajac chrapliwy podwojny dzwiek charakterystyczny dla wloskich operatorow. W ciemnosci odezwały sie senne glosy.

- Cosa? Cosa c'e?

- Accendi la luce, idiota.

Zapalila sie nocna lampka. W lozku lezaly trzy osoby. Mlody chlopak najblizej telefonu podniosl sluchawke i podal ja tegiemu mezczyzynie w srednim wieku. Po drugiej stronie spala dwudziestokilkuletnia blondynka. Podniosla zaspana twarz do swiatla, po czym jej glowa znów

opadła na poduszkę.

-Pronto, chi? Chiparla?

- Oreste, przyjacielu. Mowi Mason.

Korpulentny mężczyzna poprawił się na łóżku i dał znak młodszemu, żeby podał mu szklanke wody mineralnej.

- Ach, Mason, przyjacielu, przepraszam, ale spałem. Która u ciebie godzina?

- Wszędzie jest późno, Oreste. Pamiętasz, co ci obiecałem i co musisz dla mnie zrobić?

- Oczywiście.

- Już pora, przyjacielu. Wiesz, czego chce. Potrzebne będą dwie kamery, dźwięk ma być lepszy niż w twoich pornosach i musisz korzystać z własnej elektryczności, więc w pobliżu planu zdjęciowego ma być generator. Chce też trochę ładnych zdjęć przyrody, które później zostaną wmontowane do filmu, i śpiew ptaków. Masz jutro sprawdzić lokalizacje i ustawić sprzęt. Zatrudniłem ochronę, więc będziesz mógł zostawić sprzęt na miejscu i wrócić do Rzymu przed rozpoczęciem zdjęć. Ale bądź przygotowany, że w każdej chwili dostaniesz wezwanie i za dwie godziny krecisz. Rozumiesz, Oreste? W Citibanku czeka na ciebie przelew, jasne?

- Mason, teraz krecę...

- Chcesz to zrobić, Oreste? Mówiłeś przecież, że masz już dość krecenia pornosów i historycznych gniotów dla RAI. Jesteś poważnie zainteresowany zrobieniem filmu kinowego?

-Tak.

- Więc wyruszasz dzisiaj. W Citibanku czeka gotówka. Chce, żebyś wyjechał.

- Dokąd?

-Na Sardynię. Polecisz do Cagliari. Ktoś tam po ciebie wyjdzie.

Potem Mason połączył się z Porto Torres na wschodnim wybrzeżu Sardynii. Rozmowa była krótka. Nie musiał dużo mówić, bo cała maszyna została już dawno przygotowana i była sprawna jak jego przenośna gilotyna. Była też praktyczniejsza, choć nie tak szybka.

# CZesc II FLORENCJA

## ROZDZIAI 17

Noc w samym sercu Florencji, efektownie oświetlone Stare Miasto. Z ciemnego *piazza* wylania się w świetle reflektorów średniowieczny w każdym calu Palazzo Vecchio z hakowatymi oknami, zebatymi blankami i dzwonnica strzelająca w czarne niebo.

Przed rozjarzona tarcza zegara nietoperze do switu uganiają się za komarami, rankiem w rozedrgane od bicia dzwonów powietrze wzbijają się jaskolki.

Rinaldo Pazzi, główny inspektor z komendy policji, w czarnym płaszczu na tle marmurowych rzeźb postaci, zastygłych w chwili gwałtu lub mordy, wyszedł na plac z zacienionej Loggia dei Lanzi. Jego blada twarz odwróciła się jak słonecznik w stronę palacowego światła. Stanął tam, gdzie spalono na stosie Savonarole, i podniósł wzrok w stronę okien, w których jego przodek spotkał się oko w oko ze śmiercią.

Właśnie z jednego z tych wysokich okien stracono nagiego Francesca de'Pazziego z pętlą na szyi, żeby szczel, wijąc się i objając o szorstki mur. Powieszony obok Pazziego arcybiskup w świętych szatach nie zdołał udzielić mu duchowego pocieszenia. Oczy wyszły mu na wierzch i w przedśmiertnym szale zatopił zęby w ciele Pazziego.

Tamtej niedzieli, dwudziestego szóstego kwietnia tysiąc czterysta siedemdziesiątego osmego roku, przesładowania dotknęły całą rodzinę Pazzich. Była to kara za zamordowanie Giuliana de'Medici i próbe zamachu na Wawrzynca Wspaniałego podczas mszy w katedrze.

Teraz Rinaldo Pazzi - z tych Pazzich - nienawidzac rzadu rownie mocno jak jego przodek, zhanbiony i przesladowany przez zly los, czekal na swist karzacego topora. Przyszedl w to miejsce, zeby podjac decyzje, w jaki sposob najlepiej wykorzystac wyjatkowy lut szczescia.

Glowny inspektor Pazzi sadzil bowiem, ze odnalazl we Florencji Hannibala Lectera. Schwytnie go dawalo mu szanse naprawienia reputacji i odzyskania dobrego imienia w pracy. Pazzi mial rowniez szanse sprzedania Hannibala Lectera Masonowi Vergerowi za sume, ktorej nie byl sobie w stanie nawet wyobrazic. Gdyby podejrzany rzeczywiscie okazal sie Lecterem, Pazzi sprzedalby rowniez swoj zszargany honor.

Pazzi nie bez powodu kierowal sekcja dochodzeniowa w komendzie policji - byl zdolny i w swoim czasie trawila go zadza zawodowego sukcesu. Ale nosil tez na sobie blizny jak czlowiek, ktory oslepiony ambicja, nieraz juz sie sparzyl.

Przyszedl tutaj, zeby podjac decyzje. Kiedys doznal tu olsnienia, ktore najpierw uczynilo go slawnym, a pozniej doprowadzilo do upadku.

Pazziemu nie brakowalo wloskiego wyczucia ironii: co za traf, ze natchnienie splynelo na niego pod oknem, gdzie rozwscieczony duch jego przodka pewnie nadal kolysal sie na wisielczym sznurze. W tym miejscu mogl raz na zawsze skonczyc z fatum, ktore przesladowalo Pazzich.

Slawe, a nastepnie upokorzenie, przynioslo Pazziemu odnalezienie innego seryjnego mordercy, Il Mostro. Bez tego doswiadczenia nie dokonalby swojego nowego odkrycia. Lecz sprawa Il Mostro zostawila w ustach Pazziego smak goryczy i sklonila go do podjecia niebezpiecznej gry poza prawem.

Il Mostro, „Wampir z Florencji”, przesladowal zakochanych w Toskanii przez siedemnascie lat w latach osiemdziesiatych i dziewiecdziesiatych. Atakowal pary, ktore tulily sie do siebie w uroczych toskanskich zaulkach. Zwykle zabijal kochankow strzalami z pistoletu malego kalibru, a nastepnie tworzil z cial i kwiatow kompozycje, zawsze odslanjajac lewa piers kobiety. Jego kolaze wydawaly sie znajome i wywolywaly wrazenie *deja vu*.

Wampir wycinal rowniez trofea anatomiczne, poza jednym przypadkiem, gdy najwidoczniej przez pomylke usmiercil dwoch dlugowlosych niemieckich homoseksualistow.

Opinia publiczna domagala sie schwytnia Il Mostro i doprowadzila do odwolania ze stanowiska poprzednika Rinalda Pazziiego. Gdy Pazzi stanal na czele sekcji dochodzeniowej, przypominal czlowieka sciganego przez roj pszczol: dziennikarze nawiedzali tlumnie jego biuro, gdy tylko im na to pozwalano, a na Via Zara za budynkiem policji czaili sie paparazzi, tamtedy bowiem zawsze wyjezdziel samochodem.

Turysci, ktorzy w tym czasie zwiedzali Florencje, zapamiatali na pewno rozklejone wszedzie plakaty ostrzegawcze, ukazujace jedno czujne oko.

Pazzi pracowal jak opetany.



Kontaktował się z Sekcją Behavioralną, aby uzyskać pomoc w stworzeniu portretu psychologicznego zbrojcy, i czytał wszystko na temat metod stosowanych przez FBI przy poszukiwaniu wielokrotnych morderców.

Prowadził również działania prewencyjne: doszło do tego, że w niektórych zaułkach i miejscach schadzek na cmentarzach więcej było par policjantów w samochodach niż zakochanych. Brakowało policjantek. Mezczyźni

nosili na zmianę peruki, wielu z nich złożyło w ofierze wasy. Pazzi dał przykład innym, golił własne.

Wampir zachowywał ostrożność. Napadał, ale nie miał potrzeby częstego atakowania.

Pazzi zauważył, że w ubiegłych latach następowały długie okresy, kiedy Wampir w ogóle nie atakował - jedna z przerw trwała osiem lat. Poszedł tym tropem. Zadał pomocy od każdego, kogo zdołał sterroryzować, i skonfiskował komputer swojego siostrzeńca, żeby nie opierać się na jednym komputerze w komendzie policji. Możliwie, w pocie czoła, sporządził listę wszystkich przestępców z północnych Włoch, których pobyt w więzieniu zbiegał się w czasie z przerwami w serii morderstw Il Mostro. Na liście znalazło się czterdzieści siedem osób.

Pazzi posłużył się szybkim, wygodnym starym alfa romeo GTV uwiezionego złodzieja. Nabijając w ciągu miesiąca ponad pięć tysięcy kilometrów, osobiście przesłuchał czterdzieści czterech skazanych. Pozostali zmarli albo byli inwalidami.

Na miejscach zbrodni nie znaleziono dowodu, który pozwoliłby mu zawezić poszukiwania. Sprawca nie zostawił żadnych śladów, żadnych odcisków palców.

Tylko w Impruneta natrafiono na pojedynczą łuskę. Był to naboje kaliber 22 winchester-western ze śladami wyrzutnika pasującymi do samopowtarzalnego colta, może woodsmana. Każdej zbrodni dokonano nabojami kaliber 22 z tej samej broni.

Naboje nie miały śladów tłumika, ale nie można było wykluczyć możliwości jego zastosowania.

Pazzi godnie reprezentował swe nazwisko: przede wszystkim ambitny, miał też młodą, słodką żonę, która trudno było zadowolic. Dodatkowy wysiłek kosztował go dwadzieścia kilogramów, które zrzucił z i tak szczupłego ciała. Młodszy funkcjonariusze policji mówili między sobą, że przypomina kojota z kreskówek.

Gdy jacyś sprytni dowcipnicy z komendy zainstalowali w komputerze program, który zmieniał twarze trzech tenorów w pyski osła, świni i kozy, Pazzi nie mógł oderwać wzroku od ekranu, wyobrażając sobie, że to jego twarz przekształca się za każdym razem w pysk osła.

W oknie laboratorium komendy wisiały girlandy czosnku, żeby odegnać złe duchy. Po bezowocnej wizycie i przesłuchaniu ostatniego podejrzanego Pazzi stanął pod główkami czosnku, wyglądając na brudne podwórce. Stracił nadzieję.

Pomyslał o swojej nowej zonie, jej wspaniałych twardych kostkach i wglebieniu na plecach. Pomyslał o jej drgających i podskakujących podczas mycia zębów piersiach i śmiechu, gdy dostrzegła, że ją obserwuje. Pomyslał o rzeczach, które chciał jej dać. Wyobraził sobie, jak otwiera podarunki. Myślał

o niej obrazami. Owszem, pięknie pachniała i cudownie było ją dotykać, ale obrazy zajmowały poczesne miejsce w jego pamięci.

Zastanawiał się, jak chciałby być przez nią postrzegany. Na pewno nie w roli posmiewiska dziennikarzy. Siedziba komendy policji we Florencji mieści się w dawnym szpitalu psychiatrycznym. Ten fakt w pełni wykorzystywali liczni karykaturzysci.

Pazzi oczekiwał, że sukces przyjdzie jako olśnienie. Miał doskonałą pamięć wzrokową i jak wielu wzrokowców uważał, że objawienie ma formę obrazu, początkowo zamazanego, lecz z czasem nabierającego ostrości. Rozmyślał, tak jak większość z nas szuka zgubionego przedmiotu: przywołujemy z pamięci jego wizję, porównując go z tym, co widzimy, odświeżając obraz w myślach wiele razy w ciągu minuty i obracając w przestrzeni.

Wybuch bomby w Galerii Uffizi odwrócił na krótko uwagę opinii publicznej i Pazziego od sprawy Il Mostro.

Gdy prowadził dochodzenie w sprawie zamachu bombowego, obrazy Il Mostro pozostały w jego umyśle. Widział komponowane przez Wampira *tableaux* katem oka, tak jak patrzymy na zarysy przedmiotu, chcąc zobaczyć go w ciemnościach. Szczególnie zaabsorbowała go para znaleziona w cieżarówce w Impruneta: Wampir starannie ułożył ciała i udekorował je kwiatowymi girlandami. Pamiętał o odsłonięciu lewej piersi kobiety.

Któregoś dnia po wyjściu z Galerii Uffizi Pazzi znalazł się na pobliskim Piazza Signoria. Coś na stoisku sprzedawcy pocztówek przykuło jego uwagę.

Oszolomiony przystanął dokładnie w tym samym miejscu, gdzie spalono na stosie Savonarole. Rozejrzał się dookoła. Plac aż roił się od turystów. Poczul na plecach zimny dreszcz. Może obraz, który ujrzał, był wytworem jego wyobraźni. Zawrócił i przeszedł tę samą trasę.

I znów ujrzał przed sobą mały, zapaskudzony przez muchy, pofalowany od deszczu plakat z *Wiosna* Botticellego. Oryginał znajdował się za nim, w Galerii Uffizi. *Wiosna*. Po prawej stronie przybrana girlandami nimfa z wyeksponowaną lewą piersią i wysypującymi się strumieniem z ust kwiatami. Błady Zefir wyciąga do niej ręce spośród drzew.

Wspomnienie zamordowanej pary w cieżarówce. Przykryci kwiatami, kwiaty w ustach dziewczyny. Klik. Klik.

Właśnie tutaj, gdzie zawisł na sznurze jego przodek, Pazzi doznał olśnienia. Odnalazł pierwowzór, obraz stworzony pięćset lat wcześniej przez Botticellego tego samego, który za czterdzieści florenów namalował na ścianie więzienia Bargello wizerunek powieszonoego Francesca de'Pazziego. Jak mógł oprzeć się natchnieniu doznanemu w tak niesamowitych okolicznościach?

Musiał usiąść. Wszystkie ławki były zajęte. W końcu pokazał odznakę i zarekwirował miejsce na ławce zajmowane przez staruszkę. Nie zauważył kul, dopóki stary weteran nie wstał na swoją jedyną nogę i nie zaczął bardzo głośno, wulgarnie pomstować.

Pazzi był podekscytowany z dwóch powodów. Odnalezienie wizerunku, który inspirował Il Mostro, już było triumfem, lecz ważniejsze, widział reprodukcje *Wiosny* w mieszkaniu jednego z przesłuchiwanym przestępców.

Wiedział, że nie powinien katować pamięci, tylko powoli i łagodnie nakłonić ją do współpracy. Wrócił do Uffizi i stanął przed oryginałem *Wiosny*. Nie zabawiał tam długo. Wyszedł na rynek i dotknął ryjka brązowego dzika *Il Porcelino*. Potem pojechał do Ippocampo i oparty o maskę zakurzonego samochodu, czując wciąż w nozdrzach zapach rozgrzanego oleju, obserwował grające w piłkę dzieci....

Najpierw wygrzebał z pamięci korytarz i podest na schodach. Plakat z *Wiosna* wylaniał się stopniowo, gdy wchodził po schodach. Cofnął się i przez chwilę widział drzwi wejściowe, ale nie pamiętał żadnych ulic, żadnych twarzy.

Znal zasady przesłuchania, zadał więc sobie pytania dotyczące pozostałych zmysłów:

Co słyszałeś, kiedy ujrzałeś plakat?... Garnki pobrzekujące w kuchni na parterze. Co słyszałeś, gdy stanąłeś na podescie i oglądałeś plakat? Telewizje. Telewizor stał w sypialni. Robert Stack grał Eliota Nessa w *Nietykalnych*. Czy czułeś zapachy gotowania? Tak, coś się gotowało. Jakies inne zapachy? Wciąż czułem zapach rozgrzanej alfy, zapach gorącego oleju, gorącego od... Raccordo. Pedziłeś autostrada Raccordo, ale dokąd? San Casciano. Słyszałem szczekanie psa w San Casciano. Włamywacz i gwałciciel, Girolamo Tocca.

W chwilach, gdy skojarzenie nadchodzi w synaptycznym spazmie spełnienia, kiedy jedna myśl niczym zapalony lont doprowadza do eksplozji innej myśli, doświadczamy największej przyjemności. Dla Rinalda Pazziego był to najwspanialszy moment życia.

Po półtorej godziny Pazzi doprowadził do aresztowania Girolama Tocci. Zona rzucała kamieniami za małym konwojem, który zabrał jej męża.

## ROZDZIAŁ 18

Tocca był wymarzonym podejrzanym. W młodości odsiedział dziewięć lat za zamordowanie mężczyzny, którego przyłapał na amorach z narzeczoną w zaułku dla zakochanych. Oskarżano go również o molestowanie seksualne córek i przemoc wobec rodziny. Ponadto odsiadywał kiedyś kare więzienia za gwałt.

Funkcjonariusze policji omal nie zmiotli domu gwałciciela z powierzchni ziemi w poszukiwaniu dowodów. W końcu sam Pazzi, przeszukując podwórze, znalazł łuski od naboju. Był to

jeden z niewielu dowodów przedstawionych przez prokuratora.

Proces okazał się sensacją. Odbywał się w budynku pod specjalnym nadzorem, zwanym „bunkrem”, gdzie w latach siedemdziesiątych toczyły się procesy terrorystów - naprzeciw florenckich biur „La Nazione”. Przepasani

szarfami członkowie ławy przysięgłych - pięciu mężczyzn i pięć kobiet - uznali Tocce za winnego. Brali pod uwagę nie tyle dowody, ile jego charakter. Opinia publiczna w większości wierzyła w jego niewinność, lecz wielu ludzi twierdziło, że Tocca jest wariatem i lepiej go trzymać pod kluczem. W wieku sześćdziesięciu pięciu lat został skazany na czterdzieści lat w więzieniu Volterra.

Następne miesiące były dla Pazziego złotym okresem. Żadnemu z Pazzich nie oddawano takich honorów we Florencji w ciągu ostatnich pięciuset lat, odkąd Pazzo de'Pazzi wrócił z pierwszej krucjaty z kawalkami krzemienia ze Świętego Grobu.

Rinaldo Pazzi i jego piękna żona stali obok arcybiskupa w Duomo, gdy podczas tradycyjnego wielkanocnego obrzędu te same święte kawalki krzemienia wykorzystano do odpalenia rakiety w kształcie gołębia, która wyleciała z katedry i wysadziła pojemnik z fajerwerkami dla wiwatującego tłumu.

Gazety spijały każde słowo z ust Pazziego, gdy dziękował - w granicach zdrowego rozsądku swoim podwładnym za ciężką pracę, którą wykonali. *Signora* Pazzi stała się wyrocznią w sprawach mody; wyglądała wspaniale w strojach, do których zakładania namawiali ją projektanci. Zapraszano ich na wykwintne herbatki w domach bogaczy, jedli kolacje z pewnym hrabią w jego zamku, w otoczeniu licznych starych zbroi.

Wspominano o powierzeniu Pazziemu jednego ze stanowisk politycznych, chwalono go we włoskim, wiecznie rozgadanym parlamencie i zlecono mu poprowadzenie wspólnej akcji włoskiej policji i amerykańskiego FBI przeciw mafii.

Zadanie to, a także stypendium na odbycie studiów kryminologicznych na uniwersytecie w Georgetown, sprowadziły Pazzich do Waszyngtonu. Główny inspektor spędził wiele czasu w Sekcji Behawioralnej w Quantico i marzyło stworzeniu jej odpowiednika w Rzymie.

Nagle po dwóch latach nastąpiła katastrofa: w spokojniejszej atmosferze sąd apelacyjny pod presją opinii publicznej wniosł o rewizję wyroku Tocci. Pazziego sprowadzono do kraju, żeby wziął udział w procesie. Wśród byłych kolegów, których zostawił daleko w tyle, nie znalazł ani jednego sprzymierzeńca.

Sąd apelacyjny uchylił wyrok i udzielił nagany Pazziemu, twierdząc, że prawdopodobnie podłożył dowód rzeczowy.

Dawni wielbiciele z wyższych sfer opuścili go nagle, jakby zamienił się w smierdzące jajo. Nadal zajmował ważne stanowisko, lecz wszyscy wiedzieli, że jest przegrany. Rząd włoski działał powoli, ale wkrótce topór sprawiedliwości miał spaść na szyję Pazziego.

## ROZDZIAŁ 19

Właśnie wtedy, w tak niepewnym dla Pazziego okresie, gdy w każdej chwili spodziewał się, że spadnie na niego cios karzącego topora, po raz pierwszy spotkał człowieka, znanego w kregach florenckich uczonych jako doktor Fell...

Rinaldo Pazzi wchodził po schodach Palazzo Vecchio z polecenia swoich byłych podwładnych z komendy. Napawając się jego porażką, traktowali go jak chłopca na posyłki. Pazziego interesowały jedynie czubki własnych butów na lekko wklesłych kamiennych stopniach. Nie zwracał uwagi na pokryte freskami ściany i otaczające go dzieła sztuki. Piecset lat wcześniej po tych samych schodach wleczono na śmierć jego przodka.

Na podescie wyprzedził piers jak za dawnych czasów i zmusił się, żeby spojrzeć w oczy postaciom z fresków. Z niektórymi łączyły go wiezy krwi. Słyszał już dochodzące z góry odgłosy kłotni: w Sali Lili odbywało się właśnie wspólne posiedzenie szefów Galerii Uffizi i Komisji Sztuk Pięknych.

Tego dnia Pazzi przybył w sprawie zaginięcia długoletniego kustosza Palazzo Capponi. Wszyscy byli pewni, że staruszek ułotnił się z kochanką lub z czyjimiś pieniędzmi, ewentualnie zabrał ze sobą obydwie źródła przyjemności. Od czterech miesięcy nie stawiał się na comiesięczne spotkania z przełożonymi w Palazzo Vecchio.

Przysłano Pazziego, aby przeprowadził śledztwo. Główny inspektor jeszcze niedawno, po zamachu bombowym w galerii, pouczał bladoliczych dyrektorów Galerii Uffizi i członków rywalizującej z nimi Komisji Sztuk Pięknych o koniecznych środkach bezpieczeństwa. Teraz musiał zjawić się przed tymi samymi ludźmi w mniej pomysłowych okolicznościach i zadawać im pytania dotyczące życia prywatnego zaginionego kustosza. Taka perspektywa wcale mu się nie uśmiechała.

Obydwie gremia tworzyły swarliwe i skłócone zgromadzenie. Przez wiele lat nie mogły uzgodnić miejsca spotkań, bo żadna ze stron nie zamierzała spotykać się w siedzibie konkurentów. Posiedzenia odbywały się zatem w przepięknej Sali Lili w Palazzo Vecchio. Każdy z uczestników spotkania miał o sobie tak wysokie mniemanie, że uważał te wytworne komnaty za godną właśnie jego znamienitej osoby. Gdy już się tam zadomowili, nie chcieli słyszeć o spotkaniach w innym miejscu, choć w Palazzo Vecchio trwały niekonczące się prace renowacyjne. Ciągłe więc wpadali na rusztowania, plachty materiału i różne urządzenia.

Przed drzwiami sali stał profesor Ricci, szkolny kolega Pazziego. Kichnął od gipsowego pyłu. Gdy atak minal, spojrzał zalawionymi oczyma na Pazziego.

- *La solita arringa* - obwiescił. - Jak zwykle się kłóca. Jesteś tu w sprawie zaginionego kustosza z Palazzo Capponi? W tej chwili zra się o jego posadę. Sogliato widzi na tym stanowisku swojego siostrzenca, uczeni są oczarowani doktorem Fellem. Zatrudniono go tymczasowo, kilka miesięcy temu. Chcieliby go zatrzymać.

Pazzi zostawił na korytarzu kolege, który obmacywał kieszenie w poszukiwaniu chusteczek higienicznych, i wszedł do historycznej komnaty, ozdobionej złotymi liliami na suficie. Wiszące na dwóch ścianach plachty nieco tłumily odgłosy dysputy.

Przemawiał właśnie nepotysta Sogliato. Robił dobry użytek ze swojego donosnego głosu.

- Korespondencja Capponich sięga trzynastego wieku. W rece doktora Fella, w jego niewłoskie rece, mogłyby wpasować list od samego Dantego. Czy rozpoznałby autora? Watpie. Przepytałiscie go ze starowłoskiego i nie zamierzam przeczytać, że włada nim doskonale. Jak na obcokrajowca. Ale czy zna wystarczająco dobrze florenckie osobistości okresu średniowiecza? Watpie. A gdyby natknął się w bibliotece Capponich na list od... na przykład od Guida de'Cavalcantiego? Rozpoznałby autora? Watpie. Czy zechciałby pan zająć stanowisko w tej sprawie, doktorze?

Rinaldo Pazzi rozejrzał się po sali. Nie widział nikogo podobnego do doktora Fella, chociaż niespełna godzinę wcześniej dokładnie obejrzał jego fotografie. Nie widział go, bo doktor Fell nie siedział razem z innymi. Pazzi najpierw usłyszał głos, a dopiero później umiejscowił mówiącego.

Doktor Fell stał nieruchomo tyłem do uczestników spotkania przy brązowej rzeźbie Judyty i Holofernesa. Odpowiadając na zarzuty, nie odwrócił się. Trudno było stwierdzić, kto naprawdę przemówił: Judyta ze wzniesionym mieczem, gotowym do zadania ciosu pijanemu królowi, przytrzymywany za włosy Holofernes czy też smukła i nieruchoma postać doktora, stojącego przy figurach z brązu Donatella. Jego głos przebił się przez hałas rozmów jak laser przez dym. Rozgadani mężczyźni natychmiast umilkli.

- Cavalcanti publicznie zrecenzował pierwszy sonet z *Nowego życia*, w którym Dante opisuje przedziwny sen o Beatrice Portinari - mówił doktor Fell. - Być może Cavalcanti wyraził swoją opinię także w liście prywatnym. Gdyby miał pisać do kogoś z rodziny Capponich, prawdopodobnie byłby to Andrea, najbardziej zainteresowany literaturą ze wszystkich braci. - Doktor Fell zrobił przerwę, niezręczną dla wszystkich oprócz niego, i powoli odwrócił się do zebranych. - Zna pan pierwszy sonet Dantego, profesorze Sogliato? Tak czy nie? Zafascynował Cavalcantiego, więc warto go posłuchać. Oto fragment:

Trzecia część nocy schodziła; nad ranem,

Kiedy gwiazd jeszcze widno migotanie,

Znienacka Amor żyw przede mną stanie;

To dziś dzień straszy mnie samym swym mianem.

Radosny zdal się; w rece niosł wyrwany

Rozplomieniony serca mego kawał;

Postać niewiasty w zasłone odzianej

W ramionach dzierzyl; zbudziwszy, rumiany

Ow kes przelekaj za pokarm podawal,

Potem z nia w gore wzlatal, rozplakany.\*

- Prosze posluchac, w jaki sposob czerpie z mowy potocznej, ktora nazywa *vulgari eloquentia*.

Allegro mi sembrava Amor tenendo

Meo core in mano, ene le braccia avea

Madonna involta in un drappo dormendo.

Poi la svegliava, e d'esto core ardendo

Lei paventosa umilmente pascea

Appreso gir lo ne vedea piangendo.

Nawet najbardziej zatwardziali florentynczyzy zmiekl, slyszac wersy Dantego w pokrytych freskami murach palacu, recytowane przez doktora Fella czystym toskanskim dialektem. Bijac brawo, ze lzami w oczach czlonkowie zgromadzenia - ku wielkiemu rozdrazneniu profesora Sogliato - wyrazili aprobate dla kandydatury doktora Fella. Pazzi nie byl w stanie okreslic, czy zwyciestwo ucieszylo doktora. Fell znowu odwrocil sie do wszystkich plecami. Sogliato nie dawal jeszcze za wygrana.

- Skoro jest takim ekspertem od Dantego, niech sie w takim razie wykaze przed Studiolo. - Ostatnie slowo zasyczalo w jego ustach, jakby wspominal o Swietej Inkwizycji. - Niech stanie przed nimi jak najszybciej, chocby w najblizszy piatek. - Grupe nazwana Studiolo, od bogato zdobionego prywatnego gabinetu, tworzyla garstka surowych uczonych, ktorzy zrujnowali niejedna akademicka kariere i czesto spotykali sie w Palazzo Vecchio. Przygotowanie sie do spotkania z nimi uwazano za prawdziwa meczarnie, a stawienie sie przed nimi za smiertelne niebezpieczenstwo. Wuj profesora Sogliato poparl jego wniosek, a szwagier zazadal glosowania, ktorego wyniki siostra profesora zanotowala w protokole. Wniosek przeszedl. Nie odrzucono kandydatury doktora, lecz ostatnie slowo nalezalo do uczonych ze Studiolo.

Zgromadzenie mialo nowego kustosza, nie tesknilo za jego poprzednikiem i lekcewazaco potraktowalo pytania skompromitowanego Pazziego. Pazzi trzymal sie dzielnie.

Jak kazdy dobry detektyw analizowal sytuacje pod katem zyskow i strat. Kto moglby skorzystac ze znikniecia starego kustosza? Zaginiony byl kawalerem, szanowanym, spokojnym uczonym, ktory prowadzil uporzadkowany zywt. Mial oszczednosci, lecz niewielkie. Wszystko co posiadal, to posada, a dzieki niej przywilej mieszkania na poddaszu Palazzo Capponi.

A oto jego nastepca, ktorego przyjeto po dokladnym egzaminie z historii Florencji i starowloskiego. Pazzi juz wczesniej przejrzal podanie o prace doktora Fella i jego deklaracje o

stanie zdrowia.

Podszedł do niego, gdy członkowie zgromadzenia szykowali się do wyjścia.

- Doktorze.

- Tak, Commendatore?

Nowy kustosz był drobnym, schludnym mężczyzną. Nosił okulary, których szkła były od połowy przyciemniane, i doskonale skrojone - nawet według włoskich norm - ciemne ubranie.

- Zastanawiałem się, czy kiedykolwiek spotkał pan swego poprzednika? - Doświadczony policjant potrafił szóstym zmysłem wyczuć strach. Obserwując uważnie doktora Fella, zarejestrował tylko absolutny spokój.

- Nigdy. Owszem, przeczytałem kilka jego monografii w *Nuova Antologia*. - Dialekt tokański w wydaniu potocznym brzmiał w ustach doktora równie czysto jak recytacja wiersza. Jeśli nawet krył ślad obcego akcentu, Pazzi go nie wychwycił.

- Wiem, że policjanci, którzy rozpoczynali śledztwo, szukali w Palazzo Capponi listu pożegnawego, wiadomości o planowanym samobójstwie lub czegoś w tym rodzaju, ale niczego nie znaleźli. Jeśli trafi pan na coś w papierach, na coś osobistego, choćby najmniej istotnego, zawiadomi mnie pan? Oczywiście, *Commendatore* Pazzi.

- Jego rzeczy nadal są w pałacu?

- Zapakowane w dwóch walizkach i zinventaryzowane.

- Przysła kogoś... albo sam po nie przyjdę.

- Proszę najpierw do mnie zadzwonić, *Commendatore*. Przed pańską wizytą wyłączę system alarmowy, żeby zaoszczędzić panu czasu.

Jest zbyt opanowany. Powinien okazywać lekki strach. Prosi, żebym uprzedził go przed wizytą.

Członkowie zgromadzenia trochę wyprowadzili Pazziego z równowagi. Nic nie mógł na to poradzić. Teraz czuł się urazony arogancją tego człowieka. Zamierzał odplacić mu pięknym za nadobne.

- Doktorze, czy mogę zadać panu osobiste pytanie?

- Jeśli obowiązki zmuszają pana do tego, *Commendatore*.

- Na lewej dłoni ma pan stosunkowo świeżą bliznę.

- A na pańskiej widzę nową obrączkę. *Nowe życie?* - Doktor Fell uśmiechnął się. Miał małe, bardzo białe zęby. Wykorzystując element zaskoczenia, zanim Pazzi zdążył się obrazić, doktor Fell



podniosl reke z widocznà bliznà i powiedzial: - Zespol cieszni nadgarstka, *Commendatore*. Historia to niebezpieczny zawod.

- Dlaczego nie wymienil pan tej choroby w deklaracji o stanie zdrowia, gdy przyjechal pan tu do pracy?

- Wydawalo mi sie, *Commendatore*, ze podanie takiej informacji byloby zasadne, gdybym pobieral rente inwalidzka. A tak nie jest. Nie jestem inwalida.

- Zatem operacje przeprowadzono w Brazylii, skad pan pochodzi.

- Nie we Wloszech, od rządu wloskiego nic nie otrzymalem - oznajmil doktor Fell, jakby byl przeswiadczony, ze udzielil wyczerpujacej odpowiedzi.

Opuszczali Sale Lili ostatni. Pazzi doszedl do drzwi, gdy doktor Fell zawolal za nim:

- *Commendatore* Pazzi?

Czarna sylwetka doktora rysowala sie na tle wysokich okien. Za nim w oddali wznosil sie budynek florenckiej katedry.

- Slucham?

- Zdaje sie, ze wywodzi sie pan z tych Pazzich, nieprawdaz?

- Owszem, skad pan wie? - Gdyby doktor nawiazal do niedawnych artykulow prasowych, Pazzi uznalby to za szczyt bezczelnosci.

- Przypomina pan postac, ktora wyrzezbil Luca delia Robbia w waszej rodzinnej kaplicy w kosciele Santa Croce.

- Ach, to Andrea de'Pazzi przedstawiony jako Jan Chrzciciel. - Pazzi poczul, jak do jego zgorzknialego serca splywa kropla slodocy.

Zostawiajac drobna postac w sali narad, Pazzi nie mogl oprzec sie wrazeniu, ze jest cos dziwnego w bezruchu doktora Fella.

Wkrotce wrazenie to mialo sie poglabic.

## ROZDZIAI 20

W czasach gdy nasza wrażliwość uległa stopieniu pod wpływem wszechobecnej wulgarnosci i wyuzdania, warto przekonac sie, co wciaz moze nami wstrzasnac. Co poruszy zwiotczale cialo uspionej swiadomosci na tyle mocno, zeby przykuc nasza uwage?

We Florencji była to wystawa pod nazwą „Okrutne narzędzia tortur”. Właśnie tam Rinaldo Pazzi spotkał powtórnie doktora Fella.

Ekspozycje - ponad dwadzieścia klasycznych narzędzi tortur i szczegółowa dokumentacja - umieszczono w nieprzystępnych murach Forte di Belvedere, szesnastowiecznej warowni Medyceuszów, która strzegła miasta od strony południowej. Na otwarciu wystawy niespodziewanie zjawily się tłumy. Emocje siegaly zenitu.

Pierwotnie planowano zamknąć wystawę po miesiącu. Tymczasem „Okrutne narzędzia tortur” można było podziwiać przez pół roku. Ekspozycja była nie mniejszą atrakcją turystyczną niż Galeria Uffizi. Popularnością przescignęła muzeum w Palazzo Pitti.

Organizatorzy wystawy, dwaj nieudolni wypychacze zwierząt, których przed śmiercią głodową ratowało jedynie jedzenie podrobów z preparowanych trofeów, zarobili na wystawie krocie i w nowiutkich smokingach objechali z nią całą Europę.

Zwiedzający ze wszystkich zakątków Starego Kontynentu przybywali głównie parami, korzystając z przedłużonych godzin otwarcia i tłocząc się przy maszynach do zadawania bólu. Z uwagą czytali podane w czterech językach informacje o pochodzeniu narzędzi i sposobach ich wykorzystania. Ilustracje Dürera i fragmenty dawnych pamiętników pozwalały zwiedzającym poznać w najdrobniejszych szczegółach tajniki takich zabiegów jak łamanie kołem.

Na jednej z tablic można było przeczytać:

Włoscy księżęta woleli łamać swe ofiary na ziemi, przygniatając je okutym żelazem kołem, uprzednio podkładając pod kończyny - jak widać na rysunku - drewniane bloki. W północnej Europie przywiązywano zazwyczaj ofiary do koła, łamano jej kości żelaznym pretem, a następnie przeplatano kończyny przez szprychy koła na obręczach, łącząc złamania tak, aby ciało stało się bardziej giętkie, przy czym głowa i korpus torturowanego znajdowały się pośrodku koła. Ta druga metoda zapewniała bardziej efektowny spektakl, lecz zabawa mogła się szybko skończyć, jeśli do serca dostał się kawałek szpiku kostnego.

Wystawa „Okrutne narzędzia tortur” nie mogła nie zainteresować konesera tego, co w człowieku najgorsze. Lecz esencji zła, czarnego lajna ludzkiej duszy, daremnie byłoby szukać wśród szpikulców i ostrzy. Pierwotna brzydota tkwiła w twarzach tłumu.

Doktor Fell, znawca ludzkiej ohydy, stał w półmroku wielkiego kamiennego pomieszczenia pod podświetlonymi wiszącymi klatkami dla potępionych. W oszpeconej bliznie dłoni trzymał okulary. Dotykał ust koniuszkiem oprawki i przyglądał się jak urzeczony zwiedzającym.

Tam zobaczył go Rinaldo Pazzi.

Odwał właśnie kolejną tego dnia czarną robotę. Zamiast jechać na kolację w towarzystwie żony, przedzierał się przez tłum, żeby powiesić nowy plakat ostrzegający pary przed nieuchwytnym dotąd Wampirem z Florencji. Identyczny plakat zawisł obok innych poszukiwanych zbrodniarzy z całego świata nad jego biurkiem. Znalazł się tam z inicjatywy nowych przełożonych Pazziego.

Organizatorzy - dawni wypychacze zwierząt - pilnując wspólnie kasy z wpływami ze sprzedaży biletów, byli zadowoleni, że na ich wystawie znajdzie się również element współczesnej grozy. Poprosili jednak Pazzię, żeby sam powiesił plakat. Żaden z nich nie miał zamiaru zostawić współnika sam na sam z gotówką. Kilku florentczyków rozpoznało Pazzię, usłyszał odgłosy dezaprobaty z anonimowego tłumu.

Pazzi przyczepił pineskami niebieski plakat do tablicy ogłoszeń przy wyjściu, gdzie wielkie pojedyncze okno mogło przykuć wzrok największej liczby zwiedzających, i zapalił kinkiet nad tablicą. Zauważył, że wiele wychodzących par ocierało się o siebie lubieżnie w panującym przy wyjściu ścisisku. Nie chciał oglądać kolejnego żywego obrazu autorstwa Il Mostro. Miał już dość widoku krwi i kwiatów.

Chciał natomiast porozmawiać z doktorem Fellem. Korzystając z okazji, że jest tak blisko Palazzo Capponi, zamierzał odebrać rzeczy zaginionego kustosza. Gdy Pazzi jednak odwrócił się od tablicy ogłoszeń, doktora już nie było. Nie było go też w tłumie opuszczających wystawę. Pozostała tylko kamienna ściana, przy której stał, miejsce pod klatką dla skazanych na śmierć głodową, gdzie szkielet w pozycji embrionalnej wciąż zdawał się błagać o jedzenie.

Pazzi wpadł w złość. Rozpychając się łokciami, wydostał się na zewnątrz, ale i tu nie dostrzegł doktora.

Ochroniarz przy wyjściu rozpoznał inspektora i nie zareagował, gdy Pazzi minął barierkę i zszedł z wyznaczonej ścieżki na pogrążony w mroku teren przy Forte di Belvedere. Podeszedł do muru obronnego i spojrzał na północ, na drugi brzeg Arno. Miał u stóp całe florenckie Stare Miasto: wielki garb katedry, oświetlona wieża Palazzo Vecchio.

Dusza przodków Pazzię wyla się, przebita włócznią kompromitacji. Drwilo z niego nawet jego miasto.

Agenci FBI zadali mu ostateczny cios nożem w plecy. Oświadczyli w prasie, że człowiek aresztowany przez Pazzię zupełnie nie odpowiada sporządzonej przez FBI charakterystyce Il Mostro. Gazeta „La Nazione” dodała jeszcze, że Pazzi „zrobił wszystko, aby Tocca jak najszybciej znalazł się w więzieniu”.

Ostatni raz rozwieszał niebieski plakat Il Mostro w Ameryce. Było to wówczas dumne trofeum, które powiesił na ścianie w siedzibie Sekcji Behawioralnej w Quantico i na prośbę amerykańskich agentów FBI zostawił na nim swój autograf. Wiedzieli o nim wszystko, podziwiali go i zaprosili do siebie. Wraz z żoną pojechał więc na gościnne wybrzeże stanu Maryland.

Gdy stał przy ciemnym murze i spoglądał na prastare miasto, poczuł nagle słony zapach Zatoki Chesapeake i przywołał z pamięci obraz żony, która stała na brzegu w nowiutkich białych adidasach.

W siedzibie sekcji obejrzał obraz Florencji, który pokazano mu jako ciekawostkę. Ten sam widok rozciągał się przed nim w tej chwili: Stare Miasto od strony Belvedere, najlepsza możliwa panorama miasta. Nie kolorowy pejzaz, lecz rysunek ołówkiem, cieniowany węglem. Obraz znajdował się w tle fotografii amerykańskiego seryjnego zbrojcy, doktora Hannibala Lectera.

Hannibala-Kanibala. Lector narysował pejzaz z pamięci, a rysunek wisiał w celi szpitala psychiatrycznego, w którym się znajdował, miejsca równie ponurego jak Forte di Belvedere.

W którym momencie kielkująca myśl dojrzała w głowie Pazziego? Dwa obrazy: prawdziwa Florencja rozciągająca się przed nim i wyłowiony z pamięci rysunek. Plakat Il Mostro zawieszony kilka minut temu. Plakat Hannibala Lectera na ścianie w biurze Pazziego z informacją o ogromnej nagrodzie i napisem ostrzegawczym:

DOKTOR LECTER MUSI UKRYWAC LEWA REKE

I BYC MOZE SPROBUJE JA ZOPEROWAC,

PONIEWAZ WYSTĘPUJACY U NIEGO

RODZAJ NADLICZBOWOSCI PALCOW

JEST NIEZWYKLE RZADKI I POZWALA NA SZYBKA IDENTYFIKACJE

Widoczna blizna na dłoni doktora Fella, który przytrzymał przy ustach uchwyt okularów.

Szczegółowy szkic panoramy Florencji na ścianie w celi Hannibala Lectera.

Czy ta myśl nasunęła mu się, gdy patrzył na florencką Starówkę po drugiej stronie rzeki, czy może natchnęła go nieprzenikniona ciemność nad światłami miasta? I dlaczego jej zwiastunem był aromat słonej bryzy znad zatoki Chesapeake?

Skojarzenie nadeszło z dźwiękiem; dziwne jak na wzrokowca. Z odgłosem kropli, która wpada do wysychającej kaluży.

Hannibal Lector zbiegł do Florencji.

kap

Hannibal Lector to doktor Fell.

Wewnętrzny głos Rinalda Pazziego podpowiadał mu, że być może postradał zmysły, przygnieciony troskami i kłopotami. Jego roztrzesiony umysł wbil żeby w kraty niczym szkielet w klatce dla głodzonych.

Nie pamiętał, jak się tam znalazł, kiedy stanął przy renesansowej bramie Belvedere wychodzącej na wąską i stromą uliczkę Costa di San Giorgio, która wila się i opadała aż do odległego o niespełna kilometr serca Starego Miasta. Nogi zdawały się nieść go po bruku wbrew woli, szybciej, niż tego chciał. Bez przerwy rozglądał się za człowiekiem, znanym jako doktor Fell. Tedy mógł dojść do jego domu. W połowie drogi Pazzi skreślił w Costa Scarpuccia. Schodził coraz niżej, aż wyszedł na Via de'Bardi, która ciągnęła się wzdłuż rzeki. Niedaleko był Palazzo Capponi, gdzie mieszkał doktor Fell.

Pazzi - dysząc ciężko po szybkim marszu - znalazł miejsce, którego nie oświetlały uliczne latarnie: wejście do domu mieszkalnego po drugiej stronie ulicy. Gdyby ktoś przechodził, mógł odwrócić się i udać, że naciska dzwonek.

Pałac tonął w ciemnościach. Pazzi dostrzegł nad wielkimi podwójnymi drzwiami czerwone światło kamery. Nie wiedział, czy jest włączona stale, czy tylko wtedy, gdy ktoś naciska dzwonek. Kamera była skierowana na wejście do pałacu. Pazzi wątpił, żeby obejmowała również fasadę.

Czuwał przez pół godziny, wsłuchując się we własny oddech. Doktor nie nadchodził. Może był w środku, lecz nie zapalił światła.

Pazzi przeszedł szybko przez wyludnioną ulicę i stanął przy murze.

Z wewnątrz dochodził słaby, bardzo słaby dźwięk. Pazzi przysunął głowę do zimnych krat okiennych, nasłuchując. Fortepian. *Wariacje Goldbergowskie* Bacha w doskonałym wykonaniu.

Powinien poczekać, przycisnąć się i zastanowić. Mogłoby przedwcześnie spłoszyć ofiarę. Trzeba postanowić co dalej. Nie chciał znów wyjść na głupca. Cofnął się w cień po drugiej stronie ulicy. Na końcu zniknął w mroku jego nos.

## ROZDZIAŁ 21

Według legendy chrześcijański męczennik San Miniato podniósł swą ściętą głowę z piasku rzymskiego amfiteatru we Florencji i powędrował z nią pod pachą na wzgórze po drugiej stronie rzeki, gdzie po dziś dzień leży we wspaniałym kościele.

Niewątpliwie ciało San Miniato - w pozycji pionowej czy poziomej - minęło po drodze starożytną ulicę Bardi, na której teraz stoimy. Na pustej ulicy zapada zmierzch, a w zimowym deszczu, który nie jest wystarczająco mroźny, żeby zabić kocią wonię, polyskują ułożone wachlarzowato kostki bruków. Znajdujemy się wśród pałaców wybudowanych sześćset lat temu przez bogatych kupców. To oni wynosili na tron królów i spiskowali przeciw nim we Florencji doby renesansu. Na drugim brzegu rzeki Arno widac spiczaste wieże Piazza Signoria, gdzie powieszono i spalono mnicha Savonarole, oraz wielką galerię ukrzyżowanych Chrystusów - Uffizi.

Te rodzinne pałace, stłoczone na starej ulicy, zamrożone we współczesnej włoskiej biurokracji, przypominają z zewnątrz architekturę wieżienną. Kryją jednak w sobie ogromne, pełne uroku przestrzenie, wysokie i ciche pomieszczenia, których nikt nigdy nie ogląda, udrapowane gnijącym, wyblakłym od deszczu jedwabiem. Wiszą tam w ciemnościach od lat mniej znane dzieła mistrzów renesansu, które po opadnięciu draperii oświetla jedynie światło błyskawicy.

Tutaj znajduje się pałac Capponich, znamienitej rodziny, która podarła na oczach króla Francji jego ultimatum i podarowała światu papieża.

W oknach Palazzo Capponi, za żelaznymi kratami, jest teraz ciemno. Podstawki na pochodnie są puste. W popękanej starej szybie widac dziure po kuli z lat czterdziestych. Podejdz bliżej. Przyłóż rękę do zimnego żelaza, tak jak Pazzi, i zacznij nasłuchiwać. Słyszac ciche dźwięki fortepianu. *Wariacje Goldbergowskie* Bacha zagrane nie doskonale, lecz całkiem przyzwoicie, z prawdziwym zrozumieniem muzyki. Zagrane nie doskonale, lecz całkiem przyzwoicie; lewa ręka jest chyba trochę usztywniona.

Wejdiesz do środka, jeśli uwierzysz, że nie spotka cię żadna krzywda? Wstąpisz do tego pałacu, którego historia pełna jest krwi i chwały? Przejdiesz przez ciemność i pajęczyny w stronę urokliwych dźwięków fortepianu? Alarmy nas nie wyczuja. Zmoknięty policjant czający się po drugiej stronie ulicy nie widzi nas. Chodz...

W głównym holu panuje niemal absolutna ciemność. Długie kamienne schody, zimna balustrada podślizgająca się ręka, wkleśle od milionów kroków stopnie, nierówne pod stopami, kiedy wchodzimy po nich w stronę muzyki.

Wysokie podwójne drzwi do głównego salonu zaskrzypiałyby, gdybyśmy musieli je otworzyć. Ale dla ciebie są otwarte. Muzyka dochodzi z odległego kranca pokoju, skąd bije również jedyne światło, światło wielu świec, które rzucają czerwony blask przez małe drzwi przyległej do salonu kaplicy.

Dalej w stronę muzyki. Niejasno zdajemy sobie sprawę, że mijamy pokryte płótnem meble. Rozmazane kształty wydają się ruchome w blasku świec, jak spiace stado zwierząt. Sklepienie nad nami tonie w mroku.

Światło pada czerwienią na ozdobny instrument i mezczyznie, znanego w kręgu florenckich uczonych jako doktor Fell. Jest elegancki, wyprostowany, wsłuchany w muzykę. Blask świec odbija się w jego włosach i na plecach, w jedwabnym, pikowanym szlafroku, który lśni jak skóra.

Uniesiona pokrywa fortepianu jest misternie rzezbiona. Przedstawia scenę biesiady: małe figurki zdają się klebić w migotaniu świec nad strunami. Doktor gra z zamkniętymi oczami. Nie musi czytać nut. Przed nim, na podstawce w kształcie liry, leży egzemplarz amerykańskiego brukowca „National Tattler”. Gazeta została złożona tak, żeby ukazać twarz na pierwszej stronie, twarz Clarice Starling.

Muzyk się śmieje, kończy utwór, powtarza sarabandę dla własnej przyjemności. Gdy ostatnia poruszona plektronem struna wibruje i cichnie gdzieś w wielkiej sali, otwiera oczy. W jego zrenicach iskrzy się czerwony światek. Odwraca głowę i spogląda na gazetę.

Bezszelestnie wstaje i niesie amerykańską gazetę do małej, bogato zdobionej kapliczki, wybudowanej przed odkryciem Ameryki. Gdy podnosi strony do świecznika i przewraca je, wydaje się, że świeci z obrazów nad ołtarzem czytają mu przez ramię, jak w kolejce w sklepie spożywczym. Duża czcionka Railroad Gothic.

ANIOL ŚMIERCI: CLARICE STARLING,

## MASZYNA DO ZABIJANIA Z FBI

Twarze zastygłe w cierpieniu lub szczęściu wokół ołtarza rozplywają się, gdy zdmuchuje świece. Nie potrzebuje światła, żeby przejść przez wielką salę. Gdy doktor Hannibal Lecter mijają nas, czujemy ruch powietrza. Wielkie drzwi skrzypią, zamykają się z głuchym łoskotem, który czujemy od podłogi. Cisza.

Kroki w następnym pokoju. Tutaj ściany wydają się bliższe, choć sklepienie musi być także wysokie - ostre dźwięki odbijają się echem z opóźnieniem - a nieruchome powietrze wciąż jest nasycone zapachem papieru welinowego, pergaminu i zgaszonych knotów.

W mroku słychać szelest papierów, skrzypnięcie fotela. Doktor Lecter zasiada w wielkim fotelu w legendarnej bibliotece Capponich. Światło odbija się wprawdzie czerwono w jego oczach, lecz źrenice nie jarzą się czerwienią w ciemności, jak zapewniali niektórzy z jego opiekunów. Panuje absolutna ciemność. Lecter zastanawia się...

Jest prawda, że stworzył wakat w Palazzo Capponi, pozbywając się poprzedniego kustosza. Proste zadanie wymagało zaledwie chwili wysiłku i skromnego wydatku na dwie torby cementu. Lecz gdy już oczyścił sobie pole, zdobył stanowisko uczciwie, demonstrując przed Komisją Sztuk Pięknych wspaniałe zdolności lingwistyczne: tłumaczył średniowieczne włoskie i łacińskie teksty z manuskryptów zapisanych zbitym gotyckim pismem.

Odnalazł tutaj spokój - poza swoim poprzednikiem nie zabił nikogo - i chciał go zachować podczas pobytu we Florencji.

Stanowisko tłumacza i kustosza biblioteki Capponich było dla niego łakomym kąskiem z kilku powodów.

Przestrzeń, wysokość palacowych pomieszczeń przedstawiały dużą wartość dla człowieka, który lata spędził w ciasnej klatce. Co ważniejsze, czuł w pałacu odpowiednie wibracje. Był to jedyny prywatny budynek, który przypominał pałac wspomnień zachowywany od czasów młodości.

W bibliotece z unikatową kolekcją manuskryptów i listów pamiętających początek trzynastego wieku mogli zaspokoić ciekawość na własny temat.

Fragmentaryczne rodzinne zapiski przekonały doktora Lectera, że wywodzi się od niejakiego Giuliana Bevisanguego, przerażającej postaci dwunastowiecznej Toskanii, a także od Machiavellego i Viscontich. Znalazł się więc w idealnym miejscu do prowadzenia badań. Choć cała sprawa wzbudzała pewną ciekawość doktora, nie miała związku z jego *ego*. Doktor Lecter nie potrzebuje konwencjonalnego wzmocnienia psychologicznego. Jego *ego*, współczynnik inteligencji i stopień racjonalności nie mogą być mierzone konwencjonalnymi sposobami.

Wśród psychiatrów nie ma nawet zgody na to, czy doktora Lectera można określać mianem człowieka. Od dawna uważany był przez swoich kolegów po fachu - wielu obawia się jego złośliwych komentarzy w specjalistycznych pismach - za coś zupełnie innego. Dla wygody używają terminu „potwór”.

Potwór siedzi w ciemnej bibliotece, jego umysł maluje kolory w ciemności, a przez głowę przelatuje średniowieczne powietrze. Myśli o policjancie.

Pstrykniecie i zapala się lampa.

Teraz widzimy, że doktor Lecter siedzi w bibliotece Capponich przy szesnastowiecznym stole z refektarza. Ma za sobą ściągane posegregowanych w przegrodkach manuskryptów i wielkie, oprawne w płótno księgi sprzed osmiuset lat. Przed nim spoczywa sterta szesnastowiecznej korespondencji z ministrem Republiki Wenecji, przycisniona małym odlewem, który Michał Anioł zrobił jako studium rzeźby swojego Mojżesza. Obok kalamarza leży laptop z dostępem do Internetu przez uniwersytet w Mediolanie.

Wśród ciemnobrazowych i złotych stert pergaminu i welinu odcina się czerwienią i błękitem numer „National Tattler”. A obok niego florenckie wydanie „LaNazione”.

Doktor Lecter wybiera włoską gazetę i czyta najnowszy atak na Rinalda Pazzięgo, sprowokowany wyparciem się FBI odpowiedzialności za sprawę Il Mostro. „Tocca nigdy nie odpowiadał sporządzonemu przez nas portretowi psychologicznemu”, oświadczył rzecznik FBI.

W „La Nazione” powołano się na przeszłość Pazzięgo i jego szkolenie w Ameryce w słynnej akademii w Quantico. Z takim przygotowaniem nie powinien być się pomylić.

Sprawa Il Mostro w ogóle nie interesowała doktora Lectera, zainteresowała go natomiast przeszłość Pazzięgo. Co za nieszczęśliwy zbieg okoliczności, że spotkał policjanta szkolonego w Quantico, gdzie przypadek Hannibala Lectera omawiano w podręcznikach.

Doktor Lecter spojrzał Pazzięmu w twarz w Palazzo Vecchio i stał wystarczająco blisko, żeby go obwachać. Wiedział na pewno, że Pazzi niczego nie podejrzewa, mimo iż zapytał o bliźnię na lewej ręce. Nie wykazywał nawet większego zainteresowania sprawą zaginięcia kustosza.

Policjant zauważył go na wystawie narzędzi tortur. Szkoda, że do spotkania nie doszło na wystawie kwiatów.

Doktor Lecter doskonale zdawał sobie sprawę, że w głowie policjanta znajdują się wszystkie elementy układanki konieczne do dokonania odkrycia, lecz na razie objają się przypadkowo o siebie z milionami innych wiadomości.

Czy Rinaldo Pazzi powinien dołączyć do świętej pamięci kustosza Palazzo Vecchio na dnie rzeki? Czy ciało Pazzięgo powinno być znalezione po upozorowanym samobójstwie? Dziennikarze z „La Nazione” byliby zadowoleni, że udało im się zaszczyć go na śmierć.

Nie teraz, pomyślał potwór, odwracając się do pergaminowych i welinowych zwojów manuskryptów.

Doktor Lecter nigdy się nie martwił. Delektował się stylem Neriego Capponi, piętnastowiecznego bankiera i posła do Wenecji. Do późna w nocy czytał jego listy, od czasu do czasu - dla własnej przyjemności - na głos.



## ROZDZIAŁ 22

Przed switem Pazzi miał w rekach fotografie doktora Lectera dolaczone do pozwolenia na prace i negatywy do *permesso di soggiorno* z akt karabinierow. Dysponował rowniez wspanialymi zblizeniami z plakatu Masona Vergera. Twarze miały podobny kształt, ale jeśli doktor Fell był doktorem Hannibalem Lecterem, przeprowadzono korekte nosa i policzkow, prawdopodobnie za pomoca zastrzykow kolagenowych.

Uszy wygladaly obiecujaco. Niczym Alphonse Bertillon przed stu laty, Pazzi pochylal sie ze szklem powiekszajacym nad uszami. Wydawalo sie, ze sa takie same.

Na przestarzonym komputerze w komendzie policji Pazzi wstukal kod wstepu do amerykanskej bazy danych FBI i otworzyl przebogaty plik Lectera. Przeklinal powolny modem i probowal odczytywac zamazany tekst, zanim litery pojawialy sie wyrazniej na ekranie. Znal wiekszosc tych materialow, lecz dwie rzeczy zaparly mu dech w piersiach. Jedna stara i jedna nowa. Wedlug najnowszych doniesien Lecter przeszedl prawdopodobnie operacje reki. Dowodzi tego zdjecie rentgenowskie. Z kolei w starym zeskanowanym raporcie policji stanu Tennessee Pazzi przeczytal, ze Hannibal Lecter odtwarzal z tasmy *Wariacje Goldbergowskie*, gdy zabijal w Memphis straznikow.

Plakat zamieszczony przez bogatego Amerykanina, Masona Vergera, naklanial do przekazywania nowych informacji pod podany numer FBI. Jak zwykle ostrzegano, ze doktor Lecter jest uzbrojony i bardzo niebezpieczny. Podano rowniez prywatny numer telefonu, tuz pod wiadomoscia o ogromnej nagrodzie.

Bilet lotniczy z Florencji do Paryza jest skandalicznie drogi, a Pazzi musial go kupic, placac z wlasnej kieszeni. Nie wierzyl, ze francuska policja nie wmiesza sie do sprawy, wiec skorzystal z aparatu na karty kredytowe American Express, niedaleko budynku Opery i wybral prywatny numer z plakatu Masona. Przypuszczal, ze rozmowa bedzie kontrolowana. Dosc dobrze mowil po angielsku, ale wiedzial, ze akcent zdradzi, skad pochodzi.

Meski glos w sluchawce byl bardzo spokojny, mowil z amerykanskim akcentem.

- W jakiej sprawie pan dzwoni?

- Moge miec informacje dotyczaca Hannibala Lectera.

- W takim razie dziekuje za telefon. Wie pan, gdzie on teraz przebywa?

- Chyba tak. Czy nagroda jest wciaz aktualna?

- Owszem. Jakie ma pan dowody? Musi pan zrozumiec, ze dostajemy mnostwo falszywych sygnalow.

- Moge powiedziec, ze przeszedl operacje plastyczna twarzy i zoperowal lewa reke. Jest w stanie zagrac *Wariacje Goldbergowskie*. Ma brazylijskie dokumenty.

Cisza. I pytanie.

- Dlaczego nie zadzwonil pan na policje? Moim obowiazkiem jest naklonienie pana do tego.

- Czy nagroda zostanie wyplacona w kazdym przypadku?

- Nagroda przysluguje w przypadku, gdy podana informacja doprowadzi do aresztowania i skazania.

- A czy zostanie wyplacona w... specjalnych okolicznosciach?

- Ma pan na mysli osobe, ktora normalnie nie moglaby przyjac nagrody?

-Tak.

- Przyswieca nam ten sam cel. Prosze wiec sie nie rozlaczac, a ja cos zaproponuje. Wyznaczanie nagrody za czyjas smierc jest wbrew miedzynarodowym konwencjom i amerykanskiemu prawu. Prosze sie nie rozlaczac. Moge zapytac, czy dzwoni pan z Europy?

- Tak i nie powiem juz nic wiecej.

- Dobrze, ale prosze wysluchac mnie do konca. Proponuje, zeby skontaktowal sie pan z prawnikiem i omowil prawna strone przyjecia takiej nagrody. Prosze nie podejmowac zadnych nielegalnych krokow przeciw doktorowi Lecterowi. Czy moze polecic panu prawnika? W Genewie mamy kogos, kto doskonale zna sie na tych sprawach. Dam panu jego numer, rozmowy beda bezplatne. Goraco zachecam, zeby szczerze pan z nim porozmawial.

Pazzi kupil karte telefoniczna. Nastepna rozmowe - z osoba o suchym szwajcarskim glosie - przeprowadzil z budki w supermarkecie „Bon Marche”. Trwala niespelna piec minut.

Mason mial wyplacic milion amerykanskich dolarow za glowe i rece doktora Hannibala Lectera. Taka sama sume byl gotow wyplacic za informacje, ktora doprowadzi do jego aresztowania. Prywatnie natomiast mial wyplacic trzy miliony dolarow za zywego doktora - bez zadnych pytan, dyskrecja gwarantowana. Umowa przewidywala sto tysiecy dolarow zaliczki. Zeby ubiegac sie o zaliczke, Pazzi musialby dostarczyc rozpoznawalny ponad wszelka watpliwosc odcisk palca doktora Lectera, odcisk *in situ* na jakimś przedmiocie. Gdyby to zrobil, reszte gotowki moglby odebrac w dowolnym czasie z bankowego sejfu w Szwajcarii.

Przed udaniem sie na lotnisko Pazzi kupil w „Bon Marche” peniuar dla zony z brzoskwiniowej mory.

Jak zachowuje się ktoś, kto dochodzi do wniosku, że zwykle zaszczyty są do niczego? Kto powtarza za Markiem Aureliuszem, że opinia przyszłych pokoleń będzie warta tyle, ile opinia współczesnych? Czy w takiej sytuacji można się zachowywać godnie? Czy takie zachowanie jest pożądane?

Rinaldo Pazzi - z tych Pazzich - główny inspektor florenckiej policji, musiał zdecydować, jak bardzo zależy mu na dobrym imieniu i czy istnieje trwalsza mądrość niż względy honoru.

Wroczył z Paryża przed kolacją i pospał trochę. Chciał zasięgnąć opinii żony, ale nie mógł, choć znalazł w niej pocieszenie. Gdy jej oddech uspokoił się, leżał długo, nie mogąc zasnąć. Późno w nocy zrezygnował ze snu i wyszedł, żeby pospacerować i pomyśleć.

Chciwość nie jest rzadkością we Włoszech. Rinaldo Pazzi przesiaknął nią bardzo, wdychając włoskie powietrze. Jego naturalna zachłanność i ambicja pogłębiły się w Ameryce, gdzie szybciej ulega się wpływowi okoliczności takich, jak śmierć Jehowy czy potęga Mamony.

Pazzi wyszedł z zacienionej Loggia dei Lanzi i stanął na Piazza Signoria w miejscu, gdzie spalono Savonarole. Spojrzał na okno oświetlonego Palazzo Vecchio, gdzie zginął jego przodek. Wierzył, że wciąż się zastanawia. Ale tak nie było. Decyzję podjął już wcześniej.

Przeznaczamy na decyzje jakiś moment w czasie, żeby uczcić wydarzenie, będące ukoronowaniem racjonalnego i świadomego procesu myślenia. Ale decyzje powstają ze zwichrowanych uczuć. Często są składnikami, a nie sumą.

Pazzi podjął decyzję, zanim wszedł na pokład samolotu do Paryża. Podjął decyzję godzinę temu, gdy żona w nowym peniarzu posłusznie mu się oddała. Kilka minut później, leżąc w ciemności, wyciągnął rękę, żeby przyłożyć dłoń do jej policzka i pocałować ją czule na dobranoc. Wyczuł pod palcami łzę. Później, nieswiadomie, zjadła jego serce.

Zaszczyty? Kolejna szansa, żeby znosić oddech arcybiskupa, gdy świętym krzemieniem odpalano rakietę w kształcie gołębia? Pochwały od polityków, których prywatne grzeszki znalazł aż za dobrze? Coż warta była sława policjanta, który schwytał doktora Hannibala Lectera? Sława policjanta ma krótki żywot. Lepiej GO SPRZEDAC.

Myśl ta przeszła i wstrząsnęła Rinaldem. Był błędy, ale utwierdził się w swoim postanowieniu. Kiedy wzrokowiec Pazzi podejmował decyzję, w jego umyśle mieszały się dwa zapachy: żony i Zatoki Chesapeake.

SPRZEDAC GO. SPRZEDAC GO. SPRZEDAC GO. SPRZEDAC GO. SPRZEDAC GO.  
SPRZEDAC GO.

Francesco de'Pazzi nie uderzył mocniej w tysiąc czterysta siedemdziesiątym osmym, zakluwając na śmierć Guiliana na posadzce katedry, gdy w morderczym szale zadał sobie cios nożem w udo.

## ROZDZIAŁ 24

Karta z odciskami palców doktora Hannibala Lectera jest ciekawostką i przedmiotem swobodnego kultu. Jej oprawiony w ramkę oryginał wisi na ścianie w Sekcji Identyfikacyjnej FBI. Zgodnie ze zwyczajem FBI, przy pobieraniu odcisków od osób z więcej niż pięcioma palcami u ręki, kciuk i cztery sąsiednie palce są odcisnięte na awersie karty, a szósty odcisk znajduje się na odwrocie.

Odbitki karty powędrowały we wszystkie strony świata, gdy doktorowi udało się zbiec, a odcisk jego kciuka widnieje powiększony na plakacie Masona Vergera. Zaznaczono na nim tyle charakterystycznych punktów, że nawet osoba z minimalną praktyką potrafilaby rozpoznać linie papilarne doktora.

Zdejmowanie odcisków palców nie jest trudną sztuką. Pazzi mogłoby dokonać tego samodzielnie, a potem dla pewności przeprowadzić prostą analizę porównawczą. Ale Mason Verger domagał się świeżych odcisków, *in situ*, i nie zdjętych, aby jego eksperci mogli niezależnie je zbadać. Mason został już oszukany, gdy podesłano mu stare odciski palców zdjęte w miejscach pierwszych zbrodni doktora Lectera.

Ale jak zdobyć odciski palców doktora Fella, nie wzbudzając w nim podejrzeń? Przede wszystkim nie wolno przestraszyć doktora, który mogłoby z łatwością zniknąć. Wtedy Pazzi zostałaby z pustymi rękami.

Doktor rzadko opuszczał Palazzo Capponi, a następne spotkanie Komisji miało odbyć się dopiero za miesiąc. Pazzi musiałby czekać zbyt długo, żeby podstawić szklanke z wodą na miejscu dla doktora. A właściwie na wszystkich miejscach, bo Komisja Sztuk Pięknych nigdy nie zapewniała takich wygód.

Postanowiwszy sprzedać Hannibala Lectera Masonowi Vergerowi, Pazzi musiał działać sam. Nie mógł sobie pozwolić na zainteresowanie policji doktorem Fellem, starając się o nakaz rewizji Palazzo. Budynek był zbyt dobrze uzbrojony w alarmy, żeby mógł się włamać i zebrać odciski palców.

Pojemnik na śmieci doktora Fella wyglądał czystziej od innych na tej samej ulicy. Pazzi kupił nowy pojemnik i w środku nocy zamienił pokrywy. Galwanizowana powierzchnia nie była idealna i w rezultacie całonocnych wysiłków zdobył kosztowną plataninę odcisków, których nie potrafił zidentyfikować.

Następnego dnia rano pojawił się z zaczerwienionymi oczami na Ponte Vecchio. W sklepie jubilerskim kupił szeroką, polerowaną srebrną bransoletę i aksamitną podstawkę, na której ją wystawiono. W rzemieślniczej dzielnicy miasta na południe od Arno, w wąskich uliczkach naprzeciw pałacu Pittich, zlecił innemu jubilerowi, żeby usunął z bransolety dane producenta. Jubiler zaproponował pokrycie jej powłoką zapobiegającą matowieniu srebra, ale Pazzi nie zgodził się.

Sollicciano, budzące strach florenckie wiezienie przy drodze do Prato. Na pierwszym piętrem oddziału żeńskiego Romula Cjesku pochyliła się nad głębokim zlewem, namydliła piersi, obmyła je i starannie wytarła przed założeniem czystej luźnej bawełnianej koszuli. Inna Cyganka, która wracała właśnie z sali odwiedzin, powiedziała coś w przelocie do Romuli. Między brwiami Romuli pojawiła się mała zmarszczka. Jej piękna twarz zachowała swój zwyczajny poważny wyraz.

Pozwolono jej zejść ze stanowiska w pralni jak zwykle o osmej trzydziestu rano, lecz gdy zbliżała się do sali odwiedzin, strażnik zagroził jej drogę i zaprowadził do prywatnego pokoju widzeń na parterze więzienia. Tam zamiast pielęgniarki stał Rinaldo Pazzi i trzymał na rękach jej małego synka...

- Witaj, Romulo - powiedział.

Podeszła od razu do wysokiego policjanta. Nie było mowy, żeby nie oddał jej dziecka. Niemowlę było głodne i rwało się do jej piersi. Ruchem głowy Pazzi wskazał parawan w kącie pokoju.

- Za parawanem stoi krzesło. Porozmawiamy sobie podczas karmienia.

- O czym, *Dottore*? - Romula mówiła znośnie po włosku, tak jak po francusku, angielsku, hiszpańsku i romsku. Mówiła bez afektacji - aktorskie wysiłki nie ochroniły jej przed trzymiesięczną karą więzienia, która odsiadywała za kradzież.

Przeszła za parawan. W plastikowej torebce ukrytej w dziecięcych pieluchach znalazła czterdzieści papierosów i sześćdziesiąt pięć tysięcy lirow w zniszczonych banknotach, równoważące ponad czterdzieści dolarów. Musiała podjąć decyzję. Jeśli policjant przeszukał dziecko, mógł oskarżyć ją o zabranie przemyconych rzeczy, a wtedy odebrano by jej wszystkie przywileje. Pomyślała przez chwilę, spoglądając na sufit, gdy dziecko ssalo pierś. Nie zawracałby sobie tym głowy. I tak miał nad nią przewagę. Wyjęła torebkę i ukryła ją w bieliznie. Zza parawanu rozległ się jego głos.

- Tylko ty z toba kłopot, Romulo. Karmiace matki w więzieniu to strata czasu. Pielęgniarki mają tu naprawdę chorych ludzi do opieki. Pewnie nie znosisz chwili, kiedy widzenie się kończy i musisz oddać chłopca?

Czego mógł chcieć? Dobrze wiedziała, kim jest: szycza, *Pezzo da novanta*, niezłym draniem.

Romula żyła z obserwacji ulic i okradania przechodniów. Była zahartowana trzydziestopięcioletka i miała czułki jak wielka cma księżycowa. Policjant - przyglądała mu się znad parawanu - wyglądał bardzo schludnie: obrączka, wypolerowane buty. Mieszka z żoną, lecz zatrudniają służącą - po prasowaniu włożyła mu pod kołnierz wkładki usztywniające. Portfel w kieszeni marynarki, klucze w prawej przedniej kieszeni spodni, pieniądze w lewej przedniej kieszeni, złożone płasko, prawdopodobnie spięte gumką. Między kieszeniami penis. Sylwetka płaska i meska, ucho nieco poszarpane, blizna od ciosu na czole. Nie przyszedł tutaj, żeby prosić ją o seks - gdyby miał taki zamiar, nie przynosiłby dziecka. Nie wyglądał jak model, ale też nie musiał chyba uprawiać seksu z więźniarkami. Lepiej nie patrzeć w jego zgorzkniałe czarne oczy podczas

karmienia. Po co przyniosł dziecko? Bo chce jej pokazać, że ma władzę, zasugerować, że mogłoby odebrać jej syna. Czego chce? Informacji? Powie mu, cokolwiek zechce, o piętnastu Cyganach, którzy nigdy nie istnieli. Dobra, a co będzie z tego miała? Zobaczymy. Pokażmy mu kawałek brodawki.

Wychodząc zza parawanu, obserwowała jego twarz, gdy patrzył na brązowe aureole przy głowie dziecka.

- Gorąco tutaj - oznajmiła. - Można otworzyć okno?

- Mogłbym się postarać o więcej, Romulo. Mogłbym otworzyć drzwi, i dobrze o tym wiesz.

Cisza w pokoju. Na zewnątrz odgłosy Sollicciano jak nieustanny, przytępiony ból głowy.

- Czego pan chce? Z przyjemnością coś zrobię, ale nie wszystko. - Instynkt słusznie jej odpowiedział, że tym zastrzeżeniem zaskarbi sobie szacunek policjanta.

- To tylko *la tua solita cosa*, coś, czym się zwykle zajmujesz - odparł Pazzi - ale chciałbym, żebyś tym razem odstawiła fuszerkę.

## ROZDZIAŁ 25

Za dnia obserwowali fronton Palazzo Capponi zza żaluzji wysokiego okna w mieszkaniu po drugiej stronie ulicy - Romula, starsza Cyganka, która pomagała przy dziecku i mogła być kuzynką Romuli, oraz Pazzi. Wykradał jak najwięcej czasu z godzin pracy.

Drewniane ramie, z którego Romula korzystała w pracy, czekało na fotelu w sypialni.

Pazzi uzyskał zgodę na korzystanie z mieszkania za dnia od nauczyciela z pobliskiej szkoły imienia Dantego Alighieri. Romula natychmiast zarekwirowała jedną polkę w małej lodówce dla siebie i dziecka.

Nie musieli czekać długo.

Drugiego dnia o dziewiątej trzydziestu rano pomocnica Romuli syknęła ze swojego miejsca przy oknie. Po drugiej stronie ukazała się czarna otchłań, gdy potężne drzwi palacu otworzyły się do środka.

I oto pojawił się on: człowiek znany we Florencji jako doktor Fell, niski i drobny, w ciemnym ubraniu, z włosami błyszczącymi jak futro norki. Wyszedł na dwór, rozglądając się po ulicy w jedną i drugą stronę. Wcisnął pilota, żeby uruchomić urządzenia alarmowe i zatrząsnął drzwiami, ciągnąc za masywną klamkę z kutego *zelaza*. Była przezarta rdzą, więc zdjęcie odcisków było niemożliwe. Niosł w ręku torbę na zakupy.

Widząc doktora Fella po raz pierwszy przez szpary w żaluzjach, starsza Cyganka chwyciła

Romule za reke, jak gdyby chciała ja powstrzymać. Spojrzała jej w twarz i pokreciła gwałtownie głowa, gdy policjant nie patrzył w ich stronę.

Pazzi wiedział od razu, gdzie wybiera się doktor.

W smieciach doktora Fella Pazzi znalazł charakterystyczne papierowe opakowania ze znakomitego sklepu spożywczego „Vera dal 1926” na San Jacopo, niedaleko mostu Santa Trinita. Doktor ruszył teraz w tym kierunku. Romula zarzuciła na siebie kostium, a Pazzi wyglądał przez okno.

- *Dunque*, idzie na zakupy - powiedział Pazzi. Nie mógł się powstrzymać i po raz piąty poinstruował Romulę, co ma robić. - Idź za nim. Poczekasz po tej stronie Ponte Vecchio, aż będzie wracał z pełną torbą w reku. Ja będę szedł kilkanaście metrów przed nim, więc najpierw zobaczysz mnie. Będzie się tu krecił w pobliżu. Jeśli wyniknie jakiś problem, jeśli zostaniesz aresztowana, zajmę się tym. Jeśli pojedzie gdzieś indziej, wróć do mieszkania. Zadzwoń do ciebie. Pokaż te przepustki taksówkarzowi i przyjedź do mnie.

- *Eminenza* - powiedziała Romula z ironicznym unizieniem - jeśli będzie jakieś kłopoty i ktoś mi pomoże, proszę nie robić mu krzywdy. Mój przyjaciel nic nie weźmie, niech ucieka.

Pazzi nie czekał na windę i zbiegł pedem po schodach w zabrudzonym kombinezonie i czapce na głowie. We Florencji trudno kogoś śledzić. Chodniki są wąskie, a kierowcy nie mają żadnego szacunku dla ludzkiego życia. Na Pazziego czekał przy krawężniku wysłużony skuter z pekiem przywiązanych do niego mioteł. Zapalił przy pierwszym kopie i główny inspektor pomknął w obłoczku niebieskiego dymu po kocich łbach. Mały pojazd podskakiwał i Pazzi czuł się, jakby miał pod sobą małego rozbrykanego osła.

Zwolnił, ściągając na siebie gniew trabiacych kierowców. Kupił papierosy i zabijał czas, trzymając się z tyłu, aż upewnił się, dokąd zmierza doktor Fell. Skończyła się Via de'Bardi, a zaczęła Borgo San Jacopo, jednokierunkowa ulica z zakazem wjazdu. Zostawił skuter na chodniku i ruszył dalej pieszo, manewrując szczupłym ciałem, żeby przedrzeć się przez tłum turystów na południowym krancu Ponte Vecchio.

Florentynscy twierdzą, że „Vera dal 1926” z wystawiana tam obfitością serów i trufli pachnie jak stopy Boga.

Doktor zniknął na długo. Wybierał pierwsze białe trufle w tym sezonie. Pazzi widział jego plecy przez szybę za wspaniałą ekspozycją szynek i makaronów.

Doszedł do skrzyżowania i zawrócił. Umył twarz w fontannie, gdzie woda tryskała z innej, wasatej twarzy o łwich uszach.

- Musiałbys zgolic te wasy, żeby dla mnie pracować - powiedział do fontanny nad zimną kula brzucha.

Doktor wyszedł ze sklepu z kilkoma lekkimi pakunkami w torbie. Szedł ulicą Borgo San Jacopo w stronę domu. Pazzi ruszył do przodu po drugiej stronie ulicy. Tłum na wąskim chodniku zmusił go

do zejścia na jezdnię. Boczne lusterko przejeżdżającego samochodu patrolowego karabinierów uderzyło go bolesnie w nadgarstek.

- *Stromo! Analfabeta!* - ryknął przez okno kierowca i Pazzi poprzysiągł zemstę. Gdy dotarł do Ponte Vecchio, miał już czterdziestometrową przewagę.

Romula stała w drzwiach z dzieckiem na drewnianym ramieniu, wyciągając drugą dłoń do przechodniów. Pod luznym ubraniem trzymała wolną rękę, żeby wyciągnąć kolejny portfel, a ukradła ich już w swoim życiu ponad dwadzieścia. Na ukrytej ręce miała szeroką, dobrze wypolerowaną srebrną bransoletę.

Za chwilę ofiara przejdzie przez tłum schodzący ze starego mostu. Gdy wyjdzie na Via de'Bardi, Romula zbliży się do niego, wykona zadanie i wtopi się w strumień turystów na moście.

W tłumie czekał przyjaciel Romuli. Mogła na nim polegać. Nic nie wiedziała o swojej ofierze. Nie wierzyła, że policjant ją ochroni. Giles Prevert, znany w niektórych policyjnych kartotekach jako Giles Dumain lub Roger LeDuc, przez miejscowych nazywany Gnocco, czekał w tłumie na południowym krancu Ponte Vecchio, aż Romula zrobi swoje. Był wychudzony, jego twarz powoli zaczynała przypominać czaszkę, choć wciąż był energiczny i silny. Romula mogła liczyć na jego pomoc, gdyby zadanie się nie powiodło.

W garniturze nie odróżniał się od tłumu. Od czasu do czasu wyciągał szyję jak pies stepowy. Gdyby okradany złapał Romulę, Gnocco miał się potknąć, wpasć na niego i przytrzymać, wylewnie przepraszając, aż Romula się ulotni. Te sztuczki wykonywał już wielokrotnie.

Pazzi minął Romulę i stanął w kolejce do baru z napojami, skąd mógł ją obserwować.

Romula wyszła z drzwi. Wprawnym okiem oceniła przechodniów na chodniku między nią a drobną figurą zmierzającą w jej stronę. Potrafiła bardzo sprawnie poruszać się w tłumie z dzieckiem wspartym na drewniano-płociennym ramieniu. W porządku. Jak zwykle zamierzała pocałować dłoń i dotknąć nią jego twarzy. Wolna ręka miała pogrzebac przy zębach w okolicach portfela, żeby chwycił ją za nadgarstek. Wtedy mu się wyrwie.

Pazzi zapewnił ją, że ten człowiek nie może sobie pozwolić na zawiadomienie policji, że będzie się chciał od niej uwolnić. Podczas wszystkich jej złodziejskich prób nikt nie użył przemocy wobec kobiety z dzieckiem na rękach. Ofiary często myślały, że to ktoś inny grzebał w ich kurtkach. Sama Romula kilka razy oskarżyła niewinnych gapiów o kradzież.

Poruszała się w tłumie na chodniku, uwolniła ukrytą rękę, ale trzymała ją pod kikutem obejmującym dziecko. Widziała punkt, który przesuwiał się przez pole podskakujących głów w odległości dziesięciu metrów, coraz bliżej.

*Madonna!* Doktor Fell skreślił z tłumem na Ponte Vecchio. Nie wracał do domu. Wcisnęła się w tłum, ale nie mogła się do niego dostać. Twarz Gnocca, który wciąż wyprzedzał ofiarę, spoglądała w jej stronę pytająco. Pokreciła głową i Gnocco przepuścił doktora. Na nic by się zdało, gdyby ukradł mu teraz portfel.



- Wracaj do mieszkania. - Pazzi warknal na nia, jak gdyby była czemus wina. - Zadzwoń do ciebie. Masz przepustkę na Stare Miasto? Idź. Idź już!

Wrocil do skutera i przepchnal go przez Ponte Vecchio nad metna jak jadeit rzeka Arno. Pomyslal, ze zgubil Fella, ale zaraz wylowil go z tlumu: po drugiej stronie rzeki pod arkada. Fell zajrzal na chwile przez ramie rysownika i poszedl dalej szybkim, lekkim krokiem. Pazzi zgadl, ze doktor kieruje sie do kosciola Santa Croce i ruszyl za nim z zachowaniem odpowiedniej odleglosci, przedzierajac sie przez piekielna cizbe.

## ROZDZIAŁ 26

Przestronne wnetrza kosciola Santa Croce, siedziby zakonu franciszkanow, rozbrzmiewaja osmioma jezykami, gdy hordy turystow powlocza nogami, sunac za jaskrawymi parasolami przewodnikow i wygrzebujac z kieszeni dwustulirowki, zeby zaplacic za oswietlenie wspanialych freskow w kaplicach przez jedna cenna minute zycia.

Romula wkroczyła do kosciola, zostawiając za sobą poranne słońce. Musiała zatrzymać się na chwile przy nagrobku Michała Aniola, żeby pozwolić oczom przyzwyczać się do mroku. Gdy zobaczyła, że stoi na płycie nagrobnej, szepnęła „*M' dispiacer*” i natychmiast się odsunęła. Dla Romuli tłum martwych pod podłoga był równie rzeczywisty, i być może nawet bardziej znaczący, niż ludzie w kościele. Była córka i wnuczka spirytystów i chiromantów. Postrzegala ludzi w kościele i pochowanych tam zmarłych jako dwie grupy przedzielone szybą śmiertelności. Ci na dole - starsi i mądrzejsi - mieli, jej zdaniem, przewagę.

Rozejrzała się za kościelnym - bardzo uprzedzonym do Cyganów - schroniła się za pierwszym filarem przy obrazie *Madonna del Latte* Rosselina. Dziecko wciskało twarz między jej piersi. Wkrótce znalazł ją Pazzi, który czaił się przy grobowcu Galileusza.

Ruchem głowy wskazał tylną część kościoła, gdzie za transeptem reflektory i zakazane flesze aparatów rozświetlały głęboki mrok niczym błyskawice, a trzaskające liczniki polykały monety dwustulirowe, zetony i australijskie czterechdolarówki.

Chrystus nieustannie rodził się, był zdradzany i umierał na krzyżu. Wielkie freski ukazywały się przez chwile w jasnym świetle, po czym znowu spowijał je mrok. Stłoczeni turyści sciskali w rekach przewodniki, których nie widzieli, a odor ludzkich ciał wlatywał do góry, gotując się w żarze lamp.

W lewej nawie poprzecznej doktor Fell pracował w kaplicy Capponich. Przepiękna kaplica Santa Felicita, odnowiona w dwudziestym wieku, zainteresowała doktora Fella, ponieważ potrafił czytać przeszłość przez zasłone renowacji. Kalkował węglem na papierze napis w kamieniu, tak zniszczony, że nawet ukosne światło nie pozwalało go odczytać.

Patrzac przez maly monokl, Pazzi zrozumial, dlaczego doktor wyszedl z domu tylko z torba na zakupy: narzedzia mial schowane za oltarzem kaplicy. Przez chwile zastanawial sie nad odwolaniem

Romuli. Mogł przecież zdjąć odciski z narzędzi. Ale doktor pracował w bawelnianych rękawiczkach, które chroniły jego ręce przed węglem.

Sytuacja stawała się kłopotliwa. Technika Romuli przystosowana była do warunków ulicznych. Cyganka przynajmniej jednak nie spłoszy doktora. Nie skłoni go do ucieczki. Nie. Jeśli ją złapie, odda w ręce kościelnego i Pazzi później się o nią zatroszczy.

Ale to szalenie. A jeśli ją zabije? Jeśli zabije dziecko? Pazzi zadał sobie dwa pytania. Czy stanie do walki z doktorem, jeśli sytuacja zrobi się groźna? Tak. Czy jest skłonny narazić Romulę i jej dziecko na niewielkie obrażenia, żeby dostać nagrodę? Tak.

Beda musieli po prostu poczekać, aż doktor Fell zdejmie rękawiczki i pójdzie na obiad. Śnijąc się po transepcie w jedną i drugą stronę, Pazzi i Romula mieli okazję zamienić słowo. Pazzi zauważył czyjaś twarz w tłumie.

- Kto za toba chodzi, Romulo? Lepiej mi powiedz. Już widziałem tę twarz za kratkami.

- Mój przyjaciel, zablokuje drogę, jeśli będę musiała uciekać. Nic nie wie. Zupełnie nic. Lepiej dla pana. Nie musi pan się narazić.

Żeby zabić czas, modlili się w kilku kaplicach. Romula szeptała w języku, którego Pazzi nie rozumiał, a on miał długą listę życzeń do uwzględnienia w modlitwach, zwłaszcza dom na wybrzeżu Chesapeake i coś, o czym nie powinien był myśleć w kościele.

Nad ogólnym hałasem wzniosły się słodkie głosy chóru.

Zabrział dzwon. O tej porze zamykano kościół na parę godzin. Zjawili się kościelni, pobrzekując kluczami, gotowi do opróżnienia pojemników z monet.

Doktor Fell przerwał pracę i wyszedł zza zdobiącej kaplice *Piety* Andreottiego, zdjął rękawiczki i założył kurtkę. Stłoczona w świątyni duża grupa Japonczyków wydała już wszystkie monety i tkwiła w ciemnościach, nie rozumiejąc jeszcze, że musi wyjść.

Pazzi szturchnął Romulę. Niepotrzebnie. Wiedziała, że nadszedł jej czas. Ucałowała główkę dziecka, które leżało na drewnianym ramieniu.

W panującym tłoku doktor musiał przejść obok Cyganki. Zbliżyła się do niego trzema długimi krokami i podniosła rękę do góry, żeby zwrócić jego uwagę. Pocałowała palce u dłoni i przygotowała się, żeby przycisnąć je do policzka doktora, gdy tymczasem ukryta ręka czekała na swoją kolej.

Ktoś w tłumie znalazł jeszcze jedną dwustuliorową monetę i w chwili, gdy Romula dotykała doktora Fella, rozbłysło światło. Ujrzała jego twarz. Poczula, jak czerwone ogniki w jego zrenicach wsysają ją, poczula jak wielka zimna proźnia chwyta ją przez zębra za serce. Błyskawicznie oderwała rękę od jego twarzy i zasłoniła główkę dziecka. Usłyszała swój głos: „*Perdonami, perdonami, signore*...”. Odwróciła się i odbiegła, a on przez długą chwilę patrzył za nią. Światło zgasło i znowu stał się sylwetka na tle świec w kaplicy. Wtedy szybkimi, lekkimi krokami ruszył w swoją

strone.

Blady ze zlosci Pazzi znalazl Romule. Opierala sie o chrzcielnice, obmywajac swiecona woda glowke dziecka i oczy, na wypadek, gdyby spojrzalo na doktora Fella. Przeklenstwa uwiezly mu w gardle, gdy ujrzal jej przerazona twarz.

Oczy Cyganki wydawaly sie ogromne w mroku.

- To diabel - powiedziala. - Szatan, syn ciemnosci, widzialam go.

- Odwioze cie do wiezienia - oznajmil Pazzi.

Romula spojrzala na twarz dziecka i westchnela. Westchnienie bylo tak glebokie i pelne rezygnacji, ze Pazziemu zrobilo sie nieprzyjemnie. Zdjela szeroka srebrna bransoleta i umyla ja w swieconej wodzie.

- Jeszcze nie - odparla.

## ROZDZIAI 27

Gdyby Rinaldo Pazzi zdecydowal sie spelnic swoj policyjny obowiazek, moglby zatrzymac doktora Fella i bardzo szybko ustalic, czy jest on Hannibalem Lecterem. W ciagu pol godziny mogl zdobyc pozwolenie na usuniecie doktora Fella z Palazzo Capponi i wszystkie zainstalowane w palacu systemy alarmowe nie zdolalyby go powstrzymac. Na wlasna reke mogl zatrzymac doktora Fella na wystarczajaco dlugo, zeby ustalic jego tozsamosc.

Policja w ciagu dziesieciu minut mogla okreslic na podstawie odciskow palcow, czy Fell i doktor Lecter to ta sama osoba. Testy DNA potwierdzilyby identyfikacje.

Ale teraz Pazzi musial obyc sie bez tych udogodnien. Z chwila, gdy postanowil sprzedac doktora Lectera, przedzierzgnal sie z policjanta w lowce nagrod. Musial dzialac samotnie, poza prawem. Nie mial zadnego pozytku nawet z policyjnych kapusiow, ktorych trzymal w garosci. Szybko doniesliby rowniez na niego.

Te utrudnienia denerwowaly go, ale sie nie poddawal. Skorzysta z pomocy tych cholernych Cyganow...

- Czy Gnocco zrobilby to dla ciebie, Romulo? Mozesz go odnalezc? - Znajdowali sie w salonie wynajetego mieszkania na Via de'Bardi, naprzeciw Palazzo Capponi, dwanasce godzin po nieudanej akcji w kosciele Santa Croce. Niska lampa na stole oswietlala pokoj do polowy jego wysokosci. Czarne oczy Pazziego blyszczaly w polmroku nad kregiem swiatla.

- Sama to zrobie, ale bez dziecka - zapewnila Romula. - Ale musi mi pan dac...

- Nie. Nie może cię zobaczyć po raz drugi. Czy Gnocco robi to dla ciebie?

Romula siedziała zgięta w pol w długiej kolorowej sukience. Jej pełne piersi dotykały ud, a głowa niemal kolan. Drewniana reka leżała porzucona na krzesle. W kacie starsza kobieta, prawdopodobnie kuzynka Romuli, trzymała dziecko. Okna były zasłonięte. Wyglądając przez malenka szparke zza zasłon, Pazzi widział wysoko w Palazzo Capponi słabe światelko.

- Sama sobie poradzę, mogę zmienić wygląd, żeby mnie nie poznał. Mogę...

- Nie.

- No więc robi to Esmeralda.

- Nie. - Głos dobiegł z kata, starsza kobieta odezwała się po raz pierwszy. - Będę się opiekować dzieckiem do śmierci, Romulo. Ale nigdy nie dotkne Szatana. - Pazzi ledwo mógł zrozumieć jej włoski.

Wyprostuj się, Romulo - poprosił Pazzi. - Spójrz na mnie. Czy Gnocco robi to dla ciebie? Romulo, dziś wieczorem wracasz do Sollicciano. Masz jeszcze do odsiedzenia trzy miesiące. Możliwe, że gdy następnym razem dostaniesz pieniądze i papierosy w pieluchach dziecka, złapie cię... Mogłbym załatwić ci dodatkowe sześć miesięcy za ostatni przemyt. Mogłbym z łatwością doprowadzić do odebrania ci dziecka przez sąd. Ale jeśli zdobędę odciski palców, zostaniesz zwolniona, dostaniesz dwa miliony lirow, twoje akta znikną i pomogę wam załatwić wizę do Australii. Czy Gnocco robi to dla ciebie?

Nie odpowiedziała.

- Możesz go odnaleźć? - Pazzi wciągnął głośno powietrze przez nos. - *Senti*, zbieraj swoje rzeczy, możesz odebrać z przechowalni sztuczną reke za trzy miesiące lub w przyszłym roku. Dziecko pojedzie do przytulka. Staruszka może je tam odwiedzać.

- Je? Może je odwiedzać, *Commendatore*? Chłopiec ma na imię... - Pokręciła głową, nie chcąc wyjawiać przy nim imienia dziecka. Ukryła twarz w dłoniach, wyczuwając dwa bijące razem tętna: na twarzy i w rekach. Odezwała się wreszcie zza zasłony rak. - Mogę go znaleźć.

- Gdzie?

- Na placu Santo Spirito przy fontannie. Rozpalają tam ognisko i piją wino.

- Pojdziesz z tobą.

- Lepiej nie. Zrujnowałbys mu reputację. Będziesz tu miał Esmeralde i dziecko: gwarancję, że wróce!

Santo Spirito, urokliwy plac na zachodnim brzegu rzeki Arno, w nocy zrobił się mniej przyjazny. O tak późnej porze kościół był zamknięty i ciemny, a z popularnego baru „Casalinga” dobiegał gwar i zapachy jedzenia.

Przy fontannie slychac bylo trzaski malego ogniska i dzwieki cyganskiej gitary. Gral ktos, kto brak talentu nadrabial entuzjazmem. Wsrod zebranych byl jeden dobry spiewak *fado*. Gdy sie ujawnil, wypchnieto go do przodu i napojono winem z kilku butelek. Zaczal piesn o przeznaczeniu, lecz przerwaly mu natarczywe prosby o cos weselszego.

Roger LeDuc, znany rowniez jako Gnocco, siedzial na murku fontanny. Musial cos wypalic. Mial zamglony wzrok, ale dostrzegl w tlumie za ogniskiem Romule. Kupil dwie pomarancze od ulicznego sprzedawcy i poszedl za nia, oddalajac sie od spiewow. Zatrzymali sie pod uliczna lampa, z dala od ognia. Tutaj swiatlo bylo zimniejsze i przefiltrowane przez liscie pozostale na schnacym klonie. Blada twarz Gnocca w tym oswietleniu miala zielonkawy kolor i gdy Romula spojrzala na niego, kladac mu reke na ramieniu, cienie lisci wygladaly jak ruchome since.

Wysunal z garsci ostrze jak maly polyskujacy jezyk i zaczal obierac pomarancze. Skorka zwisala w jednym dlugim kawalku. Podal jej pierwsza pomarancze. Cyganka wlozyla do ust jedna czastke, gdy on obieral juz drugi owoc.

Rozmawiali krotko po cygansku. Raz wzruszyl ramionami. Podala mu telefon komorkowy i pokazala przyciski. W uchu Gnocca zabrzmial glos Pazziego. Po chwili Gnocco zlozyl telefon i wsunal go do kieszeni.

Romula zdjela wisiorek na lancuszk, pocalowala i zawiesila na szyi drobnego, brudnego mezczyzny maly medalik. Podskoczyl, udawal, ze swiety wizerunek parzy go. Wywolal na twarzy Romuli slaby usmiech. Zdjela szeroka bransolete, ktora wsunela mu na reke. Weszla z latwoscia. Gnocco mial rece nie wieksze niz Romula.

- Mozesz zostac ze mna godzinie? - zapytal.

- Tak - odpowiedziala.

## ROZDZIAI 28

Znow noc, przestronna kamienna sala w Forte di Belvedere, wystawa „Okrutne narzedzia tortur". Doktor Fell opiera sie swobodnie o sciane pod wiszacymi klatkami dla skazancow.

Rejestruje przejawy potepienia na zadnych wrazen twarzach zwiedzajacych, ktorzy tlocza sie wokol narzedzi tortur, uprawiajac erotyczny *frottage*. Maja szeroko otwarte oczy, wlosy staja im na karku i czuja gorace oddechy na szyjach i policzkach. Czasem doktor przyciska perfumowana chusteczke do twarzy, chroniac sie od zbyt duzego stezenia w powietrzu wody kolonskiej i zapachu ludzkich wydzielin.

Ci, ktorzy czyhaja na doktora, czekaja na zewnatrz.

Mijaja godziny. Doktor Fell, ktory prawie nie dostrzegal wystawionych eksponatow, nie moze

sie napatrzec na ludzki roj. Kilka osob czuje na sobie

jego wzrok i robi im sie nieswojo. Czesto kobiety z tlumu spogladaja na niego ze szczegolnym zainteresowaniem, zanim strumien przesuwejacych sie ludzi nie pociagnie ich ze soba. Mala sumka wyplacona organizatorom wystawy pozwala doktorowi na swobodne poruszanie sie. Jest nietykalny za wytyczajacymi trase wystawy sznurami, stoi nieruchomo oparty o kamienny mur.

Na zewnatrz w siapiacym deszczu Rinaldo Pazzi trzyma warte przy murze obronnym. Jest przyzwyczajony do czekania.

Pazzi wiedzial, ze doktor nie wroci do domu na piechote. Za fortem, na malym placu czekal na niego samochod. Czarny jaguar sedan ze szwajcarskimi numerami rejestracyjnymi, elegancki, lśniacy w deszczu trzydziestoletni mark II. Pazzi nie widzial nigdy ladniejszego jaguara. Najwyrazniej doktor Fell nie musial pracowac dla pieniedzy. Pazzi spisal numery, ale nie mogl zaryzykowac, sprawdzajac je za posrednictwem Interpolu.

Na stromej, brukowanej Via San Leonardo miedzy Forte Belvedere i zaparkowanym samochodem czekal Gnocco. Po obu stronach slabo oswietlonej ulicy ciagnely sie wysokie kamienne mury, za ktorymi kryly sie bogate wille. Gnocco znalazl ciemna nisze przed zakratowana brama wjazdowa, gdzie mogl schronic sie przed strumieniem wylewajacych sie z fortu turystow. Co dziesiec minut czul na udzie wibracje telefonu komorkowego i musial potwierdzic, ze jest na stanowisku.

Niektorzy przechodzacy turysci mapami i programami zakrywali glowy przed drobnym deszczem. Waski chodnik byl zatloczony, a ludzie schodzili na jezdnie, zmuszajac kilka taksowek, ktore wyjezdzaly spod fortu, do zmniejszenia predkosci.

W wysokiej sali z narzedziami tortur doktor Fell wreszcie odkleil sie od sciany, o ktora sie opieral. Zwrocil oczy ku szkieletowi w wiszacej nad nim klatce, jak gdyby mieli jakis wspolny sekret, po czym ruszyl przez tlum w strone wyjścia.

Pazzi zobaczyl jego sylwetke w drzwiach i po chwili raz jeszcze w swietle reflektora. Szedl za nim w pewnej odleglosci. Gdy upewnil sie, ze doktor wraca do samochodu, wyjal telefon komorkowy i uprzedzil Gnocca.

Glowa Cygana wysunela sie z kolnierza jak glowa zolwia ze skorupy. Przy zapadnietych - jak u zolwia - oczach, przypominala czaszke. Podciagnal rekaw az za lokiec i splunal na bransolete, wycierajac ja do sucha szmatka. Teraz, gdy srebro zostalo wypolerowane slina i swiecona woda, schowal reke za siebie pod plaszcz, zeby nie zamoczyc bransolety, gdy bedzie wygladal z bramy. Nadchodzila kolumna podskakujacych glow. Gnocco przecisnal sie przez cizbe na ulice, gdzie mogl isc pod prad i miec lepszy widok. Bez pomocnika musial sam wpasc na ofiare i zanurzyc reke pod ubranie. Zaden problem, skoro proba miala zakonczyc sie niepowodzeniem. Wtem ujrzal drobnego mezczyzne - przy krawezniku, dzieki Bogu. Pazzi szedl trzydziesci metrow za doktorem.

Gnocco blyskawicznie znalazl sie przy chodniku. Wykorzystal fakt, ze akurat przejezdzala taksowka. Odskoczyl od niej i ogladajac sie za siebie, zeby

zwymyslać taksowkarza, wpadł na doktora Fella. Wsunął rękę pod jego kurtkę. Poczł silny ucisk, cios i wyrwał się doktorowi, który nawet nie przystanął, tylko oddalił się ze strumieniem turystów, zostawiając Gnocco za sobą.

Niemal natychmiast w niszy przed żelazną bramą znalazł się Pazzi. Gnocco pochylił się na chwilę i wyprostował, dysząc ciężko.

- Udało się. Złapał mnie za rękę. *Cornuto* chciał uderzyć mnie w jaja, ale spudłował - relacjonował Gnocco.

Pazzi przykleknął i ostrożnie próbował ściągnąć bransoletę z jego ramienia. Gnocco poczuł na nodze coś ciepłego i mokrego. Poruszył się, gorący strumień krwi tetnicznej trysnął przez dziurę w spodniach na twarz i rękę Pazziego, który usiłował zsunąć bransoletę, trzymając ją tylko za krawędzie. Krew tryskała wszędzie. Oblała twarz Gnocco, gdy pochylił się, żeby sprawdzić, co mu się stało. Nogi ugięły się pod nim. Padł na kolana przy bramie, przytrzymując się jedną ręką krat, a druga próbując zatamować krew buchającą z rozciętej tetnicy.

Czując lodowaty dreszcz, który zawsze towarzyszył mu w ciężkich chwilach, Pazzi objął Gnocco ramieniem, odwrócił od przechodniów w stronę zalanej krwią bramy i położył na boku.

Wyjął z kieszeni telefon komórkowy i udał, że wzywa karetkę. Telefon był jednak wyłączony. Rozpiął płaszcz i rozpostarł go jak jastrząb spadający na ofiarę. Mijali ich przechodnie, ale nie okazali zainteresowania. Pazzi włożył bransoletę do małego pudełka, które miał przy sobie. Schował do kieszeni telefon Gnocco.

Cygan poruszył ustami.

- Madonna, che freddo.

Wysiłkiem woli Pazzi odsunął słabnącą rękę Gnocco od rany i trzymał ją w fałszywym geście pocieszenia, pozwalając mu się wykrwawić. Gdy miał już pewność, że Gnocco nie żyje, zostawił go przy bramie z głową opartą na ramieniu, jakby spał, i wmieszał się w tłum.

Na placu wypatrzył puste miejsce parkingowe. Deszcz zaczął moczyc bruk osłonięty wcześniej przez jaguara doktora Lectera.

Doktor Lecter. Pazzi nie nazywał go już w myślach doktorem Fellem. To był doktor Hannibal Lecter.

Dowód satysfakcjonujący Masona mógł znajdować się w kieszeni płaszcza Pazziego. Dowód satysfakcjonujący Pazziego skapywał przez kieszeń na jego buty.

## ROZDZIAŁ 29

Rozlewający się od wschodu słońca gwiazdy na niebie nad Genuą. Stare alfa romeo Rinalda Pazziego zajęło z cichym szmerem silnika do portu.

Chłodny wiatr marszczył wodę. Na załadowanym frachtowcu ktoś wziął się do spawania, a deszcz pomarańczowych iskier spadał do czarnej wody.

Romula została w samochodzie z dzieckiem na kolanach, osłonięta przed wiatrem. Esmeralda siedziała z podkurczonymi nogami, wcisnięta w tylny fotel małego coupé. Odkąd zapowiedziała, że nie dotknie Szatana, nie odezwała się ani słowem.

Pili gęsto czarną kawę z papierowych kubków i jadły *pasticcini*.

Rinaldo Pazzi wszedł do portowego biura. Kiedy z niego wyszedł, słońce podniosło się, rzucając pomarańczowe światło na zardzewiały kadłub frachtowca „Astra Philogenes”, gdzie kończono załadunek. Skinal na kobiety w samochodzie.

„Astra Philogenes”, frachtowiec pod grecką banderą o wyporności dwudziestu siedmiu ton, mógł legalnie wziąć na pokład dwunastu pasażerów na trasie do Rio. Tam, jak tłumaczył Romuli Pazzi, przesiada się na statek do Sydney w Australii pod nadzorem płatnika „Astry”. Koszty podróży zostały bezzwrotnie opłacone. We Włoszech Australię uważa się za miejsce atrakcyjne, gdzie można znaleźć pracę i gdzie mieszka wielu Romów.

Pazzi wcześniej obiecał Romuli dwa miliony lirów, około tysiąca dwustu pięćdziesięciu dolarów według bieżącego kursu, teraz dał jej pieniądze w grubej kopercie.

Bagaż Cyganek składał się jedynie z małej walizki i futerału po waltorni, do którego włożyły drewnianą reke Romuli.

Większa część następnego miesiąca miały spędzić na statku, odcięte od reszty świata.

Pazzi po raz dziesiąty zapewnił Romule, że Gnocco do nich dołączy, ale nie dzisiaj. Zostawi im wiadomość na poste-restante na Poczcie Głównej w Sydney.

- Dotrzymam obietnicy jemu, tak jak dotrzymałem obietnicy wam - oświadczył, gdy stali razem przy trapie, a ich długie cienie padały w porannym słońcu na nierówną nawierzchnię doku.

W chwili rozstania, gdy Romula z dzieckiem na rękach wchodziła na pokład statku, stara Cyganka odezwała się do Pazziego po raz drugi i ostatni.

Spojrzała mu w twarz czarnymi jak greckie oliwki oczami.

- Wydales Gnocca w ręce Szatana - powiedziała cicho. - On nie żyje. - Pochyliła się sztywno, jakby chciała zamachnąć się siekierą na kurczaka ułożonego na pieńku, splunęła starannie na cień Pazziego i ruszyła spieszenie po trapie za Romulą i dzieckiem.



## ROZDZIAŁ 30

Przesyłka DHL Express została solidnie zapakowana. Specjalista od odcisków palców, siedząc w pokoju Masona przy stole pod gorącym światłem, ostrożnie odkrecił śruby elektrycznym śrubokrętem.

Szeroka srebrna bransoleta umocowana na aksamitnej jubilerskiej podstawie umieszczono w pudełku tak, aby jej zewnętrzna powierzchnia niczego nie dotykała.

- Proszę mi to pokazać - powiedział Mason.

Badanie odcisków palców na bransoletce odbyłoby się dużo sprawniej w sekcji identyfikacyjnej policji w Baltimore, gdzie specjalista pracował za dnia, ale Mason płacił wysokie honorarium w gotówce za dokonanie całej operacji na jego oczach. A raczej na jego oku, pomyślał z obrzydzeniem specjalista, stawiając bransoleta z podkładką na porcelanowym talerzu trzymanym przez służącego.

Służący trzymał talerz przed galką oczną Masona. Nie mógł położyć go na zwoju włosów na piersi, ponieważ respirator bez przerwy poruszał klatkę piersiową Masona, raz w górę, raz w dół.

Ciepła bransoleta pokryta była smugami zaschniętej krwi, której płatki spadały na porcelanowy talerz. Mason przyglądał się jej jedynym wylupianym okiem. Twarz pozbawiona tkanki mięśniowej nie miała żadnego wyrazu, ale oko błyszczało.

- Posyp ją - polecił.

Specjalista miał kopie odcisków doktora Lectera z karty FBI. Szósty odcisk i dane identyfikacyjne nie zostały skopiowane.

Posypał bransoleta proszkiem między smugami krwi. Proszek, którego używał zwykle, zbyt przypominał barwę zaschniętej krwi, więc wybrał czarny.

- Mamy odciski - przerwał na chwilę swe zajęcie, żeby otrzeć czoło pod gorącym światłem przy stole. Światło było na tyle dobre, że mógł sfotografować odciski, zanim zdjął je do analizy mikroskopowej. - Środkowy palec i kciuk lewej ręki. Szesnaście odpowiadających punktów. W sędzie wystarczy - powiedział wreszcie. - Bez wątplenia, to ten sam facet.

Sąd nie obchodził Masona. Jego biała ręka sunęła po poscieli w stronę telefonu.

## ROZDZIAŁ 31

Sloneczny poranek na pastwisku, daleko w gorach Gennargentu w centralnej Sardynii.

Szesciu mezczyzn, czterech Sardynczykow i dwoch rzymian, pracuje w przewiewnej szopie zbudowanej z pni drzew wycietych w okolicznych lasach. Wszechogarniajaca cisza gor poteguje wytwarzane przez nich dzwieki. W szopie, na oblazacych z kory krokwiach, wisi ogromne lustro w zloconej rokokowej ramie. Umieszczono je nad zagroda dla swin z dwiema furtkami. Jedna furka wychodzi na pastwisko. Druga zbudowana jest tak, ze gorna i dolna czesc drzwi otwiera sie osobno. Przy wyjsci z zagrody wylano cement, natomiast pozostala czesc posypano sloma, jak posypuje sie typowe miejsce egzekucji.

Lustro z wyrzezbionymi na ramie amorkami mozna przechylac, zeby dawalo widok z gory na zagrode, tak jak w szkole gastronomicznej pokazuje sie praktykantom widok z gory na kuchnie.

Filmowiec Oreste Pini i czlowiek Masona na Sardynii, zawodowy porywacz Carlo, od samego poczatku nie przypadli sobie do gustu.

Krepy, rumiany. Carlo Deogracias nosil goralski kapelusz ozdobiony swinska szczecina. Mial zwyczaj przesuwać chrzastki z pary swinski zebow, ktore trzymal w kieszeni kamizelki. Byl czolowym przedstawicielem prastarej sardynskiej profesji, kidnappingu, a takze zawodowym mscicielem.

Kazdy zamożny Wloch ci powie, ze jesli juz masz byc porwany dla okupu, najlepiej trafic w rece Sardynczykow. Przynajmniej sa zawodowcami i nie zabija cie przez przypadek lub w panice. Jezeli rodzina zaplaci, mozesz liczyc na to, ze wrocisz caly, zdrowy i nie zmasakrowany. Jezeli nie zaplaci, najprawdopodobniej zostaniesz zwrocony poczta w kawalkach.

Carlowi nie podobaly sie drobiazgowe przygotowania zlecone przez Masona. Mial doswiadczenie w tej dziedzinie i juz kiedys rzucil czlowieka na pozarcie swiniom. Dwadziescia lat temu w Toskanii, gdzie byly nazista podszywajacy sie pod hrabiego utrzymywal nieczyste stosunki z wiejskimi dziecmi: dziewczynkami i chlopcami. Do roboty zaangazowano Carla. Porwal naziste z jego wlasnego ogrodu, odleglego o trzy mile od Badia di Passignano, i nakarmil nim piec duzych domowych swin na farmie pod Poggio alle Corti. Glodzil zwierzeta przez trzy dni, podczas ktorych nazista usilowal oswobodzic sie z pet, blagajac o litosc i obficie sie pocac. Mimo to swinie nadal nie mialy odwagi wgrzyc sie w jego ruchliwe palce u nog. Wreszcie Carlo, niezadowolony, ze musi odejsc od oryginalnego scenariusza, nakarmil naziste salatka z ulubionych warzyw swin, po czym podcial mu gardlo, zeby zachecic zwierzeta.

Carlo byl z natury pogodny i energiczny, lecz obecność filmowca dzialala mu na nerwy. Na rozkaz Masona Vergera sprowadzil lustro z burdelu w Cagliari, zeby zadowolic tego mistrza pornografii, Oresta Piniego.

Lustro bardzo przydalo sie Piniemu. Byl to jego ulubiony rekwizyt przy kreceniu filmow. Zainspirowany napisem na lusterku samochodowym jako jeden z pierwszych wykorzystal wypacone lustrzane odbicia, zeby uczynic niektore rzeczy wiekszymi, niz sa w rzeczywistosci.

Zgodnie z poleceniami Masona, Oreste mial zainstalowac dwie kamery z dobrym dzwiekiem,

pamiętajac, ze powtorek nie bedzie. Mason zazyczyl sobie, aby caly czas filmowano twarz w zblizeniu.

Carlo odnosil wrazenie, ze Oreste grzebie sie bez konca.

- Mozesz stac tam i mlec ozorem jak baba albo obejrzec probe i pytac mnie, jesli czegos nie wiesz - powiedzial.

- Chce sfilmowac cala symulacje.

- *Va bene*. Wiec bierz sie za ten cholerny sprzet i zaczynajmy wreszcie.

Oreste ustawial kamery, a Carlo i trzech milczacy Sardynczycy zabrali sie do swojej roboty.

Przy dlugim stole pod jedna ze scian szopy brat Carla Matteo, wypakowal klab starych ubran. Ze sterty wybral koszule i spodnie, a tymczasem pozostali dwaj Sardynczycy, bracia Piero i Tommaso Falcione, wtoczyli do szopy szpitalne lozko na kolkach. Bylo poplamione i zniszczone.

Matteo przygotowal wczesniej kilka wiader zmielonego miesa, kilka nie oskubanych kurczakow, troche zgnilych owocow, do ktorych zlatywaly sie juz muchy, a takze wiadro wolowych jelit.

Rozlozyl na lozku znoszone spodnie khaki i zaczal wpychac w nie kurczaki, mieso i owoce. Pozniej wzial pare bawelnianych rekawiczek, wypelnil je mielonym miesem i zoledziami, ostroznie nadzievajac kazdy palec z osobna, i ulozyl przy nogawkach spodni. Nastepnie rozpostarl na lozku koszule i napelnil ja wolowymi jelitami. Zanim zapial guziki i starannie wsunal koniec koszuli do spodni, poprawil kontury chlebem. Para wypchanych rekawiczek znalazla sie przy mankietach. Na melon, ktory zastepowal glowe, naciagnal siatke na wlosy wypchana mielonym miesem, a w miejsce oczu przytwierdzil dwa ugotowane jajka. Gdy dzieło zostało zakonczone, powstalo cos w rodzaju pokrytego guzami manekina, ktory wygladal lepiej niz niektorzy samobojcy po skoku z wysokiego pietra. Na koniec Matteo spryskal melon i rekawiczki przy mankietach bardzo droga woda po goleniu.

Carlo wskazal glowa na drobnego asystenta Piniego, ktory wychylal sie przez ogrodzenie, mierzac zasieg umieszczonego nad zagroda mikrofonu.

- Powiedz temu palantowi, ze jesli tam wpadnie, nie zamierzam go wyciagac.

Wreszcie przygotowania dobiegly konca. Piero i Tommaso opuscili lozko na najnizszy poziom i przetoczyli je do furtki.

Carlo przyniosl z domu magnetofon i oddzielny wzmacniacz. Mial kilka tasm. Niektore nagral sam, odcinajac swym ofiarom uszy, ktore potem przesyłal rodzinie porwanego. Carlo zawsze odtwarzal te nagrania swiniom podczas posilku.

Dwa splowiale glosniki zostaly przybite do slupow w szopie. Slonce jasno oswietlalo malownicza lake, ktora opadala w strone lasu. Solidne ogrodzenie wokol pastwiska niknelo w srod

lesnych drzew. W południowej ciszy Oreste słyszał pszczołę bzyzająca pod dachem szopy.

- Gotowi? - zapytał Carlo. Oreste włączył ustawioną kamerę.

- *Giriamo!* - zawołał do operatora.

- *Pronti!* - nadeszła odpowiedź.

- *Motore!* - Kamery zaczęły pracować.

- *Partito!* - Nagrywał się dźwięk.

- *Azione!* - Oreste szturchnął Carla.

Sardyńczyk włączył magnetofon i rozległy się piekielne krzyki, płacze, błagania. Kamerzysta wzdrygnął się, ale po chwili się opanował. Wrzaski były przykre dla ucha, lecz stanowiły stosowną uwerturę dla ryków, które wylonily się z lasu, zwabione dźwiękami zapowiadającymi posilek.

## ROZDZIAŁ 32

Podróż do Genewy i z powrotem tego samego dnia, żeby zobaczyć pieniądze.

Samolot pasażerski do Mediolanu, turbosmigłowiec *Aerospatiale*, wystartował z lotniska we Florencji wczesnym rano, kołysząc się nad winnicami. Szeroko rozstawione rzędy winorośli wyglądały z góry jak prymitywna makietka Toskanii. Jaskrawoniebieskie plamy basenów przy willach bogatych cudzoziemców odcinały się od pastelowych barw krajobrazu.

Im wyżej wzbijał się samolot, tym lepsze było samopoczucie Pazziego. Z zadowoleniem myślał o tym, że nie zestarzeje się tutaj, uzależniony od kaprysów swoich policyjnych zwierzchników, robiąc wszystko, byle tylko dotrwać do emerytury.

Bardzo się bał, że doktor Lecter zniknie po zamordowaniu Gnocca. Gdy ponownie ujrzał lampkę Lectera w Santa Croce, poczuł ulgę; doktor sadził, iż jest bezpieczny.

Śmierć Cygana nie pomarszczyła spokojnych wód komendy policji, gdzie uznano, że miała związek z narkotykami. Na szczęście wokół ciała znaleziono porzucane używane strzykawki - częsty widok we Florencji, gdzie strzykawki dostaje się za darmo.

Pazzi nalegał, żeby pokazano mu pieniądze.

Rinaldo Pazzi był wzrokowcem. Jego wspomnienia miały formę obrazów. Pamiętał, jak po raz pierwszy ujrzał swoją erekcję i pierwszy raz, gdy zobaczył własną krew. Pamiętał jak pierwszy raz patrzył na nagą kobietę i zamazany kształt pierwszej piesci, która go uderzyła. Pamiętał, jak wszedł kiedyś przypadkowo do bocznej kaplicy kościoła w Sienie i spojrzał na twarz świętej Katarzyny ze

Sieny: jej zmumifikowana glowa spoczywala w relikwiarzu w ksztalcie kosciola.

Widok trzech milionow dolarow wywarl na nim podobne wrazenie.

Trzysta obanderolowanych paczek z banknotami studolarowymi o roznych numerach seryjnych.

W mrocznym, przypominajacym kaplice pokoju w genewskim banku Credit Suisse prawnik Masona Vergera pokazal Pazziemu pieniadze. Wyjete

z bankowego sejfu i umieszczone w czterech zamknietych skrzyniach z mosieznymi tablicami numerowymi. Bank dostarczyl rowniez maszynke do liczenia banknotow, wage oraz urzednika, ktory je obslugival. Pazzi odeslal urzednika.

Rinaldo Pazzi byl bardzo kompetentnym policjantem. Od dwudziestu lat odnajdywal i zatrzymywal mistrzow hochsztaplerstwa. Patrzac na paczki banknotow i sluchajac warunkow ukladu, nie wylapal ani jednej falszywej nuty. Jesli wyda im Hannibala Lectera, Mason przekaze mu pieniadze.

Pazzi byl pewien, ze ci ludzie nie blefuja: Mason Verger naprawde wypłaci mu nagrode. Nie mial tez zludzen co do losu Lectera. Skazywal go na tortury i smierc. Trzeba przyznac Pazziemu, ze nie oklamywal samego siebie i wiedzial, co robi.

Nasza wolnosc wiecej jest warta od zycia tego potwora. Nasze szczescie jest wazniejsze od jego cierpienia, pomyslal z zimnym egoizmem potepionych. Trudno stwierdzic, czy zastosowal liczbe mnoga, bo myslal jednoczesnie o zonie, czy tylko wpadl w mentorski ton.

W tym pokoju, jak przystalo na Szwajcarie, sterylnym i nieskazitelnym jak kwef swietej Katarzyny, Pazzi zlozyl ostateczna obietnice. Odwrocil sie od pieniedzy i skinal na prawnika, pana Konie. Z pierwszej skrzyni prawnik odliczyl sto tysiecy dolarow i wreczyl je policjantowi.

Podszedl do telefonu, powiedzial cos do sluchawki i podal ja Pazziemu.

- Polaczenie ladowe, utajnione - zapewnil.

Glos, ktory Rinaldo uslyszal w sluchawce, mial specyficzny rytm: wyrzucane na wydechu slowa, chwile przerwy, brak glosek zwartych. Dzwiek tego glosu przyprawial Pazziego o zawrot glowy, jak gdyby razem z mowca walczył o kazdy oddech.

- Gdzie jest doktor Lecter? - padlo pytanie.

Pazzi z pieniedzmi w jednej i sluchawka w drugiej rece, nie wahal sie.

- W Palazzo Capponi we Florencji. Jest tam... kustoszem.

- Prosze okazac panu Konie dowod tozsamosci i oddac mu sluchawke. Nie wypowie panskiego nazwiska przez telefon.

Prawnik zerknął na dowód wydobyty z kieszeni, podał Masonowi jakies zaszyfrowane hasło i zwrócił słuchawkę Pazziemu.

- Dostanie pan resztkę pieniędzy, gdy znajdzie się żywy w naszych rękach - obiecał Mason. - Nie musi pan sam zatrzymywać doktora, ale musi pan go zidentyfikować i nam dostarczyć. Poproszę też o dokumentację, wszystko, co ma pan na jego temat. Wieczorem wraca pan do Florencji? Jeszcze dzisiaj otrzyma pan instrukcje dotyczące spotkania. Dojdzie do niego nie później niż jutro w nocy. Tam otrzyma pan instrukcje od człowieka, który porwie doktora Lectera. Zapyta, czy zna pan kwiaciarkę. Proszę odpowiedzieć, że wszystkie kwiaciarki są złodziejkami. Rozumie pan? Będzie pan z nim współpracował.

- Nie chce, żeby doktor Lecter... Nie chce, żeby był w pobliżu Florencji, kiedy...

- Rozumiem pańskie obawy. Proszę się nie martwić, nie będzie.

Polaczenie zostało przerwane.

W ciągu kilku minut dopełniono formalności i dwa miliony dolarów zamknięto z powrotem w depozycie. Mason nie mógł odzyskać pieniędzy, mógł natomiast zlecić przekazanie ich Pazziemu. Wezwany urzędnik z Credit Suisse poinformował Pazziego, że bank obciąży go odsetkami ujemnymi, żeby udostępnić mu zdeponowane pieniądze, jeśli zamieni dolary na franki szwajcarskie. Ponadto bank zapłaci trzy procent odsetek składanych tylko od pierwszych stu tysięcy franków. Urzędnik wręczył Pazziemu kopie artykułu dotyczącego tajemnicy bankowej i zaproponował, że dokona przelewu do Royal Bank w Nowej Szkocji lub na Kajmany natychmiast po zwolnieniu funduszy.

W obecności notariusza Pazzi upoważnił swoją żonę do korzystania z rachunku na wypadek jego śmierci. Gdy sfinalizowali wszystkie sprawy, tylko urzędnik bankowy wyciągnął rękę na pożegnanie. Pazzi i pan Konie nie patrzyli sobie w oczy, choć prawnik rzucił na odchodnym „do widzenia”.

Ostatni etap podróży do domu. Samolot z Mediolanu przebiegał przez burzę. Smigło po stronie Pazziego wyglądało jak ciemne koło na tle szarego nieba. Grzmoty i błyskawice przypominały mu te, które pamiętał z czasów dzieciństwa, gdy Niemcy wysadzali mosty na Arno, oszczędzając tylko Ponte Vecchio. I przez chwilę krótką jak błyskawica przypomniał sobie z czasów dzieciństwa widok schwytanego snajpera, którego przykuto łańcuchami do posagu Madonny, żeby pomodlił się przed śmiercią.

Wdychając won ozonu i czując wstrząsy od grzmotów w kadłubie samolotu, Pazzi ze starej rodziny Pazzich wracał do starego miasta z zamysłami starymi jak świat.

## **ROZDZIAŁ 33**

Rinaldo Pazzi wolalby prowadzić stałą obserwację swojej nagrody w Palazzo Capponi, ale nie

było to możliwe. Musiał wskoczyć w stroj wieczorowy i spotkać się z żoną na od dawna wyczekiwany koncert Florenckiej Orkiestry Kameralnej.

Teatro Piccolomini, wzniesiona w dziewiętnastym wieku mniejsza kopia weneckiego Teatro La Fenice, wygląda jak barokowa szkatulka ze złota i pluszu, gdzie amorki pod imponującym sklepieniem łamia prawo ciąży.

Dobrze się składa, że teatr jest tak piękny, wykonawcy potrzebują bowiem często każdego rodzaju wsparcia.

A muzykom występującym we Florencji niełatwo zdobyć uznanie publiczności. Florentynczy - jak przystało na Włochów - są nie tylko miłośnikami, ale i znawcami muzyki. Potrafią odróżnić prawdziwych wirtuozów od zwykłych wyrobników.

Pazzi wśliznął się na miejsce obok żony w trakcie oklasków po uwerturze.

Nadstawiała pachnący policzek. Rozpierała go duma, gdy na nią patrzył: ubrana w wieczorową suknię, wycięta na tyle głęboko, że z dekoltu unosił się ciepły aromat, trzymała partyturę w szykownej oprawie od Gucciego, którą podarował jej Pazzi.

- Brzmiało o niebo lepiej z nowym alcesta - szepnęła mężowi do ucha. Znany muzyk został sprowadzony w miejsce koszmarnej nieudolności alcesta, kuzyna Sogliato, który kilka tygodni wcześniej zaginął w tajemniczych okolicznościach.

Doktor Hannibal Lecter spoglądał w dół z ławy, samotny, nieskazitelny w białym krawacie. Jego twarz i koszula zdawały się unosić w powietrzu na tle ciemnej ławy w ramie złożonych barokowych rzeźb.

Pazzi dostrzegł go, gdy po pierwszej części utworu na krótko zwrócono reflektory ku gorze. Zanim spojrzał gdzie indziej, doktor obrócił głowę i ich oczy spotkały się. Pazzi odruchowo ścisnął rękę żony wystarczająco mocno, żeby na niego spojrzała. Później nie spuszczał wzroku ze sceny, trzymając dłoń na ciepłym udzie żony, w uścisku jej dłoni.

Podczas przerwy, gdy Pazzi odwrócił się od baru, aby podać żonie napój, Lecter stał przy niej.

- Dobry wieczór, doktorze Fell - przywitał go Pazzi.

- Dobry wieczór, *Commendatore* - odparł doktor. Czekal z lekko pochyloną głową, aż Pazzi dokona prezentacji.

- Lauro, pozwól, że ci przedstawię. Doktor Fell. Doktorze, moja żona, *signora Pazzi*.

*Signora Pazzi*, przyzwyczajona do pochwał dotyczących jej urody, uznała wynikłą rozmowę za nader czarującą, choć jej mąż miał inne zdanie.

- Dziękuję za ten honor, *Commendatore* - rzekł doktor. Jego czerwony, spiczasty język ukazał się na moment, kiedy pochylał się, żeby pocałować dłoń *signory Pazzi*. Usta przycisnął do skóry

niedco mocniej, niz bylo w zwyczajnaju we Florencji, a juz na pewno na tyle blisko, ze poczula jego oddech.

Spojrzal na nia, zanim jeszcze podniosl gladko uczesana glowe.

- Odnioslem wrazenie, ze znajduje pani szczegolna przyjemnosc w sluchaniu Scarlattiiego, *signora Pazzi*.

- Owszem.

- Zauwazylem, ze sledzi pani partyture. Teraz juz prawie nikt tego nie robi. Pomyslalem, ze to moze pana zainteresowac. - Wyjal spod pachy teczka, w ktorej znajdowala sie stara partytura, zapisana recznie na pergaminie. - Pochodzi z Teatro Capranica w Rzymie z tysiac szescset osiemdziesiatego osmego. Z roku, w ktorym napisano ten utwor.

- *Meraviglioso!* Spojrz tylko, Rinaldo!

- Podczas pierwszej czesci zaznaczylem niektore roznicie miedzy oryginalna i wspolczesna wersja - oznajmil doktor Lecter. - Moze pani teraz dokonac porownania drugiej czesci. Odbiore partyture od *signora Pazzi*ego. Czy to dozwolone, *Commendatore*? - spytal, patrzac Pazziemu prosto w oczy.

- Jesli sprawi ci to przyjemnosc, Lauro - odparl Rinaldo i po chwili dodal: - Wkrotce wystepuje pan przed Studiolo, czy tak, doktorze?

- Tak, w piatek wieczorem. Soglioto nie moze sie doczekac mojej kompromitacji.

- Bede na wystepie - rzekl Pazzi. - Wtedy oddam panu partyture. Lauro, doktor musi wystapic przed smokami ze Studiolo.

- Jestem przekonana, ze wystep wypadnie znakomicie, doktorze - powiedziala, zwracajac ku niemu ogromne ciemne oczy. - Doktor Lecter usmiechnal sie, ukazujac swe drobne biale zebry. - *Madame*, gdybym to ja produkowal perfumy *Fleur du Ciel*, oddalbym najwiekszy diament swiata, zebry tylko ich pani uzywala. Do piatku, *Commendatore*.

*Pazzi*, upewniwszy sie, ze doktor wrocil do swej lozy, nie spojrzal na niego ani razu do chwili, gdy pomachali sobie na pozegnanie na schodach teatru.

- Podarowalem ci *Fleur du Ciel* na urodziny - przypomniał zonie Pazzi.

- Tak, ogromnie mi sie podobaja, Rinaldo - odparla *signora Pazzi*. - Masz doskonaly gust.

## ROZDZIAI 34



Impuneta to stare Toskańskie miasteczko, w którym wyrabiano uacnowke dla Duomo. Na miejscowy cmentarz nietrudno trafic. Widac go z willi polozonych na okolicznych wzgorzach nawet noca, poniewaz na grobach stale plona znicze. Malenkie swiatelka pozwalaja przechodniom znalezc droge miedzy grobami, choc do odczytywania epitafiow potrzebna jest latarka.

Rinaldo Pazzi przybyl za piec dziewiata z malym bukietem, ktory zamierzal polozyć na przypadkowym grobie. Szedl powoli zwirowa drozka miedzy mogilami.

Poczul obecność Carla, zanim go zobaczyl.

- Zna pan w miescie dobra kwiaciarka? - przemowil Carlo zza wysokiego pomnika.

Ma sardynski akcent. Swietnie, pewnie zna sie na swoim fachu, pomyslal Pazzi.

- Wszystkie kwiaciarki to zlodziejki - rzekl glosno. Carlo wyszedl zza marmurowego pomnika.

Pazzi pomyslal, ze Sardynczyk wyglada jak dzikus: niski, krepki, barczysty, o ruchliwych ramionach. Mial na sobie skorzana kamizelke, a za tasme

kapelusza zatknal swinska szczecine. Rinaldo byl wprawdzie znacznie wyzszy, ale wazyli mniej wiecej tyle samo. Carlo nie mial kciuka u jednej reki. Pazzi przypuszczal, ze w ciagu pieciu minut moglby odnalezc go w archiwum komendy.

- Ma w domu nowoczesne alarmy - powiedzial policjant.

- Widzialem. Musisz mi go wystawic.

- Jutro wieczorem wystapi na spotkaniu. Nie za wczesnie dla ciebie?

- W porzadku - odparl Carlo i dodal ironicznym tonem: - A ty? Bedziesz z nim szedl, czy moze sie go boisz? Zrobisz to, za co ci zaplacono. Wystawisz mi goscia.

- Uwazaj, co mowisz. Zrobie to, za co mi zaplacono, i ty tez. Albo spedzisz reszte zycia w wiezieniu Volterra, swiadczac uslugi erotyczne.

Carlo byl rownie nieczuly na zniewagi jak na okrzyki cierpiacych. Zrozumial, ze nie docenil policjanta.

- Powiedz, o czym powinienem wiedziec - rzekl i stanal kolo Pazziego, jak gdyby modlili sie razem przy grobowcu.

Przeszla obok nich jakas para, trzymajac sie za rece. Carlo zdjal kapelusz i dwaj mezczyzni stali przez chwile z pochylonymi glowami. Pazzi polozył kwiaty przy drzwiach grobowca. Z kapelusza Carla wydobywal sie paskudny odor nieswiezkiego miesa. Pazzi podniosl glowe, oddalajac twarz od smrodu.

- Znakomicie posluguje sie nozem. Tnie nisko - powiedzial.

- Ma bron? Nie mam pojecia. Z tego, co wiem, nigdy nie uzyl broni palnej.

- Nie chce wyciagac go z samochodu. Dopadne go na ulicy, w takim miejscu, gdzie nie kreci sie duzo ludzi.

- Jak zamierzasz go obezwladnic?

- To moja sprawa. - Carlo wlozyl do ust swinski zab i zaczal zuc chrzastke.

- Moja tez - nalegal Pazzi. - Jak zamierzasz to zrobic?

- Oglusze go pistoletem, omotam siecia, a potem zrobie mu zastrzyk. Musze szybko sprawdzic zeby na wypadek, gdyby ukryl w nich kapsulke z trucizna.

- Ma wyglosic wyklad. Spotkanie zaczyna sie o siodmej w Palazzo Vecchio. Jesli w piatek bedzie pracowal w kaplicy Capponich w Santa Croce, pojdzie stamtad do Palazzo Vecchio na piechote. Znasz Florencje?

- I to dobrze. Mozesz zalatwic mi pozwolenie na jazde po Starym Miescie?

- Tak.

- Nie zgarne go po wyjsci u z kosciola - rzekl Carlo. Pazzi kiwnal glowa.

- Powinien pojawic sie na spotkaniu. Pozniej przez dwa tygodnie nikt nie zauwazy jego znikniecia. Mam pretekst, zeby odprowadzic go do Palazzo Capponi...

- Nie chce tego robic u niego w domu. To jego teren. Zna kazdy kat, a ja nie. Bedzie czujny, rozejrzy sie przy drzwiach. Chce go dopasc na ulicy.

- Wiec posluchaj mnie. Wyjdziemy z Palazzo Vecchio glownym wejsciem, drzwi od strony Via dei Leoni beda zamkniete. Pojdziemy wzdluz Via Neri, a potem przedostaniemy sie na drugi brzeg przez Ponte alle Grazie. Przed Museo Bardini rosna drzewa, ktore zaslaniaja uliczne latarnie. O tej porze bedzie tam spokojnie.

- Powiedzmy wiec, ze przed Museo Bardini. Jesli jednak nadarzy sie okazja, zrobie to szybciej, blizej palacu, albo wczesniej tego dnia, gdyby sie przestraszyl i probowal uciekac. Mozemy podjechac karetka pogotowia. Poczekaj, az go oglusze, a potem zmyj sie szybko.

- Chcialbym, zeby nic mu sie nie stalo, dopoki bedzie w Toskanii.

- Wierz mi, zniknie z powierzchni ziemi, nie tylko z Toskanii - zapewnil go Carlo, cieszac sie z wlasnego dowcipu i ukazujac w usmiechu swinski zab.

Piatkowy ranek. Maly pokoj na poddaszu Palazzo Capponi. Trzy bielone wapnem sciany sa gole. Na czwartej wisi duzy obraz namalowany w trzynastym wieku przez ucznia Giovanniego Cimabue. Przedstawia Matke Boska. Wydaje sie ogromny w tym niewielkim pomieszczeniu. Madonna, z przechylona lekko glowa jak u zaciekawionego ptaka, spoglada spod wpolprzymknietych powiek na mala postac spiaca pod obrazem.

Doktor Hannibal Lecter, weteran wieziennych i szpitalnych lozek, lezy nieruchomo na waskiej pryczy z rekami na klatce piersiowej.

Otwiera oczy i w tej samej chwili jest calkowicie rozbudzony; sen o dawno zmarlej i strawionej siostrze Miszy przechodzi gladko w jawe: niebezpieczenstwo wtedy, niebezpieczenstwo teraz.

Swiadomosc zagrozenia nie zakloca mu snu, podobnie jak zabicie kieszonkowca.

Szczuply, ubrany w ciemny jedwabny garnitur doktor wylacza czujniki ruchu na szczycie schodow dla sluzby i schodzi do przestronnych salonow palacu.

Mija kolejne komnaty, kierujac sie do biblioteki. Mozliwosc swobodnego poruszania sie po tylu latach zamknienia w podziemnej celi przyprawia go o zawrot glowy.

Tak jak pokryte freskami sciany Santa Croce lub Palazzo Vecchio sa przesycone mysla, tak powietrze w bibliotece Capponich tetni osobowoscia doktora, gdy pracuje przy wielkiej scianie posegregowanych manuskryptow. Lecter wybiera zwiniete pergaminy i zdmuchuje z nich kurz. Drobinki kurzu tancza w promieniach slonca, jak gdyby umarli, ktorzy zamienili sie w pyl, wspolzawodniczyli ze soba, zeby opowiedziec doktorowi o swoim i jego losie.

Pracuje sprawnie, lecz bez zbytniego pospiechu. Wklada do teczki manuskrypty, ktore zamierza przejrzec przed wieczornym wykladem. Tyle rzeczy chcialby przeczytac.

Doktor Lecter otwiera laptopa i laczac sie przez wydzial kryminologii uniwersytetu w Mediolanie, sprawdza strone FBI pod adresem [www.fbi.gov](http://www.fbi.gov), ktora moze otworzyc kazdy smiertelnik. Dowiaduje sie, ze Urzad do spraw Odpowiedzialnoscii Zawodowej jeszcze nie wyznaczyl terminu przesluchania w sprawie nieudanej akcji antynarkotykowej Clarice Starling. Probuje otworzyc plik opatrzony jego nazwiskiem, ale nie udaje mu sie odgadnac kodu. Wybiera strone poswiecona najbardziej poszukiwanym przestepcom. Na ekranie pojawia sie jego dawne oblicze, obok wizerunkow terrorysty i podpalacza.

Doktor Lecter podnosi ze sterty pergaminow kolorowa gazete i patrzy na zdjecie Clarice Starling na pierwszej stronie. Dotyka jej twarzy palcem. W jego dloni pojawia sie lśniace zabkowane ostrze w ksztalcie szponu. Harpia - tak nazywa sie ten noz - tnie papier „National Tattler” rownie gladko, jak cial tetnice udowa Cygana. Doktor Lecter wycina zdjecie Clarice Starling i przykleja je na kawalku czystego pergaminu.

Bierze do reki pioro i plynnyymi ruchami rysuje sylwetke skrzydlatej lwicy, gryfa z twarza

Starling. Pod spodem pisze: „Czy zastanawialas sie kiedyś, Clarice, dlaczego Filistyni cienie rozumieją? Ponieważ jesteś odpowiedzią na zagadkę Samsona: jesteś miodem w ciele lwa”.

Carlo Deogracias zaparkował furgonetkę za wysokim kamiennym murem w Impruneta, niespełna piętnaście kilometrów od Palazzo Capponi. Sprawdzał sprzęt, gdy tymczasem jego brat Matteo ćwiczył na miękkiej trawie chwyt dzudo z dwoma pozostałymi Sardyńczykami, Piero i Tommaso Falcione. Bracia Falcione byli szybcy i bardzo silni. Piero grał kiedyś w zawodowej drużynie piłkarskiej w Cagliari. Tommaso, był studentem seminarium duchownego, mówił niezłe po angielsku. Czasami modlił się ze swymi ofiarami.

Biała furgonetkę, fiata na rzymskich numerach, Carlo wypożyczył legalnie. Przygotował tablice z napisem: OSPEDALE DELLA MISERICORDIA, które zamierzali przytwierdzić na bocznych ścianach auta. Wewnętrzne ściany i podłogę wyłożyli materacami, na wypadek gdyby ofiara szamotała się w furgonetce.

Carlo zamierzał przeprowadzić akcję zgodnie z wytycznymi Masona, ale gdyby musiał zabić doktora Lectera we Włoszech, odwołując sesję zdjęciową na Sardinii, nie wszystko byłoby stracone. Mogł zarżnąć doktora Lectera i obciąć mu głowę i ręce w niespełną minutę.

A gdyby nie miał nawet tyle czasu, zawsze zdążył odciąć penisa i palec, a te po analizie DNA wystarczą jako dowód. Zabezpieczone w plastikowej torbie i obłożone lodem, dotarłyby do Masona w ciągu doby, a Carlo poza należnym mu honorarium otrzymałby dodatkową nagrodę.

Za siedzeniami samochodu ułożyli małą pilę łańcuchową, metalowe nożyce z długimi uchwytami, pilę chirurgiczną, ostre noże, plastikowe torby na suwaki, sznury i skrzynie na przesyłkę z opłaconym portem - ciężar głowy doktora Lectera oszacowali na sześć kilogramów, a jego rękę na dwa.

Carlo był pewien, że jeśli zdoła zarejestrować śmierć doktora na taśmie wideo, Mason wypłaci mu dodatkową premię. Dlatego zaopatrzył się w dobrą kamerę, lampę oraz stojak i poinstruował Mattea, jak obsługiwać sprzęt.

Nie mniej uwagi poświęcił narzędziom, które miały usprawnić porwanie. Piero i Tommaso byli ekspertami w posługiwaniu się siecią, złożoną teraz starannie niczym spadochron. Carlo miał karabinek pneumatyczny i strzykawkę naładowaną taką ilością środka uspokajającego, że w ciągu kilku sekund powaliłby z nog zwierzę rozmiarów doktora Lectera. Powiedział Pazziemu, że najpierw ogłuszy doktora, ale wolałby od razu użyć strzykawki.

Po porwaniu pozostała na kontynencie około czterdziestu minut - tyle czasu zajmie dojazd do lotniska w Pizie, gdzie będzie na nich czekał samolot sanitarny. Wprawdzie lotnisko florenckie znajdowało się bliżej, ale ruch był tu znacznie mniejszy i każdy dodatkowy lot byłby bardziej widoczny.

W ciągu półtorej godziny mieli znaleźć się na Sardinii, gdzie będzie czekał na doktora komitet powitalny.

Carlo rozważył wszystko raz jeszcze. Mason nie był głupcem. Wyraźnie zapowiedział, że nie

zyczy sobie, aby jakakolwiek krzywda spotkala Rinalda Pazziego. Gdyby Carlo zabil Pazziego, nie zobaczyłby ani grasza. Mason nie chciał zamieszania zwiazanego ze smiercia policjanta. Mial racje. Ale Carla az nosilo na mysl o tym, co moglby osiagnac kilkoma posunieciami pily.

Wyprobował pile lancuchowa. Ruszyła za pierwszym szarpnięciem.

Carlo przeprowadził krótka narade z pozostałymi Sardynczykami i odjechał do miasta na motorynce, uzbrojony tylko w noz, bron i strzykawke.

Wczesnie rano doktor Hannibal Lecter wszedl z halasliwej ulicy do „Farmacia di Santa Maria Novella”, jednego z najwspanialej pachnacych miejsc na ziemi. Przez kilka minut stal z odchylona do tyłu glowa i zamknietymi oczami, wdychajac aromaty wspanialych mydel, tonikow, kremow oraz skladnikow z pracowni. Portier dobrze go znal, a sprzedawcy, choc mieli sklonnosc do wynioslego zachowania wobec klientow, traktowali doktora z wielkim szacunkiem. Zakupy doktora Fella przez kilka miesiecy jego pobytu we Florencji nie byly warte wiecej niz sto tysiecy lirow, lecz wybieral i laczył aromaty z wzraliwoscia, ktora zaskakiwala i cieszyła tych handlarzy zapachow, zyjacych wszak ze swych nosow.

Wlasnie ze wzgledu na tego rodzaju przyjemnosc doktor Lecter nie zoperowal chirurgicznie nosa, ograniczajac sie do zastrzykow kolagenowych. Dla niego powietrze bylo zabarwione aromatami tak zywyymi i wyraznymi, jak kolory, ktorymi poslugiwal sie niczym malarz. Tutaj nic nie przypominalo mu wiezienia. Tutaj powietrze bylo muzyka. Tutaj znajdowaly sie blade lzy kadzidla przed ekstrakcja, harmonijnie wspolgrajace zolta bergamota, drzewo sandalowe, cynamon i mimoza - nad przewodnimi nutami prawdziwej ambry, cybetu, bobra i esencja piznowca.

Doktor Lecter mial czasem wrazenie, ze potrafi wachac rekami, ramionami i policzkami, ze zapachy przenikaja cale jego cialo. Ze potrafi wachac twarza i sercem.

Pewne przyczyny anatomiczne sprawiaja, iz wech bardziej niz jakikolwiek inny zmysl przywoluje wspomnienia.

Stojac pod delikatnym swiatlem lamp w stylu *art deco* i oddychajac gleboko, doktor Lecter odnajdywal fragmenty i przeblyski przeszlosci. Tutaj nic nie przypominalo mu o wiezieniu. Oprocz... Coz to bylo takiego? Clarice Starling. Dlaczego? Nie zapach *l'Air du Temps*, ktory poczul, gdy otworzyla torebke blisko krat celi w szpitalu. Cos innego. Takich perfum nie sprzedawano w „Farmacia”. Tonik do twarzy? Tez nie. Ach. *Sapone di mandorle*. Slynne mydlo migdalowe z „Farmacia”. Gdzie poczul ten zapach? W Memphis, gdy stala przed cela, a on na chwile musnal jej palec tuz przed ucieczka. Starling. Czysta, o bogatej teksturze. Wyschnieta na sloncu i wyprasowana bawelna. Clarice Starling. Ujmujaca i apetyczna. Meczaca w swej gorliwosci i absurdalna ze swymi zasadami. Wybujaly zdrowy rozsadek. Hmm.

Zle wspomnienia kojarzily sie doktorowi Lecterowi z nieprzyjemnymi zapachami, wiec tutaj, w „Farmacia”, najbardziej oddalal sie od cuchnacych ciemnych lochow.

Tym razem, tego szarego piatku, doktor wyjatkowo kupil spora ilosc mydla, tonikow i olejkow do kapieli. Czesc zabral ze soba, reszte kazal przeslac za granice. Wypelnil druki wysylkowe swoim

charakterystycznym, kaligraficznym pismem.

- *Czy Dottore zyczy sobie dolaczyc liscik?* - zapytal sprzedawca.
- *Czemu nie?* - odparl Lecter i wsunal do pudelka zlozony rysunek gryfa.

„Farmacia di Santa Maria Novella” sasiaduje z klasztorem na Via Scala. Carlo, jak zwykle pobożny, zdjął kapelusz i przychylił się pod wizerunkiem Madonny przy wejściu. Zauważył, że prąd powietrza od strony wewnętrznych drzwi uchyla drzwi zewnętrzne kilka sekund przed tym, nim ktoś wyjdzie z apteki. Miał więc czas, żeby się ukryć i wyglądać dyskretnie za każdym razem, gdy z apteki wychodził klient.

Kiedy wyszedł doktor Lecter, Carlo schował się za stoiskiem sprzedawcy kart pocztowych. Doktor ruszył przed siebie. Mijając wizerunek Madonny, podniósł głowę i rozszerzył nozdrza, żeby ocenić zapach powietrza.

Carlo pomyślał, że doktor w ten sposób wyraża pobożność. Zastanawiał się, czy Lecter jest religijny jak wielu innych szalenców. Być może uda mu się sprawić, że doktor będzie przeklinał Boga - ku uciesze Masona. Musi jednak najpierw odesłać gdzieś światobliwego Tommasa.

Późnym popołudniem Rinaldo Pazzi napisał list do żony. Dołączył do niego sonet, który splodził na początku ich znajomości. Wtedy wstydził się pokazać jej wiersz. Załączył również szyfr potrzebny do pobrania pieniędzy z depozytu w banku szwajcarskim, a także list, który miała wysłać do Masona, gdyby próbował wycofać się z umowy. Schował list w takim miejscu, by żona na pewno go znalazła.

O osiemnastej podpłynął swoją motorówką do Museo Bardini i przywiązał łódkę łańcuchem do żelaznego ogrodzenia. Zobaczył białą furgonetkę ze szpitalnymi oznaczeniami, zaparkowaną niedaleko muzeum. Uznał, że może należeć do Carla. W furgonetce siedziało dwóch mężczyzn. Odwróciwszy się, Pazzi poczuł na plecach ich spojrzenia.

Miał mnóstwo czasu. Uliczne latarnie już się paliły, gdy Pazzi ruszył wolno w stronę rzeki. Przechodząc przez Ponte alle Grazie, patrzył na leniwy nurt rzeki i delektował się ostatnimi niespiesznymi myślami, na jakie miał czas. Zapowiadała się ciemna noc. To dobrze. Nisko wiszące chmury mknęły na wschód nad Florencją, a wzmagający się wiatr porывał kurz i sproszkowane gołębie odchody z placu przed Santa Croce. Pazzi szedł teraz w stronę placu. Kieszenie miał ciężkie od broni: trzymał w nich berette, płaską skorzaną palke i noż. Uznał, że bron może mu się przydać.

Kościół Santa Croce jest zamykany o osiemnastej, ale kościelny wpuszczył Pazziego przez małe drzwi przy głównym wejściu. Rinaldo nie chciał go pytać, czy doktor Fell jeszcze pracuje, wolął sam to sprawdzić. Świece płonące na ołtarzach w bocznych nawach dawały wystarczająco dużo światła. Minal główny ołtarz i skierował się do kaplicy Capponich. Trudno było stwierdzić przy palących się świecach wotywnych, czy doktor Fell znajduje się w kaplicy Capponich. Pazzi cicho sunął prawym transeptem. Rozglądał się. Na ścianie kaplicy wyrosł ogromny cien i przez chwilę Pazzi wstrzymał oddech. Nad stojącą na posadzce lampą pochylał się doktor Lecter, pracując nad swoimi odbitkami. Doktor wyprostował się i wbił wzrok w ciemność jak sowa, obracając tylko głowę, która od dołu

podświetlała lampa. Po chwili znow się pochylił i wrócił do pracy.

Pazzi poczuł, że po plecach spływa mu kropla potu, choć twarz miał zimna.

Do rozpoczęcia zebrania w Palazzo Vecchio została jeszcze godzina, a Pazzi chciał się spóźnić na wykład.

Kaplica, którą Brunelleschi wznosił dla rodziny Pazzich, jest jedną z pereł renesansowej architektury. Przylega do kościoła Santa Croce, a dochodzi się do niej kruzgankiem o lukrowatym sklepieniu.

Dotarłszy do kaplicy, Pazzi kleknał na kamiennej posadzce i zaczął się modlić. Pragnął, by jego modlitwy pomknęły ciemnym kruzgankiem i stamtąd pofrunęły w stronę ciemnego nieba i Boga.

Myslał o dobrych uczynkach, na jakie będzie go stać za pieniądze, które otrzyma za doktora Lectera. Wyobraził sobie, jak razem z żoną rozdają pieniądze biednym dzieciom i przekazują do szpitala jakąś aparaturę medyczną. Ujrzał oczyma wyobraźni fale jeziora Genezalet, które przypominało mu Chesapeake. Ujrzał kształtną rękę swej żony zacisniętą wokół jego penisa.

Rozejrzał się, a nie dostrzegłszy nikogo, zaczął się modlić na głos.

- Dziękuję ci, Ojczy, że pozwoliłeś mi usunąć tego potwora, najgorszego z potworów, z powierzchni ziemi. Dziękuję w imieniu istot, którym oszczędzimy cierpienia. - Trudno stwierdzić, czy użył liczby mnogiej, bo wpadł w mentorski ton, czy nawiązywał do swego partnerstwa z Bogiem. Odpowiedzi może być więcej niż jedna.

Wewnętrzny głos przypominał Pazziemu, że zabił razem z doktorem Lecterem. Ich ofiara był Gnocco. Nie zrobił nic, aby ocalić Gnocca, i cieszył się, że śmierć na zawsze zamknęła mu usta.

Modlitwa przynosi ukojenie, pomyślał Rinaldo, wychodząc z kaplicy. Gdy szedł ciemnym kruzgankiem, miał dziwne wrażenie, że ktoś go obserwuje.

Carlo czekał przed głównym wejściem do Palazzo Piccolomini. Gdy Pazzi go mijal, dołączył do policjanta. Nie rozmawiali długo.

Przeszli na tył palacu i upewnili się, że wyjście na Via dei Leone i okna nad nim są zamknięte. Z palacu można było się wydostać tylko przez główne wejście.

- Zejdziemy po schodach i skierujemy się na Via Neri - powiedział Pazzi.

- Ja i mój brat będziemy czekać na placu od strony Loggia. Pojdziemy za wami w bezpiecznej odległości. Pozostali czekają już pod Museo Bardini.

- Widziałem ich.

- A oni ciebie - odparł Carlo.

- Czy bron do ogłuszania robi dużo hałasu?

- Nie, ale na pewno ją usłyszysz. - Carlo nie uprzedził Pazziego, że Piero strzeli, gdy on i Lecter będą jeszcze oświetleni. Nie chciał, żeby policjant odsunął się od doktora, dając tym samym do zrozumienia, że coś mu grozi.

- Kiedy go złapiesz, musisz zawiadomić Masona. Powinieneś to zrobić jeszcze dzisiaj - powiedział Pazzi.

- Nie martw się.. Ten kutas spędzi całą noc, błagając Masona o łaskę - oświadczył Carlo, spoglądając na Pazziego z ukosa. - Najpierw będzie błagał o życie, a później o śmierć.

## ROZDZIAŁ 36

Nadeszła noc i z Palazzo Vecchio wyszli ostatni turyści. Wielu z nich, idąc w stronę placu, czuło na plecach oddech średniowiecznego zamku - musieli się obejrzieć i po raz ostatni spojrzeć wysoko w górę na zębate blanki.

Zapalono reflektory, światło obmyło chropowate kamienie, wyostrzając cienie pod wysokim krenelazem. Gdy jaskółki wróciły do gniazd, pojawiły się pierwsze nietoperze.

Prowadzone w pałacu prace konserwatorskie i renowacyjne miały potrwać jeszcze godzinę. Przerwano je tylko w Sali Lili, gdzie doktor Lecter rozmawiał z szefem ekipy konserwatorskiej.

Kierownikowi robot, przyzwyczajonemu do skąpstwa i wysokich wymagań Komisji Sztuk Pięknych, doktor wydał się nie tylko uprzejmy, ale i niesamowicie hojny.

W ciągu kilku minut robotnicy uprzątnęli sprzęt, przesunęli pod ściany maszyny do polerowania podłóg i kompresory, zwinięli linki i przewody elektryczne. Błyskawicznie ustawili składane krzesła dla uczestników spotkania - potrzebowano tylko dwunastu krzeseł - i otworzyli okna, żeby wywietrzyć zapach farby, pasty do podłogi i materiałów do złączenia.

Na prośbę doktora z dawnego gabinetu Niccolò Machiavellego, przylegającego do Sali Lili, sprowadzono na ręcznym wozku pałacowy rzutnik i pulpit wielkości ambony.

Mali ekran, który nadjechał razem z rzutnikiem, nie odpowiadał doktorowi Lecterowi, więc odesłał go z powrotem. Spróbował natomiast wyświetlić swoje obrazy na jednym z płócien, którymi zasłonięte odnawiana ściana. Po wygładzeniu fałd uznał, że będzie odpowiednie.

Zaznaczył strony w kilku opasłych tomach rozłożonych na pulpicie i stanął przy oknie, obrocony plecami do sali, w której zaczęli się zbierać członkowie Studiolo. Ich cichy sceptycyzm stał się ewidentny, gdy ustawili krzesła na podobieństwo ławy przysięgłych.

Przez wysokie okna Sali Lili doktor Lecter widział katedre i kampanile Giotto, czarne na tle



zachodniego nieba, natomiast uwielbiane przez Dantego baptysterium kryło się w mroku. Zwrocone do góry reflektory nie pozwoliły zlustrować ciemnego placu, gdzie czekali mordercy.

Gdy najsłynniejsi znawcy średniowiecza i renesansu zajmowali miejsca, doktor układał w myślach swoje wystąpienie. Zajęło mu to nieco ponad trzy minuty. Wykład miał traktować o „Piekle” Dantego i Judaszu Iskariocie.

Doktor Lecter znalazł zamilowanie członków Studiolo do okresu przedrenesansowego. Rozpoczął wykład od przypadku Piera della Vigna, logotety królestwa Sycylii. Chciwość zapewniła mu miejsce w „Piekle” Dantego. Opowiadał o intrygach, które doprowadziły do upadku Piera della Vigna.

- Della Vigna popadł w nielaskę i został oslepiony za zdradę - mówił Lecter. - Pielgrzym Dantego znalazł go w siódmym kregu Pieła, zarezerwowanym dla samobójców. Powiesił się tak jak Judasz Iskariota. Judasza, Piera della Vigna i Achitofela, ambitnego doradcę Absaloma, łączyła według Dantego chciwość i późniejsza śmierć przez powieszenie. W umysłowości starożytnej i średniowiecznej chciwość i śmierć przez powieszenie są ze sobą powiązane: święty Hieronim pisze, że nazwisko Judasza, Iskariota, oznacza „pieniądze” lub „nagrode”, natomiast Orygenes utrzymuje, iż „Iskariota” wywodzi się z hebrajskiego „od uduszenia”, zatem jego imię oznacza „Judasz Uduszony”.

Doktor Lecter przerwał na chwilę i spojrzał znad okularów w stronę drzwi.

- Ach, *Commendatore Pazzi*, prosimy. Skoro jest pan najbliżej drzwi, czy mógłby pan zgasić światło? Zainteresuje to pana, *Commendatore*, ponieważ w „Piekle” Dantego znajduje się dwóch Pazzich... - Profesorowie ze Studiolo zachichotali złośliwie. - Camicion de'Pazzi, który zamordował krewniaka i oczekuje nadejścia drugiego Pazziego. Ale nie pana, tylko Carlina. Ten zas zostanie umieszczony jeszcze niżej w „Piekle” za zdradę i nielojalność wobec stronnictwa Białych, do którego należał sam Dante.

Przez okno wleciał mały nietoperz. Zrobił kilka okrażeń nad głowami profesorów. W Toskanii był to zwyczajny widok, więc nikt nie zainteresował się zwierzątkiem. Doktor Lecter kontynuował wykład.

- A więc chciwość i śmierć przez powieszenie są kojarzone od czasów starożytnych, a w sztuce wizerunek ten pojawiał się wielokrotnie. - Doktor nacisnął przycisk na pilocie, budząc do życia rzutnik. Na płotnie zakrywającym ścianę ukazał się pierwszy obraz. Kolejne, szybko następujące po sobie obrazy, ilustrowały wypowiedź Lectera.

- Oto najwcześniejszy ze znanych nam wizerunków ukrzyżowania, wyrzeźbiony na pudelku z kości słoniowej w Galii w czwartym wieku naszej ery. Jest tu między innymi wizerunek Judasza z twarzą zwróconą ku galezi, na której zawisł. A tutaj na mediolańskim relikwiarzu z czwartego wieku oraz na dyptyku z kości słoniowej z dziewiątego stulecia Judasz również patrzy do góry.

Przed ekranem przeleciał mały nietoperz w pogoni za owadami.

- Na tej płycie z drzwi katedry Benevento widzimy Judasza wiszącego z wnetrznosciami na wierzchu, tak jak opisał go w *Dziejach Apostolskich* lekarz, święty Łukasz. Tutaj Iskariota wisi

otoczony przez Harpie, a nad nim na niebie widnieje twarz Kaina w Ksiezycu. Tutaj z kolei przedstawiony jest przez waszego Giotta, znow z wiszacymi trzewiami. I wreszcie mamy czternastowieczne wydanie „Piekla”, gdzie ciało Piera delia Vigny wisi na krwawiącym drzewie. Nie musze chyba wyjasniac oczywistej analogii do Judasza Iskarioty.

- Ale Dante - kontynuowal doktor - nie potrzebował ilustracji. Dante Alighieri dzięki swemu geniuszowi sprawił, że Piero delia Vigna, który znalazł się w „Piekle”, używa syczących i zdławionych dźwięków z przewagą głosek szczelinowych, jak gdyby wciąż się dusił. Proszę posłuchać, jak opowiada o zawleczeniu i powieszeniu na ciernistym drzewie jego martwego ciała wraz z innymi potępiencami:

Surge in vermena e in pianta silvestra:

l'Arpie, pascendo poi de le sue foglie,

fanno dolore, e al dolor fenestm.

Zwykle blady doktor Lecter rumieni się, gdy recytuje przed członkami Studiolo charczące, zduszone słowa Piera delia Vigny, wyświetlając jednocześnie na wielkim polu białego płotna wizerunki Piera i Judasza z rozdartymi wnętrzościami.

Come l'atre verrem per nostre spoglie,

ma non pero ch'alcuna sen rivesta,

che non e giusto aver do ch'om si toglie.

Qui le strascineremo, e per la mesta

selva saranno i nostri corpi appesi,

ciascuno al prun de l'ombra sua molesta.

- A więc Dante nawiązuje do śmierci Judasza, opisując śmierć Piera delia Vigny. Popelnili takie same zbrodnie, chciwosci i zdrady. Achitofel, Judasz, wasz Piero delia Vigna. Chciwosc, powieszenie, samodestrukcja, przy czym chciwosc jest rownie samodestrukcyjna, jak powieszenie. I coz anonimowy samobojca z Florencji oznajmia w meczarniach na koniec piesni?

lofei gibetto a me de le mie case.

„Wiedz, jam obwiesil sie we wlasnym domu”.\*

- Przy innej okazji możemy zajac się synem Dantego, Pierem. To niezwykle, ale jako jedyny spośród recenzentów trzynastej pieśni polaczył Piera delia Vigne z Judaszem. Myśle też, że interesujące mogłoby być omówienie kwestii jedzenia w utworze Dantego. Hrabia Ugolina wgryza się w potylicę arcybiskupa, szatan z trzema licami przezuwa Judasza, Brutusa i Kasjusza, samych zdrajców, takich tak jak Piero delia Vigna. Dziękuję panom za uwagę.

Uczeni nagrodzili go gromkimi brawami. Doktor Lecter zegnał się ze wszystkimi po kolei, zwracając się do każdego po nazwisku. W rekach trzymał książki, żeby nie musieć sciskać im dłoni. Gdy uczeni opuszczali łagodnie oświetloną Salę Lili, wydawało się, że wciąż są pod wrażeniem wykładu.

Doktor Lecter i Rinaldo Pazzi zostali sami w wielkiej sali. Słyszeli dobiegające ze schodów odgłosy dyskusji, która wywiązała się wśród uczonych.

- Myśli pan, że pozostane na stanowisku, *Commendatore*!
- Nie jestem uczonym, doktorze Fell, ale każdy by przyznał, że zaimponował im pan. Doktorze, jeśli to panu odpowiada, pojedzie z panem do palacu i odbierze rzeczy pńskiego poprzednika.
- Mieszczą się w dwóch walizkach, *Commendatore*, a pan ma już neseser. Poradzi pan sobie?
- Pod Palazzo Capponi pojedzie wóz patrolowy. - Pazzi nie dał się zapędzić w kozi róg.
- Świetnie - odparł doktor Lecter. Proszę dać mi minutę na uporządkowanie rzeczy.

Pazzi kiwnął głową, wyjął z neseseru telefon komórkowy i podszedł do wysokich okien, nie spuszczać oczu z Lectera. Widział, że doktor jest zupełnie spokojny. Z niższych kondygnacji rozbrzmiały dźwięki maszyn załogi remontowej.

Wybrał numer.

- Lauro, *amore*, niedługo wracam do domu - powiedział, gdy odebrał Carlo Deogracias.

Doktor Lecter pozbił książki z podium i zapakował je do torby. Odwrócił się do rzutnika; wentylator wciąż szumiał, a drobinki kurzu tancyły w snopie światła.

- Powinienem być im pokazać ten wizerunek. Jak mogłem go przegapić? - Doktor wyświetlił rysunek przedstawiający nagiego mężczyznę wiszącego pod blankami palacu. - Ten powinien pana zainteresować, *Commendatore Pazzi*, muszę tylko poprawić ostrość.

Przez chwilę manipulował przy urządzeniu. Podszedł do obrazu na ścianie, rzucając na płótno czarny cień tego samego rozmiaru co sylwetka powieszona.

- Dobrze pan widzi? Bardziej nie da się powiększyć. W tym miejscu ugryzł go arcybiskup. A pod spodem jest jego nazwisko.

Pazzi nie zbliżył się do doktora Lectera, ale gdy podchodził do ściany, poczuł zapach jakiejś substancji. To pewnie coś, czego używają konserwatorzy.

- Odczyta pan litery? Przy tym wierszu napisane jest „Pazzi”. To pński przodek, Francesco, powieszony przed Palazzo Vecchio pod tymi oknami - informował doktor.

Wpatrywali się w siebie rozdzieleni snopem światła z projektora.

- Jesli juz o tym mowa, *signore Pazzi*, musze panu cos wyznac: powaznie sie zastanawiam, czy nie skonsumowac panskiej zony.

Doktor zarzucil na Pazziego wielkie plotno ze sciany. Policjant zaczal mlócic rekami, zeby odslonic glowe. Lecter blyskawicznie znalazl sie za Pazzim, z potworna sila chwycil go za szyje i do plotna zakrywajacego mu twarz przytknal gabke nasaczona eterem.

Rinaldo Pazzi nie poddawal sie. Choc stopy i ramiona mial zaplatane w plotno, udalo mu sie siegnac po pistolet. Gdy obaj padli na ziemie, pod duszacy m plotnem wycelowal berette i pociagnal za spust. Przestrzelil sobie udo. Po chwili stracil przytomnosc...

Strzal z malego pistoletu pod plotnem nie zrobil wiecej halasu niz stukania i zgrzyty dochodzace z nizszych pieter. Nikt nie wszedl na gore. Doktor Lecter zamknal wielkie drzwi Sali Lili i zasunal rygle.

Pazzi powoli odzyskiwal przytomnosc. Krecilo mu sie w glowie, mial mdlosci. W gardle czul smak eteru, a w klatce piersiowej ucisk.

Zorientowal sie, ze wciaz jest w Sali Lili i nie moze sie poruszyc. Rinaldo Pazzi byl skrepowany sznurem i plotnem, sztywno jak wielki stojacy zegar, i przywiazany do wysokiego recznego wozka, ktorym robotnicy wczesniej przywiezli pulpit. Usta mial zaklejone tasma. Opaska uciskowa powstrzymywala krwawienie z rany postarzalowej w udzie.

Obserwujac policjanta, doktor Lecter przypomniał sobie, ze i jego kiedys zwiazano w podobny sposob i wozono po szpitalu na recznym wozku.

- Slyszy mnie pan, *signore Pazzi*? Prosze kilka razy gleboko odetchnac i oprzytomniec.

Jego rece nie proznowaly. Wczesniej wtoczyl do sali wielka maszyne do polerowania podlogi i teraz manipulowal przy grubym pomaranczowym przewodzie elektrycznym, zawiazujac na jego koncu wisielczy stryczek. Pokryty guma przewod skrzypial, gdy doktor zwijal line tradycyjnie trzynascie razy.

Ostatnie szarpniecie i petla byla gotowa. Odlozyl ja na pulpit. Ze splotow na koncowce petli wystawala wtyczka.

Bron Pazziego, plastikowa opaska, zawartosc jego kieszeni i neseser lezaly na blacie mownicy.

Doktor Lecter poszperal w papierach i schowal za pazuche dotyczace go dokumenty. Bylo wsrod nich pozwolenie na prace, zdjecia i negatywy jego nowej twarzy.

I partytura, ktora doktor pozyczyl pani Pazzi. Wzial nuty do reki i popukal nimi w zeby. Jego nozdrza rozszerzily sie, gdy zblizal twarz do twarzy Pazziego.

- Laura, jesli moze ja tak nazywac, uzywa wspanialego kremu do rak na noc. Jest sliski, najpierw zimny, potem cieply. Zapach kwiatu pomaranczy. Laura, *l'orange*. Hmm. Przez caly dzien nic nie mialem w ustach. Wlasciwie watroba i nerki nadawalyby sie na kolacje od razu, ale reszta

miesa powinna przez tydzien wisiec w warunkach chlodniczych. Ogladal pan prognoze pogody? Sadze, ze nie.

- Jesli powie mi pan to, czego chce sie dowiedziec, *Commendatore* - kontynuowal - wygodniej bedzie mi wyjechac bez posilku; *signora* Pazzi pozostanie nietknieta. Zadam panu pytania i zobaczymy. Moze mi pan zaufac, choc wiem, ze ufanie komukolwiek przychodzi panu z trudem.

- W teatrze zauwazylem, ze rozpoznal mnie pan, *Commendatore*. Nie narobil pan w majtki, gdy pochylalem sie nad dlonia *signory*? Poniewaz nie przyjechala po mnie policja, doszedlem do wniosku, ze sprzedal mnie pan. Czyz nie niejakiemu Masonowi Vergerowi? Prosze mrugnac dwa razy na potwierdzenie.

- Dziekuje, tak tez myslalem - ciagnal dalej. - Kiedys zadzwonilem pod numer podany na jego wszedobylskim plakacie, daleko stad, ot tak, dla zabawy. Jego ludzie czekaja na zewnatrz? Mhm. A jeden z nich smierdzi jak zjelczala kielbasa? Wlasnie. Powiedzial pan o mnie komus w komendzie? Mrugnal pan tylko raz? Tak myslalem. Teraz prosze sie skoncentrowac i podac mi kod dostepu do bazy danych VICAP w Quantico.

Doktor Lecter otworzyl swoj skladany noz.

- Zdejmie tasme i wtedy mi pan powie. - Podniosl noz. - Tylko niech pan nie probuje krzyczec. Mysli pan, ze zdola sie od tego powstrzymac?

- Przysiegam na Boga, ze nie znam tego kodu. - Glos Pazziego byl ochryply od eteru. - Nie moze zebrac mysli. Moze pojdziemy do mojego samochodu, mam tam papiery...

Doktor Lecter odwrocil Pazziego przodem do ekranu, na ktorym wyswietlal wizerunki wiszacego Piera delia Vigny i wiszacego z wyprutymi wnetrznosciami Judasza.

- Co pan woli, *Commendatorel* Trzewia w brzuchu czy na wierzchu?

- Kod jest zapisany w moim notatniku.

Doktor Lecter trzymal notatnik przed twarza Pazziego, az ten znalazl zapis wsrod numerow telefonicznych.

- I moze sie pan zalogowac z zewnatrz, jako gosc?

- Tak - wychrypial policjant.

- Dziekuje, *Commendatore*. - Doktor Lecter odchyлил wozek do tyłu i podjechal z Pazzim do wielkich okien.

- Posluchaj mnie! Mam pieniadze, czlowieku! Bedziesz miał pieniadze na ucieczke. Mason Verger nigdy ci nie daruje. Nigdy. Nie mozesz wrocic do domu po pieniadze, obserwuja twoj dom.

Doktor Lecter polozyl dwie deski z rusztowania nad niskim parapetem okiennym i wtoczyl po

nich wozek z Pazzim na balkon.

Policjant poczul zimna bryze na mokrej twarzy. Mowil teraz bardzo szybko.

- Nigdy nie wyjdiesz z tego budynku zywy. Ja mam pieniadze. Mam sto szescdziesiat milionow lirow w gotowce. Sto tysiecy dolarow amerykanskich! Zadzwo nie tylko do zony. Powiem jej, zeby zabrala pieniadze, schowala je w samochodzie i zostawila samochod tuz przed palacem.

Doktor Lecter zabral petle z pulpitu i przyniosl ja na balkon, ciagnac za soba pomaranczowy przewod. Jego drugi koniec byl przywiazany kilkoma wezlami do ciezkiej maszyny do polerowania podlog. Pazzi nie przestawal mowic.

- Zadzwo ni do mnie na komorke, gdy tu dojedzie, i zostawi ci samochod. Ma przepustke policyjna, wiec moze podjechac tuz pod wejscie. Zrobi, co jej kaze. Czlowieku, przez okno bedziesz mogl sprawdzic, czy woz jest na chodzie, kluczyki zostana w srodku.

Doktor Lecter pchnal Pazziego dalej do balkonowej balustrady, ktora dotknela jego ud. Policjant mial przed soba widok na miejsce, gdzie spalono Savonarole i gdzie przysiagl sobie, ze sprzeda doktora Lectera Masonowi Vergerowi. Spojrzal w gore na sunace nisko, zabarwione reflektorami chmury i zapragnal, zeby dojrzal go Bog.

Nie mogl nie spojrzec w dol, w te straszna otchlan, w strone smierci. Mial absurdalna nadzieje, ze reflektory utwardza powietrze, ze w jakis sposob uda mu sie zatrzymac na snopach swiatla.

Poczul zimno pomaranczowej gumy na drucianej petli wokol szyi. Doktor Lecter stal przy nim tak blisko.

- Arrivederci, Commendatore. -

Blyskawicznie rozplatal Pazziemu brzuch. Drugim ciosem odcial go od wozka. Policjant przechylil sie i wypadl przez balustrade, ciagnac za soba pomaranczowy przewod. Ziemia zblizala sie w okamgnieniu, usta mogly wreszcie krzyzec, a w salonie maszyna do polerowania podlog sunela po podlodze, zatrzymujac sie z loskotem na balustradzie. Poczul szarpniecie, glowa odskoczyla mu do gory, a trzewia wypadly na zewnatrz.

Martwe cialo Pazziego kolysalo sie przy chropowatej scianie zalanego swiatlem palacu, wstrzasane posmiertnymi drgawkami, rzucajac ogromny cien na mur. Wnetrzosci kolysaly sie pod nim, na krotszym i szybszym luku, a z rozdartych spodni wystawalo nabrzmiale w smiertelnej erekcji przyrodzenie.

Carlo wyskoczyl z ukrycia, a za nim Matteo. Pobiegli przez plac do wejscia do palacu, roztracajac turystow.

- Jakas sztuczka - powiedzial ktos po angielsku.

- Matteo, pilnuj tylnych drzwi. Jesli wyjdzie, zabij go i potnij - polecil Carlo, manipulujac w biegu przy telefonie komorkowym. Wpadl do palacu i popedzil po schodach na pierwsze, a pozniej

na drugie pietro.

Wielkie drzwi prowadzące do Sali Lili staly otworem. Carlo wycelowal bron w postac wyswietlona na scianie, wybiegl na balkon, w ciagu kilku sekund przeszukal gabinet Machiavellego.

Za pomoca telefonu komorkowego skontaktowal sie z Pierem i Tommasem, ktorzy czekali w furgonetce przed muzeum.

- Wejdziecie do jego domu, kryjcie go od przodu i tyłu. Zabijcie go i potnijcie.

Carlo wybral inny numer.

- Matteo?

Matteo stal, dyszac ciezko, przed zamknietym tylnym wejsciem do palacu. Zlustrowal dach i ciemne okna, sprawdzil drzwi i dopiero wtedy siegnal po telefon.

-Pronto!

- Co widzisz?

- Drzwi sa zamkniete.

-A dach?

Matteo znow spojrzal w gore, ale za pozno. Nie zauwazyl, ze nad nim otwieraja sie okiennice.

Carlo uslyszal w telefonie chrzest i krzyk. Zbiegl po schodach, upadl na podescie, podniosl sie i popedzil dalej. Minal straznika przed wejsciem, minal rzezby ustawione pod frontowa sciana, skrecil za naroznikiem i pobiegl na tyly palacu. Nagle na ulice wtargnela jakas postac spowita bialym calunem. Wpadla prosto na jadacy skuter, runela na ziemie, podniosla sie i uderzyla o szybe wystawy sklepowej po drugiej stronie waskiej ulicy. Biala zjawa odwrocila sie i pobiegla dalej na oslep, krzyczac: „Carlo! Carlo!” Na rozprutym plotnie powiekszaly sie czerwone plamy. Carlo chwycil brata w ramiona i przecial plastikowa opaske, ktora ciasno opinala plotno wokol jego szyi. Zerwal zakrwawiony material. Twarz Mattea przypominala krwawa maske, mial tez glebokie rany na piersiach. Zostawil go na chodniku i pobiegl za rog, zeby sie rozejrzec, po czym wrocil do brata.

Przez Piazza Signoria przemknely policyjne samochody z wlaczonymi syrenami. Doktor Hannibal Lecter poprawil marynarkę i spokojnym krokiem pomaszerowal do *gelateria* na pobliskim Piazza de Giudici. Przy krawezniku staly motocykle i motorynki.

Podszedl do mlodego mezczyzny w skorze, ktory zapalal wielkiego ducati.

- Mlody czlowieku, jestem w tarapatach - powiedzial do niego, usmiechajac sie smutno. - Jesli za dziesiec minut nie znajde sie na Piazza Bellosguardo,

zona mnie zabije - wyjasnil, pokazujac chlopakowi banknot o nominale piecdziesieciu tysiecy

lirow. - Tyle warte jest moje życie.

- Mam pana tylko podwieźć? - zapytał młody człowiek. Lecter skinął głową.

- Tylko.

Szybki motocykl przeciął pasy ruchu na Lungarno. Doktor skulił się za motocyklistą, wcisnąwszy na głowę kask, który pachniał lakierem do włosów i perfumami. Młody człowiek znalazł drogę. Zjechał z Via de'Serragli w stronę Piazza Tasso i z Via Włani trafił w malenki przejazd przy kościele San Francesco di Paola. Kreta ulica prowadziła do Bellosguardo, malowniczo położonej dzielnicy willowej. Warkot potężnego silnika odbijał się echem od kamiennych murów. Przypominał rozdzieranie płotna - dźwięk miły dla ucha doktora Lectera, który przechylał się na zakretach i z trudem znosił zapach lakieru i tanich perfum z kasku. Poprosił młodego mężczyznę, żeby zatrzymał się przy *Piazza Bellosguardo*, niedaleko domu hrabiego Montauto, gdzie mieszkał kiedyś Nathaniel Hawthorne. Chłopak wetknął banknot do kieszeni skórzanej kurtki i tylne światło motocykla oddaliło się szybko kreta ulica.

Podniecony jazda doktor Lecter przeszedł jeszcze czterdzieści metrów do czarnego jaguara, wyciągnął kluczyki zza zderzaka i zapalił silnik. Miał lekko starta reke w miejscu, gdzie zsunęła mu się rekawiczka, gdy zarzucił płachtę na Mattea i zeskoczył na niego z okna palacu. Posmarował rane maseczką antybakteryjną i ból natychmiast zelzał.

Gdy silnik się rozgrzewał, doktor Lecter przeglądał kasety magnetofonowe. Wybrał Scarlattię.

## ROZDZIAŁ 37

Samolot sanitarny wznosił się nad czerwone dachy i skierował na południowy zachód w stronę Sardynii. Krzywa Wieża w Pizie wylonila się nad skrzydłem podczas ostrego zwrotu, którego pilot nie wykonałby, gdyby na pokładzie znajdował się żywy pacjent.

Nosze przeznaczone dla doktora Hannibala Lectera zajmowało stygnące ciało Mattea Deograciousa. Jego starszy brat Carlo siedział przy zwłokach w ubraniu sztywnym od zaschniętej krwi.

Carlo Deogracious kazał sanitariuszowi włożyć na uszy słuchawki i włączyć muzykę, a sam za pośrednictwem centrali w Las Vegas połączył się z wybrzeżem Marylandu...

Dla Masona Vergera nie było większej różnicy między dniem i nocą. Teraz spał. Wylączono nawet światła w akwarium. Głowa Masona spoczywała

bokiem na poduszce z jak zawsze otwartym okiem. Jedyne dźwięki były regularne odgłosy respiratora i ciche bulgotanie w akwarium.



W pewnej chwili dołączył do nich nowy dźwięk, cichy, ale natarczywy: brzęczenie prywatnego telefonu Masona. Verger obudził się i namacał przycisk aparatu. Głosnik był pod poduszką, a mikrofon tuż przy jego twarzy.

Najpierw Mason usłyszał w tle samolot, a następnie słodką melodię *Gli Innamorati*.

- Słucham.

- Krwawe *casino* - powiedział Carlo.

- Mów.

- Mój brat Matteo nie żyje. Jest tu przy mnie. Pazzi też nie żyje. Doktor Fell zamordował ich i uciekł.

Mason nie odpowiedział od razu.

- Jest mi pan winien dwieście tysięcy dolarów za Mattea - przypomniał Carlo. - Dla jego rodziny. - W umowach Sardynczyków zawsze jest klauzula o odszkodowaniu na wypadek śmierci.

- Rozumiem.

- Sprawa Pazziego będzie śmierdziała.

- Lepiej, żeby wyszło na jaw, że Pazzi był skorumpowany - orzekł Mason. - Wtedy lepiej to przyjąć. A był skorumpowany?

- Poza tą sprawą, nie wiem. A jeśli dojdzie przez Pazziego do pana?

- Poradzę sobie.

- A ja muszę zadbać o siebie - powiedział Carlo. - Za dużo tego dobrego. Główny inspektor komendy policji nie żyje, z tego się nie wywinie.

- Przecież nic nie zrobiłeś, prawda?

- Fakt, ale jeśli policja powiąże mnie z tą sprawą... Matko Boska! Przez resztę życia będą mnie obserwować. Nikt nie da mi już żadnego zlecenia, nie będę mógł nawet pierdnąć na ulicy. A co z Orestem? Wiedział, kogo ma filmować?

- Nie sadzę.

- Jutro lub pojutrze komenda zidentyfikuje doktora Fella. Oreste skojarzy fakty, gdy tylko obejrzy wiadomości w telewizji.

- Oreste jest dobrze opłacany. Nic nie może nam zrobić.

- Panu nie, ale w przyszłym miesiącu ma w Rzymie sprawę. Został oskarżony o rozpowszechnianie pornografii. Teraz ma w reku atut. Trzeba zadziałać ostro. Czy Oreste jest niezastąpiony?

- Porozmawiam z nim - obiecał Mason. - Czy nadal mogę na Ciebie liczyć, Carlo? Chcesz odnaleźć doktora Fella? Musisz to zrobić, dla Mattea.

- Tak, ale za paskie pieniądze.

- Więc pilnuj stada. Zdobądź szczepionki na swinska grype i cholere. Zdobądź kontenery dla swin. Masz dobry paszport?

- Tak.

- Chodzi mi o naprawdę dobry paszport, Carlo, a nie o jakas podrzedna podrobke.

- Mam dobry paszport.

- Odezwe sie.

Konczac rozmowe, Carlo mimowolnie nacisnal przycisk automatycznego wybierania na swoim telefonie komorkowym. Telefon Mattea zapikal glosno w jego martwej rece, wciaz zacisnietej w posmiertnym spazmie. Przez chwile Carlo myslal, ze brat podniesie sluchawke do ucha. Widzac jednak, ze Matteo nie reaguje, wcisnal przycisk konczacy polaczenie. Wykrzywil twarz, a sanitariusz odwrocil glowe.

## ROZDZIAŁ 38

Diabelska zbroja z rogatym hełmem od tysiac piecset pierwszego roku wisiala na scianie wiejskiego kosciola Santa Reparata na poludnie od Florencji. Tam, gdzie powinny znajdowac sie buty, wetknieto rekawice. Ich spiczaste koncowki wystajace z nagolennikow przypominaja rozszczepione kopyta szatana.

Wedlug miejscowej legendy mlody mezczyzna w tej zbroi przechodzil kiedys obok kosciola i wymowil imie Matki Boskiej nadaremno. Pozniej okazalo sie, ze nie moze zdjac zbroi. Gdy wreszcie wyblagal u Madonny przebaczenie, podarowal zbroje kosciolowi jako ofiare dziekczynna. Prezentuje sie imponujaco i nosi zaszczytne slady po pocisku artyleryjskim, ktory eksplodowal w kosciele w tysiac dziewiecset czterdziestym drugim roku.

Pokryta filcowata warstwa kurzu zbroj a spoglada z gory na mala swiatynie, w ktorej dobiega konca msza. Dym z kadzidla unosi sie do gory i przenika przez pusta przylbice.

W nabozenstwie uczestnicza tylko trzy osoby: dwie ubrane na czarno staruszki i doktor Hannibal Lecter. Cala trojka przyjmuje komunie, choc doktor dotyka ustami kielicha z pewna

niechecia.

Ksiadz udziela blogoslawienstwa i oddala sie. Kobiety wychodza. Doktor Lecter nie przerywa modlow do chwili, gdy zostaje sam w swiatyni.

Wchodzi na chor, siega przez balustrade miedzy rogi diabelskiej zbroi i zdejmuje zakurzona przylbice. Na krawedzi naszyjnika zaczepiony jest wedkarski haczyk ze sznurkiem. Na sznurku wisi mala paczuszka. Doktor Lecter ostroznie wyciaga zawiniatko.

W srodku znajduje paszporty z najlepszych brazyljskich wytworni, dowod osobisty, gotowke, ksiazeczki czekowe, klucze. Wszystko chowa pod kurtke.

Doktor Lecter nie jest sentymentalny, ale zal mu opuszczac Wlochy. W Palazzo Capponi pozostalo jeszcze wiele ciekawych manuskryptow. Lubil grac na fortepianie, byc moze zaczalby komponowac. Mogl tez przygotowac posilek dla pani Pazzi, gdy wdowa ukoi juz swoj zal.

## ROZDZIAI 39

Krew Rinalda Pazziego kapala na rozpalone reflektory przy Palazzo Vecchio. Policja wezwala straz pozarna, zeby sciagnac zwloki na dol.

*Pompieri* skorzystali z wysuwanej drabiny na wozie strazackim. Pewni, ze powieszony mezczyzna nie zyje, nie spieszyli sie zbytnio. Zadanie bylo delikatne - musieli zebrac dyndajace wnetrznosci i owinac zwloki w siatke przed opuszczeniem ich na linie.

Gdy cialo dotarło do wyciagnietych w gore ramion strazakow, reporterowi „La Nazione” udalo sie zrobic rewelacyjna fotografie, ktora wielu czytelnikom przypominala wielkie dzieła malarskie, ukazujace zdjecie Jezusa z krzyza.

Policja zostawila stryczek na miejscu, zeby mozna bylo zdjac odciski palcow. Mocny przewod na srodku petli tak przecieto, aby nie naruszyc wezla.

Wielu florentynczykow uznalo, ze Pazzi popelnil samobojstwo i sam zwiazal sobie rece, jak robia samobojcy wiezienni. Fakt, iz mial rowniez zwiazane nogi, pominielo. Jeszcze tego samego wieczoru lokalna stacja radiowa podala, ze Pazzi wykonal harakiri, a nastepnie sie powiesil.

Ale policja nie dala sie zwiesc - przeciete peta na balkonie i reczny wozek, znikniecie broni Pazziego, relacje swiadkow o Carlo, ktory wpadl do palacu, i o zakrwawionej, okrytej calunem postaci biegnacej ulica wskazywaly, ze policjant zostal zamordowany.

Pozniej wloska opinia publiczna uznala, iz Pazzi padl ofiara Il Mostro.

Policja przypomniala sobie o nieszczesnym Girolamie Tocce, ktoremu juz kiedys przypisano tozsamosc Il Mostro. Zostal aresztowany, mial jednak mocne alibi. Pil *ramazzotti* w kawiarni na

oczach księdza. Tocze zwolniono, ale musiał wracać do San Casciano autobusem na własny koszt.

W ciągu pierwszych kilku godzin przesłuchano personel Palazzo Vecchio i członków Studiolo.

Policja nie mogła znaleźć doktora Fella, którego uznano za głównego podejrzanego. Przypomniano jednak sobie, że Pazzi prowadził śledztwo w sprawie zaginięcia poprzednika doktora Fella. Ustalono także, że w ostatnich dniach sprawdzał pozwolenie na pracę doktora. Dokumenty Fella, między innymi fotografie, dołączone negatywy i odciski palców zostały wydane na fałszywe nazwisko, ale podpis skreślono piśmem podobnym do pisma Pazzięgo.

Urząd imigracyjny ujawnił numer paszportu Fella, który wydano w Brazylii.

Mimo to policja nie zdołała ustalić prawdziwej tożsamości Fella. Zdjęto odciski palców z węzłów na stryczku, z mównicy, z ręcznego wózka i z kuchni w Palazzo Capponi. Mając tyłu artystów pod ręką, portret pamięciowy doktora Fella przygotowano w ciągu kilku minut.

W niedzielę rano specjalista od daktyloskopii ustalił, że na mównicy, na petli i na urządzeniach kuchennych doktora Fella w Palazzo Capponi znajdują się odciski palców tej samej osoby.

Odcisk kciuka Hannibala Lectera z plakatu w siedzibie komendy policji nie został zbadany.

W niedzielę wieczorem odciski palców z miejsca zbrodni powędrowały do Interpolu, po czym trafiły do kwatery FBI w Waszyngtonie, wraz z siedmioma tysiącami innych odcisków. Odciski z Florencji wprowadzono do systemu automatycznej klasyfikacji. Wkrótce oficer pełniący nocną służbę ujrzał, jak z drukarki wypelza wizerunek Hannibala Lectera. Natychmiast zatelefonował do zastępcy dyrektora Sekcji Identyfikacyjnej, a on z kolei zawiadomił dyrektora oraz Krendlera z Departamentu Sprawiedliwości.

Telefon Masona zadzwonił o pierwszej trzydzięci. Verger udal zdziwienie i zainteresowanie.

Telefon Jacka Crawforda zadzwonił o pierwszej trzydzięci pięć. Crawford chrząknął kilka razy i przeturlał się na pustą część małżeńskich łóż, która kiedyś zajmowała jego zmarła żona. Posciel była tam chłodna i szybciej udało mu się pozbierać myśli.

Clarice Starling jako ostatnia dowiedziała się, że doktor Lecter znowu zabił. Odłożyła słuchawkę i przez dłuższy czas leżała nieruchomo w ciemnościach. Piekły ją oczy, choć nie płakała. Wpatrywała się w ciemny sufit i wydawało jej się, że dostrzega tam znajomą twarz. Była to dawna twarz doktora Lectera.

## **ROZDZIAŁ 40**

Pilot samolotu sanitarnego nie chciał po ciemku lądować na krótkim pasie startowym w Arbatrax. Wylądowali więc w Cagliari. Uzupełnili zapas paliwa i poczekali do świtu, żeby wystartować przy bajecznym wschodzie słońca, który nadawał martwym policzkom Mattea złudne

kolory.

Ciezarowka z trumna czekała już przy pasie startowym w Arbatrax. Pilot wykłocal się o pieniądze. Tommaso zdążył interweniować, zanim Carlo uderzył go w twarz.

Po trzech godzinach jazdy gorskimi drogami dotarli na miejsce.

Carlo podszedł do szopy, która zbudował razem z bratem. Wszystko zostało przygotowane, ustawiono kamery, które miały sfilmować śmierć Lectera.

Stanął przed drewnianą ścianą i spojrzał na swoje odbicie w wielkim rokokowym zwierciadle nad zagrodą dla zwierząt. Patrząc na drewniane bale, które razem pilowali, myślał o potężnych, kanciastych dłoniach Mattea. Z piersi wyrwał mu się rozdzierający krzyk, tak głośny, że odbił się echem od ściany lasu. W zaroślach gorskiego pastwiska pojawiły się ryje z klami.

Bracia Piero i Tommaso zostawili go samego.

Na gorskim pastwisku śpiewały ptaki.

Z domu wyszedł Oreste Pini. Jedną ręką zapinał rozporek, a drugą wymachiwał telefonem komórkowym.

- Wiec nie udało ci się z Lecterem. Co za pech! Carlo sprawiał wrażenie, jakby nie słyszał.

- Słuchaj, nie wszystko stracone - mówił Pini. - Na linii mam Masona. Chce, żebyśmy nakreślił *simulado*. Coś, co będzie mógł pokazać Lecterowi, kiedy już go schwyci. Wszystko jest przygotowane. Mamy ciało. Mason mówi, że to jakiś zbir, którego wynajales. Mówi, że moglibyśmy po prostu przerzucić go *przez* ogrodzenie, gdy zbiegna się swinie, i włączyć nagranie z taśmy. Masz, porozmawiaj z Masonem.

Carlo odwrócił się i patrzył na Orestego, jakby był przybyszem z kosmosu. Wreszcie wziął telefon. Gdy rozmawiał z Masonem, jego twarz rozjaśniła się. Już spokojny, zamknął telefon.

- Przygotuj się - powiedział do Piniego.

Zawołał Piera i Tommasa. Z pomocą kamerzysty przenieśli trumne do szopy.

- Nie stawiajcie jej za blisko. Nie może znaleźć się w kadrze - rzekł Oreste. - Najpierw nakreśmy zbiegające się zwierzęta, a później przejdziemy do sedna.

Widząc ruch w szopie, pierwsze swinie wyszły z ukrycia.

Przybiegły truchtem. Dzikie swinie o zapadniętych piersiach i potężnych mięśniach karku pod grzebieniem stojącej szczeciny. Poruszały się na małych racicach z prędkością wilka i mogły unieść na wielkich ostrych klach człowieka.

- *Pronti!* - zawołał kamerzysta.

Zbliżały się pozostałe zwierzęta. Nie odstraszały ich ludzie za ogrodzeniem. Nie jadły od trzech dni.

- *Motore!* - zawołał Oreste.

- *Partito!* - krzyknął kamerzysta.

Swinie zatrzymały się dziesięć metrów przed szopa, przepychając się i kopiąc racicami w ziemi - gaszcz nogi i kłowa z ciężarną lochą w środku. Oreste przyglądał im się przez złożone w kadr rece.

- *Azione!* - zawołał do Sardynczyków.

Carlo podszedł do Orestego i wbil mu noż między pośladki. Powietrze rozdarł krzyk. Carlo chwycił Piniego za biodra i wrzucił głową do przodu do

zagrody. Swinie ruszyły. Oreste próbował się podnieść. Kleknął na jedno kolano, ale locha huknęła go w zęba. Rozplaszczyl się na ziemi jak długi. Zwierzęta opadły go, charcząc i kwicząc. Dwa dziki wgrzały się w jego twarz. Oderwały szczęki i podzieliły się nią jak obojczykiem kurczęcia. Oreste nadal próbował się podnieść. Prawie mu się udało, lecz po chwili znowu wylądował na plecach z odsłoniętym brzuchem, wymachując rękami i nogami wśród klebiących się ciał. Krzyczał, ale bez szczęki nie był w stanie wyartykułować żadnych słów.

Operator porzucił włączoną kamerę. Próbowal uciec, lecz nie zdążył umknąć kuli z broni Piera.

Swinie wgrzały się w ciało Orestego coraz głębiej, rozciągając kawałki po zagrodzie.

- Masz swoje *azione* ~ splunął na ziemi Carlo.

# CZesc III DO NOWEGO sWIATA

## ROZDZIAI 41

Masona Vergera otaczala grobowa cisza. Traktowano go jak matke, ktora wlasnie stracila dziecko.

- Czuję się, jakbym zapłacił mnóstwo pieniędzy za martwego makaroniarza - oznajmił.

Po kilkugodzinnym snie zazadał, aby do pokoju z zabawkami sprowadzono dzieci. Chciał porozmawiać z tymi najbardziej smutnymi. Lecz zdobycie smutnych dzieci w tak krótkim czasie okazało się niemożliwe, a dostawca ze slumsów w Baltimore nie miał czasu, żeby je zasmucić dla Masona.

Niepocieszony, kazał swojemu słuzacemu Cordellowi okaleczyć ozdobne karpie i rzucić je na pozarcie murenie. Kiedy murena nie mogła już przelknąć ani kesa, schował się za skalka w zabarwionej na różowo wodzie pełnej opalizujących złotych strzepów.

Mason próbował jeszcze podrezyć swoją siostrę Margot, ale zamknęła się w silowni i przez kilka godzin ignorowała jego wezwania. Była jedyną osobą w Muskrat Farm, która miała odwagę ignorować Masona.

W wieczornym wydaniu sobotnich wiadomości pojawił się krótki i bardzo pocięty fragment amatorskiego nagrania wideo ukazującego śmierć Rinalda Pazziego. Część obrazu specjalnie zamazano, żeby oszczędzić widzom drastycznych szczegółów.

Sekretarka Masona natychmiast postarała się o oryginalną taśmę, która przyleciała helikopterem cztery godziny później.

Nagranie miało ciekawą historię.

W chwili śmierci Rinalda Pazziego dwóch turystów filmowało Palazzo Vecchio. Jeden z nich w krytycznym momencie przestraszył się i opuścił kamerę. Drugiemu, Szwajcarowi, ręka nie zadrżała ani przez chwilę, a nawet zrobił długie ujęcie, prowadząc kamerę do góry wzdłuż drgającego, kołyszącego się przewodu.

Filmowiec amator, urzędnik o nazwisku Viggert, obawiał się, że policja zarekwiruje kasety i telewizja RAI dostanie ją za darmo. Natychmiast skontaktował się telefonicznie ze swoim prawnikiem w Lozannie, zastrzegł sobie prawa autorskie do filmu i po burzy przetargowej sprzedał je sieci ABC. Pierwsze prawa do przedruku prasowego w Ameryce uzyskał „New York Post”, a w dalszej kolejności „National Tattler”.

Film natychmiast zapewnił sobie miejsce wśród klasycznych spektakli grozy, takich jak Zapruder, zabójstwo Lee Harveya Oswalda i samobójstwo Edgara Bolgera, lecz Viggert później żałował, że sprzedał prawa tak szybko, zanim o zbrodni oskarżono doktora Lectera.

Mason otrzymał kopie wakacyjnego filmu rodziny Viggertów. Szwajcarska rodzina posłusznie krazy wokół genitaliów Dawida w godzinach otwarcia Galleria dell' Accademia przed incydem w Palazzo Vecchio.

Mason przyglądał się nagraniu swoim pojedynczym wylupianym okiem. Niewiele interesował go drogi kawałek mięsa kiwający się na końcu przewodu elektrycznego. Nie zainteresowała go również mała lekcja historii, zamieszczona w „La Nazione” i „Corriere della Sera”, o dwóch Pazzich, których powieszono w tym samym miejscu w odstępnie pięciuset dwudziestu lat. Jego uwagę przykuło długie ujęcie wzdłuż drgającego przewodu aż do balkonu, gdzie na tle słabego światła z wewnątrz rysowała się zamazana drobna sylwetka. Postać machała ręką. Machała do Masona. Doktor Lecter machał do Masona, poruszając tylko dłoń nad nadgarstkiem, tak jak macha się do dziecka.

- Do widzenia - odpowiedział z ciemności Mason. - Do widzenia. - Jego głęboki głos drżał z wściekłości.

## **ROZDZIAŁ 42**

Przypisanie morderstwa Rinalda Pazziego doktorowi Hannibalowi Lecterowi pozwoliło Clarice Starling zająć się wreszcie czymś poważnym. Została łączniczką między FBI i włoską policją. Cieszyła się, że może skupić się na jednym konkretnym zadaniu.

Świat Starling uległ zmianie od czasu strzelaniny przy targu rybnym Feliciano. Wraz z innymi



ocalalymi uczestnikami akcji znalazła się w administracyjnym czysccu, oczekując na raport Departamentu Sprawiedliwości w tej sprawie.

Po odnalezieniu zdjęcia rentgenowskiego Lectera Starling dreptała w miejscu. Wykladała w Akademii Policyjnej w Quantico, gdzie zastępowała chorych lub przebywających na urlopie instruktorów.

Jesienią i zimą Waszyngton był skandalem w Białym Domu. Zaciętrzewieni reformatorzy wytoczyli więcej słów, niż zużyto podczas tego żalosnego erotycznego występu, i w rezultacie prezydent Stanów Zjednoczonych, żeby uniknąć *impeachmentu*, musiał publicznie gnać kark częściej i niżej niż zwykle.

W całym tym cyrku drobny incydent przy sklepie rybnym zszedł na boczny tor.

Z każdym dniem w Starling narastała ponura świadomość: służba w FBI już nigdy nie będzie dla niej tym, czym była kiedyś. Została napiętnowana. Współpracownicy obchodzili się z nią jak ze śmierdzącym jajkiem. Starling była na tyle młoda, że takie zachowanie zaskakiwało ją i rozczarowywało.

Z zadowoleniem rzuciła się w wir pracy. Do Sekcji Behawioralnej napływały prośby Włochów o informacje dotyczące Hannibala Lectera, zwykle w dwóch egzemplarzach: jedna kopia przesyłał Departament Stanu. Starling chętnie odpowiadała, okupując faksy i przysyłając e-mailem pliki na temat Lectera. Była zaskoczona, że w ciągu siedmiu lat od ucieczki doktora zebrano tak wiele materiałów.

Jej mała klitka w piwnicach Sekcji Behawioralnej toniła w papierach, zamazanych faksach z Włoch i kopiach włoskich dokumentów.

Co wartościowego mogła wysłać Włochom? Odkryli, że kilka dni przed śmiercią Pazziego na jedynym z komputerów w komendzie policji ktoś otworzył plik Lectera z bazy danych VICAP w Quantico. Na podstawie tej informacji włoska prasa zrehabilitowała Pazziego. Uznano, że w tajemnicy pracował nad schwytaniem doktora Lectera, pragnąc w ten sposób odzyskać dobre imię.

Starling zastanawiała się także, jakie informacje dotyczące zbrodni Pazziego mogłyby przydać się jej na wypadek, gdyby doktor postanowił wrócić do Stanów Zjednoczonych.

Nie mogła liczyć na rady Jacka Crawforda, który wielkimi krokami zbliżał się do emerytury. Często bywał w sądzie i zeznawał w wielu otwartych procesach. Brał coraz więcej zwolnień chorobowych, a kiedy już przychodził do biura, wydawał się coraz bardziej niedostępny.

Mysł o braku wsparcia z jego strony przyprawiała Starling o ataki paniki.

Przez lata służby w FBI Starling widziała bardzo dużo. Zdawała sobie sprawę, że jeśli doktor Lecter znowu zabije w USA, Kongres zachłynie się świętym oburzeniem, z Departamentu Sprawiedliwości dobiegnie głośny ryk spóźnionych oskarżeń i zacznie się na dobre zabawa w „Kogo udupić?”. W pierwszej kolejności dostanie się służbom granicznym za wpuszczenie Lectera do kraju.

Lokalna policja zazada wszystkich materialow zwiazanych z doktorem, a wysilki FBI skupia sie wokol miejscowego biura. A kiedy Lecter zabije w jakimś innym miejscu, cala procedura sie powtorzy.

Jesli zostanie schwytyany, wszyscy beda wynosic pod niebiosa swe zaslugi i gryzc sie miedzy soba jak niedzwiedzie wokol rannej fokii.

Zadanie Starling polegalo na przygotowaniu sie na ewentualnosc powrotu doktora. Zadala sobie proste pytanie, ktore dla karierowicza w Waszyngtonie

brzmialoby banalnie: Jak zdola dochowac zlozonej przysiegi? Jak zdola ochronic obywateli i schwytac go, jesli wroci?

Doktor Lecter niewatpliwie mial dobre papiery i sporo pieniedzy. Wspaniale opanowal sztuke kamuflazu. Wezmy na przyklad elegancka prostote jego pierwszej kryjowki po ucieczce z Memphis - zameldowal sie w czterogwiazdkowym hotelu przy wielkiej klinice chirurgii plastycznej w St. Louis. Polowa gosci chodzila z zabandazowanymi twarzami. Wiec i on zabandazowal sobie twarz i plawil sie w luksusie za pieniadze zabitego mezczyzny.

Wśród setek dokumentow miala jego rachunki hotelowe z St. Louis. Astronomiczne. Butelka Batard-Montrachet sto dwadziescia piec dolarow. Jak cudownie musialo smakowac wino po latach wieziennej diety.

Poprosila o kopie wszystkich materialow pozostalych po doktorze we Florencji. Wlosi spelnili jej prosbe. Patrzac na niewyraźne, zamazane litery, pomyslala, ze do kopiowania uzywaja sadzy.

W przeslanych papierach panowal chaos. Wśród dokumentow doktora Lectera z Palazzo Capponi znalazlo sie kilka skreslonych jego charakterystycznym pismem notatek o Dantem, liscik do sprzataczki oraz rachunek z florenckich delikatesow „Vera dal 1926” za dwie butelki Batard-Montrachet i *tartufi bianchi*. Znow ten sam gatunek wina, ale coz znaczy *tartufl bianchil*.

We wlosko-angielskim slowniku sprawdzila, ze *tartufi bianchi* to biale trufle. Zadzwonila do szefa kuchni dobrej waszyngtonskiej restauracji i zapytala o nie. Zaczal rozwodzic sie nad ich smakiem. Po pieciu minutach z trudem przerwala mu wyklad.

Smak. Wino, trufle. Dobry smak stanowil wspolny mianownik egzystencji Lectera w Ameryce i Europie. Doktor mogl zmienic twarz, ale nie gust, a byl czlowiekiem, ktory lubi sobie pofolgowac.

Dla Starling kwestia dobrego smaku byla dosc drażliwa, gdyz wlasnie w tej sferze doktor Lecter po raz pierwszy dotknal ja do zywego, chwalac torebke i kpiac z tanich butow. Jak ja wtedy nazwal? Wyszorowanym mydlem, pozbawionym smaku wiejskim popychadlem.

Wlasnie dobry smak nie dawal jej spokoju w codziennym trybie instytucjonalnej egzystencji wśród czysto funkcjonalnych sprzetow.

W tym samym czasie Starling tracila wiare w technike. Byla znuzona technika. Wiara w technike jest religia tych, ktorzy uprawiaja niebezpieczne zawody. Aby wziac udzial w pojedynku z

uzbrojonym przestepca, trzeba wierzyc, ze perfekcyjna technika i dobre wyszkolenie uczynia cie niezwyciezonym. Nieprawda, zwlaszcza w wypadku pojedynkow strzeleckich. Mozesz miec przewage techniczna, ale jesli bedziesz uczestniczyl w wielu strzelaninach, w koncu przyjdzie na ciebie kolej i zginiesz.

Starling wszystko to widziala.

Zwatpiwszy w stara religie, ku jakiej wierze mogla sie teraz zwrocic?

Posrod codziennych zmartwien i dreczacej monotonii zycia zaczela zwracac uwage na ksztalt rzeczy. Zaczela ufac swym instynktownym reakcjom. Zauwazyla tez zmiany w swych przyzwyczajeniach czytelnicych. Do tej pory, zanim spojrzala na zdjecie, czytala podpis pod nim. Teraz nie. Teraz czesto w ogole nie czytala podpisow.

Od lat czytala magazyny mody. Robila to w tajemnicy, dreczona wyrzutami sumienia, jak gdyby miala do czynienia z pornografia. Teraz zaczela przyznawac sie przed sama soba, ze cos w tych zdjeciach rozbudza jej apetyt. Odnosila wrazenie, ze oddaje sie jakiejms ponetnej perwersji.

Zapewne w duzej mierze dzieki wewnetrznej przemianie, jaka sie w niej dokonala, Starling doszla do wniosku, ze zamilowanie doktora Lectera do rarytasow, *rzeczy* ekskluzywnych moze byc pletwa grzbietowa potwora, widoczna nad powierzchnia wody.

Analizujac i porownujac komputerowe listy sklepowych klientow, mogla wpasc na trop ktoregos z jego falszywych wcielen. Ale najpierw musiala poznac jego gust. Poznac dobrze, lepiej niz ktokolwiek inny na swiecie.

Co on lubi? - zastanawiala sie. Muzyke, wino, ksiazki, jedzenie. I mnie.

Pierwszym krokiem przy wyrabianiu w sobie dobrego smaku jest chec polegania na wlasnych opiniach. Co do potraw, wina i muzyki Starling musiala przesledzic dawne preferencje doktora, lecz w jednej dziedzinie jej wiedza nie ustepowala wiedzy Lectera. Samochody. Starling byla maniaczka motoryzacji, co potwierdzilby kazdy, kto widzial jej samochod.

Przed aresztowaniem doktor Lecter jezdzil bentleyem z doladowaniem. Z doladowaniem, a nie z turbodoladowaniem. Robiony na zamowienie model z dmuchawa wyporowa. Starling szybko zrozumiala, ze rynek produkowanych na zamowienie bentleyow jest tak maly, ze doktor za bardzo by ryzykowal, chcac wrocic do tego modelu.

Co zatem moglby kupic teraz? Znalala jego upodobania. Jakis duzy samochod z silnikiem osmiozaworowym o wysokim momencie obrotowym i dmuchawa wyporowa, cos z wykopem. Co wybralby z biezacej oferty?

Bez watpienia jaguara XJR z doladowaniem. Poslala faks do dystrybutorow jaguara na Wschodnim i Zachodnim Wybrzezu, proszac o cotygodniowe raporty sprzedazy.

Jakie jeszcze upodobania doktora Lectera znalazla?

Pomyślala, że przecież lubi ja.

Bardzo szybko zareagował na jej nieszczęście, a przecież korespondencja ze Stanów docierała do niego z opóźnieniem. Fatalnie, że trop związany z maszyną stemplująca rozmył się - maszyna znajdowała się w miejscu ogólnie dostępnym, mógł więc z niej skorzystać każdy.

Jak szybko „National Tattler” dotarł do Włoch? Z tego źródła doktor dowiedział się o kłopotach Starling - egzemplarz znaleziono w Palazzo Capponi. A może skandalowi z jej udziałem poświęcono stronę w Internecie? Jeśli

Lecter miał we Włoszech komputer, mógł otworzyć strony FBI i przeczytać o strzelaninie. Na liście rzeczy doktora znalezionych w Palazzo Capponi nie było komputera. Ona jednak coś widziała. Wyciągnęła zdjęcia biblioteki w Palazzo Capponi. Fotografia pięknego biurka, przy którym pisał do niej list. Na biurku stoi komputer. Laptop Philipsa. Na zdjęciach wykonanych później, już go nie ma.

Zglądając raz po raz do słownika, Starling z trudem skłecila faks do komendy policji we Florencji:

Fra le cose personali del dottor Lecter, c'è un computerportatile?

I tak, małymi krokami, Clarice Starling ruszyła śladem wyznaczonym przez upodobania doktora Lectera, choć jej wiara w słuszność tej drogi nie była całkowicie racjonalna.

## ROZDZIAŁ 43

Cordell, asystent Masona Vergera, natychmiast rozpoznał charakterystyczne pismo, kiedy porównał je z próbka ustawioną w ramce na jego biurku. Papeteria pochodziła z hotelu „Excelsior” we Florencji.

Mason - tak jak wiele innych bogatych osób w dobie zminiaturyzowanych bomb - miał własny fluoroskop, podobny do urządzenia stosowanego przez amerykańską pocztę.

Cordell założył rękawiczki i zbadał list. Fluoroskop nie wykrył żadnych przewodów czy baterii. Cordell zgodnie ze ścisłymi poleceniami Masona skopiował list i koperte, obracając je szczypcami. Zanim wziął do ręki kopie, które zaniósł Masonowi, zmienił rękawiczki.

Doktor Lecter pisał:

Drogi Masonie,

Dziękuję, że wyznaczyłeś za mnie tak wysoką nagrodę. Chciałbym, żebyś jeszcze ją podniósł. Jako system wczesnego ostrzegania nagroda w takich przypadkach jest lepsza niż radar. Skłania policjantów do porzucania służbowych obowiązków i podejmowania prób samodzielnego schwytania mnie. Rezultaty sam mogłeś ostatnio obejrzeć.

Wlasciwie pisze po to, zeby odswiezyc ci pamiec. Chodzi o twoj dawny nos. W natchnionym wywiadzie antynarkotykowym udzielonym jakis czas temu „Ladies Home Journal” stwierdziles, ze nakarmiles swym nosem i reszta twarzy pare machajacych ogonami psiakow o imionach Skippy i Spot. Niezupelnie tak: sam go zjadles, na przekaske. Odglosy jego przezuwania pozwalaja mi

wnioskowac, ze mial konsystencje podobna do kurzego zoladka. „Smakuje jak kurczak”, stwierdziles wowczas. Dzwiek ten przypomnial mi sie w bistro, gdy pewien Francuz chrupal salatke gesier.

Czyzbys zapomnial, Masonie?

A propos smakowitych kaskow, wyznales podczas terapii, ze gdy demoralizowales ubogie dzieci w czasie letniego obozu, odkryles, iz czekolada podraznia twoja cewke moczowa. Tego tez sobie nie przypominasz, prawda?

Nie uwazasz za prawdopodobne, ze powiedziales mi o wielu rzeczach, ktorych teraz nie pamietasz?

Istnieje niezaprzeczalna paralela miedzy toba, Masonie a Jezabel. Skoro tak pilnie studiujesz Biblie, powinienes sobie przypomniec, ze psy zjadly jej twarz i cala reszte, gdy eunuchowie wyrzucili ja przez okno.

Twoi ludzie mogli zamordowac mnie na ulicy. Ale chciales dostac mnie zywego, prawda? Zapach twoich zbirow nie pozostawial mi zadnych watpliwosci co do sposobu, w jaki chciales mnie zabawic. Masonie, Masonie. Skoro tak bardzo chcesz sie ze mna widziec, mam dla ciebie slowa pocieszenia, a wiesz, ze nigdy nie klamie.

Przed smiercia ujrzysz moja twarz.

Serdecznosci dr Hannibal Lecter

PS. Martwie sie jednak, ze nie dozyjesz tej chwili, Masonie. Wczesniej bowiem zapadniesz na zapalenie pluc. Jestes na nie bardzo podatny, lezac tak nieruchomo (co sie juz nie zmieni). Polecalbym natychmiastowe szczepienie, a takze zastrzyki przeciw wirusowemu zapaleniu watroby A i B. Nie chce cie przedwczesnie stracic.

Gdy Mason zakonczyl lekture, sprawial wrazenie, jakby zabraklo mu tchu. Czekal i po dlugim czasie powiedzial do Cordella cos, czego ten nie doslyszal. Cordell pochyлил sie nisko, a Mason znow przemowil: - Polacz mnie z Paulem Krendlerem. I z opiekunem swin.

## **ROZDZIAI 44**

Na pokladzie helikoptera, ktorym sprowadzano codziennie zagraniczna prase dla Masona Vergera, przylecial do Muskrat Farm zastepca inspektora generalnego Paul Krendler.

Złowroga obecność Masona, jego mroczny pokój z syczącymi, wzdychającymi urządzeniami i pływająca murena wystarczyłyby, żeby Krendler poczuł się nieswojo. A musiał jeszcze kilkakrotnie obejrzeć na wideo śmierć Pazziego.

Siedem razy patrzył na Viggertów krazących wokół Dawida, na lot Pazziego i jego wypadające trzewia. Za siódmym razem miał wrażenie, że trzewia Dawida też wypadną.

Wreszcie nad fotelem w pokoju Masona zapaliły się jasne światła, grzejąc Krendlera w czubek głowy, gdzie pod rzędnymi krótkimi włosami lśniła skóra.

Vergerowie jak nikt inny potrafią wyczuć ludzką zachłanność, Mason rozpoczął więc od tego, co Krendler chciał uzyskać dla siebie. Jego głos wydobywał się z mroku, a zdania odmierzają oddechy respiratora.

- Nie muszę wysłuchiwać... pańskich politycznych wywodów... ile to będzie kosztowało?

Krendler chciał porozmawiać z Masonem na osobności, tymczasem towarzyszył im ktoś jeszcze. Na tle podświetlonego akwarium widac było zarys szerokich ramion i wspaniałe umieszczonej sylwetki. Krendlerowi nie spodobała się myśl, że ich rozmowie będzie się przysłuchiwał ochroniarz.

- Wolalbym pomówić w cztery oczy. Mogłby pan go wyprosić?

- To moja siostra Margot - odparł Mason. - Może zostać.

Margot wylonila się z mroku, ubrana w obcisłe spodenki do jazdy na rowerze.

- Najmocniej przepraszam - wybakal Krendler. Podniósł się z fotela i wyciągnął dłoń.

- Witam - rzuciła, ale zamiast uściskać wyciągniętą rękę, wzięła z miski na stole dwa orzechy włoskie. Rozłupała je głośno w dłoni i wtopiła się w mrok przed akwarium. Krendler słyszał, jak lupiny spadają na podłogę.

- No dobrze, niech pan mówi - zwrócił się do niego Mason.

- Na pokonanie Lowensteina w dwudziestym siódmym okręgu potrzebuje minimum dziesięciu milionów dolarów. - Krendler złożył nogę na nogę i odwrócił wzrok, wpatrując się gdzieś w ciemność. Nie wiedział, czy Mason go obserwuje. - Tyle będa mnie kosztować media. Ale mam na niego haka. Dowiedziałem się czegoś. Coż takiego przeskróbał?

- Powiemy tylko, że jego postępowanie.

- Chodzi o forse czy o cipe?

W obecności Margot Krendler wolal nie powtarzać słowa „cipa”, choć Mason najwyraźniej nie miał takich skrupułów.

- Jest zony i od dawna ma romans z sędzią stanowego sądu apelacyjnego, który łagodnie potraktował kilku jego sponsorów. Wyroki te są prawdopodobnie zbiegiem okoliczności, lecz wystarczy, by telewizja go ukamienowała.

- Sędzia jest kobieta? - zapytała Margot. Krendler kiwnął głową.

- Tak - dodał, nie wiedząc, czy Mason widział jego gest.

- Niedobrze - ocenił Mason. - Lepiej gdyby był pedalem, prawda Margot? W każdym razie sam nie może pan tego wyciągnąć, Krendler. Sprawa nie może wyjść od pana.

- Obmyśliliśmy plan, który pozwala wyborcom...

- Sam nie może pan tego wyciągnąć - powtórzył Mason.

- Zadbam tylko o to, by członkowie komisji sądowej wiedzieli, do czego się przyćwiczyć, żeby Lowenstein się nie wykipl, gdy go zaatakujemy. A więc może mi pan pomóc?

- Mogę sfinansować połowę.

- Piec?

- Wolalbym, żeby nie bagatelizował pan sprawy, rzucając od niechcienia „piec”. Wyrazmy się z całym szacunkiem, na jaki ta suma zasługuje: pięć milionów dolarów. Bog zesał mi te pieniądze i dzięki nim spełnia jego wolę: dostanie je pan tylko wtedy, gdy Hannibal Lecter wpadnie w moje ręce. - Mason zrobił przerwę na kilka oddechów. - Jeśli tak się stanie, zostanie pan kongresmenem Krendlerem z dwudziestego siódmego okręgu, niezależnym i czystym. Jedyną rzeczą, o jaką będę prosił, to sprzeciw wobec ustawy o humanitarnym uboju. Jeśli FBI dopadnie Lectera, po czym gliny zamkna go i zaaplikują mu śmiertelny zastrzyk, nie będę chciał pana znać.

- Nic na to nie poradzę, jeśli schwyta go miejscowa policja. Lub jeśli szczęście dopisze ludziom Crawforda.

- W ilu stanach grozi doktorowi Lecterowi kara śmierci? - zapytała Margot. Miała nieco zachrypnięty, głęboki głos.

- W trzech stanach jest oskarżony o wielokrotne morderstwa pierwszego stopnia.

- Jeśli zostanie aresztowany, chce, żeby jego proces prowadzono na poziomie stanowym - zazadał Mason. - Żadnych spraw o porwanie, naruszenie praw obywatelskich, żadnych działań międzystanowych. Chce, żeby uszedł z życiem i trafił do stanowego więzienia. Nie może otrzymać najwyższego wymiaru kary.

- Powinienem zapytać dlaczego?

- Jeśli tylko chce pan wiedzieć. Ale ostrzegam, że odpowiedź nie zadowoliliby sympatycy ustawy o humanitarnym uboju. - Mason zachichotał. Rozmowa wyczerpała go. Dał znak Margot.

Podeszła z notatkami do światła i przeczytała je Krendlerowi.

- Chcemy dostawać od pana wszystkie informacje, zanim dotra do Sekcji Behawioralnej, oraz otrzymywać raporty Sekcji Behawioralnej natychmiast po ich sporządzeniu. Prosimy też o kody dostępu do bazy danych VICAP i Państwowego Centrum Informacji Kryminalnej.

- Żeby wejść do VICAP, trzeba korzystać z telefonów publicznych - powiedział Krendler, wciąż zwracając się w stronę ciemności, jak gdyby nie zauważał siostry Masona. - Jak pan to zrobi?

- Ja się tym zajmę - zapewniła Margot.

- Ona się tym zajmie - szepnął Mason z mroku. - Tworzy programy treningowe dla kulturystów. To jej mały interes i nie musi żyć z pieniędzy brata.

- FBI ma zamknięty system, którego część jest zakodowana. Będziecie się musieli logować dokładnie według moich instrukcji i ściągać informacje do laptopa zaprogramowanego w Departamencie Sprawiedliwości - informował Krendler. - Dzięki temu, jeśli będą was chcieli namierzyć, zostaną nakierowani na Departament Sprawiedliwości. Kupcie za gotówkę na giełdzie laptopa z szybkim modemem i nie odsyłajcie żadnych certyfikatów. Kupcie też program archiwizujący. Trzymajcie się z dala od Internetu. Będzie go potrzebował na jeden dzień, a po wszystkim chce go z powrotem. Odezwe się. To wszystko. - Krendler wstał i zaczął zbierać swoje papiery.

- Niezupełnie wszystko, panie Krendler... - powiedział Mason. - Lecter nie musi się ujawniać. Ma tyle pieniędzy, że może siedzieć w ukryciu do końca życia.

- Skąd ma tyle pieniędzy? - zapytała Margot.

- Podczas swej praktyki psychiatrycznej leczył bardzo bogatych klientów w podeszłym wieku - wyjaśnił Krendler. - Nakłonił ich do przekazania mu znacznych sum pieniędzy i papierów wartościowych i dobrze je ukrył. Urząd skarbowy niczego nie znalazł. Ekshumowali ciała kilku jego dobroczyńców, żeby się przekonać, czy ich zabił, ale niczego nie znaleziono. Badania nie wykazały obecności toksyn.

- A zatem na pewno nie zostanie schwytany podczas kradzieży - orzekł Mason. - Musimy wywabić go z kryjówki. Niech pan myśli, jak to zrobić.

- Będzie wiedział, kto stał za akcją we Florencji - ostrzegł Krendler.

- Oczywiście.

- Wiec będzie chciał pana dopaść.

- Nie wiem - odparł Mason. - Podobam mu się w takim stanie, w jakim jestem. Niech pan myśli, Krendler - dodał i zaczął nucić jakąś melodię. Często podśpiewywał, kiedy coś knuł.

Wychodząc z pokoju, zastępca inspektora generalnego Krendler słyszał tylko melodię. Słowo nie



rozroznial.

„Masz doskonała przynete, Krendler, ale pomowimy o niej, gdy juz przyjmiesz kompromitujaca cie sume, gdy juz bede cie mial w garosci" - nucil Mason.

## ROZDZIAI 45

W pokoju zostaja tylko oni dwoje: brat i siostra. Przycmione swiatlo i muzyka. Muzyka z Afryki Polnocnej, arabska lutnia i bebny. Margot siedzi na sofie z opuszczona glowa i lokciami wspartymi o kolana. Wyglada jak odpoczywajacy miotacz lub ciezarowiec po

wyczerpujacych treningu na silowni. Oddycha nieco szybciej niz respirator Masona.

Utwor konczy sie. Margot wstaje, podchodzi do lozka. Murena wystawia glowe z kryjowki za sztuczna skala, zeby sie przekonac, czy z falistego, srebrnego nieba i tym razem nie spadnie karpiowy deszcz. Chrapliwy glos Margot rozlega sie w najsubtelniejszym wydaniu:

- Nie spisz?

Po chwili wiecznie otwarte oko Masona budzi sie.

- Nadeszla pora, zeby porozmawiac - odzywa sie westchniecie respiratora - o tym, czego chce Margot? Usiadz kolo mnie.

- Wiesz, o co mi chodzi.

- Powiedz.

- Judy i ja chcemy miec dziecko. Chcemy miec dziecko Vergerow, nasze dziecko.

- Czemu nie kupisz malego Chinczyka? Sa tansi od prosiakow.

- Tego nie wykluczamy. To dobry pomysl.

- Co jest napisane w testamencie papy... „Po smierci mego ukochanego syna, Masona... - Ukochany syn, Mason, to ja... - cala posiadlosc przejmuje moj potomek, ktorego prawa do majatku maja byc potwierdzone w Cellmark Laboratory lub w wyniku rownowaznego badania DNA. W wypadku braku potomka jedynym beneficjentem bedzie Konwencja Poludniowych Baptystow, ze specjalnymi klauzulami dotyczacymi Uniwersytetu Waco w Teksasie". Margot, te twoje lesbijskie dziwactwa naprawde zrazily do ciebie pape.

- Mozesz mi nie wierzyc, ale nie chodzi mi o pieniadze. No moze troche. Ale przede wszystkim pragne dziecka. To bylby tez twój dziedzic, Masonie.

- Czemu nie znajdziesz jakiegos przystojniaka i nie dasz mu dupy, Margot? Przecież znasz się na tym.

Marokanska muzyka znow narasta, a obsesyjne dźwięki lutni pobrzmiewają w uszach Margot.

- Pokpiłam sprawę, Masonie. Przez te sterydy moje jajniki są do niczego. Poza tym chcę, żeby uczestniczyła w tym Judy. Judy zamierza być biologiczna matka. Masonie, powiedziałeś, że jeśli ci pomożę... obiecałeś mi swoją spermę.

Pajakowate palce Masona poruszyły się.

- Proszę bardzo, nie krepuj się, chyba ciągle ją mam.

- Masonie, są duże szanse, że masz pełnowartościowy ejakulat, który moglibyśmy bezbolesnie pobrać...

- Pobrać mój pełnowartościowy ejakulat? Chyba już rozmawiałaś ze specjalistą.

- Poufnie konsultowałam się z ośrodkiem leczenia bezpłodności. - Twarz Margot złagodniała, nawet w zimnym świetle akwarium. - Dziecko miałoby

z nami dobrze, Masonie. Chodzimy na kurs przygotowawczy dla przyszłych rodziców. Judy pochodzi z licznej i bardzo tolerancyjnej rodziny, a dla kobiet wychowujących wspólnie dzieci jest poradnią.

- Kiedy byliśmy dziećmi, niezle obciagałaś mi druta. Strzelałem jak z moździerza. I to bardzo szybko.

- Zraniłaś mnie, kiedy byłam mała, Masonie. Zraniłaś mnie i wybiłaś mi łokieć, gdy zmuszałaś mnie do... Nadal nie mogę podnieść lewą ręką więcej niż czterdzieści kilogramów.

- Nie chciałaś czekolady. Powiedziałem, siostrzyczko, że porozmawiamy o tym, gdy załatwię swoje sprawy.

- Przebadajmy cię już teraz - nalegała Margot. - Lekarz może bezbolesnie pobrać próbkę...

- Bezbolesnie, o czym ty mówisz? Przecież jestem sparalizowany, nic nie czuję. Mogłabyś ssać go, aż zrobisz się zielona na twarzy, a i tak nic mnie nie zaboli. W każdym razie już kiedyś przeprowadziłem próbkę i nic się nie stało.

- Lekarz pobierze bezbolesnie próbkę, żeby zbadać ruchliwość plemników. Judy już zazywa leki. Śledzimy jej cykl menstruacyjny. Jest tyle do zrobienia.

- Do tej pory nie miałem przyjemności poznać Judy. Cordell twierdzi, że ma krzywe nogi. Jak długo jesteście razem, Margot?

- Od pięciu lat.

- Czemu wiec mi jej nie przedstawisz? Wspolnie, ze tak powiem, moze cos wymyslmy...

Rozleglo sie ostatnie uderzenie w afrykanski beben i zapadla cisza.

- Czemu sam nie zajmiesz sie tym przekretem z Departamentem Sprawiedliwosci? - zapytala, pochylajac sie nisko nad jego uchem. - Czemu sam nie wgramolisz sie do budki telefonicznej ze swoim pieprzonym laptopem? Czemu nie wybulisz jeszcze troche forsy, zeby zlapac tego goscia, ktory zrobil z twojej twarzy karme dla psow? Obiecales, ze mi pomozesz, Masonie.

- Pomoge. Musze sie tylko zastanowic kiedy.

Margot zmiadzyla w dloni dwa orzechy wloskie. Pozwolila, zeby lupiny opadly na posciel Masona.

- Tylko nie zastanawiaj sie zbyt dlugo, zebaczu. Gdy wychodzila z pokoju, jej spodenki swistaly jak para buchajaca z lokomotywy.

## ROZDZIAI 46

Ardelia Mapp zabierala sie do gotowania tylko wtedy, gdy miala ochote, ale kiedy juz gotowala, rezultaty byly nadspodziewanie dobre. Jej kuchnia laczyła przepisy jamajskie i murzynskie z Poludniowo-Wschodniego Wybrzeza. Teraz przyrzadzala potrawe z suszonego na sloncu kurczaka. Oskubywala z owocow rosliny pieprzu, trzymajac ja delikatnie za lodyge. Ani jej sie snilo placic drozej za pokrojonego kurczaka; ustawila przy desce do krojenia Starling, wreczajac jej rzezniczy toporek.

- Caly kurczak, Starling, nie wchlania przypraw tak dobrze, jak pokrojony - tłumaczyla nie pierwszy raz. Popatrz - powiedziala, odbierajac Clarice toporek, i lupnela w korpus tak mocno, ze kawalki kosci utkwily w jej fartuchu. - W ten sposob. No i dlaczego wyrzucasz szyjke? Prosze te pysznosci wlozyc z powrotem.

Minute pozniej znow sie odezwala.

- Bylam dzisiaj na poczcie. Wyslalam mamie buty.

- Ja tez bylam na poczcie, moglam je wyslac.

- Slyszalas tam cos?

-Nie.

Mapp nie byla zdziwiona.

- Wiesc niesie, ze twoje listy sa czytane.

- Na czyje polecenie?
- Poufna dyrektywa inspektora poczty. Nie wiedzialas o tym, prawda?
- Nie.
- Wiec dowiedz sie o tym w jakis inny sposob. Musimy oslaniac mojego przyjaciela z poczty.
- Okay. - Starling odlozyla na chwile toporek. - Jezus Maria, Ardelio.

Gdy tego ranka Clarice stala przy okienku pocztowym, kupujac znaczki, nie wyczytala zupełnie nic z nieprzeniknionej twarzy zapracowanych urzedniczek. W wiekszosci byly to Murzynki. Kilka z nich znala. Najwyrazniej ktos chcial jej pomoc, lecz wiazalo sie to z ogromnym ryzykiem, grozba poniesienia kary i utraty emerytury. Najwyrazniej ten ktos ufal bardziej Ardelii niz Starling. Ogarnal ja niepokoj, ale poczula tez radosc, ze ostrzezenie nadeszlo z „czarnego” zrodla. Moze spolecznosc murzynska dawala w ten sposob do zrozumienia, ze wybaczyła jej smierc Eveldy Drumgo, uznajac, iz Starling dzialala w obronie własnej.

- A teraz wez mlode cebulki i rozgniec je trzonkiem noza. Rozgniec wszystko, to zielone tez - instruowala Ardelia.

Po wykonaniu zadania Starling umyla rece i usiadla w salonie, gdzie jak zwykle panowal idealny porzadek. Wkrotce dolaczyla do niej Ardelia, wycierajac rece w scierke.

- Co to za kurewstwo? - zapytala.

Przed rozpoczeciem szczegolnie ponurych rozmow mialy w zwyczajaju ciskac siarczyste przeklenstwa.

- Niech mnie cholera, jesli wiem - odparla Starling. - Trzeba ustalic, ktory sukinsyn kazal przegladac moje listy.

- Moje zrodlo dotarło tylko do biura inspektora poczty.

- Nie chodzi o strzelanine, nie chodzi o Evelde - domyslala sie Starling. - Skoro czytaja moja korespondencje, musi chodzic o doktora Lectera.

- Zawsze przekazywalas wszystko, co ci przyslal. Ty i Crawford.

- Masz racje. Moge wywieszyc, czy sprawdza mnie UOZ z FBI. Ale jesli to UOZ z Departamentu Sprawiedliwosci?

W Departamencie Sprawiedliwosci i zalezny od niego FBI funkcjonuja oddzielne Urzedy do spraw Odpowiedzialnosci Zawodowej. Teoretycznie wspolpracuja ze soba, ale czasem wystepuje konflikt interesow. Niektorzy agenci padaja ofiara takich wewnetrznych sporow. Poza tym inspektor generalny Departamentu Sprawiedliwosci mianowany z politycznego klucza moze w kazdej chwili interweniowac i przejac drazliwa sprawe.

- Jesli wiedza, ze Hannibal Lecter cos knuje, jesli wiedza, ze jest blisko, powinni cie zawiadomic, zebys zachowywala ostroznosc. Starling, czy kiedykolwiek .. wyczuwalas w poblizu jego obecosc?

Clarice pokrecila glowa.

- Nie zamartwiam sie nim. Nie w ten sposob. Bywaja okresy, kiedy w ogole o nim nie mysle. Znasz to paskudne uczucie, kiedy sie czegos boisz? Juz mnie nie ogarnia. Gdyby cos mi grozilo, chyba bym o tym wiedziala.

- Co bys zrobila, Starling? Co bys zrobila, gdybys zobaczyla go przed soba? Znienacka. Masz jakis plan? Wycelujesz w niego giwerek?

- Wyciagne ja ze spodni jak najszybciej i wyceluje mu w jaja. Ardelia rozesmiala sie.

- I co potem?

Uśmiech zniknal z twarzy Starling.

- To zalezy od niego.

- Zastrzelilabys go?

- Zeby skonczyc z flakami na wierzchu, chyba zartujesz? Moj Boze, mam nadzieje, ze nigdy do tego nie dojdzie, Ardelio. Bylabym zadowolona, gdyby zostal aresztowany i nikt by przy tym nie zginal, lacznie z nim samym. Ale powiem ci, ze czasem tak sobie mysle: gdyby ustalono, gdzie sie ukrywa, chcialabym, zeby mnie po niego wyslali.

- Nawet o tym nie wspominaj.

- Ze mna mialby wieksze szanse przezycia. Nie zastrzelilabym go, bo sie go boje. Nie jest wilkolakiem. Wszystko zalezaloby od niego.

- Naprawde sie go boisz? Chyba jednak za malo.

- Wiesz, co jest przerazajace, Ardelio? Kiedy ktos mowi ci prawde. Nie chcialabym, zeby go skazali na smierc. Gdyby mu sie udalo i trafilby do wiezienia, jest tak interesujacym przypadkiem dla swiata akademickiego, ze mialby zapewnione dobre traktowanie. I nie mialby problemow ze wspolwiezniami. Gdyby znalazl sie za kratkami, podziekowalabym mu za list. Nie mozna zmarnowac czlowieka, ktory jest na tyle szalony, by mowic prawde.

- Musi byc jakis powod, ze sprawdzaja twoja poczte. Pewnie maja utajniony nakaz sadowy. Jeszcze nas nie obserwuja, bo zauwazylybysmy, gdyby

tak bylo - powiedziala Ardelia. - Nie darowalabym sukinsynom, gdyby wiedzieli, ze sie tu kreci i nie ostrzegli cie. Lepiej uwazaj.

- Crawford by nam powiedział. Nie mogą zbyt wiele działać przeciw Lecterowi bez wiedzy Crawforda.

- Jack Crawford to już historia, Starling. Jesteś chyba niedoinformowana. A jeśli chodzi o ciebie? Bo masz niewyparzony język, bo nie wpuszcilas do łóżka Krendlera? A jeśli ktoś chce cię zniszczyć? Słuchaj, naprawdę muszę kręć mojego informatora.

- Możemy coś zrobić dla twojego kumpla z poczty? Powinnymy coś zrobić?

- A myślisz, że kto przychodzi na kolacje?

- No nie!... Chwileczkę, myślałam, że to ja przychodzę na kolacje.

- Możesz wziąć sobie trochę.

- Wielkie dzięki.

- Nie ma sprawy. Cała przyjemność po mojej stronie.

## ROZDZIAŁ 47

Jako dziecko Starling przeniosła się z drewnianego domu, który skrzypiał przy silnym wietrze, do solidnego luterńskiego sierocinca z czerwonej cegły.

Drewniany dom, choć skromny i zniszczony, był pełen ciepła. Często siadywali z ojcem w przytulnej kuchni i jedli pomarańcze. Ale śmierć wie, gdzie ma szukać domów, których mieszkańcy wykonują niebezpieczne zawody za niewielkie pieniądze. Ojciec pojechał kiedyś na nocny patrol starym pikapem i nie wrócił.

Starling uciekła z domu swoich krewnych na klaczy przeznaczonej na rzeź, kiedy zabijano owce, i znalazła coś w rodzaju schronienia w luteranśkim sierocincu. Od tamtej pory wielkie, solidne publiczne budynki dawały jej poczucie bezpieczeństwa. Luteranie oszczędzili Clarice ciepła i pomarańczy, lecz nauczyli ją przestrzegania zasad.

Dopóki poddawano ją bezosobowym testom lub wysyłano do akcji na mieście, wiedziała, że jej pozycja nie jest zagrożona. Ale Starling nie miała zmysłu dyplomatycznego.

Gdy wczesnym rankiem wysiadła ze starego mustanga, wysokie fasady budynków Quantico nie tworzyły już wielkiego ceglanego łona, w którym mogła się schronić. Przy porywistym wietrze nawet drzwi wydawały się przekrzywione.

Chciała zobaczyć się z Jackiem Crawfordem, ale nie było na to czasu. Zdjęcia w Hogan's Alley zaczynały się już wkrótce.

Sledztwo w sprawie masakry przy targu rybnym Feliciana wymagało nakreślenia filmowej symulacji tego wydarzenia na strzelnicy Hogan's Alley w Quantico, z uwzględnieniem każdego strzału, każdego toru pocisku.

Starling musiała zagrać sama siebie. Sprowadzono oryginalną furgonetkę, której nie pomalowano, lecz zaklejono ostatnie dziury po kulach. Raz za razem wyskakiwali ze starej furgonetki. Agent odgrywający rolę Johna Brigham'a padł na twarz, a nowy Burke wylądował na ziemi. Gdy symulacja z użyciem hałasliwych ślepych nabojev dobiegła końca, Starling była wykonana.

Odwiesiła broń i znalazła Jacka Crawforda w jego gabinecie. Wydawał jej się coraz bardziej zamysłony i nieobecny.

- Chcesz alka-seltzer, Starling? - zapytał. W ciągu dnia zżywał sporo różnych specyfików. Przyjmował rozmaite zioła i aspiryny dla dzieci. Polykał tabletki w ustalonej kolejności, za każdym razem gwałtownie odchylając głowę.

W ciągu ostatnich tygodni zdejmował w gabinecie marynarkę i zakładał sweter, który zrobiła mu kiedyś na drutach zmarła żona, Bella. Teraz wyglądał znacznie starszy niż ojciec Starlinga, takim go zapamiętała.

- Panie Crawford, ktoś kontroluje moje listy. W dodatku robi to nieudolnie. Zupełnie jakby otwierał je nad parą.

- Dzieje się tak, odkąd napisał do ciebie Lecter.

- Tylko sprawdzali pocztę pod fluoroskopem. Nie miałam nic przeciwko temu, ale wolałabym sama czytać zaadresowane do mnie prywatne listy. Nikt nic mi nie powiedział.

- Tym nie zajmuje się nasz Urząd do spraw Odpowiedzialności Zawodowej.

- Ani Dawg, panie Crawford. Żeby zdobyć taki nakaz, trzeba mieć niezłe wpływy.

- Wygląda to na amatorską robotę? - Clarice nie odpowiadała. - Chyba lepiej, że sama to zauważyłaś, prawda?

- Tak jest.

Zacisnął usta i kiwnął głową.

- Zajmie się sprawą. - Ułożył buteleczki z lekarstwami w pierwszej szufladzie biurka. Porozmawiam z Carlem Schirmerem z Departamentu Sprawiedliwości, wyjaśnimy to.

Kariera Schirmera dobiegła końca. Nieoficjalnie mówiło się, że przechodzi na emeryturę pod koniec roku. Wszyscy kumple Crawforda przechodzili na emeryturę.

-Dziękuję panu.

- Czy ktorys z twoich kursantow dobrze sie zapowiada? Ktos, kogo powinniśmy szybko zwerbować?

- W grupie medycyny sadowej trudno powiedziec. Czują się skrepowani, gdy omawiamy zbrodnie na tle seksualnym. Ale jest kilku dobrych strzelców.

- Tych mamy w nadmiarze. - Zerknal na nia. - To nie była aluzja do ciebie.

Wieczorem Starling wybrała się na cmentarz Arlington na grob Johna Brighamama.

Położyła dłoń na płycie, wciąż pokrytej pyłem po pracach kamieniarskich. Nagle poczuła na ustach wyraźny dotyk jego czoła, zimnego jak marmur i przyproszonego prochem. Pożegnalny pocałunek. Stała wtedy przy otwartej trumnie, wsunęła w martwą rękę Johna swój ostatni medal zdobyty podczas otwartych mistrzostw w strzelaniu z pistoletu.

Na cmentarzu opadały liście, ścieląc się na ziemi między nagrobkami. Starling zastanawiała się, ilu straciło życie tak jak John, przez głupotę, egoizm i matactwa starych, zmęczonych ludzi.

Dla człowieka o duszy wojownika Arlington to święte miejsce, a tragedia nie jest śmierć sama w sobie, lecz śmierć bezsensowna.

Czuła się związana z Brighamem. Tej wiezi nie osłabiał fakt, że nie zostali kochankami. Gdy klęczała przy jego grobie, wróciły wspomnienia. Kiedyś zaproponował jej coś niesmiało, a ona odmówiła. Potem zapytał, czy mogą zostać przyjaciółmi, i mówił serio. Zgodziła się, też na serio.

Klęcząc na cmentarzu Arlington, pomyślała o odległym grobie ojca. Nie odwiedziła go, odkąd skończyła pierwszą klasę college'u. Zastanawiała się, czy nie nadszedł czas, żeby tam wrócić.

Zachodzące słońce miało kolor pomarańczy. Odległy dźwięk trabki wyrwał Clarice z zamyslenia; zadrzała, czując pod dłonią zimną płytę nagrobka.

## ROZDZIAŁ 48

Na bezchmurnym nocnym niebie nad Nową Fundlandią widac jasny punkcik poruszający się przez konstelację Oriona: boeing 747 leci na zachód, zmagając się z przeciwnym wiatrem, który wieje z prędkością stu sześćdziesięciu kilometrów na godzinę.

Z tyłu w trzeciej klasie, zajmowanej zwykle przez turystów, siedzi pięćdziesięciu dwóch uczestników siedemnastodniowej wycieczki po jedenastu krajach Starego Kontynentu. Wracają do Detroit i Windsor w Kanadzie. Pięćdziesiąt centymetrów musi starczyć na ramiona, tyle samo na biodra między oparciami fotela - pięć centymetrów więcej, niż zapewniono niewolnikom w drodze z Afryki Zachodniej przez Atlantyk do Ameryki.

Pasazerom podaje się lodowate kanapki ze słiską wedliną i topionym serem. Wdychają własne



gazy i wyziewy innych w oszczędnie wentylowanym powietrzu - nowy wariant zasady podawania zwierzętom ich własnych odchodów, opracowanej przez hodowców w latach pięćdziesiątych.

Doktor Hannibal Lecter siedzi w połowie środkowego rzędu, otoczony z obu stron dziećmi. Miejsce na koncu rzędu zajmuje kobieta z niemowleciem na kolanach. Po tylu latach spędzonych w odosobnieniu doktor Lecter

nie znosi ciasnoty. Gra komputerowa siedzącego obok małego chłopca nieustannie pika.

Doktor Lecter - jak wiele innych osób zajmujących najtansze miejsca - ma przypięta żółta plakietka w kształcie uśmiechniętego słoneczka z napisem CANAM TOURS. Jak inni turyści ubrany jest w sportowy dres. Na bluzie widnieją insygnia drużyny hokejowej Toronto Maple Leafs. Pod ubraniem ma przyczepiony do ciała spory plik banknotów.

Lecter dołączył do wycieczki przed trzema dniami, korzystając w paryskim biurze podróży z oferty zwolnionych w ostatniej chwili miejsc. Zajął miejsce mężczyzny, który wrócił do Kanady w trumnie: nie wytrzymało mu serce, gdy wspinał się po schodach w Bazylice Świętego Piotra.

W Detroit doktora Lectera czekała odprawa celna i paszportowa. Był pewien, że pracownicy ochrony i urzędnicy imigracyjni na wszystkich ważniejszych lotniskach Zachodu zostali powiadomieni o poszukiwaniach. Jeśli jego zdjęcie nie wisi na ścianie budki kontroli paszportowej, to czeka pod przyciskiem alarmowym komputera urzędników imigracyjnych i celnych.

Doktor liczy na łut szczęścia: zdjęcia mogą przedstawiać jego dawną twarz. Falszywy paszport okazany przy wjeździe do Włoch nie ma odpowiednika w aktach, a zatem jego obecny wygląd pozostaje nieznaną. We Włoszech Rinaldo Pazzi próbował ułatwić sobie życie i zadowolic Masona Vergera, zabierając dokumenty z archiwum karabinierów, w tym zdjęcie i negatyw wykorzystane na pozwoleniu na pracę doktora Fella. Lecter znalazł je w neseserze Pazziego i zniszczył.

Jeśli Pazzi nie zrobił doktorowi Fellowi zdjęć z ukrycia, istnieje duża szansa, że na całym świecie nie ma ani jednej aktualnej podobizny Lectera. Jego nowa twarz nie różni się aż tak bardzo od starej - wokół nosa i na policzkach dodano trochę kolagenu. Ma też inne włosy i okulary. Jeśli nie zwróci na siebie uwagi, pozostanie nie rozpoznany. Bliźnię na dłoni posmarował maskującym kosmetykiem i kremem samoopalającym.

Oczekuje, że na lotnisku w Detroit pasażerowie zostaną podzieleni na dwie grupy: tych z amerykańskimi paszportami i pozostałych. Wybrał przygraniczne miasto, żeby kolejka „pozostałych” była odpowiednio długa. Samolot pełen jest Kanadyjczyków. Doktor Lecter ma nadzieję, że wtopi się w stado, jeśli tylko stado go zaakceptuje. Zwiedzał z nimi zabytki i galerie, kisił się z nimi w samolocie, ale wszystko ma swoje granice: nie zamierzał kosztować tych swińskich pomysłów, którymi częstowano ich podczas lotu.

Zmęczeni, z obolałymi stopami, znudzeni towarzyszami podróży turyści sięgają do toreb z prowiantem i z wyłowionych kanapek wyrzucają zwiedla sałatę.

Doktor Lecter, nie chcąc zwracać na siebie uwagi, czeka, aż pozostali pasażerowie przeżują ten

zalousny posilek, czeka, az skorzystaja z lazienki i zasna. Z przodu na ekranie telewizora wyswietlany jest jakis stary film. Doktor nadal czeka z cierpliwoscia pytona. Chlopiec obok niego zasnal nad komputerowa gra. Na calej dlugosci szerokiego samolotu gasna ostatnie lampki do czytania.

Dopiero wtedy, zerkajac ukradkiem na boki, doktor Lecter wyciaga spod fotela przed nim posilek zapakowany w eleganckie zolte pudelko z brazowymi krawedziami. Pudelko zwiazane jest dwiema jedwabnymi wstazkami w dopasowanych kolorach. W srodku znajduje sie, rozsiewajacy cudowny aromat, *pate de faie gras* z truflami oraz swieze, ociekajace sokiem anatolijskie figi. Jest tez pol butelki St. Estephe, w ktorym doktor szczegolnie gustuje. Jedwabna kokarda rozwiazuje sie z szelestem.

Doktor Lecter zamierza zaczac od figi. Trzyma owoc na wysokosci ust, chlonac aromat rozszerzonymi nozdrzami. Zastanawia sie, czy zjesc cala fige od razu, czy moze ugryzc tylko polowe, gdy obok niego rozlega sie pikniecie gry komputerowej. Drugie pikniecie. Nie odwracajac glowy, doktor ukrywa owoc w dloni i spoglada na malego sasiada. Z otwartego pudelka wydobywaja sie zapachy truflif, pasztetu i koniaku.

Chlopiec zaczyna weszyc. Waskimi, blyszczacymi jak u szczura oczami spoglada z ukosa na jedzenie doktora Lectera. Odzywa sie piskliwym glosem:

- Prosze pana, prosze pana.

- O co chodzi?

- Zamowil pan cos?

- Nie.

- Wiec co pan tam trzyma? - Chlopiec spojrzal na doktora, przybierajac przymilny ton. - Da pan kawalek?

- Bardzo bym chcial - Lecter zauwazyl, ze szyja dziecka ma rozmiary wieprzowej poledwicy. - Ale pewnie tego nie lubisz. To z watroby.

- Watrobianka! Super! Mama sie zgodzi, maaaaaamo!

Dziwne dziecko. Lubi watrobe i albo skamle, albo wrzeszczy.

Kobieta z niemowleciem na kolanach na koncu rzedu podskoczyla w fotelu, wyrwana z drzemki.

Podrozni w rzedzie przed nimi odwrocili sie, spogladajac przez szpary w fotelach.

- Probujemy zasnac. - Maja rozlozone siedzenia, a doktor Lecter czuje zapach ich wlosow.

- Maaaaamo, moge wziac od pana gryza?

Niemowle obudzilo sie i zaczelo plakac. Matka wetknela palec w pieluche i podala dziecku smoczek.

- Czym go pan czestuje?

- Pasztetem z watroby, prosze pani - odpowiedzial doktor najciszej, jak umial. - Jeszcze go nie...

- Watrobianka, uwielbiam ja, chce troche. Pan powiedzial, ze moge... -Chlopiec przeciagnal ostatnie slowo w przenikliwy skowyt.

- Jesli czestuje pan czymś dziecko, chcialabym to obejrzec. Przy siedzeniu kobiety z niemowleciem zatrzymala sie stewardesa.

- Wszystko w porzadku? Moge w czymś pomoc? Moze podgrzac butelke? Kobieta wyciagnela zakorkowana butelke i podala ja stewardesie. Wlaczyla lampke do czytania i zaczela szukac smoczka.

- Moze mi pan podac pudelko?! - zawolala do doktora Lectera. - Chcialabym zobaczyc, czym czestuje pan moje dziecko. Bez obrazy, ma taki delikatny zoladek.

Lecter podal pudelko kobiecie.

- Co za pysznosci - ocenila, dotykajac jedzenia tym samym palcem, ktorym wczesniej sprawdzala pieluche.

- Moze je pani zatrzymac.

- Nie mialam na mysli alkoholu rozejrzala sie, oczekujac wybuchow smiechu. - Nie wiedzialam, ze mozna pic na pokladzie swoj alkohol. To whisky? Wolno panu wypic ja w samolocie? Zatrzymam te wstazke, jesli pan pozwoli.

- Prosze pana, nie moze pan spozywac wlasnych napojow wysokowych na pokladzie - oznajmila stewardesa. - Przechowam panu butelke, odbierze ja pan przy wyjsci.

- Naturalnie. Bardzo pani dziekuje - odparl Lecter.

Doktor umial odizolowac sie od otoczenia. Potrafil sprawic, ze wszystko wokol niego cichlo. Pikania gry komputerowej, pochrapywania i pierdniecia byly niczym w porownaniu z piekielnymi wrzaskami, ktore pamietal ze szpitala psychiatrycznego. Fotel nie byl ciasniejszy od krepujacych go pet. Tak jak dawniej, gdy wieziono go w szpitalnej celi, odchylil glowe do tyłu, zamknal oczy i poszukal ukojenia w ciszy swego palacu pamieci, miejsca w przewazajacej czesci bardzo pieknego.

Tym razem metalowy cylinder zmagajacy sie ze wschodnim wiatrem miesci w sobie palac z tysiacy pokojow.

Tak jak kiedys odwiedzilismy doktora Lectera w Palazzo Capponi, teraz wejdziemy razem z

nim do palacu jego umyslu...

*Foyer* tworzy Kaplica Normanska z Palermo surowa, piekna, ponadczasowa. I tylko czaszka wyrzezbiona na posadzce przypomina o smiertelnosci. Jesli nie zalezy mu na szybkim wydobyciu informacji z palacu, Lecter czesto przystaje tutaj, tak jak teraz, i rozkoszuje sie pieknem kaplicy. Za nia znajduje sie odlegla budowla stworzona przez doktora.

Palac pamieci jest systemem mnemonicznym, dobrze znanym dawnym uczonym, dzieki ktorym wiele informacji przetrwalo czasy sredniowiecza i palenia ksiag przez Wandalow. Tak jak uczeni przed nim, doktor Lecter magazynuje bogate zasoby wiedzy w przedmiotach zamknietych w tysiacu pokojow, lecz w przeciwienstwie do swoich poprzednikow wykorzystuje palac do jeszcze jednego celu: czasami tam mieszka. Spedzil wiele lat w przepieknych wnetrzach, gdy tymczasem jego ciało lezalo zwiazane na oddziale pod specjalnym nadzorem, gdzie wrzaski jak harpie z piekla wstrzasaly kratami.

Palac Hannibala Lectera jest przestronny, nawet wedlug sredniowiecznych norm. W przelozeniu na swiat namacalny dorownywalby rozmiarami i zlozonoscia Topkapi w Stambule.

Doganiamy doktora, gdy szybkie trzewiki jego umyslu przechodza *T. foyer* do Wielkiego Holu Por Roku. Palac wybudowano wedlug zasad odkrytych przez Symonidesa z Ceos i rozwinietych przez Cyclerona czterysta lat pozniej; jest przewiewny, wysoki, ozdobiony przedmiotami i zywymi obrazami, imponujacymi, czasem szokujacymi i absurdalnymi, ale czesto pieknymi. Ekspozyty sa starannie rozmieszczone i dobrze oswietlone, jak w wielkim muzeum. Ale sciany nie maja neutralnych barw muzealnych scian. Doktor Lecter, tak jak Giotto, pokryl je freskami.

Korzystajac z pobytu w palacu, postanowil zdobyc adres Clarice Starling. Nie spieszy mu sie jednak, przystaje u stop wielkich schodow, gdzie stoja rzezby Riace. Ci potezni wojownicy z brazu przypisywani Fidiaszowi, wydobyci z morskiego dna w czasach wspolczesnych, sa glowna ozdoba pokrytej freskami przestrzeni, ktora bogactwem dorownuje dzielom Homera i Sofoklesa.

Doktor Lecter mogl kazac brazowym twarzom przemowic glosem Meleagera, gdyby chcial, ale dzis pragnie tylko na nie popatrzec.

Tysiac pokojow, kilometry korytarzy, setki faktow zwiazanych z kazdym przedmiotem; przyjemny odpoczynek dla doktora, gdy chce sie tam zaszyc.

Ale w jednym jestesmy podobni do Lectera: w kazamatach naszych serc i umyslow czai sie niebezpieczenstwo. Nie wszystkie pomieszczenia sa piekne, jasne i przestronne. W umysle, tak jak w sredniowiecznych lochach, kryja sie pulapki: smierdzace cele wykute w skale, do ktorych wpada sie przez ukryte w podlodze zapadnie. Stamtad nie wydestanie sie nic, co moze nas uspokoic. Nagly ruch, nieuwaga straznikow i iskry wspomnien zapalaja trujace gazy: wiezione dlugie lata wydostaja sie na wolnosc, gotowe eksplodowac bolem i popychac nas do niebezpiecznych zachowan...

Ostroznie posuwamy sie za nim, gdy kroczy lekko i zwiewnie wymyslonym przez siebie korytarzem, przenikajac przez zapach gardenii, przez obecność ogromnych posagow, ktore napieraja na nas, przez swiatlo obrazow.

Skreca w prawo, mija popiersie Pliniusza i schodami kieruje sie do Holu Adresow - sali wypelnionej rzezbami i obrazami, rozstawionymi w duzych odstepach i dobrze oswietlonymi, zgodnie z zaleceniami Cyserona.

Ach... Trzecia alkowe od drzwi po prawej stronie zdobi obraz przedstawiajacy swietego Franciszka, ktory podaje szpakowi cme. Na podlodze przed obrazem znajduje sie *tableau* naturalnej wielkosci:

Parada na cmentarzu Arlington prowadzona przez trzydziestotrzyletnie-go Jezusa, ktory siedzi za kierownica forda T z tysiac dziewiecset dwudziestego siodmego roku. W przyczepie ciezarowki stoi J. Edgar Hoover ubrany w spodniczke baletnicy i macha do niewidocznego tlumu. Za samochodem maszeruje Clarice Starling z enfieldem 308 na ramieniu.

Doktor Lecter najwyrazniej cieszy sie na widok Starling. Dawno temu zdobyl jej adres w Stowarzyszeniu Absolwentow Uniwersytetu Wirginia. Przechowuje go w tym zywym obrazie i teraz, dla wlasnej przyjemnosci, przywołuje liczby i nazwe ulicy, przy ktorej mieszka Starling:

3327 TINDAL

ARLINGTON, VA 22308

Doktor Lecter potrafi poruszac sie po przestronnych korytarzach swego palacu pamieci z nienaturalna predkoscia. Jego refleks i sila, bystrosce i sprawnosce umyslu stanowią wspanialy pancierz ochronny przed swiatem fizycznym. Ale sa miejsca, gdzie czyha niebezpieczenstwo, gdzie zasady logiki Cyserona, zasady uporzadkowanej przestrzeni i swiatla nie maja zastosowania...

Postanowil obejrzec kolekcje starych tkanin. Chce przypomniec sobie tekst Owidiusza na temat aromatyzowanych olejkow do twarzy, ktory przyczepiony jest do tkanin.

Stapa po interesujacym, plasko tkanym kilimie w strone korytarza warsztatow tkackich i materii.

W swiecie boeinga 747 glowa doktora spoczywa na oparciu fotela. Lecter ma zamkniete oczy. Glowa podskakuje mu lekko, gdy samolotem wstrzasaja turbulencje.

Niemowle na koncu rzędu wypilo cala butelke i jeszcze nie usnelo. Twarz dziecka robi sie czerwona. Matka czuje, ze drobne cialko prezy sie pod kocem i po chwili rozluznia. Wiadomo, co sie stalo. Nie musi sprawdzac palcem pieluchy.

- O Jeeezu - jeczy ktos w rzedzie przed nimi.

W stechlym powietrzu pojawia sie nowa nuta zapachowa. Chlopiec siedzacy obok doktora Lectera, przyzwyczajony do niemowleczych niespodzianek, nie przerywa posilku.

Pod palacem pamieci otwieraja sie zapadnie, a lochy zieja ohydny smrodem...

Kilka zwierzat przetrwalo ostrzal z dzial artyleryjskich i broni maszynowej podczas walk,

które osierociły Hannibala Lectera i zamieniły w zgłiszczą wielkie polacie lasu należącego do posiadłości jego rodziców.

Dezerterzy zajęli ukryty w lesie domek myśliwski i żywili się tym, co znaleźli. Raz trafili na wygłodzona, ranna koscista sarnie. Przeżyła, wydobywając pożywienie spod śniegu. Poprowadzili sarnie do obozu. Nie chcieli jej nieść, żeby nie tracić sił.

Sześcioletni Hannibal Lecter obserwował przez szpary w oborze, jak prowadzili zwierze wrywające się z okreconego wokół szyi sznura. Nie chcieli marnować amunicji, zwalili sarnie z chuderlawych nog i toporem rozcieli jej gardło. Klnąc jeden przez drugiego w różnych językach, krzyčeli, że trzeba przynieść miske, zanim cała krew się zmarnuje.

Na koscistym zwierzeciu nie było dużo mięsa, więc po dwóch dniach, może trzech, dezerterzy dobrnęli po śniegu do obory, żeby znow wybrać jedno dziecko ze stłoczonej na słomie gromadki. Żadne nie zamarzło, więc wzięli żywe.

Pomacali udo, ramiona i klatkę piersiową Hannibala Lectera, ale ostatecznie wybrali jego siostrę Miszę. Wyprowadzili ją z obory. Powiedzieli, że chcą się pobawić. Żadne dziecko, które wyszło się z nimi pobawić, nigdy nie wróciło.

Hannibal trzymał się kurczowo Miszy, uczepiwszy się jej chudziutkimi rączkami, aż zamknęli oborę. Ciężkie drzwi ogłuszyły go i spowodowały pęknięcie kości ramiennej.

Prowadzili dziewczynkę po śniegu splamionym jeszcze krwią sarny.

Modlił się żarliwie, żeby znow zobaczyć Miszę. Modlitwa całkowicie pochłonęła sześcioletni umysł, lecz nie zagłuszyła dźwięku topora. Została jednak częściowo wysłuchana: kilka mlecznych zębów Miszy zobaczył w śmierdzącej kloace między domkiem myśliwskim, gdzie spali ich przesładowcy, a oborą, gdzie trzymali dzieci, które w tysiąc dziewięćset czterdziestym czwartym po załamaniu się frontu wschodniego służyły im za żywność.

Od tamtej pory Hannibal Lecter całkowicie stracił zainteresowanie sprawami boskimi, czasem tylko przyznając, jak bardzo jego skromne przejawy barbarzyństwa błędna przy okrucieństwie Boga, którego sarkazm jest niezrównany, a przewrotna złośliwość bez miary.

Doktor Lecter, z głową podskakującą lekko na zagłówku, tkwi w zawieszeniu między ostatnim widokiem Miszy, idącej po zakrwawionym śniegu a dźwiękiem topora. Dłużej nie może tego znieść. Z jego gardła wydobywa się krotki krzyk. Wysoki, przeszywający.

Siedzący przed nim pasażerowie odwracają się, niektórzy wyrwani ze snu.

- Rany boskie, co pan wyprawia? Boże mój - slychac warkliwe komentarze.

Doktor Lecter otwiera oczy i patrzy prosto przed siebie. Czuje na swojej dłoni reke. Reke małego sąsiada.

- Coś się panu przysniło, tak? - Dziecko nie jest przestraszone, nie zwraca uwagi na skargi z

innych rzędów.

-Tak.

- Ja też czasem mam straszne sny. Nie ma się z czego śmiać.

Doktor Lecter odetchnął kilka razy, wciskając głowę w oparcie fotela. Znowu ogarnął go spokój, jak gdyby z czubka głowy opadła mu na twarz zasłona opanowania. Pochylił głowę do dziecka i odezwał się do niego konfidenicznym tonem:

- Dobrze, że nie jesz swinstw, którymi tu częstują. Nigdy ich nie jedz.

Linie lotnicze nie zaopatrują pasażerów w papeterię. Doktor Lecter, już spokojny, wyjął z wewnętrznej kieszeni hotelowy papier listowy i zaczął pisać list do Clarice Starling. Najpierw naszkicował jej twarz. Ten szkic znajduje się teraz na Uniwersytecie w Chicago i jest udostępniany badaczom. Starling wygląda na niego jak dziecko, a jej wilgotne od łez włosy, jak włosy Miszy, przylepiają się do policzka...

Na bezchmurnym nocnym niebie widac jasny punkcik światła. Mija Gwiazde Polarna i wykonuje wielki łuk w stronę Ziemi, w stronę jutra, w stronę Nowego Świata.

## **ROZDZIAŁ 49**

Stery papierów, teczek i dyskietek w małym gabinecie Starling osiągnęły krytyczny poziom nagromadzenia. Jej prośba o przyznanie większej przestrzeni nie doczekała się odpowiedzi. Clarice miała tego dość. Z determinacją skazanca zarekwizowała spore pomieszczenie w podziemiach Quantico. Zamierzano urządzić w nim ciemnie Sekcji Behawioralnej, gdy tylko Kongres wysupła trochę pieniędzy. Nie było tam okien, lecz nie brakowało polek, a zamiast drzwi wisiała podwójna zasłona zaciemniająca.

Jakiś anonimowy sąsiad wydrukował gotycką czcionką napis DOM HANNIBALA i przypiął kartkę do zasłony. Nie chcąc stracić pokoju, Starling przeniosła kartkę do środka.

Szybko odkryła prawdziwą skarbnicę materiałów dotyczących Hannibala Lectera w bibliotece sadowictwa kryminalnego Columbia College, gdzie poświęcono doktorowi osobny pokój. Były tam oryginalne dokumenty z czasów jego praktyki medycznej i psychiatrycznej oraz protokoły z rozpraw sądowych przeciw niemu. Podczas pierwszej wizyty w bibliotece Starling przez czterdzieści minut czekała, aż dozorca znajdzie klucze do pokoju Lectera -na próżno. Podczas drugiej wizyty okazało się, że nadzór nad kolekcją Lectera sprawuje apatyczny absolwent, a materiały są nie skatalogowane.

Dzięki poparciu Jacka Crawforda zdobyła w biurze prokuratora generalnego nakaz sądowy na przeniesienie wszystkich materiałów z biblioteki do podziemnego gabinetu w Quantico. Funkcjonariusze przetransportowali wszystko jedna furgonetka.

Po długich dwóch tygodniach Starling uporządkowała większość materiałów z biblioteki w swoim prowizorycznym centrum. Późnym piątkowym popołudniem umyła twarz i ręce z książkowego kurzu, przygasła światła i usiadła na podłodze w kacie, spoglądając na półki wypełnione książkami i papierami. Niewykłuczone, że na chwilę się zdrzemnęła...

Obudził ją jakiś zapach. Uświadomiła sobie, że nie jest sama. Czula won pasty do butów.

Pokój tonął w półmroku. Zastępca inspektora generalnego Paul Krendler powoli sunął wzdłuż półek, oglądając książki i zdjęcia. Nie zadał sobie trudu, żeby zapukać. Zresztą zwykle nie zwracał sobie głowy pukaniem, zwłaszcza w podległych mu biurach. W podziemiach Quantico na pewno czuł się jak arystokrata odwiedzający slumsy.

Na jednej ścianie pokoju Clarice powiesiła zdjęcia dokumentujące pobyt doktora Lectera we Włoszech. Znajdowała się tam duża fotografia Rinalda Pazziego zwisającego z okna Palazzo Vecchio. Ściany po przeciwnej stronie zajmowały materiały dotyczące zbrodni popełnionych w Stanach Zjednoczonych. Dominowało duże policyjne zdjęcie zamordowanego przed laty przez doktora Lectera myśliwego. Ciało wisiało na kolku i było straszliwie zmasakrowane. Na półkach piętrzyły się dokumenty z procesów, które rodziny ofiar wytaczały Lecterowi.

Prywatne książki doktora z czasów jego praktyki medycznej były poukładane identycznie jak w jego starym gabinecie lekarskim. Starling ustawiła je, wzorując się na oglądanych pod szkłem powiększającym policyjnych fotografiach gabinetu.

Światło w mrocznym pokoju pochodziło głównie z podświetlacza na ścianie ze zdjęciami rentgenowskimi głowy i szyi doktora. Innym źródłem blasku był włączony komputer na stoliku w kacie. Motyw na ekranie przedstawiał „niebezpieczne stworzenia”. Co jakiś czas komputer pomrukiwał.

Obok komputera piętrzyły się owoce poszukiwań prowadzonych przez Starling. Z trudem zdobyte skrawki papieru, rachunki ujawniające, jakie życie prowadził doktor Lecter we Włoszech i w Ameryce przed wysłaniem go do szpitala. Sporządzany naprędce katalog jego preferencji.

Zamieniwszy pokrywę skanera w stol, Starling rozłożyła jedyną zastawę pozostałą z domu doktora w Baltimore: porcelana, srebra, kryształy, nieskazitelnie białe obrusy, lichtarz. Sto centymetrow kwadratowych elegancji wśród dziwnego wystroju gabinetu.

Krendler podniósł duże kieliszek do wina i puknął w szkło paznokciem.

Nigdy nie stanął twarzą w twarz z groźnym przestępcą, nigdy nie walczył z żadnym kryminalistą. Uważał doktora Lectera za telewizyjne straszdyło i szansę dla siebie. Oczywiście wyobraźni widział swoją fotografię w muzeum FBI na wystawie dotyczącej Lectera. Wiedział, jak bardzo skorzystałaby na tym jego kampania wyborcza. Przysunął nos do zdjęcia rentgenowskiego pojemnej czaszki doktora.

- Mogę panu w czymś pomóc, panie Krendler? - odezwała się Starling, gwałtownie odsunął głowę. Na kliszy pozostała kropelka potu.



- Czemu siedzi tu pani po ciemku?
- Rozmyślam, panie Krendler.
- Członkowie Kongresu chcą wiedzieć, co robimy w sprawie Lectera.

- Oto, co robimy.

- Proszę mnie oświecić, Starling. Chce być na bieżąco.

- A może pan Crawford...

- Gdzie jest Crawford?

- Jest teraz w sądzie.

- On się chyba kończy, nie uważa pani?

- Nie, proszę pana, nie uważam.

- Co pani tu robi? Dostaliśmy skargę z Columbia College, gdy zarekwirowała pani wszystkie materiały z ich biblioteki. Można to było załatwić delikatniej.

- Zgromadziliśmy tutaj wszystko, co można znaleźć na temat doktora Lectera, zarówno przedmioty, jak i dokumenty. Jego broń znajduje się w magazynie Firearms & Toolmarks, ale mamy duplikaty. Mamy wszystko, co pozostało z jego osobistych zapisków.

- Po co to wszystko? Albo się szuka potwora, albo się pisze doktorat. - Krendler zamilkł, żeby zapisać ten efektowny rym w swoim werbalnym archiwum. - Jeśli, powiedzmy, jakiś liczący się republikanin z Komisji Sądowej Kongresu zapyta mnie, co pani, agentko specjalna Starling, robi w celu schwytania Hannibala Lectera, co mam mu powiedzieć?

Starling zapaliła wszystkie światła. Zauważyła, że Krendler nadal kupuje drogie garnitury, a oszczędza na koszulach i krawatach. Jego włochate nadgarstki wystawały z mankietów.

Patrzyła przez chwile przed siebie. Jej wzrok przebił ściany i powędrował w nieskończoność. Uspokoila się. Wyobraziła sobie, że nie stoi przed Krendlerem, lecz przed grupą studentów z akademii policyjnej.

- Wiemy, że doktor Lecter dysponuje bardzo dobrymi dokumentami - zaczęła. - Zmienił tożsamość i ma co najmniej dwie nowe, może więcej. Zachowuje się bardzo ostrożnie. Nie popełni głupiego błędu.

- Do rzeczy.

- Jest człowiekiem o bardzo wyrafinowanych gustach, czasem dość egzotycznych, jeśli chodzi o jedzenie, wino, muzykę. Jeśli wróci tutaj, będzie poszukiwał tych rzeczy. Będzie musiał je zdobyć.

Nie odmowi ich sobie. Razem z panem Crawfordem przeanalizowaliśmy rachunki i papiery pozostałe po pobycie doktora Lectera w Baltimore, zanim został aresztowany, wszystkie rachunki, które przelała nam włoska policja, i materiały z procesów wytaczanych przez jego wierzycieli po aresztowaniu. Sporządziliśmy listę ulubionych rzeczy Lectera. Proszę spojrzeć: w tym samym miesiącu, w którym doktor Lecter podał potrawę z narządów flecisty Benjamin Raspaila podczas obiadu wydanego na cześć dyrektora i dyrygenta orkiestry symfonicznej z Baltimore, kupił dwie skrzynki Bordeaux Chateau Petrus po trzy tysiące sześćset dolarów za skrzynkę. Kupił też pięć skrzynek Batard-Montrachet po tysiąc sto dolarów za skrzynkę i różne tanie wina.

- Te same wina - ciągnęła dalej Starling - zamówił w hotelu w St. Louis po ucieczce i we Florencji z delikatesów „Vera dal 1926”. To dosyć luksusowe towary. Sprawdzamy zamówienia u importerów i handlowców.

- Z Iron Gate w Nowym Jorku - Starling wróciła do obiadu w Baltimore - zamówił najwyższej jakości *foie gras* po dwadzieścia dolarów za kilogram, a przez Grand Central Oyster Bar zdobył francuskie zielone ostrygi z Gironde. Uroczysty obiad rozpoczął się od ostryg, po których podano nerkowkę, sorbet, a następnie - o czym można przeczytać w artykule z „Town & Country” - „wyborne ciemne i soczyste ragout z nieznanymi składnikami na szafranowym ryżu. Jego smak był tajemniczo poruszający, o wspaniałej basowej nucie, co można osiągnąć jedynie poprzez staranną redukcję fund.” Nigdy nie ustalono, czy któraś z ofiar Lectera znalazła się w składzie ragout. I tak dalej, i tak dalej. Tutaj szczegółowo opisują jego wspaniałą zastawę. Sprawdzamy posiadaczy kart kredytowych, którzy zaopatrywali się w sklepach z porcelaną i kryształami.

- Proszę spojrzeć, wciąż jest winien Steuben pieniądze za zyrandol, a Galeazzo Motor Company z Baltimore chce odzyskać swojego Bentleya. Śledzimy sprzedaż Bentleyów - nowych i używanych. Nie ma ich aż tak dużo. A także sprzedaż Jaguarów z doładowaniem. Wysłałismy do dostawców dziczyzny faksy z pytaniem o klientów kupujących mięso z dziką i wysłaliśmy odpowiedni komunikat tydzień przed sprowadzeniem ze Szkocji kuropatw. - Postukała w klawiaturę i przestudiowała listę, po czym odsunęła się od komputera, czując na plecach oddech Krendlera.

- Ubiegam się o fundusze, żeby opłacić koników obsługujących ważne imprezy kulturalne w Nowym Jorku i San Francisco. Jest kilka orkiestr i kwartetów smyczkowych, które szczególnie lubi. Wybiera zwykle szósty lub siódmy rząd, zawsze miejsce przy przejściu. Przesłałam najlepsze podobizny, jakimi dysponujemy, do Centrum Lincoln i Centrum Kennedy'ego oraz do większości filharmonii. Może wygospodaruje pan na ten cel jakąś sumę z budżetu Departamentu Sprawiedliwości, panie Krendler. - Ponieważ nie odpowiedział, ciągnęła dalej. - Sprawdzamy nowe zgłoszenia dotyczące prenumeraty niektórych magazynów kulturalnych, które w przeszłości zamawiał:

pisma antropologiczne, lingwistyczne, „Physical Review”, periodyki matematyczne i muzyczne.

- Korzysta z usług dziwki sado-maso, coś w tym rodzaju? Może sprowadza meskie prostytutki?

Starling czuła, jak bardzo Krendler delectuje się tym pytaniem.

- Nic nam na ten temat nie wiadomo, panie Krendler. W Baltimore widywano go na koncertach w towarzystwie kilku atrakcyjnych pan. Niektóre były znane w Baltimore z działalności

charytatywnej. Pamiętamy o ich urodzinach, gdyż wtedy może kupić któregoś z nich prezent. Z tego, co wiemy, żadnej z nich nigdy się nie stało i żadna z nich nie wyraziła zgody na rozmowę o doktorze. Nie znamy jego preferencji seksualnych.

- Zawsze podejrzewałem, że jest homo.

- A to dlaczego, panie Krendler?

- Te jego artystyczno-snobistyczne zainteresowania. Muzyka kameralna i delikatne potrawy. Nie mam nic przeciwko gejom, jeśli darzy pani sympatią tych ludzi lub ma przyjaciół w tych kręgach. W każdym razie, Starling, proszę sobie dobrze zapamiętać: zadam współpracy w tej sprawie. Żadnej autonomii. Mam dostawać kopie wszystkich raportów i dokumentów, mam wiedzieć o wszystkich poszlakach. Czy to jasne, Starling?

- Tak, proszę pana.

- Oby tak było - rzucił w drzwiach. - Może istnieje szansa, że pani sytuacja tutaj ulegnie poprawie. Pani tak zwanej karierze przydałaby się każda pomoc.

W przyszłej ciemni zainstalowano już wentylatory. Starling włączyła je, niwelując zapach jego wody po goleniu i pasty do butów. Krendler bez słowa pożegnania zniknął za zasłonami.

Powietrze tańczyło przed Starling jak upał falujący na poligonie.

Na korytarzu Krendler usłyszał za sobą głos Clarice:

- Wyjde z panem, panie Krendler.

Na Krendlera czekał samochód z kierowcą. Na swoim stanowisku musiał zadowolić się sedanem Mercury Grand Marquis.

- Chwileczkę, panie Krendler - usłyszał, zanim zdążył wsiąść do samochodu.

Odwrocił się do Starling z zaciekawieniem. Może coś podejrzewa? A może to gniewna kapitulacja?

- Jesteśmy na dworze - powiedziała Starling. - Nie ma tu żadnych urządzeń podsłuchowych, chyba że chowa pan coś przy sobie.

Opanowała ją pokusa, której nie potrafiła się oprzeć. Pracowała wśród zakurzonych książek i miała na sobie luźną dzinsową koszulę, a pod nią obcisła bluzka na ramiączka.

Jednym ruchem rozpięła zatrzaski koszuli i rozchyliła ją.

- Widzi pan, ja nie noszę mikrofonu. - Nie nosiła też stanika. - Może już nie będziemy mieli okazji porozmawiać na osobności, więc chce panu zadać

pytanie. Pracuje tu od lat, a pan przy kazdej okazji wbija mi noz w plecy. Dlaczego, panie Krendler?

- Umowmy sie na rozmowe... Wygospodaruje dla pani troche czasu, jesli chce pani powspominac...

- Porozmawiamy teraz.

- Domysl sie, Starling.

- Bo nie chcialam sie z panem umowic? Wtedy, gdy kazalam panu wracac do zony?

Znow na nia spojrzal. Rzeczywiscie nie miala przy sobie mikrofonu.

- Nie pochlebiaj sobie, Starling. W miescie pelno jest czerstwych wiejskich dziewczyn.

Zajal miejsce obok kierowcy, klepnal w deske rozdzielcza i samochod ruszyl. Krendler, zalowal, ze nie powiedzial „wiejskich cip, takich jak ty”. Wierzyl, iz w przyszlosci czeka go wiele politycznych wystapien. Musial doskonalic werbalne karate i przyswoic sobie sztuke kasania slowami.

## ROZDZIAI 50

Zapewniam pana, to moze sie udac - powiedzial Krendler w strone dyszacej ciemnosci, gdzie lezal Mason. - Dziesiec lat temu bylo to niemozliwe, ale teraz ona moze przepuscic przez komputer listy klientow jak gówno przez maszynke do miesa. - Poruszyl sie na sofie pod jasnymi swiatlami w pokoju Masona.

Krendler widzial sylwetke Margot rysujaca sie na tle akwarium. Byl juz przyzwyczajony do przeklinania w jej obecnosci i nawet robil to z przyjemnoscia. Mogl sie zalozyc, ze Margot wolalaby miec cos innego miedzy nogami. Ogarnela go ochota wypowiedzenia slowa „kutas” w jej obecnosci i znalazl sposob.

- Zebrala wszystkie materialy o Lecterze i ustalila jego preferencje. Pewnie dowiedziala sie tez, po ktorej stronie uklada kutasa w majtkach.

- A propos, Margot, sprowadz doktora Doemlinga - zazyczyl sobie Mason.

Doktor Doemling czekal w pokoju z zabawkami wsrod gigantycznych maskotek. Mason obserwowal go na wideo. Doktor badal pluszowa moszne wielkiej zyrafy, zupełnie jak Viggertowie krazacy wokol posagu Dawida. Na ekranie wydawal sie nizszy niz zabawki. Jakby sie skurczyl, chcac wnknac niczym robak w miazsz czyjegos dzieciinstwa.

Psycholog byl koscistym, bardzo czystym, choc nie wyleczonym z lupiezu osobnikiem z

pasmem włosów zaczesanym na zaczerwieniona łysinę. Przy lancuszkach zegarka miał kluczyk Phi Beta Kappa. Usiadł przy stoliku naprzeciw Krendlera. Sprawiał wrażenie, jakby dobrze znał ten pokój.

Jabłko po jego stronie miski z owocami i orzechami było robaczywe. Doemling odwrócił od siebie stronę nadjedzoną przez robaki. Śledził zza okularów Margot, która wzięła kolejną parę orzechów i wróciła na miejsce przy akwarium. Jego wzrok wyrażał zdumienie graniczące z otepieniem.

- Doktor Doemling kieruje wydziałem psychologii na Uniwersytecie Baylora. Objął katedrę utworzoną przez Vergera - poinformował Krendlera Mason. - Zapytałem go, jaki rodzaj więzi może łączyć doktora Lectera z agentką FBI Clarice Starling. Doktorze...

Doemling usadowił się, jakby zajmował miejsce dla świadków w sądzie, i zwrócił się do Masona jak do ławy przysięgłych. Krendler dostrzegł jego wystudiowane ruchy, ostrożną stroniczość świadka inkasującego za wystąpienie dwa tysiące dolarów.

- Pan Verger, oczywiście, zna moje kwalifikacje. Chciałby pan o nich usłyszeć? - zapytał Doemling.

- Nie - odparł Krendler.

- Studiowałem notatki Starling z jej rozmów z Hannibalem Lecterem, jego listy do niej i dostarczone przez pana materiały dotyczące ich przeszłości - rozpoczął psycholog.

Krendler skrzywił się, lecz Mason uspokoił go.

- Doktor Doemling podpisał oświadczenie, zobowiązując się do milczenia.

- Cordell będzie wyświetlał slajdy na pańskie życzenie, doktorze - powiedziała Margot.

- Najpierw trochę historii. - Doemling zajrzał do notatek. - Wiemy, że Hannibal Lecter urodził się na Litwie. Jego ojciec był hrabia z tytułem sięgającym dziesiątego wieku, a matka wysoko urodzona Włoszka z rodziny Viscontich. Podczas odwrotu z Rosji niemieckie oddziały pancerne ostrzelały ich posiadłość pod Wilnem. Obydwoje rodzice zginęli, tak jak większość służby. Dzieci zaginęły. Było ich dwoje: Hannibal i jego siostra. Nie wiemy, co stało się z dziewczynką. Rzecz w tym, że Lecter był sierotą, tak jak Clarice Starling.

- O czym wie pan ode mnie wtracił niecierpliwie Mason.

- Ale jakie wyciągnął pan z tego wnioski? - zapytał doktor Doemling. - Ja nie sugerowałbym, że obydwie sieroty łączy jakiś rodzaj współczucia, panie Verger. Tu nie chodzi o współczucie. Współczucie nie wchodzi w grę. O litości już nie wspomnę. Proszę posłuchać. Dzięki podobnym doświadczeniom z dzieciństwa doktor Lecter lepiej rozumie Starling, a tym samym łatwiej może ją kontrolować. Chodzi mu tylko o kontrolę nad nią.

- Ta Starling - ciągnął dalej - spędziła dzieciństwo w sierocincu, a z waszych informacji wynika, że nie ma stałego partnera. Mieszka z koleżanką ze studiów, młoda Murzynka.

- Bardzo możliwe, że uprawiają seks - oświadczył Krendler. Psychiatra nawet nie raczył spojrzeć na Krendlera, bagatelizując jego sugestie.

- Nigdy nie wiadomo na pewno, dlaczego ktoś z kims mieszka.

- To jedna z rzeczy, które są ukryte, jak napisano w Biblii - wtracił Mason.

- Starling wygląda całkiem apetycznie, jeśli ktoś lubi razowy chleb - oceniła Margot.

- Wydaje mi się, że to Lecter jest stroną przyciągającą, nie ona - oznajmił Krendler. - Widzieliście ją: jest zimna jak ryba.

- Czyżby, panie Krendler? - Margot sprawiała wrażenie rozbawionej.

- Myślisz, że jest lesbijka, Margot? - zapytał Mason.

- Skąd mam, do diabła, wiedzieć? Odniosłem tylko wrażenie, że te sprawy traktuje z cholernym dystansem. Wydaje się twarda, nic nie można wyczytać z jej twarzy, ale nie powiedziałabym, że jest zimna. Nie rozmawialiśmy długo, ale tak mi się wydaje. To było, zanim potrzebowałeś mojej pomocy, Masonie. Wyprosiłeś mnie wtedy, pamiętasz? Nie uważam, że jest zimna. Dziewczyna, która wygląda jak Starling, musi zachowywać pewien dystans, bo w przeciwnym razie nie opędziłaby się od różnych dupków.

Krendler poczuł, że Margot wpatruje się w niego trochę zbyt długo, choć widział tylko zarys jej postaci.

Jakie ciekawe jest zestawienie głosów, które rozbrzmiewają w tym pokoju. Ostrożny, urzędniczy ton Krendlera, pedantyczne popiskiwanie Doemlinga, głęboki, donosny głos Masona ze słabo uformowanymi głoskami wybuchowymi i rozmytymi głoskami szczelinowymi oraz chrapliwy, niski głos Margot, złośliwej niczym kucyk nie znoszący wedzidla. Ponad tym wszystkim sapiąca maszyna, która wspomaga oddech Masona.

- Co do życia prywatnego Starling, mam pewien pomysł związany z jej rzekoma obsesją na punkcie ojca - kontynuował Doemling. - Za chwilę do tego przejdę. Tymczasem omówię trzy dokumenty doktora Lectera związane z Clarice Starling. Dwa listy i rysunek. Rysunek przedstawia zegarek z krucyfiksem, który doktor zaprojektował w szpitalu. - Doemling podniósł wzrok i spojrzał na monitor. - Proszę o slajd.

Gdzieś spoza pokoju Cordell wyświetlił na podnoszonym monitorze niezwykle rysunek. Oryginał sporządzono węglem na papierze pakowym. Kopia Masona była odbitka światłodrukowa o liniach koloru siniaka.

- Staral się o patent - wyjaśnił doktor Doemling. - Jak państwo widzą, mamy tutaj Chrystusa ukrzyżowanego na tarczy zegara, przy czym godzinne wskazują jego obracające się ramiona, tak jak w zegarkach z Myszka Miki. Co ciekawe, twarz na pochylonej głowie ma rysy Clarice Starling. Rysunek powstał w czasie, gdy odwiedzała Lectera w szpitalu. Proszę popatrzeć na fotografie tej kobiety. Cordell, prosimy o fotografie.

Bez wątpienia twarz Jezusa miała rysy Starling.

- Inna anomalia jest fakt, że do krzyża przybito nie dłonie, tylko nadgarstki.

- To się zgadza - wtracił Mason. - Trzeba przybijac nadgarstki i używac dużych drewnianych podkładek, w przeciwnym razie gwoździe nie będą się dobrze trzymały. Przekonał się o tym z Idi Aminem, gdy na Wielkanoc w Ugandzie zaaranżował spektakl prawdziwego ukrzyżowania. W rzeczywistości do krzyża przybito nadgarstki, nie dłonie naszego Zbawiciela. Wyobrażenia meki paskiej w malarstwie są mylne. Wynikają z przekłamania w tłumaczeniu Biblii z hebrajskiego na łacinę.

- Dziękuję - wyraził fałszywą wdzięczność doktor Doemling. - Proszę zauważyć, że ramię tworzące wskazówkę minutową znajduje się na szóstce, wstydliwie zakrywając genitalia. Wskazówka godzinowa pokazuje dziewiątą lub trochę po dziewiątej. Wyrazna aluzja do tradycyjnej godziny ukrzyżowania Jezusa.

- A jeśli połączy się szóstka i dziewiątka, otrzymamy szesćdziesiąt dziewięć, popularna pozycja w sztuce miłości. - Margot nie mogła się powstrzymać przed wygłoszeniem tej uwagi. W odpowiedzi na karcące spojrzenie Doemlinga rozłupała orzechy, a lupiny zagrzechotały na podłodze.

- Zajmijmy się teraz listami doktora Lectera do Clarice Starling. Cordell, mogłabyś je wyświetlić? - Doktor Doemling wyjął z kieszeni laserowy wskaźnik. - Proszę zauważyć, że jego pismo, sprawna kaligrafia z użyciem wiecznego pióra, charakteryzuje się mechaniczną regularnością. Tego typu pismo widuje się w średniowiecznych bullach papieskich. Jest bardzo piękne, lecz przerazająco regularne. Nie ma tu żadnej spontaniczności. Jakby coś planował. Pierwszy list napisał tuż po swej ucieczce, podczas której zabił pięć osób. Przeczytajmy:

Coz, Clarice, czy owce umilkły?

Jesteś mi winna pewną informację, wiesz o tym, i w tej właśnie sprawie pisze.

Wy starczy, jeśli pierwszego dnia dowolnego miesiąca zamieścisz ogłoszenie w krajowym wydaniu „Timesa”, oraz „International Herald-Tribune”. Nie zaszkodzi wysłać je także do „China Mail”.

Nie zdziwie się, jeśli odpowiedź będzie brzmiała: i tak, i nie. Owce na razie umilkły. Przekonaś się jednak sama, Clarice, jak krótkotrwałe jest miłosierdzie, odmierzane na tajemnych szalach Dobra i Zła; na błogosławione milczenie będziesz musiała sobie znowu zasłużyć. A potem jeszcze raz i jeszcze, i tak bez końca. To właśnie bowiem poczucie zagrożenia, fakt, że je dostrzegasz, jest siłą, która cie prowadzi. Zagrożenie zaś nigdy nie ustanie.

Nie zamierzam składać ci wizyty, Clarice, uznając świat z tobą za bardziej interesujący niż bez ciebie. Pewien jestem, że wyświadcysz mi tę samą grzeczność...

Doktor Doemling poprawił na nosie bezoprawkowe okulary i odchrząknął.

- Oto klasyczny przykład zjawiska, które określam w swych pracach mianem awunkulizmu, a które w literaturze specjalistycznej zaczęto powszechnie nazywać „awunkulizmem Doemlinga”. Niewykluczone, że termin ten pojawi się w następnym wydaniu *Podrecznika diagnostycznego i statystycznego*. Upraszczając, można to zdefiniować jako pozowanie na madrego i troskliwego opiekuna, by zrealizować prywatne cele.

- Z dokumentów wynika, że pytanie Lectera o owce jest nawiązaniem do przeżyć Clarice Starling z dzieciństwa, do rzezi owiec na ranchu w Montanie, gdzie mieszkała u kuzynów - mówił dalej beznamiennym głosem.

- Wymieniała informacje z Lecterem - pośpieszył z wyjaśnieniem Krendler - który wiedział coś o seryjnym mordercy Buffalo Billu.

- Drugi list, napisany siedem lat później, na pierwszy rzut oka zawiera słowa pociechy i wsparcia - perorował Doemling. - Najpierw drażni ją uwagami na temat jej rodziców, których Starling najwyraźniej adoruje. Nazywa jej ojca „zmarłym nocnym stróżem”, a matkę „sprzataczką”. Następnie przypisuje im wspaniałe cechy, które w jej wyobrażeniu posiadali, i wymienia te cechy, żeby usprawiedliwić jej zawodową porażkę. Próbuje się tu wkręcić w jej łaski, chce ją sobie podporządkować.

- Myśle - ciągnął dalej - że Starling jest trwale przywiązana do swego ojca, do jego *image'u*. To utrudnia jej nawiązywanie kontaktów seksualnych i w jakiś sposób rodzi słabość do doktora Lectera, z czego on w swej perwersyjności natychmiast skorzysta. W drugim liście ponownie ją namawia, żeby się z nim skontaktowała w formie ogłoszenia, i podaje jej hasło.

Boże jedyny, ten człowiek gada i gada! Zniecierpliwienie i nuda były dla Masona tortura, nie mógł się przecież poruszyć.

- Dobrze, świetnie, doskonale, doktorze - przerwał mu. - Margot, uchyl na chwilę okno. Mam nowe źródło, doktorze Doemling. Kogos, kto zna i Starling, i Lectera, i widział ich razem. Towarzyszył Lecterowi dłużej niż ktokolwiek inny. Chce, żeby pan z nim porozmawiał.

Krendler zmienił pozycję na sofie. Poczul ucisk w żołądku, gdy zorientował się, co się święci.

## ROZDZIAŁ 51

Mason przemówił do głośnika i po chwili do pokoju wszedł wysoki mężczyzna. Muskulatura dorównywał Margot i był ubrany na biało. - Oto Barney - przedstawił go Mason. - Kierował oddziałem pod specjalnym nadzorem Stanowego Szpitala dla Psychiatrycznie Chorych Przestępców w Baltimore, kiedy przebywał tam Lecter. Teraz pracuje dla mnie.

Barney wolął stać przed akwariem obok Margot, lecz doktor Doemling chciał ujrzeć go w świetle. Zajął więc miejsce obok Krendlera.



- Barney, dobrze mówię? No więc, Barney, jakie masz kwalifikacje?

- Jestem przyuczonym pielęgniarzem z prawem praktyki.

- Ach tak? Świetnie. To wszystko?

- Mam stopień magisterski z nauk humanistycznych otwartego uniwersytetu - kontynuował beznamietnie Barney. - Posiadam również kwalifikacje do pracy w kostnicy. Skończyłem kurs wieczorowy, kiedy chodziłem do szkoły pielęgniarstwa.

- Uczyć się na pielęgniarza, pracowałeś jako asystent w kostnicy?

- Tak, zwoziłem ciała z miejsc zbrodni i asystowałem przy sekcjach zwłok.

- A przedtem?

- Korpus piechoty morskiej.

- Rozumiem. I kiedy pracowałeś w szpitalu stanowym, widziałeś interakcje między Clarice Starling i Hannibalem Lecterem? To znaczy widziałeś, jak rozmawiali ze sobą?

- Wydawało mi się, że...

- Zaczniemy od tego, co widziałeś, a nie co ci się wydawało, dobrze?

- Barney jest na tyle inteligentny, że możemy wysłuchać jego opinii - wtracił się Mason. - Barney, znasz Clarice Starling?

- Tak.

- Znales Hannibala Lectera przez sześć lat.

- Tak.

- Co zaszło między nimi?

Początkowo Krendler miał trudności ze zrozumieniem wysokiego, chropowatego głosu Barneya, ale to właśnie on zadał mu kluczowe pytanie.

- Czy podczas wizyt Starling Lecter zachowywał się inaczej?

- Tak. Najczęściej ignorował swoich gości - odparł Barney. - Czasem otwierał usta, żeby znieważać jakiegoś profesora, który próbował go przesłuchiwać. Jednego doprowadził nawet do łez. Był surowy dla Starling, ale robił się przy niej wyjątkowo rozmowny. Zaintrygowała go. Zaintrygowała.

- W jaki sposób?

Barney wzruszył ramionami.

- Prawie w ogóle nie widywał kobiet. A ona jest niebrzydka...

- Nie interesuje mnie twoja opinia na ten temat - przerwał mu Krendler. - Wiesz coś jeszcze?

Barney nie odpowiedział, spojrzał tylko na Krendlera z lekceważącą miną. Margot rozłupala kolejny orzech.

- Mów dalej, Barney - zachęcił go Mason.

- Byli ze sobą szczerzy. On potrafi być rozbijający. Odnosi się wtedy wrażenie, że nie miałby czelności skłamać.

- Nie miałby czego? - nie rozumiał Krendler.

- Czelności - powtórzył Barney.

- C-Z-E-L-N-O-S-C - przeliterowała z ciemności Margot Verger. - To znaczy śmiałość lub tupet, panie Krendler. Barney mówił dalej.

- Doktor Lecter najpierw powiedział jej trochę nieprzyjemnych *rzeczy*, po czym przeszedł do komplementów. Słysząc wcześniej przykre słowa, tym bardziej ucieszyła się z pochlebstw. Wiedziała, że są szczerze. Doktor uważał, że jest czarująca i zabawna.

- Skąd możesz wiedzieć, co Hannibal Lecter uznawał za „zabawne”? - zapytał Doemling. - Jak do tego doszedłeś, pielęgniarzu Barney?

- Słysząc jego śmiech, doktorze Doemling. Uczyli nas o tym w szkole na wykładzie pod tytułem „Pogoda ducha a zdrowie”.

Albo Margot parsknęła, albo z akwarium za nią wydobył się podobny dźwięk.

- Daj spokój, Barney. Opowiedz nam resztę - zachęcał Mason.

- Tak, proszę pana. Czasem rozmawiałem z doktorem Lecterem późno w nocy, gdy robiło się wystarczająco cicho. Rozmawialiśmy o moich kursach i innych rzeczach. On...

- Czy przypadkiem nie zapisał się pan na korespondencyjny kurs psychologii? - zapytał Doemling.

- Nie, proszę pana, nie uważam psychologii za naukę. Doktor Lecter też nie - dodał szybko, zanim Mason zdążył wypowiedzieć słowa reprymendy. - Mogę tylko powtórzyć, co mi powiedział. Dostrzegal w niej zmianę. Była czarująca niczym młode lwiatko, zanim przeistoczyła się w wielkiego kota, z którym już nie można się bawić. Mówił, że widzi w niej młodzieńczą gorliwość. Jej zęby i pazury nie były jeszcze w pełni rozwinięte i poki co wiedziała tylko, jak mocować się z innymi lwiatkami. To go bawiło.

- Znaczący jest sposób, w jaki to wszystko zaczęło się między nimi - kontynuował. - Za pierwszym razem rozmawiał z nią uprzejmie, lecz w dużej mierze bawił się nią. Kiedy odchodziła, jeden z pacjentów prysnął jej w twarz sperma. Doktor Lecter był poruszony i zszokowany. Wtedy po raz pierwszy i ostatni widziałem go zdenerwowanego. Ona też to spostrzegła i próbowała skorzystać z okazji. Myślę, że zaimponowała mu swoim opanowaniem.

- Jak doktor odnosił się do tamtego pacjenta, który prysnął sperma? Coś ich łączyło?

- Niezupełnie - odparł Barney. - Doktor Lecter po prostu zabił go tamtej nocy.

- Przecież byli zamknięci w osobnych celach - zdziwił się Doemling. - Jak tego dokonał?

- Dzieliły ich trzy cele i korytarz - uscislił Barney. - W środku nocy doktor Lecter porozmawiał z nim chwilę, po czym nakłonił go, żeby połknął język.

- Więc stosunki między Clarice Starling i Hannibalem Lecterem stały się... przyjazne? - zapytał Mason.

- W ramach pewnego rodzaju formalnej struktury - dodał Barney. - Wymieniali się informacjami. Doktor Lecter dzielił się z nią wiedzą na temat wielokrotnego mordercy, którego ścigała, za co placila mu informacjami o sobie. Lecter powiedział mi, że zuchwałość Starling może jej kiedyś zaszkodzić. Nazwał to „nadmiarem zapalu”. Uważał, że Starling byłaby skłonna narazić się na duże niebezpieczeństwo, gdyby wymagało tego zadanie. A raz powiedział, że „ciąży nad nią kłatwa smaku”. Nie wiem, co miał na myśli.

- Doktorze Doemling, czy on chce ją pieprzyć, zabić czy zjeść? - zapytał Mason, wyczerpując wszystkie przychodzące mu do głowy możliwości.

- Prawdopodobnie wszystko - odparł psycholog. - Wolalbym nie przewidywać, w jakiej kolejności zechce dokonać tych czynów. A oto istota tego, co mogę wam powiedzieć. Nie zważając na fakt, że brukowce - i mentalność, która reprezentują - zechcą nadać sprawie wymiar sentymentalny, zamienić ją w historię o Pięknej i Bestii, musimy wiedzieć, iż celem Lectera jest degradacja tej kobiety, jej cierpienie i śmierć. Dwukrotnie wyciągnął do niej rękę: kiedy jej twarz została skalana sperma i kiedy stała się obiektem wściekłych ataków gazet po owej feralnej strzelaninie. Zakłada maskę jej mentora, lecz tak naprawdę podnieca go jej cierpienie. Kiedy historia Hannibala Lectera zostanie spisana, a tak się niewątpliwie stanie, jego przypadek zostanie uznany za przykład „awunkulizmu Doemlinga”. Żeby zwabić doktora, trzeba unieszczęśliwić Starling.

Między szeroko rozstawionymi oczami Barneya pojawiła się głęboka zmarszczka.

- Mogę coś wtrącić, panie Verger, skoro już mnie pan tu wezwał? - Nie czekał na pozwolenie. - W szpitalu doktor Lecter pomógł jej, kiedy okazała zimną krew, stojąc tam i wycierając z twarzy nasienie. W liście nazywa ją wojowniczką i podkreśla, że podczas strzelaniny uratowała dziecko. Podziwia i szanuje jej odwagę i dyscyplinę. Sam napisał, że nie ma zamiaru jej odwiedzać. A trzeba mu przyznać jedno: nigdy nie kłamie.

- Wlasnie o tego typu mysleniu mowilem - odezwal sie Doemling. - Hannibal Lecter nie odczuwa ani podziwu, ani szacunku. Nie ma w nim ciepla, zadnych uczuc. To romantyczna uluda, ktora dowodzi, czym moze grozic kiepskie wykształcenie.

- Doktorze Doemling, pan naprawde mnie nie pamietasz? - zapytal Barney. - Kierowalem oddzialem, kiedy i pan probowal rozmawiac z doktorem Lecterem. Tak jak wielu innych, ale pan jako jedyny wyszedl z placzem, o ile dobrze pamietam. Pozniej doktor Lecter zrecenzowal pana ksiazke w „American Journal of Psychiatry”. Nie dziwilbym sie, gdyby i ta recenzja doprowadzila pana do lez.

- Dosc tego, Barney - przerwal mu Mason. - Dowiedz sie, co z moim obiadem.

- Nie ma nic gorszego niz niedorobiony samouk - oswiadczył Doemling, kiedy Barney wyszedl z pokoju.

- Nie wspominal pan o swej rozmowie z Lecterem, doktorze - powiedzial Mason.

- W tym czasie zapadl w oslupienie katatoniczne i nic nie mozna bylo z niego wyciagnac.

- I dlatego sie pan rozplakal?

- To nieprawda.

- I przeczy pan wypowiedzi Barneya.

- Klamie jak pies.

- Pewnie sam jest napalony na Starling - stwierdzil Krendler.

Margot zasmiala sie w kulak, co jednak nie umknelo uwadze Krendlera.

- Jesli chce pan przyciagnac doktora Lectera do Clarice Starling, trzeba sprawic, zeby zobaczyl jej krzywde - zawyrokowal Doemling. - Niech zasugeruje mu krzywde, ktora moze jej wyrzadzic. Widok jej nieszczescia pobudzi go jakby podgladal ja podczas nieprzyzwoitych zabaw. Kiedy lis slyszy pisk krolika, przybiega natychmiast, ale nie po to, zeby mu pomoc.

## **ROZDZIAŁ 52**

Jest pewien problem z Clarice Starling oznajmil Krendler po wyjsci Doemlinga. - Moge dosc precyzyjnie okreslic, co teraz robi, ale nie jestem w stanie kontrolowac dzialan FBI. I jesli FBI wystawi ja jako przynete, wierzcie mi, ze beda ja kryc. - Krendler wymierzyl palec w ciemnosc, w ktorej kryl sie Mason, zeby podkreslic wage swych slow. - Nie moze pan obrocic tej akcji na swoja korzysc. Nie zdola pan przebic sie przez ochrone i porwac Lectera. Agenci natychmiast wychwycą pana ludzi. Po drugie, FBI nie zainicjuje dzialan, jesli Lecter nie skontaktuje sie ponownie ze

Starling lub jeśli nie pojawia się dowody na to, że jest blisko. Już raz do niej napisał i nic. Potrzeba będzie co najmniej dwunastu ludzi, żeby zapewnić jej ochronę. Droga sprawa. Lepiej by było, gdyby nie wydobyl jej pan z tarapatów po tamtej strzelaninie. Trudno będzie całkowicie zmienić front i próbować jej teraz zaszkodzić, wyciągając ponownie tę samą sprawę.

- Gdyby tak, gdyby siak - powiedział Mason, niezłe jak na niego radzać sobie z głoską „s”. - Margot, zerknij no do „Corriere della Sera” z soboty po śmierci Pazziego i sprawdź pierwszą pozycję w ogłoszeniach dla samotnych. Przeczytaj nam.

Margot przysunęła gazetę do światła.

- Napisane po angielsku, zaadresowane do A. A. Aarona. Brzmi tak: „Oddaj się w ręce miejscowej policji, wrogowie są blisko. Hannah”. Kim jest Hannah?

- Takie imię nosiła klacz, która Starling miała w dzieciństwie - wyjaśnił Mason. - Jest to ostrzeżenie Starling skierowane do Lectera. Wyjaśnił jej w swym liście, jak ma się z nim kontaktować.

Krendler zerwał się na równe nogi.

- Jezus Maria. Niemożliwe, żeby wiedziała o Florencji. Jeśli tak, to musi też wiedzieć, że przekazuje panu wszystkie te informacje.

Mason westchnął, zastanawiając się, czy Krendler nie jest zbyt głupi, żeby w przyszłości służyć mu jako polityk.

- O niczym nie wiedziała. To ja zamieściłem ogłoszenia w „La Nazione”, „Corriere della Sera” i „International Herald Tribune”. Miały się ukazać dzień po próbie porwania Lectera. W ten sposób, gdyby nam się nie powiodło, Lecter pomyślałby, że Starling próbowała mu pomóc. Wciąż mielibyśmy dojście do niego poprzez Starling.

- Nikt nie rozumiał tego ogłoszenia.

- Nikt. Z wyjątkiem Hannibala Lectera. Może zechce jej podziękować - listownie, osobście, kto wie? A teraz niech pan słucha: nadal ma pan wgląd w jej korespondencje?

Krendler kiwnął głową.

- Tak. Jeśli coś jej przesła, zobaczy to pan wcześniej niż ona.

- Posłuchaj uważnie, Krendler. Ogłoszenie zamówiono i opłacono w taki sposób, aby Clarice Starling nie była w stanie udowodnić, że sama go nie zamieściła. A to jest przestępstwo. Złamanie przepisów. Możesz ją tylko skrzywdzić, Krendler. Wie pan, jak FBI traktuje tych, którzy wylecieli od nich. Gówno ich obchodzi. Nawet nie zachowa pozwolenia na bron. Nikt nie będzie jej obserwował oprócz mnie. A Lecter będzie wiedział, że została sama. Ale najpierw wypróbujemy coś innego. - Mason przerwał, żeby złapać oddech. - Jeśli to nie zadziała, zrobimy, co nam radzi Doemling: „skrzywdzimy” ją tym ogłoszeniem. Co tam skrzywdzimy, złamiemy ją na pół. Radzę panu, żeby

zachował pan polowe z cipka. Ta druga polowa jest, do diabła, zbyt gorliwa.

## ROZDZIAŁ 53

Clarice Starling biegła wśród opadających liści w parku stanowym Wirginii, położonym godzinie jazdy od jej domu. Ulubione miejsce, zupełnie wyludnione o tej porze w środku jesiennego tygodnia. Potrzebowała wolnego dnia. Biegła znana sobie drożką na porośniętych lasem wzgórzach wzdłuż rzeki Shenandoah. Wczesne słońce ogrzewało powietrze na szczytach, lecz niżej było zimno. Czasem jednocześnie czuła ciepłe powietrze na twarzy i zimne na nogach.

W tych dniach Starling czuła się bardziej pewnie, gdy biegła; chodząc, miała wrażenie, że ziemia chwieje się pod jej stopami.

Biegła wśród roztoczonych eksplozji światła przebijającego się przez liście. Biegła cętkowana ścieżka, miejscami poprzecinana cieniami pni drzew. Przed nią spłoszyły się dwie lanie i jelen. Jednym susem umknęły ze ścieżki. W mroku zamigotały tylko ich białe plamy pod ogonkiem, gdy zwierzęta lekko pobiegły w głąb lasu. Starling sama dała susa z radości.

Hannibal Lecter siedział nieruchomo jak postać ze średniowiecznych gobelinów wśród opadłych liści na zboczu wzgórza nad rzeką. Miał przed sobą widok na stu pięćdziesięciometrowy odcinek ścieżki. Obserwował ją przez lornetkę polowa zabezpieczona przed refleksami światła osłona z tektury. Najpierw ujrzał spłoszone zwierzęta, które smignęły obok niego po zboczu, a potem, po raz pierwszy od siedmiu lat, Clarice Starling w całej okazałości.

Twarz doktora nie zmieniła wyrazu, lecz jego nozdrza rozszerzyły się, kiedy brał głęboki wdech, jak gdyby z tak dużej odległości mógł poczuć zapach Starling.

Powietrze niesło won suchych i plesniejących liści zmieszana z zapachem gnijących zoledzi. A także odor zajęczych bobków i głębokiego dzikiego pizma postrzepionej wiewiorczej skóry. Brakowało jednak zapachu Starling. Doktor rozpoznałby go wszędzie. Zobaczył spłoszone zwierzęta i obserwował ich ucieczkę jeszcze długo po tym, gdy zniknęły z oczu Starling.

Miał ją w zasięgu wzroku przez niespełną minutę: biegła swobodnie i lekko, z malenkim plecaczkiem z butelką wody. Oswietlające ją od tyłu promienie porannego słońca rozmazały zarys sylwetki, jakby została posypana pyłkiem kwiatowym. Lornetka Lectera trafiła na odbicie słońca w wodzie i przez kilka minut doktor miał plamki przed oczami. Starling zniknęła w miejscu, gdzie ścieżka opadała w dół po stoku wzgórza. Zdolał jeszcze dostrzec jej podskakujący kucyk, przypominający puszysty ogonek jelenia wirginskiego.

Doktor Lecter nie poruszył się, nie próbował jej gonić. W umyśle wyraźnie zarejestrował jej obraz. Mogła biec w jego myślach tak długo, jak sobie życzył. Pierwsze spojrzenie na nią po siedmiu latach, nie licząc zdjęć z gazet i przelotnych spojrzeń z daleka na jej głowę w samochodzie. Wyciągnął się na wznak wśród liści, podłożywszy ręce pod głowę i patrzył na rzednacy klon. Liście

drzaly na tle ciemnego, niemal fioletowego nieba. Fiolet, fiolet, kisc dzikich ciemnych winogron, ktore zerwal po drodze, jest fioletowa. Pelne, nie umyte owoce zaczynaja sie marszczyć. Zjadl kilka, reszte zmiadzyl w dloni i zlizal sok. Fiolet, fiolet.

Fiolet oberzyny w ogrodzie.

W domku myśliwskim nie bylo goracej wody, wiec opiekunka Miszy wyniosla balie z kutej miedzi do ogrodu, zeby poludniowe slonce ogrzalo kapiel dwuletniego dziecka. Misza siedziala w polyskujacej wodzie, a wokol niej fruwalily bielinki kapustniki. Woda nie byla gleboka, zakrywala tylko pulchne nozki dziewczynki, lecz jej brat Hannibal i wielki pies czuwali, gdy opiekunka poszla do domku po koc.

Niektorym sluzacym Hannibal Lecter wydawal sie dziwnym dzieckiem, przerazajaco powaznym i nad wiek madrym. Nie przerazal jednak starej opiekunki, ktora znala sie na swoim fachu, i nie przerazal Miszy, ktora rozplaszczala swe dzieciace raczki na jego policzkach i smiala mu sie w twarz. Misza wyciagnela raczki jeszcze dalej, w strone oberzyny, na ktora uwielbiala patrzec. Nie miala kasztanowych oczu jak jej brat Hannibal, lecz niebieskie. Kiedy wpatrywala sie w fioletowa oberzynie, jej oczy ciemnialy. Hannibal Lecter wiedzial, ze Misza uwielbia ten odcien fioletu. Gdy dziewczynke wniesiono do domku, a pomocnica kucharki wyszla, zeby oproznic balie w ogrodzie, Hannibal przyklekнал przy zagonie oberzyn. Wyjal z kieszeni maly scyzoryk i przecial lodyge jednego z baklazanow. Wypolerowal skorke chusteczka i zaniosl nagrzane od slonca warzywo, cieple jak zwierzec, do pokoju siostry, gdzie polozyl je w widocznym miejscu. Misza uwielbiala ciemny fiolet, uwielbiala kolor oberzyny do konca swoich dni.

Hannibal Lecter zamknal oczy, zeby jeszcze raz ujrzec zwierzeta umykajace przed Starling, zeby zobaczyc ja, jak biegnie sciezka, otoczona zlotymi promieniami wschodzacego slonca. Ale ujrzal inne zwierzec, mala ranna sarne, ktora szarpie sie, prowadzona na smierc na sznurze okreconym wokol szyi, sarne, ktora zjedli, zanim zjedli Misze. Nie mogli dluziej usiedziec w miejscu. Wstal. Rece i usta mial poplamione fioletowym sokiem winogron. Spojrzal na sciezke, ktora biegla Starling. Wciagnal nosem powietrze, wdychajac oczyszczajacy aromat lasu. Wpatrywal sie w miejsce, gdzie zniknela. Sciezka wydawala sie jasniesza niz otaczajacy ja las, jak gdyby Starling zostawila za soba swietlna smuge.

Szybko wdrapal sie na wzgorze i zszedl po drugiej stronie w kierunku parkingu przy pobliskim polu kempingowym, gdzie zostawil samochod. Chcial wyjsc z parku przed powrotem Starling, ktora zaparkowala swoj woz trzy kilometry dalej, na glownym parkingu przy zamknietej po sezonie budce straznikow lesnych.

Powrot do samochodu zajmie jej co najmniej kwadrans.

Doktor zaparkowal przy mustangu Starling, ale nie wylaczyl silnika. Mial juz kilka okazji, by obejrzec jej samochod. Zwykle zostawiala go na parkingu przy sklepie spozywczym, niedaleko swojego domu. Zauwazyl wowczas nizkowy bilet wstepu do parku stanowego przyklejony do szyby. Natychmiast kupil mapy parku i w wolnym czasie przeprowadzil rekonesans.

Samochod byl zamkniety i wygladal, jakby spal przycupniety na szerokich kolach. Stary

mustang Starling rozsmieszał doktora. Był cudaczny i jednocześnie niesamowicie wydajny. Choc doktor przysunął nos bardzo blisko chromowej klamki, nie wyczuł nic. Otworzył scyzoryk i wsunął cienkie ostrze do szpary w drzwiach nad zanikiem. Alarm? Tak? Nie? Klik. Nie.

Lecter wsiadł do samochodu, zanurzając się w intensywny zapach Clarice Starling. Gruba kierownica miała skorzany pokrowiec. Na klaksonie widniał napis MOMO. Doktor przyglądał się literom z przekrzywioną głową, a jego usta układały się w kształt słów „mo mo”. Rozsiadł się wygodnie w fotelu, zamknął oczy i wdychał powietrze z uniesionymi brwiami, jak gdyby delektował się muzyką podczas koncertu.

Spomiędzy jego warg wysunął się ostro zakończony różowy język, niczym mały wąż. Nie zmieniając wyrazu twarzy, jak gdyby nie zdawał sobie sprawy z ruchów języka, doktor pochylił się do przodu, odnalazł wechem skorzaną kierownicę. Owinał wokół niej język, dotykając wgniecenia na palce pod spodem. Posmakował wytarte miejsce na kierownicy, gdzie zwykle spoczywała jej dłoń. Znowu usiadł prosto i zamknął usta. Poruszał nimi, jak gdyby smakował wino. Wziął głęboki wdech, wysiadł i zamknął mustanga. Dopiero gdy jego stara ciężarówka wyjechała z parkingu, wypuścił z ust i z płuc powietrze przesycone zapachem Clarice Starling.

## ROZDZIAŁ 54

W Sekcji Behawioralnej uznaje się, że wampiry grasują na określonym obszarze, natomiast kanibale przenoszą się z miejsca na miejsce.

Doktorowi Lecterowi wędrowny tryb życia zupełnie jednak nie odpowiadał. Nieuchwytność zawdzięczał głównie jakości swoich alternatywnych tożsamości, dbałości o ich utrzymanie oraz łatwemu dostępowi do pieniędzy. Przypadkowe i częste podróże nie miały z tym nic wspólnego.

Posługiwał się na zmianę dwoma kompletami dokumentów, a na trzecie nazwisko rejestrował samochody, bez żadnych problemów wymościł sobie więc wygodne gniazdko w ciągu tygodnia od powrotu do Stanów Zjednoczonych.

Wybrał Maryland, około godziny jazdy samochodem na południe od Muskrat Farm Masona Vergera. Miał stąd wygodny dojazd do sal koncertowych i teatrów w Waszyngtonie i Nowym Jorku.

Unikał wszystkiego, co mogłoby zwrócić na uwagę otoczenia, a oba jego główne wcielenia przeszłyby pozytywnie każdą standardową kontrolę. Odwiedziwszy jedną ze swoich skrytek w Miami, wynajął na rok od niemieckiego lobbysty przyjemny dom na odludziu nad Zatoką Chesapeake.

W razie konieczności podawał numery dwóch telefonów z taniego mieszkania w Filadelfii. Stamtąd rozmowy były automatycznie przelaczane do jego nowego domu i sygnalizowane charakterystycznym dzwonkiem.

Placąc zawsze gotówką, zaopatrzył się u koników w bilety na koncerty symfoniczne,



przedstawienia baletowe i operowe, które go interesowały.

Jedną z zalet wynajętego domu był przestronny podwojny garaż z warsztatem i solidnymi podnoszonymi drzwiami. Tam doktor zaparkował swoje dwa wozy: sześciolatni chevroleta pikapa z orurowaniem nad otwartą przyczepą i dolączonym imadłem, kupionego od hydraulika i malarza, oraz jaguara sedana z doladowaniem, którego wydzierżawił od spółki holdingowej w Delaware. Wyposażenie pikapa Lecter zmieniał codziennie. Wśród sprzętów, które ładował na przyczepę, były: drabina malarska, rury, płytki PCV, zestaw do grilla i zbiornik z butanem.

Uporał się z problemem wyboru domu, Lecter pozwolił sobie na tydzień obcowania z muzyką i sztuką w Nowym Jorku. Katalogi najbardziej interesujących wystaw wysłał do swojego kuzyna Balthusa, wybitnego malarza mieszkającego w Paryżu.

W domu aukcyjnym Sotheby's w Nowym Jorku kupił dwa wspaniałe, bardzo rzadkie instrumenty muzyczne. Pierwszy to flamandzki klawesyn z końca osiemnastego wieku, bardzo podobny do Dulciana z tysiąc siedemset czterdziestego piątego roku z gornym manuałem przystosowanym do utworów Bacha. Instrument ten był godnym następcą *gravicembalo*, na którym grywał we Florencji. Drugim zakupem był elektroniczny theremin, skonstruowany w latach trzydziestych przez profesora Theremina. Od dawna fascynował doktora Lectera i jako dziecko nawet sam skonstruował podobny instrument. Gra na thereminie polega na przesuwaniu dłoni w polu elektronicznym. Dźwięki wydobywa się gestem.

Doktor Lecter zadomowił się i mógł teraz pozwolić sobie na rozrywkę...

Po poranku spędzonym w parku doktor wrócił do swojego przyjemnego azylu na wybrzeżu Marylandu. Widok Clarice Starling biegnącej wśród opadających liści lesną ścieżką zapadł mu głęboko w pamięć. Jest dla niego źródłem przyjemności, do którego może dotrzeć w sekundę, mijając *foyer* swego pałacu pamięci. Widzi biegnącą Starling, a dzięki perfekcyjnej pamięci wzrokowej wynajduje w tej scenie nowe szczegóły: słyszy tetent jeleni, mijających go na zboczu wzgórza, widzi zgrubienia na ich kończynach, zdzbla trawy na brzuchu najbliższego zwierzęcia. Umieścił to wspomnienie w słonecznym pokoju swojego pałacu, jak najdalej od malej zranionej sarny...

Jest znowu w domu, drzwi garażu opadają z delikatnym szumem za jego pikapem.

Gdy w południe znowu się podniosły, z garażu wyjechał czarny jaguar z elegancko ubranym doktorem za kierownicą. Jechał do miasta.

Doktor Lecter bardzo lubił robić zakupy. Pojechał prosto do Hammacher Schlemmer, dostawcy wyszukanych domowych, sportowych i kuchennych akcesoriów, gdzie spędził mnóstwo czasu. Wciąż pod wrażeniem porannej wyprawy, obejrzał dokładnie trzy kosze piknikowe - wszystkie wykonane z lakierowanej wikliny z wszytymi skorzanyimi pasami i solidnymi mosiężnymi dodatkami. Zdecydował się na kosz średniej wielkości, mieszczący zastawę tylko dla jednej osoby.

W koszyku znajdował się termos, tandetne kubki, toporne talerze i sztuczki z nierdzewnej stali. Akcesoria tworzyły komplet z koszykiem i doktor Lecter musiał je kupić. Nie zamierzał jednak używać tak pospolitych i niegustownych przedmiotów.

U Tiffany'ego kupił talerze z francuskiej porcelany ze wzorem *chasse* przedstawiającym liscie i gorskie ptaki. U Christofle'a nabył dziewiętnastowieczne srebra stolowe ze wzorem kardynalskim. Symbol producenta był odcisnięty we wglebieniu łyżek, których rączki miały charakterystyczny kształt szczurzego ogona. Widelce były głęboko wygięte, a ich zęby szeroko rozstawione, uchwyty noży miały przyjemny ciężar. Sztucce układały się w dłoni jak dobre pistolety do pojedynków. Doktor długo nie mógł się zdecydować na rozmiar kieliszków do mocnych alkoholi. W końcu wybrał długie *ballon* do brandy. W kwestii kieliszków do wina nie miał żadnych wątpliwości: wybrał kieliszki riedel, o krawędziach rozstawionych tak szeroko, że pozostawiało mnóstwo miejsca na nos.

U Christofle'a znalazł również obrusy z kremowobiałego lnu i piękne adamaszkowe serwetki z małymi wyhaftowanymi w rogu rozyczkami przypominającymi krople krwi. Wzór tak bardzo spodobał się doktorowi, że nabył aż sześć serwetek.

Kupił też dwa przenosne palniki gazowe, jakich używa się w restauracjach do przyrządzania potraw przy stolikach, wspaniałą miedzianą patelnię, miedziane *fait-tout* do sosów i dwie trzepaczki. Nie mógł nigdzie znaleźć kuchennych noży ze stali węglowej, która przedkładał nad nierdzewną, ani noży specjalistycznych, takich jak te, które pozostawił we Włoszech.

Na koniec odwiedził sklep z instrumentami medycznymi niedaleko Mercy General Hospital, gdzie okazji kupił prawie nową pilę do sekcji zwłok, która zajęła miejsce termosu w koszyku. Była wciąż na gwarancji, a ponadto dołączono do niej ostrze uniwersalne i czaszkowe. *Batterie de cuisine* została skompletowana.

Przez otwarte drzwi balkonowe do pokoju płynie rześkie wieczorne powietrze. Zatoka mieni się srebrym światłem księżyca. Na trójnogim stoliku przy klawiesynie stoi kieliszek z winem. Aromat trunku miesza się ze słonym powietrzem. Doktor Lecter napawa się nim, nie zdejmując rąk z klawiatury.

W swoim czasie miał już klawikordy, wirginy i inne dawne instrumenty klawiszowe. Ale najbardziej lubi dźwięk i dotyk klawiesynu.

Doktor Lecter spogląda na instrument, otwierając i zamykając dłonie. Obchodzi się z nowym nabytkiem jak z nieznajomą, która chce oczarować: wybiera melodie *Green Grows the Holly*, skomponowana przez Henryka VIII.

Zachecony, gra sonatę B-dur Mozarta. Nie jest jeszcze na stopie wielkiej zaryzykacji z klawiesynem, ale reakcje instrumentu podpowiadają mu, że wkrótce bardzo się zżyją. Wiatr nasila się, poruszając płomień świec, lecz oczy doktora

są zamknięte. Mydlane banki sfruwają z rączek Miszy. Lecter rozpoczyna trzecią część sonaty. Przez las lekko biegnie Clarice Starling, pod jej stopami szeleszcza liście. Wiatr szeleszczy w koronach drzew, spłoszone zwierzęta rzucają się do ucieczki, dwie lanie i jelen. Skaczą przez ścieżkę, tak jak czasem skacze serce. Nagle ziemia robi się zimna. Mężczyźni w lachmanach wyprowadzają z lasu ranną sarnę, która szarpie sznur opleciony wokół jej szyi. Ciągną zwierzę, bo nie chcą go nieść. Muzyka urywa się nad zakrwawionym śniegiem. Doktor Lecter przytrzymuje się krawędzi stolka i dyszy ciężko. Podnosi ręce do klawiatury, z trudem wykonuje frazę, po niej jeszcze dwie i przestaje

grac.

Z gardła wydobywa mu się cienki krzyk, który urywa się raptownie, tak jak muzyka. Doktor siedzi nieruchomo z głową pochyloną nad klawiaturą. Potem bezszelestnie wstaje i opuszcza pokój. Nie wiadomo dokąd idzie w pograżonym w ciemności domu. Wiatr wiejący od zatoki przybiera na sile i smaga płomienie świec, aż gasną. Porusza struny klawesynu w ciemności - odgrywa to przypadkowa melodia, to cienki krzyk z odległej przeszłości.

## ROZDZIAŁ 55

Środkowoatlantycka regionalna wystawa broni palnej i noży w War Memorial Auditorium. Akry stołów pełnych pistoletów i strzelb myśliwskich. Na suficie migoczą czerwone promienie laserowych celowników.

Na takie wystawy przychodzi niewielu myśliwych z krwi i kości - kwestia gustu. Są nijakie, bezbarwne i smętne, jak dusze większości ludzi, którzy na nich bywają.

Wystarczy na nich spojrzeć: brudni, mrużący oczy, wulgarni, skrzywieni, z żywicą zamiast krwi. Są największym zagrożeniem dla prawa posiadania broni przez zwykłego obywatela.

Podoba im się broń produkowana masowo, zapewniająca dużą siłę ognia nie wyszkolonym ignorantom.

Wśród wydetych od piwa brzuchów i bladych, ziemistych twarzy domorosłych strzelców poruszał się imponująco szczupły doktor Hannibal Lecter. Broń palna w ogóle go nie interesowała. Podszedł do stoiska najlepszego na wystawie sprzedawcy broni białej.

Nazywa się Buck i waży sto czterdzieści kilogramów. Ma mnóstwo fantastycznych mieczy i kopie oręża średniowiecznego, ale ma również najlepsze niepodrabiane noże. Doktor Lecter szybko dostrzegł większość przedmiotów, które musiał zostawić we Włoszech.

- Mogę w czymś pomóc? - Buck ma zyczliwy uśmiech, lecz podejrzliwe oczy.

- Tak, poproszę noż Harpy, prosty zabkowany Spyderco z dziesięcio-centymetrowym ostrzem i noż do cicia skór, tamten z tyłu.

Buck zebrał wskazane noże.

- Potrzebna mi też dobra piła myśliwska. Nie ta, tamta. Chciałbym obejrzeć ten płaski skorzany noż saperski, czarny. - Doktor Lecter zbadał wygięcie rączki. - Biore.

- Coś jeszcze?

- Tak. Chciałbym też Spyderco Civilian, ale nie widzę go.

- Niewielu zna ten typ. Zawsze mam na stanie tylko jeden.

- Tylko jeden jest mi potrzebny.

- Normalnie kosztuje dwieście dwadzieścia dolarów, ale panu sprzedam za sto dziewięćdziesiąt z futerałem.

- Świetnie. Ma pan kuchenne noże ze stali węglowej? Buck pokręcił potężną głową.

- Może pan je znaleźć na pchlim targu. Tam kupiłem swoje. Można je ostrzyć o dno talerza.

- Proszę zapakować, wróce za kilka minut.

Buckowi rzadko się zdarzało, żeby klient prosił o zapakowanie zakupów, dlatego wykonywał tę czynność z uniesionymi brwiami.

Wystawa broni palnej i noży nie była, rzecz jasna, wystawa, tylko giełda. Stało tam kilka stolów z zakurzonymi pamiatkami z czasów drugiej wojny światowej, które zaczynały przypominać antyki. Można było kupić karabiny M-1, maski gazowe z porysowanymi szybkami, menażki. Były też stoiska z hitlerowskimi pamiatkami. Jeśli masz ochotę, możesz tam kupić nawet autentyczny pojemnik z cyklonem B.

Na wystawie nie było prawie żadnych pamiątek z wojen w Korei i w Wietnamie i niczego, co wiązało się z operacją „Pustynna Burza”.

Wielu klientów nosiło ubrania maskujące, jak gdyby tylko na krótko opuścili linię frontu. Można je było również kupić, na przykład pełny kombinezon *ghillie* używany przez snajperów i myśliwych. Spora część wystawy zajmowały stoiska ze sprzętem łuczniczym dla myśliwych.

Doktor Lecter oglądał właśnie *ghillie*, gdy dostrzegł dwóch umundurowanych mężczyzn. Wziął do ręki rękawicę łuczniczą i odwrócił się do światła, udając, że chce przyjrzeć się etykiecie. Zauważył, że dwaj funkcjonariusze obok niego są strażnikami z Departamentu Myślistwa i Rybołówstwa Słodkowodnego stanu Wirginia, który na wystawie miał swoje stoisko.

- Donnie Barber - powiedział starszy strażnik, wskazując na kogoś ruchem głowy. - Daj mi znać, jeśli kiedyś trafi do sadu. Chciałbym raz na zawsze pozbyć się tego sukinsyna z lasu.

Obserwowali mężczyznę około trzydziestki na drugim końcu stoiska ze sprzętem łuczniczym. Stał twarzą do nich, wpatrzony w ekran telewizora. Donnie Barber miał na sobie ubranie maskujące i bejsbolówkę założoną daszkiem do tyłu. Podkoszulek w kolorze khaki nie zasłaniał licznych tatuaży na rękach i barkach.

Doktor Lecter oddalił się powoli od strażników, oglądając po drodze różne przedmioty. Zatrzymał się przy ekspozycji laserowych celowników. Przez kratę obwieszoną kaburami widział film, który przykuł uwagę Donniego Barbera.

Film pokazywał polowanie z łukiem na jelenia mulaka.

Najwyraźniej ktoś spoza kadru naganiał zwierze wzdłuż ogrodzenia przez porośnięta drzewami działkę, gdy tymczasem myśliwy napiał łuk. Myśliwy miał doczepiony mikrofon. *Zaczai* oddychać szybciej. „Lepiej nie będzie” - szepnął do mikrofonu. Jeleni wygiął się, gdy trafiła go strzala, i dwukrotnie staranował ogrodzenie, zanim je przeskoczył i uciekł.

Kiedy strzala wbiła się w zwierze, Donnie Barber zadrzał i chrząknął.

Teraz filmowy myśliwy miał oprawić jelenia. Zamierzał zacząć, jak to określił, od „części analnej”.

Donnie Barber kilkakrotnie zatrzymywał film i cofał do fragmentu, w którym nastąpił strzał, aż interweniował koncesjonariusz.

- Pieprz się, dupku - powiedział Donnie Barber. - Nie będę u ciebie kupował tego gówna.

Przy następnym stoisku Barber nabył kilka złotych strzał z szerokimi grotami i metalowymi lotkami. Zakup upoważnił go do uczestnictwa w losowaniu nagrody: pozwolenia na dwudniowe polowanie na jelenie.

Wypełnił otrzymany kupon i wrzucił go do skrzynki. Zatrzymawszy sobie długopis sprzedawcy, zniknął w tłumie młodych mężczyzn w ubraniach maskujących.

Tak jak oczy zaby rejestrują każdy ruch, tak oczy sprzedawcy kuszy wychwytyją bezruch w przewalającym się tłumie. Teraz ktoś stał przed nim całkowicie nieruchomo.

- Czy to pańska najlepsza kusza? - zapytał doktor Lecter.

- Nie. - Mężczyzna wyjął futerał spod lady. - Ta jest najlepsza. Można ją napinać kolowrotkiem ręcznie lub za pomocą wiertarki. Wie pan, że w Wirginii nie wolno polować z kuszami, chyba że jest się inwalidą?

- Mój brat stracił jedną rękę i bardzo zależy mu na tym, żeby zabić coś drugiego - wyjaśnił doktor Lecter.

- Ach, rozumiem.

W ciągu pięciu minut doktor kupił doskonałą kuszę oraz dwa tuziny krótkich, grubych strzał.

- Proszę zapakować - zazyczył sobie.

- Niech pan wypełni ten kupon. Może pan wygrać pozwolenie na dwudniowe polowanie na jelenie - zachęcał sprzedawca.

Doktor wypełnił kupon i wrzucił do skrzynki.

Gdy tylko sprzedawca zajął się następnym klientem, Lecter odwrócił się do niego.

- Do diabła! - powiedział. - Nie dopisałem numeru telefonu. Moge?

- Jasne, śmiało.

Doktor Lecter unosił pokrywę skrzyni i wyjął dwa kupony z wierzchu. Na swoim dopisał kolejną fałszywą informację, a potem przyjrzał się danym na kuponie pod spodem.

## ROZDZIAŁ 56

Silownia na Muskrat Farm ma nowoczesny czarno-chromowy wystroj i jest wyposażona w komplet sprzętu kulturystycznego Nautilus, sztangi, przyrządy do aerobiku oraz barek z napojami.

Barney kończył już trening. Pedalował na stacjonarnym rowerze. Zorientował się, że nie jest sam w sali. Dostrzegł Margot Verger. Zdejmowała w kacie dresy. Miała na sobie elastyczne spodenki i koszulkę na ramiączkach. Teraz jeszcze założyła pas dla ciężarowców. Barney usłyszał brzęk hantli w kacie i jej głosny oddech, gdy robiła rozgrzewkę.

Pedalował bez wysiłku z recznikiem zakreconym na głowie, kiedy podeszła do niego.

Spojrzała na jego ramiona, potem na swoje. Miały mniej więcej te same rozmiary.

- Ile wyciskasz? - zapytała.

- Nie wiem.

- A mnie się wydaje, że wiesz, i to bardzo dobrze.

- Może sto siedemdziesiąt, coś koło tego.

- Sto siedemdziesiąt? Nie sądzę, chłopcze. Nie wycisniesz stu siedemdziesięciu.

- Może i nie.

- Stawiam sto dolarów, że nie wycisniesz stu siedemdziesięciu.

- Przeciwnie?

- Przeciwnie stu dolarom. Stane za toba. Barney spojrzał na nią i zmarszczył brwi.

- Dobra - powiedział.

Przygotowali sztangę. Margot sprawdziła pierscienie, które zakładał Barney, jakby miał ją oszukać. Więc on z przesadną uwagą sprawdził wagę pierscieni założonych przez Margot.

Polozył sie plasko na laweczce i przyjął pozycję, Margot stanęła przy jego głowie. Jej potężny tors zdawał się sięgać niemal sufitu, nogi śmierdziały jakas mazią. Dotykała lekko drążka kształtnymi dłońmi z pomalowanymi na koralowo paznokciami.

- Gotowy? - spytała.

- Tak.

Swobodnie wycisnął ciężar w stronę nachylonej nad nim twarzy. Odłożył sztangę z powrotem na stojak. Margot wyjęła pieniądze z treningowej torby.

- Dziękuję - powiedział Barney.

- Robię więcej przysiadów od ciebie.

- Wiem.

- Skąd wiesz?

- Ja nie muszę robić przysiadu, żeby się wysikać. Jej potężna szyja zaczerwieniła się.

- Ja też.

- Sto dolarów? - zapytał Barney.

- Zrób mi koktajl z owoców - powiedziała Margot. W barku stała miska z owocami i orzechami. Gdy Barney przygotowywał koktajl w mikserze, Margot scisnęła w piasku dwa orzechy i rozłupala je.

- Potrafisz rozłupać jeden orzech w reku? - zapytał. Rozbił dwa jajka o krawędź miksera i wrzucił je do środka.

- A ty? - spytała Margot, wręczając mu jeden orzech.

- Nie wiem - odparł.

Uprzątnął miejsce przed sobą; po stronie Margot z blatu spadła pomarańcza.

- Oj, przepraszam - powiedział.

Podniosła owoc i odłożyła z powrotem do miski.

Barney zacisnął dłoń. Margot patrzyła to na jego piasek, to na czerwona z wysiłku twarz. Zaczął drzeć, a z jego zacisniętej dłoni dobiegł cichy trzask. Margot zrzędzła miną, gdy przeniósł drżącą piasek nad mikser i usłyszała głośniejszy trzask. Żółtko i białko zachlupotały w mikserze. Barney włączył urządzenie i obliznął koniuszki palców. Margot rozesmiała się.

Barney rozlał koktajl do szklanek.

- Czujesz, że musisz we wszystkim naśladować facetów? - zapytał.

- Z wyjątkiem niektórych debilnych rzeczy.

- A co powiesz na meksykańską przyjaźń? Uśmiech zniknął z twarzy Margot.

- Mam nadzieję, że w nic mnie nie wrabiasz, Barney. Pokręcił głową.

- Przekonaj się - powiedział.

## ROZDZIAŁ 57

Plony Clarice Starling powiększały się z każdym dniem. Rachel Du Berry, nieco starsza od doktora Lectera, niegdyś aktywnie patronowała orkiestrze symfonicznej z Baltimore. Była piękna kobieta, o czym

Starling mogła się przekonać, oglądając zdjęcia z „Vogue” z tego okresu. Od tamtej pory zaliczyła dwóch bogatych mężów. Teraz była żoną Franzy Rosencranz z rodziny wielkich przemysłowców. Starling połączyła z panią Rosencranz jej asystentka.

- Teraz, zlotko, tylko wysyłam orkiestrze pieniądze. Jesteśmy zbyt często w rozjazdach, żebym mogła aktywnie działać - wyjaśniała Rachel Rosencranz z domu DuBerry. Jeśli chodzi pani o kwestie podatkowe, mogę podać numer moich księgowych.

- Pani Rosencranz, kiedy patronowała pani orkiestrze i szkole Westover, знаła pani doktora Hannibala Lectera. Długo cisza.

- Pani Rosencranz?

- Lepiej będzie, jeśli da mi pani swój numer, a ja oddzwonię przez centrale FBI.

-Naturalnie.

Po chwili na nowo podjęły rozmowę.

- Tak, znalazłam Hannibala Lectera na stopie towarzyskiej jakiś czas temu i od tej pory dziennikarze koczują na schodach mojego domu. Był szalenie czarującym mężczyzną, zupełnie wyjątkowym. Wiedział, jak zawrócić kobiecie w głowie, jeśli rozumie pani, co mam na myśli. Przez wiele lat nie mogłam uwierzyć w jego drugie oblicze.

- Czy dostawała pani kiedyś od niego prezenty, pani Rosencranz?



- Zwykle otrzymywałam od niego listki na urodziny, nawet wtedy, gdy został aresztowany. Czasem też dostawałam prezenty, zanim go skazano. Były to rzeczy w wyjątkowo dobrym guście.

- Doktor Lecter wydal słynny obiad na pani cześć. Wszystkie wina pochodziły z tego roku, w którym się pani urodziła.

- Tak. Suzy powiedziała, że było to najbardziej niezwykle przyjęcie od czarno-białego balu Capote'a.

- Pani Rosencranz, jeśli doktor skontaktuje się z pania, proszę zawiadomić FBI, dzwoniąc pod numer, który pani podam. Chciałabym zapytać o jeszcze jedno. Czy pani i doktor Lecter obchodzą jakieś wspólne rocznice? Pani Rosencranz, muszę pania zapytać o datę urodzin.

Ze słuchawki powiało chłodem.

- Myślałam, że bez trudu potrafiacie zdobyć taką informację.

- Tak, ale są pewne niezgodności w danych na pani dokumentach ubezpieczeniowych, metryce urodzin i prawie jazdy. Prawde mówiąc, wszędzie podane są inne daty. Bardzo przepraszam, ale sprawdzamy zamówienia na wszelkie luksusowe prezenty w terminach urodzin rozpoznanych znajomych doktora Lectera.

- "Rozpoznanych znajomych". Więc jestem teraz rozpoznana znajoma. Co za potworne określenie. - Pani Rosencranz zachichotała. Należała do pokolenia koktajli i papierosów i miała głęboki głos. - Agentko Starling, a pani ile ma lat?

- Trzydzieści dwa. Dwa dni przed Bożym Narodzeniem skończy trzydzieści trzy.

- Życzę pani z całego serca, żeby miała pani w swoim życiu kilku „rozpoznanych znajomych”. Naprawdę umilają czas.

- Dziękuję pani. A więc kiedy się pani urodziła?

Pani Rosencranz wyjawiała wreszcie prawdziwą datę, dodając, że „doktor Lecter jest z nią zaznajomiony”.

- Proszę wybaczyć, że pytam: nie dziwi mnie zmiana roku, ale dlaczego zmieniła pani też dzień i miesiąc?

- Chciałam być Panna, ten znak bardziej odpowiadał panu Rosencranz.

Ludzie, których doktor Lecter spotkał jako więźnia, mieli o nim zgoła odmienną opinię.

Z piekielnego lochu w domu seryjnego mordercy Jame'a Gumba Starling uratowała córkę byłej senator Ruth Martin, Catherine. Gdyby senator Martin nie przegrała w następnych wyborach, mogłaby bardzo pomóc Clarice. Przez telefon odnosiła się do niej zyczliwie - opowiedziała, co slychac u Catherine, i zapytała, co slychac u Starling.

- Starling, nigdy mnie pani o nic nie prosila. Jesli bedzie pani szukac pracy...

- Dziekuje, pani senator.

- Co do tego cholernego Lectera, to oczywiscie powiadomilabym FBI, gdyby sie ze mna skontaktowal. Trzymam pani numer przy aparacie. Charlise wie, jak sie obchodzic z poczta. Nie oczekuje od niego zadnych wiadomosci. Ostatnie slowa, ktore ten palant powiedzial wtedy do mnie w Memphis, to: „Masz uroczy kostium”. Nikt nigdy nie potraktowal mnie z wiekszym okrucienstwem. Wie pani, co zrobil?

- Wiem, ze zakpil sobie z pani.

- Kiedy zaginela Catherine, kiedy bylismy zrozpaczeni i powiedzial, ze ma informacje na temat Jame'a Gumba, kiedy blagalam go o pomoc, on spojrzal mi w twarz tym swoimi oczami weza i zapytal, czy nianczylam Catherine. Chcial wiedziec, czy karmilam ja piersia. Powiedzialam, ze tak. A wtedy zapytal: „Lapczywie ssala?”. Nagle wrocily do mnie wszystkie wspomnienia, jak trzymalam ja glodna przy piersi i czekalam, az sie naje. Strasznie mnie to zabolalo, a on wyraznie delectowal sie moim bolem.

- Co to bylo, pani senator?

- Slucham?

- Co to byl za kostium, ktory spodobal sie doktorowi Lecterowi?

- Niech pomysle... granatowy Givenchy o bardzo prostej linii - odparla senator Martin, nieco zbity z tropu pytaniem Starling. - Kiedy juz go pani wsadzi za kratki, prosze mnie odwiedzic, pojezdzymy konno.

- Dziekuje, pani senator, bede pamietac.

Dwie rozmowy telefoniczne, z ktorych kazda ukazywala inne oblicze doktora Lectera: jedna przypominala o jego uroku, druga o okrucienstwie. Starling zapisala: „Rocznik win dopasowany do daty urodzin”. Do listy luksusowych towarow dodala „Givenchy”. Po chwili zastanowienia dopisala jeszcze „karmienie piersia”. W tym momencie zadzwonil telefon.

- Sekcja Behawioralna? Chce rozmawiac z Jackiem Crawfordem, mowi szeryf Dumas z okregu Clarendon w stanie Wirginia.

- Tu agentka specjalna Starling, asystentka Jacka Crawforda. Szef jest dzisiaj w sadzie. Ale moze ja moge w czymś pomoc?

- Musze porozmawiac z Jackiem Crawfordem. Mamy tu w kostnicy faceta, ktoremu wycieto kawalki miesa. Polaczylem sie z wlasciwa sekcja?

- Tak, tu sekcja mie... tak, oczywiscie. Prosze powiedziec, gdzie pan jest, a ja juz jade. Zawiadomie pana Crawforda, gdy tylko skonczy zeznania.

## ROZDZIAŁ 58

Kostnica okręgu Clarendon w północnej Wirginii jest połączona ze szpitalem okręgowym krotką komora powietrzna z wentylatorem w suficie i szerokimi podwójnymi drzwiami po każdej stronie, żeby ułatwić transport zwłok. Zastępca szeryfa stał przed tymi drzwiami, zagradzając drogę pięciu dziennikarzom i fotoreporterom, którzy go oblegali.

Za grupką dziennikarzy stanęła na palcach Starling, podnosząc wysoko swoją odznakę. Zastępca szeryfa zobaczył ją i kiwnął głową. Starling przecisnęła się do środka. Za nią zamigotały natychmiast flesze aparatów fotograficznych.

W sali sekcyjnej panuje cisza, słychać tylko metaliczny brzęk odkładanych na tace narzędzi.

W kostnicy są cztery stoły sekcyjne z nierdzewnej stali, przy każdym waga i umywalka. Dwa stoły okrywają plachty materiału, zasłonięte szczatki w przedziwny sposób tworzą coś na kształt namiotów.

Przy stole najbliższym okien trwała rutynowa szpitalna sekcja zwłok. Patolog i jego asystentka wykonywali właśnie jakąś skomplikowaną czynność i nie podnieśli wzroku, gdy do sali weszła Starling.

Rozległ się cienki pisk elektrycznej piły. Patolog ostrożnie odłożył górną część czaszki i wydobyl mózg, który umieścił na wadze. Odczytał po głosom wskazanie, przyjrzał się mózgowi, a na koniec dotknął go palcem w rękawiczce. Zauważył Starling nad ramieniem asystentki, wrzucił mózg do otwartej klatki piersiowej, strzelił wyrzucanymi do kosza gumowymi rękawiczkami i podszedł do Clarice.

Uścisnęli sobie dłonie. Starling przyprawilo to o gęsia skórke.

- Clarice Starling, agentka specjalna FBI.

- Doktor Hollingsworth, szpitalny patolog, kucharz i sprzątacze w jednej osobie. - Nie spuszczając z Clarice jasnoniebieskich oczu, zwrócił się do asystentki: - Marleno, wezwij szeryfa z oddziału kardiologicznego i proszę, odkryj te szczatki.

Doswiadczenie nauczyło Starling, że patolodzy, choć zazwyczaj inteligentni, lubią się popisywać, a podczas rozmów towarzyskich często sprawiają wrażenie niemadrych i nonszalanckich. Hollingsworth spojrzał w ślad za wzrokiem agentki.

- Zastanawia się pani, co z mózgiem? - spytał. Kiwnęła głową i rozłożyła ręce.

- To nie niechlujstwo, agentko specjalna Starling. Po prostu oddają przysługę pracownikom zakładu pogrzebowego, nie wkładając mózgu z powrotem do czaszki. W tym przypadku odbędzie się długie czuwanie przy otwartej trumnie, a mózg wyciekłby na poduszkę. Zapychamy więc czymś

czaszke i zamykamy ja. Robie naciecia nad uszami, zeby skalp sie nie zesliznal. Rodzina dostaje cale cialo z powrotem i wszyscy sa szczesliwi.

- Rozumiem.

- Prosze mi powiedziec, czy rozumie pani cos z tego - rzekl Hollingsworth. Jego asystentka sciagnela plachty ze stolow.

Starling odwrocila sie. Tego, co ujrzala, nie zapomni do konca zycia. Na stolach z nierdzewnej stali lezaly obok siebie ciala jelenia i mezczyzny. W ciele jelenia tkwila zolta strzala. Strzala i rogi zwierzecia przytrzymywaly plachte jak drazki namiot.

Krotsza i grubsza zolta strzala przeszywala czaszke mezczyzny poprzecznie nad uszami. Przytwierdzala do glowy odwrocona daszkiem do tylu bejsbolowke.

Gdy Starling spojrzala na martwego mezczyzne, ogarnela ja absurdalna wesolosc. Pohamowala smiech na tyle szybko, ze zabrzmial jak jek konsternacji. Oba ciala - czlowieka i zwierzecia - zostaly pociete niemal identycznie: starannie i oszczednie usunieto krzyzowke, comber oraz male filety pod kregoslupem. Oczy mezczyzny byly otwarte i troche krwi wycieklo z kanalikow lzowych.

- Dziwne uczucie widziec ich razem - stwierdzil doktor Hollingsworth. - Ich serca wazyly dokladnie tyle samo. - Spojrzal na Starling i przekonal sie, ze nic jej nie jest. - Choc mezczyzna czymś sie wyroznia: prosze spojrzec tutaj, gdzie oddzielono od kregoslupa krotkie zebra i wyciagnieto z tylu pluca. Wygladaja troche jak skrzydla, prawda?

- Krwawy orzel - wybakala Starling po chwili zastanowienia.

- Nigdy nie widzialem czegos takiego.

- Ja tez - powiedziala Clarice.

- A wiec jest na to okreslenie. Jak pani to nazwala?

- Krwawy orzel. W Quantico mamy literature na ten temat. Nordycki obrzed ofiarny. Polega na przebiciu sie przez krotkie zebra, wyciagnieciu

z tylu pluc i splaszczeniu ich na ksztalt skrzydel. W latach trzydziestych pewien neowiking uprawial ten proceder w Minnesocie.

- Czesto widuje pani takie rzeczy, no, moze nie dokladnie takie, ale tego rodzaju?

- Owszem, od czasu do czasu.

- Dla mnie to wlasciwie cos nowego. Zwykle przyjmujemy tu ofiary zwyklych morderstw, zastrzelone lub zasztyletowane. Moze jednak chce pani wiedziec, co o tym mysle?

- Bardzo, doktorze.

- Ten człowiek, według dowodu osobistego nazywa się Donnie Barber. Upolował jelenia wczoraj, dzień przed początkiem sezonu. Strzala pasuje do reszty sprzętu łuczniczego. Potem facet zaczął oporządzać zwierzę. Nie robiłem jeszcze analizy krwi na jego rękach, ale to na pewno krew jelenia. Zabierał się właśnie nieudolnie do roboty, o tutaj widac krótkie poszarpane naciecie, i wtedy spotkała go niespodzianka: strzala przebiła mu głowę. Ten sam kolor, ale inny rodzaj. Bez rowka na koncu. Poznaje pani?

- Wygląda jak belt do kuszy - oceniła Starling.

- Drugi osobnik - kontynuował doktor - zapewne ten od kuszy, dokonał roboty, i to dużo sprawniej. A potem, moj Boże, oprawił też kłusownika. Proszę spojrzeć, naciecia wykonano dokładnie w tych samych miejscach pewna ręka. Nic się nie zmarnowało. Michael DeBakey nie zrobiłby tego lepiej. Nie znaleziono żadnych śladów, które wskazywałyby na seksualne wykorzystanie ofiar. W obu przypadkach mamy do czynienia z czysto rzeźniczą robotą.

Starling dotknęła ust zacisniętą pięścią. Przez chwilę patolog myślał, że agentka całuje amulet.

- Doktorze Hollingsworth, czy wyjęto wątroby? Lekarz odczekał chwilę, zanim odpowiedział, spoglądając na nią znad okularów:

- Wątroby jelenia tak. Wątroba pana Barbera najwyraźniej nie odpowiadała wymaganiom. Została częściowo wycięta i zbadana, naciecie biegnie wzdłuż żyły wrotnej. Jego wątroba jest marska i odbarwiona. Pozostała w ciele, chce pani obejrzyć?

-Nie, dziękuję. A grasica?

- Właśnie, brakuje nerkówek. Agentko Starling, nikt jeszcze nie wymienił jego nazwiska, prawda?

- Nie - przyznała Starling. - Przynajmniej na razie. Podmuch od strony komory powietrznej. W drzwiach stanął szczupły, ogorzały mężczyzna w tweedowej sportowej kurtce i spodniach khaki.

- Jak się czuje Carleton, szeryfie? - zapytał Hollingsworth. - Agentko Starling, to jest szeryf Dumas. Brat szeryfa leży teraz na oddziale kardiologicznym.

- Jakos się trzyma. Mówią, że jego stan jest stabilny i że jest „pod kontrolą”, cokolwiek miałoby to znaczyć - odpowiedział szeryf. - Chodź no tutaj, Wilburn - zawołał do kogoś na zewnątrz.

Uściskał dłoń Starling i przedstawił swojego towarzysza:

- Wilburn Moody, strażnik leśny.

- Jeśli chce pan być blisko brata, szeryfie, możemy przejść na górę - zaproponowała Starling. Dumas pokręcił głową.

- Przez najbliższe półtorej godziny nie wpuszcza mnie do niego. Bez obrazy, dziewczyno, ale dzwoniłem po Jacka Crawforda. Kiedy przyjedzie?

- Zasedział sie w sadzie. Kiedy pan dzwonił, własnie zeznawał. Oczekuje, ze wkrótce skontaktuje sie z nami. Jesteśmy bardzo wdzieczni, ze zadzwonił pan do nas tak szybko.

- Stary Crawford uczył moja grupe w Quantico kilkanascie lat temu. Gosc pierwsza klasa. Skoro pania przysłał, to pewnie zna sie pani na swym fachu. Możemy zaczynac?

~ Proszę bardzo, szeryfie.

Dumas wyjął notes z kieszeni kurtki.

- Ten facet ze strzala w glowie nazywa sie Donnie Leo Barber. Mezczyzna rasy bialej, trzydziesti dwa lata, mieszkal w przyczepie w Cameron. Nie wiadomo, zeby byl gdzieś zatrudniony. Cztery lata temu wyrzucony z sil powietrznych. Ma legitymacje FAA. Kiedys pracowal jako mechanik przy samolotach. Dwukrotnie karany grzywna, raz za uzycie broni palnej w miescie, a podczas ostatniego sezonu myśliwskiego za nielegalne wejście na prywatny teren. Udowodniono mu tez klusownictwo. Kiedy to bylo, Wilburn?

- Dwa lata temu, własnie dostal z powrotem licencje lowiecka. Jest znany w naszym departamencie. Nigdy nie zadaje sobie trudu, zeby pojsc za rannym zwierzeciem. Jesli zwierze nie padnie, po prostu czeka na nastepne... A kiedys...

- Powiedz, co sie stalo dzisiaj, Wilburn.

- No wiec jechalem droga czterdziesti siedem, jakis kilometr na zachod od mostu. Bylo kolo siodmej, kiedy patrze, a tu stary Peckman macha, zebym sie zatrzymal. Ciezko dycha i trzyma sie za serce. Otwiera tylko usta jak ryba i pokazuje palcem na las. Przechodze jakies, no, nie wiecej niz sto piecdziesiat metrow w gestym lesie, a tam lezy pod drzewem ten Barber z przeszyta glowa i ten zabity jelen. Lezaly tam zimne co najmniej od wczoraj.

- Od wczoraj rana, sadzac po temperaturze.

- Sezon zaczal sie dzisiaj rano - ciagnal straznik. - Ten Donnie Barber mial ze soba drabinke, ale jeszcze jej nie ustawil. Wyglada, jakby wybral sie tam wczoraj, zeby przygotowac wszystko na dzisiaj, a moze i klusowac chcial. Bo po co by bral luk, jesli tylko szykowal sobie stanowisko? Pojawil sie

dorodny jelen i nie mogl sie powstrzymac - ludzie czesto tak robia. Takie to teraz zwyczaj. I kiedy opravial jelenia, pojawil sie ten drugi. Ze sladow nic sie nie dalo powiedziec, bo lalo jak z cebra, podmylo teren...

- Dlatego zrobilismy troche zdjec i wyciagnelismy ciala - powiedzial szeryf Dumas. - Las nalezy do starego Peckmana. Ten Donnie mial zezwolenie na dwudniowe legalne polowanie, poczawszy od dzisiaj, podpisane przez samego Peckmana. Peckman co roku sprzedaje takie pozwolenia. Zamieszcza ogloszenia i korzysta z pomocy posrednikow. W tylnej kieszeni Donnie mial list, w ktorым napisano: „Wygral pan zezwolenie na polowanie, moje gratulacje". Papiery sa mokre, panno Starling. Nie mam nic przeciwko naszym, ale moze powinna pani zbadac odciski palcow w

waszym laboratorium. I strzały też, wszystko było mokre, kiedy tam dotarliśmy. Staraliśmy się ich nie dotykać.

- Chce pani zabrać te strzały, agentko Starling? W jaki sposób mam je wyjąć? - zapytał doktor Hollingsworth.

- Niech pan przytrzyma je rozwieraczami, przepiłuje przy skorze po stronie lotki i wyciągnie resztę z drugiej strony. Przyczepie je do tablicy - wyjaśniła Starling.

- Wątpię, czy doszło tam do walki, ale może chce pani materiał spod paznokci?

- Wolalabym obciąć paznokcie do badania DNA. Nie musi ich pan dokładnie opisywać, ale proszę rozdzielić paznokcie z prawej i lewej ręki, dobrze, doktorze?

- Może przeprowadzić PCR-STR?

- Zrobia to w głównym laboratorium. Za trzy, cztery dni będziemy coś dla pana mieli, szeryfie.

- Bedziecie badali krew jelenia? - zapytał Moody.

- Nie, sprawdzimy tylko, czy to zwierzęca krew - powiedziała Starling.

- A gdyby znaleziono mięso jelenia w czyjejs lodowce? - zasugerował strażnik. - Chcielibyście wiedzieć, czy to z tego jelenia, nie? My czasem musimy odróżnić jednego jelenia od drugiego na podstawie krwi, żeby wniesć do sądu sprawę o kłusownictwo. Każdy jelen jest inny. Nigdy by pani nie pomyślała, co? Musimy wysłać krew do ośrodka w Portland w stanie Oregon i jeśli się odczeka swoje, odpowiada. Pisz wtedy: „To jest jelen numer jeden” albo nazywają go „Jelen A” i dodają numer sprawy, bo wiadomo, że jelenie imion nie mają.

Starling podobała się ogorzala twarz Moody'ego.

- Tego nazwiemy „John Doe”, strażniku Moody. Warto wiedzieć o ośrodku w Portland, może nawiążemy z nimi współpracę. Dziękuję - uśmiechnęła się do niego, aż oblał się rumieńcem i zaczął mietosić w rękach czapkę.

Kiedy pochyliła głowę, żeby poszperać w torebce, doktor Hollingsworth rozkoszował się jej widokiem. Podczas rozmowy z Moodym jej twarz rozjaśniła się.

- W co włożyliście papiery, w folie? - zwróciła się do szeryfa.

- Nie, w torby z szarego papieru. Torby z szarego papieru dobrze się sprawują. - Szeryf potarł ręką tył głowy i spojrzał na Starling. - Wie pani, dlaczego was zawiadomiłem, dlaczego wzywałem Jacka Crawforda. Ciesze się, że przyjechała pani, teraz sobie pani przypominam. Nikt nie wspominał o Kanibalu poza tym pokojem, bo prasa zaraz stratowałaby nasze lasy, gdyby się wydało. Wiedza tylko, że wydarzył się jakiś wypadek na polowaniu. Może słyszeli, że znaleziono zmasakrowane ciało. Ale nie wiedza, że Donniemu Barberowi wycięto organy wewnętrzne. Kanibali nie ma zbyt wielu, agentko Starling.

- Racja, szeryfie, nie ma.

- To bardzo solidna robota.

- Tak jest, szeryfie.

- Pomyslałem sobie, że może to on, bo tyle się o nim pisało w gazetach. Ale czy pani podejrzewa, że to sprawka Hannibala Lectera?

Starling zauważyła pajaka, który schował się w drenie wolnego stołu do sekcji zwłok.

- Szosta ofiara doktora Lectera był myśliwy-lucznik - powiedziała.

- Zjadł go?

- Jego nie. Powiesił go strasznie poranionego na ścianie. Wyglądał jak mężczyzna ze średniowiecznej ryciny przedstawiającej różne rodzaje ran. Doktor Lecter interesuje się średniowieczem.

Patolog wskazał na płuca wystające z pleców Donniego Barbery.

- Mówiła pani, że to stary rytuał.

- Tak mi się wydaje. Nie wiem, czy to robota doktora Lectera. Jeśli tak, okaleczenie nie ma charakteru fetyszystycznego. Nie działał pod wpływem przymusu.

- Po co więc to zrobił?

- Fanaberia - zawyrokowała, sprawdzając, czy zaskoczyła ich tym słowem. - Fanaberia. Przez nią wpadł ostatnim razem.

## **ROZDZIAŁ 59**

Nowe laboratorium DNA wreszcie pachniało nowością, a ludzie, którzy tam pracowali, byli młodsi od Starling. Coż, trzeba się do tego przyzwyczajać, pomyślała z goryczą. Wkrótce będzie o rok starsza.

Młoda kobieta z napisem A. BENNING na identyfikatorze pokwitowała odbiór dwóch strzałów przyniesionych przez Clarice.

A. Benning odetchnęła z wyraźną ulgą, widząc, że strzały są starannie przymocowane do tablicy.

- Wole nie mówić, co mi tu czasem przynoszą - oznajmiła. - Na wyniki trzeba trochę poczekać,



nie da sie w ciagu pieciu minut...

- Oczywiście - przerwała jej Starling. - Nie ma wyników RFLP doktora Lectera. Uciekł zbyt dawno temu i materiały po nim zostały zanieczyszczone, przeszły przez rece setek ludzi.

- Nasz czas jest zbyt cenny, żeby poddawać badaniu każdą próbkę, na przykład czternastce włosów znalezionych w pokoju motelowym. Jeśli przyniesie mi pani...

- Proszę najpierw mnie wysłuchać - wtraciła Starling - później będzie mówiła pani. Poprosiłam włoską policję, żeby przysłali mi szczoteczkę do zębów, która prawdopodobnie należała do doktora Lectera. Znajdźcie na niej komórki nabłonkowe z policzka. Proszę przeprowadzić RFLP oraz STR. Te strzały zmoczył deszcz. Watpie więc, czy coś na niej znajdziecie. Ale proszę tutaj spojrzeć...

- Przepraszam, nie sądziłam, że pani... Starling zdobyła się na uśmiech.

- Proszę się nie martwić, dogadamy się. Widzi pani, obie strzały są żółte. Strzala z kuszy została pomalowana ręcznie, całkiem niezłe, ale widac pewne niedoskonałości. Proszę spojrzeć, co tutaj mamy pod farbą?

- Może włoszek z pedzla?

- Może. Ale jest z jednej strony zawinięty, a z drugiej ma małe zgrubienie. Może to rzesa?

- Jeżeli ma cebulkę...

- Właśnie.

- Mogę wykonać PCR-STR - trzy kolory naraz - w tej samej linii w zelu i uzyskać jednocześnie trzy części DNA. Wystarczy kilka dni, żeby ustalić, czy to on.

- Wiedziałam, że mi pani pomoże.

- Pani jest Starling, to znaczy agentka specjalna Starling. Przepraszam, że na początku byłam nieprzyjemna, ale gliny przysyłają nam tyle naprawdę paskudnych materiałów. Nie pani wina.

- Wiem.

- Myślałam, że jest pani starsza. Wszystkie dziewczyny słyszały o pani, to znaczy wszyscy słyszeli, ale dla nas... - odwróciła wzrok - ... jest pani kims szczególnym. - A. Benning wystawiła do góry swój mały pulchny kciuk. - Powodzenia z potworem. Jeśli mogę się tak wyrazić.

## ROZDZIAŁ 60

by go nawet uznać za przystojnego, gdyby jego twarz miała w sobie więcej życia. Trzydziestosiedmioletni Cordell nie mógł wrócić do pracy w szwajcarskiej służbie zdrowia ani wykonywać tam jakiegokolwiek zajęcia, które pozwalałoby mu na bliski kontakt z dziećmi.

Cordell kierował skrzydłem Masona. Opiekował się swoim panem i karmił go. Dostawał za to dobrą pensję. Mason wiedział, że Cordell zrobi dla niego wszystko i można na nim całkowicie polegać. Kiedy Mason rozmawiał z małymi dziećmi, majordomus był świadkiem aktów okrucieństwa, które kogoś innego doprowadziłyby do wściekłości lub leż.

Teraz Cordella obchodziło tylko jedno: pieniądze.

Jak zwykle zapukał dwa razy i wszedł do pokoju Masona. Ciemność wewnątrz rozjaśniało tylko światło padające z akwarium. Murena dostrzegła Cordella i pełna nadziei opuściła swoją kryjówkę.

- Panie Verger?

Masonowi wystarczyła chwila, żeby się obudzić.

- Muszę pana o czymś zawiadomić. W tym tygodniu powinienem w Baltimore dokonać wypłaty osobie, o której już rozmawialiśmy. Nie jest to bardzo pilna sprawa, ale dobrze byłoby ją załatwić. Ten mały Murzyn Franklin zjadł trutkę na szczury. Teraz leży w szpitalu w stanie krytycznym. Powiedział swojej przybranej matce, że namówił go pan do otrucia kota, aby ocalić zwierzątko przed torturami z rak policjantów. Chłopak oddał kota sąsiadowi, a sam zjadł trutkę.

- To absurd - skomentował Mason. - Nie mam z tym nic wspólnego.

- Oczywiście, panie Verger.

- Kto się skarży? Kobieta, od której bierzesz dzieciaki?

- Nie, ale właśnie jej należy natychmiast wypłacić pieniądze.

- Cordell, nic nie zrobiłeś temu małemu bekartowi? Nie odkryli niczego w szpitalu? Wiesz, że i tak o wszystkim się dowiem.

- Nie, proszę pana. W pańskim domu? Nigdy, przysięgam. Nie jestem głupcem. Uwielbiam pracę u pana.

- Gdzie leży ten Franklin?

- W szpitalu Maryland-Misericordia. Jak wyjdzie, zostanie umieszczony w domu dziecka. Kobieta, u której mieszkał, została skreślona z listy opiekunów za palenie marihuany. Właśnie ona rozpowiada te bzdury. Chyba trzeba się nią zająć.

- Czarna cpunka, z taka nie będzie problemu.

- Nie zna nikogo, do kogo mogłaby się zwrócić ze skargą. Myślę, że trzeba jej to delikatnie

wyperswadowac. Pracownica opieki społecznej tez chce, zeby ta kobieta przestala klapac dziobem.

- Pomysle o tym. No dobrze, zaplac pracownicy opieki społecznej.

- Tysiac dolarow?

- Tylko daj jej do zrozumienia, ze wiecej juz nie dostanie.

Margot Verger lezala na sofie w pokoju Masona. Skore na policzkach miala sciagnieta od wyschnietych lez. Caly czas przysluchiwała sie rozmowie obu mezczyzn. Probowala przemowic Masonowi do rozumu, ale on usnal. Oczywiscie myslal, ze juz dawno wyszla z pokoju. Otworzyla usta, zeby oddychac jak najciszej. Usilowala skoordynowac swoj oddech z westchnieciai respiratora. Puls szarego swiatla w pokoju - to Cordell otworzyl drzwi i wyszedl. Margot lezala plasko na sofie. Odczekala prawie dwadziescia minut, az pompa przystosowala sie do sennego rytmu Masona, i dopiero wtedy opuscila pokoj. Murena zauwazyła jej wyjscie, Mason nie.

## ROZDZIAŁ 61

Margot Verger i Barney spedzali ze soba duzo czasu. Nie rozmawiali wiele, ale ogladali razem mecze pilkarskie druzyny *Simpsonow*, czasem koncerty w telewizji edukacyjnej. Sledzili tez kolejne odcinki serialu *Ja, Klaudiusz*. Jesli praca uniemozliwiala Barneyowi obejrzenie ktoregos odcinka, zamawiali kasete z wypożyczalni.

Margot lubila Barneya. Traktowal ja jak jednego ze swych kumpli. Nikt inny nie zachowywal sie wobec niej w podobny sposob. Barney byl bardzo bystry i mial w sobie cos nierealnego. To tez sie jej podobalo.

Margot otrzymala solidne wykształcenie humanistyczne, poznala tez podstawy informatyki. Opinie samouka Barneya wahaly sie od dziecinnych po wnikliwe. Ona mogla zapewnic mu odpowiedni kontekst. Wykształcenie Margot przypominalo szeroka, otwarta rownina, ktorej granice wyznaczal rozsadek. Lecz rownina ta spoczywala na podlozu jej mentalnosci, tak jak dawniej wierzone, ze plaska ziemia spoczywa na skorupie zolwia.

Margot Verger ukarala Barneya za zart o oddawaniu moczu na stojaco. Wierzyla, ze ma od niego silniejsze nogi i z czasem sie okazalo, ze to prawda. Udawala wysilek podczas przysiadow z niniejszym obciazeniem i w ten sposob sprowokowala Barneya do przyjecia zakladu. Przyjaciel przegral, a ona odzyskala sto dolarow. Wykorzystala fakt, ze jest od Barneya lzejsza i pokonala go rowniez w pompkach na jednej rece. A mogla polegac tylko na swoim prawym ramieniu - lewe bylo slabsze po urazie odniesionym w dzieciinstwie podczas bojkki z Masonem.

Czasem wieczorem, gdy Barney konczyl dyzur przy Masonie, cwiczyli razem w silowni. Asekurowali sie wzajemnie. Treningi byly intensywne i ciche, nie liczac glosnych sapan. Niekiedy mowili sobie tylko „dobranoc” i Margot po spakowaniu sie odchodzila do rodzinnego domu,

niedostępnego dla personelu.

Tego wieczora przyszła do czarno-chromowej sali gimnastycznej prosto z pokoju Masona ze łzami w oczach.

- Hej, hej - powiedział Barney. - Co się stało?

- Sprawy rodzinne. Nic mi nie jest - odparła Margot.

Trenowała jak szalona: zbyt duże obciążenia, zbyt wiele powtórzeń.

Raz Barney pomógł jej odstawić sztangę i pokreślił głową.

- Uwaga, naderwiesz sobie ścięgna - ostrzegł.

Margot wyciskała z siebie siódme poty na rowerze stacjonarnym, kiedy Barney skończył trening i stanął pod prysznicem. Czekał, aż z rur spłynie gorąca woda. We wspólnej łazni znajdowały się cztery prysznice oraz kilka dodatkowych sitek do oplukiwania brzucha i ud. Barney lubił puszczać wodę z dwóch sitek i obmywać swoje wielkie ciało podwójnym strumieniem.

Po chwili gęsta mgła spowija Barneya i zasłoniła wszystko oprócz wody lejącej mu się na głowę. Barney uwielbiał medytować pod prysznicem: obłoki pary. *Chmury*. Arystofanes. Wyjaśnienia doktora Lectera o jaszczurce, która obsikała Sokratesa. Pomyslał sobie, że zanim został ukształtowany pod niezmordowanym młotem logiki doktora Lectera, ludzie tacy jak Doemling mogli nim pomiatać.

Kiedy usłyszał, że ktoś puścił wodę z sąsiedniego prysznica, nie zainteresował się tym specjalnie. Nie przestawał się szorować. Z siłowni korzystali inni pracownicy, lecz głównie wczesnie rano lub późnym popołudniem. Jedną z zasad meskiej etykiety nakazywała, żeby nie zwracać uwagi na pozostałych kąpiących się we wspólnej łazni. Barney jednak był ciekaw, kto to taki. Miał nadzieję, że nie Cordell. Majordomus przyprawiał go o gęsia skórka. Rzadko się zdarzało, żeby ktoś jeszcze korzystał z prysznica o tak późnej porze. Kto to, u diabła, mógł być? Barney odwrócił się, żeby woda spłynęła mu po plecach. W obłokach pary części ciała przypominały fragmenty fresków wylaniające się spod warstw schodzącej farby. Tu potężne ramie, tam noga. Kształtna dłoń masuje masywny kark i szyję. Koronkowe paznokcie, to reka Margot. Pomalowane paznokcie u nóg. To stopy Margot.

Barney z powrotem podstawiał głowę pod pulsujący strumień i zrobił głęboki wdech. Postać obok niego obracała się, dokładnie szorowała skórę. Teraz zaczęła myć włosy. Płaski rzeźbiony brzuch Margot. Małe piersi sterczące na wielkich mięśniach, z sutkami wzniesionymi ku tryskającej wodzie. To pachwina Margot, a to z pewnością cipka Margot ozdobiona blond czuprynką ostrzyżoną na irokeza.

Barney zrobił bardzo głęboki wdech i nie wypuszczał powietrza... czuł, że powstaje pewien problem. Maksymalnie wycwiczone kobiece ciało lśniło jak grzbiet konia. Barney odwrócił się do Margot plecami, gdy jego zainteresowanie robiło się coraz bardziej wyraźne. Postara się ja

zignorowac.

Woda w sasiednim prysznicu przestala leciec. Ale uslyszal jej glos.

- Hej, Barney, jakie notowania ma druzyna Patriots?

- Wedlug... wedlug najnowszych doniesien wygraja mecz w Miami. -Spojrzal przez ramie.

Wycierala sie tuz poza zasiegiem strumienia prysznicza Barneya. Wlosy Margot przylegaly plasko do glowy. Jej twarz wygladala swiezo, po lzach nie zostalo ani sladu. Miala piekna skore.

- Postawisz na nich? - zapytala. - U Judy w pracy robia zaklady...

Barney nie zwracal uwagi na ciag dalszy. Wlosy lonowe Margot z kropelkami jak klejnoty, rozowa skora. Poczul goraco na twarzy i dostal poteznej erekcji. Byl zazenowany i zaniepokojony. Znow wstrzasnal nim zimny dreszcz paniki. Mezczyzni nigdy go nie pociagali. Margot mimo mocno rozbudowanych miesni z pewnoscia nie byla mezczyzna i bardzo mu sie podobala.

A w ogole, co to za cholerny pomysl, zeby przychodzic za nim pod prysznic?

Zakrecil wode i odwrocil sie do Margot. Bez zastanowienia przylozyl wielka dlon do jej policzka.

- Na milosc boska, Margot - wykrztusil z trudem. Spojrzala w dol.

- Cholera jasna, Barney. Przeszan...

Barney wyciagnal szyje i pochylil sie do przodu. Probowal delikatnie pocalowac kobiete gdzies w twarz, nie dotykajac ponetnego ciala wzwiedzionym czlonkiem. Bezskutecznie. Wyrwala mu sie, spojrzala na zwodzony most rozciagajacy sie miedzy nim a jej plaskim brzuchem. Odepchnela Barneya przedramieniem godnym gracza rugby. Mezczyzna klapnal ciezko na podloge lazni.

- Ty sukinsynu - syknela. - Moglam sie domyslic. Ciota! Wiesz, gdzie mozesz go sobie...

Barney podniosl sie i wyszedl z lazni. Mokry wskoczyl w ubranie i bez slowa opuscil silownie.

Mieszkanie Barneya znajdowalo sie w wolno stojacym budynku pokrytym lupkowa dachowka, w dawnej stajni zamienionej na garaze z mieszkaniami po obu stronach. Barney siedzial pozno w nocy przy laptopie. Byl czlonkiem internetowego kursu korespondencyjnego. Poczul, jak zadrzala podloga: ktos ciezki wchodzil po schodach.

Ciche pukanie do drzwi. Otworzyl i zobaczyl Margot opatulona w gruba bluze, i w sterczacej czapce z pomponem na glowie.

- Moge wejsc na chwilke?

Barney wbił wzrok w swoje stopy i po paru sekundach odsunął się od drzwi.

- Barney, posłuchaj, przepraszam... - zaczęła. - Chyba spanikowałam. To znaczy, najpierw się wyglupiałam, a później przestraszyłam. Cieszyłam się, że jesteś moim kumplem.

- Ja też.

- Myślałam, że możemy... No wiesz, po prostu się kolegować.

- Margot, daj spokój. Powiedziałem, że zostaniemy przyjaciółmi, ale przecież nie jestem cholernym eunuchem. Przyszłaś za mną pod prysznic. Spodobałaś mi się, nic na to nie poradzę. Wchodzisz goła pod prysznic, a ja widzę te dwie rzeczy, które na mnie tak działają.

- To znaczy mnie i moja piczke. Zdziwili się, że razem wybuchneli śmiechem.

Podeszła do niego i scisnęła tak mocno, że ktoś bardziej wrażliwy doznałby kontuzji.

- Słuchaj, gdyby podobali mi się faceci, wybrałabym ciebie. Ale to nie dla mnie. Naprawdę. Ani teraz, ani nigdy. Barney pokiwał głową.

- Wiem. Poniosło mnie. Stali przez jakiś czas objęci.

- Nadal jesteśmy kumplami? - zapytała. Zastanowił się przez chwilę.

- Tak. Ale musisz mi trochę pomóc. Oto moja propozycja: postaram się, choć nie przyjdzie mi to łatwo, zapomnieć, co widziałem pod prysznicem, a ty nigdy już mi tego nie pokaziesz. I zaslaniaj też cycki. Co ty na to?

- Potrafię być dobrym przyjacielem, Barney. Przyjdź jutro do domu. Judy i ja gotujemy.

- Dobrze, ale wątpię, czy gotujecie lepiej ode mnie.

- Przekonaj się - zaproponowała Margot.

## ROZDZIAŁ 62

Doktor Lecter obejrzał przy świetle butelki Château Petrus. Dzień wcześniej ustawił ją pionowo, żeby się przekonać, czy wino ma osad. Zerknął na zegarek i uznał, że najwyższa pora otworzyć trunk.

Ryzyko, jakie się z tym wiązało, było dla doktora Lectera zbyt duże. Nie chciał działać pochopnie. Pragnął delektować się kolorem wina w kryształowej karafce. A jeśli się okaże, że wyciągnął korek zbyt wcześnie i że wino nie ma boskiego tchnienia, które można utracić przy przelewaniu? Światło ujawniło obecność osadu.

Wyjal korek tak ostroznie, jakby trepanowal czaszke. Umiescil butelke w urzadzeniu z korbka, ktore pozwalalo bardzo precyzyjnie przechylac naczynia. Niech najpierw slone powietrze zrobi swoje.

Rozpalil ogien z kawalkow wegla drzewnego i zrobil sobie drinka. Lillet z plasterkiem pomaranczy i lodem. Zbadal *fond*, nad ktorym pracowal od kilku dni. Przyrzadzajac wywar, doktor Lecter posluzyl sie receptura z natchnieniem opisana przez Aleksandra Dumasa. Zaledwie trzy dni wczesniej, po powrocie z polowania, dodal do mikstury tlusta wrone z zoladkiem pelnym jagod jalowca. Male czarne piora plywaly na spokojnych wodach zatoki. Zatrzymal piora ze skrzydel, aby potem zrobic z nich plektrony do klawesynu.

Rozgniotl swieze jagody jalowca i zaczal podgrzewac szalotki na miedzianej patelni. Kawalek bawelnianego sznurka starannie zawiatal w mocny chirurgiczny wezel wokol swiezego *bouquet garni*, ktore polewal w garnku wywarem.

Ociekajaca poledwica, wyjeta z glinianego garnka, byla ciemna od marynaty. Doktor Lecter osuszyl mieso, podwinal cienszy koniec i podwiazal sznurkiem, zeby calosc miala te sama srednice.

Ogien rozpalil sie prawidlowo. Poledwica zasyczala na zelazie. Ogrod wypelnil sie blekitnym dymem. Zdawalo sie, ze smugi tancza przy plynacej z glosnikow muzyce. Doktor Lecter wlaczyl wzruszajaca kompozycje Henryka VIII *If True Love Reigned*.

Pozno w nocy, z ustami zaczerwienionymi od Chateau Petrus i malym krysztalowym kieliszkiem Chateau d'Yquem w kolorze miodu na stoliku, doktor Lecter gra Bacha. W jego myslach Starling biegnie wsrod lisci. Sploszone zwierzeta gnaja po zboczach wzgorza. Mijaja siedzacego nieruchomo doktora Lectera. Biegnie, biegnie... zaczal czesc druga *Wariacji Goldbergowskich*. Swiatlo drga na jego poruszajacych sie dloniach - udreka w muzyce, przeblysk zakrwawionego sniegu i brudnych zebow. Tym razem tylko przeblysk, ktory znika przy charakterystycznym, gluchym dzwieku; strzala z kuszy przeszywa czaszke. I znow pojawia sie malowniczy las, lekka muzyka i Starling rozswietlona porannym sloncem, jakby obsypana pylkami kwiatow. Znika mu z pola widzenia, a jej kucyk podskakuje jak ogon jelenia. Bez zadnych przerw dogrywa utwor do konca i zapada slodka cisza, przypominajaca bogactwem smak Chateau d'Yquem.

Doktor Lecter przystawia kieliszek do swiecy. Plomien iskrzy sie za szklem jak slonce na wodzie, a wino ma kolor zimowego slonca na skorze Clarice Starling. Wkrotce jej urodziny. Ciekawe, czy ocalala butelka Chateau d'Yquem z roku, w ktorym sie urodzila. Moze wypada przeslac prezent Clarice Starling. Za trzy dni ma dozyc wieku Chrystusowego.

## ROZDZIAI 63

W chwili gdy doktor Lecter podniosl kieliszek do swiecy, A. Benning, pochlonieta praca w laboratorium DNA, uniosla do swiatla ostatni zel. Spojrzala na linie elektroforetyczne z czerwonymi, niebieskimi i zoltymi plamkami. Analizie poddano komorki nablonkowe ze szczoteczki do zebow

sprowadzonej z Palazzo Capponi razem z włoskimi listami dyplomatycznymi.

- Hmm - zamruczala i wykrecila numer Starling w Quantico. Odebral Eric Pickford.

- Dzień dobry, jest Clarice Starling?

- Nie, dzis ja mam dyzur. Moge w czymś pomóc?

- Ma pan numer jej pagera?

- Wlasnie z nia rozmawiam na drugiej linii. Cos przekazac?

- Tak, dzwoni Benning z laboratorium DNA. Prosze jej powtorzyc, ze szczoteczka do zebow i rzesza ze strzaly naleza do tej samej osoby. Doktora Lectera. Niech Clarice do mnie zadzwoni.

- Prosze podac swoj numer. Zaraz wszystko przekaze. Dziekuje.

Ale Starling nie bylo na drugiej linii. Pickford zadzwonil do domu Paula Krendlera.

Starling nie oddzwonila, laborantka poczula sie troche rozczarowana. Poswiecila jej zleceniu mnostwo prywatnego czasu. Zanim Pickford zawiadomil Starling, Benning juz dawno wrocila do domu.

Mason dowiedzial sie o odkryciu godzinie przed Starling.

Odbyl krotka rozmowe z Paulem Krendlerem. Nie spieszyl sie, spokojnie czekal na kazdy oddech respiratora. Myslal bardzo trzezw.

- Pora wyeliminowac Starling, zanim popsuje nam szyki. Trzeba wystawic ja na przynete. Jest piątek, masz caly weekend. Zacznij dzialac, Krendler. Zawiadom makaroniarzy o ogłoszeniu. Starling nam przeszkadza. Czas, zeby odeszla. I jeszcze jedno, Krendler.

- Wolalbym, zebysmy tylko...

- Rob, co ci kaze. W nastepnej widokowce z Kajmanow pod znaczkiem znajdziesz zupełnie nowy numer konta.

- W porzadku, ja... - zaczal Krendler, ale nie dokonczyl. W sluchawce rozlegl sie sygnal.

Ta krotka rozmowa jak nigdy wyczerpala Masona. Zanim jednak zapadl w niespokojny sen, wezwal Cordella.

- Sprowadz swinie - rozkazal.



Przetransportowanie poldzikiej swini wbrew jej woli sprawia wiecej kłopotu niz porwanie czlowieka. Swinie trudniej chwycic, a te wielkie sa niezwykle silne. Nie mozna ich postraszyć bronią. Trzeba uważać na kły, żeby zachować brzuch i nogi w całości.

Podczas walki z człowiekiem lub niedźwiedziem swinie instynktownie rozpruwają przeciwnikom brzuchy. Zwykle nie atakują ścięgien podkolanowych, choć można je tego nauczyć.

Jeśli chce się utrzymać zwierzę przy życiu, nie wolno ogluszać go prądem. Serce swini często tego nie wytrzyma.

Carlo Deogracias, opiekun świń, miał anielską cierpliwość. W ramach eksperymentu podawał zwierzętom ten sam środek uspokajający, którym zamierzał poczęstować doktora Lectera. Teraz wiedział dokładnie, ile preparatu

potrzebuje, aby uspić stukilową dziką swinię, i jak go bezpiecznie dozować, żeby leżała spokojnie przez czterdzieści godzin.

Firma Vergerow zajmowała się importem i eksportem zwierząt na wielką skalę. Uczestniczyła także w eksperymentalnych programach hodowlanych pod patronatem Departamentu Rolnictwa. Bez przeszkód więc załatwiono wszelkie formalności związane z przyjęciem świń Masona. Zgodnie z wymogami do inspektoratu rolniczego w Riverdale w stanie Maryland przefaksowano formularz 17-129, a także odpowiednie papiery weterynaryjne z Sardynii. Uiszczono również opłatę w wysokości trzydziestu dziewięciu dolarów i pięćdziesięciu centów za pięćdziesiąt fiolek zamrożonego nasienia, które Carlo chciał sprowadzić.

Zezwolenia na przewóz świń i nasienia wrocili faksem razem z pisemnym zwolnieniem inwentarza ze zwyczajowej kwarantanny w Key West. Przesłano też potwierdzenie, że inspektor odprawi zwierzęta na międzynarodowym lotnisku Baltimore-Washington.

Carlo oraz jego pomocnicy, Piero i Tommaso Falcione, zmontowali klatki. Były to solidne konstrukcje z przesuwanymi drzwiami po obu stronach, wysypane piaskiem i odpowiednio wymoszczone. W ostatniej chwili przypomnieli sobie, żeby załadować też burdelowe lustro. Masona zachwycaly zdjęcia ukazujące rokokową oprawę wokół odbitych swińskich ryjów.

Carlo ostrożnie uspił szesnastu zwierząt: pięć knurów chowanych w tej samej zagrodzie i jedenastu lochów. Jedna była ciężarna, zadna w trakcie rui. Kiedy swinie pośnely, dokładnie je zbadał. Sprawdził palcami ostre zęby i koniuszki kłów. Trzymał w rękach potworne łby, zaglądał do małych szklistych oczek i nasłuchiwał, czy drogi oddechowe są w porządku. Potem spetal eleganckie raciczki. Na płachtach wciągnął cielska do klatek i zasunął dokładnie drzwi.

Ciezarowki, pojękując, pokonały trasę z gór Gennargentu do Cagliari. Na lotnisku czekał samolot linii lotniczych Count Fleet Airlines specjalizujących się w transporcie koni wścigowych. Zazwyczaj transportował amerykańskie konie na gonitwy do Dubaju. Teraz na pokładzie był jeden koń z Rzymu. Nie chciał ustać w miejscu, gdy poczuł zapach dzikich świń. Zaczął rzeć i kopać w boksie. Trzeba go było wyprowadzić z samolotu i zostawić w Cagliari. Później kosztowało to sporo

Masona, który musiał odstawić zwierze do właściciela i zapłacić odszkodowanie, żeby uniknąć procesu.

Carlo i jego pomocnicy lecieli razem z trzodą w kabynie ciśnieniowej. Co pół godziny nad wzburzonym morzem Carlo badał każdą świnie z osobna. Przykladał rękę do pokrytego szczecina boku i wyczuwał bicie serca.

Nie można było oczekiwać, że nawet szesnastu zdrowych i głodnych świn od razu skonsumuje doktora Lectera. Pozarcie pewnego reżysera zabrało bestiom cały dzień.

Mason zazyczył sobie, aby pierwszego dnia Lecter patrzył, jak zjadają mu stopy. Na noc doktor miał zostać podłączony do kroplówki i czekać na ciąg dalszy.

Mason obiecał Carlowi podczas tej przerwy godzinie na osobności z doktorem Lecterem.

Na drugie danie świnie w ciągu godziny miary wyzrec Lecterowi wnętrza i twarz. Kiedy już pierwsza grupa największych świn naje się do syta, dopuszczona zostanie druga tura. Ale wtedy najlepsza zabawa i tak już się skończy.

## ROZDZIAŁ 65

Barney nie był jeszcze w stodole. Wszedł bocznymi drzwiami pod rzedami ławek, które z trzech stron otaczały starą arenę. Pusta i cicha, nie licząc szemrania gołębi na krokwiach, arena wciąż wzbudzała dreszczyk emocji. Za stanowiskiem licytatora widac było otwartą stodolę. Za wielkimi podwójnymi drzwiami znajdowały się pomieszczenia: stajnia i magazyn ze sprzętem jezdzieckim.

Barney usłyszał jakieś głosy.

- Halo! -zawołał.

- Jestem w magazynie, Barney. Chodź tu - rozległ się głęboki głos Margot.

Magazyn był obwieszony uprzężami i siodłami w najrozwniejszych kształtach. Wnętrze sprawiało przyjemne wrażenie. W powietrzu unosił się zapach skóry i siana. Przez przybrudzone okna pod okapem wdierały się ciepłe promienie słońca. Na otwartym poddaszu był skład siana.

Margot zawieszala zgrzebla i uzdy. Jej włosy były jasniejsze od słomy, a oczy niebieskie jak stempel weterynaryjny na zbadanym miesie.

- Cześć - przywitał się z progu Barney. Wydawało mu się, że magazyn jest nieco teatralny, urządzony specjalnie dla goszczących tu dzieci. Wysokoscia i światłem wpadającym ukosnie do srodka przywodzil na mysl koscioł.

- Cześć, Barney. Bedziemy jesc za jakies dwadziescia minut. Z poddasza dobiegl głos Judy

Ingram.

- Barneeeey! Dzień dobry. Poczekaj, a zobaczysz, co przygotowaliśmy na obiad! Margot, chcesz jeść na świeżym powietrzu?

Co sobota Margot i Judy wyczyszczały gromadkę tłustych szetlandzkich kucyków, na których jeździły dzieci. Kobiety zawsze zabierały ze sobą prowiant.

- Może od południowej strony, w słońcu - zaproponowała Margot.

Przyjaciółki wydawały się nieco zbyt szczebiotliwe. Osoba ze szpitalnym doświadczeniem Barneya wiedziała, że przesadna szczebiotliwość nie wroży nic dobrego.

Na ścianie magazynu, nieco ponad poziomem głowy, wisiała konńska czaszka z uszami i okularami, zdobiona wycięgowymi barwami Vergerów.

- To Fleet Shadow. Wygrał wyścig w Lodgepole w pięćdziesiątym drugim. Jedyne zwycięzca z ojcowskiej stajni - wyjaśniła Margot. - Był zbyt tani, żeby go wypychać. - Spojrzała na czaszkę. - Co za uderzające podobieństwo do Masona, prawda?

W kacie stał piec z miechami. Panował chłód, więc Margot rozpałała niewielki ogień. Nad paleniskiem grzał się garnek z czymś, co pachniało jak zupa.

Na stole leżał komplet narzędzi kowalskich. Wzięła do ręki młotek z krótką rączką i ciężką główką. Potężnie zbudowana Margot z powodzeniem mogła być kowalem o dziwnie sterczących mięśniach klatki piersiowej.

- Rzuć mi koce - zawołała Judy.

Margot podniosła stertę świeżo upranych derek i jednym hakowanym ruchem potężnego ramienia posłała je na poddasze.

- Dobra, teraz umyję ręce i przyniosę jedzenie z jeeпа. Za kwadrans zaczynamy - powiedziała Judy, schodząc po drabinie.

Barney czuł na sobie uważne spojrzenie Margot; nawet nie śmiał sprawdzić, jak wygląda tyłek Judy. Usiedli na przykrytych kocami belach siana.

- Spóźniłeś się. Kucyki odjechały do stajni w Lester - oznajmiła Margot.

- Słyszałem rano ciężarówkę. Co się stało?

- Polecenie Masona. - Zapadła cisza. Milczenie zawsze przychodziło im z łatwością. Tym razem było inaczej. - Słuchaj, Barney. Właśnie nadeszła chwila, kiedy nie można już rozmawiać, trzeba działać.

- Jak w miłości - uznał Barney. Jego niefortunna uwaga zawisła w powietrzu.

- W miłości - powtórzyła w zamysleniu Margot. - Mam dla ciebie coś dużo lepszego. Wiesz, o czym mowa.

- Mniej więcej - odparł Barney.

- Ale gdybys się wycofał, a to i tak by się stało, wiesz, że nie możesz mnie wydać? - Uderzyła młotkiem w otwartą dłoń. Być może nieswiadomie. Wpatrywała się w przyjaciela niebieskimi oczami rzeźnika.

Barney przetrwał w życiu dlatego, że potrafił czytać z twarzy. Był pewien, że Margot mówiła prawdę.

- Oczywiście.

- Tak samo, gdybys się zdecydował współpracować. Będę bardzo hojna, ale tylko raz. Musi ci wystarczyć. Wiesz, jaka suma mam na myśli?

- Margot, na moim dyżurze nic się nie stanie. Nie wtedy, gdy biorę pieniądze za opiekę nad Masonem.

- Dlaczego?

Barney wzruszył potężnymi ramionami.

- Umowa jest umowa.

- Ja ci proponuję prawdziwy interes - powiedziała Margot. - Pięć milionów dolarów, Barney. Tyle samo ma dostać Krendler za oszukanie FBI.

- Mówimy o zdobyciu nasienia Masona, które pozwoli zapłodnić Judy.

- Ale to nie wszystko, Barney. Jeśli pobierzesz od niego spermę, i zostawisz go przy życiu, będzie na ciebie polował. Nie uciekniesz daleko. Pośle cię do tych pieprzonych świni.

- Dokąd mnie posle?

- O co chodzi, Barney? „Semper Fi”\*, jak masz wytatuowane na ramieniu?

- Kiedy wzięłem pieniądze, obiecałem, że będę się nim opiekował. Pracuję dla niego i nie zrobię mu żadnej krzywdy.

- Przecież tylko pobierzesz nasienie. Ja nie mogę tam go dotknąć. Nigdy więcej. Pewnie będziesz musiał mi pomóc unieszkodliwić Cordella.

- Jeśli zabijesz Masona, dostaniesz za ledwie jedną porcję - powiedział Barney.

- Pięć centymetrów szesciennych, nawet przy malej liczbie plemników, wystarczy na pięć prób

zapłodnienia, na przykład *in vitro*. Rodzina Judy jest bardzo płodna.

- Myślałaś o przekupieniu Cordella?

- Nie. Nigdy nie dotrzymałby umowy. Jego słowo jest nic niewarte. Wcześniej czy później wydalby mnie. Muszę się go pozbyć.

- Wszystko dokładnie przemyślałaś.

- Tak, Barney. Musiałbys pilnować stanowiska dla pielęgniarki. Ja wkładam rękę pod osłonę respiratora i unieruchamiam klatkę piersiową Masona. Monitor będzie pokazywał, że respirator nadal pracuje. Zanim urządzenie wykaze zmianę rytmu serca i ciśnienia, wbiegasz do pokoju. Mason jest nieprzytomny, możesz go próbować cucić. Tyle tylko, że nie zwracasz na mnie uwagi. Ja cały czas uciskam klatkę piersiową, aż Mason wyzionie ducha. Asystowałam przy wielu sekcjach zwłok, Barney. Co sprawdzają przy podejrzeniu o uduszenie?

- Czy jest krwotok pod powiekami.

- Mason nie ma powiek.

Dobrze się przygotowała. Była przyzwyczajona do zdobywania wszystkiego i wszystkich za pieniądze.

Barney spojrzał jej w twarz, lecz kątem oka obserwował trzymany przez nią młotek.

- Nie, Margot.

- Gdybys mógł mnie przelecieć, zrobiłbys to?

- Nie.

- A gdybym ja cie przeleciała?

- Nie.

- Gdybys tu nie pracował, nie miał żadnych obowiązków wobec niego?

- Prawdopodobnie nie.

- Względem etycznych czy może tchórz cie obleciał?

- Nie wiem.

- No to się przekonajmy. Jesteś zwolniony. Kiwnął głową niezbyt zaskoczony.

- Barney, tylko... - Podniosła palec do ust. - Ciii. Daj mi słowo. Nie muszę chyba wspominać, że mogę cie udupić? Wiem o twoim wyroku w Kalifornii.

- Mozesz byc spokojna - odparl Barney. - Za to ja mam zmartwienie. Ciekawe, jak Mason rozstaje sie z pracownikami. Moze po prostu znikaja.

- Nie martw sie stary. Powiem Masonowi, ze zachorowales na zapalenie watroby. Nie wiesz duzo o tym, co knuje. Tyle tylko, ze chce pomoc policji. Mamy cie w garosci, wiec pozwoli ci odejsc.

Barney zastanawial sie, kto doktorowi Lecterowi wydal sie bardziej interesujacy podczas terapii - Mason Verger czyjego siostra.

## ROZDZIAI 66

W nocy pod stodola na Muskrat Farm zatrzymala sie dluga srebrna ciezarowka. Spoznili sie i byli w zlych humorach.

Na miedzynarodowym lotnisku Baltimore-Waszyngton poczatkowo wszystko szlo bardzo sprawnie. Przedstawiciel z Departamentu Rolnictwa podstemplowal zgode na ekspedycje szesnastu zwierzat. Inspektor wiedzial bardzo wiele o swiniach, ale takich okazow jeszcze nie widzial.

Carlo Deogracias zajrzal do ciezarowki. Pojazd byl przeznaczony do transportu inwentarza. Wewnatrz panowal smrod. W szczelinach pozostaly slady po pasazerach. Carlo nie pozwolil na wyladunek swin. Samolot czekal, a tymczasem Carlo i Piero Falcione znalezi inny samochod, bardziej przystosowany do przewozu klatek. Poszukali myjni i wyczyscili ladownie.

Przy glownej bramie Muskrat Farm czekala ich ostatnia przykra niespodzianka. Straznik sprawdzil tonaz i nie pozwolil im wjechac: ozdobny most mial ograniczona nosnosc. Skierowal ich na droge okrezna przez las. Galezie zaczepialy o wysoki dach, gdy ciezarowka pokonywala ostatnie trzy kilometry.

Carlowi podobala sie wielka czysta stodola na Muskrat Farm. Przypadl mu tez do gustu maly podnosnik, ktory delikatnie przeniosl klatki do boksow dla kucykow.

Kierowca ciezarowki wyciagnal widelki do porazania bydla pradem. Dla zartu zaproponowal, zeby polaskotac jedna ze swin. Chcial sie przekonac, jak gleboko jest uspiona. Carlo wyrwal mezczyznie narzedzie i tak go nastraszył, ze kierowca bal sie poprosic o zwrot swojej wlasnosci.

Carlo chcial, aby zwierzeta doszly do siebie w polmroku i nie zamierzal wypuszczac ich z klatek, dopoki nie odzyskaja formy. Obawial sie, ze swinie, ktore pierwsze sie obudza, skonsumuja jakiegos spiacego marudera. Kazda lezaca postac zwracala ich uwage.

Piero i Tommaso musieli zachowywac zdwojona ostroznosc, odkad stado zjadlo rezysera, a pozniej zamrozonego kamerzyste. Nie mogli przebywac w zagrodzie lub na pastwisku razem ze swiniami. Zwierzeta nie zachowywaly sie groznie, nie zgrzytaly zębami jak dzikie swinie. Po prostu obserwowaly swoje ofiary ze straszliwym skupieniem i przysuwaly sie blisko, zeby zaatakowac.

Carlo, rownie skoncentrowany na zadaniu, nie spoczal, dopoki nie obszedl z latarka calego ogrodzonego pastwiska sasiadujacego z wielkim lasem.

Scyzorykiem rozkopal ziemie, zbadal podloze pod drzewami i znalazl zoledzie. Kiedy wjezdza, uslyszal sojke i wtedy pomyslal, ze musza tu byc zoledzie. Na ogrodzonym polu roslo niewiele debow. Nie chcial, zeby swinie znajdowaly pozywienie w ziemi, jak ich lesne kuzynki.

Mason wybudowal przy stodole mocna barriere z taka sama furtka, jaka Carlo mial u siebie na Sardynii.

Za bezpiecznego ogrodzenia Carlo spokojnie karmil swinie. Przerzucal im ubrania wypchane kurczakami, baranina i warzywami.

Swinie nie byly oswojone, ale nie baly sie ludzi i halasu. Nawet Carlo nie mogli wejsc do zagrody. Swinia, w odroznieniu od wielu innych zwierzat, ma iskry inteligencji i jest niesamowicie zaradna. Szczeciniaste bestie nie traktowaly ludzi wrogo, po prostu lubily ich zjadac. Poruszaly sie lekko jak byki Miura i potrafily wykonywac nagle zwroty jak owczarki. Krazyly wokol opiekunow ze zlowroga premedytacja. Piero ledwo uszedl z zyciem, gdy probowal odzyskac koszule, ktora chcieli ponownie wykorzystac.

Nigdy nie bylo takich swin: wiekszych od europejskiego dzika i rownie dzikich. Carlo czul, ze je stworzyl. Wiedzial, ze dzieki nim zniszczy zlo i zasluzy sobie na zycie wieczne.

Zanim wybila polnoc, w stodole wszyscy spali. Carlo, Piero i Tommaso zasneli na poddaszu nad magazynem. Swinie chrapaly w klatkach. Zgrabne male raciczki zaczely wierzgac we snie. Ktores zwierzecie poruszilo sie na czystych plachtach. Czaszka wycigowego konia, lekko oswietlona ogniem z pieca, spogladala z gory pustymi oczodolami.

## **ROZDZIAI 67**

Atak na agentke FBI z wykorzystaniem falszywych dowodow Masona byl dla Krendlera ryzykownym przedsiwzieciem. Czul, ze troche brakuje mu tchu. Zostalby rozdeptany jak mrowka, gdyby go przylapal prokurator generalny.

Krendler przejal sie sprawa Clarice Starling jedynie w obawie o wlasna glowe. Co innego, gdyby chodzilo o kariere mezczyzny. Faceci maja rodziny na utrzymaniu. Krendler wiedzial cos na ten temat.

Starling musiala odejsc. Gdyby ja zostawili w spokoju, doszlaby po nitce do klebka. Dzieki swej kobiecej drobiazgowosci i pedantycznosci, odnalazlaby Hannibala Lectera. Gdyby tak sie stalo, Mason Verger pokazalby Krendlerowi fige z makiem.

Im szybciej zostanie odsunieta od sprawy i wystawiona na przynete, tym lepiej.

W drodze na szczyt Krendler już wcześniej rujnował ludziom kariery. Najpierw jako aktywny politycznie prokurator stanowy i później w Departamencie Sprawiedliwości. Wiedział z doświadczenia, że kobiecie łatwiej zniszczyć. Jeśli kobieta awansuje, zawsze można zasugerować, że osiągnęła to w pozycji leżącej.

Taka etykieta nie przygłębłaby do Clarice Starling, pomyślał. Właściwie nie znalazł osoby, która bardziej przydałoby się posunąć gdzieś przy drodze. Czasem myślał o tym brutalnym akcie, kiedy krecił palcem w nosie.

Krendler nie potrafił wyjaśnić swojej niechęci do Starling. Tkwiła w nim bardzo głęboko. Miejsce z pokrowcami na siedzeniach, sufitowym światłem, klamkami i szparami w oknie. Dziewczyna podobna do Starling, lecz bez jej rozumu, ze spodniami opuszczonymi do kostek, pyta go, co się z nim dzieje. Dlaczego tego nie robi, może jest jakimś pedalem? Jakimś pedalem?

Uważał Starling za zółcę, ale jej dokonania czarno na białym prezentowały się dużo lepiej, niż mógł na to wskazywać przebieg jej nieudanej kariery. Starling na szczęście rzadko otrzymywała nagrody. Krendler przez lata psuł jej opinie. W ten sposób udawało mu się blokować najbardziej atrakcyjne zlecenia, które powinna otrzymywać. Niezależność i cięty język Starling tylko ułatwiał zadanie.

Mason nie chciał czekać na rozstrzygnięcia w sprawie strzelaniny przy targu rybnym. Zresztą nie było pewności, czy śledztwo zaszkodzi Starling. Śmierć Evely Drumgo i pozostałych osób była bez wątpienia efektem złej organizacji całej akcji. Starling cudem udało się uratować tego bekartha. Jeszcze jedna gęba do wyzywiania. Krendler z łatwością mógł wrócić do tamtych feralnych wydarzeń, ale nie miał gwarancji, że ucierpi na tym kariera Starling.

Wpadł na lepszy pomysł. Starling mogła szybko wylecieć z FBI - w tak sprzyjającym okresie.

W Waszyngtonie pewna zasada sprawdzała się częściej niż twierdzenie Pitagorasa: jedno głośne pierdnięcie wiadomego pochodzenia zagłuszy liczne pomniejsze emisje, pod warunkiem, że wszystko nastąpi mniej więcej równocześnie.

*Impeachment* na tyle absorbował Departament Sprawiedliwości, że Krendler mógł niepostrzeżenie zająć się Starling.

Mason chciał, aby sprawę Starling zrelacjonowano w gazetach, żeby przeczytał o niej doktor Lecter. Lecz Krendler musiał sprawić, aby doniesienia

prasowe wydawały się przypadkowe. Na szczęście zbliżała się wysmienita okazja: urodziny FBI.

Krendler zachował spokojne sumienie i wciąż uzyskiwał od niego rozgrzeszenie.

Teraz też znalazł w nim pociechę: jeśli Starling straci pracę, w najgorszym razie to cholerne lesbijskie gniazdo, w którym mieszka, będzie musiało się obyć bez telewizji satelitarnej. W najgorszym przypadku przesunie niewygodny balast na drugą burzę, więc nikomu już nie będzie



zagrazal.

Wtedy lodz przestanie sie kolysac, pomyslal z zadowoleniem, jak gdyby te dwie morskie metafory tworzyly logiczne rownanie. To, ze rozkolysana lodz ciagle przesuwa obciazenie, w ogole mu nie przeszkadzalo.

Krendler fantazjowal tak czesto, na ile pozwalala mu jego wyobraznia. Teraz widzial w myslach stara, kustykajaca Starling. Kształtne nogi sa spuchniete i pokryte niebieskimi zylkami. Nosi brudna posciel z gory na dol po schodach i odwraca glowe od plam na przescieradle. Zarabia na zycie w hoteliku prowadzonym przez pare stetryczalych wlochatyh lesbijek.

Wyobrazal sobie, co jej powie nastepnym razem. Dobrze pamietal swoj ostatni triumf. Nazwal ja „czerstwa wiejska dziewczyna”.

Uzbrojony we wnikliwe uwagi doktora Doemlinga, chcial stanac tuz przy Starling, kiedy juz odbiora jej bron, i powiedziec, nie poruszajac ustami: „Za stara jestes, zeby ciagle pieprzyc sie ze swoim tatusiem, nawet jak na biala szmate z Poludnia”. Powtorzyl zdanie w myslach. Moze zapisze sobie te slowa w notesie.

Krendler mial odpowiednie instrumenty, czas i trucizne, zeby zniszczyc kariere Starling. Gdy zabral sie do dzieła, w sukurs przyszła mu odrobina szczescia i wloska poczta.

## **ROZDZIAŁ 68**

Cmentarz Battle Creek pod Hubbard wyglada w grudniu jak niewielka blizna na zoltej skorze srodkowego Teksasu. Zawsze tam gwizdze wiatr. Nigdy nie przestanie.

Plaskie plyty nagrobkowe w nowej czesci cmentarza sa wpuszczone w ziemie. To ulatwia strzyzenie trawy. Nad grobem dziewczynki, ktora obchodzilaby dzisiaz urodziny, tanczy srebrny balon w ksztalcie serca. W starszej czesci cmentarza strzyga trawe wzdluz alejek i miedzy grobami, jesli zdolaja tam wjechac kosiarki. Z ziemia mieszaja sie kawalki wstazek i lodygi zwiedlych roslin. Na samym koncu cmentarza jest sverta kompostowa, gdzie trafiaja stare kwiaty. Miedzy tanczacym srebrnym balonem a stosem odpadow terkocze koparka. Za sterami siedzi mlody Murzyn. Drugi stoi obok i usiluje zapalic papierosa. Oslania przed wiatrem zapalke...

- Panie Closter, chcialem, zeby przekonal sie pan na wlasne oczy, na co sie natkniemy. Jestem pewien, ze odradzi pan bliskim, zeby cokolwiek ogladali oznajmil Greenlea, dyrektor Domu Pogrzebowego Hubbard. - Znow musze panu pogratulowac doskonałego wyboru. Trumna bedzie prezentowac sie bardzo okazale. I to powinno im wystarczyc. Z przyjemnoscia udziale panu rabatu. Moj ojciec, swiec Panie nad jego dusza, spoczywa w identycznej.

Ruchem glowy dal znac operatorowi koparki. Kleszcze maszyny wgrzly sie w porosniety chwastami, zapadniety grob.

- Jest pan pewien co do płyty nagrobkowej, panie Closter?

- Tak - odparł doktor Lecter. - Dzieci zamówiły wspólną płytę dla matki i ojca.

Stali w milczeniu. Tylko nogawki spodni łopotwały na wietrze. Maszyna przestała kopać na głębokości metra.

- Odtąd lepiej wziąć się za łopaty - powiedział Greenlea. Dwaj pracownicy zeskoczyli do dołu i zabrali się do roboty. Wprawnymi ruchami wyrzucali ziemię.

- Ostrożnie - ostrzegł dyrektor domu pogrzebowego. - To nie była porządna trumna. Nie taka, jaką dostanie teraz.

Tania trumna ze sklejki rzeczywiście zapadła się na swojego właściciela. Greenlea polecił pracownikom, żeby odkopali trumnę i wsuneli pod nią płotno. Ładunek podniesiono na noszach i przetransportowano do ciężarówki.

Na stole w garażu Domu Pogrzebowego Hubbard usunięto kawałki zmurszałego wieka, spod którego wyłonił się spory szkielet.

Doktor Lecter szybko zlustrował szczątki. Kula wyszczerbiła krótkie zębro nad wątrobą. Wysoko na czole z lewej strony znajdowało się wgniecenie i dziura po kolejnej kuli. Omszała, zabrudzona i tylko częściowo widoczna czaszka miała wydatne kości policzkowe, które już kiedyś widział.

- Ziemia nie zostawia wiele - skomentował Greenlea.

Kości były pokryte zbutwiałymi strzepami spodni i kowbojskiej koszuli. Guziki z masy perłowej przeleciały przez zębra. Na klatce piersiowej spoczywał kowbojski kapelusz z obszarpanym w jednym miejscu rondem i dziurą w denku.

- Znal pan zmarłego? - zapytał doktor Lecter.

- Nasza firma wykupiła ten zakład i przejęła cmentarz w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym dziewiątym roku - odpowiedział dyrektor. - Teraz mieszkam w pobliżu, ale siedziba naszej firmy znajduje się w St. Louis. Chce pan zachować ubranie? Mogłbym sprzedać garnitur, ale nie sadzę...

- Nie - uciał doktor Lecter. - Proszę oczyścić kości i zostawić tylko kapelusz, sprzeczki, buty. Proszę zebrać do torebek kości krótkie rak i stopa, a potem owinąć je w najlepszy jedwabny całun razem z czaszką i kośćmi długimi. Nie trzeba ich układać, tylko żeby niczego nie zabrakło. Czy stara płyta nagrobkowa zrekompensuje panu koszty zamknięcia grobu?

- Tak, proszę podpisać tutaj. Dam panu kopie pozostałych dokumentów. - Greenlea był ogromnie zadowolony ze sprzedaży trumny. Każdy pracownik domu pogrzebowego po prostu przewiozłby kości w kartonowym pudełku i sprzedał rodzinie nową trumnę.

Dokumenty ekshumacyjne przedstawione przez doktora Lectera były całkowicie zgodne z

obowiązującymi przepisami. Doktor nie miał co do tego żadnych wątpliwości. Sam sprokurował formularze na podstawie wzorów ściągniętych z Internetu.

Dwaj pracownicy, zadowoleni, że wypożyczona ciężarówka doktora Lectera ma opuszczaną klapy z tyłu, wtoczyli trumnę do środka i przywiązali ją do wózka. W samochodzie znajdował się jeszcze jeden przedmiot: wisząca drewniana szafka.

- Świetny pomysł, żeby urządzić sobie garderobe w aucie. Przynajmniej nie pogniecie się panu stroj zalobny - stwierdził Greenlea.

W Dallas doktor wyjął z szafy futerał po waltorni i włożył do niego jedwabne zawiniatko z kości. Czaszka wtulona w kapelusz z łatwością zmieściła się w dolnej części futerału.

Lecter wypchnął trumnę przez tylną klapy na cmentarzu Fish Trap, oddał wypożyczoną ciężarówkę na lotnisku Dallas-Fort Worth i wysłał stamtąd futerał po waltorni prosto do Filadelfii.

# CZesc IV ZNACZACE DATY W KALENDARZY GROZY

## ROZDZIAI 69

W poniedzialek Clarice Starling musiala sprawdzic weekendowe raporty sprzedazy egzotycznych artykulow spozywczych. Sprowadzila tez informatyka z Sekcji Technicznej, zeby naprawil usterke w jej komputerze. Mocno ograniczyla liste dystrybutorow: pieciu winiarzy, trzy najbardziej oryginalne gatunki win, dwoch dostawcow amerykanskiego *foie gras* i piec luksusowych delikatesow... Mimo wszystko liczba zakupow byla nadal zastraszajaco dluga. Pojedyncze zgloszenia ze sklepow monopolowych, przekazywane pod specjalny policyjny numer, trzeba bylo wprowadzac do komputera recznie.

Starling zalozyla, ze morderca klusownika z Wirginii byl doktor Lecter. Skrocila wiec spis do zakupow ze Wschodniego Wybrzeza, z wyjatkiem *foie gras* z Sonomy. Firma Fauchon z Paryza nie zgodzila sie na wspolprace, a z kierownikiem z delikatesow „Vera dal 1926” we Florencji Starling w ogole nie potrafila sie porozumiec. Wyslala wiec faks do wloskiej policji z prosba o pomoc, na wypadek gdyby doktor Lecter zamowil biale trufle.

Na koniec pracowitego dnia, w poniedzialek siedemnastego grudnia, zostalo jej dwanasie mozliwosci do zbadania. Byly to kompilacje zakupow na karte kredytowa. Jeden klient zaplacial ta sama karta American Express za skrzynke Petrusa i jaguara.

Ktos inny zlozyl zamowienie na skrzynke wina Batard-Montrachet i skrzynke zielonych ostryg z Gironde.

Clarice zawiadomila lokalne biura FBI, zeby zbadaly kazda z mozliwosci.

Starling i Eric Pickford pracowali na rozne zmiany, tak zeby w biurze ktos byl w godzinach otwarcia sklepow.

Pickford juz czwarty dzien pracowal przy sprawie Lectera. Wieksza czesc czasu spedzil na wpisywaniu numerow do pamieci nowego telefonu. Nie oznaczyl jednak przyciskow.

Kiedy wyszedl na kawe, Starling nacisnela pierwszy guzik na jego telefonie. Po drugiej stronie uslyszala glos samego Paula Krendlera.

Przerwala polaczenie i przez chwile siedziala nieruchomo. Czas do domu. Zaczela powoli obracac sie na krzesle. Przygladala sie wszystkim przedmiotom zgromadzonym w DOMU HANNIBALA. Zdjecia rentgenowskie, ksiazki, zastawa stolowa dla jednej osoby. Przeszla przez zaslony dzielace dwa pomieszczenia.

Biuro Crawforda bylo otwarte i puste. W rogu na wieszaku wisial sweter, ktory zrobila na drutach jego zmarla zona. Starling wyciagnela reke, ale nie dotknela swetra. Zarzucila kurtke na ramie i rozpoczela dlugi spacer do samochodu.

Juz nigdy nie zobaczy Quantico.

## ROZDZIAI 70

Wieczorem siedemnastego grudnia w mieszkaniu Clarice Starling zadzwieczal dzwonek. Za zaparkowanym na podjezdzie mustangiem dostrzegla radiowoz.

Okazalo sie, ze to Bobby, policjant, ktory odwiozl ja ze szpitala do domu po incydencie z EVELDA DRUMGO.

- Czcsc, Starling.

- Czcsc, Bobby. Wejdz.

- Chcialbym, ale najpierw obowiazek. Mam dla ciebie wezwanie.

- No i co z tego, do diabla. Dasz mi je w domu, tam jest cieplej - powiedziala Starling. Poczula, ze cialo jej dretwieje.

Bobby przyniosl nakaz od inspektora generalnego Departamentu Sprawiedliwosci. Musiala stawic sie na przesluchanie nazajutrz, osiemnastego grudnia, o godzinie dziewiatej rano w budynku imienia J. Edgara Hoovera.

- Podwiezc cie jutro? - zapytal policjant. Pokrecila glowa.

- Dzięki, Booby, weźmę swój samochód. Chcesz kawy?

- Nie, dziękuję. Przykro mi, Starling. - Najwyraźniej chciał już sobie pojsc. Zapadło niezreczne milczenie. - Ucho wygląda niezłe - stwierdził na koniec.

Pomachała mu, kiedy wycofywał samochód z podjazdu.

Kazano jej się po prostu stawic. Nie podano żadnego powodu.

Ardelia Mapp, weteranka biurowych wojen i ciern w boku koterii meskich szowinistow, natychmiast zaparzyła najmocniejsza herbatke ziolowa swojej babki, znana z dobroczynnego wplywu na sprawnosć umyslu. Starling nie cierpiala tego naparu, ale nie mogla się wymigac.

Mapp popukala palcem w list.

- Inspektor generalny nie musi ci nic wyjasniac - oznajmila miedzy lykami ziolek. - Gdyby nasz Urzad do spraw Odpowiedzialnosci Zawodowej mial jakies zarzuty przeciw tobie albo UOZ z Departamentu Sprawiedliwosci, dostalabys zarzuty na pismie. Gdyby byla to sprawa kryminalna, mialabys prawnika, pelna jasnosć co do oskarzen, wszystko, co przysluguje kazdemu przestepcy, mam racje?

- Jak cholera.

- A tutaj nic z gory nie wiadomo. Inspektor generalny jest polityczny, moze przejac kazda sprawe.

-Przejal moja.

- Tyle ze nasral ci Krendler. Tak czy inaczej, jesli uznasz, ze jestes dyskryminowana, mam wszystkie potrzebne telefony i kontakty. A teraz posluchaj uwaznie, Starling. Musisz im powiedziec, ze chcesz nagrywac. Inspektor generalny nie uzywa podpisanych zeznan. Lonnie Gains wpadla przez to w niezle tarapaty. Zeznania, ktore przechowuja, czasem zmieniaja tresc. Nigdy nie dostajesz kopii.

Starling zadzwonila do Jacka Crawforda. Telefon najwyraźniej wyrwal go ze snu.

- Nie wiem, co jest grane, Starling - powiedzial zaspanym glosem. - Sprobuj sie zorientowac. Jednego mozesz byc pewna, jutro przyjde.

## ROZDZIAI 71

Jest rano, opancerzona betonowa bryla Hoover Building strzela w zachmurzone, mleczone niebo.

Ze wzgledu na czeste zamachy bombowe glowne wejscie i dziedziniec sa zazwyczaj zamkniete, a budynek jest otoczony starymi pojazdami FBI, ktore tworza prowizoryczna barriere.

Policjanci z drogówki bezmyślnie codziennie wypisują mandaty, których pliki pnieją się pod wycieraczkami tych samochodów i sruwają z wiatrem na ulice.

Jakis włoczeża ogrzewający się przy studzińce kanalizacyjnej na chodniku zawołał Starling i podniósł rękę, gdy go mijala. Twarz miał z jednej strony pomarańczowa od betadyny. Pewnie niedawno wyszedł ze szpitala. Wyciągnął zniszczony styropianowy kubek. Starling zanurzyła rękę w torebce. Wyjęła dwa dolary i dała je włoczedze, pochylając się w stronę stęchłego powietrza i pary.

- Niech cię Bog prowadzi - podziękował.

- Oj tak - odparła Starling. - Bardzo tego potrzebuje. Zamówiła dużą kawę w „Au Bon Pain” na Dziesiątej ulicy przy Hoover Building: robiła to tyle razy przez te wszystkie lata. Potrzebowała kawy po

niespokojnym snem, ale bała się, że podczas przesłuchania zachce jej się siusiu. Postanowiła wypić pół kubka.

Przez okno zauważyła Crawforda. Dogoniła go na chodniku.

- Chce pan połowę kawy, panie Crawford? Weźmie drugi kubek.

- Bezkofeina?

- Nie.

- To dziękuję. Serce mi wyskoczy. - Wyglądał staro i szaro. Z koniuszka nosa zwisała mu przezroczysta kropla. Odsunęli się od strumienia przechodniów, który wpływał do bocznego wejścia siedziby FBI.

- Nie wiem, co to za przesłuchanie, Starling. Nie wezwano żadnego innego uczestnika incydentu na targu rybnym. Będzie ci towarzyszył. - Starling podała mu chusteczkę i wtopili się w tłum pracowników dziennej zmiany.

Zauważyła, że wszyscy wyglądają dziś szczególnie elegancko.

- Dziewiętnaste urodziny FBI. Przyjeżdża Bush - przypomniał jej Crawford

Na bocznej ulicy czekały cztery telewizyjne wozy transmisyjne.

Ekipa WFUL-TV ustawiła się z kamerą na chodniku. Filmowali młodego,

krotko ostrzyżonego mężczyznę, który mówił coś do ręcznego mikrofonu.

Usadowiony na dachu furgonetki asystent dostrzegł Starling i Crawforda.

- To ona, w granatowym płaszczu! - zawołał,

- Zaczynamy - powiedział mężczyzna z mikrofonem. - Krecimy. Ekipa ruszyła pod prąd, żeby zdobyć ujęcie twarzy Starling.

- Agentko Starling, prosimy o komentarz na temat śledztwa w sprawie masakry, w której zginęła Evelda Drumgo. Raport jest już gotowy? Czy oskarżono panią o spowodowanie śmierci pięciu... - Crawford zdjął kapelusz. Udając, że chroni oczy przed reflektorami, zdolał na chwilę zasłonić obiektyw kamery. Ekipe telewizyjną zatrzymała dopiero ochrona w drzwiach.

Ktos uprzedził te hieny.

Kiedy już przeszli przez kontrole, przystanęli w holu. Lekka mgła pokryła Starling i Crawforda małymi kropelkami. Crawford polknął na sucho tabletkę.

- Starling, pewnie wybrali dzisiejszy dzień ze względu na zamieszanie z *impeachmentem* i rocznica. Wiedza, że cokolwiek zrobią, rozplynie się w bałaganie.

- Po co więc sprowadzili dziennikarzy?

- Bo nie wszyscy z tego grona śpiewają tę samą piosenkę. Masz dziesięć minut, chcesz przypudrować nos?

## Rozdział 72

Starling rzadko bywała na siódmej, kierowniczej kondygnacji Hoover Building. Zabrano ją tam razem z pozostałymi członkami grupy siedem lat temu po promocji. Mieli obejrzyć, jak dyrektor składa gratulacje najlepszej studentce, Ardelii Mapp. A raz wicedyrektor wezwał Starling, żeby odebrała mistrzowski medal z zawodów strzeleckich.

Dywan w gabinecie wicedyrektora był grubszy, niż pamiętała. W klubowej atmosferze, wśród skorzanych foteli rozniósł się intensywny zapach papierosów. Starling miała wątpliwości, czy przed jej przyjściem wyrzucili niedopalki i przewietrzyli pokój.

Kiedy weszła do pokoju razem z Crawfordem, trzy osoby wstały, jedna nie ruszyła się z miejsca. Podniósł się dawny szef Starling, Clint Pearsall z waszyngtonskiego biura terenowego w Buzzard's Point, wicedyrektor Noonan z FBI i wysoki rudy mężczyzna w garniturze z surowego jedwabiu. Na miejscu pozostał Paul Krendler z biura inspektora generalnego. Odwrócił głowę na długiej szyi, jak gdyby wechem lokalizował agentkę. Kiedy zwrócił twarz w jej stronę, mogła podziwiać jego okrągłe uszy z obu stron głowy jednocześnie. W kacie pokoju stał nieznany jej funkcjonariusz policji federalnej. Dziwne.

Pracownicy FBI i Departamentu Sprawiedliwości zwykle prezentują się schludnie, ale zebrani mężczyźni specjalnie wystroili się dla telewizji. Starling zdała sobie sprawę, że później pewnie weźmie udział w uroczystościach na dole, uświetnionych obecnością byłego prezydenta Busha. W przeciwnym razie zostałaby wezwana do Departamentu Sprawiedliwości, a nie do Hoover Building.

Krendler skrzywił się na widok Jacka Crawforda u boku Starling.



- Panie Crawford, nie sadze, ze powinien pan brac udzial w przesluchaniu.

- Jako bezposredni przelozony agentki specjalnej Starling mam prawo byc tutaj.

- Jestem innego zdania - odparl Krendler i zwrocil sie do Noonana: - Oficjalnie jej szefem pozostaje Clint Pearsall. Do Crawforda zostala przydzielona tymczasowo. Mysle, ze agentke Starling nalezy przesluchac indywidualnie - oswiadczył. - Na wypadek gdybysmy potrzebowali dodatkowych informacji, szef sekcji, pan Crawford, moze poczekac, az go ewentualnie wezwiemy.

Noonan kiwnal glowa.

- Naturalnie twoja opinia, Jack, jest dla nas cenna. Najpierw jednak chcielibysmy wysluchac niezaleznego zeznania agentki specjalnej Starling. Prosze wiec, zjedz do czytelnii. Zobaczymy sie pozniej.

Crawford podniosl sie z miejsca.

- Dyrektorze Noonan, czy moge...

- Moze pan tylko wyjsc - przerwal mu Krendler. Noonan wstal.

- Zaraz, zaraz, panie Krendler. Na razie ja prowadze spotkanie. Jack, znamy sie tak dlugo. Ten pan z Departamentu Sprawiedliwosci zajmuje swoje stanowisko od niedawna i nie rozumie pewnych rzeczy. Damy ci sie

wypowiedziec, ale teraz zostaw nas samych i pozwol, zeby Starling mowila za siebie - poprosil. Pochylil sie do Krendlera i szepnal mu cos na ucho. Twarz zastepcy inspektora generalnego poczerwieniala. Crawford spojrzal na Starling. Nie mogli nic wskorac.

- Dziekuje, ze przyszedl pan ze mna - powiedziala.

Funkcjonariusz wyprowadzil Crawforda z pokoju.

Drzwi zamknely sie glosno. Starling wyprostowala sie i samotnie stawila czolo zebrany.

Od tej pory przesluchanie ciagnelo sie jak amputacja w osiemnastym wieku.

Noonan byl najwyzej postawionym przedstawicielem FBI, lecz podlegal inspektorowi generalnemu, ktory najwyrazniej przyslal Krendlera jako swojego pelnomocnika.

Noonan wzial do reki lezaca przed nim teczke.

- Prosze podac do protokolu imie i nazwisko.

- Agentka specjalna Clarice Starling. Przesluchanie jest protokolowane, dyrektorze Noonan? Cieszylabym sie, gdyby tak bylo. Nie odpowiedzial, wiec mowila dalej:

- Czy nie mają panowie nic przeciwko temu, żeby nagrywała? - Wyjęła z torebki mały magnetofon.

- Tego typu przesłuchanie wstępne zwykle odbywa się w biurze inspektora generalnego w Departamencie Sprawiedliwości - odezwał się Krendler. - Spotykamy się tutaj, ponieważ tak jest wszystkim wygodnie ze względu na dzisiejszą ceremonię. Obowiązują nas jednak przepisy Departamentu Sprawiedliwości. Sprawa ma pewien wydźwięk dyplomatyczny. Żadnych nagrań.

- Proszę wymienić zarzuty, panie Krendler - poprosił Noonan.

- Agentko Starling, została pani oskarżona o bezprawne ujawnienie poufnych informacji zbiegłemu przestępcy - wyrecytował z kamienną twarzą Krendler. - Konkretnie zarzuca się pani zamieszczenie ogłoszenia w dwóch włoskich gazetach. Tekst ostrzegł poszukiwanego Hannibala Lectera, że grozi mu niebezpieczeństwo.

Funkcjonariusz podał Starling kartkę z rozmazanym drukiem z „La Nazione”. Przysunęła ją do okna, żeby przeczytać zakreślony fragment:

„A.A. Aaron - Oddaj się w ręce miejscowej policji. Wrogowie są blisko. Hannah”.

- Co ma pani do powiedzenia?

- Nigdy tego nie widziałam.

- A jak wytłumaczy pani fakt, że w ogłoszeniu użyto hasła „Hannah” znanego tylko Hannibalowi Lecterowi i FBI?

- Nie wiem. Kto to znalazł?

- Pracownicy archiwum w Langley przypadkiem natknęli się na ogłoszenie. Tłumaczyli z „La Nazione” materiały dotyczące doktora Lectera.

- Skoro hasło jest tajemnicą strzeżoną przez FBI, jakim cudem archiwum w Langley zwróciło na nie uwagę? Archiwum podlega CIA. Zapytajmy, kto kazał im zainteresować się ogłoszeniem.

- Jestem pewien, że tłumacz znalazł sprawę.

- Az tak dobrze? Wątpię. Ponawiam prośbę: zapytajmy, z czyjego polecenia zainteresował się ogłoszeniem. Skąd miałam wiedzieć, że doktor Lecter przebywa we Florencji?

- To pani odkryła, że jakiś człowiek z florenckiej komendy policji zaglądał do pliku Lectera w bazie danych VICAP - odparł Krendler. - Dobral się do informacji na kilka dni przed śmiercią Pazziego. Nie wiemy, kiedy pani się zorientowała. Niby po co ktoś z Florencji pytałby o Lectera?

- Jaki miałabym powód, żeby go ostrzegać? Dyrektorze Noonan, dlaczego sprawa zajmuje się inspektor generalny? Jestem gotowa w każdej chwili poddać się testowi wariograficznemu.

- Włosi wniesli protest droga dyplomatyczna w sprawie próby ostrzeżenia znanego przestępcy w ich kraju - odparł Noonan. Wskazał na rudego mężczyznę. - To pan Montenegro z ambasady włoskiej.

- Dzień dobry panu. A Włosi, jak się dowiedzieli? - spytała Starling. - Przecież nie od CIA.

- Włosi oczekują od nas natychmiastowych działań - wtracił Krendler, zanim Montenegro zdążył otworzyć usta. - Chce wyjaśnić sprawę, aby zadośćuczynić włoskim władzom, sobie i inspektorowi generalnemu. I to bezzwłocznie. Będzie lepiej dla wszystkich, jeśli razem przyjrzymy się faktom. Jakie stosunki łączy pani i doktora Lectera, agentko Starling?

- Przesłuchiwałam doktora Lectera kilka razy z polecenia szefa sekcji, Crawforda. Od ucieczki Lectera, w ciągu siedmiu lat otrzymałam od niego dwa listy. Macie obydwa powiedziała Starling.

- Właściwie mamy coś jeszcze - oznajmił Krendler. - Dostaliśmy to wczoraj. - Siegnął za siebie i wyciągnął dość sfatygowaną tekturową paczkę z dużą ilością stempli pocztowych.

Krendler udął, że napawa się dochodzącymi ze środka zapachami. Wskazał palcem na nalepkę z adresem. Nawet nie raczył pokazać jej Starling.

- Przesyłkę nadano do pani domu w Arlington, agentko specjalna Starling. Panie Montenegro, mogłoby nam pan powiedzieć, co to za artykuły?

Włoski dyplomata przez chwilę grzebał w zapakowanych w bibule podarunkach, poblyskując spinkami do mankietów.

- Mamy tutaj toniki, *sapone di mandorle*, słynne mydło migdałowe z „Farmacia di Santa Maria Novella” we Florencji i perfumy. Takie prezenty dają sobie zakochani.

- Zostały przebadane pod kątem toksyn i środków drażniących. Zgadza się, Clint? - Noonan zwrócił się do byłego przełożonego Starling. Pearsall wydawał się zawstydzony.

- Tak - odpowiedział. - Są w porządku.

- Podarunki zakochanych. - Krendler wypowiedział te słowa z pewną satysfakcją. - A oto romantyczny liścik. - Wydobył z paczki pergamin i podniósł go do góry, ukazując gazetowe zdjęcie twarzy Starling w uskrzydłonej postaci lwicy. Odwrócił kartkę, żeby odczytać wiadomość od doktora Lectera skreślona jego kaligraficznym piśmem: „Czy zastanawiałaś się kiedyś, Clarice, dlaczego Filistyni cienie rozumieją? Ponieważ jesteś odpowiedzią na zagadkę Samsona: jesteś miodem w ciele lwa”.

- *Il miele dentro la leonessa*. Niezłe - skomentował Montenegro. Zapisał sentencje Lectera w pamięci, żeby ją później wykorzystać.

- Naprawdę? - zdziwił się Krendler.

Włoch machnął ręką. Zrozumiał, że zastępca inspektora generalnego nigdy nie usłyszy muzyki w

metaforze doktora Lectera ani nie dostrzeze jej wyraźnych korzeni.

- Inspektor generalny chce podjac odpowiednie kroki z uwagi na komplikacje miedzynarodowe - powiedzial Krendler. - Czy beda to sankcje karne, czy administracyjne, wszystko zalezy od wynikow trwajacego dochodzenia. Jesli karne, sprawa trafi do Sekcji do spraw Etyki Departamentu Sprawiedliwosci. Potem SE przekaze ja do sadu. Zostanie pani poinformowana odpowiednio wczesnie, zeby miec czas na przygotowanie sie do obrony. Dyrektorze Noonan...

Noonan zrobil gleboki wdech i zadal cios toporem.

- Clarice Starling, zostaje pani wyslana na urlop do czasu rozstrzygnięcia sprawy. Odda pani bron i odznake FBI. Od tej pory ma pani wstep tylko do budynkow federalnych uzytecznosci publicznej. Zostanie pani wyprowadzona z tego gmachu pod eskorta. Prosze oddac bron i identyfikator agentowi specjalnemu Pearsallowi. Natychmiast.

Starling podeszla do stolu. Przez sekunde widziala uczestnikow przesluchania jako kregle na zawodach strzeleckich. Moglaby zabic wszystkich czterech, zanim ktorykolwiek zdazylyby wystrzelic. Sekunda minela. Wyjela czterdziestke piatke. Spokojnie patrzyla na Krendlera, wysuwajac magazynke, kladac go na stole i wyrzucajac naboje z komory. Krendler zlupal naboje w powietrzu i zacisnal piec, az zbielaly mu kostki.

Clarice rozstala sie z odznaka i identyfikatorem.

- Ma pani pistolet zapasowy? - zapytal Krendler. - A karabin?

- Starling? - ponaglil ja Noonan.

- Zostaly w samochodzie.

- Inny sprzet taktyczny?

- Kask i kamizelka.

- Panie Marshal, prosze odebrac te rzeczy, gdy odprowadzi pan Clarice Starling do samochodu - polecil Krendler. - Ma pani sluzbowy telefon komorkowy?

-Tak.

Krendler podniosl brwi i odwrocil sie do Noonana.

- Prosze oddac - zazadal dyrektor.

- Chcialabym cos powiedziec. Chyba mam prawo? Noonan zerknal na zegarek.

- Prosze bardzo.

- To podstep. Sadze, ze Mason Verger probuje sam schwytac doktora Lectera, zeby osobiscie

sie na nim zemscic. Podejrzewam, ze nie udalo mu sie we Florencji. Pan Krendler prawdopodobnie jest w zмовie z Vergerem i przekazuje mu wyniki pracy FBI. Mysle, ze Paul Krendler z Departamentu Sprawiedliwosci robi to dla pieniedzy i dla nich jest sklonny mnie zniszczyc. Pan Krendler juz wczesniej zachowywal sie wobec mnie niewlasciwie. Teraz kieruje sie niechecia do mnie i chciwoscia. Nie dalej jak w rym tygodniu nazwal mnie „czerstwa wiejska dziewczyna". Jestem gotowa zakwestionowac zarzuty pana Krendlera i w obecności tego zgromadzenia poddac sie badaniu prawdomownosci na wykrywaczu klamstw. Oddaje sie do panow dyspozycji. Mozemy to zrobic juz teraz.

- Dobrze, ze dzisiaj nie zeznaje pani pod przysiega... - zaczal Krendler.

- Moge zlozyc przysiege. Ale i niech pan to zrobi.

- Zapewniam, ze jesli dowody okaza sie niewystarczajace, zostanie pani bezzwlocznie przyjeta z powrotem bez zadnych konsekwencji - obiecal Krendler najlagodniejszym tonem, na jaki mogl sie zdobyć. - Tymczasem nadal przysluguje pani pensja oraz prawo do ubezpieczenia i opieki lekarskiej. Urlop nie ma charakteru karnego. Prosze jak najlepiej go wykorzystac. - Krendler przyjal konfidenccjonalny ton. - Gdyby zechciala pani w tym czasie usunac ten piasek z policzka, jestem przekonany, ze...

- To nie piasek - przerwala mu Starling. - Tylko proch. Ale nic dziwnego, ze pan nie wie.

Funkcjonariusz juz czekal na Clarice.

- Przykro mi, Starling - powiedzial Clint Pearsall. W obu rekach trzymal jej rzeczy.

Spojrzala na niego, i odwrocila wzrok. Paul Krendler przysunal sie do agentki. Pozostali czekali, az dyplomata opusci pokoj jako pierwszy. Krendler zaczal recytowac przez zacisniete zeby tekst, ktory sobie wczesniej przygotowal.

- Starling, za stara jestes, zeby ciagle...

- Pan wybaczy. - Wysoki Wloch zawrocil spod drzwi i podszedl do Starling. - Pan wybaczy - powtorzyl, wbijajac wzrok w twarz Krendlera, az ten odszedl z kwasna mina.

- Przykro mi, ze pani sie to przytrafilo - powiedzial Montenegro. - Mam nadzieje, ze jest pani niewinna. Obiecuje, ze bede naciskac policje we Florencji, zeby dowiedziala sie, w jaki sposob zaplacono za ogloszenie. Jesli dojdzie pani do wniosku, ze moze cos dla pani zrobic we Wloszech, prosze mi powiedziec.

Uczynie wszystko, co w mojej mocy. - Montenegro wreczyl Clarice wizytowke: mala, sztywna, drukowana wypuklymi literami. Kiedy wychodzil, udal, ze nie zauwaza wyciagnietej dloni Krendlera.

Reporterzy wpuszczeni przez glowne wejście na zblizajaca sie ceremonie rocznicowa, klebili sie na dziedzińcu. Kilku z nich chyba wiedzialo, kogo maja wypatrywac.

- Musi pan trzymać mnie za lokiec? - zapytała Starling funkcjonariusza.

- Nie, proszę pani, nie muszę - odpowiedział, torując jej drogę przez gąszcz mikrofonów.

Dziennikarz z WFUL-TV najwyraźniej znał całą historię. Zarzucił Starling pytaniami.

- Czy to prawda, że została pani odsunięta od sprawy Hannibala Lectera? Czy oczekuje pani sankcji karnych? Co ma pani do powiedzenia na temat włoskich zarzutów?

W garażu Starling oddała kamizelkę kuloodporną, kask, karabin i zapasowy pistolet. Funkcjonariusz czekał, aż rozładuje i wytrze bronią tłustą ściereczką.

- Widziałem, jak pani strzelała na zawodach w Quantico, agentko Starling - powiedział. - Sam dotarłem do ćwierćfinałów. Wyczyszcze pani colta, zanim pójdzie do magazynu.

- Dziękuję.

Nie odchodził, kiedy usiadła za kierownicą. Mówił coś, ale jego słowa zagłuszał warkot pracującego silnika. Opuszcza szybę.

- Jest mi bardzo przykro, że panią to spotkało powtórzył.

- Dziękuję panu.

Przy wyjeździe z garażu czekał na nią samochód reporterski. Starling przyspieszyła, żeby go zgubić. Trzy przecznice od Hoover Building dostała mandat za szybką jazdę. Kiedy policjant wypisywał druczek, fotoreporterzy pstrykali zdjęcia.

Wicedyrektor Noonan siedział przy biurku po zakończonym przesłuchaniu. Zdjął okulary i masował nos.

Nie przejmował się specjalnie zwolnieniem Starling. Uważał, że kobiece emocje często kłocą się z charakterem pracy w FBI. Ale zrobiło mu się przykro, gdy przypomniał sobie, jak potraktowano Crawforda. Jack był przecież „swoim chłopakiem”. Może miał słabość do tej całej Starling, ale nic dziwnego: przecież jego żona od dawna nie żyje. Noonan kiedyś przez tydzień nie mógł oderwać oczu od pewnej atrakcyjnej stenotypistki. Musiał się jej pozbyć, zanim narobiła kłopotów.

Załozył okulary i zjechał windą do biblioteki. Znalazł Crawforda w czytelni. Jack siedział w fotelu z głową opartą o ścianę. Noonan pomyślał, że stary znajomy zasnął. Jego twarz była szara i spocona. Crawford otworzył oczy i zrobił gwałtowny wdech.

- Jack? - Noonan poklepał go po ramieniu, dotknął jego wilgotnej twarzy i krzyknął na całą bibliotekę. - Wezwac pogotowie!

Crawford trafił do szpitala FBI, a potem na kardiologiczny oddział intensywnej terapii w szpitalu imienia Jeffersona.

# ROZDZIAŁ 73

Krendler nie mógł sobie wymarzyć lepszego audytorium. Dziewiętnaste urodziny FBI połączone ze zorganizowanym dla dziennikarzy obchodem po nowym centrum kryzysowym w Hoover Building. Sieci telewizyjne w pełni wykorzystaly niecodzienna okazje: stacja C-SPAN w programie na żywo nadawała w całości wypowiedzi byłego prezydenta Busha i dyrektora FBI. CNN transmitowała niektóre przemówienia. Inne sieci zdobywały materiał do wieczornych wiadomości. Kiedy dygnitarze zeszli rzedem z podium, Krendler miał swoje pięć minut. Młody dziennikarz z WFUL-TV, stojący blisko podium, zadał pierwsze pytanie.

- Panie Krendler, czy to prawda, że agentka specjalna Clarice Starling została odsunięta od śledztwa w sprawie Hannibala Lectera?

- Uważam, że wszelkie komentarze na ten temat byłyby przedwczesne i krzywdzące dla agentki Starling. Powiem tylko, że biuro inspektora generalnego zajmuje się sprawą Lectera. Na razie nie wniesiono przeciw nikomu żadnych oskarżeń.

Siec CNN podchwyciła temat.

- Panie Krendler, dzienniki włoskie podają, że doktor Lecter prawdopodobnie otrzymał ostrzeżenie ze źródła policyjnego. Ktoś nakłonił go do ucieczki. Czy jest to powód zawieszenia agentki specjalnej Starling? Dlatego sprawa zajmuje się biuro inspektora generalnego, a nie Urząd do Spraw Odpowiedzialności Zawodowej?

- Nie mogę komentować zagranicznych relacji prasowych, Jeff. Powiem tylko, że biuro inspektora generalnego bada zarzuty i zbiera dowody. Mamy zobowiązania wobec naszych funkcjonariuszy, tak jak wobec naszych przyjaciół za granicą - oznajmił Krendler, przeszywając powietrze palcem jak Kennedy. - Sprawa Hannibala Lectera znajduje się w dobrych rękach. Nie tylko w moich, ale i ekspertów ze wszystkich dziedzin z FBI i Departamentu Sprawiedliwości. Przygotujemy własnie projekt, który przedstawimy w odpowiednim czasie, gdy przyniesie owoce.

Niemiecki lobbysta, gospodarz Lectera, wyposażył dom w wielki telewizor Grundiga. Próbował jakos dopasować nowoczesne urządzenie do wystroju wnętrza, więc ustawił na obudowie posazek Ledy z labedziem.

Doktor Lecter po raz kolejny oglądał film *Krotka historia czasu* o wielkim astrofizyku Stephenie Hawkingu i jego dokonaniach. A to ulubiony fragment doktora - filizanka spada ze stołu i roztrzaskuje się na podłodze.

Hawking, powykrecany w fotelu inwalidzkim, mówi swoim komputerowo generowanym głosem:

„Skąd się bierze różnica między przeszłością a przyszłością? Prawa fizyki nie odróżniają przeszłości od przyszłości. Ale w zwykłym życiu różnica między przeszłością a przyszłością jest ogromna.

Mozna zobaczyc filizanke, ktora spada ze stolu i rozpada sie na kawalki. Ale nigdy nie zobaczymy, jak jej kawalki na nowo sie lacza i filizanka wskakuje z powrotem na stol".

Cofniety na podgladzie film pokazuje filizanke, ktora wraca w calosci na stol. Hawking mowi dalej:

„Co odroznia przeszlosc od przyszlosci, co nadaje kierunek czasowi, to wzrost chaosu lub entropii".

Doktor Lecter bardzo podziwial dokonania Hawkinga. W miare mozliwosci sledzil jego prace w pismach matematycznych. Wielki astrofizyk wierzyl kiedys, iz wszechswiat zacznie sie kurczyc, a wowczas dojdzie do odwrocenia entropii. Pozniej oznajmil, ze sie mylil.

Lecter dosc dobrze sie orientowal w zagadnieniach wyzszej matematyki, lecz Stephen Hawking znajdowal sie na zupełnie innym poziomie niz reszta ludzkosci. Lecter bardzo pragnal, zeby Hawking mial slusznosc za pierwszym razem, zeby wszechswiat przestal sie rozszerzac, zeby entropia sie cofnela, zeby pozarta Misza znow byla cala.

Czas. Doktor Lecter zatrzymal kasete i wlaczyl wiadomosci.

Spis programow telewizyjnych zwiazanych z FBI jest codziennie podawany na stronie FBI w Internecie. Doktor Lecter kazdego dnia otwieral te strone, zeby sie przekonac, czy w rankingu „Dziesieciu najbardziej poszukiwanych przestepcow" nadal uzywaja jego starej fotografii. O urodzinach FBI dowiedzial sie duzo wczesniej. Siedzial w wielkim fotelu, w szlafroku, z zawiazanym wokol szyi halsztukiem. Patrzyl, jak Krendler klamie. Obserwowal zastepce inspektora generalnego na wpolprzymknietych oczach. Tuz pod nosem trzymal kieliszek brandy i delikatnie mieszal jego zawartosc. Nie widzial tej bladej twarzy od czasu, gdy Krendler stal przy jego klatce w Memphis siedem lat temu, na krotko przed ucieczka.

W lokalnych wiadomosciach z Waszyngtonu obejrzal, jak Starling dostaje mandat. Dziennikarze wpychali mikrofony do okna jej samochodu. Wiadomosci telewizyjne podawaly juz, ze agentka zostala „oskarzona o pogwalcenie zasad bezpieczenstwa" w sprawie Lectera.

Kasztanowe oczy doktora zaiskrzyly i otworzyly szeroko na widok Clarice. Dluogo po zniknieciu Starling z ekranu telewizora zachowywal w myslach jej doskonale oblicze. Na wizerunek Starling nalozyl wizerunek Miszy. Polaczyl dwa obrazy, az z czerwonego plazmowatego rdzenia tej fuzji buchnely do gory iskry, niosac pojedynczy wizerunek na wschod, w strone nocnego nieba, do gwiazd.

Gdyby teraz wszechswiat zaczal sie kurczyc, a czas cofac i rozbite filizanki znow wrocilyby do dawnej formy, musialby przygotowac na swiecie miejsce na powrot Miszy. Najbardziej godnym miejscem znanym doktorowi Lecterowi bylo miejsce Starling. Misza mogla zastapic Starling na ziemi. Gdyby do tego doszlo, gdyby czas sie cofnal, odejście Starling pozostawiloby dla Miszy miejsce rownie blyszczace i czyste niczym miedziana balia w ogrodzie.



## ROZDZIAŁ 74

Doktor Lecter zaparkował swego pikapa niedaleko szpitala Maryland-Misericordia i starannie wytarł monety, zanim wrzucił je do parkometru. Ubrany w watowany kombinezon i czapkę z długim daszkiem chroniącym przed kamerami ruszył do głównego wejścia.

Ostatni raz doktor Lecter był w Maryland-Misericordia ponad piętnaście lat temu, lecz podstawowy rozkład budynku pozostał taki sam. Powrót do miejsca, gdzie rozpoczął praktykę medyczną, nic dla niego nie znaczył. Na gorze wprawdzie przeprowadzono renowację operacyjnej części szpitala, lecz generalnie prawie nic się nie zmieniło od czasu, gdy Lecter tu pracował.

Uzyskana w recepcji przepustka umożliwiała mu dostęp do sal zajmowanych przez pacjentów. Szedł korytarzem, czytając nazwiska na tabliczkach. Był to oddział pooperacyjny, na który trafiały osoby z oddziału intensywnej terapii po operacjach na sercu i mózgu.

Doktor Lecter czytał bardzo wolno - poruszał bezgłośnie ustami i od czasu do czasu drapał się głupkowato po głowie. Usiadł w poczekalni; stąd miał dobry widok na korytarz. Czekal półtorej godziny wśród starych kobiet opowiadających ze szczegółami o rodzinnych tragediach. Ku jego rozpaczy w telewizji nadawano kolejny odcinek teleturnieju *Jaka cena?*. W końcu się doczekał: zauważył mężczyznę w zielonym kitlu, samotnie prowadzącego obchód. Lekarz wszedł do sali, gdzie leżał pacjent... doktora Silvermana. Lecter wstał i znowu podrapał się w głowę. Podniósł ze stolika wymietoszona gazetę i opuścił poczekalnię. Wślizgnął się do następnej sali, gdzie leżał pacjent Silvermana. Pokój pogrążony był w półmroku. Chory spał. Głowe i część twarzy miał obandażowana. Na monitorze rytmicznie podskakiwała kropka światła.

Doktor Lecter szybko zdjął ocieplany kombinezon. Pod nim miał zielony kitel. Założył pokrowce na buty, czepek, maskę i rękawiczki. Wyjął z kieszeni biały worek na śmieci.

Doktor Silverman otworzył drzwi. Przez chwilę stał w progu, rozmawiając przez ramie z kimś na korytarzu. Czyżby towarzyszyła mu pielęgniarka? Nie.

Doktor Lecter podniósł pojemnik na śmieci i zaczął wsypywać jego zawartość do worka, odwrócony plecami do drzwi.

- Przepraszam, doktorze, już wychodzę - powiedział.

- Nic nie szkodzi - Silverman wziął do ręki kartę choroby pacjenta. - Proszę sobie nie przeszkadzać.

- Dziękuję - rzekł Lecter i uderzył doktora w podstawę czaszki skorzaną pałką. Wystarczył tylko niewielki ruch nadgarstka. Nogi ugięły się pod Silvermanem. Lecter objął go na wysokości klatki piersiowej. Zawsze dziwi widok Lectera dzwigającego czyjeś ciało; doktor przypomina wówczas mrowkę, która przenosi rzeczy dużo większe od niej samej. Lecter przeniósł Silvermana do

lazienki, sciagnal mu spodnie i posadzil na muszli klozetowej.

Zajrzal chirurgowi do oczu i odpial kilka identyfikatorow przyczepionych do bluzy.

Na ich miejsce wpial do gory nogami swoja przepustke. Wzial stetoskop Silvermana i owinal go sobie z fasonem wokol szyi jak boa. Na czubku glowy zatknal lekarskie szlo powiekszajace. Skorzana palke schowal w rekawie.

Byl gotow odbyc podroz do serca Maryland-Misericordia.

W szpitalu obowiazuja rygorystyczne przepisy dotyczace wydawania anestetykow. Na oddzialach rekonwalescencyjnych szafki z lekarstwami na wszystkich stanowiskach pielegniarskich sa zamkniete. Zeby sie do nich dostac, potrzebne sa dwa klucze: przechowuja je pielegniarka dyzurna i jej asystentka. Skrupulatnie prowadzony jest rejestr wydawanych lekow.

W blokach operacyjnych, w czesci szpitala o najostrzejszych rygorach bezpieczenstwa, leki przygotowywane sa do kolejnej operacji na kilka minut przed sprowadzeniem pacjenta. Lekarstwa dla anesteziologa znajduja sie przy stole operacyjnym w specjalnej szafce wyposazonej w chlodnie.

Zapas medykamentow miesci sie w oddzielnym magazynie niedaleko umywalni przy sali operacyjnej. Trzymane sa tam specyfiki, niedostepne w magazynie ogolnym na dole: silne srodki uspokajajace i znieczulajace, ktore pozwalaja przeprowadzac operacje na otwartym sercu i mozgu przy utrzymaniu pacjenta w stanie pelnej swiadomosci.

W magazynie zawsze dyzuruja farmaceuci. Gabloty nie sa zamykane. Na bloku operacyjnym nie ma czasu, zeby szukac kluczy. Doktor Lecter z maska na twarzy przeszedl przez wahadlowe drzwi do bloku operacyjnego.

Sciany bloku pomalowano kilkoma jasnymi kolorami. Takie zestawienie mialo dac efekt rozweselajacy, lecz w rzeczywistosci melanz zirytowalby nawet umierajacego. Kilku lekarzy przed doktorem Lecterem wpisalo sie, do rejestru i przeszlo do umywalni. Doktor Lecter wzial dlugopis i poruszal nim, jakby sie podpisывal, lecz nie zostawil na kartce zadnego sladu.

Z grafiku operacji wynikalo, ze w Bloku B za dwadziescia minut rozpocznie sie usuwanie guza mozgu, pierwsze tego dnia. W umywalni doktor Lecter sciagnal rekawiczki, schowal je do kieszeni, dokladnie umyl rece, az do lokci, osuszyl i przypudrowal dlonie zasyпка, po czym z powrotem wlozyl rekawiczki. Wyszedl na korytarz. Magazyn powinien znajdowac sie za drugimi drzwiami po prawej. Nie. Na pomalowanych na morelowo drzwiach widnial napis PRADNICE AWARYJNE, a dalej podwojne drzwi prowadzily do Bloku B. Zatrzymala sie przy nim pielegniarka.

- Dzień dobry, doktorze.

Lecter zakaslal i zza maski wybelkotal pozdrowienie. Zawrocil do umywalni. Mamrotal cos pod nosem, jakby o czyms zapomnial. Pielegniarka popatrzyła za nim przez chwile i poszła dalej do sali operacyjnej. Lecter sciagnal rekawiczki i cisnal je do kosza. Nikt nie zwracal na niego uwagi. Wzial nastepna pare. Ciałem znajdowal sie w umywalni, lecz duchem pedzil przez *foyer* palacu

pamięci. Minal popiersie Pliniusza i pomknal po schodach do Holu Architektury. W dobrze oświetlonej sali, nad ktora gorowal model katedry Swietego Pawla projektu Christophera Wrena, na stole kreslarskim czekaly na niego szkice. Dokladne, szczegolowe plany blokow operacyjnych szpitala Maryland-Misericordia z Departamentu Budownictwa. On jest tu, magazyn tam. Nie. Do planow wkradl sie jakis blad. Zapewne cos zmieniono po przedstawieniu projektu w Departamencie Budownictwa. Pradnice na planie znajdowaly sie po drugiej stronie w zwierciadlanym odbiciu na korytarzu do Bloku A. Byc moze zmieniono oznakowanie. Na pewno. Nie mogl sobie pozwolic na myskowanie po szpitalu.

Wyszedl z umywalni i ruszyl korytarzem do Bloku A. Drzwi na lewo. Napis MRI. Dalej. Nastepne drzwi, jest magazyn. Na planie podzielono jedno pomieszczenie na laboratorium obrazowania metoda rezonansu magnetycznego i magazyn z lekami.

Ciezkie drzwi do magazynu byly uchylone, zablokowane klinem. Doktor Lecter wpadl do srodka i zatrzasnal je za soba. Przy gablocie kucal pekaty mezczyzna. Ustawial cos na dolnej polce.

- Moge w czymś pomóc, doktorze?

- Bardzo prosze.

Mlody farmaceuta nie zdazyl wstac. Gluchy odglos ciosu palka i chlopak zwinal sie na podlodze, wypuszczajac gazy.

Doktor Lecter podwinal poly swojego kitla i wetknal je za ogrodniczy fartuch, ktory mial pod spodem.

Szybko ogarnal wzrokiem polki. Czytal etykiety z predkoscia swiatla -Ambien, amobarbital, Amytal, wodzian chloralowy, Dalmane, flurazepam, Halcion - i zgarnial buteleczki do kieszeni. Otworzyl lodowke, znow czytal i zgarnial - midazolam, Noctec, skopolamina, Pentothal, quazepam, solzidem. Po niespelna czterdziestu sekundach zatrzasnal za soba drzwi i znalazl sie z powrotem na korytarzu.

Przeszedl przez umywalnie i sprawdzil w lustrze, czy nie widac na fartuchu zadnych wypuklosci. Niespiesznie minal wahadlowe drzwi z celowo przekrzywionym do gory nogami identyfikatorem, maska na twarzy, okularami na nosie i podniesionym szklem powiekszajacym. Burkliwie wymienil pozdrowienia z innymi lekarzami. Puls siedemdziesiat dwa. Jechal winda w dol, coraz nizej i nizej, z maska na twarzy, wpatrujac sie w przypadkowo wybrana karte choroby.

Odwiedzajacy mogli uznac za dziwne, ze chodzi po korytarzach w masce. Zdjal ja dopiero na schodach, gdy znalazl sie poza zasiegiem kamer. Wloczedzy na ulicy pewnie sie zastanawiali, czemu lekarz jezdzi takim starym gruchotem.

W szpitalu anestezjolog znalazl nieprzytomnego farmaceute. Dopiero po kolejnych pietnastu minutach zorientowano sie, ze skradziono lekarstwa.

Kiedy doktor Silverman odzyskal przytomnosc, odkryl, ze lezy przy muszli klozetowej z

opuszczonymi spodniami. Nie pamiętał, żeby wchodził do toalety. Doszedł do wniosku, że prawdopodobnie doznał niegroźnego udaru wywołanego wysiłkiem podczas załatwiania się. Bardzo ostrożnie, żeby nie poruszyć skrępu, podczołgał się do drzwi i wystawił rękę na korytarz. Badanie wykazało lekki wstrząs mózgu.

Przed powrotem do domu doktor Lecter odwiedził jeszcze dwa miejsca. Zatrzymał się na poczcie na przedmieściach Baltimore. Odebrał zamówioną przez Internet paczkę od dostawcy artykułów pogrzebowych. W środku był smoking z wszytą koszulą i krawatem, rozciety z tyłu na całej długości.

Teraz potrzebował tylko wina, jakiegoś naprawdę wyjątkowego. Dlatego musiał pojechać do Annapolis. Byłoby miło odbyć tę podróż jaguarem.

## ROZDZIAŁ 75

Krendler założył już ciepły strój do joggingu, musiał więc rozpiąć bluzę, żeby się nie zgrzać, kiedy Eric Pickford zadzwonił do jego domu w Georgetown.

- Eric, zjedź do kawiarni i zadzwoń do mnie z publicznego telefonu.

- Co takiego, panie Krendler?

- Rob, co kaze.

Krendler sciągnął opaskę i rękawiczki. Rzucił je na fortepian w salonie. Jednym palcem wystukiwał melodie, gdy telefon zadzwonił ponownie.

- Starling była agentka techniczna, Eric. Nie wiadomo, w co wyposażyla te telefony. Nie możemy dopuścić do przecieku w tak ważnej sprawie.

- Oczywiście, panie Krendler. Dzwoniła Starling. Chce zabrać swoją roślinę i resztę rzeczy... tego głupiego szklanego ptaka, który pije ze szklanki. Ale pomogła mi też dokonać pewnego odkrycia. Kazała porównać kody pocztowe prenumeratorów podejrzanych magazynów. Powiedziała, że doktor Lecter może korzystać z kilku skrytek pocztowych, które usytuowane są dość blisko siebie.

-I?

- Mam coś. „Journal of Neurophysiology” zostanie wysłany do jednej skrzynki, a „Physica Scripta” i „Ikarus” do drugiej. Skrzynki oddalone są od siebie o jakieś piętnaście kilometrów. Prenumeraty zrobiono na różne nazwiska i opłacono przekazami pieniężnymi.

- Co to jest „Ikarus”?

- Międzynarodowe pismo poświęcone układowi słonecznemu. Zamawiał je regularnie

dwadzieścia lat temu. Skrzynki znajdują się w Baltimore. Pisma są dostarczane zwykle koło dziesiątego każdego miesiąca. A minute temu dowiedziałem się jeszcze jednego. Sprzedano butelkę Chateau, jak to tam, Yuckum?

- Tak, wymawia się „iii-kim”. No i co?

- W ekskluzywnym sklepie winiarskim w Annapolis. Wprowadziłem zakup do komputera i został dopasowany do jednej z dat, które wpisała Starling. Program wskazał na datę urodzin Starling. W tym samym roku wyprodukowano wino. Podejrzany zapłacił za nie trzysta dwadzieścia pięć dolarów gotówką i...

- To było przed rozmową ze Starling?

- Tuż po, jakas minute temu...

- Wiec nic nie wie.

- Nie, powinienem zadzwonić...

- Twierdzisz, że winiarz poinformował cię o sprzedaży jednej butelki?

- Tak, proszę pana. Starling zostawiła notatki: na Wschodnim Wybrzeżu są tylko trzy butelki tego wina. Każda odnotowała. Naprawdę niezła robota.

- Kto był nabywca, jak wyglądał?

- Mężczyzna, biały, średniego wzrostu, z brodą. Ciepło ubrany.

- Maja w sklepie kamerę?

- Tak, od razu o to zapytałem. Powiedziałem, że wysłamy kogoś po kasety. Jeszcze tego nie zrobiłem. Sprzedawca nie przeczytał naszego komunikatu, ale zakup był tak niezwykły, że pracownik natychmiast zawiadomił właściciela sklepu. Właściciel wybiegł i w ostatniej chwili zobaczył podejrzanego. Według niego to nasz poszukiwany. Odjechał starym pikapem. Szary wóz z imadłem z tyłu. Jeśli to Lecter, sądzi pan, że będzie chciał dostarczyć Starling wino? Może powinniśmy ją ostrzec?

- Nie - odparł Krendler. - Proszę nic jej nie mówić.

- Mogę przesłać informacje do pliku Lectera w bazie danych VICAP?

- Nie - powiedział Krendler. Usiłował szybko zebrać myśli. - Przyszła odpowiedź z włoskiej policji w sprawie komputera Lectera?

- Nie, proszę pana.

- Wiec nie można aktualizować VICAP, póki nie jesteśmy pewni, czy nie korzysta z niego

Lecter. Byc moze zdobył kod dostępu Pazzięgo. A moze Starling czyta dane i w jakis sposob przekazuje je Lecterowi, tak jak we Florencji.

- Aha, rozumiem. Biuro terenowe w Annapolis odbierze kasetę.

- Zostaw wszystko mnie.

Pickford podyktował adres sklepu winiarskiego.

- Zajmuj się nadal prenumeratami - poinstruował Krendler. - Możesz o nich powiedzieć Crawfordowi. Zorganizuje ludzi do obserwacji skrzynek po dziesiątym.

Krendler zadzwonił do Masona, po czym rozpoczął trening. Wybiegł z domu i ruszył truchtem w stronę parku Rock Creek.

W gęstniejącym mroku nie widać postaci, tylko biała opaska Nike'a, białe buty Nike'a i białe pasy po obu stronach ciemnych dresów Nike'a.

Biegł przez pół godziny. Kiedy zbliżał się do polany niedaleko zoo, usłyszał warkot helikoptera. Dał nura pod obracające się śmigło i wskoczył na stopień. Start helikoptera podniecił Krendlera: miasto z oświetlonymi posągami zostało w dole. Śmigłowiec wynosił go na wyżyny, na które sobie zasłużył. Najpierw do Annapolis po kasetę, a później do Masona.

## **ROZDZIAŁ 76**

Cordell, nastawisz wreszcie ostrość na tym cholernym wideo? - Wypowiedziane głębkim radiowym głosem słowa „wreszcie” i „wideo” brzmiały bardziej jak „hreszcie” i „hide”.

Krendler stał obok Masona w ciemnej części pokoju, żeby lepiej widzieć monitor. W pomieszczeniu było ciepło. Krendler zdjął bluzę i zawiązał rekawy wokół bioder, eksponując podkoszulek z Princeton. Opaska na głowie i buty odbijały światło akwarium.

Zdaniem Margot, miał sylwetkę kurczaka. Traktowali się bardzo lekceważąco.

Film ze sklepu winiarskiego nie pokazywał godziny, a klientów w okresie przedświątecznym nie brakowało. Cordell przewijał kasetę na podglądzie. Mason zabijał czas, popisując się grubianstwem.

- Co powiedziałeś, kiedy wparowałeś do sklepu w dresach i pokazałeś im odznakę? Ze startujesz w olimpiadzie dla niepełnosprawnych? - Odkąd Krendler inkasował jego czekę, Mason okazywał mu dużo mniej szacunku.

Ale Krendlera nie można było łatwo obrazić, jeśli w grę wchodziły jego osobiste korzyści.

-Wyjasnilem im, ze sie maskuje. Kogo zatrudniliscie do obserwacji Starling?

- Powiedz mu, Margot. - Wydawalo sie, ze Mason chce zachowac oddech na dalsze zniewagi.

- Sprowadzilismy naszych dwunastu ochroniarzy z Chicago. Sa w Waszyngtonie. Trzy zespolo, przy czym w kazdym jeden czlowiek jest zastepca szeryfa ze stanu Illinois. Jesli w trakcie zgarniania doktora Lectera natkna sie na policje, wyjasnia, ze rozpoznali przestepce... i ze to areszt obywatelski. Zespol, ktory schwyta Lectera, przekaze go Carlowi. Wroca do Chicago i na tym skonczy sie ich udzial.

Na ekranie nadal wyswietlano film.

- Chwileczke... Cordell, cofnij o pol minuty - polecil Mason. - Popatrzcie.

Kamera sklepowa obejmowala swoim zasiegiem obszar od drzwi wejsciowych do kasy.

Na niemym, rozmazanym obrazie pojawil sie mezczyzna w czapce z dlugim daszkiem, ocieplonej kurtce i w jednopalczastych rekawicach. Mial bokobrody i okulary przeciwsloneczne. Odwrocil sie plecami do kamery i starannie zamknal za soba drzwi.

Zlozenie zamowienia zajelo kupujacemu niewiele czasu. Potem klient i sprzedawca znikneli miedzy polkami.

Trzy minuty ciagnely sie w nieskonczonosc. Wreszcie z powrotem znalezi sie w polu widzenia kamery. Sprzedawca starl kurz z butelki, zapakowal ja i wlozyl do torby. Klient sciagnal prawa rekawice, zeby zaplacic. Gotowka. Usta sprzedawcy poruszyly sie do slow „dziekuje panu”, wypowiedzianych do plecow klienta.

Kilka sekund przerwy i sprzedawca cos krzyknal. Kolejne kadry pokazaly przysadzistego mezczyzne. Pojawil sie i natychmiast wybiegl przez drzwi.

- To wlasciciel. Facet, ktory widzial jego samochod - wyjasnil Krendler.

- Cordell, zrob powiekszenie glowy klienta.

- Sekunde, panie Verger. Obraz bedzie zamazany.

- Nie szkodzi - mruknal Mason. - Nie zdjal lewej rekawicy - zauwazyl po chwili. - Moze dalem sie zrobic w konia z tym zdjeciem rentgenowskim, ktore kupilem.

- Pazzi twierdzil, ze Lecter usunal dodatkowy palec - przypomniał Krendler.

- Pazzi mogl sobie wlozyc jego palec w dupe. Juz sam nie wiem, komu wierzyc. Widzialas Lectera, Margot. Jak myslisz, to on?

- Minelo osiemnascie lat - odparla Margot. - Mialam z nim tylko trzy sesje. Zawsze kiedy wchodzilam, stal za biurkiem i nie ruszal sie stamtad. W ogole sie nie ruszal. Najlepiej pamietam

jego glos.

- Panie Verger, przyszedl Carlo - poinformowal Cordell.

Carlo smierdzial swiniami i nie tylko. Wszedl do pokoju. Kapelusz przyciskal do piersi. Zapach zjelczalej kielbasy sprawil, ze Krendler zaczal oddychac wylacznie ustami. Sardynski porywacz schowal w ustach przezuwany swinski zab. W ten sposob okazal zebrany szacunek.

- Carlo, popatrz! Cordell, przewin tasme do momentu, gdy klient wchodzi do sklepu.

- To ten skurwysyn - oswiadczył Carlo, zanim podejrzany na ekranie zdazyl zrobic cztery kroki.  
- Broda jest nowa, ale on tak wlasnie sie porusza.

- Widziales jego rece we Florencji?

- Si.

- Piec czy szesc palcow u lewej reki?

- Mmm... Piec.

- Zawahales sie.

- Przypomnialem sobie, jak jest *cinque* po angielsku. Na pewno piec. Mason rozchylil zeby. Tylko na taki usmiech bylo go stac.

- Sprytnie. Nosi rekawiczki, zeby w rysopisie pozostawiono: szesc palcow. Smrod Carla chyba dostal sie do akwarium przez aerator. Murena wyplynela z ukrycia i zaczela krecic osemki.

- Carlo, mysle, ze juz niedlugo zakonczymy sprawe - powiedzial Mason. - Ty, Piero i Tomaso jestescie moim pierwszym zespolem. Wierze w was, mimo iz daliscie uciec Lecterowi z Florencji. Macie obserwowac Clarice Starling dzien przed jej urodzinami, w dzien urodzin i dzien pozniej. Zostaniecie odciazeni, gdy bedzie spala w domu. Dam wam kierowce i furgonetke.

- *Padrone* - powiedzial Carlo.

- Tak?

- Chcialbym troche pobyc z *dottore* na osobnosc. Przez wzglad na mego brata, Mattea. Obiecal pan. - Przegnal sie, kiedy wymienial imie zmarlego.

- Rozumiem, co czujesz, Carlo. Gleboko ci wspolczuje. Chce, zeby doktor Lecter zostal skonsumowany w dwoch ratach. Pierwszego dnia swinie odgryza mu stopy, a on bedzie sie temu przygladal zza krat. Ma byc wtedy w dobrym stanie. Zadnych ciosow w glowe, zlaman, uszkodzen oczu. Pozniej bez stop przeczeka noc. Swinie dokoncza go nastepnego dnia. Przez chwile z nim porozmawiam, a pozniej ty dostaniesz godzine przed finalowa uczta. Tylko zostaw mu jedno oko. Musi widziec, jak do niego dochodza. Patrzec na ich ryje, kiedy beda zjadaly mu twarz. Jesli,



powiedzmy, postanowisz pozbawic go meskosci, prosze bardzo, ale w towarzystwie Cordella. Chodzi o to, aby ktos kontrolowal sytuacje. Chce miec wszystko na filmie.

- A jesli wykrwawi sie za pierwszym razem?

- Nie wykrwawi sie. Przez cala noc bedzie czekal w pelni swiadomy z odgryzionymi stopami. Cordell wszystkiego dopilnuje. Pewnie podlaczy go do kroplowki albo do dwoch.

- A nawet do czterech, jesli zajdzie taka potrzeba - odezwal sie z glosnikow beznamietny glos majordomusa. - W razie potrzeby zastosuje wenostromie na nogach.

- Pozwalam nawet napluc albo nasikac mu do kroplowki, zanim wywioza go do zagrody - zwrocil sie Mason do Carla swoim najbardziej zyczliwym tonem. - A jesli chcesz, mozesz sie do niej spuscic.

Oczy Carla rozblysly na te mysl. Sardynczyk nagle przypomniał sobie o muskularnej *signorinie* i zerknal na nia z mina winowajcy.

- *Grazie mille, Padrone*. Bedzie pan przy jego smierci?

- Nie wiem, Carlo. Nie znosze kurzu ze stodoly. Obejrze wszystko na wideo. Mozesz sprowadzic mi jedna swinie? Chce polozyc na niej reke.

- Do tego pokoju, *Padrone*?

- Nie, na chwile przetransportuja mnie na dol.

- Musialbym uspic zwierzec, *Padrone* - rzekl niepewnie Carlo.

- Najlepiej loche. Sprowadz ja przed winde. Mozesz przejechac podnosnikiem po trawie.

- Potrzebna ci tylko furgonetka czy samochod awaryjny? - zapytal Klendler.

- Carlo?

- Wystarczy furgonetka. Dajcie mi zastepce szeryfa jako kierowce.

- Mam jeszcze cos dla ciebie - powiedzial Krendler. - Prosze o swiatlo.

Margot przesunela reostat, a Krendler polozyl swoj plecak na stole obok miski z owocami. Zalozyl bawelniane rekawiczki i wyjal urzadzenie, ktore skladalo sie z malego monitora, anteny, podstawki, a takze zewnetrznego napedu i kompletu akumulatorow.

- Obserwacja Starling jest trudna, bo agentka mieszka przy slepej uliczce. Nie ma sie gdzie ustawic. Starling musi jednak wychodzic z domu: ma bzika na punkcie sprawnosci fizycznej - powiedzial Krendler. - Zapisala sie na silownie, odkad nie moze korzystac z obiektow FBI. Przyuwazyliśmy ja, gdy zaparkowala przed silownia w czwartek. Podlozylismy jej pod samochod

radiolatarnie. Niklowo-kadmowa, ładuje się przy pracującym silniku, więc nie wyczerpuje akumulatora. Ma zasięg na pięć sąsiadujących stanowisk. Kto będzie to obsługiwał?

- Cordell, przyjdź tutaj - polecił Mason.

Majordomus i Margot przyklekli obok Krendlera. Carlo stał nad nimi, trzymając kapelusz na wysokości ich nozdrzy.

- Spójrzcie. - Krendler włączył monitor. - Działa jak samochodowy system nawigacyjny. Tyle że pokazuje lokalizację samochodu Starling. - Na ekranie ukazał się widok centrum Waszyngtonu. - Zbliżymy ten fragment, przesuniemy go strzałkami, jasne? Dobra, nic nie wykrywa. Radiolatarnia z samochodu Starling włączy sygnał świetlny i dźwiękowy. Wtedy można ustalić miejsce źródła na planie ogólnym, a później zrobić zbliżenie. Kiedy się przybliżacie, sygnał

dźwiękowy pika coraz szybciej. Tutaj widzimy dzielnicę Starling w skali mapy miasta. Nie mamy żadnych sygnałów z jej samochodu, bo jesteśmy poza zasięgiem. Co innego, gdybyśmy byli na przykład w Waszyngtonie lub Arlington. Ta zabawka pochodzi z nowego helikoptera, którego jeszcze nie wprowadzono na rynek. Tu jest konwerter do wtyczki prądu zmiennego w waszej furgonetce. I jeszcze jedna sprawa. Musicie mi zagwarantować, że urządzenie nie dostanie się w niepowołane ręce. Wyleciałbym za to z pracy. Albo wróci do mnie, albo znajdzie się na dnie Potomacu.

- Zrozumiałas, Margot? - zapytał Mason. - A ty, Cordell? Kierowca może być Mogli. Sprowadźcie go i wytłumaczcie, o co chodzi.

# CZesc V FUNT CIAIA

## ROZDZIAI 77

Doskonalosc broni pneumatycznej polega na tym, ze mozna z niej strzelac z samochodu, nie oguszajac wszystkich pasazerow. Nie trzeba wystawiac lufy przez okno i narazac sie na wscibskie spojrzenia przechodniow.

Wystarczy opuscic nieco szyba i poslac maly pocisk z silnym ladunkiem acepromazyny w kark lub posladki doktora Lectera.

Rozlegnie sie tylko cichy trzask, jak przy lamaniu mlodej galazki. Zadnych hukow i innych groznych dzwiekow, ktore zwracalyby uwage.

Przecwiczyli te scene wielokrotnie: kiedy doktor Lecter zacznie sie slaniac na nogach, ubrani w biale fartuchy Piero i Tommaso „pomoga” mu dostac sie do furgonetki. Zapewnia gapiow, ze zabieraja biedaka do szpitala. Tommaso mowil najlepiej po angielsku, bo chodzil na kurs jezykowy w seminarium, ale proby wypowiedzenia gloski „h” w slowie „hospital” i tak doprowadzaly go do szalu.

Mason mial racje, ze zlecil Wlochom porwanie doktora Lectera. Pomimo porazki we Florencji byli zdecydowanie najzdolniejszymi porywaczami. I Mason mogl sie spodziewac, ze dostanie doktora zywego.

Verger pozwolil im zabrac ze soba tylko jedna sztuke broni, nie liczac strzelby z ladunkami usypiajacymi. Mial ja kierowca, zastepca szeryfa, Johnny Mogli z Illinois. Od dawna pracowal dla

Vergerow. Dorastał w domu, gdzie mówiono po włosku. Przed zabiciem swojej ofiary miał zwyczaj we wszystkim jej przytakiwać.

Carlo, Piero i Tommaso dysponowali siatką, bronią gładkolufową, sprejem z gazem i całą kolekcją akcesoriów do krepowania porwanego. Wystarczy.

O swiecie ustawili sie piec przecznic dalej od domu Starling w Arlington, na miejscu dla inwalidy.

Furgonetke zdobil samoprzylepny napis TRANSPORT MEDYCZNY OSOB STARSZYCH. Na lusterku zawiesili karte inwalidzka, a do zderzaka

przytwierdzili inwalidzkie numery rejestracyjne. W skrytce trzymali rachunek z warsztatu za wymiane zderzaka: gdyby ktos przyczepil sie do numerow na karcie, mogliby sklamac, ze w garazu przez pomylke zamieniono tablice. Przynajmniej na jakis czas zagmatwaliby sprawe. Dokumenty samochodu nie byly sfalszowane, tak jak zwiniete w nich banknoty studolarowe, przeznaczone na lapowke.

Rozjarzony monitor na tablicy rozdzielczej, podlaczony do gniazda zapalniczki samochodowej, pokazywal mape okolicy, w ktorej mieszkala Starling. Ten sam system satelitarny, ktory nanosil na mape pozycje furgonetki, wskazywal rowniez miejsce parkowania samochodu Starling.

O dziewiatej rano Carlo pozwolil Pierowi cos zjesc. O wpol do jedenastej posilil sie Tommaso. Carlo nie chcial, zeby napychali zoladki w tym samym czasie, na wypadek, gdyby musieli scigac na piechote cel. Popoludniowe posilki rowniez zostaly odpowiednio rozplanowane. Tommaso wlasnie szukal kanapki w podrecznej lodowce, kiedy uslyszeli sygnal.

Smierzaca glowa Carlo blyskawicznie odwrocila sie do monitora.

- Ruszyla - powiedzial Mogli. Wlaczyl silnik. Tommaso zamknal lodowke.

- Dobra, dobra... Jedzie wzdluz Tindal w strone glownej ulicy. - Mogli wlaczyl sie do ruchu. Dzieki urzadzeniu radiolokacyjnemu byl w komfortowej sytuacji. Mogl zachowac duza odleglosc i nie martwic sie, czy Starling ich zauwazy.

Nie dostrzegl jednak starego szarego pikapa z choinka na platformie, ktory pomknal w slad za wozem agentki.

Prowadzenie mustanga sprawialo Starling przyjemnosc. Potezny woz bez ABS-u zachowywal sie niesfornie na sliskich ulicach przez wieksza czesc zimy. Przy pustych drogach fajnie bylo przycisnac gaz na drugim biegu i posluchac, jak ryczy silnik.

Mapp, mistrzyni swiata w kolekcjonowaniu kuponow rabatowych, wyslala Starling do sklepu z plikiem takich karteczek przypietych do listy zakupow. Razem ze Starling mialy przyrzadzic szynke, potrawke z kurczaka i dwie zapiekanki. Pozostale dziewczyny przyniosla indyka.

Urodzinowa kolacja byla ostatnia rzecz, na ktorej Starling zalezalo. Ale nic nie mogla

poradzić. Zaskakująco duża grupa agentek z Mapp na czele - niektóre znalazła tylko przelotnie i nie paliła do nich wielką sympatią - zapowiedziała się z wizytą, żeby wesprzeć w niedoli przymusowo urlopowaną koleżankę.

Myslała dużo o Jacku Crawfordzie. Nie mogła odwiedzić go w szpitalu ani do niego zadzwonić. Na stanowisku pielęgniarskim zostawiała dla niego przesyłki: śmieszne rysunki psów i najzabawniejsze lisciki, na jakie potrafiła się zdobyć.

Odrywała myśli od swojego żalostnego położenia, bawiąc się mustangiem: wrzucała luz i redukowała biegi. Wykorzystywała sprzężenie silnika do przyhamowania przed skretem na parking supermarketu „Safeway”. Dotykała pedału hamulca tylko po to, żeby zasygnalizować zmniejszenie prędkości kierowcom jadącym z tyłu.

Parking był wypełniony po brzegi. Starling zrobiła cztery okrążenia. W końcu znalazła miejsce. Było wolne, bo zostało zastawione porzuconym wozkiem na zakupy. Wsiadła z auta i przestawiła wózek. Ale zanim zaparkowała, ktoś już go zabrał.

Znalazła następny przy wejściu.

Mogli śledził trasę samochodu Starling na monitorze i w oddali zauważył wielki napis SAFEWAY, który zbliżał się po prawej stronie.

- Zatrzymała się przy supermarkecie. - Wjechał na parking i po kilku sekundach ujrzał samochód agentki. Młoda kobieta pchała wózek w stronę wejścia. Carlo przyjrzał jej się przez lornetkę.

- To Starling. Wygląda jak na fotografiach. - Podał lornetkę Pierowi.

- Chciałbym zrobić jej zdjęcie - powiedział Piero. - Mam aparat z zoomem.

Naprzeciw samochodowi Starling było puste miejsce dla inwalidy. Mogli zająć je, ubiegając wielkiego lincolna z inwalidzką rejestracją. Kierowca zatrał złością.

Przez tylne okno furgonetki mieli widok na tył samochodu Starling.

Mogli, przyzwyczajony do amerykańskich samochodów, pierwszy zwrócił uwagę na starego pikapa stojącego na odległym stanowisku na końcu parkingu. Widział tylko szarą tylną klapy samochodu.

Pokazał pikapa Carlowi.

- Ma z tyłu imadło? Tak jak mówił ten gość ze sklepu? Zobacz przez lornetkę, bo ja nie widzę przez to pieprzone drzewo. *Carlo, c'è una morsa sul camione?*

- *Si*. Tak, jest imadło. W środku nie ma nikogo.

- Może powinniśmy pójść za nią do sklepu? - Tommaso rzadko sprzeciwiał się Carlowi.

- Nie, jeśli Lecter coś robi, to tutaj - zawyrokował Carlo.

Najpierw nabiał. Starling przejrzała kupony i wybrała ser do zapiekaneek. Cholera, nie ma co robić, tylko piec chrupiące bułeczki. Kiedy dotarła do działu mięsnego, zdała sobie sprawę, że zapomniała o masle. Zostawiła wózek i wróciła do chłodni z nabiałem.

Po powrocie do działu mięsnego okazało się, że wózek zniknął. Ktoś wyłożył jej zakupy na pobliską polkę. Ale zabrał kupony i listę.

- Cholera jasna - zaklela tak głośno, że parę osób zwróciło na to uwagę. Rozejrzała się. Nikt w polu widzenia nie trzymał grubego pliku kuponów. Wzięła kilka głębokich wdechów. Mogła przyciąć się przy kasach i spróbować zlokalizować swoją listę, jeśli nadal była przypięta do kuponów. Co tam, strata kilku dolarów. Nie mogła przejmować się takimi drobiazgami.

W pobliżu kas nie znalazła ani jednego pustego wózka. Ruszyła więc na parking po następny.

- *Ecco!* - Carlo zobaczył Lectera. Doktor szedł między samochodami szybkim, lekkim krokiem. Był w płaszczu z wielbłądziej wełny i w filcowym kapeluszu. Nosił podarunek, przejaw szalonej fanaberii. - *Madonna!* Podchodzi do jej samochodu. - W Sardynczyku obudził się łowca. Kontrolował oddech i przygotował się do oddania strzału. Przechwytywany świni zab wychylił się na chwilę spomiędzy warg.

Carlo nie mógł opuścić szyby w tylnym oknie furgonetki.

- *Metti in moto!* Cofnij i stan bokiem do niego - zazała.

Doktor Lecter zatrzymał się przy mustangu po stronie pasażera, ale rozmyślił się i podszedł do drzwi kierowcy. Pewnie nie chciał rezygnować z przyjemności obwacania kierownicy.

Rozejrzał się i wysunął z rekawa noż.

Furgonetka ustawiła się bokiem do doktora. Carlo był gotowy do oddania strzału. Dotknął przycisku elektrycznego opuszczania szyb. Nic.

- *Mogli, il finestrino!* - odezwał się nienaturalnie spokojnym głosem.

Pewnie włączono blokadę, pomyślał Mogli i zaczął szukać odpowiedniego przełącznika.

Doktor Lecter wsunął ostrze noża do szpary w oknie i otworzył drzwi samochodu Starling. Zaczął wsiadać.

Przeklinając, Carlo wreszcie trochę opuścił boczną szybę i podniósł strzelbę. Piero odsunął się. Kiedy padł strzał, furgonetka zakolysała.

Pocisk błysnął w słońcu i z głuchym odgłosem wbił się przez wykrochmalony kolnierzyk w szyję doktora Lectera. Srodek, wprowadzony w tak dużej dawce i w tak krytyczne miejsce, zadziałał natychmiast. Doktor próbował się wyprostować, ale zawiodły go kolana. Paczka wypadła mu z rąk i

potoczyła się pod samochód. Zdolał tylko wyciągnąć z kieszeni noż i wysunąć ostrze, lecz zaraz osunął się przy otwartych drzwiach. Środek usypiający zamienił jego kończyny w watę.

- Misza - szepnął, tracąc przytomność.

Piero i Tommaso rzucili się na Lectera jak tygrysy i przycisnęli go do ziemi między samochodami. Puscili dopiero wtedy, gdy się upewnili, że jest nieprzytomny.

Pchając kolejny wózek w kierunku wejścia, Starling usłyszała charakterystyczny trzask broni pneumatycznej. Rozpoznała go natychmiast. Odruchowo schyliła się, mijana przez nikogo nieswiadomych ludzi. Nie potrafiła ustalić, gdzie padł strzał. Spojrzała na swój wóz. Zobaczyła czyjeś nogi znikające w furgonetce. Pomyslała, że to porwanie.

Sięgnęła ręką do biodra, ale nie znalazła tam pistoletu. Biegła w stronę furgonetki, manewrując wozkiem między samochodami.

Lincoln wrócił w to samo miejsce. Starszy mężczyzna za kierownicą zaczął trąbić na nieprawidłowo zaparkowaną furgonetkę. Klakson zagłuszył głos Starling.

- Stac! FBI! Stac, bo strzelałem! - Może chociaż zapamięta numery rejestracyjne.

Na widok nadbiegającej Starling, Piero przeciał zabranym Lecterowi nożem trzonek zaworu w lewej przedniej oponie mustanga. Wskoczył do furgonetki. Wóz przejechał przez pas zieleni i oddalił się w stronę wyjazdu. Starling przyjrzała się tablicy rejestracyjnej. Palcem zapisała numery na zabrudzonej masce samochodu.

Wyjęła z torebki kluczyki. Gdy wsiadła do samochodu, usłyszała syk powietrza uchodzącego z trzonka zaworu. Widziała dach wyjeżdżającej furgonetki.

Zapukała w szybę lincolna.

- Maja państwo telefon komórkowy? Jestem z FBI. Maja państwo czy nie?

- Odjeżdżaj, Noel - powtarzała pasażerka, szczypiąc kierowcę w nogę. - Chcesz mieć kłopoty? To jakiś podstęp. Nie mieszaj się. - Lincoln odjechał.

Starling pobiegła do automatu i zadzwoniła pod 911.

Zastępca szeryfa Mogli przejechał piętnaście przecznic przy maksymalnej dopuszczalnej prędkości.

Carlo wyciągnął z szyi doktora Lectera naboje. Odetchnął z ulgą, kiedy z dziury nie trysnęła krew. Pod skórą powstał krwiook wielkości ćwierćdolarówki. Środek usypiający miał się rozprzestrzenić po ciele. Inaczej sukinyś umarłby, zanim dobrałyby się do niego świni.

W furgonetce nikt się nie odzywał. Słychać było tylko ciężkie oddechy mężczyzny i bełkot policyjnego radia pod deską rozdzielczą. Lecter leżał na podłodze w swoim eleganckim płaszczu.

Kapelusz zsunal sie z gladko zaczesanych wlosow. Na kolnierzyku widniala jedna plamka krwi. Doktor wygladal jak bazant w rzezniczej klatce.

Mogli skrecil do garazu, wjechal na trzeci poziom i zatrzymal sie po to tylko, zeby odkleic napisy z bokow furgonetki i zmienic tablice rejestracyjne.

Nie musial sie wysilac. Zasmial sie do siebie, gdy policyjne radio podalo komunikat. Dyżurny pod 911 najwyrazniej zle zrozumial opis Starling. Agentka powiedziala „szara furgonetka”, a policjant zarzadzil poszukiwania szarego forda

Ka. Zastepca szeryfa musial przyznac, ze operator dobrze spisal prawie caly numer rejestracyjny. Pomyлил tylko jedna cyfre.

- Zupelnie jak w Illinois - skomentowal Mogli.

- Kiedy zobaczylem noz, pomyslalem, ze sprobujecie sie zabic, zeby uniknac tego, co go czeka - wyznal kompanom Carlo. - Bedzie zalowal, ze nie poderznil sobie gardla.

Kiedy Starling sprawdzala pozostale opony, zauwazyla paczke pod samochodem.

Butelka Chateau d'Yquem za trzysta dolarow i zyczenia:

Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin, Clarice.

Rozpoznala charakter pisma.

Wtedy dopiero zrozumiala, czego byla swiadkiem.

## ROZDZIAI 78

Starling pamietala wszystkie potrzebne numery. Jechac taki kawal do domu i zadzwonic ze swojego telefonu? Nie. Wrocila do automatu. Odebrala lepka sluchawke mlodej kobiecie, przeprosila i wrzucila do automatu monety. Kobieta poszla szukac sklepowego ochroniarza.

Clarice zadzwonila do Sekcji Operacyjnej biura terenowego FBI w Waszyngtonie w Buzzard's Point.

Dobrze znali tam Starling. Sluzyla w grupach operacyjnych FBI przez wiele lat. Szybko polaczono ja z biurem Clinta Pearsalla. Starling grzebala w kieszeniach, szukajac kolejnych monet. Probowala jednoczesnie udobruchac ochroniarza, ktory domagal sie od niej dokumentow.

Wreszcie w sluchawce odezwal sie znajomy glos.

- Panie Pearsall, widzialam trzech mezczyzn, moze czterech, ktorzy piec minut temu



uprowadzili Hannibala Lectera na parkingu przed supermarketem „Safeway”. Uszkodzili mi opony. Nie mogłam ich gonic.

- Czy chodzi o tego forda z komunikatu policji?

- Nic nie wiem o żadnym fordzie. To była szara furgonetka z inwalidzka rejestracja. - Starling podala numer.

- Skąd wiesz, że porwano Lectera?

- Zostawił mi prezent pod samochodem.

- Rozumiem... - Pearsall zamilkł. Cisze przerwała Starling.

- Panie Pearsall, pan wie, że za tym stoi Mason Verger. Na pewno. Nikt inny by tego nie zrobił. Jest sadysta. Zamierza zamordować doktora na śmierć. Chce się przyglądać, jak Lecter kona. Musimy zatrzymać wszystkie pojazdy Masona i zdobyć od prokuratora nakaz rewizji posiadłości Vergerów.

- Starling... Chryste! Posłuchaj, zadam ci to pytanie tylko jeden raz. Czy na pewno to wszystko widziałas? Zastanów się przez chwilę. Pomyśl o swoich sukcesach. O złożonej przysiędze. Później nie będziesz miała odwrotu. A więc, co widziałas?

Co powiedzieć? Że nie jest histeryczka? Histerycy zawsze tak mówią. W jednej chwili zrozumiała, jak szybko straciła zaufanie Pearsalla i na jak słabych fundamentach się ono opiera.

- Widziałam trzech mężczyzn, może czterech, którzy uprowadzili człowieka na parking przed „Safewayem”. Na miejscu przestępstwa znalazłam prezent od doktora Hannibala Lectera: butelkę Chateau d'Yquem z tego samego roku, w którym się urodziłam i życzenia napisane jego ręką. Zawiadamiam o tym pana, Clinta Pearsalla z biura terenowego w Buzzard's Point.

- Zgłaszam to jako porwanie, Starling.

- Już jadę. Proszę mnie przydzielić do grupy operacyjnej.

- Niestety, nie mogę cię nawet wpuszczać do środka.

Starling załowała, że nie odjechała przed pojawieniem się na parking policji z Arlington. Piętnaście minut trwała korekta komunikatu dotyczącego pojazdu porwawczy. Zeznanie Starling spisywała tepawa funkcjonariuszka w ciężkich butach z lakierowanej skóry. Błoczek z mandatami, radio, sprej z gazem, bronie i kajdanki sterczały we wszystkie strony przy jej wielkich poślach, a kurtka rozlaża się w szwach. Policjantka nie mogła się zdecydować, czy w rubryce „miejsce pracy” wpisać FBI, czy „nie dotyczy”. Starling wskazała na ślady opon na trawniku. Żaden z policjantów nie miał aparatu fotograficznego. Pożyczyła im swój.

Podczas składania zeznań Starling robiła sobie w myślach wyrzuty: Powinnam ich gonic, powinnam ich gonic, powinnam wyrzucić faceta za frak z tego lincolna i ich gonic.

## ROZDZIAŁ 79

Krendler pierwszy dostał cynk o porwaniu. Wykonał kilka telefonów do swoich informatorów. Dopiero potem zadzwonił do Masona z bezpiecznego telefonu.

- Starling widziała porwanie. Tego się nie spodziewaliśmy. Robi zamieszanie w biurze terenowym w Waszyngtonie. Zasugerowała, żeby przeszukano twój dom.

- Krendler... - Mason czekał na oddech, a może był wyprowadzony z równowagi. Krendler nie potrafił tego stwierdzić. - Zawiadomilem już władze lokalne, szeryfa i biuro prokuratora, że Starling nie daje mi spokoju, dzwoni po nocach z nedorzecznymi grozbami.

-A dzwoniła?

- Oczywiście, że nie, ale nie może tego udowodnić. Po prostu zmocimy nieco wodę. Teraz nie boję się nakazów rewizji. Ale chce, żebyś zadzwonił do prokuratora stanowego i przypomniał mu, że ta suka mnie przesładowała. Miejscowymi sam się zajmę.

## ROZDZIAŁ 80

Starling uwolniła się wreszcie od policji. Wymieniła koło i wróciła do domu, do swojego telefonu i komputera. Straszliwie brakowało jej komórki FBI.

Na sekretarce czekała wiadomość od Mapp: „Starling, przypraw potrawkę i wstaw ją na mały ogień. Nie dodawaj jeszcze warzyw. Pamiętaj, co się stało ostatnim razem. Mam tu przesłuchanie dyscyplinarne. Na pewno potrwa do piątej”.

Starling włączyła laptopa. Próbowała wejść do pliku Lectera w bazie danych VICAP, ale odmówiono jej wstępu do sieci komputerowej FBI. Każdy wiejski funkcjonariusz policji miał teraz lepszy od niej dostęp do informacji FBI.

Zadzwonił telefon.

ClintPearsall.

- Starling, czy groziłaś Masonowi Vergerowi przez telefon?

- Nigdy, przysięgam.

On twierdzi, że tak. Zaprosił szeryfa do swojej posiadłości, a właściwie nakłonił go, żeby przyjechał. Nie będzie więc rewizji. Po prostu się rozejrzy. Nie mamy żadnego świadka porwania. Oprócz ciebie.

- Był tam biały lincoln z para starszych ludzi. Panie Pearsall, można przecież sprawdzić, kto płacił w „Safewayu” karta kredytowa przed tym incydentem. Na wydrukach kasowych podany jest czas.

- Oczywiście, ale to...

- ...wymaga czasu dokonała Starling.

- Starling?

- Słucham.

- Tak między nami, będę ci informował o rozwoju wydarzeń. Ale trzymaj się od tego z daleka. Zostałaś zawieszona i nie masz prawa o niczym wiedzieć. Jesteś szarym obywatelem.

- Jasne.

Na co patrzymy, gdy podejmujemy ważne decyzje? Nie żyjemy w społeczeństwie refleksyjnym, nie wznosimy oczu ku wzgórzom. Zwykle o krytycznych rzeczach decydujemy na korytarzach instytucji, wpatrując się w wyłożoną

linoleum podłogę albo szeptać coś pośpiesznie w poczekalni przy roztrajkotanym telewizorze.

Starling przeszła przez kuchnię i zagłębiła się w ciszy i ładzie mieszkania Mapp. Spojrzała na fotografię zarywanej kobiety, wynalazczynie słynnej herbatki. Popatrzyła na oprawioną w ramkę polise ubezpieczeniową babci. Połowa bliźniaka zajmowana przez Mapp odzwierciedlała charakter lokatorki.

Starling wróciła do swojej części, która wyglądała, jakby nikt tam nie mieszkał. Co powiesiła w ramce na ścianie? Dyplom Akademii FBI. Nie zachowały się żadne zdjęcia matki i ojca. Żyła sama tak długo. Pozostała jej tylko pamięć o rodzicach. Czasem czuła na sobie ich dotyk: w smaku śniadania, w zapachu, w strzepie rozmowy, podsłuchanym powiedzeniu z jej stron. Najmocniej czuła obecność rodziców w swojej zdolności rozróżniania dobra i zła.

Kim, u diabła, była? Kto kiedykolwiek ją poznał?

„Jesteś wojownikiem, Clarice. Możesz być tak silna, jak tego chcesz”.

Starling potrafiła zrozumieć, że Mason pragnie śmierci Hannibala Lectera. Gdyby zabił go sam lub wynajął płatnego mordercę, scierpiałaby to; Mason miał powody do zemsty.

Ale nie mogła znieść myśli, że doktor Lecter zostanie zamęczony na śmierć; buntowała się przeciwko temu tak jak kiedyś przeciwko rzezi owiec i koni.

„Jesteś wojownikiem, Clarice”.

Brzydziła się zamiarami Masona. Brzydziła się cichym przyzwoleniem na to ludzi, którzy

przysięgali strzec prawa. Taki jest ten świat.

Świat nie musi być taki na wyciągnięcie moich ramion.

Zdała sobie sprawę, że stoi na stolku w garderobie i wyciąga do góry ręce.

Zdjęła pudełko, które adwokat Johna Brigham'a dostarczył jej jesienią. Wydawało jej się, że od czasu spotkania z prawnikiem upłynęły wieki.

Przekazywanie osobistego rynsztunku pozostałemu przy życiu towarzyszowi broni ma długą tradycję. Jest w tym coś mistycznego. Chodzi o kontynuację wartości, które przekraczają granice ludzkiej śmiertelności.

Człowiek żyjący w bezpiecznych czasach może mieć trudności ze zrozumieniem tego rytuału.

Pudełko, w którym znajdowała się broń Johna Brigham'a, było prawdziwym cackiem. Pewnie kupił je na Dalekim Wschodzie, kiedy służył w piechocie morskiej. Mahoniowa skrzyneczka z wiekiem inkrustowaną masą perłową. Pistolety były wysłużone, świetnie utrzymane, nieskazitelnie czyste - cały Brigham. Pistolet M1911A1 Colt 45 i skrócona wersja safari arms do noszenia w ukryciu, sztylet z jednym ząbkowanym ostrzem, zwykle chowany w bucie. Starling miała własne futerały. Stara odznaka FBI Johna

Brigham'a umocowano na mahoniowej płytce. Odznaka BATF leżała luźno w pudełku.

Starling odczepiła odznaka FBI i schowała ją w kieszeni. Colt trafił do indyjskiej kabury na biodrze.

Krotki pistolet schowała w futerał przy jednej kostce, a przy drugiej, w bucie, noż. Wyjęła z ramki dyplom i włożyła go do kieszeni. W ciemnościach ktoś mógłby pomylić go z nakazem rewizji. Kiedy zginała sztywny papier, niezupełnie czuła się sobą. I cieszyła się z tego.

Kolejne trzy minuty przy laptopie. Z Mapquest Web wydrukowała mapę Muskrat Farm i lasów państwowych otaczających posiadłość. Przez chwilę wodziła palcem po granicach własnego królestwa Masona.

Spaliny z wielkich rur mustanga przygięły trawę do ziemi, kiedy Starling wyjeżdżała z podjazdu. Zdecydowała się złożyć wizytę Vergerowi.

## ROZDZIAŁ 81

Glusza nad Muskrat Farm przypomina ciszę dawnego szabas. Mason był niesamowicie dumny, że wreszcie osiągnął cel. Porównywał swój wyczyn z odkryciem radu.

Duża ilustrowana książka do fizyki była jego ulubionym podręcznikiem; jej rozmiary pozwalały

mu masturbowac sie w klasie. Czesto, kiedy sie onanizowal, spogladal na fotografie Marii Sklodowskiej-Curie. Teraz tez myslal o niej i o tonach blendy smolistej, ktora gotowala, aby uzyskac rad. Moje starania w duzym stopniu przypominaja jej wysilki, pomyslal.

Po zmudnych poszukiwaniach i wielu inwestycjach wreszcie dopadl Lectera.

Oczami wyobrazni widzial, jak doktor jarzy sie w ciemnosci niczym fioletka w laboratorium pani Sklodowskiej. Wyobrazal sobie, jak swinie, ktore pozra Lectera, zasypiaja po posilku w lesie ze swiecacych jak zarowki brzuchami.

Byl piatek wieczor, zapadal zmierzch. Personel rozjechal sie do domow. Zaden z pracownikow nie widzial przyjazdu furgonetki. Wjechala glowna brama, lecz do posiadlosci dotarla droga przez las. Szeryf i jego ludzie dokonali pobieznych oględzin i opuscili krolestwo Masona na dlugo przed pojawieniem sie furgonetki przed stodola. Glowna brama byla strzezona, a na terenie pozostala tylko grupka najbardziej zaufanych osob.

Cordell byl na stanowisku w pokoju z zabawkami - zmiennik mial przyjechac o polnocy. Margot i Mogli, ktory caly czas nosil swa odznake zastepcy szeryfa, towarzyszyli Masonowi, a zespol zawodowych porywaczy pracowal w stodole.

Do niedzieli w nocy bedzie juz po wszystkim. Dowody zostana spalone lub ulegna strawieniu w jelitach szesnastu swin. Mason wpadl na pomysl, ze poczestuje murene jakimś smakolykiem z doktora Lectera - chocby nosem.

I przez nastepne lata, przygladajac sie osemkom kreconym przez niezmordowana rybe, bedzie wiedzial, ze ten znak nieskonczonosci symbolizuje wieczna smierc Lectera.

Mason zdawal sobie sprawe, ze spelnienie jego najwiekszego pragnienia moze byc niebezpieczne. Co mu zostanie po zabiciu doktora Lectera? Bedzie mogl nadal rujnowac rodziny zastepcze i dreczyc male dzieci. Albo popijac martini z domieszka dziecięcych lez. Ale z czego bedzie czerpal prawdziwa perwersyjna rozkosz?

Co za glupota, zeby tak szczesliwy dzien psuc sobie obawami o przyszlosc. Poczekal, az wzrok wyklaruje mu sie po spryskaniu galki ocznej malenkim obloczkiem wilgoci, i dmuchnal w jedna z rurek. W kazdej chwili mogl wlaczyc monitor i ujrzec swoje trofeum...

## **ROZDZIAI 82**

Zapach plonacych wegli w magazynie ze sprzetem jezdzieckim w stodole Masona, zapachy zwierzat i ludzi. Swiatlo ognia na dlugiej czaszce konia wyscigowego, pustej jak opatrznosc, spogladajacej na wszystko zza konskich okularow.

Czerwone wegla w kowalskim piecu buchaja plomieniem i rozjasniaja sie przy podmuchach

syczacych miechów. Carlo podgrzewa sztabe żelaza, już rozgrzana do koloru wiśni.

Doktor Lecter wisi na ścianie pod czaszką konia niczym rzeźba nad ołtarzem. Jego ramiona są rozpostarte po obu stronach i mocno przywiązane sznurem do orczyka, grubej debowej poprzeczki z konskiej uprząży. Orczyk biegnie wzdłuż pleców doktora jak kablak i jest przytwierdzony do ściany klamrą wykonaną przez Carla. Nogi doktora nie sięgają ziemi. Są związane wieloma zwojami sznura, każdy z nich zakończony jest supłem. Nie założono ani lancucha, ani kajdanek - nic metalowego, co mogłoby uszkodzić swinskie zęby lub zniechęcić zwierzęta do posiłku.

Żelazo w piecu rozgrzewa się do białości. Carlo przenosi je szczypcami do kowadła i uderza młotkiem. Z jasnej kłody powstaje nowa klamra. Czerwone iskry fruwały w półmroku, odbijają się od torsu Sardynczyka i spadają na wiszącą postać doktora Hannibala Lectera.

Telewizyjna kamera Masona wygląda dziwnie wśród starych narzędzi. Oko obiektywu spogląda na doktora Lectera z pajakowatego metalowego stojaka. Na stole warsztatowym stoi monitor, jeszcze ciemny.

Carlo znów podgrzewa klamrę i pośpiesznie wynosi na zewnątrz. Chce przymocować ją do podnośnika, gdy jest jeszcze czerwona i elastyczna. Stukanie młotem odbija się echem w wysokiej stodole. Uderzenie i echo, bum-bum, bum-bum.

Na poddaszu rozlega się skrzypiący szczebiot, gdy Piero znajduje na falach krótkich relacje z meczu piłkarskiego. Drużyna z Cagliari gra w Rzymie ze zniechęconym Juventusem.

Tommaso siedzi w trzcinowym fotelu. Strzelba ze środkiem usypiającym stoi obok oparta o ścianę. Włoch nie spuszcza ciemnych oczu z twarzy doktora Lectera.

Nagle dostrzega subtelna zmianę w bezruchu związanego: przejście od nieswiadomości do nienaturalnej samokontroli, być może zasygnalizowane tylko różnicą brzmienia oddechu ofiary.

Tommaso wstaje z fotela i woła za siebie.

- Si sta svegliando.

Carlo wraca do magazynu. Cały czas zuje swinski zab, który co chwila pojawia się między wargami. Sardynczyk niesie spodnie wypchane owocami, warzywami, mięsem kurczaków. Pociera spodniami o ciało doktora Lectera.

Przezornie trzyma rękę z dala od twarzy doktora. Chwyta wiszącego za włosy i podnosi jego głowę.

- Buona sera, Dottore.

Trzask z głośnika na telewizyjnym monitorze. Monitor włącza się i ukazuje twarz Masona...

- Zapalic światło nad kamerą - zezwolił Mason. - Dobry wieczór, doktorze Lecter.

Doktor po raz pierwszy podniósł powieki.

Carlo miał wrażenie, że w oczach potwora rozbłysły iskry, ale to pewnie odbijał się w nich ogień. Przeklinał się, aby odpedzić złe moce.

- Mason - zwrócił się do kamery doktor. Za Vergerem dostrzegł sylwetkę kobiety, ciemna na tle akwarium. - Dobry wieczor, Margot - dodał kurtuazyjnym tonem. - Ciesze się, że znowu cię widzę. - Mówił wyraźnie, widocznie obudził się już dawno.

- Doktorze Lecter - rozległ się chrapliwy głos Margot. Tommaso włączył reflektor nad kamerą. Ostre światło na chwilę oslepilo wszystkich.

- Doktorze mówił Mason głębokim radiowym głosem - za jakieś dwadzieścia minut planujemy podać naszym świniom pierwsze danie. Panskie stopy. Wtedy pan i ja urządzimy sobie małe przyjęcie. Nie będzie się już pan musiał martwić o obuwie. Cordell utrzyma pana przy życiu przez dłuższy czas...

Mówił dalej, a Margot pochylała się, żeby lepiej widzieć, co się dzieje w stodole.

Doktor Lecter spojrzał w monitor. Chciał się upewnić, czy Margot go ogląda.

- Twój brat, Matteo, musi teraz śmierdzieć gorzej od ciebie. Zesrał się, kiedy go ciałem - szepnął Carlowi metalicznym głosem.

Sardyńczyk sięgnął do tylnej kieszeni i wyciągnął elektryczny przyrząd do porażania bydła prądem. W jasnym świetle reflektora uderzył nim doktora w głowę. Jedną ręką przytrzymał ofiarę za włosy, drugą przycisnął przycisk na ręczce. Przybliżył paralizator do twarzy Lectera - między elektrodami popłynął prąd o wysokim napięciu.

- Pieprze twoją matkę - powiedział i dzgnął doktora paralizatorem w oko.

Lecter nie wydał z siebie żadnego dźwięku, za to z głośnika popłynął donosny krzyk. Mason ryczał tak głośno, na ile pozwalał mu dawnowany oddech. Tommaso próbował odciągnąć Carla. Z poddasza na pomoc przyszedł mu Piero. Posadzili Sardyńczyka w trzcinowym fotelu.

- Oslepisz go i nie dostaniemy pieniędzy! - wrzeszczeli z obu stron jeden przez drugiego.

Doktor Lecter przysłonił stopy w swoim palacu pamięci, żeby uchronić się przed potwornym blaskiem. Ach. Przytknął policzek do chłodnego marmurowego boku Wenus.

Doktor Lecter zwrócił twarz ku kamerze.

- Nie chce czekolady, Masonie - wycedził.

- Sukinsyn zwariował. Zreszta zawsze był szalony - stwierdził zastępca szeryfa Mogli. - Carlo też dostał świra.

- Idz tam i ich uspokoij - zazadal Mason.

- Na pewno nie sa uzbrojeni? - zapytal Mogli.

- Nie po to ci place, zebys trzasil portkami. Nie sa. Maja tylko strzelbe ze srodkiem usypiajacym.

- Ja sie tym zajme - oznajmila Margot. - Nie pozwole na te samcze wyglupy. Wlosi szanuja swoje matki. A poza tym Carlo wie, ze ja trzymam pieniadze.

- Wyprowadz kamere i pokaz mi swinie - poinstruowal ja Mason. - Kolacja o osmej!

- Nie wezme w niej udzialu - oznajmila Margot.

- Wrecz przeciwnie - oznajmil Mason.

## ROZDZIAI 83

Przed stodola Margot zrobila gleboki wdech. Jesli przyzwala na jego smierc, powinna byc w stanie na niego patrzec. Zanim otworzyla drzwi do magazynu, czula juz smrod Carla. Piero i Tommaso stali po obu stronach doktora Lectera. Przed nimi w fotelu siedzial Sardynczyk.

- *Buona sera, signori* - pozdrowila wszystkich Margot. - Twoi przyjaciele maja racje, Carlo. Jesli cos mu teraz zrobisz, nie dostaniesz pieniedzy. Zaszedles juz tak daleko i swietnie sie dotad sprawowales.

Carlo nie spuszczal oczu z twarzy doktora Lectera.

Margot wyjela z kieszeni telefon komorkowy. Wybrala numer na podswietlonej klawiaturze i wyciagnela reke do Carla.

- Prosze. - Trzymala telefon na wysokosci jego oczu. - Przeczytaj. Na wyswietlaczu widniala nazwa BANCO STEUBEN.

- To twój bank w Cagliari, *signore* Deogracias. Jutro rano, juz po wszystkim, kiedy zemscisz sie za smierc swego dzielnego brata, zadzwonie pod ten numer, podam haslo i powiem: „Prosze wyplacic *signorowi* Deograciasowi pozostala czesc pieniedzy". Twój bankier potwierdzi transakcje przez telefon. A wieczorem odleczisz do domu jako bogaty czlowiek. Rodzina Mattea tez bedzie bogata. Na pocieszenie mozesz zawiezc im w foliowym woreczku jadra doktora. Ale jesli Lecter nie bedzie sie przygladal wlasnej smierci, jesli nie zobaczy swin, ktore zjadaja mu twarz, nic nie dostaniesz. Badz mezczyzna, Carlo. Idz do swin. Ja posiedze z tym skurwysynem. Za pol godziny uslyszysz jego wrzaski, gdy swinie dobiora mu sie do nog.

Carlo odrzucil glowe do tylu i wzial gleboki wdech.



- Piero, andiamo! Tu, Tommaso, rimani.

Tommaso zajął miejsce w trzcinowym fotelu przy drzwiach.

- Wszystko jest pod kontrolą, Masonie - powiedziała do kamery Margot.

- Będzie chciał zabrać do domu nos Lectera. Powiedz to Carlowi - poprosił Mason. Ekran zgasł. Przetransportowanie Vergera z pokoju kosztowało jego ludzi wiele wysiłku. Wymagało przełączenia licznych rurek do pojemników na ruchomym łóżku i podłączenia respiratora do przenośnego źródła prądu.

Margot spojrzała w twarz doktora Lectera.

Porazone oko było zamknięte i spuchnięte między czarnymi śladami, pozostawionymi przez elektrody po obu stronach brwi.

Doktor Lecter otworzył zdrowe oko. Nadal czuł na twarzy chłód marmuru z posagu Wenus.

- Podoba mi się zapach tej masek. Ma rześki, cytrynowy aromat - powiedział. - Dziękuję, że przyszedłaś, Margot.

- Powiedział pan dokładnie to samo pierwszego dnia, kiedy pielęgniarka wprowadziła mnie do pańskiego gabinetu.

- Naprawdę? - spytał ze zdziwieniem, choć właśnie powrócił z palacu pamięci, gdzie przejrzał swoje rozmowy z Margot, i wiedział o tym doskonale.

- Tak. Plakałam wtedy. Przeraziła mnie myśl, że mam opowiedzieć o sobie i Masonie. Nie poprosił mnie pan, żebym usiadła. Wiedział pan, że miałam szwagierkę, prawda? Spacerowaliśmy po ogrodzie. Pamięta pan, co mi wtedy powiedział?

- Nie można cię winić za to, co się stało, tak jak...

- ...nie można winić kogoś za to, że ugryzł go w tyłek zły pies. Wtedy sprawił pan, że poczułam się lepiej. Podobnie było podczas następnych wizyt. Czulałam wdzięczność przez jakiś czas.

- Co jeszcze ci powiedziałem?

- Że jest pan dużo bardziej zakrecony ode mnie - przypomniała. - I że nie ma w tym nic złego.

- Jeśli się postarasz, przypomnisz sobie wszystko, o czym mówiliśmy. Pamiętasz...

- Proszę mnie o nic nie błagać - wyrwało jej się niespodziewanie. Doktor Lecter poruszył się lekko. Sznury zatrzeszczały. Tommaso wstał i podszedł do niego, żeby sprawdzić węzły.

- *Attenzione alla bocca, signorina.* Niech pani uważa na jego gebę. Nie wiedziała, czy Tommaso ma na myśli zęby, czy słowa doktora.

- Margot, minelo tyle lat, odkad sie u mnie leczylas. Chcialbym porozmawiac o stanie twojego zdrowia. Tylko przez chwile. Na osobnosci. - Strzelil zdrowym okiem w strone Tommasa.

Margot zastanowila sie.

- Tommaso, zostaw nas na moment samych.

- Przykro mi, *signorina*, to niemozliwe. Stane na zewnatrz przy otwartych drzwiach. - Tommaso wyszedl ze strzelba ze stodoly i obserwowal doktora Lectera z oddali.

- Nie zamierzam stawiac cie w krepujacej sytuacji moimi prosbami o litosc, Margot. Jestem jednak ciekaw, dlaczego to robisz. Powiesz mi? Czy zaczelas przyjmowac czekolade, jak to ujmuje Mason, po tak dlugiej walce z nim? Nie musimy udawac, ze chodzi ci o zemste za twarz Masona.

Wyjasnila wszystko. Opowiedziala o Judy, o checi posiadania dziecka. Zajelo jej to niespelna trzy minuty; byla zdziwiona, jak latwo moze podsumowac swoje problemy.

Odlegly dzwiek, pisk i urwany krzyk. Za stodola, pod wzniesionym przez siebie ogrodzeniem Carlo manipulowal przy magnetofonie. Za pomoca roznych krzykow przerazenia przygotowywal sie do wezwania z pastwiska swin.

Doktor Lecter nie pokazal po sobie, czy cos uslyszal.

- Margot, myslisz, ze Mason dotrzyma slowa? Odpowie na twoje blagania? Ale czy blagania odniosly skutek, kiedy sie do ciebie dobieral? Zupelnie jakbys przyjmowala od niego czekolade i ulegala mu calkowicie. Ale on bedzie zmuszal Judy do swinstw, do ktorych nie jest przyzwyczajona.

Margot zacisnela szczeki.

- Wiesz, co by sie stalo, gdybys zamiast sie skradac do Masona, polaskotala jego gruczol krokowy paralizatorem Carla? Popatrz, lezy tam na stole. Margot zaczela wstawac.

- Posluchaj - syknal doktor. - Mason nie pojdzie ci na reke. Bedziesz musiala go zabic. Wiesz o tym od dwudziestu lat, odkad kazal ci wbic zeby w poduszke i nie robic tyle halasu.

- A wiec zrobilby pan to dla mnie? Nie moglabym panu zaufac.

- Nie, oczywiscie, ze nie. Przysiegam jednak, ze nigdy bym sie nie wyparl tego czynu. Zabicie Masona przez ciebie bedzie miało doskonały efekt terapeutyczny. Pamietasz, zalecalem ci to samo, gdy bylas dzieckiem.

- „Poczekaj na dogodny moment”, powiedzial pan. Znajdowalam w tym pewna pocieche.

- To rodzaj *katharsis*. Jako lekarz musialem ci polecic te terapie. Teraz dojrzalas do czynu. Jaka roznice sprawi mi kolejne oskarzenie o morderstwo? Wiesz, ze musisz go zabic. A kiedy to zrobisz, pieniadze legalnie dostana sie tobie i dziecku. Margot, tylko na mnie mozesz zrzucic cala wine. Jesli zginie przed Masonem, na kogo padnie podejrzenie? Mozesz to zrobic, kiedy zechcesz. Ja

napisze list, w którym bede sie chwalił, jak wielka przyjemnosc sprawilo mi zabicie Masona.

- Nie, doktorze Lecter. Przykro mi. Jest juz za pozno. Wszystko przygotowalam. - Spojrzala mu w twarz blekitnymi oczyma rzeznika. Zabicie Masona nie zaklaci mi snu, wie pan o tym.

- Owszem. Zawsze podobala mi sie w tobie ta cecha. Jestes duzo bardziej interesujaca, duzo... zdolniejsza od brata. Wstala, zeby odejsc.

- Przepraszam, doktorze, jesli moje przeprosiny maja dla pana wartosc. Zanim dotarla do drzwi, uslyszala glos Lectera.

- Margot, kiedy Judy ma nastepna owulacje?

- Co? Chyba za dwa dni.

- Masz wszystko, czego ci trzeba? Preparaty, sprzet do szybkiego zamrazania?

Przytaknela.

- Zaopatruje nas klinika.

- Zrob cos dla mnie.

- Tak?

- Przeklnij mnie i wyrwij mi troche wlosow, najlepiej z czubka glowy. Z kawalkiem skory. Trzymaj je w dloni, wracajac do domu. Pomysl o wlozeniu ich do reki Masona. Kiedy juz nie bedzie zyl. - Zamilkl na chwile. - W domu poprosisz Masona o to, czego potrzebujesz. Zobaczysz, co powie, jak zareaguje. Dostarczylas mnie, wywiazalas sie ze swojej czesci umowy. Kiedy rozesmieje ci sie w twarz, wroc do mnie. Bedziesz musiala wziac strzelbe ze srodkiem usypiajacym i strzelic do tego za toba. Albo uderzyc go mlotkiem. Ma przy sobie noz. Przetniesz mi tylko peta na jednej rece i dasz noz. Potem bedziesz mogla wyjechac. Ja zrobie reszte.

- Nie.

- Margot?

Polozyla reke na drzwiach, zdecydowana nie poddawac sie.

- Nadal potrafisz rozlupac orzecha w dloni?

Siegnela do kieszeni i wyjela dwa orzechy. Miesnie przedramienia napiely sie i skorupki trzasnely.

Doktor zachichotal.

- Wspaniale. Co za sila! Orzechy. Mozesz je dac Judy, zeby mogla zabic smak Masona.

Margot wrocila do niego z zacisnietymi zebami. Splunela Lecterowi w twarz i wyrwala mu kosmyk wlosow z czubka glowy. Trudno powiedziec, dlaczego to zrobila.

Wychodzac ze stodoly, slyszala, ze doktor cos nuci.

Szla w strone oswietlonego domu z malym zakrwawionym kawalkiem skory przyklejonym do dloni. Nie musiala zaciskac palcow wokol wlosow.

Minal ja Cordell w meleksie zaladowanym sprzetem medycznym. Jechal przygotowac pacjenta.

## ROZDZIAI 84

Z estakady przy wyjezdzie z autostrady numer trzydziesci Starling dostrzegla w odleglosci okolo kilometra oswietlona stozowke, forpoczte Muskrat Farm. Po drodze do Marylandu podjela decyzje: wjedzie od tyłu. Gdyby pojawila sie przy glownej bramie bez odpowiednich dokumentow i bez nakazu, zostalaby pod eskorta wywieziona z okregu lub wyladowalaby w areszcie. I zanim wyszlaby na wolnosc, byloby juz po wszystkim.

Mniejsza o pozwolenie. Dojechala do wyjazdu numer dwadziescia dziewiec, sporo za Muskrat Farm, i wrocila droga lokalna. Asfaltowa trasa wydawala sie bardzo ciemna w porownaniu z jasno oswietlona autostrada, ktora teraz byla po prawej stronie. Po lewej ciagnal sie row, a za nim bylo wysokie siatkowe ogrodzenie oddzielajace droge od posepnej czerni lasu. Starling znalazla na mapie oddalone o niespelna dwa kilometry miejsce, gdzie asfaltowke miala przeciac zwirowa droga. Tam wlasnie przez pomylke zatrzymala sie podczas pierwszej wizyty. Wedlug mapy zwirowka biegla przez las az do Muskrat Farm, poza polem widzenia straznikow. Spogladala na licznik kilometrow. Mustang wydawal sie glosniejszy niz zwykle. Choc silnik pracowal na niskich obrotach, jego warkot odbijal sie od drzew.

Swiatla samochodu wylowily z mroku ciezka, metalowa brame uwieczona na gorze drutem kolczastym. Tabliczka z napisem WJAZD SLUZBOWY, ktora widziala podczas wczesniejszego pobytu, zniknela. Przed brama i na przejezdzie wyrosly chwasty.

W swiatlach reflektorow dostrzegla, ze rosliny niedawno przygnieciono. Tam, gdzie drobny zwir zostal podmyty, a zamiast niego lezala warstwa piasku, zobaczyla slady opon. Czy byly takie same, jak slady furgonetki na pasie zieleni przy supermarkecie? Nie mogla tego stwierdzic na pewno, ale nie wykluczala takiej mozliwosci.

Brame zabezpieczono chromowa klodka i lancuchem. Starling rozejrzala sie. Nikt nie nadjezdzal. Male wlamanko. Czula sie jak przestepca. Sprawdzila, czy na slupkach nie ma przewodow od czujnikow. Nie. Za pomoca dwoch spinek, z mala latarka w zebach, w niecale pietnascie sekund otworzyla klodke. Wjechala na teren posiadlosci, zatrzymala sie daleko miedzy drzewami i wrocila zamknac brame. Z powrotem zalozyla lancuch, z klodka na zewnatrz. Luzno wiszace konce lancucha zostawila po wewnetrznej stronie, zeby moc w razie koniecznosci

staranowac brame samochodem.

Kciukiem odmierzala odleglosc na mapie i obliczyla, ze od centrum farmy dziela ja trzy kilometry droga przez las. Ruszyla ciemnym tunelem. Spomiedzy tworzacych sklepienie galezi czasem przebijalo nocne niebo. Wrzucila drugi bieg i jechala na wolnych obrotach na swiatlach postojowych. Starala sie robic jak najmniej halasu. Chwasty ocieraly sie o podwozie. Kiedy licznik pokazal dwa i pol kilometra, zatrzymala woz i wylaczyla silnik. Uslyszala krzyk wrony w ciemnosci. Wrone cos zdenerwowalo. Starling modlila sie, zeby to byla wrona.

## ROZDZIAI 85

Cordell wszedl do magazynu w stodole dziarskim krokiem niczym kat. Pod pachami niosl kroplowki ze zwisajacymi rurkami.

- Doktor Hannibal Lecter we wlasnej osobie! - powiedzial na powitanie. - Bardzo chcialem miec panska maske w naszym klubie w Baltimore. Razem z moja dziewczyna prowadzimy lokal, cos w stylu zamkowych lochow. Obowiazuja skorzane stroje.

Polozyl przyniesione rzeczy na podstawce do kowadla i wetknal do ognia pogrzebacz.

- Mam dobra i zla wiadomosc - oswiadczył pogodnym, pielegniarskim glosem z lekkim szwajcarskim akcentem. - Mason zaznajomil pana z programem spotkania? Plan przedstawia sie nastepujaco: za chwile sprowadze na dol Masona. Potem swinie skonsumuja panske stopy. Przeczeka pan noc i jutro Carlo razem z bracmi wystawia przez kraty panska glowe, zeby swinie mogly najpierw zjesc twarz, tak jak psy zjadly twarz Masona. Do samego konca utrzynam pana przy zyciu dzieki kroplowkom i opaskom uciskowym. Sytuacja wyglada naprawde powaznie. I to byla zla wiadomosc.

Cordell zerknal na monitor telewizyjny, zeby sie upewnic, czy jest wylaczony.

- A teraz dobra wiadomosc. Nie musi bolec bardziej niz podczas wizyty u dentysty. Prosze popatrzec, doktorze. - Cordell podetknal Lecterowi pod nos strzykawke z druga igla. - Pomowmy jak dwaj przedstawiciele profesji medycznej. Istnieje mozliwosc zastosowania znieczulenia rdzeniowego. Nic pan nie poczuje w nogach. Moglby pan zamknac oczy i probowac nie sluchac.

Bedzie pan tylko czul szarpniecia. Kiedy Mason napatrzy sie. i wroci do domu, podam panu cos, co zatrzyma prace serca. Chce pan zobaczyc? - Cordell przysunal fiolke do otwartego oka Lectera, ale na tyle daleko, zeby doktor go nie ugryzl.

Swiatlo ognia drgalo na chciwej twarzy Cordella. Majordomus mial blyszczace, szczesliwe oczy.

- Jest pan bardzo bogaty, doktorze Lecter. Wszyscy to mowia. Ja umiem dbac o wlasne

interesy, obracam pieniędzmi. Niech pan ruszy forse, cos z nia zrobi. Ja moge dokonywac transakcji telefonicznie i zaloze sie, ze pan tez moze.

Cordell wyjal z kieszeni komorke.

- Zadzwoimy do panskiego banku, poda pan kod, dostane potwierdzenie i wtedy zaopiekuje sie panem. - Podniosl strzykawke. - Trysk, trysk. A wiec...

Doktor Lecter wymamrotal cos z pochylona glowa. „Walizka” i „skrytka” - tylko tyle zdolal uslyszec Cordell.

- No, panie doktorze. Bedzie pan mogl po prostu zasnac.

- Nie oznaczone banknoty studolarowe... - wymamrotal Lecter i jego glos zamarl.

Majordomus pochylil sie nizej. Doktor Lecter wyciagnal jak najdalej szyje, chwycil swoimi malymi ostrymi zabkami brew Cordella i wyrwal spory kawalek, kiedy pielegniarz odskoczyl. Doktor Lecter wyplul brew jak skorke winogrona w twarz Cordella.

Cordell przemytl rane i nalozyl na nia plaster.

Schowal strzykawke.

- Niewdziecznik - mruknal. - Przed switem inaczej na to spojrzysz. Mam tutaj srodki pobudzajace, ktore zapewnia ci niesamowite doznania. Pocierpisz troche, juz moja w tym glowa.

Wyjal pogrzebacz z ognia.

- Teraz cie podlacze - zapowiedzial. - Jesli bedziesz stawial opor, zostaniesz poparzony. Oto, co sie wtedy czuje.

Rozpalonym koniuszkiem pogrzebacza przypiekl przez koszule sutek doktora Lectera.

Lecter nie wydal zadnego dzwieku.

Do magazynu na wozku widlowym wjechal Carlo. Kiedy Piero i Carlo podnosili doktora, Tommaso czuwal w poblizu. Mial naszykowana strzelbe ze srodkiem usypiajacym. Przeniesli swoja ofiare na widly wozka. Usadowili doktora na widlach podnosnika z ramionami przywiazanymi do orczyka i rozstawionymi nogami - kazda przymocowali do jednego zeba widel.

Majordomus wbil igly w zyly na rekach doktora Lectera. Musial stanac na beli siana, zeby zawiesic kroplowki na maszynie z obu stron. Po chwili odsunal sie, aby ocenic efekty swojej pracy. Doktor wygladal dziwnie, rozciagniety na wozku, podlaczony do kroplowek, jak parodia czegos, choc

Cordell nie pamietal czegos. Tuz nad kolanami doktora umocowal opaski uciskowe z petlami, ktore mozna bylo zaciskac zza ogrodzenia, zeby nie dopuscic do wykrwawienia sie. Teraz nie mogli

pociagnac za sznurki. Mason bylby wsciekly, gdyby stopy Lectera zdretwiały.

Czas sprowadzic Masona na dol i wniesc go do furgonetki. W zaparkowanym za stodola wozie bylo zimno. Sardyncyzy zostawili tam jedzenie. Cordell zaklal i wyrzucil ich lodowke na ziemie. Bedzie musial odkurzyc te pieprzona furgonetke. I przewietrzyc. Ci cholerni Sardyncyzy palili tam papierosy pomimo wyraznego zakazu. Zapalniczke zamontowali na dawnym miejscu. Przewod z monitora urzadzenia lokacyjnego zwisal z tablicy rozdzielczej.

## ROZDZIAŁ 86

Starling wylaczyla swiatlo w samochodzie i zanim otworzyla drzwi, odblokowala zamek pokrywy bagaznika.

Jesli na farmie jest doktor Lecter, jesli uda jej sie go przechwycic, moze zdola zalozyc mu kajdanki, wpakowac do bagaznika i wywiezc do wiezienia okregowego. Miala cztery pary kajdanek i tyle liny, zeby dokladnie zwiazac Lectera i uniemozliwic mu wierzganie. Wolala nie myslec o jego sile.

Wystawila z samochodu noge i zauwazyla, ze zwir pokryty jest lekka sadzia. Stary samochod zaskrzypial, kiedy wstala z siedzenia.

- Musisz jeczec, ty stara gadzino? - syknela cicho. Nagle przypomniala sobie swoje rozmowy z Hannah, klacza, na ktorej odjechala w noc, jak najdalej od rzezi owiec. Przymknela drzwi samochodu. Kluczyki powedrowaly do ciasnej kieszeni w spodniach, zeby nie brzeczaly.

Pod kwadra ksiezycy noc byla jasna. Dopoki Starling miala nad soba otwarte nocne niebo, mogla poruszac sie bez latarki. Probowala isc poboczem zwirowki, ale okazalo sie grzaskie i wyboiste. Robila mniej halasu, posuwajac sie po ubitych sladach kol ciezarowki. Z lekko odwrocona glowa spogladala katem oka do przodu, sprawdzajac, jak dalej biegnie droga. Brnela przez strumien ciemnosci.

Najgorszy moment przyszedl w chwili, gdy stracila z oczu mustanga.

Poczula, ze jest trzydziestotrzyletnia kobieta ze zlamana kariera, bez wlasnej broni, sama w ciemnym lesie. Zobaczyła siebie bardzo wyraznie: zmarszczki zaczely sie zaznaczac w kacikach oczu. Gwaltownie zapragnela wrocic do samochodu. Zwolnila, zatrzymala sie. Slyszała swój oddech.

Zakrakala wrona, wiatr poruszyl golymi galeziami. Wtem noc rozdarl krzyk: potworny, rozpaczliwy, wzmagajacy sie i cichnacy, zakonczony blaganiem o smierc. *Uccidimi!* I znow krzyk.

Starling znieruchomiala, lecz drugi krzyk pchnal ja do przodu. Zaczela biec. Brnela przez ciemnosc z pistoletem w kaburze, z wylaczona latarka, z dlonia wyciagnieta przed siebie. Mason, nie

rob tego! Nie rob tego! Szybciej. Szybciej.

Sluchala odglosu swoich krokow i wyczuwala luzny zwir po obu stronach. Pozostawala na ubitym pasie drogi. Szeroka sciezka skrecila i zaczela prowadzic wzdluz ogrodzenia. Solidnego, metalowego, wysokiego prawie na dwa metry.

Dobiegly ja szlochy, blagania o litosc i wzmagajacy sie krzyk. Za ogrodzeniem cos poruszyl sie w krzakach - trucht lzejszy od uderzen konskich kopyt, o szybszym rytmie. Uslyszala znajome chrzakanie.

Rozdzierajace krzyki, najwyrazniej ludzkie, rozbrzmiewaly coraz blizej. Byly zniekształcone. Przez sekunde dolaczyl do nich gwizd interferencyjny. Starling zrozumiala, ze to nagranie albo glos wzmacniony przez mikrofon. Zauwazyla swiatlo wsrod drzew, zza ktorych wylaniala sie stodola. Przycisnela glowe do zimnego zelaza. Popatrzyla przez ogrodzenie. Przemykajace dlugie cienie siegaly jej do bioder. Czterdziesci metrow otwartej przestrzeni dzielilo ja od stodoly z szeroko otwartymi drzwiami. Wzdluz stodoly biegla barierka. Nad furtka zawieszono ozdobne lustro, ktore odbijalo swiatlo ze stodoly, rzucajac na ziemie jasna plame. W zagrodzie stal krepny mezczyzna w kapeluszu z przenosnym magnetofonem. Jedna reka zakrywal ucho, gdy z urzadzenia wydobywaly sie jeki i szlochy.

Z zarosli wylonily sie dzikie swinie. Rozjuzzone, szybkie jak wilki, dlugonogie, o silnych karkach, kudlate, z nastroszona szara szczecina.

Carlo pedem przebiegl przez furtke. Zamknal ja, kiedy od zwierzat dzielilo go jeszcze trzydziesci metrow. Zatrzymaly sie w polkolu, wyczekujac: wielkie zakrzywione kly nadawaly ryjom wieczny wyraz niezadowolenia. Jak pilkarze czekajacy na rzut rozny ruszaly do przodu, stawaly, rozpychaly sie, chrzakajac i zgrzytajac zebami.

Starling znala zwierzeta hodowlane, ale nigdy nie widziala czegos podobnego: te swinie wyroznialy sie przerazajacym pieknem, wdziekiem i szybkościa. Obserwowaly furtke, rozpychaly sie, wysuwaly do przodu, cofaly, caly czas zwrocone przodem do bariery przy stodole.

Carlo powiedzial cos przez ramie i zniknal w stodole.

W otwartych wierzejach pokazala sie maska furgonetki. Starling natychmiast rozpozнала szary woz. Z kabiny wysiadl Cordell i otworzyl przesuwane boczne drzwi. Zanim zgasil gorne swiatlo, Starling dostrzegla w srodku podlaczonego do respiratora Masona. Siedzial wsparty na poduszkach. Na klatce piersiowej widnial zwoj wlosow. Nad wierzejami stodoly rozblysky reflektory.

Carlo podniosl z ziemie cos, czego Starling poczatkowo nie rozpozнала. Wygladalo jak czyjes nogi lub dolna polowa ciala. Gdyby tak bylo, Carlo musialby byc bardzo silny. Przez chwile Starling przestraszyla sie, ze widzi szczatki doktora Lectera, lecz konczyny byly powyginane jakos dziwnie.

To moga byc nogi Lectera, polamane i powykrepane, pomyslala ze zgroza. Carlo zawolal cos za siebie. Starling uslyszala warkot silnika.



W polu widzenia pojawił się kierowany przez Piera wózek widłowy z wysoko podniesionym Lecterem. Doktor miał ramiona rozpostarte na orczyku, nad nim kolysały się kropelki. Z góry Lecter widział wyglodniała trzode. Widział, co go czeka.

Wózek poruszał się wolno jak na procesji. Obok szedł Carlo, a z drugiej strony uzbrojony Johnny Mogli.

Starling przez chwilę zatrzymała wzrok na odznace Mogliego. Gwiazda: nie jest tutejszy. Siwe włosy, biała koszula jak u kierowcy furgonetki porywaczy.

Z samochodu dobiegł głęboki głos Masona. Zanucil *Pomp and Circumstance* i zachichotał.

Podniecone halasem swinie nie bały się maszyny. Sprawiały wrażenie, jakby na nią czekały.

Wózek zatrzymał się przy barierce. Mason powiedział do doktora Lectera coś, czego Starling nie usłyszała. Lecter nie poruszył głową ani w żaden inny sposób nie zareagował na słowa Vergera. Znajdował się wyżej nawet od Piera kierującego wozkiem. Czyżby patrzył w stronę Starling? Nie wiedziała. Biegła szybko wzdłuż ogrodzenia. Dotarła do stodoły i znalazła podwójne drzwi, przez które wjechała furgonetka.

Carlo cisnął wypchane spodnie do zagrody. Wszystkie swinie skoczyły do przodu. Przepychały się, bo przy każdej nodze starczyło miejsca tylko dla dwóch. Szarpały, kwiczały, ciagnęły i pruły. Kreciły łbami. Rozdzierały na kawałki martwe kurczaki, wnetrznosci fruwały dookoła. Klebowisko miotających się, porosniętych szczecina grzbietów.

Carlo poczęstował zwierzęta bardzo lekka przystawka, ledwie trzema kurczakami i małą sałatką. Po chwili spodnie zamieniły się w strzepy, a zaslinione swinie spoglądały lakomie ku barierce.

Piero opuścił widły tuż nad ziemię. Górna część furki miała chronić przed swiniami wszystkie narzędzia doktora Lectera prócz stop. Carlo zdjął doktorowi buty i skarpety.

- Ta mała swinka przez całą drogę do domu kwiczała iii, iii, iii - zawołał z furgonetki Mason.

Starling podeszła ich od tyłu. Wszyscy patrzyli w drugą stronę, na swinie. Przeszła przez drzwi magazynu i stanęła na środku stodoły.

- Nie pozwólcie mu się wykrwawić! - krzyknął z samochodu Cordell. - Badzcie gotowi, kiedy kaze wam zacisnąć pętle w opaskach uciskowych. - Czyszczył okular Masona ściereczką.

- Ma pan coś do powiedzenia, doktorze Lecter? - zabrzmiał głęboki głos Masona.

Ze stodoły dobiegł huk wystrzału i głos Starling.

- Rece do góry! Nie ruszać się! Wylądować silnik! Piero nie rozumiał.

- *Fermate il motore* - podpowiedział mu zyczliwie doktor Lecter.

Niecierpliwe popiskiwanie swin.

Spostrzegła bron na biodrze siwowłosego mężczyzny z gwiazdzista odznaka. Kabura z otworem na kciuk. Musi kazac im sie polozyć.

Cordell błyskawicznie wslizgnal sie za kierownice i furgonetka z wrzeszczącym na majordomusa Masonem odjechała. Starling obrocila sie za samochodem. Katem oka dostrzegła ruch siwowłosego. Zrobila szybki zwrot. Mogli zawolal „Policja!” i wyciagal bron. Starling dwa razy trafila go w klatke piersiowa.

Strzelil jeszcze ze swojego magnum w ziemie, pol metra przed soba. Cofnal sie troche, osunal na kolana i spojrzal w dol: gruby naboj przebil odznake i bokiem przeszedl przez serce.

Mogli upadl na plecy i znieruchomial.

W magazynie strzaly uslyszal Tommaso. Chwycil karabin pneumatyczny, wspial sie na poddasze i na kolanach zakradl do miejsca, z ktorego mial widok na stodole.

- Teraz wy - odezwala sie Starling glosem, ktorego nie rozpoznala. Szybko, poki sa pod wrazeniem smierci siwowłosego. - Na ziemie! Ty twarza do sciany. A ty odwroc glowe w druga strone. W druga strone.

- *Girati dall' altra parte* - wyjasnil z wozka doktor Lecter.

Carlo spojrzal na Starling. Przekonal sie, ze go zabije, wiec pozostal nieruchomy na miejscu. Jedna reka zalozyla im szybko kajdanki. Nadgarstki Carla polaczyla z kostkami Piera. Caly czas trzymala przy uchu jednego z mezczyzn odbezpieczony pistolet.

Wyciagnela z buta noz i podeszla do doktora przytroczonego do wozka.

- Dobry wieczor, Clarice - powiedzial.

- Moze pan chodzic?

- Tak.

- Dobrze pan widzi?

- Tak.

- Zamierzam pana uwolnic. Ale z calym szacunkiem, doktorze, jesli zechce mi pan wyciac jakis numer, zastrzele pana, tu i teraz. Jasne?

- Oczywiscie.

- Prosze byc poslusznym, a nic sie panu nie stanie.

- Przemawia przez pania prawdziwa protestantka. Starling działała szybko. Noz był ostry, a na sliskim nowym sznurze zab-kowane ostrze sprawdzało się najlepiej. Oswobodziła prawe ramię doktora.

- Mogę dokonać sam, jeśli dasz mi noz.

Zawahała się. Zrobiła duży krok do tyłu i podała mu krotki noz.

- Mój samochód stoi kilkaset metrów stąd, na zwirowej drodze. - Musiała teraz obserwować i doktora, i mężczyzn na ziemi.

Miał już wolną jedną nogę. Zajął się drugą. Przecinał oddzielnie każdy węzeł. Doktor Lecter nie mógł spojrzeć do tyłu, gdzie leżeli twarzami do ziemi Carlo i Piero.

- Tylko potem niech pan nie próbuje uciekać. Nie dobiegnie pan do drzwi. Dam panu dwie pary kajdanek - powiedziała Starling. - Z tyłu, na ziemi, jest dwóch skutych facetów. Niech pan kaze im podczołgać się do wozka. Trzeba podczepić ich do widlaka, żeby nie mogli dostać się do telefonu. Potem proszę samemu założyć sobie kajdanki.

- Dwoch? - zapytał. - Uwaga, powinno ich być trzech.

Powietrze przecięła srebrna w świetle reflektorów smuga. Naboż usypiający ze strzelby Tommasa utkwił w plecach Starling. Odwróciła się oszolomiona. Próbowala namierzyć cel, choć pociemniało jej w oczach. Zauważyła lufę pod dachem. Strzeliła, raz, drugi, trzeci, czwarty. Tommaso przeturlał się w głąb poddasza, atakowany przez grad ostrych drzazg. Niebieski dym z pistoletu unosił się do światła. Zawodził ją wzrok, ale strzeliła ponownie. Siegnęła za biodro po magazynek, mimo że ugięły się pod nią kolana.

Halasy jeszcze bardziej podnieciły świnię. Widząc ludzi w zachęcającej pozycji na ziemi, włochate bestie piszczały, chrzakały i napierały na barierkę.

Starling padła na twarz. Pusty pistolet wysunął się jej z ręki. Carlo i Piero podnieśli głowy i zaczęli człapać się niezdarnie jak nietoperze w stronę ciała Mogliego. Chcieli dostać się do jego pistoletu i kluczyków od kajdanek. Odgłos pompowania broni pneumatycznej na poddaszu. Tommaso miał jeszcze jeden naboż usypiający. Podniósł się i wrócił na swoje stanowisko. Spojrzał znad lufy w stronę wozka, gdzie spodziewał się zobaczyć doktora Lectera.

Przed usadowionym na poddaszu Sardyncykiem nie można się było ukryć.

Doktor Lecter wziął Starling na ręce i cofnął się szybko w stronę furtki. Cały czas pilnował, aby wózek znajdował się między nim a ostrożnie przesuwanym się na poddaszu Tommasem. Padł strzał. Naboż przeznaczony dla doktora Lectera trafił w pieszczel Starling. Lecter pociągnął za rygle przy furtce.

Oszalały ze strachu Piero chwycił lancuszek z kluczami Mogliego. Carlo próbował doczołgać się do pistoletu policjanta. Świnię ruszyły pedem do posilku, który usiłował podnieść się z ziemi. Carlowi udało się strzelić z magnum tylko raz. Jedno zwierzę dostało, lecz pozostałe przetoczyły się

przez nie. Dopadły do Carla, Piera i ciała Mogliego. Niektóre pomknęły dalej, przebiegły przez stodołę i wtopiły się w noc.

Doktor Lecter był za furtką, kiedy przebiegły przez nią świny.

Z poddasza Tommaso zobaczył w klebowisku świnię twarz brata. Po chwili została z niej krwawa miazga. Rzucił strzelbę w siano. Doktor Lecter, wyprostowany niczym baletmistrz, ze Starling na rękach, przeszedł bosą między świniami. Stapał przez morze miotających się ciał i krwawy pył. Kilka wielkich świni stanęło do niego przodem i pochyliło lby, szykując się do ataku.

Kiedy jednak nie wyczuły strachu, wróciły do łatwego łupu na ziemi.

Doktor Lecter zobaczył, że z domu nie nadchodzi posiłki. Gdy znalazł się pod drzewami na zwirowej drodze, zatrzymał się, żeby wyciągnąć naboje z ciała Starling i wysysać z ran anestetyk.

Przez pobliskie zarośla z trzaskiem przewalily się świny.

Doktor Lecter zdjął buty Starling i wcisnął je sobie na białe stopy. Pozostawił pistolet w kaburze na kostce Starling, żeby móc w każdej chwili sięgnąć po broń.

Dziesięć minut później strażnik przy głównej bramie spojrzął znad gazety w stronę odległego dźwięku przypominającego ryk myśliwca z silnikiem tłokowym. Przez estakadę autostrady przejeżdżał pięciolitrowy mustang. Silnik osiągał pięć tysięcy osiemset obrotów na minutę.

## **ROZDZIAŁ 87**

Mason jęczał i zawodził, żeby zabrać go z powrotem do pokoju. Plakał tak samo, jak wtedy, kiedy młodsze dzieci na obozie stawiały mu opór. Zanim przygniotł je swoim ciałem, zdążył oberwać kilka kuksanców.

Margot i Cordell zawiezli Masona windą na górę, ułożyli go w łóżku i podłączyli do stałych źródeł prądu.

Margot nigdy nie widziała tak bardzo rozwścieczonego Masona - naczynka krwionośne pulsowały na wyeksponowanych kościach jego twarzy.

- Chyba podam mu coś na uspokojenie - zaproponował Cordell, gdy wyszli do pokoju z zabawkami.

- Jeszcze nie. Musi trochę pomyśleć. Daj mi kluczyki do swojej hondy.

- Po co?

- Trzeba zobaczyć, czy ktoś przeżył. Chcesz iść?

- Nie, ale...

- Wjade twoim samochodem do magazynu, furgonetka nie zmiesci sie przez drzwi. Dawaj te cholerne klucze.

Na dole Margot zauwazyla z podjazdu Tommasa. Biegl od strony lasu przez pole. Co chwila ogladal sie za siebie. Zastanow sie, Margot. Spojrzala na zegarek. Dwudziesta dwadziescia. O polnocy przyjdzie zmiennik Cordella. Jest czas, zeby sprowadzic helikopterem ludzi z Waszyngtonu i zrobic porzadek. Podjechala po trawie do Tommasa.

- Probowalem ich dogonic, zaatakowala mnie swinia. On... - Tommaso pokazal na migi, jak doktor Lecter niosl na rekach Starling - te kobiete. Odjechali glosnym samochodem. Ona ma *due* - pokazal dwa palce - *freccette*. - Wskazal na plecy i noge. - *Frecette. Dardi. Wbite. Bam. Due freccette.*

-Kule -podpowiedziala Margot.

- Kule, moze za duzo *narcotico*. Moze nie zyje.

- Wsiadaj - rozkazala Margot. - Musimy zobaczyc.

Margot wjechala przez podwojne boczne drzwi, przez ktore wczesniej dostala sie do stodoły Starling. Piski, chrzakanie i klebiace sie pokryte szczecina ciala. Ruszyla dalej. Halas klaksonu rozproszyl zwierzeta. Margot dostrzegla nierozpoznawalne szczatki trzech mezczyzn.

Wjechala do magazynu. Zamkneli za soba drzwi.

Margot pomyslala, ze Tommaso jest jedynym pozostalym przy zyciu swiadkiem, nie liczac Cordella.

Mysl ta zapewne przemknela rowniez przez glowe Tommasa. Stal w bezpiecznej odleglosci od Margot. Nie spuszczal z jej twarzy ciemnych inteligentnych oczu. Mial lzy na policzkach.

Zastanow sie, Margot. Nie chcesz, zeby Sardynczycy popsuli ci szyki. Wiedza przeciez, ze ty dysponujesz pieniędzmi. Wydadza cie bez zastanowienia.

Tommaso sledzil jej reke, ktora siegnela do kieszeni.

Telefon komorkowy. Wybrala numer na Sardynie, do domu bankiera z banku Steuben. Zamienila z nim kilka slow i podala telefon Tommasowi. Kiwnal glowa, odpowiedzial, znow kiwnal glowa i oddal komorkę Margot. Pieniadze nalezaly do niego. Wdrapal sie na poddasze, zabral swoj plecak, a takze plaszcz doktora Lectera i jego kapelusz. Kiedy zbieral rzeczy, Margot wziela paralizator, sprawdzila, czy dziala, i schowala go do rekawa. Zabrala tez kowalski mlotek.

Tommaso wysadził Margot przy domu. Miał zostawić honde na parkingu przy międzynarodowym lotnisku Dullesa. Margot obiecała, że doloży staran, by pochować szczatki Piera i Carla.

Czul, że musi jej coś powiedzieć. Zebrał się w sobie i postarał się wyrazić to jak najlepiej po angielsku.

- *Signorina*, swinie pomogły *Dottore*. Odstąpiły od niego. Zabily mojego brata, zabily Carla, ale nie tknęły doktora Lectera. Mysle, że one oddaja mu czesc. - Tommaso przezegnal się. - Nie powinna go pani gonic.

I przez całe swoje długie życie na Sardynii Tommaso opowiadał te historie. Gdy dobiegł szesćdziesiątki, twierdził, że doktor Lecter z kobietą na rekach opuścił stodołę niesiony na swińskich grzbietach.

Kiedy samochód oddalił się zwirowa droga, Margot stała przez kilka minut. Spoglądała na oświetlone okna pokoju Masona. Widziała cień krzatającego się Cordella. Pielęgniarsz podłączał monitory śledzące oddech i puls jej brata.

Wsunęła rączkę młotka z tyłu do spodni i przykryła wystającą główkę polami kurtki.

Kiedy Margot wyszła z windy, Cordell wynosił z pokoju Masona poduszki.

- Cordell, nalej mu martini.

- Nie wiem...

- Ale ja wiem. Rob, co kaze.

Cordell odłożył poduszki na kanapę i przykleknął przy lodowce.

- Jest tam jakiś sok? - zapytała Margot, stając tuż za majordomusem. Zamachnęła się młotkiem i uderzyła go mocno w podstawę czaszki. Trzask miazdzonej kości. Głowa Cordella walnęła o lodówkę i odskoczyła do tyłu. Mężczyzna upadł na plecy z otwartymi oczami wpatrzonymi w sufit. Jedna zrenica rozszerzyła się, druga nie. Margot obrocila bezwładną głowę na bok i zadała drugi cios młotkiem. W skroni zrobiło się dwucentymetrowe wgłębienie. Z uszu popłynęła gesta krew.

Nie czuła zupełnie nic.

Mason usłyszał ciche skrzypnięcie otwieranych drzwi. Zwrocił ku nim swoje wylupiające oko. Zdrzemnął się na chwilę przy przygaszonym świetle. Murena też spała w skalnym ukryciu.

Potezna kobieca sylwetka wypełniała przestrzeń między framugami. Margot zamknęła za sobą drzwi.

- Czesć, Mason.

- Co się stało tam na dole? Dlaczego, cholera, nie było cię tyle czasu?

- Wszyscy zgineli, Masonie. - Margot podeszła do łóżka i odcięła kabel od telefonu. Rzuciła przewód na podłogę. - Piero, Carlo i Johnny Mogli nie żyją. Doktor Lecter uciekł i uprowadził Starling.

Między zębami Masona pojawiła się piana, kiedy przeklinał.

- Wysłałam Tommasa do domu z pieniędzmi.

- Co takiego? Ty głupia pieprzona suko! Posłuchaj, trzeba wszystko uprzątnąć i zacząć od początku. Mamy cały weekend. Nie musimy się martwić tym, co widziała Starling. Jeśli jest w rękach Lectera, to tak, jakby nie żyła.

Margot wzruszyła ramionami.

- Mnie nie widziała.

- Dzwon do Waszyngtonu i sprowadź czworak z tej bandy kretynów. Wyślij po nich helikopter. Pokaż im wózek widłowy, pokaz im ... Cordell! Chodź tutaj. - Mason dmuchnął w jedną z piszczalek. Margot odsunęła rurki i pochyliła się nad Masonem, żeby widział jej twarz.

- Cordell nie przyjdzie. Nie żyje.

- Co?

- Zabiłam go w pokoju z zabawkami. A teraz weźmę od ciebie to, co mi obiecałeś. - Podniosła boczne poduszki przy łóżku, uniosła wielki wój włosów i ściagnęła koldre. Nogi Masona nie były grubsze od walców do ciasta.

Jego ręka, jedyna kończyna, którą mógł poruszać, zatrzępotwała przy telefonie. Respirator nadymał się i opadał regularnym rytmem.

Margot wyjęła z kieszeni prezerwatywę bez środka plewnikobójczego i podniosła ją, żeby mógł ją zobaczyć. Z rekawu dobiła paralizator.

- Pamiętasz, Masonie, jak spluwałeś na swojego kutasa, żeby lepiej wchodził? Sądziłeś, że i teraz mogłabyś użyć mi trochę śliny? Nie? Może ja to zrobię.

Kiedy pozwalał mu na to oddech, Mason wydawał z siebie dźwięki podobne do ryków osła, lecz gdy minęło pół minuty, było już po wszystkim. Zniwo wydawało się zaskakująco obfite.

- Już nie żyjesz, Margot. - Jej imię brzmiało bardziej jak „Nargot”.

- Ależ, Masonie, przecież my wszyscy jesteśmy martwi. Nie wiedziałeś? Natomiast one, wręcz

przeciwnie - powiedziała, chowając pod bluzę ciepły pojemnik. - Wija się. Pokażę ci, jak. Zorganizuje małą prezentację.

Margot podniosła leżące przy akwarium kolczaste rękawice do chwytania ryb.

- Mogłbym zaadoptować Judy - zaproponował Mason. - Uczyniłbym ją swoją spadkobierczynią. Założylibyśmy trust.

- Pewnie - Margot wyjęła z pojemnika karpia. Stała na krześle i zdjęła z wielkiego akwarium wieko. - Ale nie zrobimy tego.

Pochyliła się nad akwarium i zanurzyła muskularne ramiona w wodzie. Trzymała karpia za ogon, blisko skalnej grotki. Kiedy murena się wychyliła, chwyciła ją mocno za lebę i sprawnie wyciągnęła z wody. Poteźna ryba wrywała się, sięgała Margot do stop. Kobieta chwyciła murenę drugą ręką, zaciskając wokół niej kolczaste rękawice.

Podeszła do Masona. Ostrożnie niosła prezaca się murenę. Zakrzywione do wewnątrz żebry drapieżnika, z których nie wyrwała się żadna zdobycz, klapały jak telegraficzny klawisz. Margot rzuciła murenę na tors Masona, na respirator. Jedną ręką przytrzymała rybę, drugą okrecała wokół niej włosy Masona.

- Patrz, jak się wija - powiedziała.

Prawa dłoń trzymała murenę, a lewa napierała całym ciężarem na szczękę brata, który bronił się resztkami sił. Wreszcie otworzył usta ze skrzypiącym, trzeszczącym dźwiękiem.

- Powinieneś przyjąć czekoladę - powiedziała Margot i wepchnęła Masonowi do ust paszczę mureny. Drapieżnik uczeplił się języka i nie puszczał. Nigdy nie puszczał. Młocił swoim ciałem zaplatanym we włosy. Przez szparę nosową Masona buchnęła krew. Tonał.

Margot zostawiła ich samych - brata i murenę - a tymczasem karp samotnie krzątał w akwarium. Uspokoila się przy biurku Cordella i obserwowała monitory, aż krzywe Masona zamieniły się w linie proste.

Murena wciąż się poruszała, kiedy wróciła do pokoju brata. Respirator nadymał się i opadał. Rytmicznie nadmuchiwał pecherz powietrzny ryby

i pompował z płuc Masona krwawą pianę. Margot oplukala w akwarium paralizator i schowała go do kieszeni.

Wyjęła z kieszeni plastikową torebkę z kawałkiem skóry doktora Lectera i pasmem jego włosów. Paznokciami Masona zeskrobała krew ze skalpu. Nie było to łatwe zadanie, bo murena wciąż się poruszała. Margot owinięła włosy doktora Lectera wokół sztywnych palców. Na koniec w jednej z rękawiczek do chwytania ryb zostawiła pojedynczy włos doktora.

Wyszła z domu, nie oglądając się na martwego Cordella, i pojechała do Judy ze schowanym w ciepłym miejscu trofeum.





# CZesc VI DIUGA IYzKA

Zatem wypada wziac pelna dluga lyzke,

Ktora bedzie jadla z diablem.

Geoffrey Chaucer

Opowiesci kanterberyjskie, „Opowiesc kupca”

## ROZDZIAI 89

Clarice Starling spi w duzym lozku pod lniana koldra i kocem. Ukryte w rekawach jedwabnej pizamy ramiona leza na koldrze - sa skrepowane jedwabnymi szarfami tak, zeby nie mogla siegnac twarzy i odlaczyc kroplowki.

W pokoju widac trzy swietliste punkty: niska lampa z kloszem i czerwone punkciki w zrenicach obserwujacego ja doktora Lectera.

Doktor Lecter siedzi w fotelu z dlonmi pod broda zlozonymi na ksztalt daszka. Po pewnym czasie wstaje i mierzy Starling cisnienie. Mala latarka bada zrenice. Siega pod koldre i znajduje stope. Wyciagaja spod przykrycia, uwaznie obserwujac Starling. Stymuluje podeszwe koniuszkiem klucza. Stoi tak przez chwile, najwyrazniej zatopiony w myslach. Stope trzyma delikatnie, jak gdyby mial w reku male zwierzatko.

Od producenta nabojuw usypiajacych dowiedzial sie o ich skladzie. Drugi naboj trafil Starling

w kosci piszczelowa, doktor ma wiec nadzieje, ze nie dostala pelnej podwojnej dawki. Ze szczegolna troska podaje antidotum.

Kiedy nie pielegnuje Starling, siedzi w fotelu z grubym notatnikiem i liczy. Strony wypelnione sa symbolami z astrofizyki i fizyki czastek elementarnych. Doktor posluguje sie rowniez symbolami teorii kwarkowej. Nieliczni matematycy, ktorzy potrafiliby ocenic proby Lectera, mogliby powiedziec, ze jego rownania zaczynaja sie wspaniale, lecz pozniej marnieja, zniweczone mysleniem zyczeniowym. Doktor Lecter pragnie, zeby czas sie cofnal: rosnaca entropia nie powinna juz wyznaczac kierunku czasu. Pragnie, by kierunek byl wyznaczany przez rosnacy porzadek. Chce, zeby mleczne zeby Miszy wydostaly sie z kloaki. Za tymi rozpaczliwymi obliczeniami kryje sie gorace pragnienie znalezienia dla Miszy miejsca na swiecie. Byc moze jest to miejsce zajmowane teraz przez Clarice Starling.

## ROZDZIAI 90

Jest rano, do pokoju z zabawkami na Muskrat Farm wpada zolte sloneczne swiatlo. Wielkie maskotki spogladaja plastikowymi oczami na zakryte cialo Cordella.

Nawet w srodku zimy znalazla sie mucha, ktora chodzi po plotnie poznaczonym plamami krwi.

Gdyby Margot Verger wiedziala, z jak nieznosnym stresem wiazac sie bedzie wysilek ukrycia prawdy w tak bardzo sledzonej przez media zbrodni, byc moze nie wepchnelaby mureny do gardla brata.

Postapila mdrze, ze nie probowala sprzatnac pobojowiska na Muskrat Farm i zdecydowala sie przeczekac burze. Nikt zywy nie widzial jej na farmie w chwili smierci Masona i pozostalych.

Miala swoja wersje wydarzen: w domu, ktory dzielila z Judy, obudzil ja telefon od przerazonego zmiennika Cordella. Kiedy przyjechala na miejsce zbrodni, zastala juz tam ludzi szeryfa.

Glowny oficer sledczy, detektyw Clarence Franks, byl dosc mlodym mezczyzna o oczach osadzonych nieco zbyt blisko siebie. Ku rozczarowaniu Margot okazal sie calkiem nieglupim facetem.

- Kazdy moze wjechac na gore ta winda, ale trzeba miec klucz, tak? - zapytal ja Franks. Detektyw i Margot siedzieli jak na szpilkach obok siebie na kanapie.

- Tak, jesli ci ludzie tedy sie tu dostali.

- „Ludzie”? Sadzi pani, ze mordercow moglo byc wiecej?

- Nie mam pojecia.

Wczesniej widziala przykryte przescieradlem nieruchome cialo brata. Bylo wciaz zespolone z murena. Ktos wylaczyl respirator. Funkcjonariusze z policji kryminalnej pobierali probki wody z akwarium i krwi z podlogi. Widziala w dloni Masona pasmo wlosow Lectera. Jeszcze nie znalezi doktora. Funkcjonariusze wydawali sie Margot blizniaczo podobni do siebie.

Detektyw Franks z zapamietaniem gryzmolil cos w notesie.

- Wiadomo juz, kim sa tamte ofiary? - zapytala Margot.

- Jeszcze ustalamy tozsamosc - odparl Franks. - Znaleziono trzy sztuki broni. W rzeczywistosci ludzie szeryfa nie byli pewni, ile osob zginelo w stodole, bo swinie zniknely w lesie, zabierajac ze soba na pozniej ogolocene resztki.

- W trakcie sledztwa byc moze poprosimy pana i pani... przyjaciolke o poddanie sie badaniu wariograficznemu. Wyrazilaby pani na to zgode?

- Zrobie wszystko, zeby schwytac mordercow. Jestesmy z Judy do panskiej dyspozycji. Moze powinnam skontaktowac sie z rodzinnym prawnikiem?

- Nie, jesli nie ma pani niczego do ukrycia.

- Do ukrycia? - Margot udalo sie uronic kilka lez.

- Przepraszam, ale wypelniam tylko swoj obowiazek. - Franks chcial polozyc dlon na jej poteznym ramieniu, ale zaraz sie rozmyslil.

## ROZDZIAI 91

Starling obudzila sie w pachnacym swiezoscia polmroku. W jakis pierwotny sposob wyczuwala bliskosc morza. Poruszyla sie lekko na lozku. Wszystko ja bolalo. Znow osunela sie w niepamiec. Kiedy sie ocknela, ktos cichym glosem proponowal cieply napoj. Smak naparu byl podobny do herbatki ziolowej, ktora przysylala Mapp jej babcia.

Dzien i znow wieczor. Zapach swiezych kwiatow w domu. Slabe uklucie igla. Pozostalosci strachu i bolu majaczyly na horyzoncie jak gluche odglosy i trzaski zimnych ogni, ale daleko, nigdy blisko. Byla w ogrodzie oka cyklonu.

- Budzisz sie, budzisz sie, spokojnie. Budzisz sie w przyjemnym pokoju - mowil do niej ktos szeptem. W oddali slyszala dzwieki muzyki kameralnej.

Czula sie bardzo czysta, a jej skora pachniala mieta, jakas mascia, ktora dawala glebokie, kojace cieplo.

Starling otworzyla szeroko oczy.

W pewnej odległości stał doktor Lecter - nieruchomo jak w celi, gdzie zobaczyła go po raz pierwszy. Teraz jesteśmy przyzwyczajeni do widoku doktora bez więzów. Nie szokuje już oglądanie Lectera na otwartej przestrzeni przy innej śmiertelnej istocie.

- Dobry wieczor, Clarice.

Dobry wieczor, doktorze Lecter - odpowiedziała odruchowo. Nie miała pojęcia, jaka jest pora dnia czy nocy.

- Jeśli kiepsko się czujesz, to przez siniaki, które nabiłaś sobie przy upadku. Wszystko będzie dobrze. Chciałbym jednak coś sprawdzić. Mogłabyś spojrzeć na światło? - Zbliżył się do niej z małą latarką. Pachniał popelina.

Zmuszała się, żeby nie zamykać powiek, kiedy badał zrenicę. Znow się odsunął.

- Dziękuję. Tam jest bardzo wygodna łazienka. Chcesz wstac? Przy łóżku są kapcie. Musiałem pożyczyć od ciebie buty.

Przebywała na jawie, chociaż niezupełnie. Łazienka rzeczywiście okazała się bardzo wygodna, niczego w niej nie brakowało. Przez następne dni zazywała tam długich kąpieli. Nie przejmowała się swoim odbiciem w lustrze, do tego stopnia nie była sobą.

## ROZDZIAŁ 92

Dni wypełnione rozmową. Czasem słuchała samej siebie i zastanawiała się, kim jest ta osoba tak dobrze znająca jej myśli. Dni wypełnione snem, bulionem i omletami.

- Clarice, na pewno masz już dość tych koszul nocnych i pizam - stwierdził pewnego dnia doktor Lecter. - W garderobie jest trochę ubrań, które mogą ci się spodobać. Chciałabyś je założyć? - I dalej tym samym tonem: - Twoje osobiste rzeczy, torebkę, brzoję i portfel, schowałem w górnej szufladzie komody.

- Dziękuję, doktorze Lecter.

W garderobie znalazła sukienki, garsonki i długą połyskującą wieczorową suknię z koralikową góą. Spodobały jej się kaszmirowe spodnie i swetry. Wybrała brzoję kaszmir i mokasyny.

W szufladzie leżał jej pas. Była tam też indyjska kabura, pusta po straconym pistolecie. Przy torebce leżał jednak drugi futerał, a w nim skrocony colt 45. Magazynek był pełen nabojęw, komora świeciła pustką jak wtedy, gdy Starling nosiła pistolet przy kostce. Znalazła też swój noz schowany do pochwy. W torebce znajdowały się kluczyki do samochodu.

Starling była i jednocześnie nie była sobą. Kiedy myślała o tym, co się wydarzyło, widziała wszystko jakby z boku, sama siebie oglądała z oddali.

Kiedy doktor Lecter zabral ja do garazu, ucieszyla sie na widok mustanga. Spojrzala na wycieraczki i postanowila je wymienic.

- Clarice, w jaki sposob ludzie Masona wysledzili nas w supermarkecie?

Podniosla oczy i przez chwile sie zastanawiala.

W niespelna dwie minuty znalazla przewod antenowy biegnacy miedzy tylnym siedzeniem a polka z tyłu. Przewod zaprowadzil ja do ukrytego pod podwoziem urzadzenia lokacyjnego.

Wylaczyla je, chwycila za antene i zanosla do domu. Wygladalo, jakby trzymala szczura za ogon.

- Zmyslne urzadzenie - ocenila. - Cos nowego. Porzadnie zainstalowane, trzeba przyznac. Jestem pewna, ze sa na nim odciski pana Krendlera. Poprosze plastikowa torbe.

- Moga namierzyc lokalizator z powietrza?

- Jest teraz wylaczony. Poza tym nie wysla samolotow. Chyba ze Krendler sie przyzna, ze podlaczyl urzadzenie. Wiadomo, ze tego nie zrobi.

- Mason nie zyje.

- Hmm - mruknela Starling. - Zagra pan cos dla mnie?

## **ROZDZIAI 93**

Przez pierwsze dni po masakrze Paul Krendler miotal sie miedzy napadami zmeczenia i paniki. Zazadal, aby przesymano mu bezposrednie raporty z biura terenowego FBI w Marylandzie.

Nie obawial sie kontroli ksiag rachunkowych Vergerow, starannie zakamuflowano przelewy na jego konto na Kajmanach. Po smierci Masona nadal

mial wielkie plany, choc stracil patrona. Margot Verger wiedziala o pieniądzach, ktore dostal. Wiedziala rowniez, ze zdradzil tajne informacje FBI dotyczace Lectera. Margot nie mogla sie wygadac.

Martwil sie monitorem do urzadzenia lokacyjnego. Wykradl go z Sekcji Technicznej w Quantico, a jego podpis widnial w rejestrze osob, ktore tego dnia odwiedzily sekcje.

Doktor Doemling i ten wielki pielegniarz, Barney, widzieli go na Muskrat Farm. Nie robil jednak nic niezgodnego z prawem: rozmawial tylko z Masonem Vergerem o sposobach schwywania Hannibala Lectera.

Wszyscy poczuli wielka ulge, gdy czwartego dnia po masakrze Margot Verger odtworzyła detektywom swiezo nagrana wiadomosc ze swojej automatycznej sekretarki.

Policjanci stali jak zahipnotyzowani w sypialni. Gapili sie na lozko, ktore Margot dzielila z Judy, i wsluchiwali sie w glos potwora. Doktor Lecter chelpil sie smiercia Masona. Zapewniał Margot, ze konanie bylo bardzo bolesne i dlugie. Zalkala i ukryla twarz w dloniach. Judy podtrzymala przyjaciolke. Wreszcie Franks wyprowadzil Margot z pokoju.

- Nie musi pani tego znowu sluchac - powiedzial jej.

Krendler ponaglal, aby tasme z automatycznej sekretarki jak najszybciej przeslano do Waszyngtonu. Tam badania potwierdzily, ze glos nalezal do doktora Lectera.

Lecz najwieksza ulge przyniosla Krendlerowi rozmowa telefoniczna czwartego dnia wieczorem.

Dzwonil kongresmen Yellmore z Illinois.

Krendler rozmawial juz z nim kilkakrotnie, lecz znal jego glos glownie z telewizji. Sam fakt, ze kongresmen do niego dzwonil, byl znaczący. Yellmore nalezal do podkomisji sadowniczej Kongresu i byl wielkim oportunistą. Gdyby Krendler znalazl sie w tarapatach, Yellmore trzymalby sie od niego z daleka.

- Panie Krendler, wiem, ze dobrze znal pan Masona Vergera.

- Tak, panie kongresmenie.

- Co za tragedia! Ten sadystyczny sukinsyn zniszczyl Masonowi zycie. Okaleczyl go, po czym wrocil, zeby zabic. Nie wiem, czy zdaje pan sobie z tego sprawe, ale jednym z zamordowanych podczas tej jatki jest czlowiek z mojego okregu. Johnny Mogli sluzyl obywatelom stanu Illinois przez wiele lat w silach porzadkowych.

- Nie, panie kongresmenie, nie wiedzialem o tym. Bardzo mi przykro.

- Nie wolno sie poddawac. Dzieło Vergerow, ich dzialalnosc filantropijna i zywe zainteresowanie sprawami publicznymi nie moze sie skonczyc. Smierc jednego czlowieka nie przekresli wszystkiego. Rozmawialem z kilkoma osobami z dwudziestego siodmego okregu i z ludźmi Vergera. Margot Verger dala mi do zrozumienia, ze interesuje sie pan sluzba publiczna. Niesamowita kobieta. Ma zmysl praktyczny. Niedlugo sie spotkamy, zupełnie

nieoficjalnie, bez rozglosu. Porozmawiamy o planach na listopad. Chcemy przyjac pana na poklad. Mysli pan, ze znajdzie czas na wspolna debata?

- Tak, panie kongresmenie. Jak najbardziej.

- Margot w najblizszym czasie zadzwoni i przekaze panu szczegoly. Krendler odlozyl sluchawke. Ogarnelo go wielkie uczucie ulgi.

Znalezienie w stodole colta kaliber 45 zarejestrowanego na niezującego Johna Brighamą, a teraz należącego do Clarice Starling, wywołało w FBI spora konsternację.

Starling uznano za zaginioną, lecz jej sprawy nie zakwalifikowano jako porwanie. Nikt nie widział, aby została uprowadzona. Nie traktowano jej nawet jako agentki zaginionej na służbie. Starling była po prostu na urlopie w nieznanym miejscu. Rozpoczęto poszukiwania mustanga. Podano w komunikacie numer identyfikacyjny i numer tablicy rejestracyjnej, lecz bez podkreślania, do kogo woz należał.

Porwanie angażuje organy ścigania w dużo większym stopniu niż przypadek zaginięcia. Zaklasyfikowanie Starling do grona osób zaginionych, a nie porwanych tak rozgniewało Ardelie Mapp, że napisała podanie o zwolnienie z FBI. Ostatecznie doszła jednak do wniosku, że będzie lepiej, jeśli poczeka i spróbuje coś zdziałać od środka. Co jakiś czas bezwiednie przechodziła do części bliźniaka Starling, żeby tam jej poszukać.

Na stronach Lectera w bazie danych VICAP i Państwowego Centrum Informacji Kryminalnej panowała irytująca stagnacja. Dodawano tylko trywialne informacje: włoska policja wreszcie odnalazła komputer doktora Lectera. Karabinierzy grali na nim w Super Mario w sali rekreacyjnej. Maszyna automatycznie wykasowała wszystkie dane w chwili, gdy funkcjonariusze wcisnęli pierwszy klawisz.

Od zniknięcia Starling Mapp nie dawała spokoju nikomu w FBI, kto miał jakiegokolwiek znaczenie.

Ponawiane telefony do domu Jacka Crawforda pozostawały bez odpowiedzi.

Zadzwoiła do Sekcji Behawioralnej. Usłyszała, że Crawford pozostał w szpitalu imienia Jeffersona, bo skarżył się na bole w klatce piersiowej.

Nie dzwoniła do szpitala. W FBI Ardelia Mapp była ostatnim aniołem Starling.

## **ROZDZIAŁ 94**

Starling nie odczuwała upływu czasu. Dni i noce schodziły jej na rozmowach. Całymi minutami przysłuchiwała się własnemu głosowi.

Smiała się z siebie, gdy słyszała szczerze wynurzenia, które kiedyś by ją zawstydzily. Często dziwiły ją historie opowiadane doktorowi Lecterowi. I choć osobie o przecietnej wrażliwości czasem mogłyby wydawać się przykre, nigdy nie kłamała. Doktor Lecter też mówił. Niskim, jednostajnym głosem. Nie okazywał zdziwienia czy oburzenia. Starling czuła jego zainteresowanie i wsparcie.

Opowiedział jej o swoim dzieciństwie, o Miszy.



Czasem wpatrywali się w ten sam błyszczący przedmiot, kiedy zaczęli snuć opowieści. Prawie zawsze w pokoju znajdowało się tylko jedno źródło światła. Błyszczące przedmioty zmieniały się każdego dnia.

Dzisiaj rozpoczęli od refleksu światła na czajniczku od herbaty, lecz gdy rozmowa nabrała rumieńców, doktor Lecter wyczuł, że dotarli do nie zbadanej galerii w umyśle Starling. Być może usłyszał trolle walczące po drugiej stronie ściany. Zamienił czajniczek na srebrną klamrę od paska.

- Mojego taty - rzekła Starling. Klasnęła w dłoń jak mała dziewczynka.

- Tak - przyznał doktor Lecter. - Clarice, chciałabys porozmawiać ze swoim ojcem? On jest tutaj.

- Tata? Tutaj? Naprawdę? Wspaniale!

Doktor Lecter przyłożył dłoń do jej głowy, w okolicy płatów skroniowych; stąd jej ojciec mógł przybyć taki, jakim go chciała widzieć. Zajrzał Starling głęboko w oczy.

- Wiem, że będziesz chciała porozmawiać z nim sam na sam. Pojde już sobie. Popatrz na klamrę, a za kilka minut usłyszysz pukanie. Dobrze?

-Tak! Świetnie!

- Musisz tylko poczekać kilka minut.

Delikatne ukłucie małej igły - Starling nawet nie spojrzała w tę stronę - i doktor Lecter wyszedł z pokoju.

Utkwiła wzrok w klamrze. Wreszcie rozległy się dwa mocne puknięcia. Wszedł jej ojciec, wysoki, z kapeluszem w rękę, z włosami zmoczonymi deszczem. Taki kiedyś zjawiał się na kolację.

- Hej, mała! O której tu się podaje kolację?

Tak dawno jej nie przytulał, ale kiedy przycisnął ją do siebie, poczuła na klatce piersiowej znajomy ucisk zatrząsków jego koszuli, mocny zapach mydła i tytoniu. Wyczuła silne bicie ojcowskiego serca.

- Hej, mała. Upadłaś? - Tak samo przytulił ją do siebie na podwórzu, kiedy próbowała ujeździć wielką kozę. - Radziłaś sobie całkiem niezle, dopóki nie zaczęła tak szybko wierzgac. Chodź do kuchni, może coś tam znajdziemy.

Dwie rzeczy na stole w kuchni z jej dzieciństwa: kokosanki w celofanowym opakowaniu i paczka pomarańczy.

Ojciec otworzył scyzoryk ze złamanym ostrzem i obrał kilka owoców. Skorki pietrzyły się na ceracie. Siedzieli na drewnianych krzesłach, a on dzielił pomarańcze na ćwiartki i jedna zjadał sam, a następna podawał Starling. Wypluwała do reki pestki i trzymała je na kolanach. Wydawał się

wysoki, kiedy siedział, jak John Brigham.

Ojciec zół bardziej jedną stronę twarzy. Dolny siekacz został uzupełniony srebrnym metalem: znak firmowy wojskowych dentystów z lat czterdziestych. Metal polyskiwał, kiedy ojciec się śmiał. Zjedli dwie pomarańcze i po jednej kokosance. Potem zaczęli opowiadać sobie dowcipy. Starling nie pamiętała smaku ciastek. Kuchnia rozplynęła się i rozmawiali teraz jak dorośli ludzie.

- Jak ci leci, mała? - Pytanie było poważne.

- Zawzięli się na mnie w pracy.

- Wiem. To jedna klika, złotko. Najbardziej żalśni ludzie... na ziemi. Nigdy nie zastrzeliłaś nikogo bez powodu.

- Tak sądzę. Jest jeszcze coś.

- Nigdy nie skłamałaś, mówiąc o tym.

- Nie, ojczu.

- Uratowałaś dziecko.

- Wyszło z tego cało.

- Byłem z ciebie naprawdę dumny.

- Dziękuję.

- Muszę już lecieć, złotko. Jeszcze porozmawiamy.

- Nie możesz zostać? Położył dłoń na jej głowie.

- Nigdy nie możemy zostać, kochanie. Nie możemy zostać, choćbyśmy tego bardzo chcieli.

Pocałował ją w czoło i wyszedł z pokoju. Kiedy machał do niej z progu, spostrzegła dziurę po kuli w jego kapeluszu.

## ROZDZIAŁ 95

Starling, rzecz jasna, bardzo kochała swojego ojca. W każdej chwili stawiałaby czoło każdemu, kto próbowałby go oczernić. A mimo to podczas rozmowy z doktorem Lecterem, pod wpływem silnego środka nasennego w głębokiej hipnozie, nie mówiła o nim dobrze.

- Jestem na niego naprawdę wściekła. Jak on znalazł się w środku nocy za tym cholernym

sklepem? Dal sie zabic tym dwom scierwom. Zablokowala mu sie strzelba. Nie wiedzial, co robi. Nigdy niczego sie nie nauczyl.

Spoliczkowalaby kazdego, kto mowilby tak o jej ojcu.

Potwor poruszyl sie odrobine w fotelu. Nareszcie. Te dziewczecze wspomnienia zaczynaly byc juz nuzace.

Starling probowala jak dziecko zadyndac nogami pod krzeslem, ale miala zbyt dlugie nogi.

- Wykonywal obowiazki. Robil, co mu kazali. Patrolowal okolice z tym cholernym zegarem. Az w koncu go zabili. Mama zmyla krew z kapelusza, zeby go wlozyc do trumny. Kto nam pomogl? Nikt. Bardzo rzadko jadlam pozniej kokosanki. Razem z mama sprzatalysmy motelowe pokoje. Na szafkach nocnych zostawiali zuzyte prezerwatywy. Dal sie zabic i zostawil nas, bo byl cholernie glupi. Powinien powiedziec tym draniom z miasta, zeby wypchali sie z taka robota.

Rzeczy, ktorych nigdy by nie powiedziala; obrazy wymazane z plytszych warstw swiadomosci.

Od poczatku ich znajomosci doktor Lecter kpil z jej ojca. Nazywal go „nocnym strozem". Teraz stal sie obronca pamieci o nim.

- Clarice, on tylko chcial, zebyś byla szczesliwa i zyła w dostatku.

- Checi w jednej rece, a gowno w drugiej: sprawdz, ktora reka ma ciezej - powiedziala Starling. Te slowa rodem z domu dziecka powinny wywolac niesmak; zwlaszcza ze wypowiedziala je tak ladna kobieta. Doktor Lecter wydawal sie jednak zadowolony, a nawet osmielony.

- Clarice, poprosze cie, zebyś poszła ze mna do innego pokoju - oznajmil. - Postaralas sie, aby twoj ojciec cie odwiedzil. Ale choc bardzo pragnelas zatrzymac go przy sobie, nie mogl zostac. Teraz przyszla pora, zebyś ty odwiedzila jego.

Ruszyli korytarzem do goscinnej sypialni. Drzwi byly zamkniete.

- Chwileczke, Clarice. - Lecter wszedl do srodka.

Stala na korytarzu z reka na klamce. Uslyszala trzask zapalki.

Doktor Lecter otworzyl drzwi.

- Clarice, wiesz, ze twoj ojciec nie zyje.

-Tak.

- Wejdz i spojrz na niego.

Szkielet jej ojca byl ulozony na lozku, przescieradlo przykrywalo dlugie kosci i zebra. Uwypuklone pod bialym plotnem szczatki przypominaly dziecięce plaskorzezby w sniegu.

Czaszka, oczyszczona przez male owady z plazy doktora Lectera nad oceanem, wysuszona i wybielona, spoczywała na poduszce.

- Co sie stalo z jego gwiazda, Clarice?

- Zabral ja burmistrz. Powiedzieli, ze kosztowala siedem dolarow.

- Oto, czym teraz jest, co po nim zostalo. Oto, do czego zdegradowal go uplyw czasu.

Starling spojrzala na kosci. Odwrocila sie i szybko wyszla z pokoju. Doktor Lecter nie poszedl za nia, wiedzial, ze ona wroci. Czekal w polmroku. Nie bal sie, lecz nasluchiwal jej krokow uwaznie. W dloni Starling blysnelo cos metalowego. Odznaka nalezaca kiedys do Johna Brighamama. Polozyla ja na przescieradle.

- Jakie znaczenie moze dla ciebie miec odznaka, Clarice? Tam w stodole twoja kula zrobila w jednej z nich dziure.

- Dla niego byla wszystkim. Tak myslal. - Ostatnie slowo zostalo zniekształcone. Wygiela usta w podkowke. Podniosla czaszke ojca i usiadla na drugim lozku. W oczach stanely jej gorace lzy, ktore splynely po policzkach.

Jak niemowle przycisnela do twarzy rabeek swetra i plakala. Gorzkie lzy skapywaly z gluchym odglosem na kopule ojcowskiej czaszki z blyszczaca metalowa plomba.

- Kocham tate. Byl dla mnie dobry. Staral sie, jak mogl. To byly dla mnie najszczesliwsze lata. - Mowila prawde, tak samo jak wtedy, kiedy wykrzykiwala swoj gniew.

Gdy doktor Lecter podal jej chusteczke, po prostu zacisnela wokol niej palce. Sam musial wytrzeć jej twarz.

- Clarice, zostawie cie teraz z tymi szczatkami. Wykrzycz mu swoja krzywde w oczodoly, a nic nie uslyszysz w odpowiedzi. - Polozyl dlonie na jej skroniach. Wszystko, czego potrzebujesz od swojego ojca, znajduje sie tutaj, w twojej glowie, i podlega twojemu osadowi, nie jego. Odchodze. Chcesz swiece?

- Tak, prosze.

- Po wszystkim zabierz tylko to, czego potrzebujesz.

Czekal w salonie przed kominkiem. Gral na thereminie: poruszal rekami w polu elektronicznym, zeby wydobyć z instrumentu dzwieki. Wygladalo to tak, jakby zapraszal muzyke do siebie. Zanim skonczyl utwor, zdal sobie sprawe, ze od jakiegos czasu stoi za nim Starling.

Kiedy sie do niej odwrocil, usmiechala sie lagodnie i smutno. Jej rece byly puste.

Doktor Lecter we wszystkim doszukiwal sie porzadku.

Wiedział, że jak każda czująca istota, Starling na podstawie swoich wczesnych doświadczeń stworzyła matryce, szablony, przez które postrzegała późniejsze wydarzenia.

Kiedy rozmawiał z nią przez szpitalne kraty wiele lat temu, odkrył, że rzeź owiec i koni na farmie kuzynów była dla niej ważnym doświadczeniem. Los tych zwierząt głęboko przeżył Starling.

Prowadziła obsesyjne polowanie na Jame'a Gumba, bo wstrząsnął ją los ofiary mordercy.

Z tego samego powodu ocaliła jego, Hannibala Lectera, przed torturami.

Doskonale. Jej zachowanie podlegało pewnej regule.

Doszukając się we wszystkim prawidłowości, doktor Lecter uważał, że Starling dostrzegała w Johnie Brighamie dobre cechy swojego ojca, a co za tym idzie nieszczęsny Brigham stanowił dla niej kazirodzkie tabu. Brigham i prawdopodobnie Crawforda obdarzyła zaletami ojca. A co ze złymi cechami?

Doktor Lecter rozpoczął poszukiwania drugiej części złamanej matrycy. Za pomocą środków usypiających i zmodyfikowanych przez siebie metod hipnotycznych znajdował w osobowości Clarice Starling twarde, odporne węzły jak seki w kawałku drewna, i stare urazy, wciąż łatwopalne jak żywica.

Natykał się na obrazy o bezlitosnej wyrazistości, wieloletnie, lecz dobrze utrzymane i szczegółowe, które iskrzyły gniewem w mózgu Starling, niczym błyskawice w burzowej chmurze.

Większość z nich miała związek z Paulem Krendlerem. Gniew z powodu doznanych od niego krzywd, nasaczony był wściekłością na własnego ojca. Złością, do której nigdy by się nie przyznała. Nie mogła wybaczyć ojcu, że zmarł. Zostawił rodzinę, nie obierał już pomarańczy w kuchni. Skazał matkę na czyszczenie ubikacji. Przestał przytulać Starling, która czuła wtedy bicie jego potężnego serca, dudniącego jak serce klaczy Hannah, kiedy odjeżdżały w ciemną noc.

Krendler stał się dla niej uosobieniem porażki i frustracji. Można było obarczyć go winą. Ale czy można było mu się przeciwstawić? I czy Krendler, tak jak każda władza i każde tabu, był w stanie zamknąć Starling w ciasnym - zdaniem doktora Lectera - pudełku jej życia?

Doktor Lecter dostrzegł jeden optymistyczny znak: choć odznaka tyle dla niej znaczyła, potrafiła ją przestrzelić i zabić tego, który nosił błyszczącą gwiazdę. Dlaczego? Ponieważ zobowiązała się do działania, zidentyfikowała przestępce i dokonała szybko oceny, nie zważając na wyryty w świadomości symbol. Potencjalna elastyczność. Kora mózgu góra. Czy to oznaczało, że miejsce dla Miszy mieści się w Starling? A może była to kolejna zaleta miejsca, które Starling musi zwolnić?

Barney, znów w Baltimore, ponownie w kieracie pracy w szpitalu Misericordia. Konczył tego dnia zmianę o jedenastej. W drodze do domu wstąpił do baru na miszkę zupy. Kiedy otwierał drzwi do swojego mieszkania i włączył światło, była już prawie północ.

Przy kuchennym stole siedziała Ardelia Mapp. Mierzyła czarnym samopowtarzalnym pistoletem w sam środek jego twarzy. Z rozmiaru wylotu lufy Barney oszacował, że to czterdziestka.

- Siadaj, pielęgniarko - rozkazała Mapp. Miała zachrypnięty głos, a wokół ciemnych źrenic jej oczy były pomarańczowe. - Postaw krzesło pod ścianą.

Bardziej niż wielka spluwa przeraził go drugi pistolet leżący przed kobietą na serwetce. Colt woodsman kaliber 22 z plastikową butelką przytwierdzoną do lufy jako tłumik.

Krzesło zaskrzypiało pod ciężarem Barneya.

- Jeśli nogi się złamią, nie strzelaj, to nie moja wina - poprosił.

- Wiesz coś o Clarice Starling?

- Nie.

Mapp podniosła mniejszy pistolet.

- Nie zamierzam się z tobą cackać, Barney. Gdy tylko dojdę do wniosku, że kłamiesz, pielęgniarko, podziurawię ci wnętrzności. Zrozumiano?

- Tak. - Barney wiedział, że kobieta nie blefuje.

- Więc znów cie zapytam. Czy wiesz o czymś, co pomoże mi znaleźć Clarice Starling? Dowiedziałam się na pocztę, że przez miesiąc przesyłano twoją korespondencję do posiadłości Masona Vergera.

- Pracowałem tam. Opiekowałem się panem Vergerem. Wypytywał mnie o doktora Lectera. Nie podobało mi się i odszedłem. Mason był niezłym draniem.

- Starling zniknęła.

- Wiem.

- Może dostał ją Lecter, a może pozarzył się. Jeśli to on, co by z nią zrobił?

- Jestem z pania szczerzy: nie mam pojęcia. Pomógłbym Starling, gdybym mógł. Właściwie ją lubiłem. Obiecała, że wyczyści mi akta. Proszę zajrzeć do jej papierów, notatek...

- Już to zrobiłam. Chce, żebyś coś zrozumiał, Barney. Ta oferta już się nie powtórzy. Jeśli coś wiesz, lepiej powiedz mi teraz. Bo jeżeli kiedykolwiek się dowiem, że ukryłeś przede mną jakas

przydatna informacja, wroce tu i przestrzele ci te wielka paskudna dupe. Jasne?

- Tak.

- A wiec wiesz cos?

- Nie. - Zapadlo najdluzsze milczenie w jego zyciu.

- Siedz, dopoki nie wyjde.

Zasnecie zajelo Barneyowi poltorej godziny. Lezal w lozku wpatrzony w sufit, a jego szerokie jak u delfina czolo bylo to mokre od potu, to suche. Zanim wylaczyl swiatlo, poszedl do lazienki i wyjal z apteczki lusterko do golenia z nierdzewnej stali, pamiatke z wojska.

Poczlapal do kuchni, otworzyl scienna skrzynke z bezpiecznikami i przykleil lusterko do drzwiczek od wewnatrz.

Nic innego nie byl w stanie zrobic. Podczas snu wstrzasaly nim drgawki.

Po nastepnej zmianie przyniosl do domu ze szpitala zestaw do zbierania dowodow gwaltu.

## ROZDZIAI 97

W wynajetych domu doktor Lecter mogl tylko zastosowac ozdoby w postaci kwiatow i parawanow. Kolor ciekawie prezentowal sie na tle

masywnych mebli i ciemnosci; tworzyl prastary, zniewalajacy kontrast, niczym motyl oswietlony na opancerzonej piesci.

Nieobecny gospodarz najwyrazniej mial obsesje na punkcie Ledy i labedzia. Miedzygatunkowa kopulacje przedstawialy az cztery brazowe rzezby o zroznicowanej wartosci. Najlepsza byla reprodukcja dzieła Donatella. Podobna tematyke ukazywalo takze osiem obrazow. Jeden z nich szczegolnie przypadl do gustu doktorowi Lecterowi: dzieło Anne Shingleton - genialna anatomiczna precyzja i prawdziwy ogien w przedstawionym stosunku plciowym. Pozostale obrazy zaslonil. Zakryl rowniez nalezaca do gospodarza potworna kolekcje rzezb o tematyce myśliwskiej.

Wczesnie rano doktor starannie nakryl do stolu dla trzech osob. Potem przygladal sie rezultatowi z roznych punktow pokoju z koniuszkiem palca przy nosie. Dwukrotnie przestawil swieczniki i zamienil adamaszkowe serwety na obrus, zeby zredukowac owalny stol do bardziej praktycznych rozmiarow.

Ciemny i ponury kredens przestal tak bardzo przypominc lotniskowiec, zastawiony teraz srebrnymi tacami i miedzianymi podgrzewaczami. Doktor Lecter wysunal nawet kilka szuflad i wlozyl w nie rozno-barwne rosliny, zeby uzyskac efekt wiszacych ogrodow.

Uznał, że w pomieszczeniu jest za dużo kwiatów. Musiał dodać jeszcze trochę. Za dużo, to za dużo, ale jeśli definitywnie za dużo, to znaczy, że w sam raz. Zdecydował się na dwie kompozycje kwiatowe na stole: niewielki bukiet peonii o barwie kokosanek w srebrnym naczyniu oraz wysoka, gesta kompozycja z dzwonków, holenderskich irysów, orchidei i tulipanów, które zasłaniały duże połacie blatu i tworzyły intymną przestrzeń.

Przed talerzami wykreował kryształowa burza lodu, a srebrne sztucce czekały w podgrzewaczu i miały trafić na stół w ostatniej chwili.

Pierwsze danie zamierzał przyrządzić przy stole. Przygotował więc palniki na alkohol, miedziane *fait-tout*, garnek i patelnię, a także przyprawę oraz pile sekcyjną.

Mógł przynieść więcej kwiatów. Clarice Starling nie zaniepokoiła się, kiedy jej powiedział, że wychodzi. Zasugerował, że może zechciałaby się zdrzemnąć.

## ROZDZIAŁ 98

Po południu, piątego dnia po masakrze na Muskrat Farm, Barney właśnie skończył się golić i wklepywał alkohol w policzki, kiedy usłyszał kroki na schodach. Zaraz powinien wyjść do pracy.

Mocne pukanie. W drzwiach stała Margot Verger. Miała ze sobą dużą torbę i mały plecak.

- Cześć, Barney. - Wyglądała na zmęczona.

- Cześć, Margot. Wejdz.

Zaproponował, żeby usiadła przy kuchennym stole.

- Chcesz coli? - Przypomnił sobie, że głowa Cordella została rozbita o lodówkę i natychmiast pozalował swoich słów.

- Nie, dzięki - odparła.

Usiadł po drugiej stronie stołu. Oceniał jego ramiona jak rywalizujący kulturysta i znowu spojrzała mu w twarz.

- Wszystko gra, Margot?

- Tak myślę - odpowiedziała.

- Z tego, co czytam w gazetach, wynika, że nie masz żadnych żmartwien.

- Czasem wracam myślami do naszych rozmów, Barney. Przyszło mi do głowy, że możesz się kiedyś do mnie odezwąć.



Zastanawiał się, czy młotek trzyma w torbie, czy w plecaku.

- Owszem, ale tylko po to, żeby zapytać, co u ciebie słychać. Nic innego nie chce wiedzieć.

- Ale sam wiesz, człowiek często myśli o nie dokończonych sprawach. Nie, żebym miała coś do ukrycia.

Wiedział już, że zdobyła nasienie Masona. Dopiero gdyby udało się zapłodnić Judy, zaczęłaby się martwić starym kumplem.

- Jego śmierć spadła nam jak z nieba, wcale tego nie ukrywam. - Margot mówiła coraz szybciej, nabierała rozpedu. - Może jednak napije się coli - stwierdziła.

- Zanim cie poczęstuję, chciałbym, żebyś coś obejrzała. Wierz mi, uspokoisz się i nic nie będzie cię to kosztowało. Poczekaj chwileczkę.

Stał bokiem do Margot i wyjął srubokręt z pudełka, które znajdowało się na blacie.

Na ścianie w kuchni wisiały dwie skrzynki na bezpieczniki. W rzeczywistości tylko jednej używano, druga stanowiła pozostałość po starej instalacji.

Przy skrzynkach Barney musiał odwrócić się plecami do Margot. Szybko otworzył drzwiczki z lewej strony. Teraz mógł obserwować ją w lusterku przyklejonym po wewnętrznej stronie. Włożyła rękę do torby i nie wyjmowała.

Odkrecił cztery śruby, mógł wyjąć ze skrzynki tablicę, za którą w pustej ścianie znajdowała się skrytka.

Sięgnął ostrożnie do środka i wydobyl plastikową torbę.

Kiedy wyjął przedmiot w niej ukryty, usłyszał, że Margot wstrzymała oddech. Trzymał słynny atrybut potwora - maskę, którą nakładano doktorowi Lecterowi w Stanowym Szpitalu dla Psychiatrycznie Chorych Przestępców w Baltimore, żeby uniemożliwić mu kłamanie. Ostatni i najcenniejszy przedmiot z ukrytej przez Barneya kolekcji pamiątek po Lecterze.

- Rany! - powiedziała Margot.

Barney położył maskę twarzą do dołu na stole, na kawałku woskowanego papieru pod jasną kuchenną lampą. Wiedział, że doktorowi nigdy nie pozwolono umyć maski. Zasznieta ślina zaskorupiała się przy otworze na usta. W klamry pasków mocujących zaplatały się trzy włosy doktora wyrwane z cebulkami.

Rzut okiem na Margot odpowiedział mu, że jest zadowolona.

Barney wyjął z szafki zestaw do pobierania próbek. Małe plastikowe pudełko zawierało waciki, wyjalowioną wodę, gazę i puste buteleczki.

Niezwykle starannie zebrał płatki sliny wilgotnym wacikiem, po czym zamknął go w buteleczce. Usunięte z maski włosy schował do drugiej.

Dotknął kciukiem kleistej strony dwóch kawałków plastra, robiąc na każdym wyraźny odcisk, zakleił korki butelek. Podał Margot obydwa pojemniczki zapakowane w foliową torebkę.

- Powiedzmy, że wpakuje się w kłopoty, straci głowę i będzie próbował cię wydać. Założmy, że opowiem policji jakąś historię o tobie, żeby złagodźli mi karę. Masz tutaj dowód, że byłem przynajmniej współsprawcą śmierci Masona Vergera. A może nawet sam wszystko zrobiłem? W każdym razie dostarczyłem ci DNA.

- Zanim cokolwiek wygadasz, będziesz chroniony.

- Być może przed zarzutami o zмовę, ale nie za współudział w tak nagłośnionym morderstwie. Kiedy się domyśla, że pomagałem w zbrodni, udupia mnie. Będzie miał przesrane do końca życia. Wszystko w twoich rękach.

Barney nie był całkiem pewien swojej argumentacji, ale brzmiała niezłe.

Margot mogła przecież podłożyć DNA Lectera na zwłoki Barneya, jeśli zaszłaby taka konieczność.

Patrzyła na niego swoimi błękitnymi oczyma rzeźnika. Trwało to - według Barneya - bardzo długo.

Położyła na stole plecak.

- Mam tu mnóstwo pieniędzy - odezwała się w końcu. - Wystarczy, żeby zobaczyć wszystkie obrazy Vermeera na całym świecie. Raz. - Sprawiała wrażenie niefrasobliwej, dziwnie szczęśliwej. - Muszę uciekać. W samochodzie czeka na mnie kot Franklina. Franklin, jego przybrana matka, siostra Shirley, jakiś facet o nazwisku Stringbean i Bog wie kto jeszcze przyjeżdżają na Muskrat Farm, kiedy Franklin wyjdzie ze szpitala. Ten cholerny kocur kosztował mnie pięćdziesiąt dolarów. Ukrywał się u dawnych sąsiadów Franklina.

Nie włożyła plastikowego woreczka do torby. Trzymała go w wolnej ręce. Barney pomyślał, że Margot nie chce, żeby zobaczył, jaka miała dla niego alternatywę.

- Dostanę buziaka? - zapytał w drzwiach.

Stanela na palcach i cmoknęła go szybko w usta.

- Tym będziesz musiał się zadowolić - oznajmiła afektowanym tonem. Schody trzeszczały pod jej ciężarem.

Barney zamknął drzwi i przez wiele minut stał oparty czołem o chłodną lodówkę.

## ROZDZIAŁ 99

Starling obudziły dalekie dźwięki muzyki kameralnej i apetyczne zapachy. Czula się cudownie wypoczęta i bardzo głodna. Ciche pukanie do drzwi. Do pokoju wszedł doktor Lecter w ciemnych spodniach, białej koszuli i z halsztukiem pod broda. Przyniósł jej ubranie w długim pokrowcu i gorące cappuccino. Dobrze spalas?

-Doskonale, dziękuję.

- Kucharz twierdzi, że będziemy jeszcze za półtorej godziny. Koktajle za pół godziny. Pomyślałem, że chciałabys założyć coś takiego... zobacz, czy ci się podoba. - Powiesił pokrowiec w garderobie i bezszelestnie opuścił pokój.

Do garderoby zajrzała dopiero po długiej kąpieli, lecz kiedy to wreszcie zrobiła, ucieszyła się. Znalazła tam długą wieczorową suknię z kremowego jedwabiu z wąskim, lecz głębokim dekoltem pod przepięknym bołerkim z koralików.

Na toaletce leżała para kolczyków ze szmaragdowymi kaboszonami. Mocno iskrzyły jak na niefasetowane kamienie.

Z włosami Starling nigdy nie miała problemów. Czula się bardzo swobodnie w nowej kreacji. Choć nie nawykła do noszenia tak wytwornych toalet, nie przyglądała się sobie długo w lustrze. Zerknęła tylko, czy wszystko jest na miejscu.

Niemiecki właściciel domu wybudował kominki o zbyt monumentalnych rozmiarach. W salonie plonęła wielka szczapa. Starling podeszła do ciepłego paleniska ze szmerem jedwabiu.

Z rogu pokoju płynęła muzyka klawesynowa. Przy instrumencie siedział doktor Lecter w wieczorowym stroju.

Podniósł wzrok, a wtedy oddech uwiązł mu w gardle. Rece znieruchomiały nad klawiaturą. Dźwięki klawesynu ucichły. W naglej ciszy obydwój usłyszeli, jak doktor bierze kolejny oddech.

Przed kominkiem stały dwa koktajle. Lillet z plasterkiem pomarańczy. Doktor Lecter podał jeden napój Clarice Starling.

- Gdybym widział cie codziennie do końca świata, zapamiętałbym, jak wyglądałaś dzisiaj. - Ciemne oczy pochłaniały ją całą.

- Ile razy przyglądał mi się pan, gdy o tym nie wiedziałam?

- Tylko trzy.

- Ale tutaj...

- W tym miejscu czas się nie liczy. A to, co widzę, kiedy się toba opiekuje, nie narusza twojej prywatności. Jest bezpiecznie zamknięte razem z wynikami badań. Wyznam, że lubię patrzeć na ciebie, kiedy spisz. Jesteś całkiem ładna, Clarice.

- Wygląd to kwestia przypadku, doktorze Lecter.

- Ale jeśli na urodę trzeba by było sobie zasłużyć, ty pozostałabyś piękna.

- Dzięki.

- Nie mów „dzięki”. - Minimalny ruch głowy wystarczył, by cisnąć z oczu błyskawicę gniewu.

- Mówię, co myślę - odparła Starling. - Wolalby pan, żebym powiedziała: „Cieszę się, że tak pan uważa”. Brzmiałoby trochę bardziej elegancko i równie prawdziwie.

Podniosła kieliszek tuż poniżej poziomu swoich bezkresnych oczu.

Doktor pomyślał, że, choć poznał dobrze Starling, nigdy nie mógł całkowicie przewidzieć jej zachowań czyjej posiadac. Karmił gasienicę, opiekował się poczwarką, ale motyl, który się wykluł, postępował zgodnie z głosem swojego serca i nie podlegał jego kontroli. Doktor Lecter zastanawiał się, czy pod suknią Starling nie trzyma pistoletu.

Clarice uśmiechnęła się do niego. W kaboszonych odbiło się światło ognia i potwora znowu ogarnęło samozadowolenie: plawił się w zachwycie nad swoim wybornym gustem i sprytem.

- Clarice, jedzenie działa na zmysły smaku i powonienia. To najstarsze zmysły, najbliższe środkowi umysłu. Smak i węch są umiejscowione w tych częściach mózgu, które poprzedzają litość, a na to uczucie nie ma miejsca przy moim stole. Jednocześnie w kopule kory mózgowej, jak freski na oświetlonym sklepieniu kościoła, plasają widoki i rozmowy związane z jedzeniem. To może być dużo bardziej zajmujące niż teatr. - Przybliżył do niej twarz. Czytał w oczach Starling. - Chce, żebyś zrozumiała, jak bardzo wzbogacasz te ceremonie, Clarice, i jakie masz uprawnienia. Czy ostatnio przyglądałaś się swojemu odbiciu w lustrze? Chyba nie. Wątpię, czy kiedykolwiek to robisz. Wyjdźmy na korytarz i stanmy przed wielkim zwierciadłem.

Doktor Lecter wziął z polki nad kominkiem kandelabr.

Wysokie lustro należało do kolekcji osiemnastowiecznych antyków. Było lekko przydymione i porysowane. Pochodziło z Chateau Vaux-le-Vicomte i Bog wie, co widziało.

- Spójrz, Clarice. Ta słiczna postać to ty. Dzisiaj wieczorem przez chwilę popatrzysz na siebie z oddalenia. Zobaczysz, co jest sprawiedliwe. Powiesz, co jest prawdą. Nigdy nie brakowało ci odwagi, żeby mówić, co myślisz, lecz paraliżowały cię zahamowania. Powtórzę, że przy tym stole nie ma miejsca na litość. Jeśli padną jakieś uwagi, które w danej chwili wydadzą ci się nieprzyjemne, przekonasz się, że kontekst może uczynić je zabawnymi, a nawet nieodparcie śmiesznymi. Jeśli wypowiedziane zostaną słowa bolesnej prawdy, okaże się, że prawda jest nietrwała i ulega zmianom. - Pociągnął łyk. - Jeśli poczujesz, że zakwita w tobie ból, kwiat nagle stanie się ulgą. Rozumiesz?

- Nie, doktorze, ale pamiętam pańskie słowa. Do diabła z samodoskonaleniem. Mam ochotę na przyjemną kolację.

- To ci obiecuje. - Jego usta rozciągnęły się w uśmiechu: widok, który wielu przeraża.

Zadane z nich nie patrzyło teraz na odbicie w zamglonym lustrze; spoglądali na siebie przez płonące ramiona świecznika, a zwierciadło obserwowało ich dwoje.

- Posłuchaj, Clarice.

Przyglądała się czerwonym iskierkom wirującym jak sztuczne ognie głęboko w jego oczach. Poczula podniecenie dziecka, które wybiera się do wesołego miasteczka.

Doktor Lecter wyjął z kieszeni strzykawkę. Nie patrząc, lecz kierując się dotykiem, wbil cienką igłę w ramię Starling. Malenka ranka nawet nie krwawiła po zastrzyku.

- Co pan grał, kiedy tu weszłam? - zapytała.

- If Love Now Reigned.

- To stary utwór?

- Skomponowany przez Henryka VIII około tysiąc pięćset dziesiątego roku.

- Zagra pan dla mnie? - zapytała. - Dokonczy pan teraz?

## ROZDZIAŁ 100

Przeciąg, który powstał, kiedy wchodził do jadalni, poruszył płomień świec i podgrzewaczy. Starling do tej pory widziała jadalnię tylko przelotnie. Cudownie było przekonać się, jak wielkiej transformacji uległo to pomieszczenie. Jasne, kuszące. W wysokich kryształach nad kremowymi serwetami odbijały się płomienie świec, a parawan z kwiatów zasłaniał resztę stołu i tworzył przytulny zakątek.

Doktor Lecter w ostatniej chwili wyjął srebrne sztucze z podgrzewacza i kiedy Starling podziwiała nakrycie przed sobą, poczuła w uchwycie noża niemal parzące ukłucie.

Doktor Lecter nalal wino i na początek zaserwował tylko malenką *amu-se-gueule*: jedną ostrygę i kasek kielbasy. Potem usiadł z kieliszkiem w dłoni i napawał się widokiem Starling przy nakrytym stole.

Wysokość świeczników była idealna. Płomienie oświetlały wypukłości dekoltu. Nie zagrażały też rekawom.

- Co będziemy jedli? Uniosł palec do ust.

- Nie wolno pytać, nie można psuć niespodzianki.

Rozmawiali o przycinaniu wronich pior i ich wpływie na dźwięk klawesynu. Na chwilę przypomniała sobie o wronie, która ukradła coś z wózka z jedzeniem na motelowym balkonie dawno temu. Teraz uznala, że wspomnienie nie ma żadnego związku z obecną chwilą i z rozmysłem je zignorowała.

- Głodna?

- Tak!

- Więc przystapmy do pierwszego dania.

Doktor Lecter postawił obok siebie tace z kredensu i przysunął stolik na kolkach. Miał tam naczynia, palniki i przyprawy w kryształowych miseczkach.

Zapalił palniki i zaczął od pokaznej bryły masła Charante, którą umieścił w miedzianym *fait-tout*. Obracał topiącą się masę i przypiekał ją na *beurre-noisette*. Kiedy tłuszcz przybrał kolor orzecha laskowego, odstawił naczynie na podstawkę.

Uśmiechnął się do Starling, ukazując bardzo białe zęby.

- Clarice, pamiętasz, co ci powiedziałem o przyjemnych i nieprzyjemnych uwagach i o tym, jak mogą być śmieszne w odpowiednim kontekście?

- To masło pachnie wspaniale. Tak, pamiętam.

- I pamiętasz, kogo zobaczyłaś w zwierciadle? Jak cudownie wyglądała ta osoba?

- Doktorze Lecter, proszę mi wybaczyć, ale nie jestem dzieckiem. Doskonale wszystko pamiętam.

- Świetnie. Pan Krendler zje z nami pierwsze danie.

Doktor Lecter przeniósł wielką aranżację kwiatową ze stołu na kredens.

Zastępca inspektora generalnego we własnej osobie siedział przy stole w solidnym, debowym fotelu. Krendler otworzył szeroko oczy i rozejrzał się. Na głowie miał sportową opaskę. Reszta ubrania stanowił piękny pogrzebowy smoking z wszytą koszulą i krawatem. Smoking był rozciety z tyłu, doktor Lecter mógł więc go nasunąć na Krendlera przytwierdzonego do fotela metrami taśmy klejącej.

Starling odrobine zmrużyła oczy i zacisnęła usta, jak czasem robiła na strzelnicy.

Doktor Lecter wziął z kredensu parę srebrnych szczypiec i odkleił taśmę zakrywającą usta

Krendlera.

- Jeszcze raz dobry wieczor, panie Krendler.

- Dobry wieczor. - Krendler sprawial wrazenie, jakby niezupeInie byl soba. Przed nim stala mala waza.

- Chcialby pan przywitac sie z panna Starling?

- Witaj, Starling. - Twarz Krendlera jakby pojasniala. - Zawsze chcialem popatrzec, jak jesz.

Clarice otaksowala go wzrokiem z oddali, jak gdyby byla starym zwierciadlem na scianie.

- Witam, panie Krendler. - Odwrocila twarz do krzatajacego sie przy naczyniach doktora Lectera. - Jak sie panu udalo go zlapac?

- Jest w drodze na spotkanie wazne dla jego przyszlej kariery politycznej - wyjasnil Lecter. - Margot Verger oddala mi te przysluge i zaprosila zastepce inspektora generalnego. Takie male *qui pro quo*. Pan Krendler pobiegl na polane w Rock Creek Park, zeby tam wsiasc do helikoptera Vergerow. Ale zamiast helikopterem, odbyl podroz moim samochodem. Chcialby pan odmowic modlitwe przed jedzeniem, panie Krendler? Panie Krendler?

- Modlitwe? Ach tak. - Krendler zamknal oczy. - Poblogoslaw Panie Boze te dary, ktore z Twej swietej szczodrobliwosci spozywac mamy. Starling jest za duza, zeby sie pieprzyc ze swoim tatusiem, nawet jesli pochodzi z Poludnia. Odpusc jej ten grzech i oddaj ja mojej szczodrobliwosci. Przez Pana naszego Jezusa Chrystusa, amen.

Starling zauwazyla, ze do konca modlitwy doktor Lecter mial pobożnie zamkniete oczy.

Czula sie jednoczesnie dotknieta i spokojna.

- Paul, musze ci cos powiedziec. Jesteś nie gorszy od swojego imiennika, apostoła Pawła. On też nienawidził kobiet. Powinien się nazywać apostoł Pedal.

- Tym razem przesadzilas, Starling. Nigdy nie przyjma cie z powrotem.

- Czyzbyś wplotl do modlitwy oferte pracy? Co za niespotykany takt.

- Zamierzam zasiasc w Kongresie. - Krendler usmiechnal sie nieprzyjemnie. - Zajrzyj do mojego sztabu wyborczego, znajde ci jakas robote. Moglabys pracowac w biurze. Potrafisz pisac na maszynie?

- Oczywiscie.

- A pisac ze sluchu?

- Uzywam do tego sprzetu nagrywajacego - oznajmila Starling. Mowila dalej wywazonym

tonem. - Proszę mi wybaczyć, że poruszam takie tematy przy stole, ale nie jesteś wystarczająco bystry, żeby trafić do Kongresu. Nie można mactwami zatuszować braku inteligencji. Bardziej nadajesz się na złodziejskiego gonca.

- Proszę na nas nie czekać, panie Krendler - nakłaniał go doktor Lecter. - Niech pan skosztuje zupy, póki gorąca. - Podniósł zakryty *potager* do ust skrepowanego mężczyzny.

Krendler skrzywił się.

- Nie smakuje mi.

- Bo to napar z natki i tymianku - wyjaśnił doktor. - Zresztą wypijając go, oddaje pan większą przysługę nam niż sobie. Jeszcze kilka łyków, niech się wchłonie.

Starling najwidoczniej wazyła coś w myślach. Dłonie zamieniła w szalę wagi sprawiedliwości.

- Wiesz co, Krendler? Zawsze kiedy ze mnie kpiles, nie dawało mi spokoju podejrzenie, że może zasłużyłam sobie na takie traktowanie. - Poruszała dłońmi do dołu i do góry, - Ale nie zasłużyłam sobie. Za każdym razem, kiedy wpisywałeś jakąś negatywną opinię do moich akt, czułam się dotknięta, ale nie przestawałam analizować swojego postępowania. Przez chwilę ogarniało mnie zwątpienie. Próbowałam podrapać to małe szwedzkie miejsce, które mówiło, że tata wie najlepiej. Ale ty, Krendler, nie wiesz najlepiej. Właściwie nic nie wiesz. - Starling pociągnęła łyk wspaniałego białego burgunda. - Smakuje cudownie - zwróciła się do doktora Lectera. - Ale chyba powinniśmy wyjąć butelkę z lodu. - Odwróciła się znowu niczym troskliwa gospodyni do swego gościa. - Na zawsze pozostaniesz... głupkiem, na którego nie warto zwracać uwagi - powiedziała słodkim głosem. - Ale wystarczy już rozmowy o tobie przy tej cudownej kolacji. Jesteś gościem doktora Lectera. Mam nadzieję, że jedzenie ci smakuje.

- A kim ty jesteś? - zapytał Krendler. - Bo na pewno nie Clarice Starling. Masz znamie na policzku, ale nie jesteś Starling.

Doktor Lecter dodał szalotki do gorącego przyrumienionego masła. Natychmiast rozniósł się ich aromat. Dorzucił zmielone kapary. Zdjął garnek z ognia i postawił na palniku patelnię. Z kredensu wyjął kryształową miskę lodowatej wody i srebrną tacę. Ustawił naczynia przy Krendlerze.

- Wiązałem pewne plany z tą wygadana szczerkaczka - powiedział Krendler. - Teraz już cie nie zatrudnię, Starling. Nigdy. A w ogóle kto dał ci pracę?

- Nie oczekuję, że całkowicie zmieni pan swoje poglądy, tak jak apostoł Paweł - odezwał się doktor Lecter. - Nie odbywa pan podróży do Damaszku czy nawet do posiadłości Vergerów.

Doktor Lecter zdjął opaskę z głowy Krendlera, tak jak zdejmuje się gumkę ze słoika kawioru.

- Pragniemy tylko, żeby miał pan otwarty umysł. - Ostrożnie, używając do tego obydwu rąk, doktor Lecter unosił czubek głowy Krendlera, położył go na tacy i schował do kredensu. Z czystego naciecia nie spłynęła ani jedna kropla krwi, główne naczynia krwionośne zostały związane, a inne



starannie zabezpieczone działającym miejscowo anestetykiem. Czaszke przepiłował w kuchni pół godziny przed posiłkiem.

Metoda zastosowana przez doktora Lectera przy odsłanianiu mózgu Krendlera była stara jak egipska medycyna, ale miał do dyspozycji przyrządy do trepanacji czaszki i lepsze środki znieczulające. Sam mózg nie czuje bólu.

Rozwoszara kopuła mózgu Krendlera unosiła się nad ściętą czaszką.

Stojąc nad Krendlerem z czymś, co przypominało łyżeczkę do usuwania migdałków, doktor Lecter odkroił plaster platu przedczołowego, potem drugi, aż miał ich cztery. Oczy Krendlera zwróciły się ku gorze, jak gdyby śledził poczynania doktora. Doktor Lecter umieścił plasterki w misce z lodowatą wodą, zakwaszoną sokiem z cytryny, aby nadać im jedności.

- „Chcesz się pohustać na gwiazdy oczku - wybuchnął nagle śpiewem Krendler. - Światło księżycy zaniknąć w breloczku”.

W tradycyjnej kuchni mózdzki moczy się, a następnie sciska i schładza na noc, żeby były jędrne. Mając do czynienia z całkowicie świeżym materiałem, wyzwaniem dla kucharza jest uniknięcie zamiany produktu w garść grudkowatej galarety.

Z niesamowitą zwinnością doktor wyłożył usztywnione plastry na talerz, obsypał je lekko przyprawioną makią i świeżo startą bułką.

Dodał do sosu plasterki czarnych trufli, a na koniec wcisnął sok z cytryny.

Szybko podsmazał plastry, aż przyrumieniły się z obu stron.

- Pachnie wspaniale! - ocenił Krendler.

Doktor Lecter wyłożył podsmazane trufle na szerokie grzanki leżące na gorących talerzach i polał je sosem z kawalkami grzybow. Całości dopełnił garnirunek z natki, kaparów z lodyzkami i pojedynczy kwiat nasturcji na rukwi wodnej.

- No i co? - zapytał Krendler z kwiatów. Mówił nieumiarkowanie głośno. Typowe dla ludzi z leukotomią.

- Prawdziwe delicje - odpowiedziała Starling. - Nigdy jeszcze nie jadłam kaparów.

Lśnienie maslanego sosu na jej wardze poruszyło doktora Lectera do głębi.

Za bukietu dochodziły śpiewy Krendlera, którego repertuar ograniczał się do piosenek przedszkolnych. Zapytał nawet współbiedniaków, czy nie mają jakichś życzeń.

Zupełnie ignorując gościa, Lecter i Starling rozmawiali o Miszy. Starling poznała los siostry doktora, kiedy rozważali kwestię straty. Teraz jednak doktor optymistycznie spoglądał w przyszłość. Tego wieczora powrót Miszy nie wydawał się czymś nierealnym.

Starling wyraziła nadzieję, że spotka Misze.

- Nigdy bym ci nie pozwolił odbierać telefonów w moim biurze. Masz głos jak czerstwa wiejska pipa - Krendler wydzierał się zza listy.

- Zobaczysz, jak brzmi mój głos, kiedy poproszę o dokładkę - odparła Starling. Doktor Lecter nie potrafił opanować wesołości.

Przy dokładce skonsumowali prawie cały płac czołowy Krendlera, niemal do zakretu przysrodkowego mózgu. Krendler był teraz w stanie już tylko bełkotać coś od rzeczy o przedmiotach z najbliższego otoczenia i recytować za kwiatami długi sprośny wiersz.

Nie przeszkadzała rozmowa parze bardziej, niż gdyby ktoś w restauracji przy sąsiednim stoliku śpiewał *Sto lat*. Jednak gdy wrzaski Krendlera stały się nieznosne, doktor Lecter sięgnął po stojącą w kacie kuszę.

- Chciałbym, żebyś posłuchała brzmienia tego instrumentu strunowego, Clarice.

Poczekaj, aż Krendler się uciszy, i wypuść strzałę, która przeleciała nad stołem i wbiła się w kwiaty.

- Gdybyś kiedykolwiek usłyszała tę właśnie częstotliwość dźwięku, będzie ona oznaczała całkowitą wolność, spokój i niezależność - powiedział doktor Lecter.

Piora i część trzonka strzały zostały po widocznej stronie aranżacji kwiatowej. Poruszały się mniej więcej jak batuta dyrygująca sercem. Głos Krendlera umilkł natychmiast. Po kilku ruchach zatrzymała się też batuta.

- Jakby „d” pod środkowym „c”? - zapytała Starling.

- Właśnie.

Chwile później zza kwiatów dobiegł bulgoczący dźwięk. Był to tylko spazm gardła wywołany rosnącą kwasowością krwi świeżego nieboszczyka.

- Skosztujmy następnego dania - zaproponował doktor. - Sorbet, który odświeży nam podniebienia przed przepiorkami. Nie, nie, nie wstawaj. Pan Krendler pomoże mi sprzątnąć, jeśli mu pozwolisz.

Szybko się uwinał. Za kwiatową zasłoną doktor Lecter wrzucił resztki z talerzy do górnej części czaszki Krendlera i nałożył ją z powrotem na dolny fragment. Podniósł sznurek przywiązany do kolek pod krzesłem, po czym odholował zwłoki do kuchni.

Tam naciągnął kuszę. Na szczęście mógł skorzystać z tego samego kompletu baterii, który napędzał pile sekcyjna.

Skorki przepiorków były chrupiące i wypełnione farszem z *foie gras*. Doktor Lecter opowiadał o

Henryku VIII i jego kompozycjach. Starling wyjawiała tajniki komputerowej obróbki dźwięków pozwalającej na powtarzanie ulubionych częstotliwości.

Deser miał być podany w salonie.

## ROZDZIAŁ 101

Suflet i wino Chateau d'Yquem przed kominkiem, kawa na stoliku przy łokciu Starling.

Ogień igra w złocistym winie, którego aromat roznosi się przy ciężkiej woni płonącej szczapy.

Rozmawiali o filizankach, czasie i regule chaosu.

- I w ten sposób doszedłem do wniosku - powiedział doktor Lecter ze na świecie musi istnieć godne miejsce dla Miszy. Powinno być zwolnione specjalnie dla mojej siostry. Pomyślałem sobie, Clarice, że tym najlepszym miejscem na świecie byłoby twoje.

Światło ognia nie penetrowało głębi jej dekoltu tak skutecznie jak światło świec, lecz wspaniale migotało na twarzy.

Zamysliła się przez chwilę.

- Chciałabym o coś pana zapytać, doktorze. Jeśli Misza potrzebuje na świecie godziwego miejsca, czemu nie zaproponuje pan swojego? Jest dobrze utrzymane

i wiem, że nigdy by jej pan niczego nie odmówił. Moglibyśmy być jak siostry. I skoro, według pana, jest we mnie miejsce dla mojego ojca, czemu w panu nie ma miejsca dla Miszy?

Doktor Lecter sprawiał wrażenie zadowolonego. Czy z pomysłu Starling, czy z jej inwencji, nie wiadomo. Może nieco się zaniepokoił, że uczeń przerasta mistrza.

Kiedy odstawiała kieliszek, straciła ze stolika filizankę. Porcelana roztrzaskała się na kawałki. Clarice nie spojrzała w dół.

Doktor Lecter wpatrywał się w nieruchome skorupki. Pozostały nieruchome.

- Nie musi pan podejmować decyzji już w tej chwili - powiedziała Starling. Jej oczy lśniły w świetle ognia. Westchniecie płomienia, ciepło paleniska przebijające przez suknie... Z pamięci Starling wyłoniło się nagle wspomnienie - dawno temu doktor Lecter zapytał senatora Martina, czy karmiła córke piersią. Ozdobiony szlachetnymi kamieniami ruch w nienaturalnym bezruchu Starling: przez chwilę liczne okna w jej umyśle ustawiły się w szeregu i wzrok sięgnął dalej niż doświadczenia.

- Hannibal Lecterze, czy pańska matka karmiła pana piersią? - zapytała.

-Tak.

- Czy kiedykolwiek czuł pan, że musi zwolnić miejsce przy piersi dla Miszy? Ze to pana obowiązek?

Minęła chwila. Nie przypominam sobie, Clarice. Ale jeśli tak, zrobiłem to chętnie.

Clarice Starling zanurzyła dłoń w głębokim dekolcie sukni i wydobyla piers.

- Z tej piersi nie musi pan rezygnować - powiedziała. Cały czas patrzeć mu w oczy, zanurzyła palec wskazujący w ustach pełnych ciepłego wina. Gruba słodka kropla zawisała na sutku niczym złocisty kaboszon. Drżała z każdym oddechem.

Doktor Lecter błyskawicznie znalazł się przy fotelu, kleknał i w świetle ognia pochylił do koralowej i kremowej Starling swoją ciemną gładką głowę.

## ROZDZIAŁ 102

Buenos Aires, Argentyna, trzy lata później. Wczesnym wieczorem Barney i Lillian Hersh spacerują niedaleko Obelisku na Avenida 9 de Julio. Panna Hersh jest wykładowcą na Uniwersytecie Londyńskim i przebywa na urlopie. Poznała Barneya w muzeum antropologicznym w Mexico City. Przypadli sobie do gustu i od dwóch tygodni razem podróżują. Zdecydowali się na to z dnia na dzień i coraz lepiej bawią się w swoim towarzystwie. Nie meczą się sobą.

Do Buenos Aires dotarli zbyt późno, żeby tego samego dnia wejść do Museo Nacional, gdzie wystawiano wypożyczone dzieła Vermeera. Misja Barneya, który postanowił zobaczyć wszystkie płotna mistrza na całym świecie, śmieszyła Lillian Hersh, lecz nie psuła im dobrej zabawy. Widział już jedną czwartą obrazów i miał jeszcze mnóstwo innych do obejrzenia.

Szukali jakiejś sympatycznej kawiarni, gdzie mogliby zjeść coś na świeżym powietrzu.

Przy Teatro Colón, imponującej operze, czekały w kolejce limuzyny. Zatrzymali się, żeby popatrzeć na wchodzących do gmachu miłośników opery.

Grano *Tamerlana* z doskonałą obsadą. Premiera w Buenos Aires przyciągnęła interesujący tłum.

- Barney, lubisz operę? Myślę, że masz ochotę tam wejść. Jeśli tak, to wyskocz z kasy.

Bawilo go, kiedy używała amerykańskiego slangu.

- Jeśli mnie wprowadzisz do środka, to ja wyskocz z kasy - powiedział Barney. - Sądziłeś, że nas wpuszcza?

Na chodnik wjechał z szumem błękitnosrebrny mercedes maybach. Portier pośpieszył, żeby otworzyć drzwi.

Z samochodu wysiadł drobny, elegancki mężczyzna w wieczorowym stroju i podał rękę partnerce. Pojawienie się kobiety wywołało szmer podziwu wśród osób zgromadzonych przy wejściu. Jej włosy tworzyły kształtny platynowy helm. Miała na sobie długą koralową suknię oszronioną tiulową peleryną. Na smukłej szyi lśniły zielone szmaragdy. Barney widział tę damę bardzo krótko między głowami ludzi. Para zaraz zniknęła w środku gmachu.

Barney zdążył lepiej się przyjrzeć elegantowi. Miał włosy gładkie niczym futro wydry i rzymski nos jak Peron. Postawa mężczyzny sprawiała, że wydawał się wyższy niż w rzeczywistości.

- Barney? Ach, Barney - mówiła Lillian - jak się obudzisz, powiedz, czy miałbyś ochotę pójść do opery. Jeśli wpuszcza nas w tych hajdawerach. No proszę, udało mi się, choć niezupełnie pasuje: zawsze chciałam powiedzieć, że jestem w hajdawerach.

Kiedy Barney nie zapytał, co to są hajdawery, zerknęła na niego podejrzliwie. Zawsze był bardzo dociekliwy.

- Tak - odparł z roztargnieniem. - Wskoczę z kasy. - Barney miał z czego wyskakiwać. Wydawał pieniądze ostrożnie, ale nie był skąpy. Poza tym mogli tylko dostać tanie bilety na galerię.

Wypożyczył lornetkę w szatni.

Ogromny teatr stanowił mieszaninę różnych stylów: antyku włoskiego renesansu, francuskiego baroku, z bogactwem mosiadzu, złota i czerwonego pluszu. Na widowni migotała biżuteria niczym flesze na stadionie.

Przed rozpoczęciem uwertury Lillian szeptem streszczała Barneyowi libretto.

Zanim na sali zgasły światła, Barney lustrował całą widownię od najtanszych miejsc. W końcu ich wypatrzył: platynowa blondynka i jej towarzysza. Przeszli właśnie przez złote zasłony do bogato zdobionej loży przy scenie. Kiedy zajmowała miejsce, zalsniły szmaragdy na jej szyi.

Gdy wchodziła do opery, Barneyowi udało się tylko w przelocie ujrzyć prawy profil kobiety. Teraz widział lewy.

Miejscowi studenci, weterani teatralnych galerii, przynieśli ze sobą cały arsenał przyrządów optycznych. Jeden z młodych miłośników opery miał długą lunetę. Barney pożyczył instrument, żeby przyjrzeć się odległej loży. Trudno mu było ją zlokalizować w ograniczonym polu widzenia lunety, ale wreszcie trafił: para wydawała się niepokojąco blisko.

Kobieta miała na policzku pieprzyk - w miejscu, które Francuzi nazywają *courage*. Wodziła wzrokiem po sali, lecz tylko przelotnie popatrzyła na sektor Barneya. Sprawiała wrażenie ożywionej. Pochyliła się do swego towarzysza i powiedziała coś, po czym oboje się rozesmieli. Położyła dłoń na dłoni mężczyzny i scisnęła jego kciuk.

- Starling - mruknal pod nosem Barney.

- Co? - szepnela Lillian.

Barney nie mogl skupic sie podczas pierwszego aktu opery. Gdy tylko rozblyly swiatla, znow skierowal lunete na loze. Elegancik wzial z tacy kieliszek szampana, podal go kobiecie i siegnal po kieliszek dla siebie. Barney skoncentrowal sie na profilu mezczyzny, ksztalcie uszu.

Przesledzil dlugosc ramion kobiety. Byly obnazone i nie mialy zadnych znamion, ale oko znawcy dostrzeglo jedrne miesnie.

Nagle mezczyzna obrocil nieco glowe, jakby uslyszal cos w oddali. Podniosl lornetke do oczu. Barney mogl przysiac, ze lornetka byla wymierzona w niego. Zaslونil twarz programem i zgarbil sie, zeby nie wyrozniac sie wzrostem.

- Lillian - szepnal. - Mam do ciebie wielka prosbe.

- Chcialabym ja uslyszec, jesli jest taka, jak inne - odparla.

- Kiedy zgasna swiatla, wychodzimy. Polec dzisiaj ze mna do Rio. Nie zadawaj zadnych pytan.

Barney obejrzal wszystkie obrazy Vermeera. Oprocz plocien z Buenos Aires.

## ROZDZIAI 103

Ruszmy w slad za elegancka para z opery? Dobrze, ale bardzo ostroznie...

W nowym tysiacleciu miastem Buenos Aires owladnelo tango. Noc pulsuje jego rytmem. Z opuszczonymi szybami, zeby pozwolic muzyce z klubow

wypelnic wnetrze samochodu, mercedes przejezdza cicho przez dzielnice Recoleta do Avenida Alvear. Znika na dziedzincu wspanialego budynku Beaux Arts, niedaleko ambasady francuskiej.

Jest cieplo. Pozna kolacje podano na tarasie na najwyzszym pietrze. Sluzacych nie widac.

Wśród sluzby w rym domu panuje wysokie morale i zelazna dyscyplina. Nie wolno im wchodzic na ostatnie pietro rezydencji przed poludniem. Ani tez po podaniu pierwszego dania przy obiedzie.

Doktor Lecter i Starling czesto rozmawiaja przy stole w jezykach innych niz angielski. Clarice musiala poglabic znajomosc francuskiego i hiszpanskiego, ktorych podstawy poznala w szkole. Zorientowala sie przy tym, ze ma dobre ucho do jezykow. Czesto podczas posilkow mowia po wlosku; Clarice odkrywa ciekawa swobode w wizualnych niuansach tego jezyka.

Czasem podczas kolacji nasza para tancy. Czasem nie koncza posilku.

Ich zwiazek w znacznym stopniu opiera sie na penetracji Starling. Clarice przyjmuje to z wielkim entuzjazmem i wrecz do tego zacheca. Hannibal Lecter natomiast podrozuje daleko poza granice swojego doswiadczenia. Mozliwe, ze Clarice Starling napawa go strachem. Seks jest wspaniala struktura, ktora udoskonalaja kazdego dnia.

Rozbudowuje sie rowniez palac pamieci Clarice Starling. Kilka pomieszczen dzieli z palacem pamieci doktora Lectera. Zastal ja tam kilkakrotnie, lecz jej wlasny palac pamieci rosnie samodzielnie. Wypelniaja go coraz to nowe elementy. Moze odwiedzac swojego ojca. Pasie sie tam Hannah. Pochylony nad biurkiem siedzi rowniez Jack Crawford, kiedy Clarice postanawia go odwiedzic. Miesiac po powrocie Crawforda ze szpitala bole w klatce piersiowej wrocily pewnej nocy. Zamiast zadzwonic na pogotowie i ponownie przejsc cala kuracje, przesunal sie tylko na druga strone lozka, gdzie kiedyś lezala jego zona. Szukal pocieszenia.

Starling dowiedziala sie o smierci Crawforda podczas jednej z regularnych wizyt doktora Lectera na stronie FBI w Internecie. Doktor Lecter zagladal tam, zeby nacieszyc sie swoja podobizna wsrod dziesieciu najbardziej poszukiwanych przestepcow. Zdjecie zamieszczane przez FBI, na szczescie, przedstawia jego twarz przed dwoma zabiegami plastycznymi.

Kiedy Starling przeczytala nekrolog Crawforda, wybrala sie na prawie calodniowy spacer. Wieczorem z radoscia wrocila do domu.

Rok wczesniej zamowila pierscionek ze szmaragdem i kazala wygrawerowac po wewnetrznej stronie inicjaly A.M.- C.S. Ardelia Mapp otrzymala pierscionek w grubej kopercie z liscikiem.

Droga Ardelio, ze mna wszystko w porzadku, a nawet jeszcze lepiej. Nie szukaj mnie. Kocham cie. Przepraszam, ze cie nastraszyłam. Spal to. Starling.

Mapp zabrala cenny podarunek nad rzeke Shenandoah, gdzie Starling lubila biegac. Dlugo szla z pierscionkiem zacisnietym w dloni, rozgniewana, z rozpalonymi oczami, gotowa w kazdej chwili wrzucic go do wody. Wyobrazala sobie, jak drogocenny kamien poblyskuje w powietrzu, po czym rozlega sie cichy plusk. W koncu zalozyla pierscionek na palec i wepchnela piesc do kieszeni. Mapp nie jest skora do placzu. Spacerowala tak dlugo, az sie uspokoila. Kiedy wrocila do samochodu, bylo juz ciemno.

Trudno powiedziec, co Starling pamietala ze swojego dawnego zycia, co postanowila zatrzymac. Narkotyki, ktore towarzyszyly jej w pierwszych dniach nowej egzystencji, od dawna sa nieobecne w ich zyciu. Tak jak dlugie rozmowy przy jednym zrodle swiatla w pokoju.

Co jakis czas, celowo, doktor Lecter upuszcza filizanke, zeby roztrzaskala sie na podlodze. Jest zadowolony, kiedy kawalki nie lacza sie na nowo. Od wielu miesiecy nie widzial w snach Miszy.

Ktoregos dnia, byc moze, rozbita porcelana znow utworzy calosc. Lub Starling uslyszy gdzies strune kuszy i wbrew swojej woli zostanie wyrwana ze snu, jesli w ogole spi.

Odejdziemy teraz, kiedy tancza na tarasie. Przejorny Barney juz wyjechal z miasta, a my musimy pojsc za jego przykladem. Gdyby ktoreś z nich nas zauwazylo, bylismy zgubieni.

Mozemy dowiedziec sie tylko tyle i zyc dalej.

## Podziekowania

W probach zrozumienia palacu pamieci doktora Lectera posluzylem sie niezwykla ksiazka Frances A. Yates *The Art of Memory*, a takze *The Memory Palace of Matteo Ricci* Jonathana D. Spence'a.

Z przyjemnoscia korzystalem z przekladu „Piekla” Dantego piora Roberta Pinsky'ego, a takze z przypisow Nicole Pinsky. Wyrazenie *festive skin* pochodzi z angielskiego przekladu Pinsky'ego.

Slowa „w ogrodzie oka cyklonu” zaczerpnałem z wiersza Johna Ciardiego o takim wlasnie tytule.

Wersy wiersza, ktore Clarice Starling przypomina sobie w szpitalu psychiatrycznym, sa fragmentem utworu z wiersza *Burnt Norton* T. S. Eliotaze zbioru *Cztery kwartety*.

Dziekuje Pace Barnes za slowa zachety, wsparcie i madre rady.

Ksiazke te uczynila lepsza Carole Baron, moj wydawca, edytorka i przyjaciolka.

Athena Varounis i Bill Tribble ze Stanow Zjednoczonych oraz Ruggero Perugini z Wloch pokazali mi najlepsze i najjasniejsze strony organow scigania. *Zadna* z postaci w tej ksiazce nie jest wzorowana ani na nich, ani na innych zyjacych osobach. Niegodziwosc opisana w powiesci znajduje zrodlo wylacznie w moim umysle.

Niccolo Capponi podzielil sie ze mna gleboka wiedza na temat Florencji i sztuki florenckiej. Pozwolil tez doktorowi Lecterowi zamieszkac w jego rodzinnym *palazzo*. Podziekowania kieruje rowniez do Roberta Helda za jego wiedze i do Caroline Michahelles za doskonala znajomosc Florencji.

Pracownicy Carnegie Public Library w Coahoma County w stanie Missisipi pomagaja mi od lat. Dziekuje wam.

Wiele zawdzieczam Marguerite Schmitt: jednym bialym truflem, magia swego serca i rak zarazila mnie uroda Florencji. Podziekowania dla Marguerite sa spoznione; w tej chwili spelnienia chcialbym wymienic jej imie.

---

\* *Burt Norton* ze zbioru *Cztery kwartety* T.S. Eliota, przeklad Krzysztof Boczkowski

\* Dante *Nowe zycie*, przeklad Edward Porebowicz

\* Dante *Boska komedia*, przeklad Edward Porebowicz



\* *Semper fidelis* (lac.) - zawsze wierny, motto amerykańskiej piechoty morskiej (przyp. tłum.).